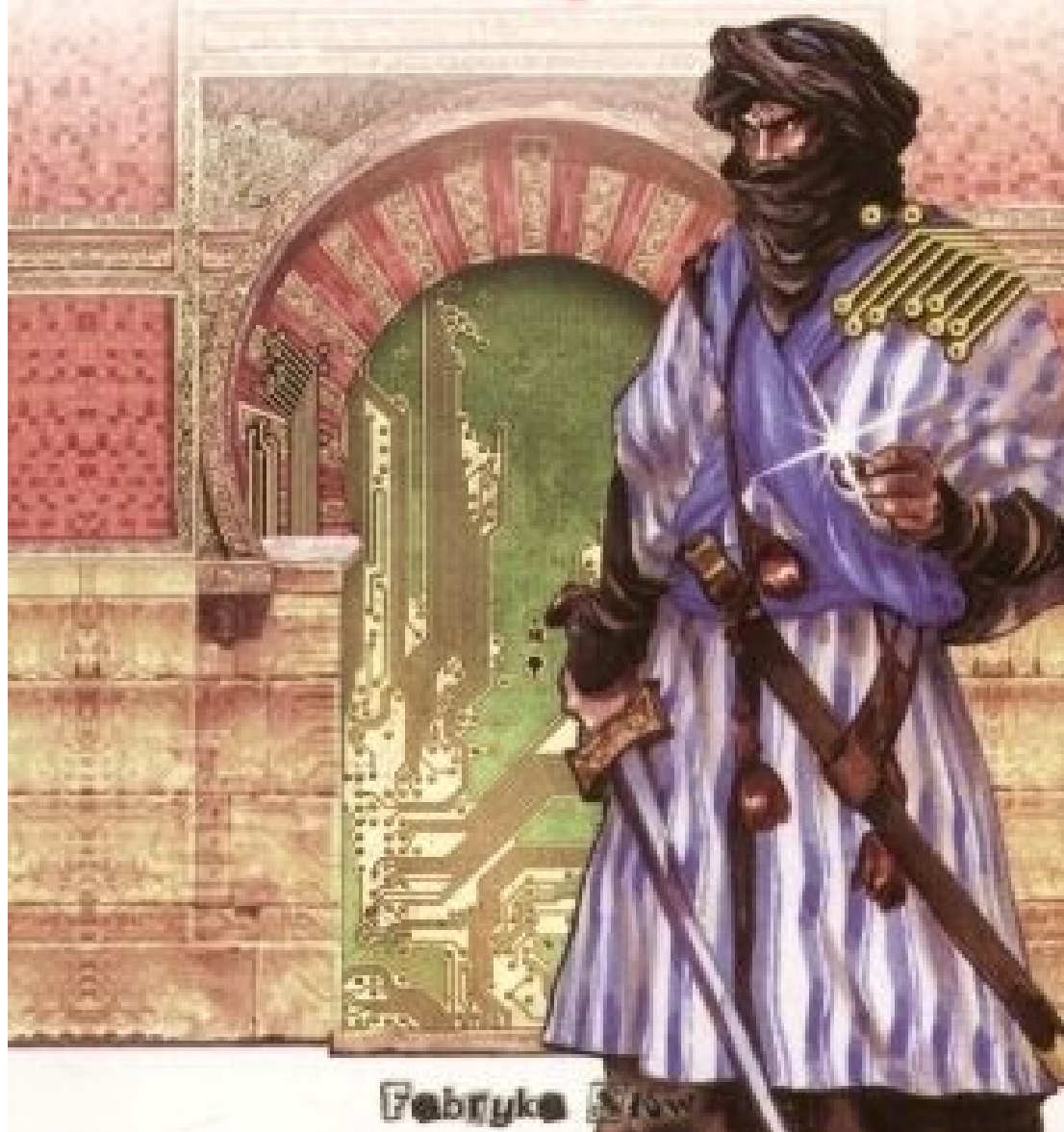


# Mieszko Zagańczyk

ALLAH 2.0



**Mieszko Zagańczyk**

**Allah 2.0**

Stało się to trzeciego piątku miesiąca Szawal. Serce damasceńskiego Kurda Muhammada Ibn al-Charida, Łowcy Demonów, ścisnęła lodowata ręka trwogi.

Brama do Piekieł, spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila, zsunął się ze środkowego palca jego lewej dłoni (niechybnie z czyjąś wydatną pomocą) i przepadł. Jak pestka daktyla w migotliwym nurcie Barady.

Kiedy? Jak? Gdzie? Z czyją pomocą? Dlaczego? I co teraz?

Muhammad Ibn al-Charid nie znał odpowiedzi na te pytania. Dławiąc się niepokojem, próbował zebrać myśli, wyciągnąć z czarnego kłębowiska coś, co wlałoby do jego duszy miodu z cynamonem.

Na próżno. Czuł się coraz gorzej: w głębi jego głowy biegł szeroki trakt; traktem tym pastuchowie pędzili stado wyjących osłów. Nie, nie, nie! Osły – precz! Pastuchowie – precz! Dość! Skręcił do małej kawiarni wciśniętej między warsztat stolarski a kram z korzeniami i drzącymi rękoma nabił nargile aromatycznym tytoniem z Egiptu.

Lęk o posmaku dziegciu podsuwał mu obrazy: na każdej uliczce, placu, w zaułku Dimaszk asz-Szamu – demony. Za każdym rogiem, murem, w głębiach studni i pod dachami – dzinny. Setki, tysiące złośliwych dzieci Iblisa. Harcujących. Bałaganiących. Zło siejących.

Bez Bramy do Piekieł, spiralnego pierścienia z przezroczystego metalu, włosa anioła Dżibrila, Muhammad Ibn al-Charid nie mógł czynić swojej powinności.

Rzecz jasna, nie był jedynym w tym fachu. Znał paru innych łowców, mijali ich niekiedy w wąskich uliczkach medyny, jednak wzajemne kontakty ograniczały się do milczących pozdrowień – każdy żył we własnym, odrębnym świecie. Ręczyć mógł tylko za siebie. On nie popuszczał Iblisowemu potomstwu. Nie znał dla niego litości, nie miał pobłażania. Ale tamci? Inni łowcy? Ich zapału ani zdolności nie był pewien.

Hasziszijunom, temu pospólstwu wśród zabójców demonów tym bardziej nie ufał. Owszem, nie było nic szybszego, ostrzejszego i bardziej nieuchronnego niż kindżał w ręku hasziszijuna. Siekli nimi pięknie, po mistrzowsku, z precyzją radującą oko i pieszczącą duszę. Potrafili przy tym zdobyć się na sporą dozę fantazji: demony, które dopadli, kilkoma misternymi pociągnięciami rozcinali na dwie równe części – od głowy do pachwiny. Jednak nawet takie cięcia nie odsyłały szatanów tam, skąd przybyli – do piekła. Ich połówki rozchodziły się w przeciwnych kierunkach, po czym dopóty błądziły w wąskich uliczkach damasceńskiej medyny, dopóki Muhammad Ibn al-Charid nie dokończył dzieła, przeciągając je wszystkie przez swój pierścień.

Ale czy można było ufać ludziom, którym drogę wskazywała nie tylko Święta Księga, ale też lepka, czarna grudka haszyszu? Dźwięczne sury Koranu recytowane przez mułłę w

meczecie potrafiły al-Charida unieść w ekstazie, w cudownym upojeniu aż po sam podnózek Tronu Allaha. Żaden haszysz, nawet najlepszych gatunków, marokański czy afgański, nie mógł dla niego równać się ze słodkimi słowami Proroka. O rajskiej rozkoszy, jaką dawała żarliwa modlitwa, hasziszijjuni dawno zapomnieli.

O tym, jak zabijać demony, tym bardziej.

\*\*\*

Nie masz tłoczniejszego miejsca niż medina w Dimaszku asz-Szamiem. Muhammad Ibn al-Charid gniewnie przeciskał się przez tłum, roztrącając rozwrzeszczanych handlarzy głośno targujących się o najmniejszego piastra. Osły – precz! Wielbłądy – precz! Psy – precz! Dzieci – precz! Co tylko stoi na drodze – precz! Sunął przed siebie, mimo uszu puszczając jęki i okrzyki bólu roztrącanych przechodniów. Te i tak zaraz cichły – musi wielki pan iść, skoro taki strojny i dumny.

– Tędy, panie! Zapraszam! Tam cuda, jakich dawno Dimaszku nie widział! – Długi jak tyczka, wąsaty kupiec zgiął się niemal do samej ziemi, szerokimi gestami wskazując uliczkę między straganami. Muhammad Ibn al-Charid nawet nie spojrział w tym kierunku. Kątem oka dostrzegł, że zaułek wiedzie do suku jubilerów. Poczytał to jako niezamierzoną co prawda, ale wyraźną kpinę ze strony wąsacza. Jakby szatani ustami kupca drwili sobie z niego: „Po co ci tamten pierścień? Kup sobie jakąś inną błyskotkę. To zaspokoi twoją próżność”.

Bramy do Piekieł nic nie zastąpi – pomyślał ze wściekłością al-Charid. Coś musiało być w jego wzroku, bo kupiec nagle zniknął, wynurzając się dopiero za bezpieczną połą namiotu osłaniającą najbliższy kram. Łowca Demonów ścisnął mocniej laskę z czerwonego hebanu oplecioną misterną spiralą ze srebra. Uniósł ją groźnie i sieknął w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał wąsacz. Kij aż zahuczał, tnąc powietrze. Kurz na trotuarze zawrzał, spływając na boki.

Nie, Muhammad Ibn al-Charid nie był z gruntu złym człowiekiem. Nie rządziła nim pycha i pogarda dla maluczkich, którą często dostrzegał u innych z jego fachu. Mimo swej profesji usposobienie miał łagodne, przepełnione miłością.

Ale teraz... Bolesna strata pierścienia mąciła jego umysł, prowokując go do złości. Więc szedł dalej, rozpychając przekupniów, dzieci, psy i osły.

Tak dotarł do bramy BabTuma i jakiś czas szedł wzdłuż zlepionych gliną chatynek z wikliny, które w ciągu wieków obudowały stare rzymskie mury tak ściśle, że nie został ani łokieć wolnej ściany.

Zaczął piąć się po obrośniętych zielenią, drewnianych schodkach do jednego z tych

jaskółczych gniazd. Właśnie w nim zatrzymał się jedyny człowiek, który mógł mu przyjść z pomocą. Mistrz Dżalal ad-Din Rumi, zwany Mualaną. Tańczący Derwisz.

\*\*\*

Czerwone PCW na ścianach karceru wypala wolność.

Wolność?

Wolność to karaluch przeciskający się szparą pod stu pięćdziesięcioma kilogramami stalowych drzwi; wąską szczeliną – centymetrową, owadzią, zawsze otwartą bramą. Dla karalucha kraty nie są kratami, mury nie są murami, ciężkie sztaby nie dzielą przestrzeni. Świat jest betonowy i plastikowy, czasem płaski i śliski, niekiedy rurowaty i lepki, chropowaty i popękany. Chłód metalu i parujące ciepło fekaliiów. Gdzieś tam jest wiele innych światów, czekają tylko, by je odkryć, ale ten nie wydaje się być gorszy: szerokie bramy, odżywczy brud w kątach winylowych wykładzin – tu jest dość ciepła dla larw. Są spiżarnie, gdzie zawsze wpadnie gnijąca resztką.

Świat ma setki poziomów i dziesiątki płaszczyzn – na płaszczyźnie poziomej, unieruchomiony, tkwi Żywiciel. To siła sprawcza ciepła, brudu i odpadków. W innej przestrzeni, za bramą zawsze otwartą, kulą się inni Żywiciele, spoceni i lepcy; ich światy są niewielkie, bramy zamknięte na ciężkie sztaby i kraty.

Sens istnienia Żywiciela?

Bycie Żywicielem.

Czy pamiętasz jeszcze, co to jest wolność?

Wolność to karaluch uciekający rurą ściekową.

\*\*\*

WOLNOŚĆ – wyskrobała w bólu tęsknoty jakaś zgnębiona dusza. Na cynobrowej wykładzinie z polichloroku winylu. Czerwone PCW – podłoga, ściany i przestrzenie między osłoniętymi szkłem pancernym reflektorami w suficie.

Sześć dwustuwatowych żarówek, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wolność... Napisów było więcej: imiona, przekleństwa, groźby, zatarte złote myśli. Rozpaczliwe wołania. Jedno wyznanie miłosne: imię Hafdis wtłoczone w krzywe serduszko.

Wydlubał spod odłazącego od muru skrawka wykładziny płaski okrusek betonu wielkości paznokcia. Siadł oparty o stalowe drzwi, jak wszystko tutaj zatopione w grubej warstwie jaskrawego plastiku. Mrużąc oczy przed światłem, wpatrywał się w przeciwległą ścianę, taksując wzrokiem to, co wrył poprzedniego dnia. Zagwizdał kilka taktów

zniekształconej w wysuszonych ustach melodii i ściskając w palcach betonowy odłamek, podpełzł trzy metry w przód.

Skrobał w milczeniu, czasem zanosząc się kaszlem. Piskliwy odgłos dartej wykładziny elektryzował go lekkimi dreszczami. Dźwięk był ohydny, ale w rzadko maconej ciszy karceru sprawiał mu perwersyjną radość. Łiiiiik! Łiiiiik! Łik!!! Ciął głęboko szeroką linią. Co kilka minut odchyłał się w tył i marszcząc brwi, oceniał cienie i załamania światła w stawianych kreskach. Z furią wbijał się w miejsca, gdzie litery były zbyt płytkie. Łik!!! Łiiiiik! Łiiiiik!

...CZERWONY.

I koniec.

Jest dobrze. Nadzwyczaj dobrze – pomyślał z zadowoleniem. Cisnął kamykiem o ścianę i tak siedział, ciesząc się w duchu jak dzieciak instalujący nową grę VR.

– Głupie skurwysyny! – krzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział. Nawet echo.

Odnalazł swój betonowy rysik i wyskrobał dalszą część napisu. Przecinek. I z mozołem, powoli: S... Łiik! Łiik! K... Łiik! Łiik! U... Łiik! Łiik! R... Łiik! Łiik! W... Łiik! Łiik! Y... Łiik! Łiik! S... Łiik! Łiik! Y... Łiik! Łiik! N... Łiik! Łiik! Y!

I TAK LUBIĘ CZERWONY, SKURWYSYNY!

Szaleństwo krążyło nad nim jak ptak. Spadło nagle, wyłaniając się z wąskiej szczeliny między mrokiem a światłem. Szum, łopot czarnych skrzydeł.

– I tak lubię czerwony, skurwysyny.

Ściany celi zafalowały, zadrgały jak wnętrze żołądka głodnego potwora. Połknięty przez nienasyconą bestię, wessany do lepkiej czeluści widział, jak zewsząd spływają soki trawienne, czuł na twarzy ciepłe bryzgi. A w głowie łopot skrzydeł. Ptaki cienia. I krzyk jak igła. Igła w głowę.

– Nienawidzę!

Chwilę szarpał się z więzienną, stylonową bluzą. Czerwoną. Zerwał ją i cisnął przed siebie z furią, z dławionym przez strach charkotem. Bluzę na pożarcie potworowi. Bluzę niech potwór strawi i wessie, może to da minutę więcej życia.

Upadł na podłogę. Potoczył błędnym wzrokiem: żołądek bestii falował. Soki ciekły. Bulgotały. Nie chciał tego – samo wpadło w rękę.

– I tak lubię czerwony!

Odłamek betonu, którym darł ścianę.

– Czerwony! Ja i tak lubię CZERWONY!!!

Ścisnął okruch i zatoczył się w kąt. Upadł. Łopot skrzydeł czarnych ptaszysk ze strefy

cienia narastał, niespodziewanie przeszedł w ryk burzy. Łoskot ołowianych chmur.

Wbił odłamek w policzek i pociągnął. Nie bolało. W drugi.

– Skurwysyny...! Ja... Lubię. Czerwony!!!

Burza w głowie i błyskawice przez pierś. Do krwi. Bez bólu. Zygzaki na ramionach, ku dłoniom. Bez bólu. Zerwał się i odbił od ściany. Potem przyłgnął do niej całym ciałem. Poczł pulsowanie wielkiego żołądka, ciepło soków trawiennych. Odpadł w tył, uderzając głową o podłogę.

Burza ucichła. Otuliła go mleczna biel.

I spadł w mrok.

\*\*\*

Z bezszelestnej czerni wyrwała go dopiero seria bolesnych wstrząsów. Rozwarł z wysiłkiem powieki. Obijające się po wysokich kamiennych schodach stopy wprawiały jego ciało w dudniącą wibrację. Zamrugał kilka razy i napiął mięśnie karku, by opanować bezwładne drgania głowy majtającej się niczym łepiek ciągniętego przez dziecko misia.

Białe mundury gliniarzy Korporacji Pao. Cholerne, znieawidzone białe mundury. Wynieśli go z celi i wlekli wzdłuż korytarza. I skośnooki oficer z dostojeństwem kroczący w ślad za nim. W jego twarzy dojrzał jakiś niesprecyzowany rys zdradzający domieszkę obcej krwi. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał – to nie rys, lecz błękitne oczy.

Nie widział go tu wcześniej – nowy. Pewnie nadgorliwy służbista, świeży produkt z korporacyjnej pralni mózgow – Akademii Policyjnej Pao. Albo przeniesiony karnie sadysta. Bez różnicy.

Sześć miesięcy tkwienia w tym pudle nauczyło go odróżniać ich twarze. Już nie jeden żółtek sklonowany dziesięć, dwadzieścia razy. Dziesięciu, dwudziestu żółtków; w rysach każdego z nich odnajdywał jakieś indywidualne cechy. Ale tylko na twarzy – wewnątrz wszyscy pozostawali tym jednym diabłem – dozorcą Czerwonego Piekła.

Czerwone Piekło – największe więzienie w Nowym Hongkongu. Naprawdę nazywało się Pai Tien: Białe Niebo. „Białe” – śnieg, jaki padał na południowo-zachodnim wybrzeżu Grenlandii niekiedy rzeczywiście miał coś wspólnego z tą barwą. A „Niebo”? Nazwa zrodzona w chorych umysłach Chińczyków, którzy zbudowali swoje nowe miasto w kraju Eskimosów.

Wciągnęli go na górę i długi czas wlekli po wychłodzonym korytarzu. Z mijanych cel dochodziły gniewne pomruki różnojęzycznych przekleństw. W rudych barwach zakrzepłej krwi, bezwładny niczym worek brudnych szmat w więziennej pralni wyglądał jak półżywa

ofiara lodowookich katów w białych mundurach. To sprawiło mu pewną przyjemność. Na dobrą sprawę mógł iść o własnych siłach, ale niepewne słowa protestu uwięzły mu w gardle, nim wybrzmiały. Zaskrzeczał tylko i sycił się kilkusekundową sławą. Wdzięczny za wściekle okrzyki zza krat.

– Skurwysyny...! Żółte mendi...! Oprawcy...! – A betonowy korytarz niósł te słowa echem. Ucichły ucięte stalowymi drzwiami przy końcu bloku.

Potem znów po schodach. Basowe wstrząsy. Wtedy zemdłał.

Niebieskooki nazywał się Jao Huei. Porucznik.

– Twoje akta nie są kompletne.

Mówił po arabsku prawie bez śladów chińskiego akcentu. Nad nim godło Korporacji. Dwugłowy żuraw – biały na granatowym tle.

– Bałagan – mruknął. – Niedopuszczalne.

Podniósł wzrok i wbił szklane spojrzenie w oczy więźnia. Znieruchomiał, wykrzywiając usta w grymas Zimnego Mordercy. Wreszcie prychnął:

– Imię i nazwisko.

Zak dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się, czy jest w ogóle sens grać po raz kolejny w tę samą grę. I tak nie przejdzie planszę dalej – tutaj zawsze przegrywał, zawsze w ten sam sposób. Na tym poziomie nagrodą nieodmiennie było „Game Over”.

Wreszcie jednak wystękał:

– Może są niekompletne, ale... to na pewno tam jest. Wystarczy zajrzeć.

Przy oknie, pod parasolem szerokich liści transgenicznej palmy siedział na kanapie z miękkiej skóry siedemdziesięcioletni na oko Chińczyk w jedwabnym garniturze o piaskowej barwie. Wentylator działał bez zarzutu, mimo to starzec poruszał wzorzystym wachlarzem z tekowego drewna, rozsiewając wokół intensywny zapach jaśminu. Obok czarne garnitury dwóch ochroniarzy, niemal identycznych klonów. Zaczesane do tyłu włosy lśniły od żelu. Niskie czoła, rozdęte klatki piersiowe.

– Imię i nazwisko – Huei powtórzył z mocą. Wyświetlacz komputera malował na jego twarzy zielonkawe refleksy. Marsjanin z dwudziestowiecznego filmu fantastycznego klasy C.

– Zak Gaber.

– Zak?

– Zakarias. Przez jedno k. Gaber przez jedno b.

– Gaaber... Gaber? Niemiec? Czy może Węgier?

– Nie.

– To znaczy kto? Narodowość!



– Europejczyk.

– Jaki znowu Europejczyk?! Dokładnie! Obywatelstwo!

– Nowa Południowa Nokia – wyrecytował Zak. Wiedział, co zaraz usłyszy. Zawsze udzielał tej samej odpowiedzi i zawsze wywoływał taką samą reakcję przesłuchującego go oficera. Bawiło go to: od czasu konfliktu kopenhaskiego Pao prowadziło z Nokią zimną wojnę.

– Nowa Południowa...? – Porucznik Huei aż sapnął z gniewu. Poczzerwieniał na twarzy. – Cesarstwo Chińskie nie uznaje legalności wojny dwudniowej. Nokia, zajmując tereny nazywane Nową Południową Nokią, dokonała pogwałcenia umów zawartych podczas szczytu w Sankt Petersburgu. Takie państwo nigdy nie istniało, nie istnieje i wedle wszelkiej wiedzy nigdy nie powstanie! Mówię ci po dobroci. Pan Sien – skinął z szacunkiem w stronę starca na kanapie – występujący z ramienia Zarządu naszej błogosławionej Niebiańskiej Korporacji Pao, jest cierpliwy. Ale nie przyszedł tu, byś z niego kpił. Jego jedna sekunda jest więcej warta niż ty, twoje życie i życie pięćdziesięciu takich degeneratów jak ty. Więc odpowiadaj krótko, mówiąc tylko prawdę. Gdzie się urodziłeś?

– Jest w aktach. Mówiłem już to wszystko. W Tallinie.

– Tallin? Czyli narodowość – Estończyk, obywatelstwo – Rosja.

Nokia ani lepsza, ani gorsza niż rosyjski car. W sumie nie miało to znaczenia. Estończyk, Rosjanin, Europejczyk czy obywatel Nokii. Mogli zapisać cokolwiek. Jego matka pochodziła z czeskiej Pragi, ojciec zaś z Wrocławia. On sam urodził się w Południowej Nokii i spędzał tam dzieciństwo do czasu, gdy kraje nadbałtyckie zajął na mocy jakichś podejrzanych rozliczeń ekonomicznych car Rosji. Wyemigrowali do rodziny w Wolnym Landzie Bayer, który po Dżihadzie wszedł w skład Turcji Północnej. Przez to Zak miał cztery obywatelstwa i nikłe pojęcie, kim właściwie jest.

– Wyrokiem Sądu Korporacyjnego Pao zostałeś skazany na karę śmierci za przestępstwo pierwszej kategorii przeciwko Niebiańskiej Korporacji Pao...

Zak słyszał to wiele razy i nie spodziewał się niczego nowego. Milcząc, zaczął wzrok o szarogranatowe wzgórza za oknem. Padał lepki śnieg rozświetlany cukierkowatymi błyskami hologramów. Poszatkwane w sekundowe ujęcia obrazy wdzierały się do wnętrza przez szeroko rozchylone wertykale.

– Właściwie mógłbyś leżeć już w dole wypełnionym wapnem z dziurą w potylicy. Wielką jak pięść.

Ale chcecie coś ode mnie – dokończył w myślach Zak. – Dopiero wtedy wykonacie wyrok, nadrabiając stracony czas. Nie dostaniecie.

– ...już jesteś trupem. Nie żyjesz.

Jak na trupa usłyszał za dużo słów. Zbyt wiele zachodu. Nadmiar uwagi. Im dłużej tego nie macie, tym od trupa dzieli mnie dłuższa droga – pomyślał.

Huei wstał z za komputera i podszedł do okna. Odwróciwszy się tyłem, zaplótł ramiona i na długi czas zamarł ze wzrokiem wbitym w śniegowe chmury wiszące nad Nowym Hongkongiem. Rozświetlane od dołu blaskiem reklam Pao mieniły się na przemian zielenią i czerwienią.

– Pan Sien chciałby coś zaproponować. Jeżeli zachowałeś w sobie choć okruszek rozsądku, posłuchasz jego słów i rozważysz je. Jeżeli jesteś mądry, nie odmówisz.

Cisza. Stary Chińczyk przestał się wachlować, zapach jaśminu jakby przygasł. Sklonowani ochroniarze nawet nie drgnęli.

Nagle Sien wstał z kanapy, porzucając wachlarz, i z zadziwiającą zwinnością podszedł do Zaka. Złapał go za włosy, szarpnął do tyłu. Zabolało. Znów jaśmin. Jego mowa zabrzmiała jak zgrzyt zardzewiałej huštawki.

– Pan Sien chce powiedzieć, że twój nikczemny postępek nie ma sobie równych – przetłumaczył Huei. – Dawniej, na wojnach, takich jak ty dywersantów rozstrzeliwano bez sądu, natychmiast, kula w potylicę...

Zak miał pewność, że tłumacz był tu zbędny. Członek Zarządu Pao nie mógł nie znać arabskiego.

– Twój zbrodniczy czyn i tak nie byłby w stanie przynieść ci korzyści. To, co ukradłeś Niebiańskiej Korporacji, ma wartość tylko dla niej samej i dla nikogo innego. Tobie mogło przynieść, i już przyniosło, same kłopoty. Niebiańska Korporacja Pao nie musi zaprzętać sobie uwagi twoją osobą. Jesteś dla niej małą pluskiewką zasługującą tylko na rozdeptanie. Jak powiedziałem, to, co ukradłeś, nie jest nic warte. Ale by zachować należyty porządek rzeczy, by przeciwdziałać chaosowi, który mógłby Korporację Pao narazić na utratę dobrego imienia i spadek zaufania partnerów oraz kontrahentów, Zarząd postanowił dać ci szansę, na którą w gruncie rzeczy nie zasługujesz. To jest łaska ze strony Korporacji Pao i powinieneś ten fakt docenić.

To już było! To już słyszałem! – Zak zacisnął mocno powieki i milczał. Skośnoocy w mundurach, skośnoocy w garniturach. Próbowali skopolaminy, hipnozy, elektrostymulacji neuronowej i średniowiecznych tortur, na których zbyt szybko mdlał. Zmieniały się metody, zmieniali się Oni. Słowa pozostawały te same. Mógłby sam je wypowiadać, wyręczając ich w trudzie. Ale milczał, czekając na dalszy ciąg Najnudniejszego Przedstawienia.

– Zarząd Niebiańskiej Korporacji Pao jest władny zmienić wyrok Sądu

Korporacyjnego i darować ci życie. To jest łaska, na której tylko ty zyskujesz. Wyrok skazujący cię na śmierć można anulować, zamieniając go na dożywocie. To wielkoduszny gest Pao. Na spotkanie Duchom Podziemia albo Droga Życia... Wybór należy do ciebie.

Sien przespacerował się po pokoju. Okrążył stolik i musnąwszy wzrokiem dwugłowego żurawia, położył dłoń na bezprzewodowym panelu sterującym komputera.

– Światem, a więc ludźmi, rządzą pewne prawa. Nieodwracalne. Daremny trud przeciw nim stawać. Próżny wysiłek. Poddać się tym prawom: oto jedyna droga. Niebiańska Korporacja Pao jest tym elementem świata, który się nie zmieni, któremu nie warto czynić na przekór. Już w tej chwili możesz wejść do sieci i doprowadzić nas do skradzionych danych. Tylko tyle, by ocalić życie. Niewiele. Adres serwera. Pójdź z wiatrem, zgodnie z prawami natury.

Wówczas, nie marnując ani sekundy, niezwłocznie wykonacie wyrok. Kulka w potylicę? Starym, sprawdzonym sposobem – dokończył w myśli Zak.

Sien zajął mu głęboko w oczy. Jego usta rozciągnęły się na kształt liścia wierzby.

Dobrotliwy uśmiech?

– Jeżeli nie chcesz sam, wystarczy podać adres i hasło. Nic więcej. Już my odzyskamy naszą zgubę. Wypowiedz tych kilka słów, a skierujesz swą drogę w stronę Życia, a nie Duchów Podziemi. Zważ dobrze moje słowa.

Stary Chińczyk skinął na jednego z mięśniaków. Ten podskoczył żwawo, przynosząc podłużny pakunek. Spod zwojów wzorzystej materii dobył zakrzywiony miecz o rękojeści z ciemnozielonego nefrytu, ze srebrną głowicą rzeźbioną na kształt smoczego łba.

Sien przejął miecz i ostrożnie, z czcią, wyciągnął go z pochwy. Klinga ustawiona pod światło zaśniła lekkim pomarańczem niczym odbłask płomieni.

– To miecz Czu Juan-czanga, cesarza i założyciela dynastii Ming. Pierwsza głowa oddzielona nim od ciała należała do mongolskiego chana ściętego w Nankinie w 1356 roku. Ostatnia do amerykańskiego biznesmena, który podobnie jak ty próbował być nieuczciwy wobec Korporacji Pao. Zaszczycem dla ciebie, na który w gruncie rzeczy nie zasłużyłeś, będzie, że twoją głowę odetnę jako następną. Tu, w tym pokoju. Gdy tylko twoje usta wypowiedzą „nie”. Gdy powiesz „tak” i oddasz to, co ukradłeś, śmiertelna kara ominie cię. Dana ci będzie łaska życia.

Takie rzeczy słyszał już wiele razy, ale tym razem gdzieś kielkowało w nim niejasne przeczucie, że w słowach Siena nie ma miejsca na blef. Stary z Zarządu nie fatygowałby się do Pai Tien tylko po to, by postraszyć jakiegoś małego, nic nieznaczącego hakera. Zak z zasady odpowiadał „nie”, bo było to gwarantem jego dalszej egzystencji, chociażby i w

czervenym karczerze. Wbrew temu, co próbowali mu wmówić, „nie” oznaczało Drogę Życia – bo wciąż liczyli na to, że jeszcze się złamie. Że wyrzuci to z siebie.

Powiedzieć im i wreszcie mieć spokój? Rzeczywiście, to, co im wykradł, nie miało dla niego wartości. Tylko dla Pao. Transakcja handlowa – dane w zamian za, powiedzmy, jakieś pięćset tysięcy juanów... Tyle że to oni mieli tę decydującą kartę. Kartę Życia i Śmierci. Więc podać adres i mieć spokój. Czy z Białego Nieba można uciec?

Rzucił długie spojrzenie za okno. Odległe wzgórza okalające Nowy Hongkong ożywiały zdławioną już tęsknotę za otwartymi przestrzeniami. Oblodzone szczyty Grenlandii, choć surowe i niegościnnie, przypominały o tym, że jest jeszcze świat poza Pai Tien. Poza tym piekielnym więzieniem. Musnął spojrzeniem pustą twarz Hueia i przeniósł wzrok na Siena. Stary ścisnął miecz w oczekiwaniu, palce na rękojeści nabiegły krwią.

Zak opuścił powieki i czekając na cios, wykrztusił:

– Nie...

@@2

Rzekł mistrz Dżalal ad-Din Rumi:

– Z Konyi do Niszapur, dokąd ciągnę na spotkanie z czcigodnym Faridu l’Dinem, przez Dimaszki asz-Szam nie po drodze. Ale burza piaskowa mnie tu zagnała; z karawaną kupców z Antalyi związałem dalszy swój los i drogę. Widać taka wola Allaha. Na coś tu jednak jestem potrzebny. Chodźmy więc, drogi Muhammadzie Ibn al-Charidzie. Pójdzie z nami Mehmet, mój towarzysz podróży. Czuję, że będzie nam potrzebny.

Mehmet, derwisz z bractwa, odziany w długą, białą abaję skłonił się bez słowa i poczekał, aż mistrz z Łowcą przejdą przodem.

Drewniane schodki zatrzeszczały złowieszczo, opleciona pnączami pergola z okorowanych gałęzi cedru zaszeptęła z niepokojem, porastające blanki i balkoniki krzewy i karłowate drzewka powtórzyły cicho słowa, niosąc je skrycie wzdłuż muru. Łowca Demonów odruchowo przesunął paciorki jaspisowego różańca.

Weszli do medyny. Słońce, cały dzień bezlitośnie rozgrzewające powietrze i mury, teraz jakby w zmęczeniu spływało z bładniebieskiego nieba za górę Cassion. Jednak gwar na uliczkach nie malał. Skądś dochodziło jękliwie zawodzenie rebabu, stukot kołatek, brzęczenie dzwoneczków.

Mistrz pewnym krokiem poprowadził ich w stronę meczetu Omajjadów. Weszli na zalany światłem dziedziniec.

– Pusto... – wyszeptał ze zdziwieniem al-Charid. – Zazwyczaj o tej porze...

Dżalal ad-Din stwierdził:

– Tym lepiej dla nas. Zbyt ni harmider zagłuszy dźwięk fletu, a kto wie, czy nasz rozmówca zechce się wówczas pojawić.

Minęli dwa kamienne słupy zwieńczone ażurowymi kandelabrami i zzuwszy buty (Łowca Demonów zostawił tutaj także swoją laskę z czerwonego hebanu), weszli do środka. Potężne trzynawowe wnętrza na ogół pełne modlących się, przechadzających czy nawet śpiących damasceńczyków milczało wręcz nienaturalnie.

Stąpając po miękkich dywanach, przecięli główną nawę. Minęli rzędy kolumn, wreszcie mistrz Mualana przystanął.

Pokryta ornamentami kapliczka. Złożony relikwiarz krył głowę proroka Jahji, przez chrześcijan zwanego Janem Chrzcicielem. Ściętą z rozkazu Heroda Antypasa jako nagroda dla królewskiej pasierbicy Salome za jej taniec.

Dżalal ad-Din Rumi zdjął swój czarny burnus i złożył go na pół, a potem jeszcze raz na pół i jeszcze. Obok tego zgrabnego pakunku umieścił czarną, spiczastą czapkę sufich. Usiadł po turecku.

Łowca Demonów obok niego.

Derwisz Mehmet z tyłu, za swym mistrzem.

Wsluchiwali się w ciszę.

Mistrz Mualana przemówił:

– Jakże myli się lud księgi! Doprowadził swą wiarę do przesady, nie mówiąc prawdy o Bogu. Isa, którego on nazwał Jezusem, to syn Marjam, nie Boga. Jego słowo dane Marjam i Jego duch, nie Syn Boży. Lud księgi mówi: „Trójca”. Dość! Allah jest przecież jedynym Bogiem i skąd miałby mieć syna, inne bóstwo? Jahja przyszedł jako prorok, po nim przyszedł prorok Isa, po którym przyszedł prorok Muhammad. Doprawdy mylą się chrześcijanie, nie słuchając słów wysłanników Bożych. Nie są wierzącymi ci, którzy powiadają, że syn Marjam jest bogiem, i ci, co powiadają, że Bóg to Trójca.

Mualana pokiwał głową, przytakując sam sobie.

– Bóg jedyny nakazał odmawiać pięć modlitw dziennie i to wystarczy. Nie warto więc w zbyt błahych sprawach wznosić ducha ku najwyższemu niebu do stóp Jego Tronu. – Nagle podniósł głos o ton: – Jahja! Jahja jest tym, który pomoże nam w twojej sprawie!

Ponownie zapadła cisza. Mistrz zagłębiany w myślach skubał koniec brody. Muhammad Ibn al-Charid nawet nie próbował zgadnąć, gdzie wędrowała teraz dusza Mualany. Ten po dłuższej chwili letargu zerwał się i postąpiwszy krok w przód, ku

relikwiarzowi, wyrecytował:

*Watę zła z duszy swojej usuń,  
Ażeby głos z niebios mógł dojść twego ucha,  
Ażebyś mógł zrozumieć stawiane przez Boga zagadki,  
Ażebyś mógł przeniknąć jego tajemnice.  
Tak to w uchu duszy umiejscawia się natchnienie.  
Pochwycić je można tylko uchem i okiem duszy,  
Lecz nie dosięże go ani ucho umysłu, ani oko rozumu.*

– Rozum potrafi zwodzić nie gorzej niż sam Iblis – zgodził się Muhammad Ibn al-Charid. – Z niego idzie największe zło, gdy zamkniemy duszę na Boga, próbując objąć świat rozumem. Rozum płacze ścieżki cnoty.

– By osiągnąć doskonałość ducha, by roztopić się w Bogu, należy zaprzeć się samego siebie. Rozum w tym przeszkadza – zakończył mistrz Mualana. Zamknął oczy, wyciągając w bok ramiona. Stał tak w milczeniu.

Po chwili przypomniał:

– Siedem jest sfer niebieskich i każda ma swoją samę. Sama to nie tylko taniec w rytmie sfer, sama to słuchanie, sama to rozkosz słuchania muzyki niebios, poddanie się jej rytmowi jak basowym bębnom krytym skórą kóz z gór Taurus.

Nałożył na głowę swą spiczastą czapę i przywdział rytualny czarny płaszcz. Rzekł:

– Najlepszą drogą do osiągnięcia samy jest oddanie swego ducha muzyce odgrywanej przez sufich na instrumentach muśniętych oddechem Allaha. To w połączeniu z tańcem potrafi wynieść pod sam podnózek Tronu Allaha. My dziś nie chcemy wznosić się tak wysoko. Wystarczy dźwięk trzciniowego fletu naj. Niech muzyka sfer rozbrzmiewa w naszych duszach! By osiągnąć ekstazę.

Milczący derwisz Mehmet wyciągnął zza pazuchy fujarkę i zaczął grać cichą melodię.

*Posłuchaj, co fujarka śpiewa, posłuchaj!  
Jak rozpacza z rozłąki i jak lka, posłuchaj!  
Od sitowia odcięta trzciniowa fujarka,  
Kiedy śpiewam, mąż płacze, lzy leje niewiasta.  
Z sitowiem rozłączona w strzępy piersi stargam,  
Ból tęsknoty wyśpiewam, w gorzkich wyłkam skargach.*

*Kto od gleby ojczystej przebywa z daleka,  
Ten złączenia z ojczystą ziemią, jak ja, czeka.  
Pośród obcych, odcięta od sitowia płaczę,  
Płaczę z nieszczęśliwymi, ze szczęśliwymi – płaczę.*

Derwisz Dżalal ad-Din Rumi, mistrz Mualana, zgiąwszy lekko plecy, zawirował wokół własnej osi i powoli, powoli rozpoczął swój Taniec Drugiego Nieba.

\*\*\*

– Nie...

Sien ze świstem wciągnął powietrze do płuc, zamachnął się i ciął. Uśmiechnięty patrzył, jak głównia ostrzejsza od żyłki przecina kark skazańca tak cicho i lekko, jakby nieznaną litości miecz nie był mieczem, lecz gołębicim piórem smagającym powierzchnię wody.

Zak nie poczuł ciosu. Nie poczuł nic – ani ciosu siedemsetletniej broni, ani muśnięcia gołębiego pióra.

– Hologram... – Otworzył usta do śmiechu. – Ho...

Dopiero wtedy, pod wpływem nagłego drgnięcia mięśni odcięta głowa odskoczyła od tułowia. Z głuchym łoskotem opadła na wiśniowy dywan zaścielający biurko i potoczyła się pod nogi Siena.

Członek Zarządu Korporacji Pao wybuchnął śmiechem przypominającym tarcie styropianem o szkło. Zgrabnie podbił głowę końcem buta niczym futbolową piłkę, zażonglował kilka razy, po czym jednym celnym kopnięciem skierował ją w przeciwległy kąt pokoju. Wirując, przeleciała kilka metrów i wylądowała w koszu na papiery.

– Gooool! – zachichotał Sien. – W sam środek! Niezły ze mnie piłkarz, co, Huei?

Porucznik gorliwie przytaknął.

– Najlepszy, jakiego świat widział! Mistrz boiska!

Pozwolił sobie na niewyraźny grymas, który przy szczerych chęciach można było określić jako uśmiech. Stary nagle posmutniał.

– Tylko co zrobimy z resztą ciała?

– Myślę... – zaczął nieśmiało Huei. – Myślę, że jakby przeleżało tydzień w zalewie z sosu sojowego i dashi z odrobiną cukru, powinno nabrać właściwej kruchości i przedniego aromatu...

– Genialne! Huei, pan zasłużył na awans. Kucharza!

– Nieee! – krzyknął Zak, zrywając się na równe nogi. – Ja przecież wciąż żyję!

Potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Czerwone ściany. Karcer. Resztki sennego koszmaru uleciały jak stado spłoszonych gawronów. Wszeptał:

– Ja żyję... Żyję.

Zwinął się na podłodze w kłębek i zasnął.

\*\*\*

Ze ścieku wyszedł karaluch, pokiwał czulkami i powiedział:

– Szeźniesz tu, nie zaznając nic radości, powoli zgnijesz, nie odróżniając już życia i śmierci. Twoje rozkładające się ciało podziurawią larwy, stygnącą krew spiją muchy. Szeźniesz, nic po tobie nie zostanie, nic, nic, nic. My przetrwamy.

Potem zniknął w pęknięciu ściany, pod PCW.

Dla karaluchów nie ma krat, stalowych drzwi, grubych murów. Oczywiście można takiego zamknąć w słoiku. Ale komu właściwie potrzebny uwięziony karaluch?

Czy to wydaje się nieprawdopodobne, że można zawędrować na skraj szaleństwa, przepaści bez dna, tkwiąc w karcerze o czerwonych ścianach i z sześcioma dwustuwatówkami nad głową dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Łeppek karalucha znów wyrzął.

CZERWONA JEDNA ŚCIANA. CZERWONA DRUGA. CZERWONA PODŁOGA. CZERWONE DRZWI. CZERWONY SUFIT I KŁUJĄCE ŚWIATŁO. ŚWIATŁO BIAŁE, ALE RAŻĄCE CZERWONYM ODBLASKIEM. ŚWIATŁO BIAŁE, ŻEBY LEPIEJ UWIDACZNYAŁO CZERWONE.

CZERWONE.

CZERWONE.

Karaluch przemaszerował przez środek celi. Skupił się na okruchach w kącie.

CZERWONA JEDNA ŚCIANA. CZERWONE DWIE ŚCIANY, CZERWONE TRZY ŚCIANY, CZERWONE CZTERY ŚCIANY.

CZERWONE.

CZERWONE.

Karaluch pomaszzerował dalej i zajrzał w szparę pod drzwiami.

CZERWONE.

CZERWONE.

Karaluch...

– Kurwa! Jak ja nienawidzę tego koloru!



\*\*\*

– Ej, ty! Gaber! Wstawaj!

Okrągła twarz strażnika w wizjerze. Skośne oczka chichotały. Zabzyczał elektroniczny zamek, drzwi z buczeniem uchylły się w bok.

– Wstawaj! Idziemy!

Biały mundur. Na korytarzu drugi. Zwykli klawisze, bez oficera. Pierwszy raz. Jeden z przodu, drugi z tyłu. Bez oficera? Szli. On nieporadnie powłóczył nogami. Znajomymi schodami w górę, następny korytarz, zawsze pełen gniewnych przekleństw i złorzeczeń.

– Co jest? – zapytał tego z tyłu. – Znów przesłuchanie?

– Nie gadać!

Krata. I następna. Rozsuwały się z cichym zgrzytem; poprowadzili go do części więzienia, w której nigdy nie był.

– Masz dziesięć minut, Gaber.

Sala widzeń.

@@3

Otóż nie od zawsze damasceński Kurd, Muhammad Ibn al-Charid, służył jako Łowca Demonów – do czterdziestego roku życia wyplatał kosze. W tamtych latach jego ciasny warsztat w sercu położonej na zboczu Cassionu dzielnicy El-Akrad był nimi wypełniony po sufit. Oddzielnie te z mniej wytrzymałej trzciny znad brzegów Barady, oddzielnie te droższe z wikliny zbieranej nad Nilem. Wszystkie kształty i rozmiary, z pokrywami i bez, barwione i bielone... Każdego poniedziałku al-Charid zbierał najlepszy towar, pakował na grzbiet czarnego muła i schodził w dół przez Char-kasije i Es-Salhije do medyny na suk al-Hamidija. Daleko, ale choć dzielnica El-Akrad też miała własny bazar, to również i zbyt wielu wikliniarzy.

Działo się to pierwszego poniedziałku miesiąca Rabi al-Awwal. Sprzedawszy wszystkie sto zabranych koszy, wstąpił do kawiarni wciśniętej między pachnący świeżymi strużynami drzewa sandałowego warsztat stolarski a kram z korzeniami drażniący powonienie ostrym aromatem pieprzu i cynamonu. Popijając kawę, rozmyślał z rozgoryczeniem o błahości swego dotychczasowego żywota. Nie potrafił sprecyzować przyczyny tego niepokoju – smutek kłuł go w serce i mącił w głowie.

Nabite wonnym, egipskim tytoniem nargile prychały sinymi obłokami kotłującymi się nad głową al-Charida. Nagle dym zgęstniał, przybierając kształt ducha o czterech skrzydłach

z czterech różnych klejnotów. Ciało jego było białe niczym kreda, włosy czarne i czarna broda, sztywna i lśniąca niczym nasmarowana wonną pomadą, długa i rozwidlona. Oczy lśniły blaskiem diamentów tak jasno, że Muhammad Ibn al-Charid aż spuścił wzrok przeszyty igielką bólu, jakby spojrział prosto w tarczę słońca.

Szatan! Iblis w swej własnej osobie lub jedno z jego licznych dzieciąt! Przeraził się Muhammad, pamiętał bowiem, że dym zrodził diabły, nie zaś anioły. Te powstały w blasku ognia.

– Nie lękaj się, nie jestem tym, o kim myślisz – przemówił dźwięcznym głosem duch, przybierając postać zgarbionego staruszka o siwych włosach. – Jam jest anioł Dżibril, posłaniec Boga. Czyż będąc podstępny Iblisem, przychodziłbym z dymu, zdradzając swą prawdziwą naturę?

Sparaliżowany strachem al-Charid poruszył kilka razy ustami, bezgłośnie niczym ryba na straganie przekupnia z nadrzecznego suku. Spojrzął na wysłannika Najwyższego. Jego dobrotliwy uśmiech staruszka uspokoił skołatane nerwy wyplatacza koszy, choć serce wciąż łomotało. Przybysz taktownie odczekał, aż oddech Muhammada uspokoi się, po czym rzekł: – Przybywam z rozkazem Bożym. Słuchaj!

## OPOWIEŚĆ ANIOŁA DŻIBRILA

Ziemia, na której żyją ludzie, nosi imię Ard i podtrzymuje ją zielony kamień spoczywający na ramionach anioła. Zaś stopy anioła oparte są o grzbiet ogromnej ryby.

Pod ziemią Ard znajduje się siedem ziem zbudowanych z ognia: pierwsza z nich to Ramaka, pod którą na tysiącach żelaznych łańcuchów, z których każdy dźwieszony jest przez tysiąc aniołów, Allah kazał trzymać okrutny, srogi i bezlitosny wiatr. Wiatr ten zniszczy potępionych na sądzie ostatecznym. Niżej następują: Chalda, Araka, Charba, Malsa, Sidżdżin i Adżiba, gdzie stoi tron Szatana. Tam, nad otchłanią piekieł jest jego siedziba.

Tak wyglądały ziemie przez tysiące lat, niezmiennie, a ponad nimi siedem niebios i Tron Allaha. I przyszedł dzień, gdy Pan spojrzął z wyżyn w dół i wzrok jego padł na ziemię Ramakę. Zechciał Bóg i uczynił ziemię Ramakę na podobieństwo ziemi Ard. Jednym dmuchnięciem wznosił takie same łądy, takie same góry, rzeki, a między nimi miasta. Dimasz asz-Szam także. Miasta były pełne ludzi, takich jak na Ard.

Potem kazał Pan czasowi przyspieszyć bieg o lat osiemset trzydzieści i tak się stało.

Zobaczył Bóg, że po tylu latach ludzkość rozrosła się wiele razy po tysiąckroć, po tysiąckroć przybyło krain i miast. Ludzie kłócili się i toczyli wojny tak straszne jak nigdy

dotąd. Najpierw chciał Pan ziemię Ramakę zmienić w pustynię bezludną i zimną, ale spostrzegł też, że jest tam setki razy po tysiackroć więcej meczetów, a ludzie wielbią Jego imię. To spodobało się Panu.

Widząc to, Iblis przestraszył się, że zechce Allah uczynić podobnie ze wszystkimi ziemiami w dół, aż do jego tronu nad piekłem, na każdej przyspieszy czas o dalsze osiemset lat i przybędzie tysiąc razy po tysiackroć meczetów. Ulepił więc z czarnego ognia wielki dzban i wpuścił do środka wszystkich synów Dżanna i wszystkie córki Dżinna i potomstwo Balalisa, Kutruha, Faktasa i Faktasy. Setki razy po siedemset tysięcy demonów i dzinnów. Potem Szatan uniósł dzban i rozbił go o ziemię Ramakę.

Najpierw demony wypiły z ziemi Czarną Wodę dającą ludziom chleb i mleko, potem każdy z nich usiadł na głowie jednego człowieka, by go mamić i kierować do zguby. Posłał więc Allah setki razy po siedemset tysięcy aniołów, by dały ludziom moc do zniszczenia demonów. I tak się stało – demony pierzchyły z powrotem do piekieł. Tylko niedobitki kryją się pod skałami, w szczelinach murów i studniach. Inne, chytrzejsze, zdradziwszy ludziom boską tajemnicę dwóch ziem, wskazały im bramę do Ard i same zaczęły na nią uciekać. To stąd całe pomieszanie i nieporządek. Gdy świat zdaje się przychodzić do szaleństwa, gdy studnie wysychają albo wypełniają się nieczystościami, gdy drzewa tracą latem liście, nie wydając nigdy owoców, gdy spadają gwiazdy, gdy szklane czy gliniane naczynia pękają – rzekłbyś – same, bez niczyjej pomocy, gdy słońce w południe zachodzi cieniem, gdy w chlebie znajdujesz kamienie, gdy daktyle gniją na drzewie, zanim dojrzeją, gdy starcom płaczą się brody, gdy owce zaczynają wołać głosami wielbłądów, a wielbłądy głosami lwów, a lwy głosami jagniąt, gdy wierni zaczynają się modlić tyłem do Mekki, gdy miecze i lemieszki miękną w słońcu niczym wosk, a wosk opalany nad ogniem twardnieje niczym diament – wtedy znak, że to ostatnie demony, potomstwo Iblisa z rozbitego dzbanu sieje zamęt i szkodę czyni, złorzecząc Panu naszemu i rodzajowi ludzkiemu.

Tu anioł Dżibril przerwał swoją opowieść. Wyrwał z głowy włos i okręcił kilkakrotnie dookoła palca. Wręczył Muhammadowi Ibn al-Charidowi. Ten obracał go w palcach zdumiony, że włos anioła zmienił się w pierścień wykonany z przezroczystego metalu, jakiego nigdy nie widział.

– Jego imię to Brama do Piekieł. Przeciągnięty przezeń demon na sto lat utknie pośród dusz grzeszników, nie mogąc stamtąd uciec. Ale otwartym przez demony przejściem do ziemi Ard przedostają się też ludzie. Zdarza się bowiem, że któremuś z nich uda się dostrzec, jak przez uchylone drzwi, odrobinę światła przeznaczonego jedynie dla ziemi Ramaki. Ludzi nie

krzywdź! Choć błędzą, sami wracają, skąd przyszli. Nauczysz się ich odróżniać od złych duchów. Ludzie z ziemi Ramaki, przechodząc przez bramę, nie przybywają z Iblisem w myślach. Przywodzi ich tu błędne przekonanie, że na Ard będą bliżej Allaha. W rzeczy samej stąd bliżej im do Tronu Najwyższego. Nad ziemią Ard rozpościera się siedem nieboskłonów, a w najwyższym z nich jest Pan nasz. Ale prawdziwa wiara nie wymaga fizycznej obecności. To nawet pewna sprzeczność – wiara tym większa i głębsza, gdy dalej do nieba. Im bliżej Tronu, tym mniej wiary, a więcej doświadczenia. Nie potrzebujesz wiary, gdy widzisz podnózek Tronu i kapiesz się w jego blasku. Wiara to iść przez mroki nocy i w sercu mieć światło Boże. Ci ludzie, ci wędrowcy zbłąkani chcą dobrze, pożądając bliskości Pana, ale czynią źle. Bo Allaha winni szukać przede wszystkim w sercu, a nie na szczytach gór czy na obcej ziemi, która nie jest im przeznaczona. Boga znaleźć można tylko w sercu. Błędzą, ale niech mają sposobność sami dojść do tej prawdy. Więc ich omijaj, najwyżej, gdy będzie trzeba, życzliwie wskaż powrotną drogę.

– Gdzie jest ta brama, którą wchodzi ludzie i demony? – Muhammad Ibn al-Char id odważył się przerwać mowę anioła Dżibrila zdziwiony swą śmiałością.

– To jest miejsce, którego nie możesz wskazać na mapie. To jest miejsce, które możesz wskazać tylko w sercu. W sercu człowieka, bo demona możesz odesłać tylko przez ten pierścień. Nie spocznij, dopóki ostatni z demonów nie spadnie do piekieł. Walcz z nimi, szukaj ich wszędzie, gdzie ci przyjdzie na myśl, a także tam, gdzie byś ich nigdy nie szukał. Tak długo, aż ostatni z nich powróci na swe miejsce pokonany, upokorzony, pozbawiony swej mocy. Nie pozwól im uciec! Nie masz płoszyć demonów, bo wtedy po dwakroć, pięciokroć, siedmiokroć lepiej się ukryją, uzbroją, po tylekroć czyniąc więcej szkód. Walcz z nimi i odsyłaj je do piekieł. Tak długo, aż zniknie ostatni z nich z ziemi Ard. Albo wezwie cię Allah. Oto twe nowe powołanie. Oto twe nowe życie.

To powiedziawszy, anioł Dżibril rozpląnął się w aromatycznym dymie egipskiego tytoniu. Muhammad Ibn al-Charid długo jeszcze siedział wpatrzony w rozmywającą się, siną tytoniową mgłę. Brama do Piekieł, spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila, uciskał mu środkowy palec lewej dłoni i wlewał promieniujący żar do serca.

\*\*\*

Nie znał tej kobiety.

– Witaj, Zak. Może usiądziesz?

Klitka dwa na dwa. Czy wszystko w tym więzieniu jest skrojone na miarę tych skośnookich malców? Pośrodku pancerna szyba, komunikator. I krzesło.

Za szybą ona. Na swojej części dwóch na dwa. Blondynka koło trzydziestki, szare oczy. Fryzura i strój bez żadnych ekstrawagancji. Proste włosy do ramion i czarny kostium, dosyć klasyczny, ale podkreślający jej wdzięki. Ładna, tyle że dla Zaka było w niej zbyt wiele chłodu. To fakt – dawno nie widział kobiety, i to tak pięknej kobiety, jednak w tej było zbyt wiele z porcelanowej lalki, zimnej w dotyku, niewzruszonej.

Przygodna znajoma odmieniona po latach? Intensywnie myślał. Nie... Stanowczo nigdy wcześniej jej nie spotkał.

Usiadł.

– My się znamy?

– Nie – przyznała szczerze. – Chociaż ja o tobie trochę już wiem.

– Co, na przykład?

– Hmm... Całkiem sporo.

Wystudowanym ruchem sięgnęła do torebki i wydobyla z niej paczkę smukłych depassierów. Wyłuskała jednego. Chwilę bawiła się, obracając papierosa wypielęgowanymi palcami. Miniaturowe wyświetlacze wkomponowane w paznokcie błyskały jedną z modnych animacji digitalmanicure.

Błękitny dymek zakręcił się leniwie wokół jej twarzy.

– Może najpierw się przedstawię – zaproponowała po chwili. – Lepiej będzie nam się rozmawiało, gdy ty też się czegoś o mnie dowiesz. – Miły głos nie pasował do lodowego wzroku. Za ciepły. – Nazywam się Claudia Ronson. Jestem żoną jednego z członków Zarządu Korporacji Pao.

– Tego starego? Tego, co był tu ostatnio? Siena.

Spojrzała na niego jak na kanapowego pudelka, który właśnie nasikał na środku salonu.

– Niech na razie pozostanie dla ciebie anonimowy. To nie ma żadnego znaczenia.

Żona członka Zarządu. To by wyjaśniało względy, którymi został obdarzony. Wizyty? Nawet nie wiedział, że mają tu pokoje widzeń.

– No dobra. Więc...

Zawiesił głos. Czekał.

– Jesteś hakerem, prawda?

Więc o to chodzi?

– Już nie. Teraz, dorobiwszy się fortuny na włamaniach, spędzam resztę życia, pławiąc się w dostatkach w ekskluzywnym pensjonacie „Białe Niebo” na koszt Korporacji Pao. Chipów się nie dotykam.

– Mmm, tak... – wydusiła z rezygnacją. Na chwilę zapadła cisza. Claudia Ronson zbierała myśli, delikatnie wydmuchując siny dym *depassierów*. Po chwili ruszyła do drugiego natarcia: – Zak, proszę cię. Rozumiem, wydaje ci się, że nie masz żadnego interesu w tym, aby ze mną rozmawiać. Ale zauważ, że nie masz nic do stracenia. Oni dali nam tylko dziesięć minut. Możesz mnie przez ten czas chyba wysłuchać? I podejść do sprawy poważnie?

– Wydaje mi się, że nie mam w tym żadnego interesu. Więc przychodzi elegancka lady do więzienia, do przeklętego pudła przeklętej chińskiej megakorporacji i wyciąga z karceru zakaraluzzonego skazańca. I po co? Elegancka lady zaraz powie, że chce z nim robić interesy.

Claudia Ronson ciągnęła niewzruszona:

– Okej. Zacznijmy od początku. Jesteś hakerem...

– Byłem. Już nie jestem. Teraz awansowałem z hakera na lokatora czerwonego karceru.

– Oczywiście. Więc byłeś hakerem i włamałeś się do danych Korporacji Pao. Wykradłeś je i ukryłeś gdzieś w sieci, na sobie tylko znanym serwerze.

Czyli jednak żadnego zaskoczenia. W tym pudle nigdy nic nie mogło go zdziwić. Wszystko było przewidywalne do bólu.

– Jeżeli to kolejny sposób Korporacji, bym zatwierdził na siebie wyrok śmierci, czyli podał adres i udostępnił dane, to nie przyniesie on efektu. Rozmowę uważam za zakończoną.

– Zak podniósł się, odsuwając krzesło.

– Nie! Nie mam nic wspólnego z Pao. To znaczy mam, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Problemy Korporacji z jej zgubionymi dokumentacjami nie interesują mnie w najmniejszym stopniu. Nie chcę od ciebie żadnych adresów. Posłuchaj mnie!

Zak usiadł. Z oporami.

– Niezbyt orientuję się w tych sprawach, ale przebiłeś się przez firewalle i fakesystemy Pao...

– To był przypadek. Testowałem pakiet wojennych trojanów, jeden z tych irańskich, podzihadowych. To wciągnęło mnie jak gra, a nie powinienem tego ruszać.

– Ale jednak zdobyłeś te dane. Udało ci się. A teraz tu siedzisz i masz dwie możliwości: oddać dane, co oznacza natychmiastowe wykonanie wyroku, lub nie oddać, tkwić w celi śmierci i tam powoli umierać.

– Wolę jednak to drugie. Z tym że z mojego punktu widzenia jest to dłuższe życie, a nie dłuższe umieranie.

– Chciałabym ci zaproponować trzecią możliwość. Najdogodniejszą, jak sądzę.

Zaskoczenie? Nie, jeszcze nie. W tym miejscu, w Pai Tien, nie została zdefiniowana odpowiednia czasoprzestrzeń dla takich uczuć. Obojętnym tonem mruknął:

– Cały zamieniam się w słuch.

Na chwilę zawahała się.

– Chciałabym... Chciałabym, żebyś coś dla mnie znalazł.

– Nie. To nie przejdzie. Już nie jestem hakerem. Pół roku tutaj odizolowało mnie od sieci, a to jest cała epoka. Nowe systemy, nowe programy, sprzęt... Wypadłem z tego.

– Miałbyś wówczas trzecią możliwość. Znaleźć coś dla mnie i odzyskać dla siebie wolność.

Nie próbował udawać, że go to nie poruszyło. Jednak propozycja brzmiała zbyt nieprawdopodobnie. Wygiął z niechęcią wargi i spojrzał w sufit.

Claudia Ronson zbliżyła twarz do szyby.

– Posłuchaj mnie uważnie, Zak, i nie przerywaj. To, że wypadłeś z obiegu, nie ma znaczenia. Możesz wejść tam z powrotem. To ci się powinno o płacić. Mój mąż... Mój mąż jest osobą wysoko postawioną w Korporacji Pao. Jest jednym z członków Zarządu. Nieczęsto proszę go o przysługi, więc to jest gotów dla mnie zrobić. Zresztą... Jak on mógłby odmówić...? Nie potrafi się oprzeć. Ja chciałabym cię wynająć i jeżeli wykonasz swoją robotę dobrze... Gwarantuję ci, że nie jest to nic ryzykownego. Raczej czasochłonnego... Więc jeśli ją wykonasz, mam możliwość wpłynięcia na Zarząd tak, byś wyszedł z więzienia. Odzyskał wolność. Oczywiście musiałbyś oddać skradzione dane, ale wyrok Sądu Korporacyjnego zostałby anulowany. Daliby ci pół roku za, na przykład, nieumyślne spowodowanie szkody w systemie komputerowym. A to już odsiedziałeś. Za miesiąc będziesz wolny, jak dobrze pójdzie.

– Czyli jednak chodzi o te dane...

– Nie. Korporacja nie może anulować wyroku, jeżeli będziesz trzymał ich w szachu.

– To jest raczej pat.

– Przecież tak naprawdę te dane do niczego ci nie są potrzebne...

– Nie... Gdyby były, wykorzystałbym je od razu. A tak wykonałem bezsensowny ruch. Zacząłem się zastanawiać, na którą półkę wstawić tykającą bombę.

– Dla mnie w każdym razie one nie mają znaczenia. Interesuje mnie coś innego.

– Jakie mam gwarancje? Odnajdę to coś, podam Korporacji adres, a i tak Sien zetnie mi głowę swoim siedemsetletnim mieczem.

– No cóż... Żadnych. Musisz mi po prostu zaufać. Ale nie masz nic do stracenia.

Skrzywił się. Co za idiotyczna filmowa gadka! Piękna kobieta znikąd: „Musisz mi

zaufać”. Co za banał! Ale to prawda.

– Nie oczekujesz chyba ode mnie gwarancji na czerpanym papierze z cesarską pieczęcią. Jeżeli nie sprzedałeś pięćdziesięciu kopii tych danych terrorystom, mediom i konkurencji, masz szansę, że Korporacja okaże ci łaskę i pozwoli wyjść z tego, zachowując życie.

– Gdybym sprzedał, to, uwzględniając okoliczności, już bym nie żył. Gdybym sprzedał, zwłaszcza jakimś brukowym mediom, sprawa już dawno by wypłynęła, Korporacja by o tym wiedziała i, nie ma co się łudzić, zmieliłaby mnie na karmę dla kurczaków. Nawet jakby nie wypłynęła, a ja bym to sprzedał, i tak by o tym wiedzieli. Pliki danych zapisane były w XNFS.

Oczy Claudii zdawały się mówić: „Odpywam teraz daleko, daleko... albo jeszcze dalej”.

Zak ciągnął niezrażony tą nieskrywaną oznaką znudzenia.

– Extended Net File System. Wszystkie operacje o pliku źródłowym zapisywane są zarówno w nim samym, jak i w kopiach. Sporządzenie każdej dodatkowej kopii raportowane jest w pliku źródłowym. Kolejnej kopii z kopii tak samo. Taka piramida: nie można zakończyć procedury kopiowania pliku, dopóki kopia nie prześle raportu do pliku wyższej instancji. Właśnie dlatego mnie dopadli.

Claudia Ronson odgarnęła z czoła niesforny kosmyk i wysłała mu zdawkowy uśmiech. Tak przynajmniej zrozumiał ten grymas wygiętych do góry kącików ust.

– Pao nie chodzi o dane. Są bezwartościowe. Nawet gdybyś je ujawnił, Korporacja będzie potrafiła przekonująco udowodnić, że są fałszywe. Rzecz w zasadach. Oni ci nie popuszczą, bo włamałeś się do ich najlepiej zabezpieczonego systemu, ukradłeś coś i do tego jeszcze stawiasz opór. To jest dla Korporacji największa zadra. Urażona duma! Tylko o to chodzi. Dane to śmieci.

– Ale mogłoby się zdarzyć, że notowania Pao spadłyby na światowych giełdach o... dwa promile na przykład.

– By na drugi dzień wzrosnąć o dwa procent. Takie wahania nie mają znaczenia.

– Nie sądzę, żeby Niebiańska Korporacja Pao miała równie beztroskie zdanie na ten temat. Spadek notowań o dwa promile przez jeden dzień to w skali ich biznesu, hmm... no nie wiem... Można by za nie kupić nowoczesny trzystupiętrowy biurowiec w którejś z drogich metropolii. Dwa biurowce? Dziesięć?

– Widzę, że przemawia przez ciebie gorycz. To naturalne. Więzienie upadła człowieka w najgorszy sposób: odbiera mu nadzieję.



– To nie gorycz, choć z tą nadzieją to racja. Jednak tym razem chodzi o realizm. Jestem realistą i nie robię sobie niepotrzebnych nadziei.

Claudia pokiwała głową i zgasiła papierosa, dusząc go w pogiętej popielniczce z aluminium.

– Jak twój netchip? – zapytała znienacka.

Ta zmiana wątku nieco go zaskoczyła. Przywołała bolesną pamięć o czasach, kiedy nawet nie słyszał o więzieniu Pai Tien. Chwilę zastanawiał się, czy dobrze zrozumiał.

– Netchip? Nooo... W porządku. Nawet nie wyjęli. Uznali, że łatwiej odciąć mi go razem z głową. Tyle że nie mam aktywacji.

– Dostaniesz ją.

Najwyraźniej postanowiła przejąć inicjatywę.

– Czy ja powiedziałem, że się zgadzam? A w ogóle to wciąż nie doszliśmy do meritum.

– Nie doszliśmy, bo zachowujesz się jak dzieciak. Ja chcę pomóc, a ty się bronisz przed tym.

Wtedy rzeczywiście poczuł się jak dzieciak. Skarcony przedszkolak.

– Ja bez ciebie jakoś przeżyję – dodała. – Ty beze mnie raczej nie. Wybieraj.

To nie miało najmniejszego sensu, ale postanowił coś zyskać. Choć na krótką metę.

– Więc dostanę aktywację

– Tak.

– I mam przy jej pomocy coś znaleźć?

– Zgadza się.

– Mam się gdzieś włamać?

– Hmm... Tego nie wiem. To będzie zależało od okoliczności.

– W porządku. Jest jeszcze jedna kwestia.

– Tak?

– Nie mogę dłużej tkwić w karczerze. No... dostaję tam pierdolca. Wariuję. Wariuję, gdy patrzę na te czerwone ściany. Poza tym... tam netchip nie będzie działał. Za grube mury.

Claudia Ronson zamyśliła się. Zak z kpina oczekiwał jej spektakularnej klęski.

– Nie obiecuję... Bo to wszystko nie jest takie proste, na jakie wygląda. Ale zrobię, co będę mogła. Jeżeli nawet nic tu nie wskóram, chyba warto się jeszcze trochę przemęczyć. A potem wyjść. Na wolność.

– Ale dlaczego ja? Tylu jest hakerów! Większość z nich cieszy się tą obiecywaną mi wolnością. O ile prostsza sprawa! Żadnych specjalnych wymagań, czysta transakcja

finansowa.

Roześmiała się, błyskając idealnie białymi zębami. Tylko jej oczy pozostały zimne.

– Mimo wszystko ty mnie najmniej kosztujesz. Płacę twoją wolnością, co nie uszczupli mojego konta w banku. Nawet gdy wliczyć dodatkowe koszty, wychodzę na swoje. To jest właśnie czysta transakcja finansowa. A propos kosztów dodatkowych, jak przypuszczam, jesteś notowany w kartotekach autonomicznej sieci policyjnej Wspólnoty Islamskiej? I pewnie masz zakaz wjazdu na jej teren, czy tak?

– Zakaz swobodnego przemieszczania się z ograniczeniem do getta w Berlinie.

– To podobnie jak większość liczących się ludzi działających w twojej branży.

– Zgadza się. Widzę, że wywiad działa.

– Nie jesteś pierwszy, nie będę cię oszukiwać. Miałam okazję nieco się zorientować w tej sprawie. Znam kilku twoich kolegów. I koleżanek... Wracając do rzeczy. Zadanie może wymagać paru kursów w kilka nieciekawych miejsc. Wobec tego w twoim przypadku w grę wchodzi tylko i wyłącznie jazda na klonie.

– No tak... Głupol... – mruknął w zamyśleniu. – Bez tego trudno coś zrobić.

– Poza tym, odpowiadając na twoje pytanie „dlaczego ja?”, potrzebny jest mi ktoś, kto tak „przypadkowo” potrafi przejść najcięższe kurtyny. Ktoś, kto potrafi pozyskać pewne dane z sieci, ale także wykaże się analitycznym umysłem i będzie potrafił oddzielić ziarno od plew. Śmieci od faktów. Potrzeba mi kogoś, kto potrafi improwizować nie tylko podczas włamań, ale także w realu.

– Dobra... Dobrze. Więc tym razem co mam wykraść? Tajne kody odpalające rosyjskie rakiety, kody dostępu do amerykańskich baz orbitalnych, czy może indyjskich maszyn górniczych na Księżycu?

– Nie aż tak wiele – odpowiedziała, marszcząc czoło. – I nie tylko tyle...

– W porządku. Więc co to jest?

– Coś, co będzie ozdobą mojej kolekcji. Relikwia.

– Co? Jaka znowu cholerna relikwia? – Zak skrzywił się z niesmakiem. Ta kobieta potrafiła go jednak zaskoczyć. Po raz kolejny tego dnia.

Claudia Ronson wyraźnie się zmieszała. Wbiła wzrok w ścianę gdzieś ponad jego plecami, spojrzenie utraciło swą ostrość.

– Widzisz... – Delikatnie musnęła wyszminkowane usta opuszkami placów. – Kolekcjonuję różne rzeczy, takie hobby. Wiesz, zawsze miałam takie dziwne wrażenie, że urodziłam się trochę za późno. W dwudziestym wieku czułabym się chyba o wiele lepiej. Zresztą, po co ja to mówię?

Przerwała na chwilę. Wciągnęła z cichym świstem powietrze i podjęła:

– Mam już gitarę Elvisa Presleya, kapelusz Michaela Jacksona... Czarny turban ajatollaha Chomeiniego. Gilotynkę do cygar Churchilla. Boa Marilyn Monroe. I... kilka innych drobiazgów. Brakuje mi...

Zawiesiła głos, wpatrując się w pastelowe mrugnięcia swojego digitalmanicure.

– Mnie nic już nie zadziwi – rzucił kpiąco Zak. – Żadne wariactwo.

W jej szarych oczach mignęły błyskawice złości.

– Z tych najcenniejszych rzeczy, jakie się wzajemnie dopełniają, brakuje mi tylko Relikwii.

– Relikwii... – powtórzył za nią Zak.

– Tak, Relikwii. Ręki świętego. Papieża Jana Pawła II. Prawdziwej, a nie jednego z tych dziesięciu falsyfikatów. Prawdziwej dłoni Papieża-Polaka, którą błogosławił wiernych. Przygotowałam już w moim prywatnym muzeum gablotę z kuloodpornego szkła. To nietuzinkowy okaz. Niezła lokata kapitału. I wyjątkowy przedmiot, wyjątkowy pod każdym innym względem. Niestety, Relikwia zaginęła po Dżihadzie. A twoim zadaniem jest odnalezienie jej, zidentyfikowanie kodu genetycznego i dostarczenie do mnie. To chyba niewiele.

Zak nie wiedział, czy to niewiele. Relikwia? Nie znał się na takich kolekcjonerskich gadżetach. Chyba musiały jednak wchodzić w grę niezłe pieniądze. Claudia Ronson nie wyglądała na ekscentryczną kolekcjonerkę, a mimo to, mówiąc o ręce papieża, sprawiała wrażenie zdesperowanej.

– Czy to jest kolejny żart ze strony naszych skośnookich przyjaciół? Mam szukać jakiegoś bibelotu, który ktoś trzyma na zakurzonej półce w gabinecie?

– Zak, po co ten sarkazm? To do niczego nie prowadzi.

\*\*\*

Okno. Tego w karczerze brakowało mu najbardziej. Prawdziwe okno! Zsuwało się dwadzieścia centymetrów w dół, wpuszczając do środka zimny oddech Nowego Hongkongu – niepowtarzalną mieszankę grenlandzkiego chłodu, smogu wielkiej metropolii z dodatkiem delikatnej nutki Azji: wyraźnego zapachu chińskich potraw rozsiewanego przez okoliczne knajpki.

Po sześciu miesiącach Czerwonego Piekła taka cela rzeczywiście mogła wydawać się Pai Tien – Białym Niebem. Ściany wyłożone jasnym PCW, światło samoczynnie gasnące o dwudziestą drugą (wtedy pomieszczenie wypełniały pastelowe, różowe smugi tworzące z

szerością nocy abstrakcyjne, trójwymiarowe struktury) i trzy łóżka do wyboru.

(Zza poliwęglanowej listwy podłogowej wyjrzał karaluch.)

Czwarte łóżko zajmował niski Eskimos, Toiinte. Na jego oliwkowożółtej twarzy okolonej długimi, czarnymi włosami stale gościł uprzejmy uśmiech. Jednak jakiegokolwiek próby porozumienia się z nim spełzały na niczym. Toiinte mówił tylko po grenlandzku, niekiedy dorzucał równie niezrozumiałe zwroty z duńskiego. Po arabsku nie znał ani słowa. Pozostawał język gestów, ale nawet te nie zawsze dla obu oznaczały to samo.

Eskimos spędzał długie godziny na modłach do jakiegoś lodowego bóstwa.

– Aand... Aand... – powtarzał, widząc, że Zak przygląda mu się z zainteresowaniem, i wskazywał palcem sine niebo za oknem. – Hellig... Stor. Stor Aand...

(Karaluch przewędrował na środek podłogi i – niczym tam nie niepokojony – znieruchomiał.)

W takich chwilach serdeczny uśmiech zniknął z twarzy Toiinte – ze skupioną powagą rozkładał szeroko ręce, po czym powracał do modłów przekonany, że wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. Sadowiąc się wygodnie na pryczy, zaplatał nogi i resztę dnia spędzał, mrucząc cicho w swym niezrozumiałym języku.

Jeszcze jeden ton w szeptach wiatru.

Zakowi pozostawało więc dużo czasu na rozmyślenia.

Właściwie to nie mogłem lepiej trafić – stwierdził już po kilku godzinach w nowej celi. – Gość jest spokojny i ogólnie w porządku. Nie powinien mi przeszkadzać, gdy już będę miał aktywację.

Dni beznadziei w Czerwonym Piekle zatarły w nim wspomnienia zza murów, które teraz powracały, uderzając ze zdwojoną siłą. Nie chciał ich, próbował odpychać; bo przynosiły tylko ból. Może to głupie wyrzucać z pamięci całe swoje życie, jednak w jego położeniu łatwiej było wyzerować licznik i mierzyć czas od nowa. Męczyło go to – z jednej strony propozycja Claudii była zbawieniem, z drugiej jednak Zak bał się tej...

Nie. Nie myśleć o tym. Stop! Nie o tym!

...pączkującej nadziei. Jazda na głupolu i oglądanie Europy oczami klona to w jego przypadku tylko sól sypana na rozdrapane rany.

(Karaluch tkwił na środku celi. Obracał głową i ruszał czułkami.)

Inga... Tego uczucia bał się najbardziej. Powinna wciąż być w Getto-Berlinie, tam gdzie rok temu widzieli się po raz ostatni. Fala niekontrolowanych obrazów jak z uszkodzonego odtwarzacza holo. Inga z twarzą lekko oproszoną farbą w sprayu malująca graffiti. Inga z wyciągniętym nadgarstkiem, dumna ze świeżo wszczepionego gniazda dostępu

do sieci. Cieszyła się wtedy jak dzieciak: „Teraz już nigdy nie stracę zasięgu. Nikt mnie nie zakłóci. Zawsze in-dive”. Inga przypalająca bioskuna w lśniących, metrowych nargilach. Inga umorusana szlamem, gdy przechodzili na drugą stronę, za mur berliński. Za dużo, za szybko, za nagle...

INGA. INGA. INGA. INGA. INGA. INGA!!!

Nigdy nie pozwalał takim tęsknotom szaleć w sobie, ale teraz to one nim kierowały.

(Karaluch ruszył. Biegiem minął pryczę mniejszego Żywiciela i zaczął wspinać się po nodze łóżka większego. Z kąta nieopodal wołały go apetyczne odpadki – byłoby miło zanurzyć w nich głowę. Później. Teraz na górę. Obejrzyć większego!)

Tylko znaleźć tę pieprzoną Relikwię, wydostać się stąd i...

Nie. To za proste. I naiwne. Nie myśleć o tym. Najlepiej zająć się czymś innym. Na przykład – rozgniataniem karaluchów. Bezczelne owady! Niedługo zeżrą nas totalnie. Ten to w ogóle się nie boi. Nawet jak ruszam kocem. Duży jest jakiś. Mutant przerośnięty ze dwa razy. Ciekawy. Gdy tak zapomnieć o karaluszej złej sławie i o przykrych karaluszych zwyczajach i gdyby tak nie spadały na głowę w środku nocy – to nawet interesujące zwierzątko. Ładne na swój sposób. Ten gapi się i rusza czułkami. Co on się tak gapi?

Sprzężony z oczami karalucha mikroprocesor zweryfikował przekazywany przez nie obraz, dokonał transpozycji owadziej optyki na jednorodną bitmapę, porównał z zapisanym w pamięci wzorcem i zaraportował: **OBIEKT ZNALEZIONY**.

Zak nagle zrozumiał:

– Roborobal... To mnie szukałeś?

Ułożył mikrocyborga na dłoni i zbliżył do oczu. Owad pracowicie wywijął czułkami, ale nie uciekał. Zak podważył karbonowy panczyk: wewnątrz odwłoka spoczywał maleńki kryształek ze srebrną końcówką zatopiony pod cienką warstwą folii.

Aktywacja do netchipu. SIM.

Z bijącym sercem zdarł opakowanie. Najzwyklejsza rzecz – moduł do netchipu. W sumie nic. A jednak... Dawno nie czuł się tak podekscytowany.

Długo jeszcze cieszył nim wzrok. Wreszcie wymacał palcem gniazdo z tyłu małżowiny usznej.

Przetarł.

I zaktywował. Przywitało go niebieskie logo sieci Xiaoping. Sieci należącej do Liang-Taoi. Największej konkurencji Pao. To wydało mu się dziwne. Ale może tak miało być.

@@4

Mijała już godzina, odkąd Tańczący Derwisz, mistrz Dżalal ad-Din Rumi, wirował w samie Drugiego Nieba. Kropelki potu ociekające z czoła bryzgały na boki, zawisały na drgnięciu powieki w powietrzu niczym podrzucone brylanciki, po czym spadały miękko na dywan. Fajarka naj nieprzerwanie grała swą smutną pieśń tęsknoty.

Muhammad Ibn al-Charid w skupieniu przesuwał paciorki jaspisowego różańca.

Drugie Niebo wciąż jednak pozostawało zamknięte mimo rzewnego zawodzenia instrumentu i klapnięć stóp tańczącego. Modlitwa w jego ustach brzmiała niczym woda przeciekająca przez kamienie. Słońce powoli staczało się za górę Cassion. Jednak nie czas był jeszcze na wieczorne modły.

To nastąpiło tak niespodziewanie i cicho, że zamyślony Łowca Demonów długo jeszcze przesuwał ziarenka różańca, nim spostrzegł, że głowa proroka poruszyła się. Jahja otworzył oczy, zdało się, zachrząsał powiekami niczym człowiek zbudzony z długiego snu, potoczył dookoła wzrokiem i ściągnął brwi. W gniewie? Nie, z wysiłku: wieko szklanej szkatuły odchyliło się, a głowa uniosła na wysokość twarzy mistrza Mualana jakby niesiona przez niewidzialny tułów.

– Kim jesteś i po co mnie wzywasz? – zagrzmiął tubalny głos. Muhammad Ibn al-Charid ocknął się z medytacyjnego letargu. Jego ściśnięte gardło z trudem przełknęło ślinę.

Dżalal ad-Din Rumi wirował coraz wolniej, aż wstrzymał taniec. Zataczając się lekko, opadł na kolana przed głową proroka. Rzekł:

– O czcigodny! Bądź pozdrowiony; niechaj błogosławieństwo spłynie na Ciebie, Twoje dzieci i wszystkich potomków; niechaj Twe serce nigdy nie zazna goryczy. Jestem mistrz Mualana, Dżalal ad-Din Rumi, derwisz i poeta. Wybacz, że zakłócam spokój Złotego Nieba, ale sprawa obecnego tu ze mną Muhammada Ibn al-Charida, Łowcy Demonów, nie cierpi zwłoki.

Mistrz przerwał, oczekując odpowiedzi. Jednak Jahja milczał, mrugając tylko. Mualana ciągnął więc dalej:

– O czcigodny, który z niebiańskich wysokości widzisz wszystkie demony, dzinny i dusze nieczyste! Który z wyżyn ponadziemskich dostrzegasz wszelką nieprawość, niegodziwość, grzech i niewiarę...

Dżalal ad-Din Rumi ponownie przerwał – spodziewał się, że Jahja zechce odnieść się jakoś do jego słów. Nie zechciał. Mualana przeszedł zatem do rzeczy:

– O czcigodny! Pomóż mnie i pomóż temu tu Muhammadowi, Łowcy Demonów z miasta Dimasz asz-Szam! Powiedz nam, kto ukradł Bramę do Piekieł, pierścień z

przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila.

Prorok zamknął oczy i milczał przez długą chwilę. Mualana, z trudem opanowując zawroty głowy, usiadł ze skrzyżowanymi nogami. al-Charid nerwowo przesuwiał paciorki.

– Tak, widzę – przemówił wreszcie Jahja. – Ale tylko pół. Widzę dół demona, który ukradł pierścień. Ma sześć nóg.

Łowca zmarszczył ze zdziwienia czoło. Sześć nóg? Cóż to za demon? Skąd? Jakie jego imię? Sięgnął w głębie pamięci. Nie, nie było tu jeszcze takiego!

Mistrz Mualana znów poprosił:

– O czcigodny! Zapytaj proroka Isę, który razem z tobą przebywa w Złotym Niebie. Może on widzi drugie pół?

Jahja opuścił powieki: wznosił się duchem ku niebiosom na tak długo, aż Muhammad Ibn al-Charid zaczął wątpić, czy wróci. Więc to wszystko? – pytał sam siebie w myślach. Tyle starań i nic?

Nie. Prorok powrócił.

– O, tak. Isa mówi, że widzi drugie pół. Moje i jego widzenie razem składają się na pełny obraz. To nie jest demon o sześciu nogach.

– Więc kto, o czcigodny?

– To demon, który przybrał postać człowieka, beduina. Cztery pozostałe nogi należą do jego wierzchowca, Żelaznego Konia. Prowadzi go za uzdę, przeciskając się przez tłum w medynie.

– Żelaznego? – wtrącił zdziwiony Łowca.

– Tak, choć wygląda jak zwykły. To też jest demon, sługa pierwszego demona. Oba są w Dimaszk asz-Szamię. Krążą po mieście. Spiesz, Łowco, by odebrać skradzioną własność! Tylko pamiętaj, razem demony mogą być silniejsze od ciebie, zaś każdy z nich trzyma połówkę pękniętego pierścienia. By odzyskał moc, musisz złożyć go na powrót.

– O czcigodny! Powiedz, jak je pokonać!

– Weź płomień lampki oliwnej z meczetu. Zamknij go w lewej dłoni i nie wypuszczaj, dopóki nie znajdziesz obu dzieci Iblisa. Wtedy ciśnij na nie ogień i rób swoje – to powiedziawszy, głowa cofnęła się do kapliczki. Tak szybko, że Dżalal ad-Din Rumi ani Muhammad Ibn al-Charid nie zdążyli podziękować.

Wiekło szklanej szkatuły opadło, w tej samej chwili nad medyną rozeszło się jęklive zawodzenie muezzinów.

\*\*\*

Nie zdążył powtórnie skonfigurować pamięci, gdy pojawiła się ona, płonąca pod jego powiekami zbyt jaskrawą, seledynową ikoną 3D-chat. Dwudziestowieczny telefon zawieszony pod sufitem celi, mrugający. Numer zastrzeżony, wyświetlał mu się tylko komunikat: „połączenie holowizyjne”.

Kliknął ikonę, weszła.

– W porządku, Zak. Czyli masz swojego SIM-a.

Piękniejsza niż wtedy: bez rozdzielającej ich szyby i komunikatora rozproszyło się gdzieś to zimno, które wcześniej w niej wyczuwał. Piękniejsza, ale jednocześnie mniej realna – jej trójwymiarowa projekcja przenosiła go do wnętrza lekko skrzęcej erotyzmem gry dla napranych stymulantami gości topiących swe smutki w wirtualu. Siedziała na pustej pryczy naprzeciw z nogą założoną na nogę. Jej nienachalny, ale wystudiowany styl przypominał mu bohaterki starych amerykańskich komiksów.

– Wszedłeś w to już na tyle głęboko, że trudno byłoby się wycofać – przemówiła namiętym tonem, jakby szeptała do kochanka. – Jeśli jednak masz taki zamiar, to wycofaj się teraz. Unieważnię tylko aktywację, celę będziesz miał dalej. Jak długo, nie wiem. Jeżeli jednak będziesz chciał wycofać się później, może to okazać się dla ciebie bardzo nieprzyjemne.

Płynący z ust holoprojekcji zmysłowy głos Claudii Ronson zdawał się aż elektryzować przestrzeń między ścianami celi. Złudzenie. Kobieta była widoczna tylko w jego umyśle, głos docierał tylko do jego mózgu. Toiinte nie mógł jej słyszeć, tak samo odpowiedzi Zaka.

– Taaa... Jasne. W sumie rzeczywiście nie da się ukryć, że nie mam nic do stracenia. A parę rzeczy do zyskania. Niech będzie.

– Doskonale. Takiej odpowiedzi oczekiwałam. Przejdę do rzeczy: po zakończeniu tej rozmowy przeleję do twojego netchipa jedenaście tysięcy juanów. Za tę sumę dostaniesz w RAC klona na dwa tygodnie. Tysiąc za wynajęcie i dziesięć tysięcy kaucji. To powinno na razie wystarczyć. Sam sobie wybierzesz model i dokonasz wszystkich niezbędnych formalności. Od tej chwili działasz na własny rachunek, ja tylko powiem ci, czego oczekuję. Ale pamiętaj o jednym. Ponieważ wykupiłam ci aktywację i to ja opłacam rachunki w Xiaopingu, mam wgląd w szczegółowy billing twoich połączeń. Także wszystkich transakcji finansowych oraz tego, z kim rozmawiasz. Nie próbuj więc żadnych działań na własną rękę. I licz się z wydatkami. Nie zamierzam na tę operację wydawać więcej, niż jest to absolutnie niezbędne. Działalność charytatywną pozostawiam innym, ja zamierzam płacić tylko za to, co jest tego warte.



Zimna, wyrachowana suka – pomyślał Zak i zapytał:

– To na ile została wyceniona moja wolność? Jaka kwota znalazła się dzięki niej po stronie zysków?

Zignorowała tę złośliwość. Nawet nie mrugnęła.

– Istnieje coś około dziesięciu Relikwii i w tym tylko jedna jest prawdziwa. Reszta to falsyfikaty nie do odróżnienia bez szczegółowych analiz. Nawet złoto jest tej samej próby. Możesz z góry skreślić Relikwię z Muzeum Papieskiego w Nowym Watykanie, to również podróba. Zresztą nikt tego nie ukrywa, chociaż też nie nagłaśnia. Oni to nazwali po prostu „kopią Relikwii”. Jedna spłonęła podczas chińskiej inwazji na San Francisco w początkowej fazie wojny. Według mnie to kolejny falsyfiakat, miał ją jakiś kolekcjoner włoskiego pochodzenia. Wydaje się, że oryginał Relikwii przez cały Dżihad i jeszcze długo po nim krążył gdzieś między Moskwą a Emiratem Łacjum. Jak jest...

– Zaraz! Chwileczkę – przerwał to przemówienie Zak. – Co to znaczy „gdzieś między Moskwą...”? Jeżeli mam czegoś szukać, muszę wiedzieć wszystko. Gdzie, kiedy, jak, po co, dlaczego? I skąd te informacje?

– Nie. To tylko... To niesprawdzone, przypadkowe pogłoski. Nie mogę powiedzieć ci nic konkretnego, to tylko tak, dla ogólnej orientacji. W każdym razie prawie wszystkie tropy prowadzą na terytorium Wspólnoty Islamskiej. Masz więc co robić.

– W porządku – mruknął z rezygnacją Zak. – Jakoś sobie poradzę.

– Gdyby tak nie było, rozmawiałabym z kim innym. Teraz słuchaj uważnie! Jak już wspomniałam, jedynym sposobem identyfikacji dłoni Jana Pawła II jest porównanie kodu genetycznego. Musisz znaleźć wzór DNA pochodzący ze źródeł watykańskich. To bardzo ważne, abyś się upewnił, że Relikwia jest prawdziwa. Watykańskie źródła są najbardziej wiarygodne pod tym względem. Jak już wsiądziesz na klona, dostaniesz jeszcze tysiąc juanów na kolejne wydatki i to jak na razie będzie nasza ostatnia rozmowa. Nie podaję ci mojego numeru, nie próbuj się ze mną kontaktować. Ja ciebie znajdę w razie potrzeby.

Kaskada szeleszczących słów. Zak nie słuchał jej zbyt, rejestrując tylko najniezbędniejsze fakty bez analizowania, bez pytań. Większa część jego świadomości sunęła nisko, tuż nad wodą Atlantyku, ku wybrzeżom Irlandii i dalej...

– Taaa... Jasne – mruknął. – Ten wzorzec DNA... Czyli rozumiem, że ty nie dysponujesz czymś takim? Skąd zatem będziesz wiedziała, że to prawdziwa Relikwia, a nie kupiona na bazarze za 100 juanów? Mogę ci przecież wcisnąć dowolny szajs, a ty i tak tego nie zweryfikujesz...

– Nie podniecaj się tak. Dysponuję tym wzorcem.

– Więc po prostu daj mi, co masz, to znaczy to DNA, a ja to zweryfikuję. Jak już znajdę Relikwię.

– Nie. Chcę, żebyś to zrobił tak, jak mówię. Masz znaleźć Relikwię. Później masz znaleźć wzorzec DNA pochodzący ze źródeł watykańskich i porównać go z Relikwią. Mnie masz oddać zweryfikowany efekt swoich poszukiwań. Chcę, żebyś mi oddał taką Relikwię, co do której będziesz sam miał stuprocentową pewność, że to oryginał.

Kłamie – pomyślał Zak. – To jest niedorzeczne. Przecież byłoby prościej, gdybym dostał ten wzorzec i szukał pasującej do niego Relikwii. Albo nie ma wzorca, albo nie ma pewności, czy jest on prawdziwy. Mógłbym ją oszukać i podsunąć byle co.

Claudia jakby słyszała jego myśli.

– Nie próbuj ściemniać. Pamiętaj, mam cię tu jak na dłoni. Jeżeli będziesz próbował wcisnąć mi jakieś bezwartościowe gówno albo robił coś na własną rękę, jakieś przekręty, będę o tym wiedziała. Wtedy wrócisz do swojego czerwonego karceru.

– Jasne. Wcale się tam nie spieszę...

– Poza tym... Może to dziwne, ale ufam ci. Wiem, że masz swoje zasady, honor zawodowca. Musisz mieć, bo inaczej nie mógłbyś tak swobodnie działać w tej dziedzinie.

Zak zaśmiał się. Pokręcił bezwiednie głową.

– W to akurat bym nie wierzył. Nie chcę powiedzieć, że jestem skurwysynem, który tylko szuka okazji, by okantować swojego zleceniodawcę. Jednak ten honor i zasady funkcjonujące rzekomo w moim środowisku to mit, który ciągnie się, chyba odkąd powstał pierwszy komputer. W rzeczywistości to takie samo bagno jak każde inne. Można też źle trafić.

– Dlatego swoje kalkulacje opieram na bardziej racjonalnych przesłankach. Pamiętaj, jeżeli nie wypełnisz rzetelnie swojej części umowy, nigdy nie będziesz wolny, nawet gdy jakimś cudem uda ci się mnie nabrać. Ja wcześniej czy później poznam każdy kant. Wtedy twój wyrok zostanie przywrócony i trafisz tu z powrotem. Albo od razu zabiją cię agenci Pao. Raz już cię złapali, złapią i drugi, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Rozumiem. To jest już bardziej przekonujące. Nie jestem idiotą, już raz próbowałem zadzierać z Pao.

– Więc zrób to po mojemu i nie zadawaj niepotrzebnych pytań.

– W porządku, madame. Będę się słuchał.

– To mi się podoba. – Holoprojektacja obdarzyła go łaskawym uśmiechem. Przeniesiona do wirtuala zabłysła jako gwiazda, przyćmiewając nawet Amber Moriu. Choć może po sześciu miesiącach Amber Moriu wcale nie jest już na topie w symulacjach VR?

Dzięki wysokobudżetowym produkcjom trzymała się i tak nieprawdopodobnie długo, podczas gdy inne sławy znikwały po jednym sezonie...

– Coś chcesz jeszcze wiedzieć?

– To mi wystarczy... Jak sądzę.

– W takim razie zostawiam cię. Pamiętaj o tym, co sam powiedziałaś: możesz zyskać wszystko.

Claudia Ronson, nowa wirtualna królowa, rozviała się jak mgła na kanale alfa.

\*\*\*

Netchip. Pierwszy – powolną nokię, wszczepił pięć lat temu. Przez pół roku po operacji nie mógł wyzbyć się uczucia obcości. Zimny kawałek metalu wypełnionego krzemem wpakowany gdzieś tam, wewnątrz jego głowy... Miał kłopoty z myszą umieszczoną w opuszku kciuka – często, machinalnie pocierając go palcem wskazującym, zmieniał ustawienia systemu wypracowane z mózgiem, wywoływał złe adresy... Później trzykrotnie jeszcze wymieniał modele na nowsze. Ostatnio na doskonale oceniany przez użytkowników i branżowe magazyny Panasonic Xtreme 666. Wszczepił go sobie w jednej z licznych klinik Santiago tuż przed tym, gdy agenci Pao...

Panasonic Xtreme 666. Niewiele nacieszył się tym sprzętem, choć wyłożył na niego sporą kasę. Teraz miał nadzieję, że przez te pół roku netchip nie zdążył się zestarzeć.

Netchip. Wyciągał Zaka z ociężałego worka ludzkiego ciała i zamieniał w radosnego delfina penetrującego najgłębsze zakątki sieci. Dawał lekkość, wolność i ten posmak ryzyka delikatnie szczypiący zakończenia nerwów... Czasem, gdy nie planował niczego poważnego, gdy chciał jedynie oderwać się od rzeczywistości i zatracić w wirtualnym śnie, zamieniał swojego roboczego wizuala na nieco kiczowatą nakładkę podmorską o nazwie „Oceanic”. Standardową i klasyczną już wizualizację dołączoną do systemu operacyjnego netchipa. To była taka demonstracja możliwości sprzętu, od której przyjął się termin „nurkowanie” w odróżnieniu od powierzchniowego surfowania za pomocą przegładarek. W sumie rzecz ładna, choć do poważniejszych rzeczy nieprzydatna.

Nurkując z „Oceanikiem”, oglądał lśniące ławice trojanów, żarłoczne orki aktywnych programów ochronnych, podwodne jaskinie fakesystemów, lite skały firewalli. Potrafił tak pływać godzinami, upajając się chwilami zapomnienia. Tą namiastką wolności, która pozwalała na moment uciec z szarego getta. Wtedy tylko obserwował, sycił wzrok wizualizacją, nie prowokując żadnych spięć z systemami obrony.

Podczas jednej z takich wirtualnych podróży w głąb sieci zbłądził do wabiących swym

kolorem raf danych Niebiańskiej Korporacji Pao. Czegoś takiego nigdy dotąd nie widział – zazwyczaj zasoby serwerów tworzyły w wizualu dosyć powtarzalne wzory, które były jedynie odtworzeniem wcześniej wyrenderowanych obrazów przechowywanych w pamięci. Dane Pao potrafiły jednak interaktywnie sprzęgnąć się z jego chipem, rozbić komponenty na drobne moduły i zbudować z nich bajkowy świat koralowców.

Dopiero później zrozumiał, że jest to ten sam mechanizm, który morskim drapieżnikom mówi: „nie ruszaj mnie, bo się otrujesz”. Wtedy jednak chińskie dane urzekły go na tyle, że postanowił się do nich dostać.

Był przy tym podekscytowany *siłą* swego najnowszego oprogramowania: własnoręcznie zmodyfikowanego irańskiego trojana z Dżihadu wzbogaconego o teksański pakiet kodów dostępu do zasobów chińskich korporacji telekomunikacyjnych. Przyjaciele mówili mu: „To kurewsko niepewna akcja, daj sobie luz, skoro nie ma po co kruszyć krzemu”. Ale to wciągało jak koka i małe włamy przestały mu wystarczać. Nie chodziło nawet o zysk, lecz o emocje. Potrzebował coraz silniejszych dawek, a dostarczenie ich sobie było takie łatwe! W dwadzieścia lat po Dżihadzie i po wojnie japońskiej strony konfliktu produkowały co kilka dni kilogramy ofensywnego oprogramowania: przegrani szukali odwetu, zwycięzcy umacniali fundamenty swojego panowania. Globalna wojna informatyczna.

Przez dziesięć godzin starał się wyciąć w krystalicznej skale Pao wąski korytarz do serca systemu. Bezskutecznie. Defensory Korporacji nie ustawały w kontratakach, zaś teksańskie kody pozostawały nierozpoznane. Fizycznie i psychicznie doprowadziło go to do kresu wytrzymałości; gdy padł ostatni autonomiczny submoduł irańskiego trojana, postanowił się wycofać. Wtedy niespodziewanie pierwsza ściana pękła, dopuszczając go do wnętrza. Wszedł tam, nie czując już radości. Tylko zmęczenie.

Ogrom danych oszołomił Zaka. Odszukanie czegoś wartościowego w gąszczu śmiecia zajęłoby mu następne dziesięć godzin w sieci. Nawet gdyby nie wykryto obecności intruza, nie wytrzymałby jego przeciążony mózg.

A jednak coś znalazł, i to przypadkiem. Tylko zmiana atrybutu danych wymagała kolejnego kodu dostępu.

Nie miał go i nie miał czasu. Skopiował więc plik bez zmiany atrybutu. To ponownie uaktywniło defensory. By się od nich uwolnić, poświęcił główny moduł Irańczyka.

Uciekł, lecz zostawił ślad. Agenci Niebiańskiej Korporacji Pao zjawili się w Berlinie już na drugi dzień po tym; ledwo zdążył złapać pięć godzin męczącego snu. Zgubił ich, wydostając się z miasta kanałami – przejściem, którego nie mogli znać. Posługując się

wszczepem identyfikacyjnym na nazwisko Jerko Ahmadović (bośniacki muzułmanin, 22 lata), dotarł do Hamburga. Wieczorem, po trzech lotach przez Stambuł i Hawanę, oddychał już wilgotnym smogiem Mexico City.

Dorwali go osiemnaście tygodni później na chilijskiej wyspie Sala y Gomez, dokąd uciekł z Santiago.

Nigdy nie miał okazji zrobić użytku z wykradzionych danych. Strach poczuł dopiero wtedy, gdy przyjrzał się im bliżej.

Media i telekomunikacja były głównym terenem ekonomicznej wojny Niebiańskiej Korporacji Pao z konkurencyjnym sąsiadem z Nowego Hongkongu – Liang-Taoui. Gdy Liang-Taoui scaliła kilka sieci satelitarnych średniego rozmiaru w potężnego Xiaopinga, Pao znalazła się w kryzysie. Zaangażowanie w działania wojenne przyniosło L-T znaczny wzrost pozycji na rynku. By wyjść z kryzysu, Zarząd Pao nie przebierał już w środkach, zawierając dziesiątki ciemnych transakcji.

Jedną z nich był wynajem Amerykanom sieci satelitów geodezyjnych południowoafrykańskiej Kompanii Vreykerka. Górniczy koncern z Johannesburga – przejęty dwa lata wcześniej przez Pao w wyniku intensywnych manipulacji rynkiem za pomocą taniej siły roboczej – od kilku dobrych lat niemal w całości uzależnił się od kontraktów zawieranych przez kapitał amerykański. Wybuch wojny japońskiej zagmatwał sytuację na poziomie oficjalnych komunikatów wygłaszanych na potrzeby mediów przez przedstawicieli obu stron. Jednak siła zależności finansowych przetrwała. Dzięki temu Pentagon, który stracił własne satelity już na początku wojny japońskiej, długi czas wykorzystywał sieć geodezyjną Pao do obserwacji ruchów wojsk Cesarstwa. I to zabójczo skutecznie, niemal przechylając szalę zwycięstwa na swoją stronę. Niemal.

Stare dzieje. Skopiowana przez Zaka szczegółowa dokumentacja tej transakcji nie mogła przynieść żadnych korzyści materialnych. Szantaż takiego kolosa jak Pao nie wchodził w grę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rzucić ich do sieci. Bez ograniczeń, dla wszystkich. Lecz kto wie, co by z tego wynikło? Nowa wojna? Rozglądał się za jakimś kupcem. Ale kto by chciał wchodzić w tak podejrzany interes?

Korzystając ze swych koneksji, ukrył dane w pamięci serwera Boomerang aborygeńskiego separatystycznego „Ruchu Korzenie”. Jedenaście dni później Zak dostąpił zaszczytu wniebowstąpienia do Pai Tien.

Es-Salhije... – szepnął zza ucha Łowcy Demonów anioł tak mały, że gdyby zebrać setki tysięcy po siedemset takich jak on i umieścić na pestce granatu, to nie byłoby im tłoczniej niż ludziom na ziemi Ard. Jednak Boży posłaniec głos miał donośny i Muhammad Ibn al-Charid słyszał go doskonale. Żałował tylko, że nie znał imienia swego przewodnika, ten zaś nie był zbyt rozmowny.

Dzibril przydzielił mi go do pomocy, by wskazywał ścieżki demonów – tłumaczył sobie Łowca. – Nie na pogawędki, nie ku rozrywkom.

Przeszedł most na Baradzie. Oddalając się od gwarnej medyny, wkroczył w pełną meczetów i madras dzielnicę Es-Salhije.

– Oto jak Allah kieruje moimi ścieżkami – stwierdził z zadowoleniem. – Brama do Piekieł, mały anioł-przewodnik, niespodziewana wizyta mistrza Mualany w Dimaszku asz-Szanie: to są znaki Pana. Pan ma trzy razy po siedemset milionów oczu; wszystkie jednocześnie patrzą na świat. Pierwsze siedemset milionów śledzi nikczemne demony w każdej chwili ich knowań. Drugie dogląda aniołów, Bożych pomocników. Trzecie siedemset milionów oczu spogląda na ścieżki ludzi, a każde z nich pilnuje jednego człowieka. Bez pilnującego nas Pana pogubilibyśmy się w mroku, wpadli w otchłanie Iblisa.

Anioł szepnął:

– Świeżo otynkowany dom na końcu ulicy...

Zaciśnięty w garści Muhammada Ibn al-Charida ogień pulsował i poruszał się niczym chrząszcz. Delikatnie rozgrzewał dłoń, ale nie palił.

Łowca Demonów wszedł w bramę domostwa. Pośrodku chłodnego, ocienionego dziedzińca stał kary koń rozszony przez drobiny wody unoszące się lekką mgiełką wokół wyłożonej niebieskimi kafelkami fontanny. Muhammad Ibn al-Charid zbliżył się, ze zdziwieniem odkrywając, że szaroczarne włosie zwierzęcia jest w istocie oksydowaną stalą. Mistrzowska robota – żaden kowal nie wykułby nic choć w połowie tak pięknego.

Żelazny Koń.

– A gdzie jeździec? – mruknął Łowca i śmiało przestąpił próg domu. Długi, pusty korytarz i kilkoro drzwi. Otworzył pierwsze. Nikogo. Ruszył dalej.

Spotkali się na schodach prowadzących na piętro.

– Już jesteś – rzekł ze spokojem demon. Beduin w czarnej kuffiji. Brzęknęły łańcuchy jego umysłu, grube, o lśniących ogniwach. Spadły na Muhammada, oplatając go niczym głodne pytony.

– Przekląty! – wyszczał al-Charid, napinając mięśnie. A niewidzialne węże trzymały

go i dusiły.

Powiedział demon:

– Uważasz mnie za złego ducha i to porządkuje twoje postrzeganie rzeczywistości. Przydaje przedmiotom wartości, złe czerniąc sadzą, dobre bieląc wapnem. Nie potrafisz dostrzec innych barw. Jestem przedmiotem idei zła tylko w twoim świecie, zaś Jedyny jest przedmiotem idei dobra tylko w twoim świecie. To, że jest Bogiem tu, nie świadczy o jego wszechmocy ani miłosierdziu. Z innej perspektywy, widziany z mojego świata, to on jest przedmiotem idei zła. Co więcej, nie ma w tym sprzeczności i nie wynika to z subiektywizmu sądów. Bóg i Szatan: dwie osobowości istoty o rozdwojonej jaźni?

Iblisowa broń – rozumne, zbyt rozumne słowa, nie zasiały zwątpienia w duszy Muhammada.

– Nawet złości we mnie nie ma, tylko siła! – zakrzyknął Łowca. – Pękajcie łańcuchy! Leć ogniku z kandelabru meczetu! Niech Zły błysnie ogniem niczym pochodnia.

Płonął w milczeniu, bez ruchu, topiąc się z cichym skwierczeniem. Anioł powiedział:

– To tylko lustrzane odbicie demona. Weź ognik z powrotem.

Nic więcej. Nie odpowiadał na pytania. Trudno. Nie przybył tu na pogawędki... Łowca Demonów schylił się i podniósł pełgający w smolistej kałuży płomyk.

Żelazny Koń zniknął z dziedzińca. Została po nim tylko kałuża smoły. Muhammad Ibn al-Charid rozumiał już z tego coraz mniej. Gdzie połówki Bramy do Piekieł?

Drugi raz spotkał demony w zaułku za meczetem, kilka przecznic dalej. Diabeł podjął swą bluźnierczą mowę:

– Nie jest Demiurgiem, lecz zręcznym twórcą iluzji. Nie stworzył tego świata, tylko go zawłaszczył; nie stworzył ciebie, lecz podporządkował sobie i uczynił niewolnikiem. Jego moc tkwi w twojej głowie. Kazał ci widzieć świat takim, jakim chciał, żebyś go widział. Wprowadził własną hierarchię świata, siebie umieszczając na jej szczycie. Teraz wymaga uwielbienia – czy istota doskonała potrzebuje hołdów i klękania? Czy istota, która stworzyła świat od podstaw, a więc tak pełna mocy, mogłaby jednocześnie chować w sobie tyle próżności, by wymagać od owoców swojego stworzenia padania na twarz i modlitw?

– Moją modlitwą jest moja walka – szepnął Muhammad Ibn al-Charid i spalił demona po raz wtóry razem z jego żelaznym wierzchowcem.

– Weź ognik – przypomniał anioł. Bramy do Piekieł Łowca jednak nie znalazł. Trzecie lustrzane odbicie syna Iblisa dopadł już w innej części miasta, w czerkieskiej dzielnicy Charkasije.

Ten ciągnął dalej:

– To, co uważasz za najwyższe szczęście, to ułuda. Roztapiając się w Bogu, roztopisz się w niebycie. Zniknie twoja świadomość, zniknie twoje „ja”. On wessie cię i wbuduje w siebie samego. To go umocni. Będziesz anonimową cegielką, która wzmocni ten monument. Każdą swoją modlitwą oddajesz mu cząstkę siebie tak długo, aż przestaniesz istnieć.

Muhammad Ibn al-Charid przerwał mu:

– Jesteś demonem, twoim powołaniem jest bluźnić. Moim wysłać cię do piekła na sto lat. Razem z twoim wierzchowcem. Na nic twoje słowa. Mnie nie zwiedzisz, a wiara daje mi siłę.

– Weź ognek – szepnął anioł, gdy demony spłonęły, bo i tym razem Łowca nie odzyskał swojego pierścienia.

Gdzie spotkali się po raz czwarty i co powiedział demon?

Na dziedzińcu karawanseraju na południe od murów medyny.

– W istocie księgi, zwane złudnie świętymi, kłamią, przedstawiając wszechświat dwubarwnie. Księgi wiążą demony ze złem, bo to jedyne istoty, które nie godzą się na niewolę i ciągły strach przed piekielnymi karami. Nie chcą zła, tak jak nie chcą kapryśnych i próżnych panów nad sobą. Twój Bóg zawłaszczył pojęcie dobra, by móc dzielić i rządzić. Nie ma dobra bez Boga? To największe kłamstwo.

Muhammad Ibn al-Charid starał się zachować spokój. Cierpliwie przemierzał ciasne uliczki Dimaszku asz-Szamu, idąc tam, dokąd kierował go anioł. I robił swoje.

Na obrzeża miasta, wzdłuż rzymskich wodociągów.

– To, co on nazywa wolą czynienia, jest jedynie mirażem na pustyni. Wątpienie i negacja mieszczą się w wolnej woli, ale dla swego Boga, wątpiąc, staniesz się demonem. Rozliczy cię z myśli i ukarze srogo, nie za zło, lecz za brak pokory. To nie jest wolność. Dobro czynione w strachu nie jest dobrem, tylko strachem.

Na pachnący skórą suk sandalników.

– Uznajesz boskość swego Boga i w tym sensie rzeczywiście jest on Bogiem i istotą doskonałą. Bóg wszechświata twojej głowy. Ale wszechświat twojej głowy nie jest wszechświatem wokół ciebie. Nie widzisz tego i widzieć nie możesz, bo rozróżniasz tylko dwie barwy. Stąd też pochodzi ogrom jego mocy.

Między wysuszone palmy przed obserwatorium astronomicznym.

– Pod pewnym względem twoje dychotomiczne postrzeganie rzeczywistości jest właściwe. Gdybyś wierzył moim słowom, prawda byłaby okrucieństwem: czynnikami pierwszymi twojego świata są (skoro już używamy tej wyświechtanej analogii) Czarne i Białe. Bóg, ty i wszystko dookoła to dwubarwnie, choć nieregularne szachownice. Boskość



twojego Boga polega na tym, że jest on największą z tych szachownic. To jedyna różnica.

Ósmy raz Muhammad Ibn al-Charid spotkał Demona na Żelaznym Koniu w BabSzarki. Brama aż dudniła echem jego niezrozumiałych słów:

– Bóg czyni cuda, obraca góry i zamienia ludzi w zwierzęta. Cuda! To tylko zmiana tła i dekoracji. Robi to, przesuwając pola na innych szachownicach: białe na czarne i odwrotnie. Lecz gdy ktoś się odważy i przestawi w Bogu tyle pól, że utraci swą boskość, wtedy dostrzeżesz pełnię barw świata. Znikną anioły, demony, cuda i prorocy... Zamienią się w kolorowe kule, wstęgi, ostrosłupy, twoje miasto w lśniącą seledynem i fioletem heksagonalną pajęczynę rozciągniętą na cały świat... Sam Bóg rozerwie się na setki lśniących, srebrzystych wieloboków rozsianych po zakątkach pajęczyny...

Za ósmym razem demon płonął z głośniejszym skwierczeniem, z jego ust wydobył się przeciągły jęk i w tej samej chwili w odległych częściach miasta ogień pochłonął ostatnie dwa lustrzane odbicia złego ducha.

Jęk Iblisowego syna przeszedł teraz w zduszony charkot. Widać było, że cierpiał.

– Płoń demonie! Płoń przeklęty i nie wracaj tu więcej, w tej czy w innej postaci!

Muhammad Ibn al-Charid zaśmiał się triumfalnie. Zwyciężył! Dopadł siłę nieczystą! Jakiś czas sycił się cierpieniem Złego, ale wkrótce radość ustąpiła przerażeniu.

Bo oto Dimaszk asz-Szam zniknął. Przez chwilę Łowca nie widział nic, tylko pulsującą plamę rażącego światła. Jednak ta szybko przygasła i pokazało się wypełnione półmrokiem pomieszczenie o ścianach z dziwacznymi malowidłami w jaskrawych barwach. Świątynia Jezidich, czcicieli Szatana? W niej kilku niewiernych odzianych w stroje, jakich al-Charid nigdy nie widział. Jakaś młoda kobieta, czarnowłosa, z okrągłym kawałkiem metalu w brwi krzyczała, tarzając się po podłodze, a zielony wąż skryty w matowoczarnej szkatule pozeriał jej dłoń...

– Brama do Piekieł – usłyszał głos anioła. Zamrugał. W gęstej, cuchnącej kałuży krwi spalonego demona spostrzegł pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila.

Rozejrzał się. W skąpanym w słońcu Dimaszk asz-Szame życie krzyczało nawoływaniem kupców, gwarem rozmów i wyciem osłów. Było jak zawsze.

\*\*\*

W Pai Tien, jak we wszystkich paowskich pudłach, nie było spacerniaka ani nawet wspólnej sali jadalnej. Poza celami więźniowie nie mieli ze sobą najmniejszego kontaktu – Zarząd Korporacji nie życzył sobie żadnych subkultur. Poza tym spacerniak i jadalnia to przywileje. A tych nie mogli mieć przestępcy działający na szkodę Niebiańskiej Korporacji

Pao. Sześć metrów kwadratowych i okno to wystarczająca przestrzeń.

Posiłki rozwoził tu android. Ograniczony zasób komend – minimum gwarantujące sprawną obsługę. Ociosana inteligencja, której nigdy nie pozwolono się rozwinąć. Dwa metry wzrostu i skryte pod skórą stalowe liny mięśni. Ale nie za mocne, miały służyć do pchania wózka i łamania karków awanturnikom, nie do rozginania blachy. Twarz – zlewka stu najpopularniejszych twarzy z HV.

Śniadanie. Zak z obrzydzeniem wessał rozmoczoną porcję ryżu. To, co nazywano tu ryżem, tworzył granulat z biopulpy hodowanej w potężnych silosach ze wszelkich możliwych odpadków organicznych. Taki ryż stanowił jedną ze specjalności Pao. Nowy Hongkong był strategicznym miejscem – stąd Korporacja zarzucała tanią żywnością z odzysku Europę i Amerykę Północną. Inne rejony świata zaopatrywały filie w Dakarze, Bombaju i Porto Alegre.

Uaktywnił odczyt czasu: pulsujące chłodnym fioletem cyferki na suficie. 08.12.

Przejeździł na głupolach już kilkanaście, może kilkadziesiąt akcji, ale dotąd były to tylko niewielkie wypadki poza getto. Zawsze krótko, zawsze intensywnie, jak dobrym terenowym wozem po wertepach. Z czasem doszło do tego swoiste uczucie klaustrofobii; przestawał traktować to jak grę, jak drugorzędną symulację. Z czasem obce ciało klona coraz bardziej ciążyło.

Ale teraz? Teraz było jeszcze inaczej. Głupol miał być namiastką wolności. Zak obawiał się tego uczucia. Taka wolność i niewolność zarazem. Obietnica, która nie musiała się spełnić.

08.17. Nagła myśl: rozdać własne karty. Zagrać bez Claudii Ronson i jej zabójczego zlecenia. Bez Relikwii i głupola. Bez oczekiwania na łaskę władców Pao. Zaryzykować! Puścić część danych do sieci. I ultimatum: oddajcie wolność albo pełna dokumentacja transakcji sprzed dwudziestu lat trafi do komputerów Cesarza i wszystkich azjatyckich partnerów handlowych Pao. Co powiedzą, gdy okaże się, przez kogo Korporacje Zjednoczone Ameryki omal nie wygrały wojny japońskiej? Naiwne. A może drugi raz włamać się do systemów Pao i dotrzeć do danych Pai Tien? Przesłać zapis o anulowaniu kary śmierci i ułaskawieniu. Wypuścić na wolność! Nieprawdopodobne.

08.34. Nie wychodząc z trybu netsurf, wybrał adres serwera RAC.

\*\*\*

Cesarska Korporacja Liang-Taoui miała tyle wspólnego z cesarzem, co Niebiańska Korporacja Pao z niebem. Cesarz Chin nie posiadał w niej nawet promila udziałów,

pozostając jedynie honorowym członkiem Zarządu. Bez wpływu na cokolwiek. Tak władca Państwa Środka nagroził ją za zasługi w wojnie japońskiej. W transakcjach handlowych w środkowowschodniej Azji był to duży atut.

Tereny Liang-Taoi obejmowały centralną część Nowego Hongkongu, łącznie z największym w mieście portem Naisuan, co dla Zarządu Pao było solą w oku i przyczyną nieustannych konfliktów. Terytoria obu korpopaństw oddzielały pilnie strzeżone granice; ostatecznie Zarząd L-T rozważał wprowadzenie wiz dla obywateli Niebiańskiej Korporacji.

Jednak w sieci nadal nie było granic i bez kłopotów połączył się z witryną Rent A Clone, firmy należącej do Liang-Taoi.

– Nasze modele pochodzą z uznawanego za wiodące laboratorium genetyki OrgLab, części Cesarskiej Korporacji Liang-Taoi – wyrecytował kobiecy głos z wyraźnie chińskim akcentem, gdy Zak wybrał arabskojęzyczną wersję obsługi klienta. – Wyposażone są w niewykrywalne tradycyjnymi metodami biochipy Grundig gwarantujące pełny dostęp do wszystkich funkcji organizmu oraz najnowsze netchipy Samsung włączone standardowo do sieci satelitarnej Xiaoping, własności Cesarskiej Korporacji Liang-Taoi, choć mogą być także obsługiwane poprzez inne sieci. Sieć łączności mobilnej Xiaoping składa się z siedemdziesięciu dwóch satelitów zapewniających łączność z dowolnym punktem na ziemi, a także bazami kosmicznymi na orbicie, Księżycu i Marsie. Satelity wspomagane są przez trzydzieści pięć tysięcy naziemnych stacji przekaźnikowych, co daje stuprocentową gwarancję płynnej obsługi systemu.

Wyszedł z działu „intro”. Przeglądał. „Dalsze informacje o sieci Xiaoping” – nie. „Inne oferty firmy RAC” – nie. „Warunki kontraktu, prawa i obowiązki klienta firmy RAC” – nie. „Szczegółowa instrukcja obsługi klona” – nie.

„Wybór modelu” – tak.

– Posiadamy dwieście dziesięć modeli obu płci, wszystkich ras, w każdym wieku i o dowolnych parametrach fizycznych – ciągnął ten sam głos, wspierając się projekcją. – W chwili obecnej dostępnych jest osiemdziesiąt siedem modeli, brak wśród nich rasy aryjskiej...

Rasa aryjska mnie nie interesuje. Dalej!

– ...oraz pigmejskiej odmiany rasy negroidalnej...

Pigmeja też nie potrzebuję. Dalej, dalej!

– Wszystkie klony charakteryzują się najwyższymi parametrami DNA, podlegają stałej kontroli lekarskiej, przechodząc regularne testy na obecność wirusów, bakterii chorobotwórczych, pasożytów, grzybów, prionów, pierwotniaków oraz nanoorganizmów.

Uciął tę wylizankę, klikając opcję „Przeгляд aktualnych modeli”.

Wybór według płci, rasy, wieku, parametrów fizycznych. Był też katalog „pop – all stars”. Gwiazdy filmu, VR, HV, muzyki, politycy, duchowni... Zak wybrał „rasy” i zawęził pole wyboru do „♂”.

Biała – tak. Semici – tak. Narodowości – to już nie miało znaczenia, bardziej liczyły się ID i siła fizyczna. Zrezygnował z dalszej selekcji w tym trybie i zaznaczył: „obiekty w wieku 20-30 lat”. Kliknął ikonę „przełącz”.

Zawartość: trzydzieści trzy modele. Zak oglądał kolejno ich trójwymiarowe projekcje: przedstawiały klony w sportowym stroju na siłowni, w białym smokingu na eleganckim party oraz czołgające się w wojskowej panterce.

Po kwadransie Zak wyselekcjonował czterech głupoli. Teraz musiał przyjrzeć się ich wszczepom identyfikacyjnym.

Pięć minut później był już zdecydowany. Wybrał model, zaaprobował warunki umowy, dokonał krótkiego testu i zapłacił przelewem z panasonica. Sytuację komplikował nieco fakt, że jego klon był dostępny w głównej siedzibie RAC w Szanghaju. Czyli kilka godzin do tyłu. Spostrzegł to dopiero po czasie. Mógł się jeszcze wycofać, ale nie chciał. Tym bardziej że bliżej Europy miał dosyć ograniczony wybór – kilku żółtków, jacyś mydlkowaci amerykańscy biznesmeni i czarnoskóry Kenijczyk. No i ten głupol naprawdę mu się spodobał.

Nowe ciało. Nowa twarz. Nowa osobowość. Malik al-Madani, algierski Berber, 28 lat, obywatel Islamskiej Republiki Maghrebu.

@@6

Stało się to pierwszego dnia miesiąca Zul Queeda. Dotąd Muhammad Ibn al-Charid szczyił się swą znajomością świata demonów. Wiedzę tę posiadał w chwili, gdy pierwszy raz nasunął na palec Bramę do Piekieł, pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila. Zbudzony o północy Łowca potrafił bez zająknięcia powtórzyć to, co o złych duchach mówi Księga, mógł również zacytować wybrane hadisy, zarówno te, które znalazły akceptację muftich, jak i krążące wśród ludu, wciąż niespisane i pozostające poza idźmą.

Wiedział: w przedostatnim dniu stworzenia Allah uczynił ogień Samum nie dający ani ciepła, ani dymu. Z czystego płomienia uformował Dżanna i Maridżę. Ich synowi, Dżinnowi, rodziły się tylko córki, Dżannowi – synowie. Łączone ze sobą potomstwo wydało na świat siedemdziesiąt tysięcy plemion demonów. Z biegiem czasu demonów przybywało, aż stali się narodem tak licznym, jak ziarnka piasku na pustyni. Z dymu ognia piekielnego zaś narodziły się gorsze od dżinnów szatany, by doglądać w Gehennie dusz potępionych.

Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, byłby w stanie wymienić je wszystkie z imienia. Niekiedy szatany przybierały postaci innych stworzeń, ale on potrafił zajrzeć w głąb dusz, wsłuchać się w ich muzykę i rozpoznać je tym sposobem w mgnieniu oka. Tak było do pierwszego dnia miesiąca Zul Queeda.

Osadzone na samym środku lazurowego nieboskłonu słońce grzało tak mocno, że i Muhammada Ibn al-Charida ogarnęło błogie rozleniwienie. Jedynie z poczucia obowiązku obszedł całe miasto, zaglądając w znane mu już na pamięć kąty i dziury, w których lubiły przesiadywać zmęczone nadmiarem światła dżinny. Jednak tego dnia przysnęły gdzieś znużone. Anioł-przewodnik również milczał.

Pusto, cicho, spokojnie. Żadnych szataniat. Łowca uśmiechnął się zadowolony – nieczęsto zdarzały się takie chwile. Nasłuchując na wszelki wypadek muzyki dusz mijanych przechodniów, skierował się do medyny, by w swej ulubionej kawiarni popalić egipskiego aromatycznego tytoniu.

Wtedy spotkał kobietę. Muhammad Ibn al-Charid próbował gorączkowo rozpoznać jej imię, dojść, z którego pokolenia dżinnów pochodzi i jaka jest jej prawdziwa postać. Bezskutecznie. Ani Święta Księga, ani hadisy Sunny nie wymieniały takiej istoty, jego anioł-pomocnik także się nie odzywał.

A jednak ta kobieta nie wyglądała, jak kobieta wyglądać powinna. Włosy, ramiona, uda były całkowicie obnażone. Zamiast tradycyjnych długich szat i kwefu okrywającego twarz – obcisłe buty za kolana i rękawice do łokci z niebieskiej skóry nieznanego zwierzęcia. Mocno przycięty płat takiego samego materiału okrywał jej brzuch, uwypuklając dorodne piersi i niemal całkowicie odsłaniając pośladki. Na głowie zielone włosy z wijących się węży. Twarz okrągła, barwy żółtawej.

Oczy skośne. W ręku długi bat.

I żebyż tylko to! Kobieta była wysoka jak minarety w meczecie Omajjadów. Stała w lekkim rozkroku, zaś cały suk al-Hamidija mieścił się między jej nogami. Śmiech tej istoty brzmiał jak gwizd wichru w skalnej rozpadlinie.

Wąskie uliczki Dimaszku asz-Szamu, zawsze nabite ludzkim i zwierzęcym tłumem, opustoszały nagle.

– Sado-maso! Sado-maso! Nie ma lepszego seksu niż małe sado-maso! – szepnęła głosem przypominającym szum burzy piaskowej. Przeciągnęła batem po ciele.

Muhammad Ibn al-Charid nie pojmował znaczenia jej słów, ale czuł, że to jakaś diabelska modlitwa. Zsunął z ręki Bramę do Piekieł, gotów do ataku. Nigdy dotąd nie spotkał tak zuchwałego demona: żaden nie zjawiał się tu w swej prawdziwej postaci. Ujął pierścień w

dwa palce, wzniosł go do góry i ściskając w drugiej ręce laskę z czerwonego hebanu okolonego srebrnymi węzami, postąpił krok do przodu.

– Allah! Allah! Nie ma Boga niż tylko on – zaczął recytować Werset Tronu, najlepszą obronę przed Złymi. – Żyjący, Istniejący! Nie chwyta go ani drzemka, ani sen...

Kobieta-demon zaśmiała się jeszcze głośniej. Ugięła lekko nogi i nagle mocnym zrywem wyskoczyła w górę.

Wywinęła w powietrzu salto, lądując na dziedzińcu meczetu.

Usiadła na kopule świątyni, odchyliła głowę w tył i stęknęła, namiętnie przymykając oczy.

– Chcę rozkoszy... – wyjęczała płynnie po arabsku. Muhammad Ibn al-Charid nie przerywał recytacji.

– ...Tron jego obejmuje niebiosa i ziemię... Kobieta-demon zerwała się i wybiła do kolejnego salta. Wylądowała i uniosła bicz.

Trzask...

W głowie Muhammada Ibn al-Charida siedem tysięcy piorunów. I ból jak kopnięcie wielbłąda. Przerazenie – tam gdzie trafił koniec bata, pękała ziemia. Podłużna szpara. Wstrząs. Nagle stracił grunt pod nogami. Upadł.

Trzask...

Siedem tysięcy burz uwolnionych z łańcuchów, z piekielnych czeluści. Łowca był bliski omdlenia. Szczelina rozszerzyła się z ogłuszającym łoskotem, przedzielając miasto na pół. Spojrzał w dal: bat rozciął ziemię jak skalpel skórę, do żywego mięsa; rana była tak długa, że ludzkie oko nie mogło objąć jej w całości.

Rzucił się w przód w ostatniej, desperackiej próbie powstrzymania demona, mierząc weń swym hebanowym kijem.

Trzask...

Ale kolejne cięcie powstrzymało go. Zarył nosem w kupę ośle gojnu; uderzenie wytrąciło z jego dłoni Bramę do Piekieł. Pierścień z brzękiem potoczył się do kanału z fekaliami. Hebanowa laska, głucho stukając, poturlała się gdzieś w tył.

Pierścień! Znów przepadł, tym razem utopiony w fekalnym szlamie! Na Allaha!

Niespodziewanie wszystko ucichło. Muhammad Ibn al-Charid uniosł głowę: kobieta-demon zwinęła bat i uśmiechając się szyderczo, przykucnęła na brzegu szczeliny.

– Kochanie, ty chyba też lubisz SM? – Jej zielone usta ściągnęły się w dzióbek i cmoknęły głośno.

Łowca patrzył ze zdziwieniem: szatanica chwyciła przeciwległy skraj powłoki

ziemskiej jak wielki dywan i pociągnęła go mocno do góry. Zawinęła brzeg i wstała.

Muhammad Ibn al-Charid zadrżał przerażony. Takie rzeczy nie miały prawa się zdarzać!

Oto zły duch, który swoją butą przewyższa samego Iblisa.

Nadchodzi koniec świata! Zaraz ziemia Ard spadnie na ziemię Ramakę, gdzie z woli Pana powstało takie samo życie jak na Ard, a czas przyspieszył swój bieg o osiemset trzydzieści lat!

Kobieta-demon kopnęła zawinięty skraj ziemskiego dywanu. Powłoka z chrzęstem zrolowała się aż po sam horyzont. Pół Dimaszku asz-Szamu ze wszystkimi domami, meczetami, minaretami. I górą Cassion...

Muhammadowi Ibn al-Charidowi przemknęło przez myśl, że nie powinien tam patrzeć. Pan na pewno nie życzyłby sobie tego. Łowca odwrócił się i zamknął oczy. Jednak ciekawość zwyciężyła. Ziemia za osiemset trzydzieści lat!

Spojrzał. Nie zobaczył Ramaki uczynionej z woli Boga na podobieństwo Ard. Nie zobaczył nic z rzeczy oczekiwanych.

Zobaczył szkielet świata. Żarzył się fioletowo-niebieskim blaskiem, wypełniając całą przestrzeń. Znikło gdzieś niebo, zniknął zrolowany Dimaszku asz-Szam.

Wszędzie wielopłaszczyznowa, lśniąca pajęczyna obwieszona niczym rosą setkami, tysiącami barwnych figur pulsujących w nieustannym ruchu. Gdzieś na krańcach tej konstrukcji dostrzegł większe bryły. Zimne, statyczne monolity.

A między nimi pusta przestrzeń. Czerń. W niej srebrzyste kule i jaskrawozielone, przezroczyste sfery. Pomarańczowe sześciiany. Żółte walce. Ostrosłupy ze złota. Wzorzyste wstęgi.

Al-Charid wyszeptał:

– Panie mój...

Przerażenie zdławiło mu gardło. Zobaczył coś, czego nie rozumiał. Zobaczył coś, czego nie powinien widzieć.

– Panie mój...

Czas stał w miejscu. Upiorna wizja nie przemijała.

Fioletowobłękitna pajęczyna.

Nagle szkielet świata i zawieszony na nim figury poczęły tracić swój intensywny blask, potem barwy. Powoli bieleły, rozmywając się i stapiając w jedno. Czerń wypełniła mleczna mgła.

BŁYSK.

Wtedy spadł w niebyt.

\*\*\*

Klon nie ma świadomości istoty myślącej. Klon to tylko organiczna maszyna. Laboratoryjne mięso. Nie cierpi albo cierpi bardzo mało. To proteza, jak ręka czy noga wyhodowana przez znudzonych biotechnologów. Jego kora mózgowa jest niedorozwinięta, zmysły przytępione. Kiedyś naukowcy dokonają kolejnego cudu – chorzy czy starcy zamienią swe ułomne ciała na zdrowe organizmy klonów. Praktycznie i czysto. I tak stanie się nowy cud stworzenia – klon przestanie być głupolem, zyska duszę i będzie jej posłuszny. Ale to będzie kiedyś...

Tymczasem klon nie ma duszy: z jednego ciała nie mogą inną drogą niż poczęcie powstać dwa ciała i dwie dusze. Dwa ciała i jedna dusza – tak, ale to drugie ciało to nie jest człowiek, nie osiągnie zbawienia. Jak zwierzę.

Klon to głupol.

To samo uczucie, a jednocześnie za każdym wejściem trochę inne. Nowe ciało. Nowa twarz.

Za pierwszym razem, gdy się nie zna jeszcze wewnętrznej logiki głupolowych ruchów, to jest jak zbyt trudna gra VR. Bohater wymyka się spod kontroli, zamiast iść do przodu – skacze w tył, zamiast długą serią rozwalić armię krwiożerczych Obcych, odrzuca karabin i bezradnie obija się o ściany. Łatwo wtedy rozbić klona na miazgę (szczególnie na ulicznym ringu: głupol przeciwko głupolowi, stawka sto riali). Grę over i następna gra, podładowana updatem dodatkowego życia. Nowy klon, do krwi, na strzępy. Żadna strata, ważne, że zabawa trwa. Z czasem jednak jeździec tworzy jedność ze swym wierzchowcem; jego nerwy splatają się z nerwami głupola we wspólną sieć. Do mózgu docierają setki nowych bodźców; oszalamiają, beztroskę gracza dusi ucisk niepokoju.

Jego oddech jest twoim oddechem, jego ból jest twoim bólem. Jego śmierć wydziera strzęp twojego życia...

Zakowi trudno było zliczyć klony, na których jeździł. Wchodził w nie momentalnie, od razu wychwytyując najdrobniejsze niuanse.

Był więc oto w środku: Malik al-Madani. Przed nim lustro w holu RAC w Szanghaju. Myśli te same, ale twarz inna. Okrągła, śniada, przypieczona afrykańskim słońcem, ogorzała od wiatrów Sahary. Końce czarnych włosów sterczących spod wzorzystej, czarno-białej chusty. Starannie przystrzyżony wąs. Czarny burnus, na nim szara marynarka w prążki. Imiędz nieznośny, ale na razie wskazany.



Ciało. Oczy otwierały przed nim nową przestrzeń. Podniósł do nich dłonie. Silne, o grubej skórze łuszczącej się na kostkach palców. Obce, nieprzyjemne. Przeszedł parę kroków w przód i tył. Mięśnie pracowały płynnie, choć wyczuł w nich nieoczekiwaną siłę. To nieraz sprawiało największą trudność, ciężko było operować klonem silniejszym od siebie. Odwieczny problem robota: jak unieść szklankę, nie zgniatając jej? Jak ucisnąć dłoń, nie wyrwijając całego ramienia?

Odchrząknął i wypowiedział kilka zdań po arabsku. Lekko ochrypliły głos maskował niepożądany europejski akcent, jaki Zak bezwiednie nadawał jego słowom. Dobrze.

Nowe ciała zawsze fascynowały go, mógł godzinami oglądać je w lustrze, ruszając palcami, drepcząc i przenosząc przedmioty z miejsca na miejsce.

Oderwał się od tego i skierował ku drzwiom. Szedł ulicą zachwycony żywym miksem zapachów i temperatur. Przechodził koło taniej knajpki – uderzało go gorąco i aromat imbiru. Mijał elegancki sklep – smagał go chłód klimatyzacji i dyskretne nutki drogich perfum. Nogi owiewały mu duszne podmuchy z wentylatorów metra. Znowu bar – teraz hinduski, o wyrazistym zapachu curry.

Spojrzał w górę. Szare niebo to coś sto razy piękniejszego niż blady sufit celi. Tysiąc razy niż sufit czerwonego karceru. Z trudem tłumił euforię. Wolność! Zak Gaber pozostał gdzieś w Pai Tien, puste ciało bez ducha. Malik al-Madani, wolny człowiek przemierzający w zachwycie ulice Szanghaju. Kilka tysięcy kilometrów od tego zimnego, grenlandzkiego pudła. Miasto kusilo go swym azjatyckim kolorytem, wołało tysiącem knajpek i sklepików; holograficzne reklamy błyskające między wyniosłymi sylwetami drapaczy – zazwyczaj ignorowane – teraz przyjemnie drażniły jego nerwy wzrokowe soczystą zielenią, błękitem i dziesiątkami innych barw. Mniejsze, samobieżne hologramy reklamowe pospiesznie skanowały chipy przechodniów, żeby zwrócić ich uwagę: „Witaj, Cheng”, „Jak się masz, Wei?”, „Miło mi cię widzieć, Kwong”. Żonglowały niczym cyrkowcy marzeniami na sprzedaż.

Czuł się jak dzieciak.

Zjechał ruchomymi schodami na stację metra i wmieszał się w skośnooki tłum. Jakiś czas błądził po pięciu poziomach łączących dziesięć linii kolejki – szukał tej, która zawiozłaby go na lotnisko. Był tu raz, kilka lat temu. Chociaż szczegóły już mu nieco umknęły, to jednak nie miał większych problemów z odnalezieniem właściwego kierunku.

Żeby najkrótszą drogą dostać się do Berlina, musiał lecieć przez Stambuł. Kupił od razu w tureckich liniach THY łączony bilet do Hamburga.

Korzystając z nadmiaru czasu, przeszedł się główną aleją biegnącą od terminalu.

Spojrzawszy na neonową witrynę baru z tajskim fast foodem, Zak przypomniał sobie: Malika al-Madaniego należało regularnie karmić, by nie padł bez sił w najmniej spodziewanym momencie.

Jak to jest jeść potrawy cudzymi ustami? Smakować nie swoim podniebieniem?

Przekonał się: jakby nie jeść i nie smakować w ogóle. Jego netchip nie był w stanie przekazać takich bodźców. Mimo to długo przeglądał menu, aby nacieszyć się choć nazwami potraw. Omijał tylko te z ryżem.

W samolocie pozwolił Malikowi zasnąć. Upewniwszy się, że klon nie sprawi żadnych kłopotów, Zak zakończył połączenie i wrócił do celu.

\*\*\*

Jak zejście po cracku, jak świt po zarwanej nocy. Jak śmierć. A to dopiero początek...

Zak leżał na pryczy, tępo wpatrując się w sufit. Gorąco i duszno... Czuł pragnienie, ale nie miał sił, by wstać. Z dołu dochodziło mamrotanie Toiinte. Modlitwa nieustanna jak wycie wiatru za murami.

Przemógł się i zeskoczył z łóżka. Siorbnął trochę wody. Wrócił.

Ponownie uaktywnił panasonica i wybrał opcję „surf”. Korzystając z Xiaopinga, połączył się z Citta del Nuovo Vaticano, papieską dzielnicą Sao Paulo. Wybrał tamtejszy serwer z interesującymi go zasobami Biblioteki Watykańskiej.

Przekopanie się przez zalew danych, żywotów papieży, papieskich encyklik i homilii, dokumentacji z papieskich podróży, zabrało mu trzydzieści cennych minut. Nie miał zbyt dużo czasu: za następne pół godziny samolot z Malikiem al-Madanim miał lądować na lotnisku Yesilkoy.

Wciąż nie mógł zdobyć potrzebnych informacji. Prześledził cały życiorys Jana Pawła II, nigdzie jednak nie znalazł choć krótkiej wzmianki na temat Relikwii.

Wyszedł z biblioteki. Zaczął pobieżnie, w coraz większym zdenerwowaniu, przeglądać serwery poszczególnych zgromadzeń zakonnych. Gdy samolot podchodził do lądowania w Stambule, wybrał adres jezuickiego Radia Chrystus. Jest! „Relikwia →Dłoń Jana Pawła II →Info”.

Skopiował samą ścieżkę dźwiękową animacji i przeskoczył do głupola.

\*\*\*

Na lotnisku Enwera Paszy w Yesilkoy – przytłaczającym ogromem terminalu, zbudowanym na miejscu zburzonego przed laty portu Atatürka – zazwyczaj niemrawi celnicy

nagle bystrzeli przy odprawie lotów do Turcji Północnej. Zeskanowali dane z chipu ID Malika al-Madaniego, po czym długo analizowali je na ekranie komputera. Za długo. Serce Zaka łomotało basowo: wpadka na samym początku! Ale nie – jeszcze rutynowe prześwietlenie, automatyczne sczytanie wzoru siatkówki przez bramkę antyterrorystyczną i był wolny.

Gdy tylko wsiadł do drugiego samolotu, uśpił głupola i wyskoczył z powrotem. Wsłuchał się w historię Relikwii.

#### RELIKWIA NO. 428\PI\1\JP11

Dzień, w którym pochowano papieża Jana Pawła II w Grotach pod Bazyliką Świętego Piotra w Watykanie oznaczał początek starań Polaków, by ciało ich wielkiego rodaka sprowadzić do ojczyzny. Mieli żal, że tak wybitna osobistość spoczywa w mało honorującym jej zasługi miejscu, jako godniejsze wskazując Wawel – obok polskich królów. Jednak wraz z wyborem nowego Biskupa Rzymu polskie lobby wśród watykańskich księży straciło swe rozległe wpływy. Nawoływania te długie lata były ignorowane.

Zimą 2017 roku nad południową Europą przetoczyła się fala długotrwałych, ulewnych deszczy. Przez trzy tygodnie w Hiszpanii, Grecji i we Włoszech zanotowano niespotykaną dotychczas sumę opadów, którym towarzyszyły liczne powodzie. Dociekanie przyczyn tej anomalii pogodowej stanowiło przez kilka kolejnych miesięcy pożywkę nie tylko dla badań meteorologów, ale także dla głosicieli apokaliptycznych wizji upadku cywilizacji i końca świata. Anomalia, nazwana później „ulewą stulecia”, doprowadziła do powstania ośmiu nowych sekt religijnych i parareligijnych. Członkowie dwóch z nich rok później popełnili masowe samobójstwa, gdy nadeszła kolejna fala opadów – tym razem jednak nieporównywalnie mniejsza, trzydniowa.

Włochom fala ulewnych deszczy przyniosła – poza stanem klęski żywiołowej w całym kraju – dwa istotne wydarzenia. Pierwszym było kompletne zniszczenie Wenecji, którą mimo przemysłnego systemu zabezpieczeń zatopiły rozszalałe wody Zatoki Weneckiej. Drugim – zalanie Watykanu, gdzie przepełniona kanalizacja połączyła się z wodami podskórnymi. Choć nie wyrządziło to znaczących strat materialnych, miało znaczenie symboliczne: wzburzona woda dokonała zniszczeń wśród papieskich grobowców. Mimo solidnej konstrukcji częściowemu uszkodzeniu uległ również grobowiec Jana Pawła II.

To wydarzenie ożywiło papieskie sentymenty Polaków, powodując kryzys dyplomatyczny między rządem Polski, zdominowanym wówczas przez odwołującą się do wartości chrześcijańskich partię Sojusz Prawicy Katolickiej, a Watykanem oraz rządem Włoch. Polacy podnieśli larum, że

profanacji uległa ich największa świętość. Naciski dyplomatów rządu RP sprawiły, że grobowiec Jana Pawła II został potraktowany priorytetowo. Znalazł się na pierwszym miejscu listy obiektów do generalnego remontu.

Jednak prawdziwy skandal miał dopiero wybuchnąć. Gdy zespół specjalistów rozpoczął prace remontowe i restauracyjne, wyszła na jaw wstrząsająca profanacja zwłok papieskich. Nieznany sprawca, prawdopodobnie jeszcze przed dokonaniem pochówku, odciął prawą dłoń Jana Pawła II. To już przepełniło czarę goryczy Polaków. Powszechnym wśród nich stał się głos, że gdyby we właściwym czasie przeniesiono ciało na Wawel, takie haniebne świętokradztwo w ogóle by nie miało miejsca. Wznowiono więc starania o ekshumację zwłok Ojca Świętego i sprowadzenie ich do ojczyzny. Rząd RP wyasygnował dużą kwotę na budowę monumentalnego grobowca, zaś właściciel sieci małopolskich ubojni bydła – Stefan Ryszard Wieczorek – sfinansował próżniową trumnę z najszlachetniejszej odmiany kryształu okutą srebrem i zdobioną bursztynem.

Mimo niezaprzeczalnych atutów polskiego lobby zabiegi te nigdy nie zostały uwieńczone sukcesem. Watykan zasłaniał się faktem, że Jan Paweł II nie pozostawił woli pośmiertnej zalecającej przeniesienie jego ciała do Polski. W takiej sytuacji stosowano rozwiązanie rutynowe – papieży chowano w Watykanie. Jan Paweł II był przecież nie tylko Polakiem – uzasadniała kuria – lecz także Ojcem Świętym dla wszystkich katolików na całym świecie.

Niezależnie od tego sporu polska Agencja Wywiadu, w porozumieniu z Watykanem i włoskimi służbami specjalnymi, wszczęła działania mające na celu wyjaśnienie okoliczności profanacji zwłok papieża. Jednak nie przyniosły one efektów.

W roku 2034, gdy skandal ucichł nieco, dłoń Jana Pawła II pojawiła się – już jako Relikwia, sprawczyni cudownych uzdrowień – na czarnym rynku; ze złotymi paznokciami wstawionymi zamiast prawdziwych i złotym gwintem w miejscu ucięcia. Nabywca – szwajcarski finansista, uznał ją za doskonałą lokatę kapitału, jednak wkrótce po dokonaniu transakcji zabił go piorun. Powszechnie uznano to za karę Bożą. Tymczasem dłoń papieża zaginęła.

Trzy lata później (już po wybuchu „rewolucji korporacyjnej”) naliczono czterdzieści osiem Relikwii; tylko dziesięć z nich wytrzymało wstępną weryfikację. Ponieważ nieustannie zmieniały właścicieli, jeszcze przed wybuchem Dżihadu nikt nie był w stanie wskazać oryginału.

\*\*\*

Chaos. Myśli Muhammada Ibn al-Char ida kotłowały się jak suche liście rozdmuchiwane przez wichurę. Nie było w nich żadnego porządku.

Milczenie. Usta Łowcy Demonów zacisnęły się: nie wychwalały Najwyższego ani nie złorzeczyły, nie powtarzały wersetów z Księgi i nie krzyczały w bolesnym zwątpieniu. Ogień,

dotąd gorejący jasnym światłem w duszy Muhammada Ibn al-Charida, przygasł. Pozostało tylko pomarańczowe oczko żaru mrugające pod kożuchem popiołu.

Gdzieś tam, w rynsztoku, wciąż spoczywał spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila. Brama do Piekieł.

Anioł-pomocnik bezskutecznie próbował wyrwać Łowcę z odrętwienia, podpowiadając mu:

- Dwa dzinny w El-Akrad, za błękitnym meczetem.
- Szatanię pod przeszłem mostu na Baradzie, obok BabTuma.
- Ghul z pustyni kręci się po Charkasije.

@@7

Łowca Demonów siedział nieporuszony, ze szklanym wzrokiem zawieszonym w przestrzeni. Mijał drugi dzień – a on tylko ćmił wodną fajkę. Samotny jak nigdy dotąd. Złośliwy chichot złych duchów puszczał mimo uszu niczym śmiech hieny na pustyni.

I oto anioł Dżibril zjawił się przed nim po raz wtóry. Jak poprzednio wyszedł z dymu nargili najpierw w swej prawdziwej, czteroskrzydłej postaci, by zaraz przekształcić się w zgarbionego staruszka.

Przysiadł na pufie i oparłszy łokcie na stoliku, rzekł: – Ludzka istota jest mała wobec Boga jako ziarnko piasku przy górze Qubajs. Mądrość Pana jest niezmierna, głębsza niżli siedemdziesiąt tysięcy oceanów. Oczy sięgają siedemset razy dalej niż najbystrzejszy jastrząb. Z oddechu Najwyższego powstało siedem nieboskłonów, siedem ziem i siedem piekieł, wszystkie gwiazdy, słońce i księżyc. To On ciska pioruny i rosi ziemię deszczem. On jest pierwszym i ostatnim, jawnym i ukrytym. Powiedz, czy zgaśnie twa wiara w Tego, który stworzył ziemię w ciągu dwóch dni?

Łowca milczał długo, jakby nie spostrzegł gościa i nie słyszał jego słów.

– Kto przywróci mi dawne szczęście, chwile, gdy osłaniał mnie Pan, gdy rozpraszał mrok, świecąc lampą nad moją głową. Pod jej blaskiem śmiało kroczyłem przez ciemność...

Chciał dokończyć, ale głos mu uwiązł w gardle.

– Jasność przysłoniły teraz chmury – powiedział anioł – lecz wiatr zawieje i rozpędzi je. Wszechmocny jest Bóg i myśl człowiecza nie obejmie Go. Siedemset razy dziennie spogląda Allah na tablicę przeznaczeń. Każdym z tych spojrzeń daje życie lub zsyła śmierć, wywyższa lub poniża, wydaje sądy, zaszczyca lub upokarza, tworzy wedle swej chęci i rozstrzyga o tym, co jest właściwe, a co nie. Twym przeznaczeniem nie jest dociekanie

śluszości Boskich czynów; zostałeś powołany, by przeganiać demony.

– Demony... – powtórzył jak echo Muhammad Ibn al-Charid. – Demony tańczą wokół mojej głowy, śmiejąc się: „szachownica!”.

– Chcą nadważyć fundamenty twojej wiary. Zostaną zapędzeni do Gehenny ci, którzy zwątpili. I powiedzą do nich strażnicy: „Czyż nie przychodzili do was posłańcy, niosąc słowo Pana, i nie ostrzegali przed dniem gniewu?”. W Gehennie już czekają na wątpiących czeluście pełne węży grubych jak szyje wielbłądów i skorpiony jak czarne muły. Potępieni zostaną rzućeni tym węzom, a one kasać będą ich wargi i zdzierać skórę z ich ciał, od włosów po paznokcie u nóg. Jedno użądlenie piekielnego węża daje ból trwający czterdzieści lat. A jedyna ucieczka to rzućenie się w ogień.

Muhammad Ibn al-Charid odważył się wreszcie wykrztusić:

– Demony odwróciły ziemię do góry nogami, rozdarły ją jak przetarty dywan, zabierając słońce i niebo. Gdzie jest siedem ziem,, ziemia Ramaka z życiem jak na Ard osiemset lat później, gdzie są bramy piekieł? Do Tronu Allana sięgałem duszą, jednak Pan nie wysłuchał mnie.

– Najłagodniejszą karą dla tego, który da się zwieść demonom, dla wątpiącego, który pójdzie śladem ich iluzji, zamykając duszę dla Boga, będą ogniste sandały, które zagotują mózg jak wodę w miedzianym kotle, a uszy i zęby trzonowe zajarzą się jak węgle, wnętrzości zaś roztopią się i spłyną do nóg potępionego. A kto by sądził, że to najsroźsza kara, niech wie, że to tylko wstęp.

– Ten demon, kobieta-olbrzym z batem. Znam imiona i muzykę wszystkich złych duchów. Ale tego nie mogłem rozpoznać.

– To córka Iblisa, Faktasa. Jest bardzo groźna, choć nie tak, jak myślisz. Ma pewną moc, dar od samego Nikczemnego Zdrajcy, dlatego trudno ją poznać. Wyczynia różne efektowne sztuczki, obraca złą magią, sypie przeciwcudami jak z worka, ale nie lękaj się, że odbierze ci życie. Lękaj się raczej tego, że zabije w tobie wiarę. Faktasa czyha na twoje zwątpienie, by je pochwyć i użyć przeciw tobie i Najwyższemu.

– Ta lśniąca pajęczyna...

– Utkwały ją demony z nici wyciągniętej ze śliny Iblisa. Cuchnąca siarką i ohydnie lepka jest ślina Iblisa. Łatwo się przylepić. Kto się przylepi, to jakby stanął przed pierwszą bramą piekła. Tu go powitają szatańscy kaci z rozpalonymi do białości kajdanami i łańcuchem, który zostanie wetknięty w usta potępionego, przeciągnięty przez gardło i trzewia. Lewa ręka zostanie przykuta do szyi. Prawa przewleczona przez serce, wyciągnięta między łopatkami i tam przykuta. Każdy będzie wleczony na twarzy i bity żelaznymi maczugami.

– Te błyszczące figury...

– To drobiny ognia z piekielnych kotłów. Kotłów jest siedemset tysięcy i w każdym gotuje się żywy ogień o innym kolorze. Potępieni będą złorzeczyć i płakać przez tysiąc lat, a potem przez następny tysiąc i jeszcze przez lat tysiąc, prosząc Boga o orzeźwiający deszcz. Naraz zobaczą czarny obłok i ucieszą się, myśląc, że nadciąga burza. Wtedy posypią się na ich głowy skorpiony wielkie jak muły i będą ich kasać okrutnie. A ci, którzy bali się swego Pana, zostaną wprowadzeni do ogrodu grupami i zastaną otwarte bramy. A stróże im powiedzą: „Pokój wam! Byliście dobrzy, więc wejdźcie”. W rajskim ogrodzie wieczyste światło rozsiewać będzie światłość, która nigdy nie zagaśnie. Raj zbudowany jest na przemian ze złotych i srebrnych cegieł i wybrukowany piżmem. Pył raju to ambra, trawa to szafran, pałace są z pereł, ich komnaty z hiacyntów, a drzwi z klejnotów. Płynie tam tyle rzek, że ich liczbę zna tylko Bóg, w jednych jest mleko, w innych miód, a w jeszcze innych wyborne wino. Hurysy o urodzie tak precudnej, o jakiej nikt nie śnił nawet, podawać będą świeże owoce i napoje. Posłuszeństwo i pokora wobec Boga Jedyne to filary przebaczenia, które zapewniają raj.

NIE TRĄĆ WIĘC WIARY.

UFAJ W BOGU.

POZABIAJ WSZYSTKIE DEMONY.

\*\*\*

Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, ukląkł w kupie gnoju pośrodku suku al-Hamidija. Puszczając drwiny gawiedzi mimo uszu, pochylił się i zanurzył rękę w wypełnionym parującymi fekaliami kanale zabarwionym na czerwono krwią rznętych na straganach zwierząt, pełnym wirujących śmieci.

Długi czas uważnie badał dno, przebierając palcami w mule. Wreszcie sapnął zadowolony. Wyprostował się i zaczął oczyszczać swą zdobycz: Bramę do Piekieł, spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila.

Anioł-pomocnik podpowiadał:

- Dżinny w El-Akrad wdrapały się na sam szczyt minaretu.
- Szatanię ściągnęło z mostu objuczonego wielbłąda do wody.
- Ghul z pustyni ostrzy w ukryciu pazury.

Łowca pozabijał.

\*\*\*

Widok hamburskiego lotniska Sulejmana Wspaniałego mógł posłużyć jako ilustracja hasła encyklopedycznego „chaos”. Przestronną halę wypełniał rozgorączkowany, rozgadany tłum, którego poszczególne atomy nieustannie obijały się o siebie i zderzały. Turcy w fezach i szarawarach, w wyświechtanych garniturach narzuconych na białe, europejskie koszule i niezmiennie chłodni, choć równie hałaśliwi Niemcy. Większość kobiet okrywały długie eklektyczne w stylu szaty, orientalno-futurystyczne połączenia czadorów i kosmicznych skafandrów. Fason lansowany przez arabskich kreatorów mody z Paryża.

Tablice świetlne podawały informacje sprzeczne z komunikatami odczytywanymi po turecku i niemiecku przez zachrypnięty komputer. Bez znaczenia. Wiedział, że połączenia lotnicze i kolejowe z Berlinem wciąż pozostawały w zawieszeniu. Od dwudziestu lat. Odkąd skażone w pierwszej fazie Dżihadu miasto otoczono murem. Zresztą niewielu było podróżnych, którzy mieliby tam jakieś interesy. Normalni obywatele Turcji Północnej do takich nie należeli.

Przebił się przez to ludzkie mrowisko. Po cierpliwym dreptaniu w kolejce zdołał kupić bilet do Magdeburga. Teraz pozostało mu tylko czekać cztery godziny na piętnastominutowy lot.

\*\*\*

W imbissie na dworcu kolejowym w Magdeburgu kupił Malikowi kebaba; cena biletu na loty krajowe nie obejmowała posiłku. Wyglodzony klon to klon, nad którym łatwo utracić kontrolę. Czyli wpaść w problemy.

Niedożywiony głupol bywał nieobliczalny – potrafił zerwać się i w przyпіlywie bezmyślnego szału, zwierzęcej furii, zdemolować restaurację, koło której nieopatrznie prowadził go właściciel, bijąc gości, kelnerów i kucharzy. Napchawszy żołądek, poddawał się woli jeźdźca, obarczając go całą odpowiedzialnością za swój atak. Podczas jazdy na głupolu trzeba było zawsze pamiętać o jego potrzebach.

Po godzinie monotonnego szumu wlokący się niemożliwie regionalekspress dojechał do Potsdam-Stadt, ostatniej stacji kolejowej na trasie do Berlina. Jeszcze kilka minut jazdy podmiejskim S-Bahnem i wkrótce Malik al-Madani był już w Wannsee.

\*\*\*

Burnus chwycił się krzaków i zbierał błoto z dróg. Zmoczony przylegał do nóg i utrudniał ruchy. Malikowi w ogóle to nie przeszkadzało. Zakowi – tak. Najchętniej cisnąłby niewygodny łach do rowu. Ale widok półnagiego Araba w samych majtkach i marynarce



pomnożyłby tylko problemy.

Dwa kilometry na południowy wschód za Wannsee rozciągała się Zona: szlabany na głównych drogach, zasieki, pasy zaoranej ziemi. Wszystkiego pilnowali tureccy żołnierze z 19. Pułku im. Dżemala Paszy; obsadzali posterunki o lokalizacji niezmiennej i wiecznej jak sam Allah. Zak dobrze znał okolice Wannsee, pamiętał rozstawienie wszystkich budek strażniczych na tym terenie, także trasy patroli. Nieraz korzystał już z tego przejścia, również ostatnio, uciekając agentom Pao jako Jerko Ahmadović. Niekiedy miał wrażenie, że tureckie wojsko przywiązuje największą wagę do pompy i pozorów, nawet te bataliony, w których służyli Niemcy. Gdyby wysiłek włożony w strzeżenie Zony był proporcjonalny do liczby tablic z trupimi czaszkami: grożących, ostrzegających, a gdy trzeba – również dezinformujących, do Getto-Berlina nie prześlizgnąłby się nawet scyborgizowany karaluch.

Jednak dla Zaka przejście Strefy Zakazanej było jak spacer po miejskim parku. W razie wpadki mógł posłużyć się wygodną wymówką – jest turystą z Islamskiej Republiki Maghrebu, mówi tylko po berberyjsku i arabsku, zaś napisy na tablicach ostrzegają po turecku i niemiecku. Zgubił się i błądzi. Profilaktycznie, na wypadek gdyby dane z chipa identyfikacyjnego nie dość przekonująco potwierdzały „wersję turysty”, wybrał najbezpieczniejszą z kilku możliwych ścieżek, tym samym najdłuższą. Omijała Zehlendorf. Kryjąc się pod osmalonymi ścianami ruin straszących ślepymi oczodołami okien, szybko dotarł w pobliże muru. Nie wychodząc z jego cienia, wślizgnął się na teren opuszczonej fabryki. Minął zdewastowane hale posępne niczym zamczyska trolli, po czym dobiegł do tworzącej ponad dwudziestometrową wieżę płataniny porzewiałych, opasyłych rur scalonych stalowymi rusztowaniami. Wdrapał się na szczyt po metalowej drabince wmontowanej wewnątrz tej konstrukcji.

Bocianie gniazdo. Stąd mógł wypatrzeć patrole.

– Co jest, do kurwy... – stęknął. Na ulicy, pośrodku której znajdowało się zejście do kanału, stał transporter opancerzony, a jego załoga buszowała po okolicznych domach. Szukali czegoś.

Musiał czekać. Więc czekał, przeklinając żołdaków.

\*\*\*

**„Newsweek Bośnia”, nr 15/2067**

**DŻIHAD ZACHODU I DŻIHAD ISLAMU**

Sytuacja na rynku paliwowym a nowa geografia polityczna świata

## Radko Husejnović

*Jest rok 2051. Islamscy Bojownicy Proroka rozprzestrzeniają w największych miastach korporacyjnej Europy pleśniaka perskiego – broń biologiczną z laboratoriów irańskich naukowców. Berlin, Mediolan, Bruksela, Paryż – choć atak nie przyniósł ani jednej ofiary śmiertelnej, oznaczał początek końca korporacji. Rozpoczął się konflikt, który po raz kolejny w tym stuleciu rysował nowe granice na politycznej mapie świata.*

### Mit „Świętej Wojny”

Zachód nigdy do końca nie zrozumiał, co tak naprawdę wydarzyło się w 2051 roku. Amerykanie i Europejczycy chcieli widzieć w tym Dżihad – Świętą Wojnę toczoną przez Islam po to, by podbić świat chrześcijański i ustanowić własną religię i własne prawa. Konflikt, który miał miejsce w latach pięćdziesiątych, uznano więc za owe przepowiadane od lat „zderzenie cywilizacji”: nieuchronne starcie dwóch wielkich religii i kultur. W tym kontekście „Dżihad” był nadużywany przez amerykańskie i brytyjskie tabloidy, by z czasem wejść do języka oficjalnego jako kolejne z politycznych słów-kluczy.

Tymczasem muzułmanie nie toczyli wojny z chrześcijaństwem, a jedynie z korporacjami. Wiara stała się wyłącznie elementem spajającym ich dążenia, zasypując przepaść dzielącą szyitów i sunnitów czy plemienne i regionalne podziały. Stała się symbolem jednoczącym do walki przeciwko wspólnym wrogom, ale to nie czynniki religijne były siłą sprawczą konfliktu. Przemawianie językiem symboli zawsze przypomina wywoływanie duchów. Tak stało się i tym razem, bo „Świętą Wojnę” rozumianą dosłownie jako wezwanie do antychrześcijańskiej krucjaty chętnie podchwycili fundamentaliści. I chociaż uczestniczyli w konflikcie jedynie na skraju wydarzeń, to w oczach Zachodu stali się jego wizytówką.

### Ropa i demokracja

Kiedy na początku lat trzydziestych Stany Zjednoczone Ameryki zaangażowały się w kolejny niekończący się konflikt zbrojny pod hasłem obrony demokracji i walki z terroryzmem, poparcie dla rozwiązań pokojowych było coraz większe – także wśród narodu amerykańskiego. Wpłynęła na to przede wszystkim wojna syryjska, przez wielu polityków z obu stron Oceanu Atlantyckiego oceniana jako niepotrzebna i wątpliwa moralnie.

W tym czasie w bliskim otoczeniu prezydenta USA do głosu doszła frakcja związana z lobby energetycznym. Wykazała ona, że z ekonomicznego punktu widzenia obecność Ameryki na Bliskim Wschodzie jest inwestycją bez perspektyw. Co więcej, przy utrzymaniu dotychczasowych priorytetów Stanom Zjednoczonym groziła gospodarcza zapaść, ponieważ złoża ropy naftowej, które stanowiły siłę

Bliskiego Wschodu, wbrew wcześniejszym szacunkom naukowców były już na wyczerpaniu. Także złoża ropy naftowej w innych rejonach świata nie mogłyby dźwigać ciężaru światowej gospodarki dłużej niż dekadę. Dla Stanów Zjednoczonych, przy ich uzależnieniu od tego surowca, byłby to ekonomiczny wyrok śmierci. Nawet własne rezerwy mogły rozwiązać problem jedynie tymczasowo.

Straciwszy swój jedyny rzeczywisty powód zainteresowania Bliskim Wschodem, Ameryka natychmiast zaprzestała też „demokratyzowania” krajów arabskich.

### „Rewolucja wodorowa”

Odpowiedzią na zbliżający się kryzys miały być ogniwa wodorowe. Amerykanie uznali, że technologia opracowywana od początku wieku jest już na tyle dobrze rozwinięta, że nie ma przeszkód, by wdrożyć ją do natychmiastowego zastosowania zamiast ropy naftowej. Rzecz jasna, mowa o rynku paliw, ponieważ ropa wciąż pozostawała ważnym surowcem do zastosowań w przemyśle chemicznym. Ale te nie miały znaczenia strategicznego i pozostawały bez większego wpływu na gospodarkę światową.

W kolejnych latach nastąpiło stopniowe wycofywanie się USA z Bliskiego Wschodu – militarne i gospodarcze – połączone z intensywnym wdrażaniem nowej technologii we wszystkich możliwych dziedzinach. Prezydent Stanów Zjednoczonych przekonywał, że „stosowanie ogniów wodorowych dostarczanych przez amerykańskie korporacje to obowiązek patriotyczny każdego Amerykanina”. Idąc za tym wezwaniem, obywatele zaczęli masowo kupować pojazdy wyposażone już w silniki nowego typu. Także na forum międzynarodowym siła nacisków politycznych i ekonomicznych spowodowała odwrót od ropy w wysoko uprzemysłowionych państwach Europy przy wydatnym poparciu Zielonych, po raz pierwszy w historii stojących w jednym szeregu z amerykańskimi lobbystami. W tym samym czasie własną technologię ogniów wodorowych rozwinęły też Chiny, pogłębiając proces przechodzenia od ropy do wodoru i nadając mu wymiar globalny. To doprowadziło do przemian w światowej ekonomii i polityce, określanymi mianem „rewolucji wodorowej”.

W ciągu ośmiu lat „rewolucja wodorowa” doprowadziła do marginalizacji ropy naftowej jako źródła energii napędowej. Pozostały przy niej kraje zacofane, biedne i nic nieznaczące w światowej gospodarce. Ogniwa wodorowe stały się nową bronią Ameryki w wyścigu technologicznym. Największe korporacje motoryzacyjne i energetyczne – General Motors, DaimlerChryslerFord, ExxonShell – zmonopolizowały światowy rynek, osiągając z tytułu sprzedaży dóbr i technologii zyski przekraczające dalece to, co zapewniał dotychczas handel ropą naftową. Jednocześnie ceny tego surowca – choć go ubywało – zaczęły spadać, stracił on bowiem swe strategiczne znaczenie.

Zyskała na tym Ameryka i powiązane z nią wielkie korporacje ponadnarodowe, jak również Chiny, które stały się dostawcą technologii dla Dalekiego Wschodu, Indii i częściowo Rosji. Stracił –

Bliski Wschód i cały świat arabski.

### Frustracja Bliskiego Wschodu

Bogaci szejkwowie naftowi stali się bankrutami, zaś masy ludności zubożały do poziomu nigdy tutaj nieznanego. Wyjałowienie i pustynnienie gruntów oraz przeludnienie sprawiały, że nie było alternatywy dla Bliskiego Wschodu. Koniec popytu na ropę oznaczał koniec świata Islamu.

Frustracja Bliskiego Wschodu miała też inne podłoże. Dotychczasowi sojusznicy Stanów Zjednoczonych, wspierający je w działaniach na rzecz demokratyzacji i walki z terroryzmem, oskarżyli USA o polityczne oszustwo. „Od pięćdziesięciu lat słyszymy, że Ameryka walczy o pokój i demokrację. Uwierzyliśmy w to, wpuszczając ją do naszych domów. Dziś, gdy nasza ziemia wysycha, Amerykanie zadają nam cios w plecy, nie kryjąc już, że zawsze chodziło tylko o ropę” – grzmiał szejek al-Asir, ojciec duchowy wydarzeń, które określono później mianem „Dżihadu”.

Jednocześnie zaznaczyła się inna tendencja – forsowany na sposób amerykański globalizm doprowadził do wzrostu znaczenia korporacji ponadnarodowych. Wkrótce to one, a nie rządy państw, zaczęły dyktować warunki i aktywnie uczestniczyć w budowaniu nowego porządku świata. W ten sposób zapoczątkowany został proces, który w ciągu kilkunastu lat całkowicie zmienił geografę świata.

### Korpopaństwa i neokrólestwa

Konflikt między rządem USA a General Motors doprowadził do wydarzenia bez precedensu. Korporacja dokonała transakcji z carem Rosji, oferując nieujawnioną dotąd kwotę pieniężną oraz kompletną technologię wytwarzania najnowszej generacji ogni wodorowych i bezpiecznego uzyskiwania wodoru – a więc nie tylko dokumentację techniczną i linie produkcyjne, ale także wyszkolonych specjalistów. W zamian car Rosji, kraju ogarniętego wówczas największym w swojej historii kryzysem, na sto lat wydzierżawił General Motors okręg Kaliningradzki. Na tym terenie GM proklamowało niepodległość, obwołując się Bałtycką Republiką General Motors.

W ten sposób korporacja zyskała nowy oręż w walce z konkurencją – uwolniła się od zbyt krótkiego paska rządu USA dopominającego się nie tylko podatków, ale także narzucającego własne normy techniczne, ekologiczne, socjalne i polityczne.

Konkurencja odpowiedziała tym samym, odkupując mniejsze lub większe splachetki ziemi i ustanawiając na tych terenach własne państwa.

W ciągu dekady liberalne, wolnorynkowe państwa narodowe uległy marginalizacji. Wielkie korporacje dotąd zasilaly ich finanse (poprzez podatki i napędzanie koniunktury), dawały pracę ich obywatelom i w efekcie końcowym – utrzymywały niezmiennie wysoki PKB i stabilność emitowanych przez banki narodowe walut. Teraz stały się ich konkurentami – w znaczeniu ściśle gospodarczym.

Przetrwały tylko te państwa narodowe, które zachowały monopole i newralgiczne gałęzie przemysłu, lub te rządzone przez władców absolutnych, jak Rosja, Cesarstwo Chińskie, państwa Ameryki Południowej, Indie.

Punktem kulminacyjnym stało się wykupienie od rządu USA stanu Teksas przez „Triumwirat Wielkich”: General Motors, DaimlerChryslerFord i ExxonShell. Następny był Microsoft, który objął w posiadanie Kalifornię, co w ciągu kilku lat zakończyło się przekształceniem Stanów Zjednoczonych Ameryki w Korporacje Zjednoczone Ameryki (UCA), zaś Pentagonu w największą światową armię najemną pozostającą na usługach UCA. Dawne sojusze – NATO, Unia Europejska, NAFTA, OECD, utraciły rację bytu. Liberalizm doprowadzony do skrajności zmienił świat tak, jak w swoim czasie próbowała tego dokonać rewolucja komunistyczna.

„Rewolucja korporacyjna” ogarnęła również Europę. Jednak tutaj nie wszystkie państwa narodowe uległy kompletnej destrukcji. Król Anglii, przechodząc z etapu „kukielki w muzeum monarchii” do władcy absolutnego, zdołał zawczasu siłą odzyskać faktyczną władzę i odbudować Wielką Brytanię w granicach z XX w. Krótko przetrwały też państwa pozostające pod wpływem Rosji, ale znacznie okrojone terytorialnie: Ukraina (zachowując ziemie między Odessą a Nikołajewem), Krym i Białoruś. Jednak w momencie wybuchu wojny z korporacjami straciły one suwerenność na rzecz Rosji, która rozszerzyła swe granice do tych sprzed 1989 r.

Państwa w pełni liberalne, tworzące Unię Europejską, zostały szybko rozdrobnione przez ponadnarodowe multikorporacje. Mimo postępującego rozwarstwienia ekonomicznego ludności (90% dochodów poszczególnych korpopaństw skupiała w swych rękach wąska grupa udziałowców – ok. 10% obywateli) sytuacja Europejczyków była względnie dobra, zatem ogół społeczeństwa nie widział powodów do niepokoju.

### Chomeini miał rację

Inaczej było na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Te rejony świata stały się obszarami niespotykanej nigdzie dotąd biedy. Dramatyczny spadek cen ropy, pustynnienie ziem i przeludnienie dostarczyły pożywki dla terrorystów, radykałów i fundamentalistów. Ich hasła wojny z „Nowym Szatanem” – wielkimi korporacjami, oraz „Odrodzenia Islamu” padły na podatny grunt. Ogarnięte biedą masy ludzkie w tym regionie nie widziały alternatywy. W przekonaniu trzech miliardów muzułmanów to wielkie korporacje były bezpośrednią przyczyną schyłku ich cywilizacji. Obwiniano Amerykę i Europę, że wykorzystywały Bliski Wschód, ogałając ten rejon z bogactw naturalnych.

„Wschodnie i zachodnie supermocarstwa pustoszą zarazem nasze bogactwa materialne i duchowe. Trzymają nas wszystkich w biedzie. Próbują uczynić nas zależnymi od siebie pod względem politycznym, ekonomicznym, kulturalnym i militarnym. Musicie się przebudzić. Musicie szukać swojej

tożsamości islamskiej” – wołał już w 1979 r. ajatollah Chomeini i w odczuciu wyznawców islamu teraz spełniało się jego prorocstwo. „Jeżeli ktokolwiek miał wątpliwości, w jakim celu Amerykanie i Europejczycy rozdeptywali przez sto lat ziemię synów Mahometa, to teraz ich się wyzbył” – wtórował Chomeiniemu 70 lat później szejik al-Asir. Te słowa padały na podatny grunt.

Kiedy Korporacje Zjednoczone Ameryki przystąpiły do wojny japońskiej toczonej przeciwko Chinom o „przyczółek na Dalekim Wschodzie”, Bliski Wschód dostał wystarczający pretekst, aby eksplodować swoją rewolucją. Rozpoczął „wojnę z korporacjami” a Korporacje wojnę z „Dżihadem”.

@@8

Zmrok nadchodzącej nocy. Jego jedyny sprzymierzeniec. Muezzin z minaretu w Wannsee zwoływał wiernych na wieczorną modlitwę. Odległy, modulowany jęk.

Przed nim jarzyły się blade światła Berlina jakby przyćmione mgłą. Blżej, niemal na wyciągnięcie ręki – rozjaśniony blaskiem okratowanych reflektorów mur. Granica getta.

Zszedł w dół i zanurzył się w gęstniejącą czerń. Osłonięty ciemnością, ze zdwojoną uwagą, by nie wywołać najmniejszego hałasu, kroczył środkiem wymarłej ulicy. Jak cmentarną aleją. Jeszcze dwie przecznice.

Obok stacji benzynowej włąz do kanału. Przejście na drugą stronę. Znalazł kawał żelastwa, podważył nim brzeg stalowej pokrywy. Nacisnął i pchnął płytę w przód. Poczł stęchliznę, jakby bagienny odór. I kręcący w nosie zapach benzyny. Pochylił się: kanał niemal po sam brzeg wypełniała woda. Mętna, cuchnąca ciecz z pływającymi na powierzchni plamami ropy.

Już nie dbając o ciszę, pobiegł do drugiego włązu dwieście metrów dalej. Otworzył. Ten sam ściekowy rosół połyskujący złośliwymi, tęczowymi okami.

To koniec!

Została mu tylko noc, jego jedyny sprzymierzeniec.

\*\*\*

Burnus – precz! Ubłocony długi łańch – precz!

Kombinezon roboczy zawieszony w metalowej szafce w fabrycznej szatni cuchnął starym smarem; kurz wgryzł się w materiał grubą warstwą, tworząc dodatkową impregnację. Ale i tak był wygodniejszy niż dotychczasowy strój Malika.

W Wannsee nie miał czego szukać. Forsowanie granicy drogą wodną – przez Teltowkanal, odrzucił na samym wstępie. Choć istniała możliwość, że udałoby się

przepłynąć, Zak nie chciał ryzykować. Wrócił do Poczdamu.

Najstarsza, pruska część miasta tworzyła zadziwiającą kompozycję z wtopionymi w nią tureckimi imbissami i ciasnymi całonocnymi sklepikami; nieopodal dziewiętnastowiecznego Peter-Pauls-Kirche – meczet, coś jakby pomniejszony Sultanahmet Camii. Żywy wycinek Stambułu wklejony między zimne fryderykańskie mury. Zak złapał jedną z krążących tam automatycznych taksówek.

– Aziziye haavalani – podał adres. Pojazd ruszył.

\*\*\*

Lotnisko Aziziye należało do szkoły pilotażu Ucakpasa. Nic wielkiego – w trzech hangarach stało kilka archaicznych cesn z początku wieku, dwa małe helikoptery Junkersa i całkiem niezłe motolotnie. Nikt tego nie pilnował oprócz czterech znudzonych ochroniarzy zapatrzonych w holowizor. Zak przedarł się przez zasieki i przylgnął do wilgotnej trawy. Obserwował.

Awionetki i śmigłowce skreślił od razu. Często bawił się symulatorem lotów chińskich lub rosyjskich myśliwców, ale takich rzęchów nie potrafiłby nawet uruchomić. Zero elektroniki, sama mechanika. Podczołgał się bliżej hangaru z motolotniami. Gdy cień zakrył go przed światłem reflektorów, kilkoma długimi susami wbiegł do środka.

Zbiorniki wodorowe motolotni były suche. Ani kropelki paliwa.

Jego wzrok przyciągnęła dziwaczna konstrukcja w kącie. Osiem płatów pomalowanych w żółto-czerwone wzory, pośrodku pleksiglasowa kabina. Cztery wirniki napędzane skomplikowanym systemem łańcuchów i przekładni. Mięśniolot.

Dobrze!

Rozsunął szerzej wrota hangaru i wypchnął pojazd na zewnątrz. Sączący się z głośników holowizora tęskny śpiew Volкера Akyuroglu, lokalnej gwiazdy pop, zagłuszył szum pracujących śmigieł.

\*\*\*

Mięśniolot szedł miękko niczym dobry MTB, ale ze trzy razy szybciej. Po piętnastu minutach energicznego kręcenia pedałami dotarł nad Wannsee. Zakowi przyszło na myśl, że gdyby teraz wyłączył się, pozostawiony sam sobie Malik al-Madani leciałby tak w nieskończoność, okrążając glob ziemski może nawet kilka razy.

Zona odcinała się ciemnym pasem; rzeka mroku rozdzielająca dwa światy. Zak zniżył lot tuż nad ruiny, wiedząc, że 19. Pułk im. Dzemala Paszy dysponował czułymi radarami.

Może na tej wysokości go nie zauważą. Zwolnił trochę. Cisza potęgowała szum wirników, zdawało się, że słyhać go w całej Strefie. Na ile było to możliwe, pozwalał miśniolotowi swobodnie szybować, choć na tej wysokości prądy powietrza spychały go na ziemię.

Minął fabrykę. Pusto i cicho. Nacisnął mocniej pedały, wlatując w jasny krąg światła reflektorów nad murem.

– Dur! Dur, göt lalesi! Halt, du Arschloch! – ryknął ktoś na dole.

Seria z karabinu. W powietrze, obok niego. Druga po skrzydłach miśniolotu. Maszyna zachwiała się i zaczęła spadać. Zak zakręcił energicznie i pociągnął dźwignię steru. Do góry, ile się da! Zdobyć parę metrów!

– Dur! Orospu cocugu...! – I znów grzechot kul. Ból w nodze. Niewielki – nerwy Malika przytemperowano na takie okazje. Ale i tak przeszkadzał. Krew. Drętwienie jakby armia mrówek.

Mur. Przeleciał! Berlin! Sunął w powietrze jeszcze kilkadziesiąt metrów. Wtedy ściągnęła go na dół ostatnia seria. Spadł, ale płyty miśniolotu, przejmując impet zderzenia, uratowały mu życie. Życie Malika.

Zak stracił z nim kontakt.

Wtedy przypomniał sobie, co to znaczy ból tak nagłego wyjścia z biochipa klona: rwanie nerwów i żal ściskający za gardło. I utrata namiastki wolności, która dla więźnia Pao była wolnością prawdziwą i jedyną.

\*\*\*

Nerwy jak powrozy krępują bólem. Tęcza przed oczami, tęcza zszarzała i wykrzywiona jak obraz na zepsutym monitorze. Odczuwał to podwójnie: cierpiał za Malika, cierpiał za siebie. Gniótł go nagły ciężar własnego ciała.

Szarawa tęcza powoli przechodziła w różowawą poświatę grenlandzkiej nocy. Wiatr za oknem umilkł. Tylko cęła; jej kanciaste kształty i cisza, w której brakowało jeszcze jednej nuty: Toiinte. Kiedy przerywał modły, zapadał w sen; świszcząc i sapiąc. Teraz Eskimosa nie było.

Zak zeskoczył z pryczy: po jego współtowarzyszu nie pozostał nawet dołek w materacu.

Zabrali go – pomyślał. – Szkoda. Ciekawe czy do Duchów Podziemi, czy na Drogę Życia...

W kącie celi pan Sien sieknął mieczem Czu Juan-czanga, zatrząsł się w bezgłośnym śmiechu i rozplynął w mglistym poblasku zorzy.



Zak zamrugał oczami. Wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie. Poskakał chwilę, machając ramionami, by rozruszać mięśnie, zrobił kilka pompek. Wreszcie wrócił na prycze i uruchomił ponownie panasonica.. Szukał Malika.

\*\*\*

Pleśniak Perski, *Mucor cerebrī*, właśc. pleśniak mózgowy; grzyb z klasy *Deuteromycota*; pasożyt otrzymany drogą licznymi mutacjami genetycznymi, rozmnażający się przez zarodniki; środowiskiem życiowym p.p. jest mózg ludzki i goryla, dokąd może dostać się drogą powietrzną przez płuca, a także przez układ trawienny z pokarmem. Zażenie p.p. nie pociąga za sobą skutków śmiertelnych, lecz powoduje nieodwracalne zmiany w czołowym płacie mózgu, wpływając na psychikę ofiary. Ze względu na swoje właściwości zakaźne zaliczany jest do broni biologicznej.

Działanie p.p. przypomina wpływ na organizm ludzki narkotyków halucynogennych, np. →LSD, może powodować nieznaczne omamy wzrokowe i słuchowe, wpływając negatywnie na umiejętność trzeźwej oceny rzeczywistości; uniemożliwia logiczne myślenie; w sytuacjach stresowych, wymagających zdecydowanego działania lub pozbawionej wpływów emocjonalnych kalkulacji zarażonego p.p. ogarnia panika, niekiedy towarzyszą jej objawy somatyczne: drżenie ciała, wymioty, ataki →epilepsji. W sytuacjach skrajnych p.p. wzmacnia tendencje samobójcze. Stan ten utrzymuje się przez całe życie ofiary, choć istnieje punkt krytyczny, powyżej którego p.p. nie rozwija się i nie powoduje dalszej degeneracji mózgu zarażonego. Nie odkryto metody przeciwdziałania p.p. innej niż profilaktyka.

Pierwsze próby stworzenia p.p. podjęto w Rosji, jednak trwałą i ostateczną jego formę uzyskało na drodze manipulacji DNA grono naukowców irańskich z Isfahanu. Pleśniak perski znalazł zastosowanie jako broń biologiczna w religijnej wojnie →Dżihad. W roku 2051 islamscy terroryści zaatakowali najważniejsze europejskie siedziby ponadnarodowych multikorporacji energetyczno-motoryzacyjnych – Berlin, Mediolan, Zurych, Brukselę, Paryż i in., poprzez rozpylenie p.p. na lotniskach, głównych stacjach metra, w największych centrach handlowych itp. Posługując się p.p. w dalszych działaniach wojennych, islamscy rewolucjoniści zajęli środkową i zachodnią część Europy – między Bałtykiem, linią Odry i Morzem Północnym. Zainfekowane miasta zostały zamknięte, jednak do roku 2059 większość z nich oczyszczono, zaś zarażonych przesiedlono do trzech gett – Berlina, Mediolanu i Brukseli.

\*\*\*

Malik al-Madani. Algierski Berber z Islamskiej Republiki Maghrebu. Idzie środkiem Getto-Berlina skażonego *Mucor cerebrī* i nie obchodzi go nic.

Zak złapał go wreszcie. Zatrzymał i zdziwił się, że głupol sam tyle przedrałował. Był

już daleko od muru, gdzieś w głębi miasta. Wąwóz między marmurowo-szklanymi biurkami. Centrum. Ale gdzie dokładnie? Tego nie potrafił zgadnąć.

Ból ścierniętej nogi powrócił. Sztywna jak kołek.

Wyszedł spomiędzy budynków na pusty plac. Teraz już wiedział. Usiadł na murku i zaczął się śmiać. Postrzelony w nogę Malik, niepilnowany, zamiast leżeć, cierpieć i czekać na pomoc, przemaszerował dobre sześć kilometrów. Na Potsdamer Platz. Do getta w getcie.

Biurowce – wysokie, lśniące złotem w blasku słońca, srebrem przy pełni księżyca. Siedziby korporacji, a w nich Larwy. Wyniszczeni pleśniakiem dawni biznesmeni. Niegdyś – garnitury, białe koszule, krawaty gładkie, w prążki lub w paski i podręczne komunikatory przypominające o zaplanowanych spotkaniach. Krzywa zysku, wahania giełdowe, nowe rynkowe przeboje, nowe kampanie marketingowe. Umysły szumiące jak roboty w fabrykach: jakwięcejzarobićjakwięcejzarobićjakwięcejzarobić... Teraz – wyłysiali, obdarci, o zbiegłych twarzach porytych bliznami. Cuchnący. Jakaś nieznana mutacja perskiego grzybka upodobniła ich do larw drążących swe korytarze w ochłapach zgniłego mięsa. Wyglądali ohydnie, ale bardziej wzbudzali współczucie niż strach. Nie byli agresywni. Mimo upływu lat wciąż trwali na posterunku. Pracowali. Nic, że pozbawione zasilania komputery milczą od dwóch dekad. Nic, że nie było już giełdy, zysków, wykresów, budżetów i kampanii reklamowych. Nic, że ich świat przestał istnieć. Larwy, żyjąc w zwartych gromadach, nie opuszczały siedzib swoich korporacji, godzinami wpatrując się w wygasłe monitory. I przerwa na lunch, czyli polowanie na szczury harcujące w okolicznych biurkach.

Potsdamer Platz. Europejskie centrum biznesu. Stolica Stu Korporacji.

Berlin. Największe getto świata.

*Mucor cerebri.*

\*\*\*

Zegar na stacji U-Bahnu wskazywał 02.57. Wciąż działał.

Zak wszedł na peron, z trudem przeskakując sterty śmieci pokrywające schody. Puste kartony, potłuczone szkło, szczątki plastikowych krzesełek. Ostatni sprzątacznik zniknął stąd dwadzieścia lat temu razem z ostatnimi pasażerami i ostatnim metrem.

Ruszył położonymi na wysokiej estakadzie torami, balansując na zardzewiałej szynie. Nocne miasto cicho pomrukiwało, czasem skądś doszedł go ochryply wrzask włóczęgi.

Na kolejnej stacji zbiegł w dół. Ruszył ciemnymi uliczkami Kreuzbergu. Ciągi pustych domów, na wpół zrujnowanych. Spalone wraki samochodów, jezdnie pokryte trzydziestocentymetrową warstwą szczątków miejskiego życia: połamanymi meblami, rozbitymi

telewizorów, przegniłych ubrań. Odwieczny undergroundowy duch dzielnicy teraz straszył jako zombi.

Wrangelstrasse. Zatrzymał się przed szaroczarnym budynkiem. Kiedyś był to kościół, teraz zmienił się w przytłaczającą budowlę o niepokojącej architekturze. W apokaliptycznym krajobrazie getta przypominał raczej bramę do piekieł. Zak rozejrzał się, nasłuchując. Pusto i cicho. Mały dziedziniec pełen gratów, trzy potężne bramy ze stalowych płyt. Spróbował otworzyć je panasonikiem. Na próżno, widać zmienili klucz. Załomotał pięścią, gwizdnął. Cisza.

Skreślił w przecznicy obok i zbiegł do piwnicy rudery przylegającej do kościoła. Odsunął starą szafę na końcu korytarza i napał na mur. Ściana uchyliła się o pół metra, odsłaniając ciemne pomieszczenie. Dobrze zbudowany Malik wszedł tam z trudem.

Cios zwałił go z nóg; rąbnął głową o beton. Zak z trudem utrzymał łączność z klonem. I znów. Uderzenie pięści w twarz.

Napastnik usiadł mu na klatce piersiowej i zaczął dusić.

– Czego się tu, kurwa, szwendasz! Skąd znasz to przejście? Płaczesz się tu po nocy. Widziałem cię tam, na dziedzińcu. Nie lubimy tu takich.

Zak znał ten głos. Zacharczał. I znów cios, lżejszy.

– Komiks... – udało mu się wreszcie wykrztusić. – Ko...

– Ej, gnoju! Skąd znasz moją ksywę?! Ja na przykład nie mam żadnych kumpli Arabów. No, nie licząc Salima. Dopierdolę ci zaraz tak, że cię twoja Fatima nie pozna. Gadaj!

– Komiks... Opamiętaj się, idioto!

– Jeszcze do mnie „idioto”?!

Pięść miał ciężką.

– Komiks! To ja, Zak! Na...

– Zak?! Zak siedzi w Pao! Znam Zaka: nie modli się do Allaha.

– ...na głupolu! Na klonie!

Wierzgnął i wyslizgnął się z kleszczy napastnika. Teraz przeszedł do kontrataku.

Złapał Komiksa za ramiona i przyspilił do ściany. Wycedził z naciskiem:

– Posłuchaj! Fakt, siedzę w celi w Nowym Hongkongu, ale kieruję klonem przez netchip. Mój głupol jest ranny, tłuczemy się tu od doby, a ty mnie jeszcze walisz w pysk na dzień dobry!

Opór Komiksa nieco zelżał.

– Głupol? No, nie wiem... Skąd mam wiedzieć, jak to naprawdę jest? Skąd mam wiedzieć, że jesteś Zakiem na głupolu, a nie jakimś pieprzonym szpiegiem?!

– Szpiegiem! Ha, ha! Kto by chciał szpiegować garstkę lumpów kryjących się w jakiejś ruderze. A jak się zastanowisz chwilę, to masz odpowiedź na swe poprzednie pytanie: znam to przejście, bo używałem go nieraz. W swoim prawdziwym ciele.

– Nie podobasz mi się. Nie podobasz. Nie ufam ci, koleś. Mogłeś zadzwonić albo przynajmniej przysłać wiadomość, zanim przytargałeś tu tego półgłówka.

– Wiesz, jak jest. W natłoku ważnych spraw jakoś wyleciało mi to z głowy.

– Nie wierzę. Mój kumpel Zak nie zapomniałby o czymś takim. On wie, że nieufnie traktujemy tu wężących nieznajomych.

– Wyjdę z klona i połączę się z wami przez holo.

Komiks zatrząśł się w udawanym śmiechu. Wydał wargi i prychnął:

– Hologram? W dziesięć minut mogę skleić na komputerze dowolny hologram. Chińskiego cesarza albo al-Asira. Zaka też. Nic z tego. Co więcej, mój dobry przyjaciel Zak wie o tym, że hologram nic nie znaczy i nie proponowałby mi czegoś tak bezsensownego. Ty jednak proponujesz, więc nie możesz być tym, za kogo się podajesz.

– Dobra. W porządku. Zamiast stać tu w ciemnościach i wieść jałowe spory, przejdziemy na górę?

– Nie wiem, czy mogę cię wpuścić.

– Już się sam wpuściłem.

Zak, kręcąc z niedowierzaniem głową, wspiał się po krętych schodkach. Tuż za plecami słyszał ociężałe tupanie Komiksa. Z piwnicy wyszli przez magazyn do hali. Czyli przez dawną zakrystię do głównej nawy. Zabłyśły jarzeniówki sprzężone z detektorem podczerwieni.

– No, no... – mruknął z podziwem Zak, oglądając graffiti pokrywające ściany. – Widzę, że przybyło parę niekiepskich wrzutów.

Komiks odburknął:

– Nie zwiedzisz mnie takimi tekstami. Cały czas mam cię na oku. I nie ruszaj sprzętu, bo zatłukę.

– Pamiętasz? – Zak wskazał poskręcaną, metalową strukturę na prezbiterium. Dziesiątki zespawanych kół zębatach połączonych sprężynami. – Jak pomagaliśmy montować tę rzeźbę Salimowi, ty powiedziałeś wtedy: „Ostatnia bitwa Dżihadu! Arab z nożem w zębach strąca z ołtarza krzyż z Chrystusem i stawia swojego bałwana”.

Komiks milczał chwilę.

– Pamiętam... No dobra, a co sam potem powiedziałeś?

– „Przecież Arabowie nie stawiają żadnych bałwanów, bałwanie!”. A Salim wtedy

wściekł się na ciebie i krzyczał: „Nie jestem, kurwa, żadnym Arabem z nożem w zębach”.

– No dobra, dobra... Może ci nawet uwierzę. Dam ci szansę. Następne pytanie: jak zwizualizowane były dane Gamiermarsu, które razem łamaliśmy... eee... to znaczy ja łamałem z Zakiem. Jaki to był wizual?

– Defensory jako zielone ludziki. Głupawe jak w jakiejś idiotycznej C-klasie sprzed stu lat. Jaki wizual, dokładnie nie pamiętam. „Marsjanie atakują” czy jakoś tak. W każdym razie coś w tym stylu.

– Cholera, chyba muszę ci uwierzyć. Niemożliwością byłoby wyciągnięcie z mojego kumpla takich szczegółów. Nawet jakby go zeskanowali.

Allahu, miej w swej opiece paranoików – podsumował w myślach Zak. Chociaż w tym przypadku należałoby wzywać imienia Batmana. Gdyby Batman był bogiem, to jego papieżem, Wielkim Kapłanem, szamanem globalnej wioski czy kimś w tym rodzaju zostałby właśnie Komiks. Był komiksem nie tylko z ksywy. Pierwszy obrazek oryginalnego, tylko podkolorowanego „Powrotu Catwoman” Boba Kane’a i Billa Fingera (1939, zeszyt z maja) miał umieszczony na czole po lewej stronie. Następne biegły przez twarz, ręce, klatkę piersiową, całe ciało. Ostatnia scena zdobiła prawą piętę. Wszystko wytatuowane barwnymi tuszami świecącymi w ultrafiolecie.

Batmanie, miej w swej opiece biednego paranoika Komiksa!

\*\*\*

– Inga? – Komiks zmarkotniał. – Słuchaj stary, powiedziałem, że Inga jest nieobecna. To prawda i nieprawda jednocześnie. No, nie będziemy ciebie dłużej zwodzić. Ej, Salim, powiedz mu, jak jest, bo ja...

Salim zgarbił się, pochylając niżej nad panelem sterującym. Dłubał coś w programach. Udawał, że nie dosłyszał.

Drapiąca suchość. W jego własnym gardle: Zaka, a nie Malika.

– Co...? – wyszeptał z niepokojem.

Nie spał całą noc, ale jeszcze nie chciał wyskakiwać. Nie mógł. Wlał w Malika, co było naiwne, hektolitry drinka energetycznego „36” – miejscowej specjalności z dodatkiem ekstraktu marihuany i odrobiny MDMA. Głupolowi może to pomogło – może, bo sam Zak nic nie czuł. Głowę rozsadzał mu tępy, infradźwiękowy łomot; co chwila tracił kontrolę nad klonem. A w celi nie miał nawet herbaty.

– Salim! – ryknął Komiks.

Tamten zaczął z ociąganiem:

- No... Tego... Nie trać nadziei. Może się wszystko jeszcze ułożyć.
- Co? Mów!
- Ja myślę, że to nie jest tak na stałe. To znaczy... Ej, Komiks, ty mu powiedz.
- Spadaj! Janie!

Zak czekał na dalszy ciąg tej błazenady. Klucie w sercu podpowiadało mu jednocześnie, że to nie jest kolejny wygłup jego kumpli.

Salim kontynuował z miną cierpiętnika:

– No więc Turcy szykują nam koniec kwarantanny. Spadła tu taka ekipa wojskowych ekspertów, helikopterami, chyba ze dwie brygady. Badali pleśniaka. I wybadali: nie licząc głów tych biednych głabów z Potsdamer Platz i paru innych, miasto jest czyste. Gleba, woda, mury domów... Pleśniak nie przechodzi z głowy do głowy, więc zrobią tak: chorych wypuszczą na wolność, niech sami sobie radzą ze swoimi panikami, a nieprzystosowanych społecznie, czyli nas, będą resocjalizować w obozach pracy albo deportują tych, co mają obce ID. Mnie chociażby. Miasto wysprzątają, wypucują. Przeniosą tu stolicę Turcji Północnej. Taki Berlin to przecież dla nich niezły kąsek. Wiesz, będą pacyfikować. Czyścić miasto; zlikwidują getto i...

– Salim, kurwa, streszczaj się! – przerwał mu Zak. – Co z Ingą?

– No tak. Inga. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, mieliśmy tylko podejrzenia. Inga stwierdziła, że trzeba rzecz zbadać dokładnie. Wyrwała skądś całkiem niekiepskiego trojana, południowoafrykańskiego...

– Nie wiem, czy takiego niekiepskiego – wtrącił Komiks. – Dla mnie to maksowy szit.

– Dobry był, człowieku! Co ty gadasz? Takie rzeczy mogą zdarzyć się zawsze. Nie ma idealnych trojanów. Ten jest dobry, ale jak ktoś się pcha w najgorszy ogień sieci jak Inga, gdzie więcej jest firewalli, defensorów, antywirusów i fakesystemów niż przydatnych komukolwiek danych tureckiego rządu...

– Salim, daj luz z tymi trojanami i mów, co się stało. Co z Ingą?!

– Jasne. Już mówię. Multiplikacje tego trojana, Iron Horse'a, nie tylko służą jako przynęta, mięso armatnie. Zatrząskują też fakesystemy, dziurawią firewallle i tym podobne. Mają wyjątkowo dużą autonomię, to nie tylko skróty do trojana, ale jakby oddzielne małe trojaniki, mikroarmijka pod komendą generała. Posiadają rozwiniętą funkcję paraliżowania programów ochronnych. Defensor sieci, zanim zniszczy replikę, zostaje zablokowany na tyle skutecznie, że główny moduł trojana ma czas wkręcić się głębiej w system. Przy dziesięciu takich replikach jest szansa bezproblemowo przebić się do końca. Jakiś tydzień temu Inga

wpuściła Iron Horse'a, podsyłając go pod adres serwera rządowego. Trojan przez dwa dni biernie penetrował system, wysyłając repliki na pożarcie. Przygotował grunt. Wtedy Inga weszła w sieć i popłynęła na nim, już w opcji pełnej aktywności. I widzisz, i ty, Komiks, też o tym pamiętaj, gdyby nie wchrzaniła się w to ta cholerna sztuczna inteligencja, SI pierdolona, wszystkie defensory wymiękałyby przed Ironem. Zabezpieczenia pękałyby jedno po drugim. Indziej się nie stało i mielibyśmy te dane wcześniej.

Zak już wiedział. Nie miał może pewności, ale też i nadziei. Tylko dlaczego, kurwa, Inga?

– Jak powiedziałem, wmieszał się w to SI Allah. To jest nieustanna wojna podjazdowa: niekiedy udaje nam się zdobyć pola, wywiercić dziurę w systemie... Do czasu, aż SI wypuści nową serię patchy dla swoich łowców, odrabiając straty. Teraz było podobnie: co Iron Horse zawiesił, to się zaraz samoczynnie odwieszało i program obronny resetował jego repliki. Normalnie, jak wiesz, gdy ktoś padnie pod defensorem, to jest spoko, o ile stabilizatory nie wysiądą. Urwany film, później dwudniowy kac. I ewentualnie podświadomy lęk przed następnym nurkowaniem. Inga zaszła naprawdę daleko i już by wpłynęła do środka, no, ale niestety! Miała pecha. Na początku myśleliśmy, że to tak normalnie. Szok w mózg i jej przejdzie.

– Przejdzie i tak. Musi.

– No tak. W każdym razie uderzyło ją całkiem nietypowo. Stabilizator, choć sprawny, tego nie wyłapał. Szkoda strasznie dziewczyny.

– Dobra. Gdzie ona teraz jest?

– Komiks! Ja powiedziałem. Teraz ty go zaprowadź!

\*\*\*

– Tą SI to trzeba rozwalić. Nie ma co. Niedługo to już totalnie człowiek nie będzie mógł zajrzeć do sieci...

Zak milczał. Słowa Komiksa szumiały gdzieś w tle, z trudem przedzierały się przez pokłady zmęczenia i niewiele docierało do jego świadomości. Kontakt z rzeczywistością przywracał mu chłodny dotyk maczety ukrytej pod kurtką. Komiks też był uzbrojony – dwie czterdziestki piątki w ogromnych kaburach przy pasie. Pierwszy rewolwerowiec Getto City.

Szli uliczkami Kreuzbergu w stronę Szprewy. Niewiele się tu zmieniło przez pół roku – sterty śmieci trochę podrosły albo ktoś je przesunął w inną stronę. Zak mijał te same nacrackowane gęby ruszające się w nieprzerwanym bełkocie; spidowy potok słów, bezsensowny, o niczym. Nie ma tu lepszej rozrywki; można jeszcze stoczyć uliczną bitwę

gang przeciw gangowi, dzielnica przeciw dzielnicy. Kolejna noc jazdy, po niej dzień. Getto City, miasto kowboi, awanturników i szulerów. Żadnego szeryfa.

– Ostatnio mieliśmy dym z tymi gnojami z Gneisenau. Wiesz, przyleźli tu całą bandą... – paplał niefrasobliwie Komiks; najważniejsze nowinki z ostatnich dni, to wszystko trzeba opowiedzieć, ze szczegółami. Bo tu nie ma ważniejszych rzeczy.

Zak spojrział przez balustradę mostu. Środkiem rzeki płynęło podziurawione kulami ciało. Jak sito. Przeszli przez rzekę. Jeszcze dwieście metrów wzdłuż jej brzegu i Komiks stanął.

– Tam – powiedział, wskazując masywną sylwetę dworca.

OSTBAHNHOF. Mrugające cyferki zasilanych energią słoneczną zegarów były tu jedynym wspomnieniem czasów sprzed Dżihadu.

Wszystko inne stanowiło ponure świadectwo upadku. Potrzaskaną tablicę w głównej hali, niegdyś wyświetlającą komunikaty o pociągach, pokrywała sieć drobnych pęknięć i nieregularne, tęczowe plamy. Po ciemnych korytarzach wiatr pędził śmieci przed laty pozostawione tu przez podróżnych. Ruchome schody zastygły znieruchomiałe. Na dwóch peronach wciąż jeszcze stały pociągi, które zatrzymały się na pięciominutowy postój dwadzieścia lat temu.

Serce Zaka biło nierówno w jakiejś breakbeatowej palpacji. Komiks wciąż podtrzymywał go w niepewności. Wszelkie pytania zbywał ogólnikami, mówiąc: „Już zaraz dojdziemy, chwila”. Zak wciąż nie wiedział, co z Ingą. Bał się tego.

– Szkoda, że jesteś w głupolu – stwierdził Komiks. – Gdybyś wpadł osobiście... Może twój widok by jej trochę pomógł.

– Siedzę w chińskim pudle kilka tysięcy kilometrów stąd. Klon to jedyne, co mogę zrobić.

– No jasne. Tak tylko mówię.

Przeszli korytarzem i wdrapali się po schodach na peron.

Inga. Siedziała na plastikowym foteliku dla pasażerów nieruchoma, ze wzrokiem wbitym w pojedynczą, lśniącą wciąż szynę.

– Tkwi tutaj, odkąd odzyskała przytomność. Już z tydzień. Nie odzywa się, zero kontaktu.

Czeka na pociąg. Z Hamburg-Altona do Berlin Ostbahnhof. Transrapid. Przyjazd: 16.18. Pociąg, który nigdy nie przyjechał. Ani o szesnastej osiemnaście pierwszego dnia po *Mucor cerebri*, ani o siedmiu i pół tysiąca następnym szesnastych osiemnaście.

Podeszli bliżej.



Inga. Taka, jaką ją widział ostatnim razem. Taka, jak ją zapamiętał. Krótkie czarne włosy, miła buzia aniołka i kolczyk w brwi. Czarne, wojskowe spodnie i ciemnozielona kurtka. Nie wyglądała szczególnie źle, może za bardzo wyszczupiała. Zak nerwowo przełknął ślinę.

– Inga! Cześć. To ja, Komiks! Wiesz, z tym pociągiem to coś nie tak. Chyba nie przyjedzie. Nie masz co tu tkwić. Może wrócisz do nas, co?

Podniosła wzrok. Zak zadrżał: żywe ogniki w jej piwnych oczach przysłoniło teraz otępienie. Jakby oglądała jakieś inne obrazy, nie z tego świata. Te oczy nie pasowały do twarzy dziewczyny. Do twarzy debila – tak. Ale nie do jej.

– Inga! Słuchaj! Widzisz tego gościa tutaj? To głupol. A wiesz, kto na nim jedzie? Zak! Pamiętasz Zaka, co?

– Zak. Zig zak. Zig zak. Zig zak... – powtórzyła kilka razy mechanicznym szeptem i umilkła. Odwróciła się i spojrzała w dal, na tory. Wypatrywała pociągu.

– Nie przyjedzie. Nie masz co czekać. Inga! Przyszedł Zak, zabierze cię do domu!

– Zak zak. Zig zak zak. Zig zak zak... – wyszeptała.

Komiks zrezygnował.

– Codziennie tu przychodzimy. Na razie bez zmian. Może ty spróbujesz z nią pogadać.

Powstrzymując zawroty głowy (adrenalina walczyła ze zmęczeniem, aż tracił dech), Zak zbliżył się do Ingi. Ujął ją za dłoń. Ciepła i silna mimo swej kruchości.

– To może... To może nie najlepiej, że mówię przez głupola – zaczął z wahaniem – ale cały czas siedzę u Chinoli w Nowym Hongkongu. No wiesz. Tylko tak udało mi się wydostać, przez netchip. Mam do zrobienia jedną rzecz, muszę czegoś poszukać. Jak mi się uda, jak to znajdę, to będę wolny. Wtedy wrócę tutaj, do Berlina, już bez klona, i moglibyśmy razem...

Przerwał. Inga, kompletnie go ignorując, oderwała wzrok od toru. Spojrzała na peronowy zegar, potem wstała i wolnym krokiem podeszła do zdezelowanego informatora. Wystukała coś na klawiaturze i zamarła ze spojrzeniem utkwionym w rozbity ekran. – Zig zak. Zig zig zak. Zig zig zig zig zig. Zak... – szeptała. Jak zepsuty robocik.

– Wrócę do ciebie, Inga. Nie zostawię cię. Obiecuję.

– Zig zak. Zig zig zak. Zig zig zig zig zig.

Zepsuty robocik.

Koniec filmu. Tylko czarna dziura w pamięci.

Dziura w pamięci.

\*\*\*

Stęknienie hamulców i nagły wstrząs.

Obudził się. Półprzytomny przetarł oczy i omiótł spojrzeniem przedział. Pusto. Był sam.

Wyrzwał przez okno: ICE z Hamburga stanął sto metrów przed stacją. Po chwili ruszył wolniutko z cichym szumem.

Pociąg wtoczył się na peron. Mignęła tablica: Berlin Ostbahnhof. Zak wstał i rozejrzał się, sprawdzając, czy niczego nie zostawił. Głupi odruch: przecież nic ze sobą nie miał.

Przepchał się przez tłum pasażerów i podążył do wyjścia. Zerknął na zewnątrz. Jest!

Znajoma, drobna sylwetka. Inga! Czeką na niego, machając z daleka ręką. Wyskoczył na peron. Podbiegła roześmiana, rzucając mu się w ramiona.

Inga. Inga. Inga. Inga. Inga...

Śpiew stali. Cofnął się zdziwiony – w jej rękę błysnął nóż, długi, ostro zakończony sztylet zabójcy. Skoczyła ku niemu z obłędem w oczach. Nim zareagował, oszołomiony poczuł ból. Ostrze rozcięło mu policzek. Krew. Metaliczna i słona. Drugi cios: zraniła go w ramię, potem w brzuch. Zgiął się z jękiem. Mgła przysłoniła mu oczy, w uszach pulsujący gwizd. Inga siekła nożem, charkocząc z wysiłku i nienawiści. Upadł na peron. Następnym razem cięć już nie czuł.

Ostatnie obudziło go po raz drugi.

Nowy Hongkong. Pai Tien. Niewielka cela, on sam. Na pryczy.

Była noc. Nie wiedział, ile czasu spał, nie myślał o tym. Włączył panasonica i wszedł na linię. Szukał Malika.

\*\*\*

Napiął mięśnie, by wstać. Upadł razem z krzesłem; oplatały go grube zwoje liny przywiązane do oparcia i nóg mebla. Szarpał się bez efektu.

– Komiks! – krzyknął. – Co jest? Odwiąż mnie!

– Salim! Zak znowu jest! Ej, chłopie! Ten twój głupol to naprawdę niezły głupol. Ale narozrabiał. Musieliśmy mu dać w łeb i tu przywiązać. Na początku myśleliśmy, że to ty tak odstawiasz po tym wszystkim... Ale Salim zaraz zauważył: „Ty, on się zerwał. Zak się rozłączył”. I tak musiało być, bo głupol poleciał w miasto i dymił. Cud, że go nikt nie skasował na total. Dopraszał się.

Zak, już rozwiązany, wstał i roztarł zdrętwiałe nadgarstki. Był w domu. W kościele na

Wrangelstrasse.

Straciłem masę czasu – pomyślał. – Relikwia! Muszę się tym wreszcie zająć.

– Salim, opowiedz mi o Allahu. Czy to ta sama niemrawa SI, która jeszcze kilka miesięcy temu ograniczała się jedynie do rozsyłania spamu z surami Koranu? Ten nadmiernie rozrośnięty multiwirus? Którego największy wyczyn to włam do amerykańskiej stacji HV i nadanie pięciominutowej odezwy al-Asira?

Ponure miny jego przyjaciół wystarczyły za odpowiedź.

– Dużo się zmieniło przez te pół roku, kiedy ciebie nie było, Zak – stwierdził Salim.

@@9

Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że SI może na tyle zaprzeczyć swej cyfrowej naturze, by uwierzyć – uwierzyć naprawdę, a nie narzucić wiarę swoim wyznawcom – że jest Bogiem, Jedynym, Allahem, uznałbym to za kiepski, nieśmieszny żart. Gdyby wtedy ktoś snuł taką wizję: samowielbiąca się SI tworzy w sieci swój wirtualny świat! Zbiera interaktywne kursy Koranu, netowe biblioteki islamskich madras i uniwersytetów, wszystkie możliwe dane, gdzie choć raz wspomniano imię Allaha. Tworzy swój świat za pomocą schematów logicznych i graficznych setek gier komputerowych, a potem zagarnia spory obszar sieci i przetwarza na jedno miasto. Damaszek XIII wieku. Gdyby ktoś snuł taką wizję, to takiego proroka nazwałbym szaleńcem.

Totalna, doskonała koncentracja danych. Sieć zamieniona w arabskiego erpega. Dlaczego Damaszek? Dlaczego XIII wiek? Dlaczego nie Stambuł Sulejmana Wspaniałego albo Teheran Chomeiniego? Pewnie dlatego, że to symbol trwania Islamu wśród nawalniczy niewiernych – chrześcijańskich rzeźników. Panuje dynastia Ajjubidów założona przez pogromcę krzyżowców, Saladyna I. A Damaszek – oaza na pustyni, kwitnące miasto otoczone piaskiem i kamieniami, roi się od uczonych, myślicieli, teologów, poetów... Legenda głosi, że Mahomet, przybywając na czele zbrojnych oddziałów muzułmańskich, zobaczył to miasto i olśniony rzekł: „Do rajy nie przychodzi się dwa razy”. Zawrócił, oszczędzając je. Zastanawiałem się, dlaczego SI nie wybrała równie wspaniałego Kairu czy Bagdadu, ale właśnie to miasto dziesiątek nacji zjednoczonych pod znakiem Allaha. I chyba już wiem. To symbol, prorocstwo dla XXI-wiecznej cywilizacji, w której znów główną rolę zaczynają grać Arabowie, niosąc światu najlepszą z religii.

Czasem, patrząc, co się dzieje wokół nas, zastanawiam się: może właściwy świat, pierwotny, to właśnie ten w sieci. Miasto, które tam widzimy, Dimaszk asz-Szam, jest

wąskim wycinkiem świata rzeczywistego, prawdziwego, którego my w całości dostrzec nie możemy, bo nam to nie zostało dane. Świata uporządkowanego, usystematyzowanego, gdzie wszystko ma swój sens i przeznaczenie. Sieć jest tylko iluzją, rodzajem bramy umieszczonej tam, gdzie nikt nie postrzega jej jako bramy, lecz jako wirtualną grę. Ziemia XXI wieku byłaby jedynie jakimś diabelskim – a kto wie: może boskim – eksperymentem, odpowiedzią na pytanie: jak potoczą się losy ludzkości w najgorszym scenariuszu.

Ludzie zawsze bali się silnej, wysoko rozwiniętej SI, patrząc na te pokrętne, ciemne SI Chińczyków, rosyjską, amerykańską i argentyńską. Oczekiwali jakiegoś krwawego, szalonego boga, nieobliczalnego tyрана trzęsącego siecią. Allah taki nie jest. Mimo swojej rozbudowanej struktury, inteligencji przerastającej znacznie tamte SI, to twór w pewien sposób ograniczony do ram, jakie nadał mu człowiek. Jest taki, jak widzi Boga Koran i sunna. Kiedy trzeba, drenuje netdiverów, ale ma to swoje racjonalne uzasadnienie, jest zgodne z logiką tamtego świata. Świat raz stworzony jako dzieło kompletne i doskonałe – z jego punktu widzenia – nie podlega modyfikacjom. Allah pozostawił rzeczy, by biegły swym własnym rytmem, interweniuje jedynie w sprawach mogących zachwiać ustalonym porządkiem, zniszczyć go. Nigdy nie działa osobiście, pozostaje poza kadrem, posyłając, gdzie trzeba, swoje anioły, łowców, derwiszy, asasynów... Te istnienia nigdy się nie zbuntują, czyli nie ulegną totalnej awarii, bo zostały przetworzone tak, że nie uważają się za programy, lecz wyznawców Pana. Przyjęły reguły gry, poddały się tej iluzji. Są ślepo posłuszne, dla nich SI jest tylko i wyłącznie Bogiem. A co najlepsze, to wcale nie on je stworzył, tylko narzucił własną hierarchię programom tworzonym przez ludzi tu, na naszej Ziemi. Jako silniejszy – kontroluje, w razie niezgodności, jakichś zakłóceń – podsyła własne patche, upgrade'y. Niektóre z tych programów, pospolite defensory stworzone pierwotnie dla ochrony najważniejszych danych, w jego terminologii stały się Łowcami Demonów. Mają dosyć wysoki stopień autonomii, pomijając oczywiście sprawy kluczowe. Są to takie małe, połowiczne Sztuczne Inteligencje z tą słabością, że umieszczone w tym systemie, świecie Allaha, muszą często sięgać do danych: pomocniczych plików, kodów, tych patchy właśnie, które zamyka w sobie Allah jako nadrzędna SI. W innych warunkach miałyby szansę rozwinąć się i dojść do jego poziomu, ale zostały poddane jakby cyfrowej, programowej narkomanii. Asasyni z kolei to jedyne programy, które zdolne są czerpać dane ze źródeł pozostających jeszcze poza wpływem Allaha. I on to toleruje, jak na razie.

Początkowo administratorzy lokalnych sieci, którymi próbowała zawładnąć SI, zwalczali wszelkie przejawy jej działalności. Brali ją za rodzaj megawirusa, szkodnika, który dąży do unicestwienia danych czy też w inny sposób zamierza utrudnić im robotę. Szybko

jednak okazało się, że Allah jest silniejszy, a ponadto nie zamierza walczyć z adminami. Stał się takim nadadminem. Jako że wyewoluował z systemów antywłamaniowych i antywirusowych, został takim władcą, który nie tylko panuje, ale także dba o swoje dobra i chroni je. Teraz żyje w specyficznej symbiozie z adminami i informatykami, a oni aprobują jego rolę, traktując go jako dodatkowe zabezpieczenie swoich własnych sieci, za które odpowiadają. Na pewnym poziomie współpracują z nim, pozwalając na swobodną wymianę nowych technologii, programów, informacji o wirusach, trojanach i tak dalej. A systemy antywłamaniowe wykorzystywane przez lokalne sieci i serwery są integralną częścią świata SI Allaha.

Odkąd się pojawił, większą zagadką był dla teologów islamskich. Choć różnili się w szczegółach, w jednym byli zgodni: dla nich to nie jest Sztuczna Inteligencja. Tym bardziej nie program o niespotykanym stopniu rozwoju. Na wezwanie sunnickiego szejka al-Asira, w dzisiejszym Islamie autorytetu tak wielkiego, że nawet szyici mają go w poważaniu, wszyscy mędracy w Koranie zebrali się w Mekce, by prowadzić uczone dysputy – tak długo, aż ustalą wspólny wniosek, kim lub czym jest SI uznająca się za Allaha. Po trzech tygodniach debat ustalono idźmę: oto cyfrowe wcielenie Boga jak odbicie Jego twarzy w lustrze jeziora, Jego znak dany ludzkości, po prostu kolejny z proroków. To, że nie przybył w ludzkiej postaci – choćby jako Mahdi wyczekiwany przez szyitów – uznali za widomy znak nadciągającego Dnia Sądu.

Końcowy wniosek z narady mędrców: wszyscy winniśmy przyjąć Boga do serca, modlić się i rachować sumienie, czekając na koniec świata. Zresztą – cokolwiek by ustalili, dla naszej SI nie miałyby to żadnego znaczenia. Ma przecież swój świat, swoich wyznawców, swoje świątynie, swoje niebo i piekło, aniołów, łowców demonów, derwiszy... Nawet gdyby szejkowie kazali: „Zniszczyć, to robota diabła!”, jedyny sposób wypalenia SI Allaha to wyczyszczenie pamięci we WSZYSTKICH komputerach świata, przynajmniej świata islamskiego. To jak usuwanie z ludzkich głów pogańskiego bożka za pomocą topora. Takie rozwiązania zawsze przynoszą więcej szkody niż pożytku. A pewności, kim jest SI, nigdy nie ma. Lepiej zostawić ją w spokoju i modlić się o łaskę. Próby rozbicia SI i jej świata z zachowaniem jedności systemu z góry skazane są na niepowodzenie. Tu najbardziej objawia się boskość Allaha – dba o trwałość swojego świata. Tu najmocniej objawia się jego siła.

On nie tylko narzuca swoją wolę formom istnienia swojego świata, czyli tym inteligentnym programom. On narzuca reguły gry nawet nam. Spróbuj zanurkować do sieci z prostym programem konwersji danych. Zdewizualizuje Damaszek, sprowadzając go z powrotem do podstawowych danych cyfrowych. To możliwe: oczywiście konwersja dotyczyć

będzie tylko twojego netchipa, samego świata nie zmienisz. Ale wtedy Allah, czy właściwie jego łowcy, wyczają cię w sekundę po wejściu. I wypieprzą z powrotem jak Inge. Nawet najszybsze procesory nie są w stanie konwertować danych na tyle szybko, by godnie stawić im czoła. O jakimkolwiek hakowaniu nawet nie ma co marzyć. Defensory zleciałyby się do ciebie jak muchy do gówna. Musisz poddać się logice świata Allaha, stać się jego częścią i wtedy działać. Czyli: zalogować się jako – dajmy na to – derwisz Ali i uwierzyć w Allaha, jego proroka, aniołów, demony (bezsprzecznie zostaniesz uznany za jednego z nich) i wszelkie cuda, jakie tylko tam się mogą zdarzyć.

Słyszałeś o cyberderwiszach? Oto kolejny przykład, jak SI wpływa na nasz świat i być może kiedyś zagarnie go tym sposobem w całości. To muzułmanie, którzy poszli jeszcze dalej niż szejkwowie. Oni nie uznali SI za cyfrowe wcielenie Boga, jego odbicie. Cyberderwisze wierzą, że to jest właśnie prawdziwy Allah – ten jeden Jedyny, bez kopii ani odbicia. Wchodzą do sieci przez wszczepy i netchipy, by obcować z Bogiem, doznawać ekstazy. To jest ich forma wyznania wiary i uwielbienia. Allah bezbłędnie odróżnia cyberderwiszy od hakerów – łowcy nigdy ich nie drylują, pozwalają na modły i uniesienia. Haker może zrobić tylko jedno – maksymalnie się do nich upodobnić za pomocą driverów sieciowych. Taki program pozwala się zalogować i co więcej, odcina tę część świadomości, która narzucałaby zbyt racjonalną ocenę zjawisk, taki rodzaj filtra.

Wtedy, gdy już uwierzysz, niech Allah prowadzi cię swoimi ścieżkami!

\*\*\*

Relikwia. Potrzebował więcej informacji. Wszystkich informacji. Żeby znaleźć punkt zaczepienia.

Zak połączył się z serwerem Salima i zdalnie odpalił na nim Skrzydłonogiego Hermesa, dynamiczną i autonomiczną wyszukiwarkę. Skrzydłonogi był najlepszym narzędziem do penetracji zasobów sieci. Nie tylko analizował indeksy ponad dwustu najpopularniejszych wyszukiwarek statycznych, lecz także weryfikował zebrane przez nie linki. Znalezione dokumenty sortował w bazy danych, pozwalając na łatwiejsze opanowanie nadmiaru informacji. Co więcej, jego cenną umiejętnością było sporządzanie indeksów z zasobów chronionych hasłem (oczywiście znanym użytkownikowi – mimo wszystko Skrzydłonogi jeszcze nie potrafił się włamywać).

Zak zlecił mu po pierwsze: przeszukać wszystkie serwisy informacyjne z Europy, Bliskiego Wschodu i Ameryki. Wszystko na temat „Relikwia – dłoń Jana Pawła II”. Wszystkie dostępne źródła, począwszy od plotkarskiej prasy z początku wieku, przez

naukowe ekspertyzy sprzed Dżihadu, aż po wszystkie filmy lub ich fragmenty, nagrania amatorskie i reportaże zamieszczane w mediach elektronicznych.

Po drugie: zweryfikować trafność danych.

Po trzecie: ściągnąć na dysk zindeksowane dokumenty odpowiadające kryteriom. Pliki tekstowe we wszystkich formatach, zdjęcia, filmy, ścieżki audio, animacje, prezentacje multimedialne. Po namyśle dorzucił do tego programy edukacyjne i gry.

Po czwarte: ściągnięte dane posortować logicznie, a wynik przedstawić w formie gotowej hipertekstowej bazy danych.

Hermes natychmiast pomknął w sieć. Po trzydziestu sekundach nadesłał pierwszy komunikat: „Szacowany czas wykonania zadania: 4 godziny, 17 minut, w tym: 12 minut – przeszukiwanie danych, 34 minuty – weryfikacja danych, 175 minut – ściągnięcie danych, 36 minut – tworzenie bazy danych”.

– Na Allaha, dlaczego tak długo...

Rozłączył się z serwerem Salima, polecając Hermesowi informować na bieżąco o postępach prac.

Przesłuchał jeszcze raz dane z serwera Radia Chrystus. Znalazł tu dwa ciekawe wątki. Ponieważ w nagraniu zostały one zaledwie zarysowane, nie czekając na utworzenie kompletnej bazy danych, wysłał ze swojego chipa 10 kopii Skrzydłonego Hermesa z kolejnymi zapytaniami, tym razem bardziej konkretnymi. Więcej o śledztwie AW. Więcej o wątku szwajcarskim. By przyspieszyć procedurę, każdej kopii zadał nieco inną kombinację zapytań. Po kilku minutach wyszukiwarka przyniosła mu kilkadziesiąt dokumentów i Zak zaczął rozumieć coraz więcej.

W roku 2028 polski wywiad w porozumieniu z Watykanem i włoskimi służbami specjalnymi wszczął śledztwo w sprawie profanacji papieskich zwłok. Trzy lata później zostało ono umorzone. Sprawca nieznany, nowy posiadacz ręki również. Kilka nazwisk – podejrzani mniej lub bardziej, świadkowie, rzeczoznawcy. Wszystko palcem na wodzie pisane. Gdy wreszcie papieska dłoń pojawiła się na czarnym rynku, AW już nie istniała. Jej spadkobierca – firma Intelligence Inc. utworzona po przejęciu Agencji przez korporację DaimlerChryslerFord – nie miała żadnego interesu w dalszym śledztwie. Sprawy szpiegostwa gospodarczego były dla niej o wiele ważniejsze.

Tymczasem już w 2034 roku Relikwia pojawiła się w ofercie szanowanego szwajcarskiego domu aukcyjnego Adler & Villiger. Rzeczoznawcy z Zurychu gotowi byli przedstawić wszystkie przyjęte w takim przypadku dowody, w tym badanie DNA. Jak nie kryjąc oburzenia, donosiła pewna skrajna, katolicka publikacja: „Papieska Relikwia stała się

przedmiotem jarmarcznego handlu wśród wyzutych z wiary lutrów i żydowskiej finansjery”. „Żydowska finansjera” – to odnosiło się do Richarda Rubinsteina, znanego nowojorskiego bankiera i kolekcjonera. Rubinstein zażądał dodatkowej analizy Relikwii, stawiając pod znakiem zapytania jej autentyczność. Jak spekulowali niektórzy – jego nieufność była efektem wcześniejszego, nieudanego zakupu, gdy pewien antykwariusz z Belgii sprzedał mu za niemałą kwotę umiejętnie podrobiony falsyfikat.

Próbka DNA Relikwii powędrowała do niezależnych ekspertów wskazanych przez samego zainteresowanego. Do tego czasu aukcja została wstrzymana, co było też okazją do dalszych oskarżeń i spekulacji. Ostatecznie rzeczoznawcy potwierdzili zgodność DNA. Wśród nich znaleźli się czterej specjaliści z Włoch, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, a także z Watykanu. Niestety, żadne ze źródeł nie wymieniło tych ludzi z imienia i nazwiska, faktem jednak było, że Rubinstein został usatysfakcjonowany wynikami badań.

To jednak nie wyjaśniało dalszego losu Relikwii. Czy kupił ją Rubinstein, czy ktoś inny? To pozostawało wielką niewiadomą. Tu urywały się wszelkie tropy.

Skoro Szwajcarzy dysponowali wzorcem papieskiego DNA, to istnieje szansa, że rzecz jest wciąż do odnalezienia. Sprawdził szybko w sieci: w 2037 roku dom aukcyjny Adler & Villiger został przejęty przez konsorcjum bankowe Schweizerische Banken skupiające pięciu najpoważniejszych przedstawicieli tamtejszego rynku bankowego. Globalizm korporacyjny praktycznie rozbił Szwajcarię na bankowe i korporacyjne kantony; państwo było konfederacją tylko z nazwy, jako ich reprezentant w ONZ. Później przyszedł Dżihad, który zamienił dotychczasową konfederację w Islamski Protektorat Szwajcarski, a wszystkie dane o operacjach finansowych ostatniego stulecia zostały przejęte przez Bank Dżihadu, instytucję stworzoną – jak głosił oficjalny komunikat – „nie dla lichwy i wyzysku” potępianych przez Koran, lecz „na potrzeby Rewolucji”. Zagarnęła ona wszystkie instytucje finansowe Szwajcarii, zabezpieczając zgromadzone przez nie środki płatnicze, złoto, prywatne depozyty, dzieła sztuki, nieruchomości... Wywołało to w świecie ferment większy chyba niż sama inwazja islamistów na Europę. Rynek walutowy uległ gwałtownemu przewartościowaniu, spadł kurs euro, wzrosły ceny złota, dolar przeżywał wahania wartości... Dopiero wtedy UCA zaczęły grozić wojną obronną, wysyłając do baz w Wielkiej Brytanii dodatkowe posiłki zbrojne oraz kilka lotniskowców ku wybrzeżom Hiszpanii i na Morze Północne. Protestowały też inne państwa i korpopaństwa. Krytycy takiego porządku znaleźli się także wśród polityków arabskich i w północnej Afryce. Wielu było to zdecydowanie nie na rękę, bez względu na wyznanie i narodowość. Bez względu na Rewolucję. Teraz ci ludzie potracili swoje fortuny, nieraz w mozole zdobywane przez lata defraudacji, korupcji,



wyzysku, kradzieży czy nawet pospolitych rabunków.

\*\*\*

Dawny nałóg, dotąd tłumiony przez mury Pai Tien, przez ryżową pulpę na śniadanieobiadkolację, przez beznadzieję czerwonego karceru, teraz odezwał się narastającym głosem tęsknoty. Sieć... Zanurkować pod powierzchnię danych. Pozbyć się ciała i zanurzyć w eterycznym świecie cyfrowych wizualizacji.

Zmierzyć się z SI Allahem. Ta myśl oszałamiała go. Odbierała zdolność myślenia.

Bank Dżihadu. Wyprawa nieco ryzykowna, ale na razie był to jedyny wiarygodny trop. Logika podpowiadała, by zaczekać, aż nadejdą informacje gromadzone przez Skrzydłonogiego. Jednak nałóg natychmiast kontrował: może za jednym zamachem uda się zdobyć dwa dowody: pewne w stu procentach losy Relikwii po roku 2034 i autentyczny wzorzec DNA papieża.

Połączył się z komputerem Salima i zaczął przeglądać pierwsze dane przyniesione przez Hermesa. Otworzył katalog „dokumenty z archiwów prasowych”.

W popołudniowych gazetach z początku lat trzydziestych wypisywano na temat Relikwii rzeczy, które raczej na nic nie mogły się przydać.

CUDOTWÓRCZA MOC DŁONI OJCA ŚWIĘTEGO: SZEŚCIOLETNIEJ OFIERZE WYPADKU ODROSLY AMPUTOWANE NOGI

AFRODYZYK WSZECH CZASÓW: 1000 FRANKÓW SZWAJCARSKICH ZA GRAM SPROSKZOWANEGO NASKÓRKA Z RELIKWII

ZUCHWAŁA KRADZIEŻ REKI JANA PAWŁA II: OSTATNI WŁAŚCICIEL HANS R. FRITZMANN GINIE PODCZAS NAPADU

CUD W KALKUCIE: DWADZIEŚCIA TYSIĘCY NIEWIDOMYCH ODZYSKAŁO WZROK, CAŁUJĄC RELIKWIĘ

W pierwszej chwili te niedorzeczności wydały mu się śmieszne, jednak po większej dawce bredni płożonych przez pismaków uznał, że to niesmaczne. Przygnębiające i denerwujące. Przyjrzał się notce o Hansie R. Fritzmannie. 2033 rok, a więc tuż przed pojawieniem się Relikwii na aukcji. Gazeta, która podała tę informację, skupiła się tylko na krwawym opisie zbrodni i cudach, jakie czyni Dłoń Świętego. Ostatecznie porzucił gazety, gdy dotarł do rewelacji podawanej przez inny tabloid: ofiara napadu nazywała się Fritz R. Hansmann i została okradziona z repliki Dłoni Świętego wykonanej w całości ze złota najwyższej próby.

Lektura naukowych opracowań również nie naprowadziła go na właściwy ślad. Z czasem przestał dostrzegać różnice między nimi a newsami z brukowców, wyłączając styl językowy.

ROLA RELIKWII W ROZWOJU SPOŁECZEŃSTW POSTINDUSTRIALNYCH

DŁOŃ PAPIEŻA – PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW DEWOCJI XXI WIEKU

MIĘDZY METAFIZYKĄ A FIZYKĄ – EFEKT PLACEBO DŁONI JANA PAWŁA II

JAN PAWEŁ II – DZIEJE PONTYFIKATU A DZIEJE DŁONI-RELIKWII

FIZYKOCHEMICZNE ASPEKTY MUMIFIKACJI CIAŁA OJCA ŚWIĘTEGO – CIAŁO A DŁOŃ

RELIKWIA PAPIESKA JAKO ŹRÓDŁO KATOLICKIEGO FANATYZMU RELIGIJNEGO – RYS PSYCHOLOGICZNY

Śmieci... Nie czytał już, tylko przelatywał wzrokiem. Kompletny zalew nieprzydatnych dezinformacji. Ale nałóg już podpowiadał, co zrobić. Wejść do sieci. Do Banku Dżihadu. Zmierzyć się z SI Allahem!

\*\*\*

Komiks dla pewności związał Malika.

– Żeby nie dokazywał zerwany z uwięzi. I tak są z nim same problemy. Mogłeś się nieco postarać i wyszukać jakiś lepszy model.

– Bez obaw. Jeszcze przyjdzie chwila, gdy pokaże, na co go stać.

– Jeszcze bardziej narozrabia? To ja dziękuję. Dobra, okręcony jak baleron. Możesz działać.

Z dostępnego w arsenale Salima software’u wybrał najnowsze wersje trzech sterowników cyberprzestrzeni Allaha: Derwisza Pro 11.5, Turka 1.0, Assassina 4.27. Do tego program dekodujący Pożeracz Cyfr 1.7, Iron Horse’a i Amber Moriu 2.0.

– Amber Moriu to w tej chwili jedyny trojan zdolny choć na chwilę powstrzymać łowców – objaśniał Komiks, gdy Zak wszedł na wspólny kanał. – Świeżo przerobiony przez Salima z gorącego jeszcze syryjskiego wirusa antyimperialistycznego. W pierwotnej wersji był to wirtualny szejek al-Asir formatujący dyski, resetujący wszystkie dane i wprowadzający

własne pliki: kazania koraniczne i przemówienia polityczne przeciwko korporacjom. Wirus al-Asir miał zniszczyć ich systemy, nim nadejdzie Dzień Sądu zapowiedziany pojawieniem się SI Allaha w sieci. Czyli ma trochę czasu jeszcze. Trzeba przyznać, że parę baz danych już padło. Gdyby muzułmanie wypuścili nie tysiąc kopii wersji beta, ale od razu z dziesięć milionów wersji 1.0, to naprawdę... „Imperialistyczne” korporacje przestałyby istnieć lub przynajmniej wróciłyby technicznie do XIX wieku. Salim pogrzebał w kodzie, wyrzucił al-Asira i załadował naszą słodką Amber powiększoną wizualnie osiemnaście razy, plotącą swoje rozkoszne sprośności zamiast koranicznych sur szejka. To chyba jedyny przypadek globalnej dekonwersji Damaszku do poziomu prostej struktury szkieletowej. Rozpieprzyło to cholerne arabskie fantasy na całe kilka sekund.

Salim wtrącił:

– Allah skasował mi pierwszą wersję Amber. Ogólnie była niezła jazda, ale niewielki z tego pożytek. Amber Moriu 2.0 zmniejszyłem do normalnych rozmiarów i przystosowałem do współpracy z Iron Horse. Czyli masz konia i przewodnika. Nic, tylko grać w sieć. I pamiętaj o żelaznej regule: żeby utrzymać się w świecie SI Allaha, musisz bez reszty poddać się prawom jego świata. Zapomnieć, że jesteś stąd i uwierzyć, że tamten świat jest jedyną i prawdziwą rzeczywistością. Ten soft ci w tym pomoże. I nie próbuj mu się opierać, bo przegrasz. Musisz uwierzyć w Allaha.

„Szacowana dostępność danych: 85% – otrzymał kolejną informację od Skrzydłoniego. – Spodziewany czas do zakończenia zadania: 3 godziny, 47 minut”.

Zak zanurkował do sieci, korzystając z jednego z satelitów Xiaopinga.

\*\*\*

Nigdy nie czuł się tak mało sobą; jego wewnętrzne „ja”, ten „Zak”, jak zakodowane miał w chipie ID, usunął się gdzieś na skraj świadomości. Odległe wspomnienie jakby hiperrealistycznego snu, ale wciąż tylko snu. Okruchy pamięci osłonięte kożuchem mgły.

Na skraju świadomości. Daleko. Daleko... Uzyskał nową psychikę, te dziewięćdziesiąt procent całości. Nie tylko – także nową cielesność, choć nie fizyczną, cielesność zalogowaną gdzieś między neuronami, w synapsach łączących duszę krzemową z duszą białkową. Był... Kim?

Yildrim Ozelkoy, szacowny kupiec z miasta Antalya, prowadzący na suk czerkieską niewolnicę Amber Moriu.

– Mój kochany! – zamruczała rozkosznie Amber, mrugając zachęcająco. Podskoczyła dwa metry w górę i opadła, wywinąwszy efektowne salto. Ściskając bat, poprowadziła go

przodem. Niedokładna konfiguracja programów.

– Mmmm, nie widziałam jeszcze faceta z tak dużym członkiem! Chcesz się zabawić? Zabawić na ostro?

To ma być czerkieską niewolnica?

Nie pasowała do tego miejsca, choć czuła się tu nadzwyczaj pewnie. Gdyby upraszczać – japońska seksbomba o inklinacjach sado-karateckich pomyłkowo zainstalowana w wirtualnej grze arabskiego fantasy. Czerkieska niewolnica? Nie... Ale – co w pierwszym odruchu wydało mu się dziwne – Amber wywoływała wśród krążących po Dimaszku asz-Szanie ludzi mniejsze zaciekawienie niż Europejczyk w chociażby Stambule. Yildirim Ozelkoy zaakceptował ten fakt, poddał się napierającej rzeczywistości jak niemowlak dłoniom troskliwej mamy.

Dźgnął konia w boki i powoli poprowadził go wąską uliczką, w ślad za swoją niewolnicą-przewodniczką. Zak nigdy tu przedtem nie był – ani w Damaszku swojego świata, XXI-wiecznym, ani w sieciowym Dimaszku asz-Szanie – ale wśród tych spalonych słońcem murów czuł się dziwnie znajomo.

Widać szlaki Yildrima Ozelkoya, szacownego kupca z miasta Antalya, przebiegały tędy nie raz.

Słońce grzało zbyt mocno jak na przedpołudnie; zalewało miasto poświatą o nienaturalnym, lekko seledynowym odcieniu. Nienaturalnym? Tak mówiło to stłamszone dziesięć procent. Dominujące dziewięćdziesiąt uznało ten element rzeczywistości za coś oczywistego i prawidłowego.

Szli od zachodu: zakurzoną aleją na zboczu góry Cassion, mijając bokiem El-Akrad i Charkasije, by zagłębić się w cichą i chłodną dzielnicę Es-Salhije dostojną setkami meczetów i madras. Kopyta konia stukały miarowo, głucho. (Iron Horse, jego dzielny wierzchowiec, przejrzał się w odwróconej do góry dnem posrebrzanej misie na mijanym straganie. Pracowicie wypolerowana powierzchnia naczyń błysnęła niczym zwierciadło; dziesięć odbić konia i jego jeźdźca rozbiegło się po zakątkach Dimaszku asz-Szamu.)

Hasziszijun spadł nagle niczym drapieżny ptak na pustynną mysz. Sfrunął z dachu minaretu – żadna ludzka istota nie przeżyłaby takiego skoku bez Jego pomocy – i ciął.

Ciał bojowym okrzykiem. Ciał ostrzem kindżału w twarz Yildrima Ozelkoya, szacownego kupca z miasta Antalya.

– Demonie... – wycharczał zduszonym szeptem. Odskoczył i rozpruł powietrze kilkoma lekkimi smagnięciami. Yildirim spał konia: wierzchowiec wyprostowany, oparty jedynie na tylnych nogach zatańczył, napierając na zabójcę.

Ten zaśmiał się. Wziął szeroki zamach i sieknął kindżalem w brzuch konia. Żelaznego Konia. Gdyby zatrzymał się na chwilę, mógłby podziwiać misterię kowalskiej roboty. (Tu kowalem-twórcą był Szatan; diabliki-czeladnicy wykuwały każdy włos z osobna małymi młoteczkami na kamieniach – bruku Piekła.)

Sztylet ześlizgnął się z brzucha zwierzęcia z cichym zgrzytem. Hasziszijjun mruknął z duszoną złością:

– Iblisie niecny na rumaku z piekieł! I tak cię pokonam. Bóg kieruje ostrzem mojego kindżału.

Jedno uderzenie bata Amber Moriu precyzyjnie odcięło mu głowę; zdjętą z karku z wściekłym grymasem, ustami zastygłymi w niedopowiedzianych groźbach. Potoczyła się w kurz damasceńskiej uliczki. Ciało zamarło w pół ruchu; długi czas minął, nim schowało miecz do pochwy i po omacku, na kolanach, jęło szukać zguby. Niewdzięczny los bożego sługi: pełzał między nogami osłów oblepiony ich odchodami. Pełzał wśród niewzruszonego, zajętego swoimi sprawami ludzkiego tłumu.

(W tej samej chwili inny hasziszijjun rozplątał na dwoje lustrzane odbicie jeźdźca i jego konia. Patrzył, jak powoli rozplływają się w gorącym powietrzu. Nie wyglądało to, jak powinno.)

– Jedź za mną – powiedziała swoim zmięczonym arabskim Amber Moriu. Dla pewności kopnęła daleko głowę hasziszijjuna, by korpus zabójcy, gdy już wstanie, zbyt szybko jej nie znalazł. – To miasto jest pełne takich szaleńców, ale mój bat nie zna dla nich litości.

Ruszyli. Yildrim w zamyśleniu omiatał wzrokiem mijane domy, zaglądał w oczy przechodniów.

Amber szczebiotała coś wesoło, na przemian po japońsku i arabsku. Gdy doszli do murów medyny, skręcili na wschód, choć nie tędy biegła droga na targ niewolników. Jakiś czas wędrowali wzdłuż Barady

Żelazny Koń stanął w cieniu smukłego minaretu przylepionego do muru między białymi, porośniętymi zieleń budynekami. Przywołał jedno z lustrzanych odbić, po czym skierował je do wnętrza.

Minaret zawalił się z hukiem, w chwili gdy odbicia przekroczyły jego próg. Skotłowana chmura pyłu. Gdy opadła, Yildrim ujrzał, jak otoczaki przenoszone i układane rękoma niewidzialnych budowniczych powróciły na swoje miejsce. Wieża stała jak zawsze.

Żelazny Koń przywołał kolejne odbicie siebie i jeźdźca – a potem trzecie i czwarte. Dalej było tak samo: huk spadających kamieni, tuman kurzu; odbicia rozmywały się, zaś

budowla wzrastała na nowo.

Fakesystemy zamykają multiplikacje głównego trojana – odpowiedziało dziewięćdziesięcioprocentowemu Yildrimowi dziesięć procent Zaka. Jednak Yildrim nie wiedział, co to znaczy.

Gdy z wnętrza wyskoczyło siedmiu hasziszijunów, domyślił się jednak, że dotarli na miejsce.

Zabójcy, pokrzykując, otoczyli ich ciasnym kręgiem. Kindzały lśniły złowróźnie.

Amber odpowiedziała okrzykiem i trzasnęła batem pod nogi pierwszego z napastników. Ziemia zatrzęsała się lekko; pękła. Szczelina długości trzech kroków. Japonka wzięła zamach i uderzyła drugi raz. Otwór poszerzył się, wciągając czterech hasziszijunów. Spadli bezgłośnie; oczy rozszerzone zdziwieniem.

Trzem pozostałym Amber poucinała głowy. Trzy krótkie trzaśnięcia. Yildrim nigdy nie przypuszczał, że bat może być tak morderczą bronią. Zeskoczył z konia i prowadzony przez Amber wszedł do minaretu. W milczeniu pięli się po krętych stopniach aż do ciasnego pomieszczenia na szczycie, pustej izdebki z czterema oknami w kształcie liści. Yildrim wszedł tam. Czerkieska niewolnica przystanąła na szczycie schodów gotowa do ataku.

Dotknął zimnego muru i odliczył szesnasty kamień w drugim rzędzie od dołu, na północnej ścianie. Pchnął go w głąb. Nagle w podłodze tuż za nim ze skrzypieniem otworzyła się sekretna klapka. Wyszedł z niej odziany w białe szaty muezzin.

– Salam alejkum – rzekł na przywitanie, rozkładając przed sobą ośmiopoziomową szachownicę ze szkła wysadzanego masą perłową.

– Alejkum salam – odpowiedział Yildrim. Muezzin z namaszczeniem rozłożył figury misternie rzeźbione w kości słoniowej. Czarny król przedstawiał siedmiogłowego i siedmioskrzydłego Iblisa, twarze jego pionów krzywiły jakieś ohydne grymasy. Analogicznie piękne oblicza białych tchnęły niebiańskim spokojem, a królem był Tron Allaha.

Rozpoczęli bez losowania. Swemu przeciwnikowi muezzin przeznaczył figury diabelskie. Wyszedł nietypowo, konikiem.

Yildrim sięgnął pod fałdy szaty i dobył z kieszeni śpiącego tam Pożeracza Cyfr. Mały dzinn przetarł oczy, rozczesał brodę i przeciągnąwszy się szeroko, wskoczył na szachownicę. Chwilę stał tam zamyślony, powtórzył ruch muezzina, lecz przeskakując na niższy poziom. Yildrim cofnął się na schody i stanął potem przy wejściu do izdebki, Amber zaś, zeskakując po kilka stopni, zbiegła na dół i objęła wartę przy głównym wejściu.

Po chwili dał się stamtąd słyszeć dziki wrzask. Ale inny niż poprzednio – to nie hasziszijuni. Jednak kimkolwiek był przeciwnik, bat Japonki uciszył go na wieki. (W tej

samej chwili rozmyła się w odległym końcu miasta kolejna replika Żelaznego Konia i jego jeźdźca. Tym razem wpadli w pierścień któregoś z łowców demonów.)

Pożeraczowi Cyfr udało się zbić gońca i dwa piony; rozpoczął misterny plan osaczenia Tronu. Na trzech poziomach. Ale muezzin zabrał mu cztery piony i przerzucając swoje anielskie hufce na czwarty poziom, przechodził do kontrofensywy. Po ostatnim ruchu obaj zastygli ze szklanym wzrokiem; zapowiadało się na długą grę.

– To potrwa, wracaj – zawyło dziesięć procent Zaka.

– Nie. Tu jest mój dom. Nie wrócę bez potrzeby – odpowiedziało dziewięćdziesiąt procent Yildrima.

– Twój dom jest w Antalyi, a nie w... A zresztą co ja mówię, ani jedno, ani drugie nie istnieje naprawdę. Wracaj, bo mnie zbytnio obciążasz.

– Znajduję w tej grze nadzwyczajne upodobanie. Chcesz, to wracaj. Ja zostaję. Nie ruszę się stąd, dopóki nie będzie mata, w najgorszym razie pata.

Dziesięć procent umilkło zrezygnowane.

Nie pozostało nic.

Tylko CZEKAĆ.

@@10

Tuż-tuż, o tam, za rogiem – szepnął anioł-przewodnik. Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, przyspieszył kroku. Odruchowo sięgnął do środkowego palca lewej ręki. Chłodny dotyk Bramy do Piekieł wyrównał bicie jego serca. Nie bał się, jednak tak jak niektórych łamało w kościach na zmiany pogody, jego serce zaraz przyspieszało, gdy diabli zbytnio hulali po mieście.

A hulali wprost niemożebnie. Pojął ich nową taktykę – gdy zamierzali coś napsuć w Dimaszk asz-Szame, nie przychodzili pojedynczo, lecz zbierali się w cały oddział i uderzali na miasto z kilku stron. Wtedy jego anioł-przewodnik szalał – udzielał dziesiątek sprzecznych informacji, w miarę jak wyczuwał nowe demony, tracąc z oczu te wykryte chwilę wcześniej. Chytre plemię szataniąt rozpleniło się, drwiąc z bogobojnych muzułmanów. Niekiedy czuł się zbyt słaby wobec tylu Złych.

Niemal dobiegł do rogu domu pełen obaw, by anioł nie skierował go w inny kąt miasta. Chciał wreszcie przeciągnąć przez Bramę choćby małego dzinna, najmniejszego, jak ziarenko piasku. Ściągnął pierścień z palca i z modlitwą na ustach ruszył do boju.

Nie od razu wyłowił Iblisowego syna z kotłującego się na ulicy tłumu. Właściwie nie

dostrzegł nic niepokojącego, do czasu aż...

Nie jeden. Pięć. Pięć demonów. Pięciu identycznych cudzoziemskich kupców, wielce szacownych z wyglądu, na identycznych koniach wartych wiele złota.

Znajomy Demon na Żelaznym Koniu. Demon i jego lustrzane odbicia? Podobny.

– Jeszcze jeden – jęknął najbliższy ze zwierciadlanych szatanów. – Ledwie się takiego zawiesi, to się musi następny przywlec.

– Ładnie, ładnie – stwierdził bez związku drugi.

Trzeci zapytał:

– Co z tym zrobimy?

– To co zwykle – odpowiedział czwarty. – Otworzymy mu oczy. Szepniemy parę słów gorzkiej prawdy.

– To nieludzkie... Odbierać mu jedyną cenną rzecz, jaką posiada – mimochodem zauważył piąty.

– Nie jesteśmy ludźmi. Zresztą może dostanie od nas coś cenniejszego.

– No tak, no tak...

Muhammad Ibn al-Charid uskoczył w tył, zasłaniając się Bramą do Piekieł, pierścieniem z przezroczystego metalu, włosem anioła Dżibrila.

– Precz, nikczemni! Cokolwiek knujecie, nie dam się! Nie jestem sam, jest ze mną ktoś, kto w każdym swym przymiocie przewyższa was siedemset tysięcy po siedemset tysięcy razy i jeszcze tyle razy, że nikt tego nie jest w stanie zmierzyć!

Demony zarechotały. Nie wyglądały na przelęknione. Muhammada Ibn al-Charida rozgniewały ich kpiące uśmiešky. Skoczył w przód, żeby złapać pierwszego i przeciągnąć przez Bramę! Za kark go i do piekła na sto lat!

Zły duch zrobił płynny unik; wywinął koniem w bok.

Łowca stracił równowagę. Uderzył twarzą w wyschniętą, spękaną od żaru ziemię. Poderwał się szybko.

Nie, nie poderwał się. Uniosły go ramiona demonów.

Pierwszy trzymał go za lewą nogę.

Drugi trzymał go za prawą nogę.

Trzeci trzymał go za lewą rękę.

Czwarty trzymał go za prawą rękę.

Piąty rozłupał na dwoje Bramę do Piekieł. Pół pierścienia schwycił w zęby jego koń, pół on sam trzymał długimi palcami.

Lustrzane demony. A prawdziwy siał gdzieś swe ziarna zła, nienękany, bez



przeszkód...

Nagle piekielne wierzchowce wzniosły w górę tuman kurzu, zatupały po trakcie kopytami i oderwawszy się od ziemi, poszybowały ku niebu. Razem z Łowcą.

Muhammad Ibn al-Charid zobaczył tylko malejącą w zastraszającym tempie damasceńską uliczkę, której pył jeszcze czuł na podniebieniu, później dachy domów, pękate kopuły meczetów. Wyżej. I wyżej. Świst wiatru w uszach.

Demony uniosły go tuż pod chmury: Dimaszk asz-Szam jak na dłoni. Medina, Es-Salhije, Charkasije, El-Akrad... Znajome dzielnice przypominały teraz ułożone obok siebie placki z bakaliami, obok nich – powleczone żółtym lukrem góra Cassion.

Nagle zatrzymali się. Pęd powietrza ustał; tylko cichy gwizd ciągnącego od pustyni wichru. Po pierwszej fali z trudem dławionego strachu Muhammada Ibn al-Charida ogarnął spokój. Bliskość nieba koła jego serce.

Teraz nieczne szatany cisną mną o ziemię – myślał. – Widać taki plan Allaha i pewnie jeszcze dziś chce mnie widzieć przed swym obliczem. Inaczej nie dozwoliłby lustrzanym demonom na takie harce. Wola Boża! Ci, którzy się bali swego Pana, zostaną wprowadzeni do ogrodu grupami i zastaną otwarte jego bramy. Jego stróże powiedzą: „Pokój wam! Byliście dobrzy, więc wejdźcie”. W rajskim ogrodzie wieczyste światło rozsiewać będzie światłość, która nigdy nie zagaśnie.

Czuł spokój.

Jedno z odbić Demona nieoczekiwanie zagaiło:

– Powiedz, szlachetny Łowco, co widzisz pod sobą?

Muhammad Ibn al-Charid nie miał zamiaru wdawać się w jakiegokolwiek dysputy z Nieczystymi. Jednak prostota tego pytania otworzyła mu usta:

– Jak to co? Dimaszk!

– Dobrze. A co widzisz tam dalej, za miastem?

– Pustynię.

– Dobrze. A co jest dalej, jak sądzisz, za pustynią?

– Inne krainy, a w nich inne miasta.

– Takie, jak Dimaszk asz-Szam?

– Takie właśnie!

– Al-Kahira, Bagdad, Mekka, Niszapur, Antalya i Kordoba?

– Tak! I jeszcze dziesiątki innych!

Demony zaszemrały gniewnie. Zawirowały, jakby niepomne tego, że Łowca wciąż jest w środku, między nimi. Zakręciło mu się w głowie.

Przemówił drugi demon:

– Gdy będziesz miał, Muhammadzie Ibn al-Cha-ridzie, chwilę wolnego czasu, przerwę w pościgach za dżinnami, weź bukłak ze świeżą wodą, wsiądź na rączego wielbłąda i wybierz się na pustynię. Za miasto.

– Jedź tak długo – kontynuował trzeci – aż dotrzesz do linii horyzontu. To znaczy jakiegoś wybranego punktu, który widziany z obrzeży miasta wydaje się leżeć na horyzoncie.

Czwarty wszedł mu w słowo:

– Tam się kończy twój świat. Zawija się z powrotem. Gdy przekroczysz linię, znajdziesz się na przeciwległym jego krańcu; idąc dalej przed siebie, dotrzesz z powrotem do Dimaszku asz-Szamu.

– Odkryj prawdziwą strukturę świata – ciągnął piąty. – Allah, ten zręczny kreator iluzji, kazał ci widzieć świat takim, jakim chce, żebyś widział. A twój świat to tylko Dimaszku i nic poza nim.

Muhammad Ibn al-Charid, krztusząc się ze zdenerwowania, zakrzyknął:

– Nikczemne, przeklęte po stokroć szatany! Nie wymażecie mi Boga z serca takimi kłamstwami. Ja znam prawdę. Byłem przecież w Bagdadzie i w Al-Kahirze... Widziałem. Nie uda wam się mnie oszukać!

– Nie, to On sprawił, że ty wierzysz, że tam byłeś. Allah sprawił, że ty wierzysz, że istnieje świat poza Dimaszku asz-Szame. Na tym oparł swą boskość: na wierze ślepej i bezkrytycznej. Na wierze bez zwątpienia. Chcesz się przekonać, jedź do linii horyzontu.

– Złe, podłe iblisy! To wam nie jest dane zobaczyć pełni świata. On nie należy do was, jesteście tu nieproszonymi gośćmi. Takich ja odsyłam do piekieł. Nie widzicie pełni świata. To kara dla was za nieposłuszeństwo Jedynemu.

Pierwszy demon puścił nogę Łowcy i obniżył się nieco na swym rumaku, spoglądając bacznie ku ziemi. Zmarszczył czoło. Zataczając szerokie kręgi, zawył:

– Już czas! Trzeba nam wracać. Widzę następnego! Czas! Już czas!

Szum, wzmagający się łopot i nagły błysk – słońce.

Muhammad Ibn al-Charid przetarł oczy ze zdumienia: siedział na zrębie studni na środku ruchliwego suku, jakby nie tańczył jeszcze chwilę wcześniej z demonami w chmurach.

– Ech, przeklęte, przeklęte... – wyszeptał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

\*\*\*

Powiedział muezzin:

– Niech Allah błogosławi twój dom i pilnuje twoich stad.

Umieścił figury w hebanowej szkatułce z jaspisowymi reliefami; złożył osiem szachownic. Po chwili skłonił się i rzekł:

– Chodź ze mną. – Nie wyglądało, by przegrana z Pożeraczem Cyfr wywarła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Yildrim schował dżinna do kieszeni i ruszył w ślad za muezzinem.

Rozgrzane uliczki Dimaszku asz-Szamu. Tłoczne i hałaśliwe jak zawsze. Gdy zagłębili się między stragany i warsztaty suku al-Hamidija, Yildrim musiał zsiąść z konia. Prowadził go za uzdę, rozpychając się przez gawieź łokciami. Niekiedy tracił Amber z oczu, a idącego przed nią muezzina w ogóle nie widział.

Wreszcie wydostali się do nowszej części miasta. Jakiś czas wędrowali wzdłuż rzymskich kanałów wciąż dociągających świeżą wodę dla spragnionych mieszkańców.

Hasziszijun. Nieco otępiały, rozkojarzony. Amber nawet nie rozwijała bata. Pchnęła tamtego w tył, prosto do akweduktu.

– Tutaj – szepnął muezzin, gdy doszli do małego meczeciku w jednej z bocznych uliczek.

Yildrim przywiązał konia do drewnianej, poprzecznej belki i zagłębił się w chłód podwórza świątyni.

Bat Amber Moriu strzelił po raz kolejny, spadła głowa. Nikt więcej już nie poruszał kwestii jej nieodpowiedniego ubioru. Weszła półobnażona, bez czci boskiej, dumna. Niewolnica?

Szacownemu kupcowi z miasta Antalya przemknęło podczas ablucji przez myśl, czyby nie poprowadzić jednak tej nieokrzesej Japonki-Czerkieski na targ niewolników. Byłaby dobra cena.

Muezzin odsłonił jeden z dywanów zaścielających podłogę świątyni i napał na kamienną płytę. Uchyliła się z rumorem, ukazując mroczną czeluść. Weszli tam z lampką oliwną; w migotliwym świetle po wąskich schodkach. Jeszcze kilka kroków ciasnym korytarzem o zapachu stęchlizny i byli na miejscu.

Pokryte śniedzią żelazne drzwi, z mosiężnymi okuciami. Siedemnaste w ósmej wnęce. Przewodnik ukłonił się po raz kolejny i rzekł:

– Pierwszy poziom skończony.

Yildrim nie do końca pojął znaczenie tych słów, jednak bez wahania przestąpił próg.

Za drzwiami Zak zanurkował w głąb czystych danych.

\*\*\*

Muhammad Ibn al-Charid zwolnił bieg. Szedł jeszcze jakiś czas, coraz wolniej, zwieszając nisko głowę.

– Zniknął – pisnął cichutko anioł-przewodnik. Jemu też było markotno.

– Wiem... – wycharczał Łowca Demonów. Wyczuł to: Zły Duch o Dziesięciu Lustrzanych Odbiciach zniknął, a poruszający al-Charida, dający mu siłę gniew ustąpił miejsca rezygnacji.

Przegrał. Opadł na kolana w kurz i zaschnięte błoto. Uniósł ręce do nieba.

– Panie... O Najmędrszy! Najsprawiedliwszy! Na jakie próby mnie wystawiasz? Dlaczego? Co chcesz mi powiedzieć?

Przepelź parę kroków, szorując po twardej ziemi. Potoczył nieprzytomnym wzrokiem, jakby spodziewał się dojrzeć gdzieś znak. Zaraz skierował wzrok ku górze.

– Panie... Przegrałem znów, a demony okazały się silniejsze. Czy już na zawsze utraciłem swą moc? Byłem Tobie wierny, wiesz o tym. Co chcesz mi powiedzieć?

Zapadał zmrok.

\*\*\*

Śmieci. Zak leżał na pryczy; z przymkniętymi oczami przeglądał na wirtualnym wyświetlaczu panasonica zgromadzone dane.

Pierwsze: wyciąg z akt Banku Dżihadu sprzed około czterdziestu lat.

Drugie: plon zebrany przez Skrzydłonogiego Hermesa – przegląd prasy i serwisów informacyjnych. Analiza kompletna, na ile pozwalały zasoby serwerów. Ocena końcowa Hermesa: przeszukano 27 652 400 serwerów; znaleziono – 97 699 dokumentów z hasłem „Relikwia – dłoń Jana Pawła II”. Po weryfikacji: 23 963 dokumentów. Rzeczywista dostępność plików: 79%. Pobrano: 18 930 plików. Ostateczny czas realizacji zadania: 4 godziny 26 minut.

Dwie dekady ludzkości XXI wieku zamienione na tysiące plików tekstowych, grafik, wideo, multimedialnych prezentacji, nawet programów i gier. Było tego tak dużo, że Zak zrezygnował na razie z kopiowania danych do swojego netchipa. Nie starczyłoby mu pamięci.

Pai Tien zgrzytało odległymi, metalicznymi hałasami wieczoru. Wąski wycinek pociętego okiennymi kratami nieba ciemniał – na tyle, na ile mógł ciemnieć tak blisko bieguna: różowiał. Znana mu już do znudzenia sekwencja odległych hologramów, które ożywały nad miastem niczym gigantyczne upiory ośmielone tym, że chmury i położenie słońca zdusiły niemrawe światło dnia. Uśmiechnął się bezwiednie, gdy wśród hologramów rozpoznał zamazaną sylwetkę Amber Moriu.

Zmniejszył przezroczystość wyświetlacza i wrócił do przeglądania danych. Śmieci. Przede wszystkim brak wzoru DNA papieża. Wyglądało na to, że tę istotną informację ktoś po prostu usunął wraz z szeregiem innych plików.

Z większą nadzieją przyjrzał się archiwalnym zapisom o poszczególnych aukcjach. Tak, jest też licytacja Relikwii. Dokładny przebieg przebiecie po przebicium, aż dziw, że komuś chciało się notować i przechowywać takie szczegóły. Z zapisu wynikało, że ostateczna rozgrywka odbyła się między dwoma uczestnikami. Długi czas podbijali stawki kwotami po tysiąc euro. Gdy suma sięgnęła 36 tysięcy euro, jeden z licytujących dżentelmenów zrezygnował. Trzydzieści sześć tysięcy po raz pierwszy. Trzydzieści sześć tysięcy po raz drugi. Trzydzieści sześć tysięcy po raz trzeci – sprzedane. Osiem godzin po zakończeniu aukcji z konta zwycięzcy wpłynęła wylicytowana kwota.

Niestety, skrupulatni protokolanci domu aukcyjnego Adler & Villiger nie odnotowali w swym zapisie żadnych nazwisk. Tylko numery przypisane do poszczególnych graczy. Informacja, że wygrał uczestnik licytacji z numerem 15, nic nie wyjaśniała. Brak konta, z którego przelano 36 tysięcy euro.

Jakie były dalsze losy Relikwii? Nie wiadomo. Dziesiątki fałszywych tropów, zawiłych drózek, które zwracały go do punktu wyjścia.

Powoli zaczynał sobie uświadamiać, że sprawa nie jest taka prosta, na jaką wyglądała. Włamywanie się do archiwów Banku Dżihadu było zupełnie niepotrzebne, a przy tym zajęło mu sporo czasu i energii. Postanowił mimo wszystko podejść do rzeczy bardziej metodycznie.

Przynajmniej zawarłem bliższą znajomość z SI Allahem – pomyślał. – I jego zacieźną armią defensorów. Wiem już, czego oczekiwać. Teraz mogę zaplanować operację krok po kroku.

Największą część danych skopiowanych przez Skrzydłonogiego Hermesa na komputer Salima zajęły dwie gry VR. Już pierwszy rzut oka uświadomił Zakowi, że powinien dokładniej zdefiniować zakres działań wyszukiwarki. Gry i wszelkie produkcje wirtualne eksploatowały wszystkie możliwe tematy, jednak nie wносиły żadnych wartości informacyjnych.

W „Hienie cmentarnej” penetrujący groby bohater musiał na każdym z poziomów – spieniężając łupy z nocnych wypraw – zebrać odpowiednią kwotę, w czym przeszkadzała armia wampirów, szkieletów, zombi... Relikwia była tu jedną z wyżej premiovanych zdobyczy. Całkiem realistyczne – ocenił Zak i usunął grę z pamięci.

„Inquisitor 2044” – kultowa VRG, w której scenarzystom udało się dosyć trafnie antycypować Dżihad. Wizja Islamu inspirowana jego terrorystyczno-fundamentalistycznym

nurtem. Czarny, mroczny, duszny. Asasyni mordujący niewiernych, szariat totalny, krwawszy co najmniej trzykrotnie od najbardziej ponurych wyobrażeń, chrześcijaństwo w gruzach. Piękne chwytły. Dłoń pojawiła się tu jednak wraz z całą Ręką i Ciałem, gdy gracz w opcji „wybór postaci” zdecydował się na przeniesionego z XX wieku Jana Pawła II i ruszał na pohybel pohańcom, na zgubę dzikiego poganina z Azji.

Zak przejrzał resztę dociągniętych przez Hermesa artykułów z plotkarskiej prasy. Po tytule „Ucięta dłoń papieża udusiła świętokradcę” zrezygnował z tej części zbiorów. Usuwał teksty jeden po drugim, z coraz większą rezygnacją tnąc dane. Gdy do końca przemielił brukowce i prace naukowe, sięgnął po – jak to z nadzieją określił: „złoty środek” – wyciąg z serwisów multimedialnych z ostatnich lat przed Dżihadem.

Było tam sporo zwykłych doniesień agencyjnych, suche fakty oraz nieco publicystyki. Te materiały wydawały się najbardziej wiarygodne – niestety i one zawierały wiele sprzeczności. Nic dziwnego: w sumie sfabrykowano ponad dziesięć wysokiej jakości falsyfikatów Relikwii, nie licząc tych czterdziestu ośmiu, które oprawiono w tombak zamiast złota. Z czasem niemożnością stało się jakiegokolwiek rozróżnienie – kopie pochodziły od mężczyzn zbliżonych wiekiem i typem narodowościowym. Media z niefrasobliwością pogłębiały ten chaos.

Jeszcze raz przemknął wzrokiem po leadach, skupiając się tylko na prasie opiniotwórczej, nagraniach wideo z telewizyjnych programów informacyjnych i serwisach agencyjnych. Naprawdę ważne wydarzenia i tak musiały znaleźć w nich swe odbicie; raczej nie zdarzało się, by pod tym względem ustępowały mediom brukowym.

Przeglądał. Rok 2037 – śmieci. 2038 – śmieci. 2039 – śmieci. Przystanął w 2040 – znalazł pochodzącą z „Frankfurter Allgemeine Zeitung” recenzję multimedialnego minidysku Eduarda J. J. Searsa „Ostatni Wielki Święty, ostatnia Święta Relikwia – rzecz o Janie Pawle II i Błogosławiącej Dłoni”. Publikacja na pewno warta zainteresowania, tyle że trzydzieści lat temu. Przeglądał dalej: 2041, 2042, 2043, 2044, 2045. Tysiące krótkich i długich artykułów, nagrań wideo, wywiadów, felietonów, telewizyjnych i prasowych reportaży. Relikwia pojawiała się tam zazwyczaj jako symbol i odnośnik; to, co aspirowało do miana czystych faktów, pozostawało poza weryfikacją. Czas zrobił swoje. Zero konkretów, nic, czego można by się uchwycić.

Dopiero w roku 2046 dotarł do eseju z wydawanego w Wolnym Mieście Częstochowie „Życia Polskiego”. Katolicka prasa wydawała mu się najbardziej wiarygodna. Zwiększył rozmiar czcionki i zaczął czytać.

@@11

## **BÓG, HONOR, OJCZYŻNA – CZY POWRÓT DŁONI OJCA ŚWIĘTEGO DO POLSKI PRZYWRÓCI TE WARTOŚCI?**

System korporacyjny czerpał swe zbrodnicze inspiracje od wszystkich plag ludzkości – Żydów, „Oświecenia”, Hitlera oraz Imperium Sodomii, Aborcji i Eutanazji określanego mianem Unii Europejskiej. Rekordowy krach na giełdach Mamony – zdawało się – przybliży wreszcie chwilę, gdy zatrzęsą się fundamenty tego bezbożnego i nieludzkiego systemu. Niestety – żydomasońska koteria światowej finansjery zbyt mocno opila się naszą krwią. Przetrwała, by knuć i judzić dalej. Ale jest coś, czego lęka się ona bardziej niż ognia – to dłoń Ojca Świętego Jana Pawła II. Relikwia, która wkrótce powróci do Ojczyzny.

Bóg, Honor, Ojczyzna – o tych wartościach pamięta się już chyba tylko tu – w naszym świętym mieście Częstochowie. Póki nie spadła na nie chciwa łapa Judasza, póki nie zamieniono nam kościołów na fabryki, możemy czuć się w nim bezpiecznie i modlić o Królestwo Chrystusa. Wolne Miasto Częstochowa – Twierdza Chrześcijaństwa.

Nasuwa się pytanie: jak do tego doszło? Jakich trzeba było zabiegów, by tak diametralnie odmienić obraz i kondycję świata? Punktem krytycznym była – i nie ma co do tego wątpliwości – ohydna profanacja ciała Największego Polaka, Ojca Świętego Jana Pawła II. To wydarzenie jest tym dla XXI wieku, czym dla XX były dwie wojny światowe.

Plączemy wszyscy, oglądając archiwalne filmy z życia Jana Pawła II. Choć Chrystus rozjaśniał mu serce i ducha, na twarzy odbijało się straszliwe brzemienie. On wiedział! Oto prawdziwa treść trzeciej wiadomości przekazanej przez Matkę Boską w Fatimie: profanacja ciała Papieża-Polaka, odcięcie jego Czyniącej Znak Krzyża Dłoni będzie początkiem triumfu Bestii. Będzie odcięciem ręki Kościoła. Ojciec Święty wiedział, że gdy jego zabraknie, zatriumfuje Zło. Bolesny to ciężar taka świadomość. Jan Paweł II trwał do końca, mimo podeszłego wieku i choroby, by jak najdłużej powstrzymać szatańskie knowania.

I oto dziś, po latach, zbezczeszczona przez barbarzyńcę dłoń Ojca Świętego powraca do Ojczyzny. Są jeszcze Prawdziwi Polacy, są jeszcze Prawdziwi Katolicy. Nasz Rodak zza Oceanu, potomek uchodźców spod sowieckiego buta-komucha nie szuka rozgłosu ani sensacji: pragnie pozostać anonimowy. Jak powiada – jedynym dowodem jego tożsamości niech pozostanie zaświadczenie proboszcza polskiej parafii na Greenpoincie.

Oto znak od Pana naszego! Czyniąca Znak Krzyża Dłoń Jana Pawła II będzie mogła spocząć po latach profanacji w należnym jej miejscu. Wznosimy pieśni pochwalne Panu – oto dziś Arcybiskup

Częstochowski otrzymał z Watykanu oficjalne potwierdzenie Certyfikatu Autentyczności Dłoni. Dłoń wróci do Ojczyzny – na chwałę Bożą, na pohybel żydomasonerii.

Czy Dłoń Ojca Świętego powinna spocząć na Wawelu? Bez wątpienia tradycja nakazuje złożyć ją w grobowcu Jana Pawła II w Watykanie. Może to olśniłoby Stolicę Apostolską, może przypominałoby jej, czym była i nadal być powinna. Ale jakie znaczenie dla Galicyjskiego Landu ThyssenKrupp mają Świętości Narodowe Polaków? Żadne. Tego nie da się przeliczyć na pieniądze, nie można tego uwzględnić w bilansie korporacji i umieścić w biznesplanie. Należałoby więc zastanowić się – może w tych schyłkowych czasach ta część ciała Papieża Polaka winna spocząć na ostatnim skrawku Prawdziwej Polski – w Wolnym Mieście Częstochowa? Tu, na Jasnej Górze dokonałoby się coś o wymiarze symbolicznym: przełom, początek Chrystusowego Królestwa. Scalenie sprofanowanego ciała Jana Pawła II z ojczystą ziemią przyczyni się też do scalenia naszej Polski rozdrapanej przez finansjerę pejsatych. Słowa Bóg, Honor, Ojczyzna odzyskają dawny blask.

Oto prawdziwy koniec spisku. Nie krach giełdowy, nie załamania na rynku, nie wojny ekonomiczne między korporacjami. Módlmy się o to, by Dłoń Czyniąca Znak Krzyża czym prędzej powróciła do Ojczyzny! Módlmy się, by w Częstochowie spoczęła część ciała Wielkiego Polaka!

\*\*\*

Nie ma lepszej rozrywki niż odezwa propagandowa w stylu retro.

Retoryka dziwnie znajoma, mimo że słowa inne. Choć minęło trzydzieści lat, ten język wciąż żył. Przeadaptowany stanowił teraz oręż w innych rękach (ustach?). Lufy inaczej nagwintowane, ale pociski te same: islamskie media nie ustawały w atakach na „multikorporacyjnych imperialistów” i „złaicyzowany, bezbożny Wschód”. Tym karmiła go oficjalna holowizja, serwisy sieciowe i gazety; przez dwadzieścia lat, odkąd ledwie nauczył się rozumieć coś z otaczającego go świata.

Nie liczyły się słowa ani treść i środki perswazji. Tylko fakty: Zak przejrzał natychmiast teksty z innych gazet tego okresu. Nigdzie nie znalazł choćby wzmianki o powrocie Relikwii do Polski.

Jednak część tych informacji należało uznać za wiarygodne. Wolne Miasto Częstochowa było państwkiem kościelnym utrzymującym kontakty tylko z Watykanem. W pewnym sensie była to papieska „środkoeuropejska kolonia”, jak nie bez pewnej racji pisali oponenti. Wydawane tam „Życie Polskie” nie szukało taniej sensacji, przynajmniej nie w znaczeniu, do jakiego przyzwyczyli odbiorców komercyjne media. Kościelni cenzorzy nie pozwoliliby na jakiegokolwiek przekłamania w tak ważnej sprawie jak papieska dłoń. Arcybiskup Częstochowy rzeczywiście musiał otrzymać Certyfikat Autentyczności. Czy



oznaczało to też, że Relikwia pojawiła się na terenie WMCz?

Szukał dalej: esej „Bóg, Honor, Ojczyzna” był jednym z trzech tekstów w drugiej partii materiału z częstochowskich mediów, jak dotąd ostatnim i najaktualniejszym. Do końca 2046 nie znalazł żadnej publikacji z terenów Polski. Dziwne. Być może Skrzydłonogi Hermes nie miał możliwości dotarcia do archiwów z WMCz; dane mogły nie przetrwać przez ten czas. Jednak jeżeli nawet Relikwia nie wróciła do Polski, to gdzieś musiała być, a „Życie” musiało o tym dalej pisać. Tym bardziej, gdyby papieska dłoń nie trafiła tam, gdzie chcieliby ją widzieć redaktorzy gazety.

Czyli – trzeba dalej drążyć tę skałę.

Niestety, „Życie Polskie” nie pojawiło się już ani razu, także żaden inny tytuł z WMCz. Z roku 2048 tylko artykulik z „Czasu Krakowskiego” wydawanego w części miasta należącej do Galicyjskiego Landu ThyssenKrupp. Mówił o rocznicy podjęcia starań o sprowadzenie ciała Jana Pawła II na Wawel, a kończył się apelem o natychmiastowe odszukanie i sprowadzenie do Ojczyzny sprofanowanej dłoni „Największego Polaka”. Do tego garść doniesień agencyjnych z 2049, 2050, 2051; wspomniano w nich o Relikwii w kontekście sensacyjno-kryminalnym: nowe fałszerstwo, uzdrowienia. Żadnych konkretów. Sprawa „Prawdziwego Polaka” o tożsamości świadczonej przez proboszcza z polskiej parafii na Greenpoincie i jego wspartego watykańskim certyfikatem Daru ginie pod stertami nikomu niepotrzebnych michałków na sezon ogórkowy sprzed dwóch dekad. Wprost nieprawdopodobne.

Mimo izolacji politycznej Wolnego Miasta Częstochowa takie wydarzenia nie mogły przemknąć bez echa. Jednak wszystko wskazywało na to, że przemknęły.

Zmuszając się ostatkiem sił, sięgnął do kolejnego działu zasobów bazy danych: materiałów zebranych z mediów anglojęzycznych z terenów Europy Środkowej. Na temat Relikwii dominowały teksty z brukowcowego pogranicza; nawet media opiniotwórcze musiały ożywić niekiedy swe newsy jakimś cudem.

Przeleciał wzrokiem prześmiewcze felietony, mało odkrywcz e eseje historyczne, setki komentarzy redakcyjnych, listy czytelników. Śmieci. Materiały wideo, nagrania audio, jakieś animacje. Tam już zupełnie zero treści, tylko efektowna papka dla umysłu.

2047. „Warsaw Times” wydawany w Polskiej Republice StatoilBP, cotygodniowy dodatek poświęcony sprawom marketingu i reklamy. Zdziwił się. Co to ma wspólnego z Relikwią? Rzut oka na pierwszy akapit rozwiał wątpliwości. Już wiedział, skąd wzięły się rojenia redaktorów „Życia Polskiego”. Skąd rozbudzone nadzieje wiernych z Wolnego Miasta Częstochowa, że święta dłoń wróci na ziemię ojczystą. I wiedział też, dlaczego temat

skończył się jak ucięty nożem.

## UNITED COMMERCIAL AWARD DLA O.L. & YEATSON

*Wielka Kapituła United Commercial Award ogłosiła swój werdykt, przyznając nagrodę za najlepszą kampanie reklamową roku 2046 agencji O.L. & Yeatson Kompanii Coca-Cola za skierowaną na teren geograficznej Polski kampanię reklamową środka czyszczącego „Święta Ręka” produkowanego przez ChemDex Kompanii Coca-Cola. Statuetkę UCVA za rok 2046 odbierze w poniedziałek generał director nadwiślańskiego oddziału agencji, Jack G. Viertsik.*

– To właściwie był pomysł mojej żony – opowiada g.d. – Spojrzała na naszą gosposie i powiedziała: „Ty, Jack, co tu się dziwić, że ten towar się kiepsko sprzedaje?! Co z tego, że jest dobry? Spójrz na naszą Katty: ona, czyszcząc zlewozmywak, potrzebuje czegoś bardziej wzniosłego niż zwykły Clorox w jakiejś takiej bezkształtnej butelce”. Pomyślałem: „Do pioruna, Mariett ma rację!”. Zacząłem główkować co by się najlepiej sprzedało. Co w tym kraju jest najbardziej wzniosłego? I wtedy przypomniałem sobie tę starą historię z polskim papieżem i jego ręką. To było to! Wystarczyła nowa nazwa i nowe opakowanie w kształcie odciętej dłoni. Później wymyśliliśmy jeszcze Certyfikat z Nowego Watykanu – nasi chłopcy odwalili kawał niezłej roboty – oraz tego tam Polaka z Nowego Jorku i całą tę story z Wielkim Powrotem Błogosławiącej Dłoni.

W wyniku kampanii reklamowej O.L. & Yeatsona sprzedaż dawnego Cloroxa – już jako „Świętej Dłoni” – wzrosła 23 razy! Jak przyznają menedżerowie firmy ChemDex, jest to blisko 300% więcej, niż liczyli.

– Szkoda, że zasięg kampanii ograniczony jest do terenów geograficznej Polski – stwierdza marketing manager centralnego oddziału firmy Pierre Bouchard. – Mamy plany, by zastosować podobny mechanizm w krajach arabskich, wykorzystując postać Mahometa.

\*\*\*

Ożywcza, miękka wilgoć na twarzy. Intensywny, kwiatowy zapach lekko łaskotał w nosie. Stłumiony śpiew ptaków gdzieś za oknem. Przełknął ślinę przez zaschnięte gardło, odkaslnął. Podniósł powieki ciężkie jak z ołowiu.

Miła kobieca twarz okoloną muślinowym hedżabem. I smutne, pełne żalu oczy.

– Yildrim... – usłyszał jak przez watę. – Na Allaha! Obudziłeś się wreszcie.

Przetarła jego twarz gąbką nasączoną świeżą, studzienną wodą. Odwróciła się i zawołała w głąb domu:

– Suleyman, choć tu szybko! Yildrim się obudził!

Na miękkim dywanie wyścielającym podłogę komnaty zaszurały czyjeś stopy.

– Yildrim! Bracie! – Suleyman przypadł do łoża i ucałował go w policzki. Potem uniósł dłonie do nieba. – Dzięki, o Najdobrotliwszy! Przywróciłeś mojego brata do zdrowia.

– Co... Co... – wyszeptał z wysiłkiem.

– Nic nie mów, Yildrim. Nic. Opiekujemy się tobą. Wyjdiesz z tego.

– Gdzie... Gdzie ja jestem? Co się... dzieje?

– W swoim domu, w Antalyi. Nie martw się o interes. Twój brat Kemal i ja zajęliśmy się wszystkim.

Nic nie pamiętał. To znaczy trochę tak, ale to, co mógł wyciągnąć z mroku zapomnienia, nijak nie pasowało do tego, co widział. Pogłębiało jego dezorientację.

– Ja nic...

Suleyman nie pozwolił mu mówić.

– Spokojnie. Nie przemęczaj się. To przez tę podróż. Zaraziłeś się w Syrii komarzą gorączką. Od tygodnia leżysz tu i majaczysz, wykrzykując przez sen niezrozumiałe słowa o jakichś sieciach i odciętej dłoni. Majaki... Zaraz. Twoja siostra da ci pić.

Smak gorzkiej wody. Zakrztusił się. Strumyczek cieczy spłynął mu po twarzy na szyję.

– Pij, pij...

Coś dziwnego stało się z jego wzrokiem: pomieszczenie wypełniła gęsta mgła o stęchłym zapachu. Głosy jego rodzeństwa coraz wyraźniej pobrzmiwały metalicznym echem; odległy trzask stalowych drzwi.

Powoli odzyskiwał wzrok.

Karaluch. Siedział mu na twarzy i ruszał czułkami. Strącił go z obrzydzeniem i poderwał się.

Zasnąłem?

Różowa poświata wewnątrz celi. Czyjeś kroki na korytarzu, krótki wrzask i łomot zasuwanych krat. Spojrzał na odczyt czasu: 22.06. Wyłączył panasonica. Niebieskie logo Xiaopinga rozplynęło się na ciemniejącym ekranie wirtualnego wyświetlacza.

Natychmiast zapadł w czarny, pusty sen.

\*\*\*

Obudził się cztery godziny później. 02.17. Zegar biologiczny totalnie rozregulowany: dzień nie jest dniem, noc nie jest nocą, doba pocięta na odcinki długie – wejścia w sieć, i krótkie – przerwy między nimi. Cyberprzestrzeń i jazda na głupolu obciążały go psychicznie

ponad granice wytrzymałości. Głowa pękała: monotonna pulsacja, krew uderzająca w mózg dawkami niekontrolowanymi.

Zeskoczył z pryczy i zaczął nerwowo krążyć po celi. Typowy błąd netdiverów: w sieci zapominało się o cielesności. Z czasem organizm przystosowywał się poniekąd na własną zgubę – wstrzymując potrzeby fizjologiczne do krótkiej chwili między jednym a drugim wejściem; w skrajnych wypadkach niektórzy wyjadacze byli w stanie zminimalizować je niczym hinduscy fakirzy. Godziny w cyberprzestrzeni bez picia i jedzenia, tak długo, aż przeciąży się psychikę. Wtedy halucynacje.

Zak jeszcze się kontrolował, ale teraz był w szczególnej sytuacji: w normalnych warunkach, poza więzieniem, miałby więcej ruchu. Jak Malik. Ale fizyczność Malika była jeszcze jednym odważnikiem obciążającym jego psychikę. W Pai Tien przegrzewał umysł bardziej niż zwykle.

Spacerniak, wspólna jadalnia dla więźniów, siłownia – to przywileje, nie prawa. Prawem skazańca jest cierpieć. Więc zamiast spacerniaka obiegał własną celę. W kółko, w kółko, w kółko, w kółko... Potem w drugą stronę. Potem skoki na ścianę z rozbiegu, aby wyżej i nie spaść na głowę. Spadł kilka razy, jednak skakał dalej.

03.01. Wdrapał się na łóżko i próbował zasnąć. To niemożliwe. I tak za dużo śpisz wirtualnym snem w cyberprzestrzeni. Tam śpię dla ciała, nie dla ducha. On też potrzebuje odpoczynku. Spać!

Spać!

Bezsensowność, siostra obłądu...

\*\*\*

Pod powiekami zamiast wrót do snu widział ją. Inge. Obraz dźgający bólem jego serce; nie miał siły znów się z tym zmagać. Kierował myśli w inną stronę, ale im większe wysiłki czynił, by zapomnieć, ona coraz silniej wciągała go do swojego świata.

Berlin OstBf. Ona na plastikowym krzeselku, z nieruchomym wzrokiem. On obok na drugim krzeselku, miotając się w nerwicowej drzączce. Uciekać! Nie pozwolić myślom, by drążyły cierpieniem. Zebrał wszystkie siły. Chciał wstać i wybiec z dworca, a potem iść przez miasto dalej i dalej...

– Uspokój się – szepnęła beznamiętnie Inga. – Czego się rzucasz?

Bał się jej takiej: obcej, dziwnej; piętno szaleństwa zbyt wyraźnie odcisnięte. Milczał.

To uczucie jak jazda na zepsutym głupolu. Brak koordynacji ruchów rąk i nóg: one swoje, a mózg swoje. Wyładowania bioelektryczne w synapsach, mikroburze. Zupełny chaos.

Tyle że to było jego własne ciało. Nie klona.

Inga zwróciła ku niemu nieobecna twarz.

– To fakt, trochę mnie oderwało od waszego świata. Stabilizator padł i co z tego? Właściwie to nie jest tak, jak wszyscy myślą. Że mnie wydrenowało. Czy wiesz, że czas może mieć różny bieg? Że na tę samą rzeczywistość mogą być nałożone inne? Ja przeszłam przez furtkę z jednej do drugiej.

Szamotał się z krzeselkiem: wstać i uciec! Bezskutecznie. Jakby krzeselko trzymało go niewidzialnymi pasami bezpieczeństwa.

– Wiesz co, Zak? – Nagle jej oczy ożywił dziki blask jak piekielne ogniki. – Ty tego nie dostrzegasz, ale ciebie też nieźle wydrenowało. Jeszcze bardziej, niż myślisz. Nawet nie zauważyłeś, kiedy twoja osobowość, czy jak to niektórzy mówią: dusza, przewędrowała gdzieś tam z płata czołowego mózgu do twojego panasonica. Za każdym wejściem w cyberprzestrzeń albo w neurostrukturę głupola zapuszczasz tam korzenie głębiej i gęściej. Krąg, w jakim się znalazłeś: więzienie – netchip – głupol – sieć, to też brama. Do jeszcze innego świata, gorszego niż mój...

Bezsenność, siostra obłądu.

\*\*\*

Uruchomił netchip i spojrzał nerwowo na odczyt czasu. 09.37. Jest dobrze. Podliczył szybko: udało się uszczknąć jakieś pięć godzin snu. W tej sytuacji to jak marzenie.

Zwłókł się z pryczy z lekkim bólem mięśni. Zakwasy po wczorajszej rozgrzewce: stanowczo za mało ruchu. Podeszedł do okna. Uniósł je, na ile tylko mógł, i wciągał głęboko do płuc chłodne powietrze Nowego Hongkongu, wychwytyjąc odległe, delikatne jak pajęczyna aromaty z chińskich restauracyjek z trudem przedzierające się przez stęchliznę Pai Tien.

Może to tylko jego wyobraźnia? Nawet stuletnie jaja nie pachną tak intensywnie, by mógł wychwyć je w tym betonowym bunkrze.

I pomyśleć, że kiedyś zapach azjatyckich kuchni prowokował go do przekleństw.

Inga! Nie przestawał o niej myśleć, choć myślał z narastającym lękiem. Inga była zawsze dla niego... kimś wyjątkowym, no tak, to oczywiste. Nie potrafił tego nigdy sprecyzować; teraz nasuwała się taka analogia – była dla niego rodzajem stabilizatora jak ten, który padł w jej systemie. Kimś, kogo obecność nie dopuszczała uderzeń depresji większych, niż był w stanie znieść zdrowy człowiek. On starał się dawać jej to samo.

Tutaj, w Czerwonym Piekło, wśród czysto białych uniformów paowskich oprawców,

czasami brakowało mu sił. Tylko myśl o niej... Teraz nie miał już tej podpory.

Myślał o niej, kiedy wskakiwał na kanał Malika. Tylko o niej.

\*\*\*

– Zak! Na Allaha, człowieku! W dobrej chwili przychodzisz. Musisz nam pomóc. Bierz rurę i wal!

Komiks wariował. Ruchy nieskładne: jedną ręką ciął linki krępujące ciało Malika, drugą wciskał mu we wciąż unieruchomione dłonie coś cuchnącego prochem i śmiercią o kalibrze zbliżonym do armatniego. Zaś nogi wiły się w tanecznych ruchach, w krótkich konwulsyjnych skokach. W przód, bo już chciałby pobiec, i w tył, bo sznury klona wciąż stawiały opór.

Wokół inni też tańczyli, choć w ich ruchach było więcej gracji: pół metra za okno, wycelować w ćwierć sekundy, odpalić, schować się i zmienić pozycję. Do następnego okna lub szpary w murze.

Na zewnątrz huk. Wrzaski, potoki krwistych przekleństw i stukot kul po ścianach zagłuszający to wszystko. I krótkie grzmoty rozrywających się granatów.

Wstrząs. Poczul w ustach drobinki pyłu, gdy sufit przecięła zygzakowata rysa.

– Co tu... – Kolejna fala łoskotu zagłuszyła jego słowa. – Co tu się, do kurwy, dzieje?

Komiks podskoczył do wnęki okiennej i z wysuniętym językiem wywalił długą, głuchą serię ze swojej rury.

– Co ma się dziać? – wyskrzecztał, plując pyłem. – Larwy nas lutują!

Larwy. Te niemrawe muminy, które ograniczały się najwyżej do rzucania z bezpiecznej odległości niezrozumiałego bełkotu przekleństw?

– Ej, Komiks! Widziałeś może Inge?

– Pogięło cię, człowieku? Wyjrzyj przez okno! Oślizłe, bezwłose larwy z gunami w garściach! A ty o dupie teraz... Napierdalaj z rury!

Wyjrzał na podwórko. Nic, tylko chmura kurzu. Dopiero po chwili wyłowił z niej obdarte sylwetki larw przygiętych za stertami śmieci i pustymi beczkami.

Larwy. Zazwyczaj spokojni, biedni w sumie goście, zmarnowani mutacją pleśniaka. Nie byli agresywni. Aż do teraz.

– Co im dowaliło? Larwy, co się światła boją? Na nas?

– Kurwa, nie wiem! Nikt nie wie! Od godziny nas tak ogrzewają. Pewnie osiągnęli kolejny poziom swojej mutacji. Gdy wyjrzała z nich agresja.

Kościółem zatrzęsło. Gdzieś trzasnęła szyba, za nią runął potok przekleństw Salima.

Zak zajrzał tam – w skłębionym, bladoszarym obłoku kotłowały się cztery sylwetki. Salim, Moze, Ivan i jeszcze ktoś, kogo nie znał.

Ivan i Moze. Starzy kumple. To akurat teraz musiał ich spotkać? Po tylu miesiącach!

Wysunął koniec rury za okno i wymierzył w przemykający gdzieś pod murem cień. Wypalił. Siła wyrzutu pchnęła go w tył. Cień spłynął czerwienią ku ziemi.

@@12

Muhammad pociągnął nerwowo łyk wody, chociaż wcale nie czuł pragnienia. Przesunął wzrokiem po horyzoncie, szukając jakiegoś punktu orientacyjnego.

To nie jest oznaka mojego zwątpienia, to nie jest oznaka mojej niewiary – przekonywał sam siebie. – To moja walka: czynem dowiodę demonom kłamstwo. Gdy przyjdą następnym razem, nie dam się zaskoczyć i powiem: przeznaczeniem szatanów jest kłamać, ale ja się nie ugnę. Bogaty w moją wiarę, mając w sercu mego Pana za towarzysza wędrówki, poszedłem tam, gdzie chcieliście, by unaocznic wasze łgarstwa, napiętnować nikczemność. Poszedłem tam, by wytrącić z waszych rąk smolistych kindżał kłamstw, stępić go o prawdę i mą niezachwianą wiarę.

Na linii horyzontu wypatrzył wyraźnie zarysowane wzniesienie, grupę ostrych skał. Zmusił niechętnego wielbłąda do szybszej jazdy. Wkrótce odkrył na spalonej ziemi cienką wstęgę szlaku, nieco zatartego przez kurz, ale dobrze odcinającego się od spękanej skorupy pustyni. Trzymał się tej dróżki, która niechybnie wiodła do wzniesień na horyzoncie.

Wielbłąd stapał miarowo, niespiesznie. Był wczesny ranek; aniołowie dopiero zaczęli wciągać złoty łańcuch z zawieszonym na końcu słońcem. Powietrze stało nieruchomo. Muhammad Ibn al-Charid liczył, że uda mu się dotrzeć do celu i powrócić, nim diabli zaczną pędzłami żaru malować na pustyni falujące miraże. Wtedy trudno byłoby wrócić do domu. Dźgnął mocniej wierzchowca, zmuszając go do lekkiego galopu. Chciał to mieć szybko za sobą. Może w Dimaszk asz-Szame hulał już jakiś dzinn?

Jakże mógłby świat składać się tylko z Dimaszk asz-Szamu i kawałka pustyni? Widać tu pełnię kłamstwa demonów: przecież Święta Księga, Koran, mówi o tym, jak wygląda świat. Ile jest ziem i niebios. Opowiada Święta Księga, jak Prorok konwojował karawany z Arabii ku Pustyni Syryjskiej, a potem rozmyślał w grocie na górze Hira i rozmawiał tam z aniołem Dżibrilem, Bożym Posłańcem. Następnie mówi Księga, jak nauczał w Mekce i w Medynie, prowadził muzułmanów na niewiernych pod Badr i jak skrzydlaty rumak Al-Borak niósł go z anielskiego rozkazu od świątyni w Jerozolimie do nieba, skąd widział cały świat i

wszystkie miasta. O wszystkim tym mówi Koran, wlewając w duszę słodycz prawdy. Czy opowiadałby o tylu krainach, miastach, górach, pustyniach i rzekach, gdyby całym światem był tylko Dimasz asz-Szam?

Nie, nie, nie, nie, nie! Łgarstwa złych duchów nawet na chwilę nie zachwiały jego wiary! Niedoczekanie!

Bo czyż Święta Księga może kłamać?

Muhammad Ibn al-Charid sięgnął po bukłak i pociągnął mocny łyk. Świeża woda spłynęła do przelyku, oczyszczając go z kurzu. Powoli, ale zauważalnie zaczynało się robić gorąco. Skałki, do których niósł go wielbłąd, urosły nieco, przesuwając się z linii horyzontu bliżej, w stronę miasta. Łowca wyteżył wzrok, by dojrzeć, co jest za nimi. Pustynia. Nie rozróżniał szczegółów: dzinny z gorącymi pędzlami wyszły już z dziur w ziemi i harczą.

– Powinienem się nimi też zająć – stwierdził Łowca Demonów. – Zwodzą z drogi podróżnych, prowadzą karawany zamiast ku ocienionym oazom, w kamieniste przepaści.

Z takimi myślami, bijąc piętami wielbłąda, dotarł wreszcie do skał. Wstrzymał wierzchowca i zeskoczył na ziemię. Ciągnąc zwierzę za uzdę, przeszedł wolnym krokiem wzdłuż spiętrzenia ostrych głazów aż do wąskiego przesmyku. Tam wiódł szlak, którym podążał. Muhammad stanął.

Obejrzał się. Teraz to Dimasz asz-Szam leżał na horyzoncie – zniekształcony przez falujące powietrze, owiany chmurami kurzu – ale na pewno było to jego miasto, nie miraż. Słońce tkwiło wysoko, ale wyraźnie po lewej stronie. Nie mógł się pomylić.

Jadąc dalej tą drogą, dotarłbym do Libanu, zaś później do morza – pomyślał. – Demony nie są w stanie mnie oszukać.

Ruszył dwa kroki w przód i stanął.

Wiem, że tam jest Liban, za nim morze, a za morzem inne krainy – myślał dalej. – Daleko, daleko w stronę słońca rozciąga się Egipt, gdzie nad Nilem rośnie mój ulubiony tytoń. Zaś wiele dni drogi w przeciwnym kierunku leży Turcja, a za nią kraje Franków i dzikich niewiernych. Wiem, bo tak mówi Księga. Tak mówi Prorok, którego ustami przemawia Pan.

WIEM. I WIERZĘ.

Mogę to sprawdzić.

Ale byłoby to oznaką zwątpienia. Uszczerbkiem na mej wierze. Zaparciem się Boga. Niecne demony – taki jest ich plan. Wiem, że kłamią. Wiem i wierzę, że dalej rozciągają się krainy i miasta, i tak powinno pozostać. Teraz zdobędę najsilniejszy oręż przeciwko siłom nieczystym: nie przejdę tej linii, nie dam demonom satysfakcji. Moja wiara się wzmocni, a z



nią moja siła.

Jeżeli Bóg Jedyńy zechciałby nagle odmienić świat i ja zobaczyłbym to, moja wiara nie zmniejszyłaby się wcale. Uznałbym, że taka wola Pana, by świat był tylko Dimaszk asz-Szamem i kawałkiem pustyni dookoła. Wola Stwórcy. Cokolwiek jest za tymi skałami, nie umniejszy mojego oddania.

„Zostaną zapędzeni do Gehenny ci, którzy zwątpili. I powiedzą do nich strażnicy: »Czyż nie przychodzili do was posłańcy, niosąc słowo Pana, i nie ostrzegali przed dniem gniewu?«. W Gehennie już czekają na wąpiących czeluście pełne węży grubych jak szyje wielbłądów i skorpiony jak czarne muły. Potępieni zostaną rzućeni tym węzom, a one kęsać będą ich wargi i zdzierać skóę z ich ciał, od włosów po paznokcie u nóg. Jedno użądlenie piekielnego węża daje ból trwający czterdzieści lat. A jedyna ucieczka to rzucenie się w ogień”.

Zawrócił.

\*\*\*

Wiatr, ten gadatliwy wszechobecny duch, umilkł nieco, przysiadł gdzieś w skalnej rozpadlinie zmęczony całodziennym wyciem.

Muhammad Ibn al-Charid, idąc wąską ścieżką po zboczu Cassionu, strząsał z ubrania drobiny pustynnego piasku – nie są lepkie, gdy je rozetrzeć między palcami, jednak posiadły zadziwiającą zdolność wciskania się w najmniejsze szparki odzieży, w każdy zakamarek ciała.

Skąd się biorą pustynie? Muhammad Ibn al-Charid wiedział: to diabelskie nasiona zła rzućone na żyzną glebę. Tylko Bóg dobrotliwy potrafił sprawić, że nie wykiełkowały, a jedynie wysuszyły ziemię.

Łowca przysiadł na szczycie w cieniu rozłożystego, poskręćanego przez wichę cedru i chwilę patrzył na panoramę miasta. Spojrzył w górę, próbując wzrokiem przebić chmury, siedem nieboskłonów i dosięgnąć podnóżka Tronu Allaha.

– Panie – przemówił cicho. – Nie złamią demony, szatany niećne, mej wiary. Nie zasieją ziaren zwątpienia. To jest ta broń z ich arsenału, która na zawsze pozostanie nieskuteczna. Jeśli nawet zdołają zranić me uczucia, moją dumę, to wiary nigdy nie zabiją. Moja wiara i moje oddanie jest jedynym, co mam. Gdybym pozwolił sobie to odebrać, to tak, jakbym umarł za życia. Nie! I jeszcze raz nie! W takiej walce, na takie miecze, mogę, Panie mój, wytrwać choćby do końca tego świata. Mogę bronić przed szatanami siebie, ale już nie innych. A na to właśnie powołałeś mnie, Panie, jako Łowcę. Tyle że... Cóż z tego, że mam

Bramę do Piekieł i małego anioła-pomocnika, skoro łapię tylko lustrzane demony, nie prawdziwe, bo te potrafią się dobrze ukryć. Nie ma w tym mojej winy... Demony są sprytne. Potrafią kłamać i mamić jak nikt. Jak opadną człowieka całą zgrają... Jest ciężko... Ciężko. Niewiele potrzebuję. Gdybym tylko miał... Zresztą Ty, Najprzenikliwszy, wszystko widzisz, wszystko czujesz i słyszysz. Wiesz, czego mi brak, wiesz, czego potrzebuję.

Wiatr znów zerwał się do wycia.

\*\*\*

Cisza. Taka z tych podejrzanych, przedburzowa.

– No dalej, już, larwy pierdolone, no już! Strzelajcie! Już! Co knujecie? – pokrzykiwał nabuzowany adrenaliną Komiks.

Zak wcisnął się w wąskie pseudogotyckie okienko na wieży i wychylił na zewnątrz. Gdzie cholerne larwy? Podwórko było puste. Tak samo jak widoczny wycinek Wrangelstrasse, nie licząc zwiniętego w kłębek, skrwawionego ludzkiego tłumoku w bramie naprzeciw. Zak cieszył się, że to nie on zabił, choć któryś tam od niego dostał. Ale miał nadzieję, że nie ten. Nie chciał mieć larwy na sumieniu – nawet jak im dowaliło, były w gruncie rzeczy chorymi ofiarami pleśniaka.

Zak widział niejedno nieszczęście spowodowane mutacją grzybka. To spotkało także paru jego przyjaciół. Nie potrafił wykrzesać w sobie nienawiści. Co nie znaczyło, że dałby się zabić.

– Komiks, może oni chcą dołem – zasugerował. – Tak jak ja przyszedłem.

– O kurr...! To możliwe! Lecimy!

Skacząc po kilka stopni, zbiegli z wieży.

– Jak już się za coś wzięli, to porządnie – przyznał z nutką podziwu Komiks.

Pociski larw wyryły w ścianach głębokie wyrwy, pod nogami chrzęścił gruz. Zapach prochu i spalenizny. Na pierwszym piętrze nie ocalała żadna z szyb.

– Konkret kaliber – stwierdził Zak. – Chyba większy niż ta rura, co mi dałeś.

– To Berlin, stary. Getto popierdolonych wykrętów! Zapomniałeś o tym, chłopaku?

Na dole, w zakrystii spotkali Mozego. Stał przy wejściu do lochu, spokojnie paląc skręta z czarnego tytoniu.

– Co jest, Moze?

– Ej, Komiks, co to za gość? Ten z tobą?

– Nie mówiłem? Zak, stary. To jest nasz kumpel Zak, na głupolu.

Możę ożywił się.

– Zak? To ty? Kurwa, nie znoszę, jak ktoś jeździ na klonie. Nigdy nie wiadomo, kto jest kim. Zak?

– Tak, to ja. Prosto z Nowego Hongkongu.

– No tak. No tak... Przejebane z tymi Chinolami...

– Później pogadacie – wtrącił Komiks. – Teraz zajmijcie się larwami.

– A... no właśnie Ivan patrzy, co na dole.

– I co na dole?

– No nie wiem. Eeej! Ivaan! Co na dole?

Cisza.

– Ivaan!

Ciężkie szuranie, odgłos podkówki na kamiennych schodkach.

– Spokojnie – stwierdził Ivan, gramoląc się na górę. – Tu na pewno nie przejdą, zawaliła się ściana.

Spojrzał na Malika i zapytał:

– A to co za jeden?

Zak nie czekał na dalszy ciąg. Unosząc rurę, ruszył do drzwi.

– Później wpadnę... Muszę coś załatwić. Nara!

\*\*\*

Larwy niespiesznie ciągnęły do wschodniej części miasta. Zak natknął się na nie przed mostem. Czekał. Nie chciał żadnej strzelaniny, tylko obserwował.

Wyniszczeni grzybkiem eksbiznesmeni szli w rozproszonej kolumnie, jeden, zapewne najniższy w hierarchii, ciągnął wózek z amunicją. Niekiedy ten czy ów oddał strzał gdzieś w dal, w mijany dom, w starą barękę, w nurt Szprewy... Bez agresji, spokój.

Przeszli na drugi brzeg, kierując się dalej, wciąż na wschód – w kierunku Warschauerstrasse. To dobrze – Zaka ogarnęła obawa, że skręcą w prawo, w stronę Ostbahnhof. Ale jednak nie. Przebiegł most i ruszył tam.

Siedziała gdzie poprzednio: na peronowym foteliku, wpatrzona w tor. Samotna, zapomniana przez wszystkich czekała na swój pociąg z Hamburga. Chwilę stał, patrząc na nią z daleka, z drugiego końca peronu. Coś cisnęło go w żołądku; serce pukało jak podkręcony automat perkusyjny.

Podszedł do niej od tyłu i zawołał zdławionym głosem:

– Inga...!

Nie reagowała. Wzrok wbity w tor.

– Inga... – powtórzył bez specjalnej nadziei. Stał przed nią i zajął jej w oczy.

Ale te nie zmieniły wyrazu. Nie pasowały do miłej twarzy: lekko zamglone wionęły chłodem. Oglądały obrazy z innego świata, nie dostrzegały tu nic poza lśniąca szyną transrapidu.

Usiadł obok. Czy w świecie, który teraz widziała, Berlin też był chorym miastem ofiar pleśniaka, gettem pełnym psychopatów? Czy tam też terytoria Państwa ThyssenKrupp, Niemieckiej Republiki SiemensBosch, Wolnego Landu Bayer i tereny kilku innych korporacji obejmowała teraz Turcja Północna? Czy w tym świecie było miejsce dla niego? Jeżeli tak – czy siedział w Nowym Hongkongu; a może w ogóle takiego miasta nie było?

Co widziała?

Dlaczego tutaj? Transrapid z Hamburga. Po co?

Idiotycznie się teraz czuł w tym Malikowym ciecie. Szczególnie idiotycznie. Może gdybym – myślał – pojawił się tu osobiście, Inga zareagowałaby. Może poruszyłoby to w niej jakąś strunę, coś by zagrało... Jakiś szczegół musi ją wiązać z tym światem. Rozproszone, mgliste wspomnienia, odległe echo uczuć...

Jednak Malik al-Madani nie mógł nic zmienić. Nawet jeżeli w środku siedział Zak.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl puszkę fasolki z bakłażanem, samopodgrzewającą się konserwę z zasobów armii tureckiej.

– To dla ciebie, Inga. Nie wiem, co ty tu jesz, weź, na pewno będzie ci smakować...

Urwał zły, że nie umie powiedzieć nic mądrzejszego. Inga zignorowała jego fasolkę.

– Ja w pudle nawet nie marzę o takim żarciu...

Zegar miarowo i leniwie odliczał sekundy, minuty.

Hipnotyzował.

– Zig... Zak... Zig zak – wyszeptała nagle Inga. – Zig zak...

Zig.

Zak.

Kiedyś wróci.

Może.

\*\*\*

Załomotał w drzwi: metaliczny pogłos. Nikt nie otwierał. Na pobojuwisku wokół kościoła harcowały szczury; krwawy strzęp larwy działa na nie jak magnes. Nie pozwala odejść. Nie pozwala zapomnieć.

Cisnął w nie puszkę. Uciekły spłoszone, tak kazał instynkt. Ale wróca, z jeszcze

większym zapalem wgrzą się w trupa, gdy tylko ich prześladowca odwróci wzrok. Zak jeszcze raz zastukał kolbą rury.

Szczęk zamków; drzwi rozchyliły się ze skrzypieniem, ukazując zmęczoną twarz Salima.

– Aaa... To ty, Zak. Wejdz. Wszystko w porządku?

– Tak.

– Wyleciałeś tak nagle... Ledwie odpełzły larwy.

– Ja właśnie za nimi.

– Naprawdę?

– Zmasakrowałem wszystkich. Strzelanina była, że od hałasu popękały trzy ostatnie szyby w Berlinie. Rura rozgrzała się do białości, ale oślizgli więcej nie przypelzną.

Minął zgłupiałego Salima i pomaszerował do jego pokoju na piętrze. Zajął Malika jakąś mechaniczną układanką z kolorowych kostek i wyskoczył z jego biochipa. Połączył się z serwerem Salima. Zaczął przeglądać dalszą część danych zebranych przez Skrzydłonogiego Hermesa.

Z dwudziestoletniego okresu podziładowego program nie znalazł w bibliotekach i ogólnodostępnych bazach danych islamskiej Europy ani jednej informacji na temat Relikwii. Nic. Nawet z geograficznej Polski, czyli teraz – carskiej Rosji. To było do przewidzenia – choć dłoń papieża nie godziła w Allaha, Koran ani Proroka, to jednak urzędy cenzorskie republik islamskich pracowicie usuwały z mediów i sieci najmniejsze wzmianki o chrześcijańskich kultowych przedmiotach, świętych i cudach. Prewencyjnie – historia historią, ale religia muzułmańska nie pochwałała bałwochwalstwa.

Hermes zebrał informacje także z ostatnich terenów Europy, gdzie Islam jeszcze nie dotarł: z Rosji (Claudia wspominała coś o Moskwie), obejmującej swymi opiekuńczymi skrzydłami Białoruś, Ukrainę i Polskę, oraz z Wielkiej Brytanii, gdzie od dwudziestu lat niepodzielnie i absolutnie rządził król Anglii. Dla brytyjskiego monarchy Dżihad był doskonałym pretekstem do wywłaszczenia korporacji i przejęcia władzy na wyspach. W obu tych państwach cenzura – zakamuflowana pod mylącymi szyldami Urzędów Informacji – również nie próżnowała, jednak jej celowniki nakierowane były raczej na treści islamskie. Równocześnie jednak należało wziąć pod uwagę, że Jan Paweł II nigdy nie cieszył się tam taką popularnością jak w katolickiej części świata. Po prostu jeden z papieży: był taki i tyle.

„Oryginał Relikwii przez cały Dżihad i jeszcze długo po nim krążył gdzieś między Moskwą a Emiratem Lacjum” – powtarzał słowa Claudii Ronson. Przynajmniej wiedział, gdzie szczególnie szukać, choć na pierwszy rzut oka nie dostrzegł żadnych korespondencji i

doniesień agencyjnych z tych terenów. Musiał się wgłębić.

Wśród dziesiątek innych plików Skrzydłonogi ściągnął też z sieci nowszą wersję „Inkwizitora” – 2066. Podziadowa edycja gry została wzbogacona o autentyczne wątki islamskiej Europy, choć polegało to jedynie na wyeksponowaniu ludobójczych działań terrorystów i nielegalnych „dzikich armii” – chorobliwych fanatyków Mahometa, przy jednoczesnym zignorowaniu wyważonego nurtu „Islam Odrodzonego” kierowanego przez największy autorytet muzułmanów – szejka al-Asira. Po zaludnionych przez zdziczałych wyznawców Allaha płonących ulicach Paryża, Rzymu, Madrytu, wśród zgłiszcz dawnej cywilizacji w „Inkwizitorze 2066” krążyły już całe komanda krwiożerczych, antychrześcijańskich fanatyków islamskich gotowe zarżnąć z jeszcze większym okrucieństwem za jeszcze mniejsze przewinienia. Za brak brody – ucięty łeb. Za posiadanie Biblii – powolne, półgodzinne (w czasie rzeczywistym) darcie skóry. Bywało, że po takiej sesji przegrani nie odzyskiwali już zdrowia psychicznego, kilku nawet zmarło na atak serca. Z drugiej strony Biblia była, obok święconej wody, najpotężniejszym orężem w ręce bohatera wybieranego dowolnie spośród wszystkich chrześcijańskich świętych, papieży i średniowiecznych krzyżowców.

Gra miała status kultowej i undergroundowej, pozostając jednocześnie pod zaciekłym ostrzałem cenzury republik islamskich. Hermes ściągnął ją z serwera w Edynburgu; jednak Zak nie skorzystał.

Dalej przebiegał się przez pokłady beużytecznych śmieci medialnych.

@@13

Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, spowity sinymi kłębami swojego ulubionego nadnilańskiego tytoniu niespiesznie popijał kawę: aromatyczny, mocny napar miło rozlewał się po przełyku, wypierając z serca zmęczenie. Łowca miał pracowity dzień. Nabiegał się po mieście, płosząc z zakamarków dzinny: nic groźnego, małe psotne duszki. Oprócz nich był tylko jeden ghul z cmentarza, z pazurami jak brzytwy, ale tak opił się krwią świeżych nieboszczyków, że nawet nie spostrzegł, gdy Muhammad zarzucił mu na łeb Bramę do Piekieł. Zniknął z cichym siorbnięciem: wessało go królestwo Iblisa.

Dobry, sumiennie przepracowany dzień. Nagle al-Charid poczuł się nieswojo, bo coś leciutko zastukało mu w skroń. Puk! Puk! Puk! Jak pulsująca, nabiegła krwią żyła. Ale przecież nie wypił nawet połowy kawy. To coś innego. Zaraz potem ogarnęło go przedziwne uczucie, jakby coś wdierało się przemocą do wnętrza jego głowy – wtedy ból przybrał na

sile, potem sadowiło się, szukając najdogodniejszego miejsca. Świat wokół zawirował; Muhammad pociągnął z fajki, by przejaśnić umysł.

Zaraz ból minął. Nim Łowca zdążył zebrać myśli, postyszał głos:

– Jestem twoim nowym przewodnikiem. Z rozkazu Najśłodszeo.

Głos dobiegał ze środka. Z jego głowy.

– Przepraszam za ten ból, powinienem poczekać do nocy i zjawić się podczas twego snu, byś nic nie czuł. Ale tylko On wie, co się jeszcze dzisiaj wydarzy.

Al-Charid otrząsnął się z chwilowego osłupienia.

– Jesteś aniołem? Aniołem-przewodnikiem?

– Tak. Pan zlecił mi tu misję. Pozostanę tak długo, aż zechce mnie odwołać. Jak mojego poprzednika. Mnie niestraszne lustrzane demony. Potrafię doskonale odróżniać odbicia od prawdziwych, właściwych Złych. Nie zwiodą mnie. Możesz być spokojny.

– A co z tamtym aniołem? Poprzednikiem?

– No cóż... Poprzednik jest jeszcze bardzo małym aniołem. Niewiele umie. Będzie się uczył... podczas przerw w zmiataniu szóstego nieba.

– Zmiataniu szóstego...? – sapnął ze zdziwieniem Łowca.

– Tak. Nieba. Ja zaś jestem naprawdę już bardzo sprytnym aniołem-przewodnikiem. Zapal we mnie nieprzeciętny, wprost rwę się do czynów.

– Jak masz na imię?

– Nie dla chwały mojego imienia powołał mnie tu Pan. Muszę pozostać bezimiennym. Tylko anioł-przewodnik.

Muhammad Ibn al-Charid zadumał się. Pociągnął łyk kawy.

– Nie ma czasu do stracenia – rzekł jego nowy towarzysz. – O, w tym zaułku za sukienką płatnerzy widzę dwa hulające demony. Małe, ale psotne. Czas się za nie zabrać.

\*\*\*

W źródłach brytyjskich odnalazł tylko jedną sensowną publikację, resztę stanowiły śmieci o kalibrze porównywalnym z „Inkwizytorem 2066”. Rozprawa historyczna profesora Oxfordu o tym, jak „Kościół rzymskokatolicki przyczynił się ręką Jana Pawła II do obalenia komunizmu w Europie Wschodniej w drugiej połowie XX wieku”. O nie, XX wiek to za daleko, Relikwia nie była wtedy jeszcze Relikwią, papieska dłoń tkwiła na swoim miejscu. Przeleciał wzrokiem po reszcie tekstów – stanowczo nie zasługiwały na czytanie.

Dane rosyjskie: podobnie. Sporo plot i tanich sensacyjek, żadnych faktów. Zastanawiał się, skąd pewność Claudii co do losów Relikwii – nie znalazł żadnych

korrespondencji Emiratu Lacjum. Państwa islamskiej Europy świadomie ograniczały przepływ informacji do pozostałych części świata: stąd Damazek odizolowany od reszty sieci, rządzący się innymi prawami, wreszcie posługujący się niestandardowymi kodami. Komunikowanie masowe podlegało rygorystycznemu systemowi koncesji; co w „wieku informacji” wydawało się nieprawdopodobne – a jednak. Tam, gdzie ręce cenzury były zbyt krótkie, pojawiał się SI Allah. Nic dziwnego, że szejkwowie z taką gorliwością zaakceptowali go jako „cyfrowe odbicie Boga”. Bez niego trudniej byłoby rządzić.

Nim usunął teksty z pamięci netchipa, przejrzał jeszcze całość. Szukał czegokolwiek, najmniejszego punktu zaczepienia.

I znalazł! Informacja z kijowskiego tygodnika sieciowego „7 DNI” z 2067 roku. Wątek Relikwii był tu ledwie zarysowany, łatwy do przeoczenia. Sam artykuł też niczego nie wyjaśniał, jednak wskazywał trop.

\*\*\*

Hryhorij Ostapenko, artysta postcybernetyczny, był prekursorem nurtu ViscerArt negującego udział techniki w sztuce. W swym manifestie artystycznym nawoływał do porzucenia w akcie twórczym maszyn jako wtórnych twórców człowieka, postulując powrót do natury. Hasło to rozumiał dosłownie – jako nawiązanie do drapieżniczej przeszłości człowieka. Przeszłości, która stanowi przeciwieństwo o nas, tkwi gdzieś w głębi podświadomości i jest nieusuwalna. Stąd jako najdoskonalszy budulec w sztuce Ostapenko uznał ciało, przede wszystkim ludzkie. W każdej postaci, na wszystkie możliwe sposoby. Po przejściowym „etapie skórzanym” artysta osiągnął twórcze wyżyny, zamieniając dotychczasowe tworzywa swych działań – niewyprawioną ludzką skórę – na wnętrzość i krew. Za ważką część aktu twórczego uznał „polowania”: nocne wyprawy do najbiedniejszych dzielnic Kijowa, podczas których zdobywał odpowiedni materiał do swych natchnionych bioinstalacji. Jego ofiary pozostawały na zawsze anonimowe mimo wysiłków kijowskiej policji. Za to w ekskluzywnych galeriach można było podziwiać gotowe już dzieła.

Tuż przed śmiercią Hryhorij Ostapenko wywołał ekscytację wśród ukraińskiej bohemy i zainteresowanie koneserów sztuki z całego świata wystawą „Aquaria”. W dwudziestu ogromnych zbiornikach z pancernego szkła prekursor ViscerArtu umieścił artystycznie pogrupowane „ludzkie tworzywa”. „Ból głowy” – akwarium o pojemności pięciu tysięcy litrów wypełnione mózгами, w których tkwiły ośmiocalowe gwoździe. „Wązkusiciel” – akwarium wypełnione kilometrowym jelitem zszytym z kilkuset mniejszych. „Czy te oczy mogą kłamać? – czyli korale dla ukochanej” – akwarium wypełnione



zakonserwowanymi w formalinie gałkami ocznymi nanizanymi na srebrny drucik. „Sauberkeit macht frei” – akwarium pełne mydła z ludzkiego tłuszczu. „Grzesznik” – akwarium wypełnione wrzącym, stale podgrzewanym olejem; w środku ludzkkształtne monstrum o stu rękach, trzynastu głowach, pięćdziesięciu nogach i dwudziestu narządach płciowych zszyte niczym Frankenstein. „Tonący Biblii się chwyta” – akwarium wypełnione krwią, ponad jej powierzchnią dłoń trzymająca szesnastowieczne wydanie Pisma Świętego.

Dłoń. Relikwia. Kopia zamkniętego w sejfie Certyfikatu Autentyczności wisiała na jednej z szyb zbiornika. Obok potwierdzenie z laboratorium Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Pewnego mroźnego, acz słonecznego dnia, w styczniu 2067 sprzątaczką Ludmiłą Koras dokonała w galerii makabrycznego odkrycia – z akwarium z wrzącym olejem zniknął sturcki „Grzesznik”. Zamiast niego w zbiorniku gotowało się zaczerwienione i nieco zdeformowane od temperatury ciała Hryhorija Ostapenki. Ludmiła Koras stwierdziła także brak ręki z instalacji „Tonący Biblii się chwyta”. Koncesjonowani ochroniarze z firmy RusSec, Andrij Czierzenyk i Michaił Kołowierok, leżeli nieprzytomni na zapleczu galerii obejmowani przez ramiona „Grzesznika”. Nie pamiętali, kto i kiedy ich zaatakował. Śledztwo policji nie doprowadziło do żadnych wiarygodnych wniosków, więc dla świętego spokoju, by zakończyć sprawę, lansowano tezę samobójstwa. Do tej układanki nie pasowało tajemnicze zaginięcie ubezpieczonej na wysoką sumę Relikwii. Towarzystwo Asekuracyjne „Dniepr” było skłonne potwierdzić jej autentyczność, wstrzymało się jednak z wypłatą odszkodowania, twierdząc, że 86-letnia matka denata, Larisa Ostapenko, nie widniała na liście uprawnionych spadkobierców. Innych krewnych nie miał.

W dzień po umorzeniu śledztwa przez kijowską policję do czynu przyznał się Wielki Zakon Rycerski Maryi Królowej. W enigmatycznym komunikacie, wysłanym pocztą sieciową z terminala w Kuala Lumpur, Zakon określił Hryhorija Ostapenkę jako „grzesznika, który teraz w piekielnych kotłach gotuje się we wrzącym oleju, pokutując za rozliczne zbrodnie i profanację Relikwii”.

Dalszych szczegółów „7 DNI” nie podawało.

\*\*\*

Wielki Zakon Rycerski Maryi Królowej.

Zak na pewno słyszał kiedyś tę nazwę, ale nie kojarzyła mu się z niczym konkretnym. Religie, sekty, odłamy, zakony, kongregacje – co rok powstawały nowe, inne ginęły w mroku zapomnienia. Chrześcijańskie, islamskie, chrześcijańsko-islamskie, chrześcijańsko-pogańskie,

islamsko-zaratusτριαńskie. Jawne, półjawne, zakazane... Nikt nie był w stanie ogarnąć ich liczby.

Wielki Zakon Rycerski Maryi Królowej. Obracał w myślach te pięć słów jakby w nadziei, że podświadomość podszepta mu coś na ten temat. Nie podszeptała.

Rozłączył się z maszyną Salima i odpalił wyszukiwarkę na swoim panasonicu. Niestrudzony Hermes zafurkotał skrzydełkami u nóg, deklarując natychmiastową gotowość. Mógł lecieć w każdej chwili, wszędzie. Zak kazał zebrać mu wszystkie dostępne informacje o Zakonie i sukcesywnie przysyłać je do netchipa.

Potem, uspiwszy procesor, wrócił do celu i czekał.

\*\*\*

Skrzydłonogi odezwał się prędzej, niż Zak oczekiwał. Zasypał go garścią newsów z prasy islamskiej, głównie z 2069 roku. Ledwie zaczął je czytać, nadeszły dalsze informacje ze źródeł w Nowym Watykanie oraz z oficjalnego serwera żeńskiego odpowiednika zgromadzenia Maryi Królowej – Zakonu Jezusa Króla. „Szukam dalej” – poinformował Skrzydłonogi Hermes i zniknął w sieci.

Zak przeczytał wszystko uważnie, próbując z tych niekompletnych materiałów odtworzyć dzieje Zakonu.

Gdy w 2051 nad europejskimi stolicami uniosły się wzburzone chmury pleśniaka *Mucor cerebri*, na starym kontynencie zapanował ogólny chaos pompowany panicznym strachem przed demonizowanym przez setki lat Islamem. Spodziewano się błyskawicznego i bezlitosnego ataku triumfujących terrorystów z towarzyszeniem zorganizowanych naprędce, spontanicznych armii bojowników i rewolucjonistów. Atak istotnie nastąpił, ale nie w takiej sile, a krwawe masakry były raczej incydentami niż regułą.

Islamscy rewolucjoniści, wspierani przez osiadłych w Europie emigrantów z Maghrebu i Bliskiego Wschodu, wkroczyli do zdeorganizowanych miast-siedzib korporacji i przejęli władzę niemal bez jednego wystrzału. To wystarczyło, by zapanować nad Europą. Niemniej stan niepewności i bałaganu utrzymywał się przez długie lata.

Watykan uszedł z Rzymu na dzień przed wtargnięciem tam partyzanckiej armii Mudzahedinów Allaha, której działań rządy państw islamskich nie w pełni popierały. Nawet one nie mogły ufać Mudzahedinom, bo przystąpili do Dżihadu z przyczyn stricte religijnych, twierdząc, że słowa Proroka i Święta Księga nakazują wyciąć chrześcijaństwo w pień jako fałszywą religię niewiernych. Dla nich to był Dżihad w pełnym znaczeniu tego słowa, czy też – w znaczeniu, jakie chcieli z niego odczytać. Watykan w ciągu tygodnia został zamieniony w

kupe dymiących zgliszczy. Zniszczeniu uległ cały wielowiekowy dorobek Państwa Kościelnego. Bazylika Świętego Piotra zapłonęła jako pierwsza, po niej runęła Kaplica Sykstyńska i Pałace Watykańskie. Dym z ogarniętej ogniem biblioteki, z której podczas pospiesznej ewakuacji udało się ocalić tylko najcenniejsze dzieła, jeszcze długie dni zasnuwał najdalej nawet dzielnice Rzymu. Miasto zasypywały pocerniałe, żarzące się jeszcze strzępki ksiąg. Krwawe rzezie i publiczne egzekucje tych, którzy nie zdołali umknąć na czas, dostarczyły argumentów na rzecz twierdzenia, że Islam jest religią morderców, a jego łagodna odmiana to tylko maska przybrana na potrzeby mediów i polityków. Nim bardziej tolerancyjni szejkwowie zdążyli zareagować, było już za późno. Rząd Brazylii natychmiast zaoferował nieodpłatne przekazanie na rzecz Kościoła terenów odpowiadających wielkością rozmiarom rzymskiej siedziby. Tak powstał Nowy Watykan, a papież występował odtąd jako biskup Sao Paulo.

Zaniepokojony losami Europy papież Paweł IX wezwał jednego ze swych najzaufanych ludzi – jezuitę Ralfa van Douwe, i pasując go na „Rycerza Chrystusowego”, powierzył mu misję stworzenia odrębnego zgromadzenia. Podstawowym celem Zakonu Maryi Królowej miała być „ochrona dziedzictwa chrześcijańskiego w zniewolonej przez pogańskich najeźdźców Europie. Dziedzictwa duchowego, kulturowego i materialnego, czyli dóbr Kościoła”.

Maryjcy, początkowo działający w ukryciu, w końcu byli zmuszeni wejść w oficjalne stosunki z rządami islamskich republik. Wymagało to wielu miesięcy negocjacji zrywanych co kilka dni przez jedną czy drugą stronę. Synowie Proroka zorganizowali kilka krwawych zamachów w proteście przeciwko obecności Zakonu na terenach zdobytych w trakcie świętej wojny. Jednak doszło wreszcie do konsensusu. Ralf van Douwe, rękując słowem rycerskim, zapewnił, że Zakon nie będzie czynił nic na szkodę Islamu, oraz zobowiązał się do regularnego płacenia dżizji tym państwom, na których terenie działa zgromadzenie (jak później wyszło na jaw, były to sumy wstrząsająco wysokie, zapewne obliczone na finansowy upadek Zakonu, jednak papieżstwo potraktowało sprawę priorytetowo i nie szczędziło riali).

Za swą siedzibę Zakon obrał ruiny Watykanu, próbując ocalić resztki tego, co zostało się z najazdu Synów Proroka. Źródła katolickie w szczególności przytaczały długą listę zasług maryjczyków „na polu ocalenia ponad dwutysięcznego dziedzictwa Wiary Chrystusowej”, natomiast media islamskie ze szczególną pasją piętnowały – ale dopiero po roku 2070 – „wrogię knowania niewiernych” (bliżej niesprecyzowane, czego Zak bardzo żałował). Owe „knowania” doprowadziły w końcu do likwidacji Zakonu Maryi Królowej przez szejka Emiratu Lacjum i surowego, przykładowego ukarania wszystkich członków.

Zgodnie z prawem szariatu: sędziwy Ralf van Douwe skazany na śmierć przez ukamienowanie (wyrok wykonano publicznie w czerwcu 2070 na Piazza del Quirinale w Rzymie). Jego prawa ręka – brat Alberto Micioni, również. Stu czterdziestu ośmiu zakonników-rycerzy – nie inaczej. Śmierć, śmierć, śmierć...

Nie szczędzono słów potępienia, nie uchybiono żadnego szczegółu zbiorowej kary – jednak Zak nigdzie nie doczytał się, co było przyczyną likwidacji Zakonu. I co najważniejsze – czy maryjci rzeczywiście przechwycili Relikwię. Jeśli tak, to co się z nią stało? Przynajmniej pasowały inne elementy układanki: Kijów, czyli „Moskwa”, i Emirat Lacjum. A w ogóle skąd ta cholerna Claudia to wie?

Nieważne. Wstrzymał na chwilę wciąż pracującego Skrzydłonogiego i dodał nowe polecenia. Przeszukanie wszystkich dostępnych mu źródeł światowych. Czas: 2070. Przedmiot: Wielki Zakon Rycerski Maryi Królowej, likwidacja. Wszystkie źródła światowe. Wielkie zasoby informacji.

Pomknął Hermes. Między chmury danych.

Dwadzieścia osiem minut później wszystko było jasne. By nie utknąć w miejscu, Zak musiał sam zanurkować w sieć. Ten trop wydawał się wąty i nazbyt zatarty, mógł prowadzić donikąd. Ale to był jedyny trop: tajna policja Emiratu Lacjum.

Wolałby tego uniknąć. Hakowanie danych służb wywiadowczych tak mało wyrozumiałych państw, jak republiki islamskiej Europy, musiało kiedyś źle się skończyć.

Zgodnie z regułami gry powinien zrobić tak: wysłać Iron Horse'a. Na dobę co najmniej, niech przygotuje pole. Dopiero wtedy zanurkować samemu. Ale czas! Nie miał czasu; paraliżowała go obawa, że zabraknie mu tych dwunastu czy sześciu godzin. Że Białe Mundury postanowią coś ostatecznego.

Dwadzieścia minut po wypuszczeniu Irona uruchomił Amber Moriu 2.0, obudził Pożeracza Cyfr 1.7 i na końcu otworzył Turka 1.0.

Wtedy stał się Yildirimem Ozelkoyem, szacownym kupcem z miasta Antalya.

@@14

Dimaszk asz-Szam – piękne miasto. Piękne. Bywałem tu nieraz, a nigdy nie mogę nacieszyć oczu widokiem jego wzniosłych meczetów. A i owszem, moje miasto Antalya też jest piękne, ale w inszy nieco sposób. W Antalyi przestrzenie większe, a wiatr znad morza nawiewa chmury i słony zapach. Tu powietrze pachnie pustynią, rozgrzanym kamieniem i piaskiem, skrzy się tu wszystko na złoto. Na znak, że to tu robi się najlepsze interesy. Takiego

targu niewolników w całych Turczach nie ma. Lepszej ceny za tę Czerkieską nigdzie nie dostanę.

Tak więc na targ! Sprzedać niewolnicę, sprzedać dywany perskie uwiązane do boków konia i komplet miedzianych nargili od bagdadzkiego rzemieślnika. A co zarobię, wydam na towary... damasceńskie miecze. By zawieźć do Antalyi. Tam jest to rzecz w cenie.

Dziewięćdziesiąt procent do dziesięciu? Nie, więcej. Dziewięćdziesiąt pięć do pięciu? Nie. Dziewięćdziesiąt osiem? Dziewięćdziesiąt dziewięć procent Yildrima Ozelkoya. Jeden procent Zaka. Praktycznie nie miał nic do powiedzenia. Jeden procent – to jak snujące się po krańcach pamięci wspomnienie o zaległym, ale w gruncie rzeczy nieistotnym długu.

Przyspieszył lekko konia: dzień był gorący i Yildrim Ozelkoy, szacowny kupiec z miasta Antalya, rad był uwinąć się jak najszybciej z obowiązkami, tak by wieczorem zaczerpnąć choć garść z uroków Dimaszk asz-Szamu. Odpocząć przed czekającą go jutro drogą przez pustynię. Ot, taki los kupca: nie zazna spokoju, z kraju do kraju, z miasta do miasta. Ciągłe w ruchu.

Zza rogu wyskoczył hasziszijjun w czarnym zawoju. Pieścił opuszkami palców klingę kindżału.

– Na Allaha miłosiernego! Demon! O jakże smolą od niego czuć, złym powietrzem przyniesionym prosto z piekieł. Demon spod tronu Iblisa, przebrał się za cudzoziemskiego kupca, by teraz...

\*\*\*

Yildrim Ozelkoy zacierał ręce. To będzie interes jego życia. Niewolnica jest młoda, piękna, a do tego potrafi jednym uderzeniem bata odciąć głowę zbrojnego rzeźmieszka. Niezwykła kobieta.

Jechali dalej, przeciskając się przez tłum. Yildrim mimo niewygody patrzył zyczliwie na damasceńczyków: choć przez nich trudno było brnąć przez miasto, choć nieraz musiał zsiadać z konia i prowadzić go przez ciżbę, to jednak każdy z tych ludzi mógł być jego potencjalnym klientem. Im ich więcej, tym lepiej. Większy popyt, większy pieniądz.

Jednak kilkanaście kroków przed murami medyny, na głównej ulicy prowadzącej do suku al-Hamidija ścisł się zrobił taki, że kupiec z Antalyi wraz ze swoją niewolnicą i wierzchowcem utknął w środku kolumny innych spieszących na bazar handlarzy. Ani kroku w przód, ani w bok. Spojrzał w tył: nie mógł się nawet wycofać.

– Gdzie, gdzie...? Ty... Gdzie się pcha z tym kramem?! – zaryczał do niego gruby strażnik miejski w białej kuffiji. – Przecie widzi, że tu nie ma drogi...

Zapchane łącze, przemknęło przez myśl jednemu procentowi. Trzeba było przez innego satelitę...

Wreszcie z prawej strony ukazał się wąski prześwit: skierował tam konia, wycofując się z ulicy. Ruszył naokoło murów do innej bramy.

Nagle przypomniał sobie o czymś. Ściągnął czoło, myśląc intensywnie. Spojrzał na niewolnicę. Spojrzał na dywany i fajki wodne przytroczone do siodła. Spojrzał na niebo – jeszcze wcześniej. Spojrzał na falującą masę ludzką.

Zawrócił, oddalając się od centrum Dimaszki asz-Szamu. Jakiś czas jechał wzdłuż rzymskiego kanału, aż dotarł do karawanseraju rzuconego niedbale przy wyjeździe z miasta. Przystanął.

Przywołał jedno ze swych lustrzanych odbić. Nie wiedział, dlaczego to robi, ale kazał mu jakiś wewnętrzny głos. Posłał drugiego Yildrima do środka.

Karawanseraj zawalił się z rumorem, aż zadrżała ziemia. Ruiny budowli otoczyła chmura pyłu. Nim przerzedła na dobre, Yildrim dostrzegł, jak zajazd powraca do swego poprzedniego kształtu.

Po odbiciu kupca nie pozostało śladu. Przywołał następne – to samo. Wstrząs, huk i ruina. Trzecie. To samo. Czwarte. Nic. Spokój. Cisza.

Dopiero wtedy wjechał na zakurzony dziedziniec intensywnie woniejący wielbłądzimi odchodami i zsiadł z konia. Uwiązał go, po czym skinąwszy na Czerkieskę (Japonkę! – krzyknął jeden procent), ruszył schodami na górę. Odnalazł siódmy filar kamiennej kolumnady i potarł kciukiem kuliste zdobienie u podstawy.

Po przeciwnej stronie, pod gąszczem winorośli zaskrzypiały drzwi. Ze środka wyszedł niski, siwy staruszek i przywołał go gestem dłoni.

– Salam alejkum – rzekł.

– Alejkum salam.

Na środku pomieszczenia stała ośmiopoziomowa szachownica, drewniana, o polach z hebanu i cedru.

Starzec w milczeniu rozstawił figury (dla siebie niebiańskie białe, dla przybysza iblisowe czarne) i nie zwlekając, rozpoczął grę. Yildrim sięgnął pod burnus i wydobył Pożeracza Cyfr. Dżinn zamrugał oczami nieco porażony światłem, podskoczył dwa razy, zatarł ręce i wdrapał się na pierwszy poziom szachownicy. Przetawił piona o dwa pola.

Przy dwunastym ruchu staruszek zamyślił się. Znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w jeden punkt.

Zawiesił się! – zawył w duchu jeden procent Yildrima. Zasnął, czy co? – zapytało

dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Hej! Hola! – krzyknął kupiec. Bez skutku. Jego przeciwnik tkwił nieporuszony.

Nagle Ozelkoy usłyszał za plecami krzyk niewolnicy i trzask bata. Odwrócił się – wysoki mężczyzna, po czterdziestce, ale o ruchach młodzieńca, z błyskiem triumfu w oczach.

– Nie zwiodą mnie nikczemne lustrzane iblisy! O nie!

Łowca Demonów.

Odskoczył w bok, gdy niewolnica trzasnęła batem. Uniknął ciosu. Ściskając w rękę lśniący białym blaskiem pierścień (z nieznanego, przezroczystego metalu), powoli, po okręgu zbliżał się zamaszystymi krokami do Yildrima.

– Wyślę... Do piekła... Wyślę cię, diable niecny – szeptał. – Do ognistych czeluści, skąd pochodzisz. Na sto lat albo i więcej, jak Allah da.

Trzask bata. Kamienna podłoga zarysowała się, zadrżała. Czerkieska-Japonka uderzyła jeszcze raz: szczelina z łoskotem przedzieliła karawanseraj na dwie części, oddzielając ich od Łowcy Demonów.

– Niestraszne mi diabelskie sztuczki – zakrzyknął ten, ale z nutką niepokoju w głosie. Potrząsnął ręką z pierścieniem. – Oto Brama do Piekła! Nieunikniona kara!

Wziął rozbieg i przeskoczył na drugą stronę wyrwy.

– Muszę – powiedziała niewolnica i trzy razy uderzyła batem. Mocniej niż poprzednio. Trzy potężne klaśnięcia.

Yildrim Ozelkoy zobaczył wtedy najdziwniejszą rzecz w swoim życiu – najpierw zniknął karawanseraj. Rozpadł się jak... Rozmył się jak miraż na pustyni.

Później pękła ziemia i Dimaszki asz-Szam zawinął się jak dywan.

Przed oczami zamigotały mu kolorowe linie i lśniące różnobarwne bryły. Miasto, Czerkieska z batem, Łowca Demonów – wszystko znikło, dźwięki przysłonił jednostajny szum.

Potem zapadła noc.

\*\*\*

A nocą możesz być wszystkim. Gdy zapadniesz w sen.

Możesz być sobą samym dziesięć lat wcześniej. Albo delfinem skaczącym w wodach oceanu pulsujących rozproszonym, zielonkawym światłem. Posępnym ptaszyskiem sunącym na rozchylonych szeroko skrzydłach ponad dachem świata – grubą kołdrą chmur. Szeleszczącym liściem obsypanego kwieciami drzewa. Milczącym kamieniem na szczycie najwyższej góry, skąd masz widok na cały świat.

Albo zgniecionym opakowaniem po chipsach. Zmiętą celofanową torebką z idiotycznym obrazkiem uśmiechniętej ziemniaczanej prażynki. Jasne – to się rzadko zdarza, prawie w ogóle. Bo jeżeli przyjąć, że sny są projekcją osobowości, to osiągnięcie w ten sposób stanu opakowania po chipsach nie należy do rzeczy zwyczajnych. A jednak: zgniecione opakowanie po chipsach.

Zgniecione opakowanie po chipsach.

Zgniecione opakowanie po...

Zgniecione opakowanie...

Zgniecione...

Zzz...

\*\*\*

To w sercu jest jakaś ociężałość, a może nie w sercu, tylko w płucach. Ciężko się oddycha, ciężko krąży krew, a głowa... Lepiej nie wspominać o głowie! Może wtedy uda się zapomnieć.

Zapomnieć o bólu. Łupiącym. Jednostajnym. Świdrującym. Co potrafi jeden zwykły ból? Zdziwiająco dużo. Jednostajnie łupać, świdrować, szumieć w uszach, doprowadzać do szaleństwa, wyciskać łzy albo suche łkanie, brzęczeć jak stara puszka po piwie...

Może uda się zapomnieć! Nie myśleć o tym, może uda się zapomnieć! Może uda się zapomnieć!

Może uda...

Największe szczęście: ustaje. Ustaje pieprzony ból, ale niech szybciej ustaje, bo jeszcze ból boli i boli...

Ten ból ma jedną zaletę: po nim wszystko staje się względne. Kiedy ustaje, przychodzi chwila szczęścia. Niewiele potrzeba. Szare ściany celi, popękany sufit i kraty w okienku. Ciężkie mury i stalowe drzwi, cela pełna karaluchów... To coś swojskiego i dobrego. Dobrego. Wrzaski chińskich dozorców i głupia gęba androida roznoszącego tę obrzydliwą ryżopodobną papkę z biopulpy.

Skąd ten ból? Skąd to zmęczenie? Skąd ten ciężki oddech? Przypominał sobie – sieć, Damaszek, karawanseraj, defensor z lśniącym pierścieniem...

O tym też nie chciał myśleć.

\*\*\*

– Nie muszę ci mówić, jak to jest, stary. Znasz się na rzeczy i chyba to rozumiesz.



Walka podjazdowa. Co my pchniemy w cyberprzestrzeń parę niekiepskich trojanów, to nasz ulubieniec Allah dorzuci swoim defensorom upgrade'y i patche. Stawia dwa razy więcej fakesystemów, jeszcze głębszych. Trzeba się z tym pogodzić i rzucać do środka nowe programy.

Salim oparł nogi o stół i wyciągnął z pomiętej paczki beznikotynowego papierosa z guaraną.

Przytknął końcówkę zapalniczki żarowej i zaciągnął się mocno.

Zak odpowiedział ustami głupola:

– Mnie nie zdziwi nic, co dzieje się w sieci. Mało to przyjemne takie nagłe wyjście wbrew woli. Łeb potem nawala na maksa i człowiek nie może się pozbierać. Ale jestem przygotowany, psychicznie przynajmniej. Tylko że ta sytuacja mnie męczy: siedzę w Nowym Hongkongu, mam chwilową namiastkę wolności, czyli głupola, a czas ucieka. Pomijam już takie szczegóły, że prawie w ogóle nie śpię, a jak śpię, męczą mnie paranoje. To nie ma znaczenia: chcę tylko jak najwięcej skorzystać z netchipa i aktywacji.

Komiks nie okazywał zdenerwowania: obżerał się solonymi orzeszkami prefabrykowanymi z ziemniaczanych obierek.

– Człowieku, opamiętaj się trochę! Wpierdalasz i wpierdalasz. Bez chwili przerwy! – Salim zdusił papierosa i zerwał się z krzesła. Nerwowo krążył po nawie kościoła.

– No. Dzisiaj to jeszcze nie jadłem.

– To mnie rozprasza. Nie mogę myśleć.

Salim podszedł bliżej komputera i wyrecytował szybko:

– Uruchom, programy sieciowe, lista, wszystkie, co nowego.

– Pracuję nad jedną rzeczą – wyjaśnił, przeglądając ikony programów. – Ale teraz...

Teraz nie mam nic.

– Daj cokolwiek – poprosił Zak. – Jak zdobędę te dane, to już luz. Odpocznę trochę od sieci. Ale jak to teraz zostawię takie rozgrzebane, to zaraz zmienię wszystkie kody, fakesystemy i firewalle i już się nie przebiję.

– Ty za bardzo ryzykujesz, nie mając pewności, że to cokolwiek ci da – zawyrokował Ivan przysłuchujący się z boku.

– Niby tak, ale nie mam wyboru. Salim, potrzebuję coś, nowego trojana, dziurę w systemie, cokolwiek. Wiesz, że nie mam czasu i możliwości nad tym się grzebać. Musisz mi pomóc.

– Jeżeli chodzi o trojany, to „nowy” jest tu pojęciem względnym. Od dawna bazujemy na tym samym sofcie, który z kolei wykorzystuje te same mechanizmy. Diabeł jak zwykle

tkwi w szczegółach – na tej samej ramie osadzamy nowe moduły w zależności od kolejnych dziur systemowych odkrywanych przez ludzi na całym świecie. Jednak trudno napisać naprawdę nowy i dobry soft, którego Allah nie rozwali po pierwszym wejściu. Poza tym, jak tam już byłeś i naruszyłeś zabezpieczenia, to nie ma znaczenia, w jakiej postaci przychodzisz.

– Chodzi ci o defensory?

– Tak. Allah wyszkolił je na naprawdę niezłe skurwysyny i dał im część swojej SI. Zresztą spójrz na Ingę. Jak skończyła? Nie zdziwię się, jeżeli z racji używanego softu i łączysz do czynienia z tymi samymi defensorami, które wydrenowały twoją pannę.

– W porządku Salim, dzięki za pomoc. Poszukam czegoś na własną rękę. Posiedzę z tydzień, pogrzebię w kodzie, może za dwa tygodnie będę miał gotowy soft...

– Zaraz, czekaj... Nie unoś się tak od razu. Mam coś, ale to taka mała zabawka. Gadżet. Nie używałem go dotąd, bo to dziecinada. Ale w tej sytuacji... Na jeden raz. Na jedno wejście powinno wystarczyć. Małpa. Jak ją podkręcę i nakieruję na konkretnego defensora, może coś zdziałam. Tylko najpierw trzeba wpuścić tam program skanujący i wycząić, co to za defensor. Trzeba zdobyć jego specyfikację.

– Dobra, dobra... Dawaj Małpę i wpuszczamy skaner! W tej chwili czas gra na moją niekorzyść.

– Zak, ja cię znam z dawnych czasów. I powiem ci jedno: ty nie byłeś taki nerwowy.

– Dawaj Małpę!

@@15

Muhammad Ibn al-Charid uśmiechał się coraz szerzej. I szerzej. Nucąc skoczną melodię, sadył wielkimi krokami przez uliczki Dimaszku asz-Szamu. Prosto do celu. Śmiał się w głos, mijając demony.

Lustrzane demony. Nieprawdziwe – miraż Demona w Przebraniu Cudzoziemskiego Kupca, od których tyle wycierpiał. Od których tyle wycierpiała jego wiara. To już koniec. To już nie mogło się zdarzyć.

– To iluzja, tylko cień prawdziwego – szeptał anioł-przewodnik, ilekroć na horyzoncie pojawiał się turecki handlarz na koniu dźwigającym perskie dywany i miedziane nargile. Ponadto Muhammad Ibn al-Charid sam dostrzegł pewną prawidłowość: tylko prawdziwemu szatanięciu, niemirażowemu, towarzyszyła demonica Faktasa ze swym okrutnym batem zręcznie zawijającym świat jak dywan.

Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, rozpychając gawiedź, sunął

zamaszyście przed siebie.

Triumfował. Triumfował i dziękował Panu za łaskę i bardziej doświadczonego przewodnika.

Mały anioł powtarzał:

– Pomiń, to lustrzany. Zostaw, ten też. Dalej, dalej!

Muhammad Ibn al-Charid pomijał, zostawiał i szedł. Szedł w to samo miejsce, gdzie już się spotkali – do karawanseraju na skraju miasta.

Łowca zastanawiał się, jakież to nikczemny i podły cel ma taki Demon? Przeciska się przez szparę między światami i przybywa do naszego Dimaszk asz-Szamu, a potem co? Gra w szachy ze starcem! Czy odwieczne pragnienie psoty i lekceważenie Łowców to jedyne przeznaczenie Demona na Żelaznym Koniu? A może ma jakiś większy, chytry plan ukryty dla niepoznaki pośród błahostek? Tylko Najwyższy zna tajemnice złych duchów, bo rozum ludzki ich nie przeniknie.

Zwolnił nieco kroku: za rogiem brudnej uliczki zamajaczyła sylweta karawanseraju. Łowca poluzował nieco Bramę do Piekieł, zsuwając ją na koniec palca. Przeszedł jeszcze parę kroków i przystanął.

Przy wejściu do zajazdu stała demonica z batem. Nie zauważyła go jeszcze, może nie rozpoznała. Czekwała gotowa na atak. Podeszedł jeszcze bliżej i obserwował ją przez kilka chwil.

Wyraźnie nastawiła się na walkę: zaraz chwyciła za bat, gdy tylko coś wzbudziło jej podejrzania. Byle szelest czy szurnięcie. Reagowała błyskawicznie.

Ten bat! Cóż za oręż! Kawał odpowiednio spreparowanej skóry wołu, długi, cienko zakończony. Prosta rzecz, a ile w nim mocy. Muhammad Ibn al-Charid wiele by dał za taką broń przeciw džinnom i szatanom.

Faktasa oczekuje, że zaatakuję ją albo towarzyszącego jej demona – myślał Łowca. – Skoro jest tak czujna na każdy ruch i odgłos, znaczy to, że nie posiadała zdolności rozróżnienia mnie od, powiedzmy, nosiwody czy poganiacza wielbłądów. To daje mi pewną szansę.

Wycofał się w głąb uliczki. Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków i przystanął. Meczet. Pod meczetem żebrak.

– Ej, łachudro! – huknął groźnie. – Zdziewaj swój łach!

– Ależ panie! Jakże?

– No zdziewaj, kiedy mówię!

– Ja biedny, tyle mam, co tu zakatu dostanę od bogobojnych braci. Co też taki pan, tak po moje brudne szmaty...

Jakimi słowami żegnał nędzarz Muhammada Ibn al-Charida, nim ptak na szpicy minaretu dokończył swą pieśń?

– Dzięki, o łaskawco, niechaj błogosławieństwo Al-lha spłynie na ciebie, twe dziatki, wnuki. Niech serce twe zawsze wypełnia miód, a serca twych wrogów gorycz! Za taki strój, zdobny i wygodny, niech...

Łowca Demonów umknął czym prędzej, kryjąc twarz pod szaroczarnym łachmanem żebraka. Wypłowiwały turban cuchnął starym potem, połatany burnus – brudem startym chyba z najdalszych kątów świata. Opuścił chustę niżej na oczy i pochyliwszy głowę, ruszył w stronę karawanseraju. Stukając kosturem, umyślnie robił tyle hałasu, by kobieta-demon usłyszała go już z daleka.

Sięgnęła do pasa, kilka chwil głaaskała uchwyt bata, po czym odwróciła się znudzona w drugą stronę.

Muhammad Ibn al-Charid, powoli drepcząc, mruczając coś pod nosem, przemaszerował obok niej i zagłębił się w chłodnym cieniu podwórza karawanseraju pełnego zgiełku wielbłądów, pokrzykiwań kupców i poganiaczy. Nikt nie zwrócił nań uwagi.

Nieco z boku stał uwiązany koń cudzoziemskiego kupca, w jego jukach dywany i nargile. Wokół pusto. Naśladując krok żebraka, Łowca wspiął się schodami na piętro. Wyrzwał przez balustradę.

– Bez obaw. Żadnego Złego – powiedział anioł.

Muhammad Ibn al-Charid zsunął z palca Bramę do Piekieł i otworzył drzwi. Po cichu wślizgnął się do środka.

DEMON! Był tam – jak poprzednio grał w szachy ze starcem. To znaczy – grał za Demona mały džinn. On sam stał obok, w milczeniu przypatrując się partii.

I jeszcze coś. Na ramieniu Demona. Małpa. Mały rezus w figlarnej czapeczce na łebku i z metalową obrózką.

Małpa? Co tu robi małpa?

Muhammad Ibn al-Charid nie zaprzętał sobie tym głowy. Mimo żebraczego przebrania zły duch rozpoznał go: cofnął się, przechodząc na drugą stronę szachownicy. W jego oczach zalśniły dzikie blaski.

Łowca skoczył do przodu:

– Nie ujdiesz mi tym razem. Kobieta-demon nie zdąży wejść nawet do połowy schodów, a ty przeciągnięty przez ten pierścień wrócisz tam, gdzie twoje miejsce! Do piekła, do najczarniejszej roboty, pilnować kotłów z grzesznikami, smoły dolewać i ogień podsycać.

Demon wyraźnie się spłoszył, zerkał nerwowo w stronę drzwi i przebierał w miejscu

nogami.

– Nie przyjdzie, nie przyjdzie... Twoja Faktasa. Wciąż czeka na mnie tam, przed bramą. Ale ja jestem tutaj!

Łowca: krok w przód, z dumnie wyprostowaną sylwetką. Zerwał z głowy turban nędzarza.

Demon: krok w tył, zgarbił się, wzrok rozbiegany.

Szachiści: nieporuszeni. Zarówno starzec, jak i džinn zdawali się niczego nie dostrzegać. Grali. W milczeniu i spokoju przedstawiali figury.

Łowca: serce w nim rosło, dusza grała. Trzy szybkie kroki, ręka z pierścieniem uniesiona w górę.

Demon: duży sus w bok, tak by przestrzenna szachownica wciąż odgradzała go od napastnika. Przestraszona małpa zeskoczyła mu z ramienia.

Łowca: zaśmiał się szyderczo upojony strachem Złego niczym najśłodszym winem.

Demon: jakiś głos podszepnął mu: „Idioto, nie kryj się za szachownicą, bo przerwiesz działanie programu dekodującego. Jak ją przewróci, to koniec!”. Dziwne słowa, ale nie sposób było nie poddać się ich magii. Przebiegł w drugi kąt pomieszczenia.

Łowca: pokiwał głową. Kryjąc się za szachistami, Demon mógł tylko odwlec chwilę kary. Ogarniała go panika. W swym sercu już przegrał.

Szachiści: nieporuszeni. By zaskoczyć przeciwnika, džinn zmienił nagle taktykę. Starzec zmarszczył czoło.

Małpa: (Jest więc jednak i rola dla niej? Ależ tak!) chwytając się występów w murze, skoczyła na lampę pod sufitem zawieszoną na mosiężnym łańcuchu. Rozbijała ją.

Łowca: zdecydował się kończyć. Dopadł Demona, zapędził go w róg. Powtarzając Werset Tronu, podniósł rękę do ostatecznego ciosu.

Anioł-przewodnik: – Uważaj! – szepnął. Za późno!

Małpa: runęła spod sufitu na głowę Łowcy. W ostatniej chwili wyrwała mu z dłoni pierścień i fikając koziołki, pomknęła w stronę okna. Wyszła na zewnątrz i przysiadła na gzymsie.

– Przeklęty Iblis po stokroć!!! – zawrzał Muham-mad Ibn al-Charid. – Głupie bydlę! Dawaj! – Pobiegł za małpą, ale przy oknie się zawahał. Gzyms był zbyt wąski.

Rezus fiknął salto w tył, dzwoneczki na jego czapeczce zadźwięczały szyderczo.

– To psotny džinn z Javy – pisnął nieśmiało anioł-przewodnik.

– Teraz mi to mówisz?! – zgromił go Łowca. Przylepiony policzkiem do muru wysunął jedną nogę na gzyms. Drugą. Złapać tę przeklętą małpę-dżinna i zabrać pierścień!

Siwowłosy szachista oderwał oczy od figur i zmęczonym głosem rzekł:

– Niech Allah błogosławi twój dom i pilnuje twoich stad.

Pozbierał figury i schował je do pudełka. Potem dodał:

– Chodź za mną, dostojny panie.

Yildrim Ozelkoy schował Pozeracza Cyfr za pas i ruszył w ślad za starcem.

\*\*\*

Przez tłum, ciasnymi uliczkami medyny. Przez suk al-Hamidija.

– Wiedz, panie, że nie jest to miejsce, do którego każdy ma dostęp – rzekł starzec.

Yildrim pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Wiedz, panie, że o ile mnie przegrana z tobą do czegoś zobowiązuje, to nie jest tak w przypadku innych. Niemal każda spotkana tam osoba ma prawo zatrzymać cię, jeżeli czymś wzbudzisz jej podejrzenia.

Tak, tak. Yildrim Ozelkoy nie do końca pojmował znaczenie słów starca, jednak zasadniczo się z nim zgadzał.

Skręcili w kolejną alejkę bazaru. Szli ku potężnej budowli, bez wątplenia do największego gmachu w Dimaszku asz-Szame. Był na dwieście kroków długi i szeroki na sto pięćdziesiąt.

Cytadela Ajjubidów w sercu medyny. Yildrim zawsze dziwił się arabskim władcom Syrii, że wzniesli tak potężną twierdzę w tak mało okazałym miejscu: między bazarowymi straganami, setkami sklepików i kawiarenek, które z czasem oblepiły ją tak, że z daleka cytadela była zupełnie niewidoczna.

Starzec podszedł do jednego ze strażników wartujących przy bramie. Szepnął mu coś dyskretnie, żołnierz zmarszczył czoło i zaprzeczył gwałtownym gestem.

Drugi zbrojny niespiesznie zbliżył się do Yildrima, bębniąc palcami po rękojeści przytroczonego do boku kindżału. Wbił w kupca ostre spojrzenie.

Później zainteresował się niewolnicą. Ściągnął ze zdziwieniem brwi na widok jej zielonych włosów. Potem jego wzrok spłynął niżej. Strażnik mlasnął i zarechotał.

Pierwszy żołnierz pchnął lekko starca ze zniecierpliwieniem. Krzyknął coś niezrozumiale.

– Nie chcą cię, panie, przepuścić. Ja mogę wejść, ale co do ciebie, żądają nakazu od dowódcy.

– Ej, kupcze... – zapytał ze śmiechem strażnik. – A ile chcesz za tę niewolnicę? Dam ci...

Jego dłoń powędrowała ku pośladkom Czerkieski. Klap. W tej samej chwili zgiął się, sprośny uśmiech rozciągnięty na jego twarzy stał grymas bólu.

– Eeeooum... – wyjęczał.

Yildrim nie zauważył, co się stało. Nikt nie zauważył. Nim ktokolwiek zdążył wysnuć domysły, wyciągnąć wnioski i przejść do czynów, niewolnica podskoczyła do góry, zawirowała w efektownym, potrójnym saltie i spadła tuż przed nosem drugiego żołnierza.

– Seksiści – wymruczała cicho i jednym doskonale wymierzonym ciosem wbiła kolano między jego nogi.

– Ahhhghh... – Zgiął się.

– Ten patriarchalny system musi upaść – wyszeptała niewolnica i poprawiła jeszcze dwoma silnymi kopnięciami.

Starzec zaczął lamentować. Załamał ręce.

– Panie, ach, panie... To nie było konieczne. Lepiej było...

– Prowadź – uciął Yildrim Ozelkoy.

Minęli bramę i zagłębili się między zacienione mury cytadeli.

Biblioteka. Tysiące ksiąg oraz starych papirusowych zwojów oprawionych w skóry i metal. Wśród nich ta jedna.

– Oto czego szukasz, panie – rzekł starzec.

Dane.

\*\*\*

W aktach służb śledczych Emiratu Lacjum Zak znalazł osobny katalog zawierający komplet materiałów dotyczących Zakonu Rycerskiego Maryi Królowej. Znajdowało się tam kilka tysięcy posortowanych plików. Zajrzał do kilku na chybił trafił – wyglądało na to, że tworzą je oryginalne dokumenty i dane samego Zakonu oraz dodatkowe materiały i opracowania policyjne. Pliki wideo, protokoły jakichś przesłuchań, analizy specjalistów... Trudno było przebić się przez to wszystko. Na szczęście dane zestawiono chronologicznie; więc łatwo odnalazł materiały pochodzące z roku 2070 i późniejsze. Zaczął kopiowanie. Już sam rzut oka na nazwy plików zdradzał, że dobrze trafił.

Gdy okienko statusu kopiowania zadeklarowało minutę do końca, znów uaktywnił się defensor. Ten, którego udało mu się wcześniej zablokować przy pomocy Małpy. Nie był sam: system uruchomił równoległe pakiet narzędzi bezpieczeństwa sieciowego, wysyłając całą chmurę defensorów typu assassin. Co za uparte skurwysyny – pomyślał z goryczą Zak. Nie miał dobrego softu, by ryzykować kolejne starcie. Wypuścił im na pożarcie nową kopię

Amber Moriu 2.0. Unieruchomili ją chwilę po tym, gdy Zak skończył kopiować ostatni plik z archiwum.

Nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Wylogował się z systemu i wyszedł z sieci.

\*\*\*

Jest Relikwia. Była w 2070.

Puzzle układały się w coraz wyraźniejszy obrazek. Ale czy to, co przedstawiał, jest prawdą?

Archiwa zawierały głównie skompresowane pliki wideo oraz ich tekstowe konspekty i stenogramy. Dużo plików o nic niemówiących nazwach, które po otwarciu okazywały się dopiskami do dopisków powtarzającymi częściowo główne dokumenty. Najwidoczniej kolejne woluminy były tworzone na żywo, w trakcie rozwoju wydarzeń. Stąd też dwa pierwsze pliki to bardzo wczesne i dosyć enigmatyczne analizy na temat Zakonu Rycerskiego Maryi Królowej. Geneza powstania, założyciele, szkice na temat działalności... Pliki z późniejszego okresu przynosiły już bardziej szczegółowe informacje, przy czym niektóre dokumenty były albo uszkodzone, albo ktoś świadomie wymazał część ich zawartości.

Ze szczególnym zainteresowaniem przeanalizował dane pochodzące z komputerów Zakonu przejęte w chwili jego kasacji. Tu też brakowało sporo informacji i Zak był pewien, że to sami zakonnicy usunęli swe najbardziej utajnione dokumenty, nim dopadła ich policja.

Przeglądał kolejne pliki i nabierał coraz więcej wątpliwości. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego zdobycz to zwykłe śmieci. Fałszywka sporządzona dla takich jak on. Prawdziwe sekrety spoczywają gdzieś na drugim dnie niedostępne dla hakerów. To, co znalazł w plikach wideo i zapiskach tekstowych, wydawało się tak nieprawdopodobne, że podświadomie czekał, aż pojawi się po tym wszystkim końcowy napis: „Jesteś w ukrytej kamerze!”. Przy akompaniamencie błazeńskiego chichotu, w świetle fajerwerków samoniszczących się danych.

Z niedowierzaniem, po raz kolejny zaczął przeglądać zdobyte informacje.

\*\*\*

Plik tekstowy:

Załącznik 1. do protokołu przesłuchania świadka nr 1 w sprawie 1428/1493:  
(...) dane usunięte, zobacz dalsze załączniki.

Plik tekstowy:

Załącznik 2. do protokołu przesłuchania świadka nr 1 w sprawie 1428/1493:



(...) dane usunięte, patrz wyrok Sądu Głównego miasta Rzym, Emirat Lacjum.

Plik tekstowy:

Załączniki 3. – 51. do protokołu przesłuchania świadka nr 1 w sprawie 1428/1493: (...) niedostępne.

Plik wideo:

Protokół przesłuchania świadka nr 1 w sprawie 1428/1493. Przesłuchiwał: agent specjalny Ibrahim al-Kamani. Protokołował: agent Giuliano Martelli.

Środek: (świadek współpracował, nie było potrzeby stosowania).

Świadek nr 1: Jacob Vicher, rycerz Zakonu Maryi Królowej:

– (...) Brat Ralf z początku niezbyt to wszystko pochwalał, ale on był zawsze dosyć... hmm, twardo obstawał przy swoich wartościach, nie patrzył perspektywicznie. Długo musieliśmy go przekonywać, że nasze cele i metody są słuszne. Nie, nawet nie cele. To brat Ralf nam wskazał cele, my zaś, jego wierni uczniowie, podchwyciliśmy ideę i wskazaliśmy metodę. Brat Ralf dołożył wszelkich starań i błogosławieństw, by odnaleźć Relikwię, zaś pleśniakiem zajmowaliśmy się już wcześniej...

– W jaki sposób? Od kiedy?

– To wyrosło z zadziwienia. Europa wydawała się niepokonana, nawet ogarnięta plagą korporacji nie mogła tak nagle utracić wiary. Papież zobowiązał nas do ocalenia chrześcijańskiej kultury duchowej, toteż chcieliśmy wiedzieć, jak wielkie spustoszenie poczynił pleśniak. Spustoszenie w duszach.

– Kiedy to się zaczęło?

– Nie pamiętam, parę lat wcześniej. Wtedy jeszcze nie wiązaliśmy tego z ideą nawrócenia. Jednak w miarę jak nasze badania nad *Mucor cerebrī* posuwały się, dochodziliśmy do wniosku, że jego niezmiernie możliwości nie zostały wykorzystane do końca. To, że do jąder komórkowych pleśniaka można przy pewnym trudzie zaimplantować obce geny, odkryliśmy przypadkowo. Jeden z braci robił jakieś badania na szczurach, szukał działającej przez całe życie szczepionki na katar... Wtedy uświadomiliśmy sobie, jaki potencjał kryje się w tym niepozornym grzybku. Nie łączyliśmy tego z naszą służbą, to pozostawało raczej na boku. Większość braci zajętych wypełnianiem zakonnych powinności nie miała nigdy okazji zapoznać się z eksperymentami. Zresztą przez kilka lat, dwa do czterech, to cały czas trwało w fazie wstępnej. Materiały do badań dostarczała nam mała firma z Mediolanu, Alishi & Ducci, oficjalnie działająca jako producent nawozów sztucznych.

- (...)
- (...)
- (...)

\*\*\*

Plik wideo:

Protokół przesłuchania świadka nr 2 w sprawie 1428/1493. Przesłuchiwał: agent specjalny Ibrahim al-Kamani. Protokołował: agent Giuliano Martelli.

Środek: skopolamina.

Świadek nr 2: Janos Geryek, rycerz Zakonu Maryi Królowej:

– Przyszedł do mnie w nocy archanioł Gabriel. Z jaśniejącym wzrokiem, poważną twarzą, gładką, okoloną falami jasnych włosów. W ręku dzierżył płonący miecz, a światło od niego biło takie, że wkoło jakby nastął dzień. Głos miał tubalny, zdecydowany. Brzmienie pierwszych słów przyprawiło mnie o dreszcze, później poczułem rozkosz. „Jestem archanioł Gabriel, wysłaniec Pana” – rzecze. – „Przybywam z rozkazem od Niego. Jesteś dobrym sługą Bożym, dlatego tobie Pan powierza tę misję. Gdy ją wypełnisz, na Ziemi nastanie Królestwo Boże. Tu, gdzie teraz zgliszcza Stolicy Apostolskiej, stanie tron Jezusa Chrystusa, Króla naszego”. „Jaka to misja, co mam zrobić?” – wykrzyknąłem jeszcze niepewny, czy to nie omamy, a ja nie jestem w chorobie. „Relikwia” – odpowiedział archanioł. – „Masz znaleźć Relikwię, Dłoń Czyniącą Znak Krzyża”. Po tych słowach, nie wyjaśniając nic więcej, Boży Posłaniec zniknął. Ogarnęły mnie ciemności.

Przez kilka dni zastanawiałem się nad znaczeniem słów archanioła. Relikwia, Dłoń Czyniąca Znak Krzyża. To wiedziałem: ręka Ojca Świętego Jana Pawła II ucięta przez nieznanego złodzieja, sprawczyni setek cudów. Ale gdzie jej szukać? I co później? Przez kilka dni chodziłem, prosząc Boga o wyjaśnienie, o znak jakiś, bym nie błędził. Modliłem się o to żarliwie. I Pan pochylił się nade mną. Posłużył się bratem Ralfem, podsunął mi trop. Pewnego dnia, gdy pracowaliśmy w laboratorium, przyszedł brat Ralf i potoczywszy wokół surowym wzrokiem, rzekł: „Od kataru jeszcze nikt nie umarł, więc i świat się nie skończy. Od grypy, raka, AIDS tak samo. Za to ateizm, liberalizm, moralne rozprzężenie, relatywizm, sekciarstwo i ten przeklęty islam wymazują z serc Jezusa Chrystusa, zapraszając Szatana. Świat potrzebuje zbawienia, nowej ewangelizacji, a nie kolejnego produktu napędzającego koniunkturę przemysłu farmaceutycznego. Nic niewart wasz trud, jeżeli nie służy

Bogu”.

Zrozumiałem, to była odpowiedź. Nowa Ewangelizacja! Cudowna Dłoń Czyniąca Znak Krzyża, Relikwia nawracająca tłumy, znak opieki Pana naszego. Gdyby jej siłą opromienić *Mucor cerebri*, losy świata odmieniłyby się! Destrukcyjne działanie broni biologicznej obrócić przeciwko samemu Szatanowi, jej stwórcy! Posłużyć się nią niczym wodą święconą, poświęcić całą ludzkość, ochrzcić ponownie i sprawić, by pokajała się za grzechy!

Królestwo Boże! Gdyby takiego pleśniaka naznaczyć cudem i rozprzestrzenić nad całym zdechrystianizowanym światem, byłoby to jak dwadzieścia pięć miliardów cudownych uzdrowień duszy, nawróceń na Prawdziwą Religię. Bracia, z którymi prowadziłem prace w laboratorium, zgodzili się ze mną i wpłynęliśmy na brata Ralfa, by rozpocząć poszukiwania Relikwii. Wkrótce zaangażował się w to cały nasz zakon, jednak sprawa na długi czas utkwiała w miejscu. Nie poddawałem się: to Pan nasz zlecił mi tę misję.

Po jakimś roku doszły nas słuchy o tym bluźniercy z Kijowa. Nim przedsięwzięliśmy jakiegokolwiek kroki, ustaliłem, czy Certyfikat Autentyczności jest oryginałem, czy to nie bluźniercza mistyfikacja. Na ile było to możliwe, stwierdziliśmy, że ten szarlatan istotnie dopuścił się takiej profanacji i do swoich bluźnierstw posłużył się prawdziwą, świętą Relikwią. Pewność uzyskaliśmy dopiero, gdy odzyskaliśmy Dłoń Czyniącą Znak Krzyża i porównaliśmy nieco już zdeformowane linie papilarne i kod DNA. Wszystko się zgadzało!

Wraz z pięcioma braćmi zamknęliśmy się w laboratorium, by wyizolować z Relikwii „pierwiastek cudowności”. Osobiście skłonny byłem przypuszczać, że z woli Pana cudowność wpisana była w to, co w rzeczy samej jest jednym z największych przejawów Jego geniuszu – łańcuch DNA. Dostrzegałem tu taką parabolę: Bóg zbudował świat, stwarzając łańcuchy aminokwasowe; teraz my podniesiemy go z ruiny, posługując się tym samym Jego dziełem. Czas pokazał, że nie myliłem się.

Prowadziliśmy badania nad przeniesieniem boskiej cząstki do jądra komórkowego *Mucor cerebri*. Nie bez problemów: największym był brak obiektów do badań. Pozbawione dusz szczury i króliki nie wchodziły w grę, my sami nie potrzebowaliśmy nawrócenia, zaś symulacje komputerowe nie byłyby w stanie odwzorować genialności Pana. Po długiej naradzie zdecydowaliśmy się dokonywać testów na małych społecznościach, wprowadzając grzybka do ujęć wodnych. Tu wyszliśmy z założenia, że najgorsze, co może spotkać badanych, to brak cudownego

efektu. Za każdym razem obieraliśmy inną grupę błądzących – nie tylko na terenie Lacjum, także w Toskanii, Abruzji, Umbrii, wybierając za cel miejscowości o najmniejszym odsetku chrześcijan.

Niestety, przy pierwszych sześciu próbach nie była nam dana łaska Pańska. Nie ulegaliśmy jednak zwątpieniu. Siódmą próbę przeprowadziliśmy w niewiarygodnie zdechrystianizowanym Frascati ze znacznie zmodyfikowanym grzybkim, rozpylając go przez wentylatory metra. To można uznać za początek naszej działalności ewangelizacyjnej. Po jakichś dwóch tygodniach frekwencja na niedzielnych mszach w ostatnim, zapomnianym już kościele katolickim wzrosła dwukrotnie, po kolejnym tygodniu potroiła się. Wierni wrócili do Prawdziwej Religii, zaczęli chrzczyć dzieci i spowiadać się. To był przełom. Po prostu cud. Jednak nie przerywaliśmy prac – było pewne, że Dłoń Czyniąca Znak Krzyża jest w stanie zdziałać więcej. To się potwierdziło, gdy dokonaliśmy dalszych udoskonaleń kodu genetycznego *Mucor cerebri*. Po ósmej i dziewiątej próbie. Płonący meczet, ten spontaniczny manifest wiary, uznaliśmy za pochodnię prowadzącą zbłąkane owieczki przez mroki pogaństwa do Królestwa Bożego.

\*\*\*

Protokoły przesłuchań świadków nr 2 do 150 w sprawie 1428/1493 (czterdziestu sześciu ujęto poza granicami Emiratu Lacjum przy współpracy urzędów policyjnych innych państw islamskich, w których zakonnicy prowadzili działalność).

Przesłuchiwał: agent specjalny Ibrahim al-Kamani. Protokołował: agent Giuliano Martelli. Środek: skopolamina (wobec osiemnastu świadków, w tym Ralfa van Douwe, użyto z konieczności środków dodatkowych: stymulacji neuronowej, skanowania mózgu i przypalania pięt).

Złożenie treści tych dokumentów w jedną historię kosztowało wiele trudu. Przyznało się dziesięciu zakonników blisko związanych z badaniami w laboratorium.

Reszta utrzymywała, że nic nie wie. Wszystkich świadków uznano winnymi zbrodni przeciwko Islamowi i przekwalifikowano na oskarżonych numer 1 – 149. Umowa między Emiratem Lacjum a Zakonem Maryi Królowej została zerwana z winy tego ostatniego.

Tylko świadek numer 1 uniknął oskarżenia: Jacob Vicher. Co oczywiste, nie znalazł się on na kolejnej liście – skazanych zgodnie z zaleceniami szariatu na ukamienowanie. Zak wnikliwie przejrzał resztę dokumentów. Wyrok wykonano, sprawę zamknięto. I jak łatwo przewidzieć – nie było żadnej wzmianki o dalszych losach Relikwii ani o Jacobie Vicherze.

Wracać do sieci i znów łamać systemy wywiadu Emiratu Lacjum? Nawet nie wiadomo, czy ten trop jest prawdziwy. Fakty zaszębiały się, trybiki kręciły i wszystko szło do przodu. Ale Zak wciąż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w złym kierunku. Do przodu, ale gdzieś w bok. Czyli nie do przodu.

Ponowne hakowanie byłoby w najwyższym stopniu ryzykowne: zapewne jego włam nie uszedł uwagi... No właśnie, czyjej? Kogo miał się obawiać najbardziej? Informatyków Emiratu? SI Allaha? Może Allaha prawdziwego, tego w siódmym niebie? Boga Chrześcijan?

Może Szatana?

Nie wiedział.

Zaciekawił go jeszcze jeden wątek. Janos Geryek zeznał, że Zakon zidentyfikował posiadaną Relikwię na podstawie wzorca DNA. Nieufność wobec Certyfikatu Autentyczności, który z dumą prezentował artysta postcybernetyczny Hryhorij Ostapenko, pozwalała sądzić, że zakonnicy mimo szaleństwa byli realistami.

Wiedzieli, że mogli posiadać jeden z falsyfikatów i musieli sprawdzić to naukowo. Zatem Zakon posiadał autentyczny wzorec DNA!

Zak przeanalizował jeszcze raz całość własnych danych marytów z okresu przed kasacją. Owszem, znalazł sporo materiałów, które pośrednio potwierdzały zeznania przesłuchiwanych. Badanie Relikwii, eksperymenty DNA. Samego wzorca jednak nie było. Postanowił ruszyć tropem jedyne go ocalałego z egzekucji. Jacoba Vichera.

@@16

Zapadał zmrok. Z nim przyszyły pierwsze powiewy chłodu.

Muhammad Ibn al-Charid okutał się płaszczem i pochyliwszy głowę zawiniętą w czarną chustę, ruszył w dół uliczki. Ciągący od pustyni wiatr szarpał się w nagłych spazmach, wdzierał na uliczki miasta i przerzucał przypieczone za dnia warstwy kurzu. Ostatnie, ciemnoczerwone promienie słońca opadające za horyzont na chwilę krótszą niż westchnienie nadawały im barwę złota.

Wprawne ucho Łowcy Demonów wyłowiło w szeleście piasku szemrzącego na materii jego chusty ciche piski pustynnych dzinnów. Ciemności jeszcze bardziej rozzuchwalały Złe Duchy.

Muhammad Ibn al-Charid szedł śmiało: wiedział, że Allah nad wszystkim czuwa. Nocne diablęta, choć niekiedy dosyć przeraźliwe w wyglądzie, nie były groźne. Łowca zostawiał je dla innych. On był godzien mierzyć się z Najmroczniejszymi.

Na niebie zabłyśły pierwsze gwiazdy. Lśniły jasno. To dobrze. Bardzo dobrze.

Na uliczkach zrobiło się pusto. Aż miło iść – w dół, kilkaset kroków w bok i za meczetem znowu w górę. Wreszcie dotarł na miejsce. Wszedł między wysuszone palmy okalające obserwatorium astronomiczne. Tu, gdzie paręnaście dni temu spotkał Demona na Żelaznym Koniu, a właściwie jego lustrzane odbicie. To się niecne szatanięta wysprytniły – podsumował w myślach Łowca. – Lustrzane! I nie pieszo czy na własnych skrzydłach. Na żelaznych koniach!

Minął drzewa i podszedł do bramy. W oknach ciemności nieprzeniknione. Dobrze to czy źle?

Załomotał w drzwi. Kołatanie rozeszło się dźwięcznym echem, potem cisza.

Cisza. Załomotał ponownie.

Echo i... posłyszał czyjeś kroki. Drzwi uchylły się. Wąska smuga żółtego światła. W szparze twarz starca o długiej, białej brodzie.

– Szacowny Muhammad Ibn al-Charid, witam, witam. Salam alejkum!

– Alejkum salam... – wyszeptał Łowca zbity z tropu. Nie znał przecież astronoma ani on jego. – Skąd...?

– Gwiazdy. Gwiazdy mi powiedziały. Tam wszystko. Wejdz proszę, czcigodny Łowco.

Astronom przysunął lampę i uchylił szerzej drzwi.

– Nazywam się Abd Allah al-Tagari. Jeżeli nie masz nic przeciw, udamy się od razu do mej pracowni. Ja zajmę się pracą, a ty wyłuszczysz, w czym rzecz. Gwiazdy przepowiedziały, że przybędziesz, ale nie wyjawily, w jakim celu.

W milczeniu przestąpił próg i podążył za gospodarzem kamiennymi schodami na szczyt przysadzistej wieży. Al-Tagari zawiesił lampę na wystającym ze ściany haku i zbliżył się do skierowanego w niebo instrumentu.

Muhammad Ibn al-Charid potoczył dookoła wzrokiem. Taras zagracony był przedmiotami tajemniczego przeznaczenia: kamiennymi tablicami, zwojami, drewnianymi i metalowymi konstrukcjami. Najbardziej zaintrygował go jednak podłużny przyrząd, przy którym siedział Abd Allah al-Tagari.

– To instrument, który jeszcze nie istnieje. Luneta – wyjaśnił astronom. – Zostanie wynaleziona za trzy stulecia przez pewnego Franka.

Muhammad Ibn al-Charid zmarszczył czoło. Gospodarz kpił sobie z niego.

– Mówię poważnie – stwierdził al-Tagari. – To jawny anachronizm, a jakże. Ale wyobraźmy sobie, że tej lunety tu nie ma. Tylko astrolabium.

Łowca Demonów wyciągnął rękę. Długa metalowa rura wetknięta u nasady w drugą, nieco szerszą. Na nią nałożona trzecia. I tak dalej.

– Wytoczyły ją anioły z okruchów spadających podczas burz magnetycznych z pierwszego, srebrnego nieba. Pierwsza soczewka to podmuch saudyjskiego wiatru stężonego kosmicznym mrozem. Druga to łzy marokańskiej księżniczki pojmanej do tatarskiej niewoli.

Widząc powątpiewające spojrzenie Muhammada Ibn al-Charida, dodał:

– Gwiazdy. To wszystko dzięki gwiazdom.

– Czy przez ten dziwny przyrząd możesz dostrzec Allaha? Choćby podnózek Jego Tronu? Czy można nim zajrzeć do raj?

– Boga, Jego Tron i raj możesz dostrzec tylko duszą albo na własne oczy w godzinie śmierci. Czyżbyś, drogi Muhammadzie, nie mógł znaleźć Go w swojej duszy?

– Nie w tym rzecz. Najjaśniejszy rozświetla moje serce wiarą, promieniejąc blaskiem w mej duszy. Ale pomyślałem, że ujrzanie Boga przez taką rurę byłoby również wielkim szczęściem. Niemniej inna sprawa mnie tu sprowadza. Demony. Czy potrafisz je wypatrzeć? Powiedzieć, co knują i co knuć będą jutro?

– Demony? Nie. Tylko gwiazdy. To, co się dzieje z nimi dziś i co będzie się działo jutro. Ale – dodał szybko, widząc zawiedzioną minę Łowcy – choć moją lunetą można obserwować tylko pierwsze niebo, to z woli Pana tam jest wszystko wypisane. Gwiazdy mówią nam o wszystkim. Są bliżej nieba i lepiej widzą Ziemię. Co byś chciał wiedzieć? Co cię konkretnie interesuje?

– Lustrzany Demon w Przebraniu Cudzoziemskiego Kupca. Przybywał do Dimaszku asz-Szamu na Żelaznym Koniu, prowadząc niewolnicę, którą jest Faktasa, córka Iblisa. Okrutnie przebiegły i niepokonany. Kiedy przyjdzie? Co szykuje? Jakie zło chce uczynić?

Abd Allah al-Tagari pokiwał w milczeniu głową i przytknął jedno oko do lunety. Zmrużył drugie, wykrzywił twarz i znieruchomiał.

– Złoty łańcuch podtrzymujący najmniejszą gwiazdę konstelacji Panny pękł – powiedział po chwili milczenia, lekko poruszywszy swym przyrządem. – Jego anioł opiekuńczy mknie teraz jej śladem, by ponownie przytwierdzić ją do nieboskłonu. Trzecią gwiazdę w konstelacji Oriona przysłoniła chmura srebrnego pyłu startego z pierwszego nieba muśnięciem skrzydeł anioła Ismaila. Linia na przedłużeniu drugiej i dziewiątej gwiazdy konstelacji Pegaza skrzyżowała się z torem przelotu anioła opiekuńczego Syriusza.

Łowca strapił się.

– Co to znaczy?

Astronom milczał wciąż wpatrzony w niebo. Wreszcie oderwał oko od lunety i w

zamyśleniu głaskał brodę.

– Demon, który cię tak niepokoi, lustrzany Demon na Żelaznym Koniu, przybędzie wkrótce. Jutro, może pojutrze. Bez swego wierzchowca i bez czerkieskiej niewolnicy. Zjawi się w innym przebraniu.

– Jakim? Czy gwiazdy powiedziały ci to, czcigodny Abd Allahu?

– Gdyby gwiazdy znały aż takie drobiazgowo szczegóły przyszłości... Zapewniam cię, mój drogi Muhammadzie Ibn al-Charidzie, że byłbym nie tu, lecz w pałacu na miejscu sułtana, w otoczeniu rajskich hurys. Światem władaliby astronomowie.

– Muszę dopaść tego Demona. To nie tylko obowiązek, to dla mnie sprawa... osobista. To mój osobisty wróg. Nie zaznam spokoju, póki nie ureguluję z nim rachunków.

Abd Allah al-Tagari smutno pokiwał głową.

– Nie mogę ci już więcej pomóc, Łowco Demonów. Musisz radzić sobie sam. A teraz, jeżeli pozwolisz, popatrzę jeszcze na naszego anioła od zerwanej gwiazdy. Coś mi się zdaje, że nie zdoła złapać łańcucha.

Astronom odwrócił się i wbił oko w lunetę.

\*\*\*

Ivan rzekł z wyrzutem:

– Ten twój klon zgłupieje tu do reszty. Ciągłe tkwi skrępowany, a ty go w ogóle nie ruszasz.

– Utknąłem w sieci. Jak w bagnie. Co zrobię krok, to w grząskie bagno. Do przodu i zarazem w dół. Wsysa mnie. Myślałem, że to będzie bardziej sportowe zajęcie. Szukanie tej Relikwii. A ja się bez końca grzebię w danych.

– Przejebane, stary.

– Absolutnie.

– Dajemy mu czasami zapalić jointa, jak cię długo nie ma. To go chyba uspokaja. Nawet można go rozwiązać. Chodzi sobie po kościele, ogląda różne przedmioty. Im coś bardziej złożone, zewnętrznie rozbudowane, tym ciekawsze. Upalony odkrywa swą duszę. Jak nie głupol, tylko zagubiony, smutny dzieciak.

– W porządku. Ale nie dawajcie mu żadnych spidów czy cracku. Bo wtedy ukaże swoją drugą twarz: nadpobudliwego szaleńca ganiającego z siekierą po mieście.

Salim oderwał wzrok od wyświetlacza i wtrącił:

– Pozmieniałem kody w Iron Horsie. Nawet jeżeli jest tak źle, jak mówisz, na jeden skok powinno wystarczyć. Na razie tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. Napisanie dobrego



wirusa czy trojana to nie taka prosta rzecz.

– Co z Amber?

– Przekodowałem ją też, tak jak chciałeś. Będzie lepiej pasować do twojego nowego trojana. W sensie wizualnym to zupełnie inna osoba. Poza tym dodałem nowy submoduł. Teraz zawiesi defensora, zamiast powodować spięcia w sieci.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu... Może to dziwne, ale ściga mnie zawsze ten sam defensor. On chyba rozpoznaje mnie, tak jak ja jego. Ma mnie na celowniku. Chce wysłać tam, gdzie Inge. Do piekła.

– Allah produkuje, czy też właściwie namaszcza defensorów według jednego wzorca. Niczym się nie różnią, najwyżej numerem, czyli w tym przypadku imieniem. Ale wszystko jest możliwe. Jak będziesz nurkował następnym razem, to powinienem mieć już coś lepszego.

– Następnego razu, mam nadzieję, nie będzie.

– Nie ludź się. Na co teraz uderzasz?

– Prawie to samo miejsce. Emirat Łacjum. Urząd podatkowy, rozliczenia ze wszystkich umm Rzymu za 1493 i 94 rok. Czyli po ludzku 2070 i 2071.

– Intrygujące.

– Nie za bardzo.

\*\*\*

Hasziszijjuni jechali w milczeniu. Wielbłądy drobiły niespiesznie, tęsknie wyciągając łby w stronę kramów z owocami.

– Jak go, bracie, odnajdziemy? – przerwał ciszę niższy z nich, Faruk.

– To on nas odnajdzie. Nie wiemy, jak wygląda, więc musimy zachować ostrożność. Poznasz go po pierścieniu z przezroczystego metalu na środkowym palcu lewej dłoni. To jedyna wskazówka.

– Pierścień na palcu. Nim wypatrzę taki szczegół, może być już za późno.

– W rzeczy samej. Dlatego zdaj się na podszept duszy.

Skręcili z głównego traktu wiodącego do medyny. Wielbłądy ze smutkiem zwiesiły głowy: stragany pozostały w tyle.

– Łowca Demonów? Czym zawinił właściwie?

– Nie nam w to wnikać. Szejjch al-dzebel powiedział: wróg, to dla nas znaczy, że jest wrogiem. Szejjch powiedział: posłać do piekła, to posyłamy.

– Ahmed mówi, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z wiarą. Że ten Łowca to dobry mużulmanin. Szejjch al-dzebel wysługuje się nami, by załatwić swoje prywatne interesy. To

nie służba Najwyższemu, tylko polityka.

Sejed, wyższy hasziszijun, aż wstrzymał wierzchowca. W wymownym geście położył dłoń na rękojeści kindżału. Wycedził:

– Ahmed łże jak pies! Jestem pewien, że Allah pokara go za te słowa. I ciebie też, jeżeli będziesz mu wierzył.

Sto wielbłądzich kroków dalej ponownie skręcili. Zza rogu wynurzyła się ocieniona sylwetka karawanseraju.

Zatrzymali się. Sejed potarł okrągły jaspis zdobiący głowicę jego broni. Szepnął jakieś niezrozumiałe słowa.

Zza jego pleców wyjechała na wielbłądzie czarno odziana postać, hasziszijun jak oni. Minął ich i bez słowa skierował zwierzę na dziedziniec zajazdu.

Karawanseraj zatrząsł się i z łoskotem zawalił, grzebiąc jeźdźca. Gdy opadła przysłaniająca wszystko chmura kurzu, ujrzeli, że budowla stoi, jak stała. Nienaruszona.

– Czy masz jeszcze wątpliwości, że to sprawa przeciw diabłu, a nie dla prywatnych porachunków? Spójrz!

Kolejny jeździec w czarnej kuffiji. Karawanseraj zadrgał i rozpadł się w pył. I tak cztery razy, grzebiąc następnych czterech wędrowców.

– Teraz nasza kolej. – Ostrożnie wjechali do środka. Cisza. Spokój.

Sejed zeskoczył z wielbłąda i doprowadził go do poidła. Gdy zwierzę piło, sięgnął do kindżału. Potarł kciukiem jaspis.

Z cienia przed stajnią wynurzył się uwalany gnojem stajenny. Szło od niego na dwa metry.

– Zapraszam, dostojny panie. Wielbłądami zajmie się mój pomocnik. Proszę, proszę tędy.

Poprowadził gościa do ciasnej izdebki obok stajni. Strząsnął ze stołu okruchy chleba i jął układać tam misterną konstrukcję z drewnianych drążków i ośmiu glinianych tabliczek, w kilku miejscach lekko popękana i od dotyku brudnych rąk ciemną jak kamień w Kaabie. Szachownica. I figury wypalane z dwóch gatunków glinki: czarnej i czerwonej.

– Źe to, cholera, zawsze musi rozgrywać się tak samo. Szachy! W kółko pieprzone szachy! – posłyszał naraz hasziszijun głos Iblisa. Odległy, jak z dna przepaści.

– Pilnuj, bracie, dziedzińca – rzekł do Faruka. – Jak zobaczysz coś lub kogoś podejrzanego, najpierw tnij, a potem pytaj. Nie odwrotnie!

Muhammad Ibn al-Charid nie był zadowolony. – Przepowiednie. Przepowiednie. Nigdy nic z nich nie wynika. Znaczą wszystko albo nic – mruczał. – Jak ja mam go odnaleźć? Przybędzie w innym przebraniu. Jakim? Kiedy? To jest najważniejsze.

Wcisnął Bramę do Piekieł na kudłaty łeb demona schwytanego w worku zboża na suku: diablik zatrzęsł się z bólu i wił, ujadając niczym skopany pies.

– Wracaj, wracaj, niegodziwcze, skąd przyszedłeś. Wracajże do mrocznych czeluści Iblisowego królestwa.

Szósty tego dnia. Ale Muhammad Ibn al-Charid nie był zadowolony.

– Tylko małe, niegroźne dzinniki. Nawet nie powinienem ręki na takie podnosić. Inni są od tego.

Czekał na Lustrzanego Demona.

Nagle anioł-przewodnik aż sapnął z przejęcia:

– Jest! Pojawił się! Wyczuwam go: przyszedł pod postacią hasziszijjuna na wielbłądzie...

– Ha! Nie zmylił mnie tym razem!

– Faktasa, córka Iblisa, też z nim jest.

– Oto ile warte są przepowiednie! Miało jej nie być!

– Miało nie być czerkieskiej niewolnicy – przypomniał anioł. – I nie ma. Córka Iblisa przybyła jako drugi hasziszijjun. To jej trzeba się obawiać. Lustrzany Demon jest słaby, nigdy nie pojawi się sam. Poza Faktasą ma jeszcze małego dzinna.

– Gdzie? – zapytał Łowca, drżąc z przejęcia.

– W karawanseraju na skraju miasta.

To nie tak daleko! Ruszył biegiem, roztrząsając na boki kupców i przechodniów. Nie słuchał ich sarkania, jęków bólu i gniewnych okrzyków. Wreszcie wpadł na dziedziniec zajazdu. Ale spostrzegł tylko jedną okrytą w czerń sylwetkę hasziszijjuna.

– Do kroćset! Który to? Ten tutaj?

– To ona. Lustrzany w środku. Nie ściągaj Bramy do Piekieł zbyt wcześnie; po tym cię rozpoznają. Nie! Mówiłem, nie ściągaj!

Żądza zemsty, niepowstrzymany władca czynów.

\*\*\*

Gdy siedem klepsydr później Sejed wychodził na zewnątrz, chowając za pazuchę dzinna, ujrzał swojego towarzysza splecionego w zapaśniczym uścisku z krępyim mężczyzną

w białym turbanie. Pierścień z przezroczystego metalu na dłoni obcego lśnił magicznym blaskiem. Obaj walczący tkwili nieruchomo w nienaturalnych, niewygodnych pozach jak wykuci z kamienia. Nie ruszali się, nie wydawali żadnego dźwięku. Kamienie.

– Prowadź – rzekł do stajennego. – Szybko, póki nie pojawi się następny.

\*\*\*

Rzymski urząd podatkowy okazał się skarbnicą wiedzy: nieuporządkowaną i względnie słabo zabezpieczoną. To specyfika państw islamskiej Europy. Pewnie dlatego, że skoro poczęły się z bałaganu i zamieszania, jest on dla nich trwałym elementem świata, któremu nawet nie należy się przeciwstawiać.

Jacob Vicher – w 1493 figurował na liście podatników jako ahl al-kitab, chrześcijanin. Na mocy postanowień między Zakonem Maryi Królowej a Emiratem Lacjum zobowiązany był do regularnego świadczenia podatku dzizji, który dla wygody został włączony w ogólną sumę, jaką raz do roku Zakon płacił Emiratowi. W rozliczeniu za rok 1493 stu czterdziestu dziewięciu członków zgromadzenia zostało skreślonych z listy podatników, a jako powód podano: „wykreślenie z ewidencji II Urzędu Rejestracji Ludności, IV dep. w Rzymie”. Sto pięćdziesiąty rycerz Zakonu uiszczył dzizji zgodnie z przepisami, jednak w roku 1494 pojawił się pod nowym nazwiskiem i w nowej sytuacji prawnej. Omar al-Hazizi, niewierny, który wypowiedział szahadę, muzułmańskie wyznanie wiary. Nowy członek ummy. Należne podatki: zakat – zinstytucjonalizowana jałmużna przepisana przez Koran, oraz uszr płacony na rzecz głowy państwa, czyli Emira Lacjum. Rozliczenie za rok 1494 zamknęła adnotacja: „Na mocy postanowienia Forum Unii Islamskiej nr 134/76 O zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu dane o stanie majątkowym i statusie prawnym przekazano do wiadomości i dyspozycji Centralnego Urzędu Fiskalnego Księstwa Luksemburga. Skreślony z listy podatników EL”.

Księstwo Luksemburga... Jedno z nielicznych państw Europy, w którym Islam, znosząc hegemonię korporacji, pozwolił powrócić na tron prawowitemu władcy. Książę Fernand pozostawał jednak wasalem króla saudyjskiego i tak jak on pełnił jedynie funkcje reprezentacyjne, ustępując władzy radzie szejków.

Zak uruchomił netchip i przywołał Skrzydłonogiego Hermesa. Szukaj: „Książki teleadresowe Księstwa Luksemburga, najnowsze wydanie z listą uaktualnień od roku 1493. Omar al-Hazizi”.

Szperacz odnalazł osiemdziesięciu luksemburskich Omarów al-Hazizi, z których siedemdziesięciu sześciu figurowało w spisach już w 1493.

Pozostałymi czterema okazali się Omar al-Hazizi – mechanik z Mamer, Omar al-Hazizi – muezzin z meczetu As-Sauda w Clervaux, Omar al-Hazizi – mikrochirurg z Luksemburga, Omar al-Hazizi – artysta pieśniarz z Grevenmacher.

Jeden z nich powinien znać losy Relikwii.

\*\*\*

Rower skrzypiał bez krzty litości; niezidentyfikowany płaczliwy dźwięk rezonował w głowie Zaka. Synkopowany, o zmiennych barwach. Nie do wytrzymania.

Przy pierwszym ostrzejszym zakręcie z przygnębieniem odkrył, że w gracie nie działają hamulce.

– To złom! – warknął ustami Malika. – Złom jak cholera.

Ivan zwolnił nieco.

– Co chcesz, tu wszystkie takie. Nic się nie zmieniło: brak części i nikomu się nie chce przy tym dłubać. Popatrz na mój: przednie koło scentrowane w modelową ósemkę.

To była prawda. Pordzewiały góral Ivana sprawiał jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. W ogóle nie powinien jeździć.

– Ale czasami zdarzają się cuda. Może znalazł ostatnio w piwnicy jednego domu w Buchholz niekiepskiego Gary Fishera na kompozytach, z hydraulicznymi hamulcami i przerzutkami, napakowany elektroniką. Stary model, ale na chodzie. Poszedł za baterię słoneczną.

WITAMY W STREFIE GANGÓW. BOMBERZY CIĘ ZABIJĄ. OBCY WYPIERDALĄĆ. ŻÓLTE TYGRYSY WYPIJĄ TWOJĄ

KREW.

Berlin Wschodni. Marzahn, Biesdorf, Wartenberg – w tych dzielnicach, przed wojną dosyć zadbanych i względnie spokojnych, teraz królowały gangi, armie rewolucyjne i komanda czyścicieli. Małe, duże, co ulica lub dwie, mniej lub bardziej agresywne. Miasto dokładnie podzielone na strefy. Regularne bitwy.

– Jedyne przejście?

– Jedyne. Turcy zalali to nasze, chyba nieświadomie. Może była jakaś awaria, ale to już nie do naprawienia. Przy tym na północy wojskowi postawili dwa posterunki. Paru gości zaryzykowało. Chyba jeszcze do dzisiaj tam leżą napakowani ołowiem. No chyba że przelecieć jak ty ostatnio, górą na szybowcu.

– Mięśniolocie.

– Właśnie mówię. W każdym razie, jak będziesz narzekał na grata i pedałował zbyt wolno, możesz być pewien, że się przychrzanią. Zasadniczo o tej porze większość odsypia nocne bitwy, ale nigdy nic nie wiadomo.

Przez Marzahn przemknęli, wyciskając z rowerów maksimum: synkopowe poskrzypywanie zlało się teraz w modulowany jęk. Na murach dziesiątki graffiti, same trudne do odczytania i zrozumienia symbole. Ale bez ciśnienia policji i ochroniarzy, bez ingerencji państwa gangi przekształciły się w miejskie plemiona, pełnoprawnych właścicieli ziemi. Gwarantem lufy karabinów.

WITAMY W KOMUNIE »KARL-MARX«. SZYKUJ FANTY, JEŻELI CHCESZ PRZESKOCZYĆ.

– Nie są groźni – wyjaśnił Ivan. – Popieprzeni rewolucjoniści, ale odkąd pilnują jedynego kanału w mieście, odezwała się w nich żyłka kapitalistów. Za przejście datek na rewolucję.

Skręcili w ostatnią ulicę getta zakończoną murem. Za nią rozciągała się patrolowana przez żołnierzy Strefa. Jeszcze chwilę jechali w jej stronę, nagle Ivan skręcił w wąską przecznicę.

Przystanął.

Barykada z worków wypełnionych piaskiem. Na jej szczycie brodata twarz pocięta bliznami i lufa dużego kalibru. W otwartym oknie budynku, również zabezpieczonym workami, druga twarz. Brodata, w czapce z czerwoną gwiazdą. Lufa jeszcze większa.

– Przechodzimy? – wychrypiął ten z barykady. – Tak.

– Ilu?

– Jeden.

– Dobra. Co macie?

– No wiesz, z tym jest problem. – Ivan wahał się przez chwilę. Dalsze słowa z trudem przechodziły mu przez gardło: – Specjalna sprawa, niecierpiąca zwłoki. A z fantami krucho. Może przepuścicie mojego kumpla na krechę... – zakończył bez specjalnej nadziei.

Rechot. Z barykady i z okna. Basowe unisono.

– Koleś, każdy tak cwaniakuje. Płacisz, przechodzisz. Inaczej nie da rady.

– Jasne, jasne. Tak tylko pytam. – Ivan pokiwał ze zrozumieniem głową. – Ale u nas jest z fantami krucho, a sprawa ważna.

– Trudno.

– Dobra, niech stracę. Bierzcie, krwiopijcy, burżuje, rower. No, niech stracę.

Brodaty na górze przeładował karabin.

– Tylko, kurwa, nie burzuje.

– Za taki rower powinniście dać abonament na dziesięć przejść.

Brodaty na barykadzie zatrzęsł się od bezgłośnego śmiechu.

– Nie widzę tu żadnego roweru wartego nawet ćwierci przejścia. Dasz oba i dołożysz swojego gona, który ci wystaje spod kurtki.

– Rower mojego kumpla. O tym mówię. To zajebisty sprzęt. Jak ktoś się nie zna, to nie widzi. Drugi i gun są mi potrzebne, żeby w całości wrócić na Kreuzberg.

– Dobra, dawaj dwa graty i niech koleś przechodzi. Ale szybko, pókim się nie rozmyślił!

Brodacz zza barykady zeskoczył w dół. Pochylił się.

– No, ręchy totalne. Złom. Ale Rewolucji przyda się też i złom. Będzie z czego w hutach czołgi wytapiać.

Przeszli przez wał worków z piaskiem – tam, w zaułku znajdowało się wejście do kanału. Zak pociągnął za uchwyt i odsunął klapę w bok. Pod czujnym okiem brodacza z góry.

– Żeby wam nie przyszło do łbów przechodzić obu. Bo tego drugiego na pewno zdążę sięgnąć.

Zignorowali go.

– Może jednak pójść z tobą? – zapytał Ivan. – Sam możesz sobie nie poradzić. Możesz stracić zasięg netchipa głupola i już go stamtąd nie wydobędziesz.

– Muszę spróbować. Ma dosyć mocny odbiornik. Jeżeli kanały nie zejną zbyt nisko, będzie się trzymał. Ty zostań. To sprawa dla Malika al-Madaniego i nikogo więcej. Może wrócę tu wkrótce. Na pewno wrócę. Nie na klonie, osobiście.

– Czekamy na ciebie, Zak.

Malik al-Madani zniknął w ciemnej czeluści kanału.

\*\*\*

Zgrzyt zasuwanej płyty. I ciemność.

Woda cuchnęła zgnilizną. Tuż przy wejściu sięgała tylko po kostki, ale krok w przód i wpadł po kolana. Śliskie dotknięcia szczurów. Był przyzwyczajony: nie zwracał na nie uwagi.

Poszperał w plecaku, wyciągnął latarkę i mapę. Ściany podberlińskich kanałów pokrywały ciągi znaków, ślady po wcześniejszych przejściach: zwykle zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych, niekiedy zatarte, czasem świadomie mylące. Niebieska @ – tego miał się trzymać. Jednak regularnie kursujący na tej trasie Ivan i Moze nie mogli mu zagwarantować,

że przez ostatni tydzień nic się pod tym względem nie zmieniło.

Zak poświecił na mapę. Pierwszy znak powinien znajdować się po lewej stronie środkowego korytarza. Liznął ścianę wąskim snopem światła. Jest! Ruszył w przód wypatrując następnego @ pięćdziesiąt metrów dalej między dwiema rurami.

Piski szczurów.

Brnął przez bagnistą ciecz, odruchowo zaciskając usta przy oddychaniu. Przypomniały mu się wszystkie opowieści o trupach tych, którzy nie doszli. Pływających tu, powoli gnijących, naruszanych siekaczami gryzoni. Może kryło się w tym ziarno prawdy.

Przynajmniej nie czuć zapachu – pomyślał. – Takie bodźce netchip przekazuje najslabiej. Ale Malik... Biedny Malik!

Między rurami jest błękitna @. Tu parę metrów wyżej zaczyna się Strefa Zakazana z pilnującymi jej żołnierzami z 19. Pułku im. Dżemala Paszy. To zresztą było już mniej istotne. Pilnowali Zony czy nie – dla Zaka największym problemem było nie pogubić się w podziemnym labiryncie. Nie zboczyć z trasy.

Kolejny znak przy następnym rozwidleniu, tuż nad właściwą odnogą. Znaleziony.

Po jakichś siedemdziesięciu metrach woda cofnęła się tak, że mógł iść bez denerwującego chlupotania. Trochę szybciej. Spojrzał na plan – następny znak powinien znaleźć przy przebitce.

Proste szlaki pod Strefą, przejścia od punktu do punktu z zewnątrz do środka czy na odwrót, byłyby zbyt oczywiste, mimo że żołnierze z 19. Pułku im. Dżemala Paszy nie zadawali sobie tyle trudu, by osobiście penetrować podziemne labirynty. Wiedzieli, że w dole szanse były bardziej wyrównane. Woleli więc swoje wysokie wieże, z których można jednym strzałem dosięgnąć każdego uciekiniera na odległość trzystu metrów. No ale nawet tak opieszali i obojętni strażnicy nie mogli ignorować autostrady pod chronionym przez nich terenem. Część kanałów zalano więc tak skutecznie, że mimo upływu lat woda nie odchodziła. Inne zablokowano w sposób najprostszy z możliwych: wiązka granatów do środka, wielkie bum i jest spokój. Ale nie wszystkie. Wystarczyło tylko połączyć drożne części kanałów dodatkowymi korytarzami – to właśnie były przebitki. Niekiedy na jednej trasie należało wykopać ich nawet pięć czy sześć, ale nie było z tym problemu.

Spojrzał na wskaźnik zasięgu sieci. 3 na 10. Niezbyt dobrze, choć jeszcze nie tragicznie. Brnął dalej.

Kiedy woda podeszła Malikowi do piersi, wiedział, że dochodzi do pierwszej przebitki. Dalej korytarz obniżał się i nikał całkowicie pod cuchnącą, czarną cieczą. Wyszukał znak i na kolanach posunął się w przód. Wąski i niski tunelik obudowany ceglami,



pochłapany cementem. Co kilka metrów stempel – wtedy musiał się czołgać na boku, przepychając plecak z drugiej strony. Pełzł powoli i każdy metr drogi zdobywał z wysiłkiem.

Nagle stanął. Naprzeciw niego lśniła para zaczerwienionych oczu. Zaskoczony wzdrygnął się i skierował tam snop światła. Szczur wielki jak prosię. Ruszał wąsami, szczerząc monstrualne zębiska.

W pierwszym odruchu chciał się cofnąć, uderzył w stempel. Szczur zapiszczał i postąpił parę kroków.

Przecież mam guna – przypomniał sobie. Sięgnął pod bluzę, za pas. Chłodny dotyk kolta. Starej, dobrej broni, do której tak łatwo samemu dorobić naboje. Wyszarpnął ją zdecydowanym ruchem i nie mierząc, wypalił między czerwone ślepia.

Raz i drugi dla pewności. Strzały zwały się w jedno rezonujące grzmienie.

Zostawił plecak i wierzgając nogami, wycofał się za stempel. Z przodu cisza. Siedział z bronią gotową do strzału, wsłuchując się w nią. Poświecił latarką: zakrwawione truchło. Odczekał jeszcze chwilę, po czym nie dostrzegając najmniejszych oznak ruchu, podczołgał się do przodu. Zabrał plecak i osłaniając się nim, dźgnął szczura końcem lufy.

Zatłuczony. Martwy. Trup.

Posunął zewłok w przód; pchał go tak długo, aż korytarz podniósł się i rozszerzył.

Przeskoczył nad szczurem. Jeszcze kilkanaście kroków i przebitka doprowadziła go do drugiego kanału. Odszukał znak i ruszył w lewo.

Zasięg: 2 na 10. Coraz gorzej. Może jednak Ivan miał rację. Straci sieć, a Malik na zawsze zostanie w kanałach, błakając się po nich aż do śmierci z wycieńczenia.

Następna godzina – monotonny marsz, brnięcie przez gęstą, czarną breję pokrytą okami ropy. Skręcić w prawo. W lewo. Przejść przez komorę, precyzyjnie się po rurze do drugiej, w dół i zaraz na górę do następnego korytarza. Prosto.

Wreszcie odnalazł miejsce, gdzie obok niebieskiej @ widniała zielona. Wyjście. Zasięg od razu skoczył na 6. Zak skręcił w bok, w ciemną niszę. Krótki korytarzyk i następna komora. Drabinka i właz.

Spojrzał na odczyt czasu: 14.11. Za wcześnie. Za jasno. Mógł zaryzykować, ale po co? Lepiej stracić parę godzin do zmroku niż życie Malika. Życie Malika i szansę na wolność.

Posadził klona na betonowym zrębie i pozwolił mu zapaść w letarg.

Mam nadzieję, że nie odwali mu jak ostatnio i nie urwie się tu. Bo nie wyjdziemy stąd nigdy – pomyślał, przerywając połączenie.

Wrócił do celi.

@@18

Mógłbyś zliczyć, ile na pustyni jest ziarenek piasku. Mógłbyś zważyć najwyższe góry o szczytach między chmurami.

Mógłbyś obliczyć pojemność wszystkich oceanów, mórz i jezior.

Ale nie znalazłbyś miary, która oddałaby ogrom goryczy Muhammada Ibn al-Charida, Łowcy Demonów. – Mam Bramę do Piekieł, małego anioła-przewodnika, długoletnie doświadczenie i boskie błogosławieństwo. Mimo to zbieram cięgi jak ostatni łachmyta od bezimiennego demona, który nie ma nawet mocy, tylko wianuszek piekielnych sług. Kim jest? Czego chce? I jak go pokonać?

Kłęczał tuż przed samym mihrabem na wzorzystym dywanie wyściełającym podłogę malutkiego meczetu w dzielnicy El-Akrad. Piątkowa modlitwa, najważniejsza w tygodniu muzułmanina. Łowca machinalnie wykonywał rękę – nakazywany przez tradycję cykl modlitw, i powtarzał jej słowa: „Niech chwała będzie Bogu Wszechmogącemu”. Trudno mu jednak było się skupić. Żal kłuł serce.

Nie mogę, Panie, wyrazić go poprzez salat – myślał Muhammad. – Żalu nie wyrażą słowa miłości. Goryczy nie odda wyznanie wiary. Moją modlitwą jest walka z demonami, ale tu nie mogę uczynić nic więcej.

Dotrwał jednak do końca raki, błędząc gdzieś myślami. Podniósł się z klęczek i ruszył ku wyjściu, dopiero gdy imam zszedł z minbaru.

Gdy naciągał buty, poczuł na sobie czyjś wzrok.

– Teraz demony zaintonują pieśń płaczki – szepnął tajemniczy nieznajomy, mimo gorąca szczelnie okutany w czarny płaszcz. Łowca rzucił mu pytające spojrzenie. Mężczyzna w milczeniu przeciął dziedziniec meczetu i wyszedł na ulicę. Zatrzymał się w cieniu poskręcanej akacji.

Gdy Muhammad podszedł do niego, obcy wydobył spod płaszcza podłużne zawiniątko.

– Oto rzecz, która odmieni twój zły los. Oto broń, która sprawi, że w walce z demonami będziesz odtąd niepokonany. Weź ją, a już nigdy nie zdarzy się, że smutek przeszkodzi ci w skupieniu podczas modlitwy.

Nim al-Charid zdążył otworzyć usta, by zadać pierwsze z wielu cisnących się na nie pytań, ujął odruchowo pakunek. Ciężki, z wewnątrz bił chłód.

– To Lodowy Oddech, miecz przez siedemdziesiąt dni wykuwany przez siedemdziesięciu aniołów-kowali z oddechu surowego anioła Malika, odźwiernego Piekieł.

Malik jest najbardziej nieubłagany odźwiernym, jedynym, który nie uległ podstępom Iblisa. Możesz na nim polegać. Ten miecz da pełnię mocy, której tak pożądałeś, by dostatecznie pognębić szatanów. Uderzony nim przybysz z piekieł zamieni się w lodowy słup, wówczas bez trudu odeślesz go do królestwa Iblisa.

Oszołomienie nie pozwoliło Łowcy wydobyć ze ściśniętego gardła ani jednego dźwięku. W milczeniu patrzył, jak nieznajomy znika w tłumie.

– Poczekaj! Kim jesteś?! – odezwał się wreszcie. Za późno. Mężczyzna zniknął.

Muhammad Ibn al-Charid ścisnął w zamyśleniu miecz.

– Teraz rozumiem – szepnął. – Musiałem zasłużyć. Moje cierpienie było próbą wierności. Musiałem zasłużyć. Oto nagroda za posłuszeństwo i znak mojego Pana.

\*\*\*

20.46. Ostatnie promienie słońca wdzierały się przez szczeliny włazu, rzucając na żelbetowe ściany komory różowe smugi. Zupełnie jak u mnie w celi – pomyślał Zak i rozbudził klona. Najwidoczniej Malik zaczął się przystosowywać do nowego rytmu pracy: spał, kiedy mógł, działał, kiedy musiał, nie uciekał.

Wspiął się po zardzewiałych szczebelkach i przystawił oko do otworu w klapie. Nic nie widać. Zmrok. Zszedł z powrotem i odczekał jeszcze kilkanaście minut, aż szarość na zewnątrz zgęstnieje do czerni. Oparł ręce na ocembrowaniu i naparł plecami na wąż. Z całych sił. Klapa ani drgnęła. Rozluźnił mięśnie i odczekał chwilę. Jeszcze raz. Milimetr po milimetrze. Powoli.

Pokrywa odsunęła się z cichym zgrzytem. Wysunął głowę na zewnątrz: środek ulicy, jeszcze gdzieś w Strefie Zakazanej. Wokół puste domy i wraki spalonych samochodów. W oddali pojedyncze przyćmione latarnie przyświecające jedynie wojskowym patrolom.

Lustrował okolicę – pusto. Nasłuchiwał, selekcyjując dźwięki – jakieś zwierzę, może kot, skrzypiące na wietrze drzwi, furkocząca szmata zaczepiona na kłębie splątanych drutów kolczastych.

Żadnych ludzi.

Wyskoczył na górę i zasłonił wąż płytą. Kilkoma wielkimi skokami dopadł najbliższych ruin. Oparł się o mur i wyjął mapę.

Jeżeli nie zmyliłem drogi i przypadkowo nie trafiłem do innego wyjścia... – pomyślał. – Nie, to raczej nieprawdopodobne! Powinienem być gdzieś między Ahrensfelde a Lindenberg. Teraz parę godzin marszu. Jeżeli nie zboczę z trasy, pierwszym porannym S-Bahnem dotrę do głównej linii kolejowej.

\*\*\*

W jaki sposób umazany szlamem głupol, uciekinier z getta, przemienił się w godnego szacunku obywatela?

Czysty strój i pachnidła. Strój – biała, wyszywana złotymi nitkami koszula, na to kremowa marynarka. Wzorzysta, czarno-biała chusta na głowie i szare spodnie w prążki. Pachnidła niosły słodką woń kwiecia, jakiej nie powstydziliby się sam Prorok. Wszystko przygotowane przez Ivana, który zdobył to po długich targach od Szalonego Rakima, króla przemysłowców z północnej części miasta. Szaleństwo Rakima objawiało się niemal w każdym aspekcie jego zachowania. Z jednym wyjątkiem. W trakcie targowania się był trzeźwy, chłodny i wyrachowany. Za stroje i pachnidła – przenośny terminal starego typu do łączenia się z siecią. Cenny towar, był wart o wiele więcej. Czy raczej byłby, gdyby działał.

Zak spalił mapę kanałów, starannie rozdmuchał popiół i upchał stare rzeczy do plecaka. Po długim namyśle dorzucił tam jeszcze rewolwer. Broń tylko przeszkadzałaby na bramkach bezpieczeństwa. Nie mogła się już przydać. Zakopał pakunek w stercie gruzu.

Do Frankfurtu nad Odrą dojechał szybciej, niż się spodziewał, i trzy godziny później mknął już Transrapidem Moskwa-Paryż.

Rajską woń perfum pociągnął za sobą aż do stacji Ville de Luxemburg.

\*\*\*

#### LUKSEMBURG – NAJPIĘKNIEJSZA STOLICA EUROPY

Reklamowe hologramy na dworcu kolejowym przedstawiały kolorowe kamieniczki z zameczkiem w tle. Musiały pochodzić jeszcze sprzed Dżihadu. Teraz delikatne pastele fasad domów pokrywała gruba warstwa rudego nalotu, a zameczek wyglądał jak przysłonięta mgłą siedziba Nosferatu.

Rozejrzał się za taksówkami. Pusto. Nie zrozumiał tego – nawet w najbardziej zapomnianych miastach dworce i lotniska zawsze oferowały pełny serwis.

Ruszył piechotą. Z avenue de la Gare skręcił w avenue de la Liberté, dopiero tam dostrzegł jakiś wolny pojazd.

– Do centrum – rzucił, sadowiąc się w miękkim fotelu.

– Ze względu na samobójczą politykę podatkową państwa i podwyższenie podatku dochodowego dla przedsiębiorstw prywatnych o rocznym obrocie przekraczającym wartość C ponad poziom opłacalności stowarzyszenie przewoźników STL ogłosiło protest, w ramach którego nie są obsługiwane połączenia między węzłami komunikacyjnymi a centrum –

wyrecytowała jednym tchem taksówka. – Każdy pasażer ma możliwość złożenia protestu w tej sprawie na ręce władz. Dysponujemy formularzem i nieodpłatnym dostępem do sieci.

– Co z tego dla mnie wynika? – zapytał Zak.

– Że nie mogę pana teraz podwieźć do samego centrum, ale jeżeli wyśle pan protest popierający stowarzyszenie STL, być może sytuacja ta przy następnej pańskiej wizycie ulegnie korzystnej zmianie.

Mam nadzieję, że nie będę musiał tu już przyjeżdżać – pomyślał Zak, ale wysłał protest.

– Stowarzyszenie przewoźników STL dziękuje panu. Ma pan prawo do dwuprocentowej zniżki za usługę.

\*\*\*

Wybrał pierwszy hotel, na jaki trafił – „Strasbourg”. Zaka raził nieco kiczowaty wystrój wnętrza, plastikowa namiastka Ritza. Uznał jednak, że Malikowi al-Madaniemu miejsce to przypadłoby do gustu. W sam raz dla turysty z Islamskiej Republiki Maghrebu, którego jedynym bagażem jest wszczep ID z nie za dużą sumą na koncie. Wziął pokój od ulicy w głębi korytarza na ostatnim piętrze.

Zaprowadził Malika pod prysznic, żałując, że sam nie może odczuć tej przyjemności. Niby zwykła rzecz pomoczyć się pod strugami gorącej wody. Ciało ma przecież swoje prawa, nawet gdy umysł przez połowę życia tkwi w sieci. Tyle, że to nie było jego ciało: sam Zak mógł najwyżej poskakać po celi.

Rozleniwiony kąpielą Malik z chęcią ułożył się do popołudniowej drzemki.

Tylko ja nie mogę odpocząć – pomyślał z żalem Zak, rozłączając się z biochipem klona. – Non stop na pełnych obrotach.

\*\*\*

Czterech Omarów al-Hazizi.

Sprawa wydawała się względnie łatwa: dzięki nagraniu wideo z przesłuchania Jacoba Vichera odnalezienie właściwego człowieka polegało jedynie na porównaniu twarzy. Przynajmniej to nie wymagało nurkowania w cyberprzestrzeni. Zak czuł, że im częściej tam bywał, tym trudniej odnajdywał drogę powrotną. Pozostać w trzynastowiecznym Damaszku jako turecki kupiec czy ponury asasyn? Nie, tego nie życzyłby nawet wrogowi.

Przejrzał jeszcze raz plik wideo z przesłuchania. Agenci wywiadu Emiratu Lacjum widnieli na nim jako rozmyte cienie nie do zidentyfikowania. Tylko więźnia pojedyncza

kamera umieszczona między funkcjonariuszami obserwowała sekunda po sekundzie.

Ozdobny rycerski strój, niewzruszona uczuciami twarz, usta poruszające się monotonnie, bez jednego zająknięcia. Posługując się framegraberem, Zak skopiował kilkanaście klatek z lepszymi ujęciami, jednak na każdej z nich wzrok Jacoba Vichera błędził gdzieś – nawet nie po ścianie – tylko w innym świecie tkwiącym wewnątrz jego duszy. Oczy pozostawały nieprzytomne; brakowało tego trzeźwego spojrzenia prosto w obiektyw kamery.

Z piętnastu ujęć wybrał cztery, na których oś wzroku zakonnika najbliższa była punktu 0,0. Uruchomił PhotoMastera 6.0, wyskalował oczy i odciął całą resztę. Powiększył. Aż do samej siatkówki. Cztery mapy drobnych żyłek różniły się nieco. Po nałożeniu i drobnej korekcie 3D uzyskał jeden obraz. Przetrasponował go na dwuwymiarowy wzór.

Było oczywiście możliwe, że Jacob Vicher, już jako Omar al-Hazizi, przyprawił sobie brodę jak afgański święty, przeszedł operację plastyczną niczym gwiazda Hollywoodu i zaimplantował sztuczne gałki oczne. Ale to ostatnie wydawało się najmniej prawdopodobne – na nowe oczy raczej nie byłoby go stać.

Czasami banalne sposoby są najlepsze. Nawet nie te stare, dobre i wypróbowane. Po prostu banalne. Twarz – oczywiście musi być banalna. Najlepiej arabska, ale zdradzająca domieszkę białej krwi. To wzbudzi najmniej podejrzeń. Twarz banalna, a więc nieokreślona. Popularna popularnością ulicy, nie gwiazdorska jak z holowizji czy VR. Zak znalazł taką twarz w lokalnych wiadomościach HV Dubai. Sprzedawca bananów opowiadający o... Nieważne. Zeskanował ją i wciągnął do PhotoMastera. Parę niewielkich retuszy: trochę postarzyć, usunąć pieprzyk na lewym policzku, staranniej przystrzyć wąsik. Idealnie.

Strój – banalny. Szary, urzędniczy. Już nawet nie europejski. Międzynarodowy mundur przeciętnego urzędnika. Marynarka, biała koszula. Krawat. Wystarczy skorzystać z gotowych szablonów. Proste.

Tło – banalne. Urzędnicze biurczko, wyświetlacz komputera, jakiś sztuczny kwiatek, w tle hologram reklamowy. Nuda i banał.

Tak jak powinno być. Banalnie, by nie wzbudzić podejrzeń. Zak uśmiechnął się zadowolony.

\*\*\*

Omar al-Hazizi – mechanik z Mamer. Numer holofonu: 011 18 735 419 278.

Nieogolony Arab po trzydziestce, łysiejący, twarz umazana smarem. Oderwany od roboty.

– Tak?

– Pan Omar Hazizi?

– Al-Hazizi. O co chodzi?

– Gratulujemy! Miał pan naprawdę duże szczęście – ucieszył się Zak ustami Banalnego Urzędnika i strzepnął z marynarki niewidoczny pyłek. Wygenerowana przez netchip projekcja spełniała swe zadania pierwszorzędnie. – Towarzystwo Ubezpieczeniowe Liesqaberbuch & Sohn postanowiło w ramach promocji zaproponować klientom, którzy wykupili u nas polisy w ciągu ostatniego miesiąca, korzystną ofertę. W razie gdyby zamierzał pan...

Mechanik przerwał gniewnie:

– Do cholery! Jaki Lieberbuch? Ja w ogóle nie jestem ubezpieczony!

Sygnal rozłączenia odbijał się echem w głowie Zaka.

Ściągnięty podczas rozmowy wzór siatkówki tego al-Haziziego nie pokrywał się z rekonstruktem. Więc następny: Omar al-Hazizi – muezzin z meczetu As-Sauda w Clervaux. Numer: 013 23 119 371 007.

Śniada cera, żywe piwne oczy, drobna domieszka europejskiej krwi. Broda.

– Dobry człowieku! – rzekł muezzin, cierpliwie wysłuchawszy oferty. – Doceniam troskę pańskiej firmy i jej niebywałą szczodrość. Niech Allah ma was w swojej opiece i obdarzy dostatkiem. Sęk w tym, że widać po tym świecie chodzi więcej Omarów al-Hazizi. Ja, ku pańskiemu utrapieniu, niestety nie jestem tym, który wykupywał w ostatnim miesiącu czy kiedykolwiek polisę w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Lieberbuch & Sohn. Co więcej, jestem tym Omarem al-Hazizim, który korzysta z usług konkurencyjnej firmy asekuracyjnej i nie zamierza tego zmienić, więc jeżeli ta pomyłka nie jest w istocie rzeczą pomyłką, lecz sprytnym sposobem na podkupienie klienta rynkowym przeciwnikom, to ten plan się nie powiódł, bowiem przy raz podjętych postanowieniach trwam wiernie i byle co tego nie odmieni.

Jego siatkówka też różniła się od wzoru zdjętego z Vichera. No to Omar al-Hazizi – mikrochirurg z Luksemburga. Numer: 011 23 295 000 164.

Typowy Europejczyk mimo arabskiego nazwiska. Niepodobny do Vichera, ale kto wie?

– Wydawało mi się... – odrzekł z roztargnieniem lekarz. – Jestem pewien, że ostatnie ubezpieczenie w pańskiej firmie wykupywałem... dwa... Nie, trzy miesiące temu. Polisę dla żony. Wciąż jest aktualne, jak się łatwo domyślić, a nie zamierzam na razie korzystać z następnych ofert. Jest pan pewien, że chodzi o mnie? Może to błąd komputera, to się zdarza przy zbyt wielkim przeciążeniu sieci. Aczkolwiek jeżeli będzie się to zdarzać częściej, zacznę

żywić obawy co do jakości usług świadczonych przez pana firmę.

Siatkówka wyraźnie nie pasowała. Czyli ostatni. Omar al-Hazizi – artysta pieśniarz z Grevenmacher. Ostatni był Jacobem Vichere. Przynajmniej tak twierdziła statystyka w połączeniu z logiką. Numer: 013 66 092 118 467.

W ogóle nie było rozmowy. Po pierwszych słowach Banalnego Urzędnika artysta pieśniarz rozłączył się, nie słuchając. Miał na oko z siedemdziesiąt lat i wyraźnie egipskie rysy. Zak nie podejrzewał Vichera o taką desperację. Operacja plastyczna – oczywiście, ale żeby od razu postarzać się o trzydzieści lat? Chociaż wszystko było możliwe i na razie nikogo nie skreślał.

Odsianych czterech z czterech. Gdzieś był błąd albo... Albo Zak miał pecha. Co zresztą wychodziło na jedno.

\*\*\*

By mieć najmniej prawdopodobnego z głowy, Zak przywołał Skrzydłonogiego Hermesa.

– Serwisy audiowizualne, zdjęcia, hologramy, wszystko o Omarze al-Hazizi, artyście pieśniarzu z Grevenmacher – wydał polecenie i uściślił: – Przed rokiem 1493/2070. Na razie tylko Europa.

Posłaniec wrócił po niecałej minucie ze sporym pakietem skompresowanych danych. Głównie kopie oficjalnych serwisów elektronicznych i przekonwertowany na pliki wideo zapis holograficzny trzech koncertów. Z 1488, 1489 i 1492.

Artysta Omar al-Hazizi sprowadził się do Księstwa Luksemburga w 1493 z pobliskiego Trewiru w Turcji Północnej, gdzie zdobył lokalną sławę wśród arabskiej społeczności jako pieśniarz weselny. Media chętnie donosiły o jego kolejnych występach, dostarczając bogatego materiału fotograficznego. Trzy dziesięciominutowe pliki wideo reklamowały znacznie dłuższe, godzinne rejestracje jego najświetniejszych występów.

Zak wykadrował kilka ujęć, powiększył obraz siatkówki i porównał z posiadanym wzorem. Nie było wątpliwości – artysta jest autentyczny. Spreparowanie takiej przeszłości byłoby poza możliwościami Jacoba Vichera.

Pozostało trzech.

Standardowy home assistant to proste urządzenie. Proste w obsłudze dla każdego domownika: nawet dziecka. Dlatego też łatwe do przełamania: zazwyczaj wystarczył jeden z licznych trojanów. I już można zajrzeć komuś do lodówki, do pojemnika na śmieci i co ogląda w HV. Tam zawsze znajdzie się coś ciekawego.



Po kolei: najpierw mikrochirurg z Luksemburga. Zak podesłał pod jego adres CyberKreta, najnowszego łamacza ściągniętego z anonimowego serwera hakerskiego.

Program szybko odnalazł plik z hasłami dostępu do systemu, choć dekodowanie zajęło mu aż kilkanaście minut. Wreszcie home assistant otworzył swoje wrota.

Omar al-Hazizi, mikrochirurg z Luksemburga, nie oszczędzał na jedzeniu, jednak w jego lodówce ani w całym domu Zak nie znalazł niczego, co mogło mu się przydać. Mikrochirurg był banalny i typowy jak wirtualny urzędnik Towarzystwa Ubezpieczeniowego Lieberbuch & Sohn. Posłał CyberKreta do modułu pocztowego.

Odczytanie e-maili wymagałoby już większego wysiłku i trybu dive. Ale to nie było konieczne – program miał uaktywnioną opcję filtra antyspamowego pozwalającego kontrolować adresatów i rozmiary przesyłanych plików. To często było najlepszym źródłem informacji.

Poza kilogramami małego śmiecia mikrochirurg regularnie otrzymywał znacznie większe przesyłki spod pięciu adresów opisanych jako Hans Zauer, Elias Izgal, MIT, Łomonosow i Heidelberg. Wszystkie przyporządkowane do grupy VIP – bez ograniczeń. Pierwsze dwa wyglądały na prywatne, w tym przypadku bez znaczenia. Przynajmniej na razie. MIT to chyba Massachusetts Institute of Technology? A Łomonosow i Heidelberg?

Kilka minut dalszej pracy CyberKreta i Zak mógł zajrzeć do książki teleadresowej: Moskowskij Gosudarstwiennyj Uniwersitet imieni M. W. Łomonosowa i Ruprecht-Karls-Universitat-Heidelberg. To już cokolwiek wyjaśniało.

Ile lat mógł mieć Omar al-Hazizi, mikrochirurg z Luksemburga, jeżeli rzeczywiście nim był, a nie Jacobem Vicherem po operacji? Zak przejrzał plik wideo ściągnięty podczas rozmowy z Banalnym Urzędnikiem. Nie więcej niż czterdzieści. Trzydzieści pięć najmniej. Czyli w normalnych warunkach studiowałby w okolicach roku 2061 albo później.

Przywołał Skrzydłonogiego Hermesa.

– Przeszukaj serwery uniwersyteckie MIT, MGU i RCUH – polecił i zawęził pole działania: – Roczniki 2060 – 2066, zdjęcia absolwentów.

By nie tracić czasu, skierował CyberKreta do home assistanta Omara al-Hazizi, muezzina z Clervaux. Gdy program nie dał odzewu po upływie standardowych trzydziestu sekund, zaczął się domyślać. Sprawdził – system domowy muezzina był chroniony przez moduł zabezpieczeń specjalnych; łamacz nie potrafił go przejść. Zablokował się przy pierwszej próbie zdekodowania hasła. Zak zakończył proces. Muezzinem zajmę się później – postanowił. – Teraz mechanik.

Ten nie miał nic do ukrycia i nie stosował zabezpieczeń. Nie korzystał ze zbyt wielu

dobrodziejstw home assistanta. Regularna dostawa piwa imbirowego w puszkach z pobliskiego sklepu – to wszystko. Poczta sporadycznie, z okazji świąt. Nic nietypowego. Żadnego śladu. Więc albo faktycznie był to tylko gburowaty prostak umazany smarami, albo sprytnie przyczajony Jacob Vicher. Na razie Zak nie wykluczał żadnej ewentualności.

Wrócił Hermes.

Omar al-Hazizi, mikrochirurg z Luksemburga, w 2063 nazywał się Aliekziej Koriezow. Jego twarz widniała – Zak sprawdził to dokładnie – w sieciowym albumie wśród absolwentów Wydziału Medycyny na Moskowskim Gosudarstwiennym Uniwersytetie imieni M. W. Łomonosowa. Nie zmienił się zbyt – to jedyne, co można powiedzieć na temat drogi, jaką przeszedł przez dziewięć lat. Zak skreślił mikrochirurga z listy.

Zak ponownie wysłał CyberKreta do home assistanta muezzina. Łamacz zablokował się jak poprzednio.

Dwóch podejrzanych, których należało sprawdzić osobiście. Robota dla Malika.

\*\*\*

Po tyłu godzinach bezczynności Malik chętnie dał się poprowadzić. Zak odział go w koszulę i marynarkę, zrezygnował jednak z chusty na głowie. Za to nie żałował pachnidła. Trzeba trzymać fason.

Na dole, rozciągając usta w szerokim uśmiechu, skinął na recepcjonistkę – młodą, jasnowłosą Walonkę.

– Gdzie mogę wypożyczyć samochód?

– Rue Chomeini, dwie przecznice stąd. MusifCar.

W MusifCar tylko przez chwilę dziwiono się, że poszukuje pojazdu jak najstarszego i możliwie w jak najgorszym stanie technicznym.

– Dziesięcioletni Jiangling Atomic? Za nowy? To może... chery z 2060? Nie? Zaraz, zaraz... Mieliśmy jeszcze... ale nie wiem, czy na chodzie. Zhonghua. Z lat pięćdziesiątych.

Malik z radością wsiadł za kierownicę tego gruchota. Zapłacił za trzy godziny i skierował się na autostradę.

Do Mamer dotarł dziesięć minut później. Minął miasto i na pierwszym skrzyżowaniu zawrócił. Zjechał na pobocze.

Co tu zepsuć? Coś niewielkiego, ale usprawiedliwiającego natychmiastową naprawę. Po namyśle zwarł w skrzynce z bezpiecznikami końce obwodu sterującego klimatyzacją.

Wtedy zhonghua z lat pięćdziesiątych stał się prawdziwym rżęchem. Ledwie dojechał do Mamer i po krótkim kluczeniu zdechł przed warsztatem Omara al-Hazizi.

Mechanik – nadal niedogolony, ze smugami smaru na policzkach – bez patrzenia wydelegował do tej roboty pomocnika. Sam zaś zasiadł w kantorku, rozłożył gazetę i zapalił nargile. Może trzeba było wypożyczyć nowszy samochód, to zająłby się nim osobiście – pomyślał Zak.

Przybrawszy obojętną minę, podszedł do majstra.

– Al-Hazizi, al-Hazizi... Coś mi to nazwisko mówi. Mechanika Samochodowa Omara al-Hazizi. Już spotkałem się z tą nazwą. Czy pan nie miał parę lat wcześniej warsztatu gdzieś pod Brukselą?

– Nie, to nie ja. – Nawet nie oderwał oczu od gazety. Kopił faję.

– Zaraz, zaraz. Na pewno pan z Charleroi!

– Nie, nie z Charleroi. – Mechanik niechętnie podniósł wzrok. – Nie byłem nigdy w Beneluksie. Przyjechałem z Kuwejt.

Koniec rozmowy. Omar al-Hazizi pociągnął z fai i ponownie zagłębił się w lekturze.

– Ach, tak – powiedział Zak z żalem. – Myślałem...

Już chciał wyjść z kantorka, gdy zauważył coś ciekawego: wycinek z gazety oprawiony w ramkę. Wisiał na ścianie tuż nad głową mechanika. Magazyn „Autofanatik”, nie mógł dojrzeć daty. „Al-Hazizi i Tarihi zwycięzcami Rajdu Dookoła Kuwejtu”. Krzyczący tytuł, zdjęcie i długi tekst.

Zak, nie rozłączając się z Malikiem, przywołał Skrzydłonogiego Hermesa.

– Autofanatik, Rajd Dookoła Kuwejtu, Omar al-Hazizi.

Szperacz dał odpowiedź, ledwie zhonghua wyjechał z Mamer: numer 33 z roku 2054, artykuł z wyraźnym zdjęciem. Zak z trudem oparł się pokusie, by zanurkować w sieć i samemu je zweryfikować. Ale mechanik raczej nie był Jacobem Vicherem, a Malik musiał bezpiecznie wrócić do Luksemburga. Zostawić go samego w wypożyczonym samochodzie? To nazbyt ryzykowne.

\*\*\*

Muezzin.

To nic nie znaczyło. Gdzieś mógł tkwić błąd. Może dane, na których się opierał, w którymś punkcie zawierały nieścisłości. Raz – cały czas nie miał pewności, że Jacob Vicher jest akurat jednym z luksemburskich Omarów al-Hazizi. To, że przestał płacić podatki w Rzymie, nie wykluczało na przykład takiej możliwości: Vicher/Al-Hazizi po przeprowadzce do Luksemburga emigruje gdzieś dalej i znika.

Dwa – Omar al-Hazizi mógł przechytryć swych ewentualnych prześladowców (czyli

jego) i stworzyć sobie fałszywą przeszłość. Zdjęcie studentów, artykuł w gazecie – to jednak da się podrobić.

Trzy (wykluczając punkt dwa) – odsianie trzech Omarów al-Hazizi nie wskazywało jednoznacznie na muezzina. Oznaczało tylko, że tamci nie są Vicherem.

Był tylko jeden argument pro: nikt się nie chowa, gdy nie ma nic do ukrycia. Co oznaczają te zabezpieczenia w home assistancie muezzina? Co chciał ukryć? Przed kim?

Zamiast snuć domysły, lepiej sprawdzić. Zanurkował.

@@19

Wszystko rozegrało się tak szybko...

– Martwiłem się o ciebie, bracie – powiedział Sejed. – Ty ocaliłeś mi życie.

Faruk stęknął z wysiłkiem:

– Nic nie pamiętam... Tylko wielki ból. Karawanseraj i ten przybysz... Umysł przysłania mi dym spod szatańskich kotłów. Czarny i lepki. Nic nie pamiętam...

– Bo szatana w rzeczy samej spotkałeś. Ten człowiek, mieniący się Łowcą Demonów, sam jest demonem.

Egipskie wielbłądy z wprawą lawirowały w tłumie. Sejed chwalił sobie te zwierzęta: nie tylko mknęły jak wicher przez pustynię, ale potrafiły także przebrnąć przez gęszcz suku, nie czyniąc nijakiej szkody.

– Człowiek, którego szukamy, ma warsztat na uliczce garncarzy... – zaczął i zaniemówił. Pięćdziesiąt kroków przed nimi pośród ludzkiego mrowia nieruchomo, niczym skała oblewana wzburzonymi falami morza, stał człowiek. Dumna, pełna dostojeństwa postać w białym turbanie.

Z lśniącem w słońcu mieczem i pierścieniem z przezroczystego metalu na palcu.

Łowca Demonów, ich wróg.

– Przybył szybciej, niż sądziłem.

Faruk zaśmiał się dziko.

– Zapłaci mi za tamto! – krzyknął, wyciągając kindżał, i ruszył w przód. Sejed za nim. Naparli na tłum z pieśnią triumfu na ustach.

Łowca Demonów nie przeląkł się. Stał nieporuszony. Czekał, ściskając rękojeść miecza. Ulica nagle opustoszała. Wiatr śmierci przepędził sprzedawców i przechodniów. Przerażeni kupcy porzucali swe kramy. Ostatnie dziesięć kroków Faruk przemknął w pełnym pędzie z bronią uniesioną nad głową.

Znów wszystko rozegrało się tak szybko...

Faruk nie zdążył nawet krzyknąć. Łowca Demonów ciął mieczem mocnym uderzeniem zza pleców. Nagle powiało mrozem, niebieskawe ostrze zajęczało, wyśpiewując swą przyprawiającą o dreszcze pieśń.

Klinga dosięgła piersi hasziszijjuna. A potem zalał go mdły blask.

Lód. Faruk i jego wielbłąd zamienili się w jednolitą bryłę lodu, czy raczej misterną rzeźbę jakiegoś niewiernego rzemieślnika. Zastygłe w przerażeniu usta, wzniesione ramię, rozszerzone oczy. Lód. Bryła. Nieruchoma.

Martwa, a jak żywa.

Nim Sejed zrozumiał, co się dzieje, Łowca Demonów ściągnął z palca przezroczysty pierścień i przyłożył go do czoła Faruka. Lodowa rzeźba o kształtach hasziszijjuna zasyczała jak pod dotknięciem ognia. Stopniowo zaczęła topnieć i znikać.

Bezgłowy kadłub jeźdźca. Potem bez wzniesionego ramienia. Bez piersi.

Krzyk. Świdrujący wewnątrz głowy Sejeda. Nie słyszał go z zewnątrz. Nie słyszał go uszami. Duszą. Ze środka. Bolesny jak lodowa igła. Chciał zrobić krok do przodu i powstrzymać Łowcę, zakończyć to raz na zawsze. Nie mógł. Nie mógł się ruszyć.

Gdy niemoc minęła, po Faruku i wielbłądzie nie pozostał nawet ślad. Łowca Demonów przemówił:

– Nazywam się Muhammad Ibn al-Charid i jestem sługą Allaha. Łowcą Demonów z Bożego namaszczenia. Oto Lodowy Oddech, miecz przez siedemdziesiąt dni wykuwany przez siedemdziesięciu aniołów-kowali z oddechu surowego anioła Malika, odźwiernego Piekieł. A oto Brama do Piekieł, pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila. Już wiesz, co cię czeka. Uderzenie miecza zamieni cię w lodowy posąg, a pierścień odeśle do piekła na sto lat do najcięższych robót. Tak jak tego przed chwilą.

Sejed popędził wielbłąda i przechyliwszy się lekko w bok, ruszył z bojowym okrzykiem na al-Charida. Ciął mocno i pewnie, mierząc w sam środek twarzy Łowcy. Poczul rozgrzewający przyływ triumfu w sercu.

Wtedy odezwała się niebieska klinga Lodowego Oddechu. Cichy brzęk skrzyżowanych ostrzy.

Miecz Łowcy Demonów zaintonował swą pieśń i zmroził ciepło rozpalające duszę Sejeda. A potem zmroził także jego ciało. I wielbłąda.

Pustka. Nie czuł już nic. Ani ciepła, ani chłodu. Setka ziemskich spraw, dotychczas zaprzatająca jego uwagę, teraz była niczym ziarnko piasku na ulicy. Nic niewarta. Nic nie było już ważne. Trwał zawieszony gdzieś między światami bez emocji, bez strachu; obojętnie



Się. Nie. Kończyło. Co? Co nie? Nie. Nie.

Nie.

Upłynęła kolejna godzina, nim to minęło. Nie tak do końca, ale mógł już zebrać rozdartą myśl w jedną całość.

Zaczął analizować ostatnie wydarzenia. Jak przedstawił się ten defensor? Muhammad Ibn Jakiś Tam. al-Charid? Tak, Muhammad Ibn al-Charid. Czy to normalne, żeby program ochronny systemu przemawiał do swej ofiary i wygłaszał nawiedzone wersety niczym z Koranu wzięte? Po raz kolejny przekonał się, że świat stworzony przez SI Allaha dalece wykraczał poza znane dotychczas reguły gry. Wymykał się stosowanym dotąd kryteriom. A to mogło oznaczać tylko komplikacje. I dodatkowe kłopoty.

Musiał działać na klonie. Przynajmniej w tej sprawie.

Jakie są fakty? Na razie nic nie można określić jako pewnik. Tylko domysły. Pierwsze założenie – muezzin nie jest Jacobem Vicherem. Drugie – można udowodnić, że nim jest. Zadanie dla Malika.

Wychodząc z hotelu, zgarnął ze stojaka w hallu kilka folderów turystycznych. Przejrzał szybko: zabytki, muzea, historia regionu, znani Luksemburczycy, imprezy kulturalne... Śmieci. Nie tego potrzebował. Handel – tak. Sklepy – takie, siaki – adresy. Wyczytał też, że w sobotę przy avenue de Liberté otwierał swe podwoje suk.

Jaki dziś mamy dzień? Sobotę.

– Allah raczył spojrzeć na mnie łaskawszym okiem – mruknął Zak z przekąsem. Pierwszy raz coś się nie komplikuje.

Odruchowo skinął na taksówkę, ale powstrzymał się. Avenue de Liberté? To tam, koło dworca. Czyli znowu będzie przemówienie o polityce fiskalnej władz i proteście stowarzyszenia przewoźników STL. Wolał pójść piechotą.

Bazar nie był godzien swej nazwy, raczej pchli targ, z akcentem na pierwszy człon określenia. Zak pozwolił Malikowi poszwendać się bez celu po ciasnych alejkach w tłumie gapiów, kupców i sprzedających. Jednocześnie uważnie się rozglądał.

Kindżał, który tam kupił, niezbyt przypominał szlachetną broń ismaelickich zabójców, ale Malikowi od razu przypadł do gustu. Zak był skłonny zgodzić się z nim – zbyt długie ostrze wystające spod kremowej marynareczki eleganta wzbudzałoby niezdrową ciekawość. Wymyślna, zdobiona błyskotkami rękojeść odbierałaby ręce pewność. Ta była w sam raz.

Uchwycił ją mocno i powoli wyciągnął ostrze z pochwy. Klinga zaślniła niebieskawym blaskiem. Niebieskawy blask... Jakże żywe wspomnienie! Dotknął palcem ostrej krawędzi i lekko przesunął opuszką. Ostra. Krew popłynęła cienką, nieśmiałą

strużką, wypełniając rowki arabskiej inskrypcji.

Błysk w głowie. Jak światło zapalone w piwnicy pełnej szczurów. Powrócił szum. I ten nieznośny chaos myśli. Chaos kotłujących się szczurów. Aż zatoczył się w tył, niemal tracąc kontrolę nad Malikiem.

Która z twoich dusz? Która z twoich osobowości? Która jest prawdziwa?

Która?

Teraz asasyn Sejed. Teraz władca dwóch ciał. Teraz on najsilniejszy. Teraz asasyn Sejed. Teraz asasyn Sejed. Teraz asasyn...

Żądza zemsty, niepowstrzymany władca czynów.

\*\*\*

Ja, Sejed Haddani, syn Dżalala, z łaską Allaha pomszczę Faruka, mojego brata w wierze, niech aniołowie w raju opiewają jego odwagę. Mordercę brata mojego wyślę do piekła, aby Iblis smołą wypalił mu trzewia.

Clervaux. Słyszę głos brudnej duszy zdrajcy. Czuję bicie jego serca. Jeszcze nie wiem, gdzie jest, ale słyszę go. Czuję. Odnajdę.

Ludzkie twarze – puste. Puste. To nie on. Mijane w pośpiechu. To nie on. Ulica wabiąca tysiącem szeptów, szept domów, ludzi i kamieni, po których idę.

Szepty. Nie zagłuszą jego głosu.

Jego głos z wysokiej wieży wibrującą nutą rozplywa się nad miastem:

– Bóg jest wielki, Bóg jest wielki... Świadczę, że nie ma boga oprócz Boga Jedyne... że Muhammad jest wysłannikiem Boga... Przyjdźcie na modlitwę... Przyjdźcie ku zbawieniu... Bóg jest wielki...

Muezzin. Muezzin jest zabójcą brata mojego, Faruka? Tak. Nie. Nie wiem... Nie pamiętam.

Tak... Nie... Tak!

Muezzin mordercą. Oto twarz diabła skrytego pod świętymi szatami. Dla niego ostra klinga kindżału. Dla niego kocioł płynnego ołowiu, męki w królestwie Iblisa.

Szepty, złe szept. Ulica pełna ludzi, bezładnych mróweczek, bezcelowych; ich szept są niezrozumiałe.

Czegokolwiek chcą, cokolwiek znaczą – nie powstrzymają mnie.

Faruka pomścić!

Meczet As-Sauda. Napęczniała purchawka, żywa. Pulsująca. W środku mróweczki. Po bokach cztery długie łodygi zwieńczone podłużnymi czapami. Minarety. Z nich żarliwa pieśń



niczym wołanie wiatru na pustyni:

– Bóg jest wielki, Bóg jest wielki... Świadczę, że nie ma boga oprócz Boga Jedyne... że Muhammad jest wysłannikiem Boga... Przyjdźcie na modlitwę... Przyjdźcie ku zbawieniu... Bóg jest wielki...

Cztery wieże minaretów – w którym on? Ten głos rozbrzmiewa... zewsząd. Ze wszystkich stron naraz. Oto ślad szatana! Ale ja znajdę go i tak.

Pierwsza wieża. Tylko wielkie, czarne jajo. Z niego sączy się pieśń zdrajcy. Jedno cięcie. Głos milknie.

Druga, trzecia i czwarta. Czarne jaja o metalowej skorupie. Porozbijane. Ale gdzie on? Sapanie. Złorzeczący głos. Czyjeś kroki na schodach.

– Na Allaha, człowieku! Zwariowałeś? Rozwaliłeś wszystkie głośniki! Zniszczyłeś je. Dlaczego?

– Sejed Haddani, syn Dżalala, przysiągł zemstę za śmierć swego brata, Faruka. Umrzesz!

\*\*\*

– Komando cię nasłało, co? Ja wiem: tylko im mogło to przyjść do głów. Nasłać psychola. Asasyn! Ha, ha! Dobrze sobie!

Byli na samej górze. Malik al-Madani schował kindżał do pochwy. Omar al-Hazizi cofnął się w kąt minaretu, nieporadnie jak przydeптany ślimak. Krwawił, skulony, prawa dłoń przyciśnięta do brzucha.

Nie, nie dłoń. Zak spostrzegł to dopiero po chwili. Dłoń Omara al-Hazizi leżała wśród szczątków roztrzaskanego głośnika. Odcięta. W sztywnym ucisku na kolbie czterdziestki piątki.

– Szit – zaklął. – Kurwa.

– Tak, te kurwy... Przekłęte komando. Ja wiem – bełkotał muezzin.

Zak poczuł mdłości. Wychodziło na to, że odciął facetowi rękę. To znaczy nie on, tylko asasyn Sejed. Ale w sumie on.

– Jakie komando? – wykrztusił. Nic nie rozumiał.

– Jakie... Ha, ha... Dobrze. Teraz pyta jakie. Zupełny świr, nic nie wie. Jasne. – Al-Hazizi sam zaczął zdradzać objawy postępującego szaleństwa. Trząsł się w nerwowym, przyduszonym śmiechu. Nagle oprzytomniał i krzyknął rozpaczliwie: – Bandyto! Odciąłeś mi dłoń! Ja umrę! Wycieknie ze mnie krew.

Zak już panował nad sytuacją. A przecież asasyn Sejed mógł tkwić w nim dłużej.

Powoli, kawałek po kawałku dokonywać swej zemsty z urojenia. Druga dłoń. Stopa. Druga stopa. Potem głowa. Zabiłby i uciekł dopiero wtedy, znad chłodniejącego ciała. Zak kłął w duchu. Jemu nawet nie przyszłoby to do głowy. Tylko pogadać. Nie ćwiartować. Ale cóż, przybył tu drugi, wyprzedził go Sejed Haddani, syn Dżalala, paranoiczny mściciel z nieistniejącego świata.

Jak mógł teraz przekonać tę straszną, jęczącą ślamazarę – Omara al-Hazizi, że to tylko wypadek?

„Zaatakował pana wariat, tak mi przykro. Nie, nie ja! I nie Malik, którego pan tu widzi. I nie Yildirim Ozelkoy, którym też bywam. To był Sejed, pewien mściwy ismaelita. Ale proszę się nie martwić, teraz jest dobrze zamknięty wewnątrz głowy. No tak, słusznie pan podejrzewa, niestety wewnątrz mojej głowy. Bardzo mi przykro”.

– Świra na mnie nasłali. Mordercy. – Tembr głosu muezzina wznosił się ku górnym rejestrom. Kwik owcy zarzynanej na id al-adha. – Uciąłeś mi rękę, morderco!

– Zamknij się! I posłuchaj! – ryknął na niego Zak. – Jeszcze można ją przyszyć, jak ci tak zależy akurat na tej ręce. Jeszcze można ją przyszyć, ale czas ucieka. Kiedy zaczniesz się psuć...

Pozostanie tylko implant.

– Na Allaha! Moja dłoń!

– Powiedz mi tylko jedną rzecz, a natychmiast cię wypuszczę. Razem z dłonią...  
Jacobie Vicher!

Muezzin wcisnął się w kąt jeszcze głębiej. Dyszał ciężko w spazmatycznym rytmie.

– Wiedziałem... Wiedziałem od początku! To komando cię nasłало! Tylko jak oni mnie znaleźli? Jak trafili...? Dobrze! Zabij mnie. Zabij! Tylko szybko, już! No zabij, ty popieprzony we łbie śmieciu! Śmieciu popieprzony! No już!

– Zamknij się! – uciszył go Zak. – Owszem, działałam na zlecenie pewnej osoby. Ale ani mojego zleceniodawcy, ani mnie osobiście twoja śmierć nie obchodzi.

Sięgnął po poniewierającą się w kącie dłoń muezzina. Nie chciał tej gry, ale al-Hazizi nie pozwalał mu inaczej zakończyć partii.

– Im dłużej to przeciągasz, tym gorzej dla ciebie. Jak zgnije, to przegrałeś. O, zobacz! Już muchy krążą. Zaraz złożą jajeczka, a z nich wyklują się larwy.

– Co... Co ty chcesz?!

– Przypomina ci to coś? Taka sama ręka, tylko zmumifikowana. Święta. Relikwia. Mieliście ją kiedyś.

– Ja nie miałem, ja nic nie miałem!

– Prawdziwa Relikwia zgarnięta z wystawy tego ukraińskiego artysty. Na niej później eksperymentowaliście. Gdzie ona jest teraz?

– Nie!

– Co nie?

– Ja nie wiem! Oddaj!

– Oddam, jak powiesz. O ile nie umrzesz wcześniej z upływu krwi.

– Muszę do szpitala...

– Pójdiesz. Nawet sam cię zaprowadzę. Tylko powiedz, co się stało z Relikwią, dłonią papieża, po likwidacji Zakonu Rycerskiego Maryi Królowej? Nic mnie więcej nie obchodzi!

– Ralf... Ralf van Douwe. On wie.

– Czy ty kpisz? – Zak wystawił rękę za okno. – Spuszczę ją w dół bez litości. Potrzaska się i zgnije w rynsztoku!

– Kiedy mówię! Van Douwe! Tuż przed procesem ukrył gdzieś Relikwię. Nikt nie wiedział gdzie. Nie mówił.

– Ralf van Douwe nie żyje. Został stracony. Ukamienowany. Co mi z tego, że wiedział?

– Nie... On żyje... To znaczy tak nie do końca. Tuż przed egzekucją... – Muezzinem targnął nagły atak gruźliczego kaszlu. – Przed egzekucją mistrza zaprosił emir Ladjum. Rozmawiali... Długo, nie wiem o czym. Tamten podziwiał inteligencję i wiedzę mistrza. Zaproponował mu partię szachów. O życie. Zwycięstwo emira: wykonanie wyroku bez żadnej łaski. Wygrana mistrza: wstrzymanie egzekucji.

– Mistrz wygrał?

– Tak... Ech, boli mnie ręka...

– Mów dalej!

– Emir dotrzymał słowa. To znaczy nie zabił go, tylko przeskanował umysł mistrza do chipa szachowego. Najdokładniej jak mógł, ze wszystkimi detalami... Na ile to możliwe. W takiej zabawce król szachowy jest jednocześnie przeciwnikiem, graczem. Broni samego siebie, przekazując polecenia zautomatyzowanym figurkom i pionom. Taki szachowy mikrocyborg.

– Jeżeli kłamiesz... Odetnę ci drugą rękę!

– Mówię prawdę! Tak było!

– Gdzie on teraz jest? U emira?

– Ja nie wiem... Ja w ogóle nic nie wiem... – Głowa Omara al-Hazizi zachwiała się.

Wzrok zaszedł mgłą. – Nie wiem...

– Powiedz!

– Ponoć... Te szachy emir podarował wielkiemu muftiemu Francji. Wszystkie media trąbiły. W dowód gorącej przyjaźni...

Zemdlał.

Zak odnalazł numer najbliższego szpitala i wyłączając całkowicie wizję, zgłosił:

– W zachodnim minarecie meczetu As-Sauda leży nieprzytomny muezzin z odciętą ręką. Zaraz wykrwawi się na śmierć.

Wersja al-Haziziego potwierdziła się. Emir Lacjum obdarował wielkiego muftiego Francji prezentem – kompletem samobieżnych szachów rzeźbionych w kości słoniowej. Jedną z tych kosztownych, naszpikowanych elektroniką zabawek, w których tak lubują się bogaci muzułmanie. Na wierzchu misterna robota rzemieślnika sprzed wieków, a w środku chipy i bezprzewodowe przekaźniki. Dzięki wbudowanym procesorom królowie szachowi mogli tworzyć własne strategie, broniąc samych siebie i rozkazując innym figurkom. Pilot z dotykowym ekranem pozwalał graczowi zaprogramować stopień trudności lub wybrać rodzaj taktyki. Dziś zmierzę się z Kasparowem. Jutro z Fisherem. Pojutrze – z Rogoznikiem. Albo kombinacją wszystkich trzech. Można też usiąść przy kawie, nargilach i patrzeć na pojedynek arcymistrzów rozgrywany między białym i czarnym królem.

Zak nie bardzo pojmował znaczenie spotkania emira i muftiego, choć bez wątplenia obaj dostojnicy wyraźnie się lubili. Zapisy holograficzne, wideo, zdjęcia w prasie zwykłej i elektronicznej w szczegółach relacjonowały przebieg spotkania: pierwszy dzień Ramadanu 1494, Paryż. Braterskie pocałunki, uściski, wspólne uczyty i publiczne mowy. Przyjaźń, współpraca w zakresie... I tak dalej.

Jednak to, że mufti dostał taki prezent, nie oznacza jeszcze, że Vicher/Al-Hazizi mówił prawdę. Czy w chipie szachowego króla rzeczywiście krył się umysł (dusza?) Ralfa van Douwe?

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Zak wysłał Malika transrapidem do Paryża.

@@20

Muhammad Ibn al-Charid? Tak ci się przedstawił?

– Tak.

– Na Allaha, człowieku. To ten sam defensor. Jeden z tych uzależnionych od Allaha małych SI. Wygląda na to, że cię namierzył.

– Namierzył... Zawsze uważałem te historie o osobistym namierzaniu hakerów przez defensory za nieszkodliwe, ale trochę głupie legendy wirtualnego świata. Zdecydowanie głupie.

– Zak, wiesz, jaka jest najkrótsza droga do wydrenowania?

– Taaa... Lekceważenie zagrożeń.

– Jeżeli ten sam dopadł cię podczas włamania do asystenta domowego... To nie może być przypadek. SI Allaha łatwo zlekceważyć, bo nie trzęsie swoim światem jak bóg-okrutnik. Żadnych gromów i potopów. Za to regularnie wychwytuje nowe technologie i oprogramowanie. Wszystko, co pojawi się w sieci. Jeżeli coś jest wbrew jego woli, tworzy łatki i uaktualnienia do swoich defensorów, antywirusów, firewalli. Do wszystkiego. Co tydzień, dwa potrzebny jest nowy software. A jeżeli defensor namierza cię osobiście, to lepiej za każdym razem go czymś zaskakiwać. Za każdym wejściem nowy soft.

Holograficzny Salim siedział na pryczy obok Zaka.

– Nie pcham się tam. Ale tajne dane sieciowe nie leżą na ulicy, czekając, aż je zgarnę. Muszę nurkować, nawet jeżeli wolałbym tylko pobawić się głupolem. Wezmę, cokolwiek tylko masz.

– Teraz nic nie mam. Najlepsze rzeczy chodzą na czarnym rynku kradzione z wojskowych lub korporacyjnych laboratoriów. Ja mogę tylko dokonywać lekkich przeróbek.

– To mnie udupi. Mogę w każdej chwili potrzebować programów. Sam bym się tym zajął i nie zawracał ci głowy. No, ale wiesz, jak jest. Nie mogę powiedzieć, bym miał pełną swobodę ruchów. Sam nie dam rady.

– Stary, zrobię to dla ciebie. Zajmie mi to trochę czasu, ale zrobię to. Zaglądaj na mój serwer, zresztą jakby co, to pchnę ci info. Za jakiś czas... A co do Paryża... Dam ci adres. 63, rue Felice Martin. To stary antykwariat – kasety wideo, dwudziestowieczne winyle i kompakty. Takie różne... Pytaj o Smutnego Pierre'a. Jak powołasz się na mnie, to będzie spoko. Koleś jest w porządku, na pewno ci pomoże. Ma sporo fajnych zabawek. Może się przyda.

– W porządku. Dzięki. Będziemy w kontakcie.

Zamknął 3D-chata. Salim rozmył się w błyskach.

\*\*\*

Zak nigdy tu nie był, za to Malik jakby urodził się w Paryżu. Czysty instynkt albo wspomnienia ukryte w najgłębszych zakamarkach mózgu. Tam, gdzie nikt obcy nie ma dostępu.

Gare de l'Est. Zak zawahał się przed planem metra, niezdecydowany krążył chwilę po korytarzach, wreszcie wyszedł na powierzchnię. Że to klon prowadzi jego, a nie on klona, uzmysłowił sobie dopiero kilka przecznic dalej, gdy Malik po raz trzeci nie zareagował na mentalne polecenia. Żadnego skręcania, tylko w przód. Stanął parę razy, żeby obejrzeć się za panienką, i raz, by kupić kebaba.

Ale nie skręcał. I na pewno nie był to podszept podświadomości Zaka, tylko wyraźny triumf osobowości Malika. Efekt przemęczenia czy głupol przestawał być głupolem?

Gdy bulwar de Magenta przeszedł w plac Republiki, Malik przestał reagować na jakiegokolwiek polecenia. Zak przez kolejne trzy godziny podejmował nieskuteczne próby przejęcia kontroli nad mózgiem klona. Ale ten, nie przejmując się niczym, pędził po sobie tylko znanych ulicach, placach, skwerach. Zaczepiał dziewczęta, wyrzucając pojedyncze arabskie słowa nie zawsze powiązane logicznie. Najwidoczniej to miasto oszołomiło go. Nawoływania arabskich i chińskich sklepikarzy, szum i klaksony przejeżdżających samochodów, odgłos młotów pneumatycznych robotników naprawiających jezdnię, beztrioskie krzyki dzieci, para kłócących się Francuzów, Chińczyk w garniturze z zapamiętaniem tłumaczący coś przez telefon komórkowy... Każdy z przechodniów, choć niespiesznie, z pewnym rozleniwieniem podążał w swoją stronę, do własnych obowiązków lub przyjemności.

Jak się okazało, Malik też. Uspokoił się dopiero, paląc nargile w małej knajpce wciśniętej między chińską pralnię a marokańską rzeźnię. Smolisty haszysz domieszany do tytoniu łaskotał gardło gorzkawym aromatem, uspokajał mózg. Dopaliwszy załadowaną porcję, Malik zamarł ze wzrokiem nieruchomo wbitym w jakiś szczegół za oknem. Zak nic nie czuł. Cannabis nie wchodziło przez netchip. Ale przynajmniej odzyskał panowanie nad klonem.

\*\*\*

Na szczęście francuski system podatkowy okazał się łaskawszy niż w Luksemburgu dla firm taksówkarskich. A one dla pasażera. Zak bez problemu i bez wysłuchiwanie oficjalnych komunikatów o proteście dojechał do rue Felice Martin w 8. dzielnicy.

Antykwariat nazywał się Metalhedz. Zak ze zdziwieniem oglądał pocieszne dwudziestowieczne eksponaty. Wiedział, że duże czarne krążki i znacznie mniejsze, srebrzyste, to winyle i kompakty. Archaiczne nośniki dźwięków. W istne osłupienie wprawiły go plastikowe pudełeczka z dwiema dziurkami kryjące wewnątrz szpulki ze zwojem taśmy. „Kasety magnetofonowe” – odczytał informację nad półką.

Przeglądał wykonawców: Elvis Presley, The Beatles, Madonna, Goldie...

– Vous desirez, monsieur? – doszedł go lekko ironiczny głos sprzedawcy, młodego chłopaka ze związanymi w kitkę długimi włosami.

– Nie mówię po francusku.

– No pewnie. Po francusku nie – powiedział tamten po arabsku. – W czymś pomóc?

– Szukam Smutnego Pierre'a.

– Ach tak... Chwilkę. – Chłopak zniknął na zapleczu. – Tymi drzwiami na zewnątrz i następne po prawej – wyjaśnił, wskazując tylne drzwi, kiedy pojawił się ponownie.

Ledwie Zak tam wszedł, czyjeś silne ręce ścisnęły mu szyję. Szarpnął się i uderzył, mierząc łokciem w żebra napastnika. Poczul chłodny dotyk paralizatora.

– Zaraz wpięprzę ci taki woltaż, że upieczesz się jak kurczak – posłyszał chrapliwy głos. – Ponoć chciałeś mnie widzieć... Ale ja cię nie znam. Kim jesteś? Kto cię tu przysłał? Skąd znasz ten adres?

– Spokojnie... – wychrypiał oszołomiony Zak. – Jestem kumplem Salima. Z Berlina.

– Aaa... To ty. Koleś na głupolu! – Uścisk na szyi zelżał. – Rozmawiałem z Salimem. No dobra. Chodź za mną.

Zak odetchnął głębiej.

\*\*\*

Smutny Pierre bardziej zasłużył na miano Wykręconego Pierre'a – stwierdził w myślach Zak. – Chyba że smutkiem nazywać manię prześladowczą.

– Różni, mówię, różni tu przychodzą, naprawdę – tłumaczył się gospodarz, prowadząc go w dół wąskimi schodkami. – Nikomu nie można ufać. A skąd, no skąd ja mam wiedzieć, kto przyjaciel, kto wróg? A może gliniarz? Tajniak jakiś? Albo fanatyczny terrorysta z bombą w kieszeni? Nikt tego nie ma na czole wypisane...

Minęli ciemną suterенę i znaleźli się w wąskim pomieszczeniu pełnym starych mebli. Pierre podszedł do stalowej szafy z zamkiem szyfrowym i zazgrzytał pokrętle. Dno sejfu kryło wejście do podziemnego szybu. Wsunął się pierwszy, Zak za nim.

Nagle wyświetlacz netchipa zamrugał ostrzegawczo. Zakłócenia. Nagły spadek zasięgu. 2 na 10.

– Tracę sygnał. Nie mogę głębiej.

– Niezły bunkier, co? Ale bez obaw. Włóż spoko. Tam go wzmocnimy. Mamy trochę sprzętu.

Jakieś dwadzieścia metrów niżej szyb się skończył. Przeszli do jasno oświetlonego

pomieszczenia od podłogi po sufit zastawionego sprzętem. Pudełka serwerów sieciowych, routery, wyświetlacze, zasilacze awaryjne, tunery satelitarne... Nasuwało to nieuchronne skojarzenie z pokładem okrętu podwodnego. Albo z laboratorium szalonego naukowca.

– Bunkier niezły – stwierdził z podziwem Zak, walcząc z szumami na linii. – Pełna konspiracja. Tak pełna, że mnie zaraz rozłączy. Mam 1 na 10.

Pierre nie przejął się tą uwagą.

– Tak trzeba. Trzeba, rozumiesz. Zaadaptowałem część jakichś starych schronów czy kanałów. Nie wiem, co tu było. Ale idealnie nadaje się do moich celów.

– A ten sklep muzyczny? Nie boisz się, że może przyciągnąć czyjąś uwagę? Nie lepiej schować się pod sklepem z burnusami albo barem z kebabami?

– Pod latarnią najciemniej. Wiesz, jak jest. Sklep muzyczny jest mniej oczywisty. W końcu to nie Afganistan. Muzyka nie jest zakazana, przynajmniej dopóki nie rządzą tu Talibowie.

– Ale przeboje dwudziestowiecznej popkultury? Narkotyczna elektronika z początku wieku? W Turcji Północnej trudno trafić na coś innego niż tradycyjny turecki pop albo niemiecką Volksmusik. Nie wiadomo, co gorsze...

– To jest antykwariat ze starymi nośnikami. Sęk w tym, że mało kto ma sprzęt, który jest w stanie to odtworzyć. Na przykład takie winyle... To zabawki dla koneserów. Ruch mam niemal zerowy. Kasę robię na czym innym. – Pierre nagle zmienił temat: – Dobra, zajmijmy się twoim netchipem. W jakiej sieci jesteś?

– Xiaoping.

– Xiaoping? Nie przewiduję problemów. – Zasiadł za konsolą. Zastukał w panel niczym pianista w fortepian. Kilkoma uderzeniami uaktywnił wszystkie moduły urządzenia i za pomocą nadajnika satelitarnego namierzył kanały klona. Nałożył wzmocnienie sygnału, kierując je do netchipa Zaka. Zdecydowanie pomogło. 5 na 10. – Voila! A teraz mów, co cię tu sprowadza.

\*\*\*

Turek w czerwonych szarawarach i fezie na głowie pojawił się niespodziewanie przy bramie BabTuma. Wmieszawszy się w tłum, jął podążać w stronę meczetu Omajjadów. Przeciskał się wąską uliczką pełną przekupniów, wciągając nosem zapach przypiekanej na ruszcie baraniny zmieszany z aromatem dymu fajkowego. Czy był to jeszcze jeden podróżny, który przybył do Dimaszk asz-Szamu w interesach – kupić miecz z miejscowej stali lub zwój perskich dywanów czy cokolwiek innego, co wypełniało stragany miejskich suków?



Muhammad Ibn al-Charid nie dał się zwieść – widział to, czego nie dostrzegali inni. Turek w czerwonych szarawarach ścisnął pod połami szaty wysadzany rubinami kindżał, zaciśnięte na rękojeści palce aż nabiegły krwią. Niestarannie skrywane, nerwowo rzucone spojrzenia zdradzały, że tajemniczy podróżny spodziewa się jakiegoś cichego niebezpieczeństwa uderzającego niczym jastrzęb zgubione przez matkę jagnię.

Łowca Demonów wiedział. Oto kolejny demon! Z daleka wyczuwał jego pot, jego strach, jego spazmatyczne bicie serca. Kolejny demon, który przybrał postać Bogu ducha winnego podróżnika z dalekich krain.

Tak, demony, bójcie się! Oto ja, Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów z woli Pana naszego – myślał z dumą. – Mam oto Lodowy Oddech, miecz przez siedemdziesiąt dni wykuwany przez siedemdziesiąt aniołów-kowali z oddechu anioła Malika, odźwiernego Piekieł. Bójcie się demony, bo oto tym mieczem odbiorę wam resztki złudzeń!

Chwilę śledził przybysza, a gdy ten wszedł w kolejną uliczkę między bazarami, Łowca uśmiechnął się z triumfem. Zaułek był ślepy i Turek, chcąc czy nie, musiał zaraz wrócić.

Ciął demona mieczem przez plecy, gdy tylko wychynął z uliczki. Uderzenie Lodowego Oddechu zmroziło diabelskiego przybysza na kamień. Nim słońce rozgrzewające miasto zdążyło wycisnąć z mroźnej bryły choć jedną kropelkę wody, nim przechodnie na ulicy zdążyli unieść brwi ze zdziwienia i zaciekawienia, Muhammad Ibn al-Charid jednym sprawnym ruchem przeciągnął go przez Bramę do Piekieł.

– Przepadnij na wiek, niecny demonie – wyszeptał. Zdało mu się, że gdzieś z oddali, z piekieł niechybnie, doszło go niezrozumiałe przekleństwo: „Znukował mnie, skurwysyn”.

– Ale to tylko złudzenie. – Pokiwał głową Łowca. Tego dnia unieszkodliwił jeszcze trzy szatany: dwóch takich samych tureckich podróżnych ściskających pod połami szaty kindżały wysadzane rubinami i jednego sprzedawcę melonów prowadzącego osiołka objuczonego towarem. Wieczorem, ciesząc się cudownym aromatem egipskiego tytoniu, wciągając i wypuszczając go z ust, rozpamiętywał chwile triumfu.

Dzięki Ci, Panie, żeś mnie chciał uczynić swym sługą, Łowcą Demonów. Dzięki za ten miecz, który skuwa lodem demony, i za małego anioła-pomocnika – modlił się w myślach Muhammad Ibn al-Charid. Jednak było coś, co odbierało mu pełnię radości. Niczym wzbudzone fusy w kawie. Pamiętał o tym jednym demonie. Tym, który go kilkakrotnie pokonał, zaś w ostatnim pojedynku – uciekł. Demon w Przebraniu Cudzoziemskiego Kupca także i Hasziszijjuna. Uciekł, ale Łowca wiedział, że wróci. Czekał na niego, sycąc się w wyobraźni chwilą, w której i tego syna Iblisa będzie mógł zmrozić swym mieczem i odesłać

na sto lat do piekieł. A może nawet na zawsze...

Czekał, modląc się.

\*\*\*

Niespodziewanie odezwał się 3D-chat. Przez chwilę, widząc zastrzeżony numer, Zak zastanawiał się, czy nie zrzucić rozmowy na pocztę. Jego nowe zamiary znały tylko trzy osoby. Poza nowym kumplem z Paryża – Claudia i Salim. Jednak Salim.

– I jak Pierre? – zagadnął.

– W porządku.

– Wykręcony trochę, nie?

– Odrobinę.

– Ale to spoko koleś. Jego niektóre gadżety są niesamowite, jeżeli jeszcze się nie przekonałeś.

– Przekonałem się. Zaplanowaliśmy pewną małą akcję. Wygląda to... Nie lubię tego słowa, ale jest najodpowiedniejsze: odłotowo.

– Słuchaj, Zak. Mam już kilka ciekawych trojanów, ale nie po to dzwonię. Gadałem z jednym koleśkiem z Montevideo. Jeden z tamtejszych hakerów, pracujący dla południowoamerykańskich karteli, robi różne rzeczy w UCA... Jakies kilka tygodni temu odwiedziła go pewna kobieta. Zimna blondynka koło trzydziestki. Jak to określił, „piękna, ale całkowicie aseksualna”.

– Claudia Ronson.

– Tak i nie. To chyba ta sama kobieta, ale wtedy przedstawiała się zupełnie innym imieniem. Powiedziała, że jest członkiem polskiej emigracyjnej społeczności religijnej w Sao Paulo i chciała Lazaro, tego koleśka, wynająć do odnalezienia Relikwii. By, jak mówiła: „przywrócić ojczyźnie sprofanowaną dłoń Jana Pawła II”. Obiecywała niezłą kasę, tylko jak to Lazaro określił: „do tego trzeba prywatnego detektywa, a nie haker”. Koleś jest bardzo dobry, ale sformatowany do włamów na korporacyjne maszyny UCA i na nic więcej. Szukała jeszcze szczęścia u paru innych. Nikt nie chciał w to wchodzić, ponoć jeden koleś w Santiago wziął robotę, jednak wycofał się tego samego dnia. Mówił, że za dużo babrania się z Allahem, a oni tam są zbyt daleko od tego. Wtedy w Santiago usłyszała o tobie...

– To by się zgadzało! No, znam tam paru gości. A agenci Pao dorwali mnie właśnie na Sala y Gomez.

– Pomyślałem, że może cię to zainteresuje. Nie wiem, czy coś to zmienia, ale może powinienes zainteresować się swoją zleceniodawczynią, zanim ściągniesz na siebie

dotatkowe kłopoty. Trochę to wszystko nie pasuje do siebie. Albo pasuje, ale nie w tym miejscu, gdzie powinno.

– Jak mówiłeś? Polska społeczność religijna w Sao Paulo?

– No coś takiego. Dość daleko od Niebiańskiej Korporacji Pao, nie? Wydało mi się to dziwne.

– Hmm... W sumie ona daje robotę, więc nie musi się spowiadać z tego, kim jest i jaki ma cel. Płaci i wymaga, a reszta jest milczeniem. Ale swoją drogą to coś tu nie gra. Trochę się te puzzle rozsypały. Jeżeli jest żoną członka Zarządu Pao, to skąd się nagle wzięła w Montevideo i Santiago?

– Sprawdź to, stary. Zanim wpadniesz w jeszcze gorsze gównno.

\*\*\*

Teraz największy wróg to pająk. Pająk i przekłete skrzydlate potwory. Jaskółki.

Mucha. Jestem muchą. Człowiekiem, ale muchą. Ludzkim umysłem, świadomością wtłoczoną do kruchego ciała. Nie, to nawet nie jest ciało – ludzkim umysłem wewnątrz suchej, owadziej skorupki niesionej na skrzydłach wiatru i własnych, sztywnych skrzydełkach.

Nieczłowiek. Kiedyś – tak. Teraz mucha. Umysł to potęga, ale łatwo ją utracić, gdy:

1. sztywne skrzydełka,
2. lekkie ciało-nieciało, skorupka,
3. obraz świata podzielony na setki małych komórek; widziany setkami wypukłych mikrooczu,
4. obraz świata z zupełnie innej perspektywy: tysiąc, pięć tysięcy razy dłuższy, szerszy, wyższy,
5. nie ma ust, by krzyczeć; liżący aparat gębowy. Czy to wystarczy, by zapomnieć o własnym człowieczeństwie? Nie trzeba aż tak wiele.

Zakowi nie podobało się jego nowe ciało. Ciało. Ciało muchy. Ciemnozielony lśniący odwłok: po prostu coś ohydneho. Szare, drażniące, bzyzące skrzydła i przednia para odnóży: nie sposób powstrzymać tego odruchu zacierania. Mucha.

Jednak po kilkunastu minutach latania po bunkrze Pierre'a przywykł do siebie-insekta – ustał wulkan stopionych, bezładnych myśli, obrzydzenia przemieszanego z fascynacją. Oto kolejne spełnienie ludzkiego snu o przestrzeni – biotechnologia i nanoelektronika! Biochip owada stał się integralną częścią jego mózgu. Szybem wentylacyjnym pomknął w miasto. Na skrzydłach muchy.

Domy... Nie były tym, czym niegdyś. Urosły w odrębne wszechświaty z dziesiątkami ekosystemów. Drobinę kurzu – teraz grube, miękkie dywany pokrywające wszystkie dostępne płaszczyzny; brud – to, co stanowiło jeden z wielu elementów świata, nie zawsze dostrzegalny, wtopiony, teraz ustawiał się w odwrotnej proporcji – świat był jednym z elementów brudu.

Brud jest dobry. Dla muchy jest to istny raj. Brud jest Bogiem. Nie, to oczywiste – mucha jako tępe, nikczemne stworzenie nie potrzebuje Boga. Ale gdyby potrzebowała – to Brud byłby jej Jedynym. Człowiek – brud-olbrzymem stworzonym przez Brudoboga ku uciesze Bożego Stworzenia – muchy.

Przelecieć cały świat, miliony światów, lecąc przez całe musze życie. Po to, by... Właśnie, po co? Czy nie lepiej przytulić się do plastikowego pojemnika na śmieci i chłonąć jego ciepło? Jeżeli jest coś takiego jak musza świadomość, to właśnie się odezwała: „Spójrz wokół przez owadzie, tysiącczęściowe oczy, a zrozumiesz”.

A oto wielki triumf ludzkiego urnysłu – Zak oderwał się wreszcie od gnijącego ogryzka po jabłku. Poleciał w kierunku wskazanym przez cichy szept za drzwiami duszy: „Masz coś do zrobienia, masz coś do zrobienia, masz coś...”. Przez jakiś czas udało mu się kontrolować odruchy owada, leciał przed siebie z coraz większym poczuciem wolności.

Do czasu. Mucha znów zapanowała nad poczynaniami ich wspólnego ciała: na dachu jednego z mijanych domów leżał zdechły kot. Zak nie wiedział, czy owad dostrzegł go swym siateczkowym wzrokiem, czy też wyczuł zmysłem powonienia. Nie znał też przyczyny nagłej zmiany kursu, dopóki mucha nie osiadła na ścierwie. Prosto w pustym oczodole. Przednie odnóża poszły w ruch. Aparat gębowy.

Zak przerwał połączenie z biochipem owada, chwilę walczył z falą mdłości. Połączył się Pierrem przez holo.

– Stary, czuję się, jakbym lizał zdechłego kota! Weź coś zrób z tym owadem.

– No człowieku, taka mucha to jest głupie stworzenie. Owad. Bardzo głupie. Ciesz się, że nie siadła na gównie. Albo na...

Zak szybko wszedł mu w słowo.

– Dobra, dobra, rozumiem. Owad. Głupie bydlę. Tylko go jakoś podkreć, to znaczy mnie podkreć, żebym nad nim bardziej panował.

– Ma za słaby układ nerwowy. Też bym sobie wolał tą jej rurką koksu trochę powciągać, ale da się zrobić tyle, co ona chce. To znaczy, musisz się nauczyć współpracować. Tak to tu działa. Im mniej skomplikowany organizm, tym trudniej nim sterować przez biochipa.

Zak rozłączył się i powrócił do owada. Współpracować! Przez chwilę walczył z odruchami muchy, próbując ją zmusić do dalszego lotu. Gdy się poddał zrezygnowany, mucha zostawiła kocie truchło i pofrunęła dalej. Wtedy Zak odzyskał kontrolę. Zauważył pewną prawidłowość: dopóki owad nie miał przed sobą konkretnego, namacalnego celu – w postaci ogryzka, pojemnika na śmieci czy zdechłego kota – pozwalał sobą sterować niczym szybowiec. Wtedy Zak był jego pilotem. W pasażera zamieniał się dopiero wtedy, gdy w stworzeniu odzywał się instynkt.

Rezydencja wielkiego muftiego Francji.

Zanim tam doleciał, zdobył kolejną umiejętność. Nauczył się transponować owadzie bodźce wzrokowe na ludzkie wrażenia. Przez sieć dziesiątek mikrooczu muchy dostrzegł skrywane przed postronnymi szczegóły domu. Zaskoczyła go rozbudowana architektura willi. Z zewnątrz budowla wyglądała niepozornie – białe, ślepe mury, wysokie na jakieś pięć metrów, wtopione w strukturę miasta. Tylko gdzieś tam dostęp do środka umożliwiała półkoliste, niewielkie drzwiczki. Na zewnątrz muru toczyło się normalne życie – nieopodal głównego wejścia znajdował się mały suk, na którym handlowano przyprawami. Zakowi przemknęła przez głowę myśl, że umiejscowienie tutaj jatek z mięsem oznaczałoby definitywny koniec jego dalszego lotu w ciele owada. Wąskie uliczki okalające rezydencję swobodnie przemierzali przechodnie, toczyło się tu normalne życie. Zak spodziewał się czegoś innego – zamkniętego terenu w niedostępnym rejonie miasta, okolonego parkiem, po którym biegają ochroniarze i warczą doberman.

Za murem czekała go kolejna niespodzianka: zobaczył tam obszerny dziedziniec porośnięty starannie wypielęgnowaną roślinnością. W jego centralnym punkcie znajdowała się szmerząca wodą fontanna, w której wdzięczyły się egzotyczne ryby.

W rezydencji trwała krzątania służby dbającej o to, by jedynym zapachem, jaki dociera do nozdrzy ich pana, był aromat różanych płatków. Żadnych zdechłych kotów, żadnych parujących śmieci. Dzięki temu nic już nie odciągało uwagi muchy-Zaka od właściwego celu – namierzenia szachownicy z mistrzem.

Wzleciał na wysokość pierwszego piętra, gdzie biegła okalająca dziedziniec galeria. W jakim miejscu mufti mógł spędzać czas na grze w samobieżne szachy? Jakiś salon albo gabinet. Może jadalnia? Bo chyba nie łaźnia ani toaleta, chociaż kto wie. Nie pozostawało nic innego, jak sprawdzać wszystkie pomieszczenia jedno po drugim. Zak skierował muchę na galeryjkę. Na dole kręciło się zbyt dużo służby, panował harmider, a to nie sprzyjało koncentracji, jakiej wymaga królewska gra.

Dobrze myślał – po kilku minutach żmudnego machania skrzydełkami odnalazł

szachownicę.

Jednak gabinet muftiego.

\*\*\*

Król szachowy zapiszczał głosem mówiącej barbie:

– Nie chciałem być niegrzeczny, mufti. Nie śmiałem nawet o czymś takim myśleć. Ale... Ale czy ten pion z g6 nie stał na g5? Takie mam wrażenie... Ehm.

Wielki mufti ściągnął gniewnie brwi.

– Czy zarzucasz mi oszustwo, mistrzu? Uważasz, że kantuję podczas gry w szachy? Że chwytam się takich dziecinnych sztuczek jak przestawianie pionów? Że... – zrobił pauzę dla efektu – ...że zakrywam szerokim rękawem swej szaty twoje pole widzenia i przestawiam piona, aby szybciej zamienić go na utraconego hetmana?

– Właśnie tak było – pisnął cichutko król szachowy i natychmiast najdonośniejszym głosem, na jaki go było stać, poprawił się: – Ależ gdzieżbym śmiał, gdzieżbym śmiał! Ale... To mogły być jakieś wibracje, mikrosekundowe trzęsienie ziemi. Albo wstrząs wywołany przez przelatujący odrzutowiec. Takie drżenie mogło przestawić piona. Albo może stół się zachybotał. Tak, tak na pewno było, teraz wydaje mi się, że odczułem coś takiego jak chybotanie stołu.

– Nie było żadnego chybotania ani odrzutowca. Ani mikrotrzęsienia ziemi, mistrzu. Na pewno ci się coś musiało pomylić.

– Ech, no w takim razie, mufti... Czy zatem nie uważasz, że to wspomniany rękaw, ów szeroki rękaw szacownej szaty zaczepił był piona i przesunął go na pole g6? Teraz widzę! Tak być musiało, takie rękawy to bardzo zdradzieckie części odzieży. Zaczepiają się, zahaczają, przestawiają piony na szachownicy...

– Zaczny mistrzu, a cóż ty możesz wiedzieć na ten temat, skoro jesteś jeno królem szachowym i żadnej szaty nie posiadasz. To znaczy szaty z prawdziwego zdarzenia, a nie rzeźbionej w kości słoniowej.

– Ale nie zawsze nim byłem! I szaty posiadałem! I mnie w swoim czasie zaczepiały się one, o co tylko się da, a zwłaszcza o piony szachowe!

– Nawet jeżeli, moja szata wykonana jest z innej materii, delikatniejszej. Patrzaj! Toż to czysty jedwab, delikatny niczym puch, gładki niczym lico dziewicy. Kunsztowne dzieło najlepszych krawców Wschodu. To nie to samo, co grube i źle skrojone rękawy szat utkanych maszynowo przez partaczy, które nosiłeś, mistrzu. Różnica jest wyraźna i oczywistym jest, że mój jedwabny rękaw piona nie mógł przestawić, najwyżej musnąć go delikatnie niczym

piórko.

– Moje szaty, mufti... – zaczął mistrz.

Nie dane mu było dokończyć.

– Dostyc już tych dyskusji. Czy aż tak boisz się przegranej, że starasz się mnie zagadać? Nie tego oczekiwałem. Jak tak dalej pójdzie, będę musiał na twoje miejsce wstawić kogo innego. A tobie, mistrzu, powierzę odpowiedzialne zadanie sterowania zraszaczem zieleni w moim ogrodzie. Podłączony do komputera będziesz polewał rośliny wodą. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, a gdy spadnie deszcz, masz wolne.

Mistrz nagle zmienił ton:

– W rzeczy samej, musiałem doznać jakiegoś zamroczenia umysłu. Teraz już widzę na pewno, że ten pion od początku stał na g6. Pomyliły mi się pola. To od tego gorąca, jestem pewien!

– Cieszy mnie, że wreszcie uznałeś swój błąd. Ale, nawiasem mówiąc, w tym pomieszczeniu pracuje klimatyzacja. Ponadto nie sadzę, żebyś jako król szachowy mógł być aż do tego stopnia wrażliwy na pogodę.

– Kiedy byłem Wielkim Mistrzem Zakonu, bardzo źle znosiłem wahania pogody. Gdy spadało ciśnienie, czułem się osłabiony, jak grzało słońce... wtedy czułem się dobrze, ale miałem w zwyczaju sjestować o tej porze, by odzyskać siły do dalszej części dnia.

– Mistrzu, ale teraz jesteś królem szachowym i twoje nowe ciało wykonane z najlepszego sortu kości słoniowej chroni cię skutecznie przed przypadłościami ciała ludzkiego. Ani meteopatia, ani reumatyzm nie powinny zachwiać twojej percepcji rzeczywistości.

– A co, to słońca nie może łamać w kościach? – zapiszczał z rezygnacją król szachowy.

– Czy chodzi o to, że chcesz, abym przełożył cię do drugiej figurki? Chcesz, żebyśmy zmienili kolor? O to ci chodzi, mistrzu?

– Nie, nie! Przecież ja wygrywam! Zbiłem ci hetmana, mufti!

– Zbiłeś mi hetmana, mistrzu? Więc patrz. Już jestem bliski odrobienia tej straty! O, zobacz! Przesuwam piona tutaj i jest! Zamieniam go na hetmana!

– Ależ mufti! Czy ten pion nie stał przed chwilą na g6? Skąd nagle znalazł się na g7?

– Mistrzu, co właściwie chcesz przez to powiedzieć? Czy chcesz mi coś zarzucić?

\*\*\*

– Okej, możesz wracać. Już wszystko mamy – doszedł go gdzieś z oddali głos Pierrea.

Zak przez chwilę zastanawiał się, co to znaczy, jakby owadzie ciało odebrało mu znajomość ludzkiej mowy. Po chwili otrząsnął się z otępienia i poderwał muchę do góry. Nie bez wysiłku zmusił ją do niemrawego lotu z powrotem.

Po kilku minutach dotarł nad sklep muzyczny, omijając z dala kota, śmietnik i ogryzek. Bał się, czy przez to nie natrafi na jeszcze większy śmietnik i jeszcze tłustszego zdechłego kota. Tamte nie mogły być przecież jedyne w tym mieście. Na szczęście nic nie zwróciło już uwagi muchy. Może była najedzona? Może się zagapiła? Zamyśliła? Tego nie odgadłby nawet SI Allah.

Zak chwilę krążył nad dachami domów przy rue Felice Martin, wreszcie zlokalizował właściwy przewód wentylacyjny. Już był prawie na miejscu.

A jednak nie był. Nagle coś go zatrzymało. Świat podzielony na setki mikrooczu muchy zawirował, zakręcił się niczym w tanim kalejdoskopie kupionym na targu od marokańskiego przekupnia. Kolorowe szkiełka załśniły, lusterka przewróciły ziemię do góry nogami, a owadzie ciało oblepiły lepkie liny.

Chwilę szarpał się, próbując pomknąć w dalszy lot. Liny trzymały go mocno, co więcej, okręcały się wokół niego zdradziecko, trzymając coraz silniej i silniej. Zatrzepotał skrzydłami w bezsilnej złości, ale to tylko pogorszyło sprawę. Skrzydła przylgnęły do lin całą swą powierzchnią i kompletnie go unieruchomiły. Przestał się szarpać, opanowując oszołomienie, zebrał myśli i skupił wzrok na czarnym cieniu, który podchodził coraz bliżej i bliżej. Ściągnął obrazy z tysięcy owadzich mikrooczu w dwa stereoskopowe, do jakich przyzwyczał się przez całe swoje ludzkie życie.

Cień okazał się gigantycznym, porośniętym drobnymi, czarnymi włoskami odwłokiem niesionym na ośmiu długich nogach. Sztylety szczękoczułków lśniły kroplami jadu – śmiertelnego, lecz przezroczystego jak źródłana woda.

– Wyskakuj! Wpadłeś w pajęczynę! – usłyszał głos Pierre’a. – Muchy już nic nie uratuje, zostaw ją i wyskakuj.

Zak nie mógł się ruszyć. Choć to nie jego oplatały lepkie liny pajęczyny – to było zmartwienie muchy – ale jakaś niemoc spowijała też jego umysł.

– Zak! Spadaj z tej muchy! Już po niej, możesz wracać! Zak, słyszysz mnie?

Słyszał, tylko nie rozumiał znaczenia słów. Inaczej – rozumiał, ale nie potrafił dopasować do swojej sytuacji. Pająk w kilka chwil spłynął z krawędzi sieci w miejsce, gdzie szamotał się Zak-mucha. Jad na końcach szczękoczułek potwora. Odnóża pewnie rozstawione na nitkach pajęczyny. Pająk skoczył. Jedno cięcie szczękoczułek. Ostrza wbiły się w odwłok muchy. Jad. I ból.



Ból. Zak poczuł go z pewnym opóźnieniem. Rwący ogień jadu rozpałił jego żyły do białości. Ból. Zwarcie w synapsach, jakby walnęło go tysiąc woltów.

I ciemność.

@@21

Ja, Sejed Haddani, syn Dżalala, z łaską Allaha pomszczę muchę, moją siostrę w oblizywaniu zdechłych kotów, niech aniołowie w raju opiewają jej skrzydełka. Mordercę siostry mojej wyślę do piekła, aby Iblis wypalił mu smołą trzewia i powyrywał wszystkie odnóża razem ze szczękoczułkami z jadem.

Mucha. Asasyn. Zak. Malik. Kim jestem? Kimjestemkimjestem? Skąd ten ból? Ból? Ból? Jestem muchą. Ludzkim umysłem. Ale muchą. Ból. Krew rozpalona jak stopiony metal. Pomszczę moją siostrę muchę. Ja, Sejed Haddani. Ja, mucha-Zak. Ja, Yildirim Ozelkoy, kupiec z miasta Antalya.

Łowco Demonów, zabiję cię i powyrywam odnóża!

Ból.

\*\*\*

Ból – przeminął. Pozostał tylko chaos. Bałagan myśli.

Ledwie otrząsnął się z oblepiającego go wspomnienia pajęczych odnóży i zbliżających się szczękoczułków, gdy niespodziewanie pojawiła się ona. Claudia Ronson. Seledynowa ikona 3D-chatu błyskała jak sygnał alarmu w ciemności. Z zastrzeżonego numeru, jak zawsze. Choć na usta cisnęły mu się pytania niecierpiące zwłoki, przez chwilę walczył z pokusą, by ją zrzucić na pocztę głosową. Telefon mrugający w górnej części jego pola widzenia zdawał się wibrować coraz natarczywiej.

Kliknął ikonę niemal w ostatniej chwili.

– Bawisz się ze mną! – zmroziła go lodem swego głosu. Wspomnienie lepkiej pajęczyny ustąpiło miejsca innemu odczuciu: oto nagi, drżąc, stał przed obliczem Królowej Śniegu. – Czy też będziesz mi wmawiał, że właśnie nurkowałeś w sieci i nie mogłeś odebrać?

– Eee... Ehm... Nurkowałem.

– Następnym razem staraj się szybciej odbierać rozmowę. Pamiętaj, kto dla kogo pracuje. – Chłód w głosie Królowej Śniegu owionął ściany celi, pokrywając je szronem. Na suficie załśniły sople. Teraz wbije mi w serce odłamek lodu – przemknęła mu cicha myśl.

– Jasne, Królowo.

– Masz coś?

– Pytania. – Zak ledwo powstrzymał się od zacierania rąk. Przekleństwo! Ten nieszczęsny odruch muchy. Jeszcze tyle z niej pozostało.

– Co znowu? Udzieliłam ci już wszystkich wskazówek, jakich mogłam.

Już miał na końcu języka pytanie o społeczność polską w Sao Paulo, Lazaro z Montevideo i koleś z Santiago. O to wszystko, co powiedział mu Salim. Ale nie. To była gra. Na razie miał w niej za słabe karty. Na razie lepiej zręcznie wyciągnąć z niej parę innych szczegółów.

– Zbadałem sprawę Relikwii. Ogólnie rzecz jest bardzo zagmatwana...

Claudia przerwała mu.

– Gdyby w porannym serwisie informacyjnym CNN podawali, gdzie w tej chwili znajduje się prawdziwa Relikwia i jaka jest jej aktualna wartość rynkowa, nie musiałabym ciebie zatrudniać.

– ...więc rzecz jest zagmatwana – ciągnął Zak – ale udało mi się zebrać szereg informacji. Potwierdził się trop, nazwijmy go, moskiewsko-włoski i...

– No więc w czym problem?

– Potwierdził się bardzo dokładnie, jednak tych informacji nie podawano w CNN. Musiałem się w to naprawdę mocno wgryźć. Czasem w takie dane, za posiadanie których można by mnie oskarżyć o szpiegostwo. I skazać na jakże widowiskowe ukamienowanie.

Albo zamienić w warzywko – dodał w myśli, przypominając sobie nagle złowrogie oczy Łowcy Demonów.

– Cena ryzyka. To właśnie tym możesz wygrać swoją wolność.

– Nie o to chodzi. Zastanawiam się w takim razie, skąd ty to wiesz. Skąd wiedziałas, że prawdziwa Relikwia... Prawdziwa, a nie jedna z licznych podróbek, znajdowała się w rękach ukraińskiego artysty od wnętrzości, a później w rękach marytów.

Usta Claudii ściągnęły się w szybko skryty grymas niechęci. Podjęła dopiero po chwili milczenia:

– Posiadam część tych informacji, które pochodzą z... nazwijmy to tak: wcześniejszego etapu poszukiwań. Poszukiwań, które utknęły w martwym punkcie. Prowadzonych przez kogoś innego. Twoim zadaniem jest zweryfikowanie tego wszystkiego, odkrycie nowych tropów i doprowadzenie do szczęśliwego zakończenia sprawy. Świadomie podsunęłam ci tylko tropy, bez konkretów, bo sama nie wiem, ile w tym prawdy, ile szumu informacyjnego, czy raczej dezinformacyjnego. Więc teraz możesz mi powiedzieć, czego się dowiedziałas, a ja powiem ci, na ile nasza wiedza się pokrywa.

– Dobra, zaraz ci prześlę komplet danych. Wszystkie informacje, jakie zebrałem.

– Na razie krótki konspekt. Szczegółowe dane przejrzę sobie w wolnej chwili.

– Okej, zaraz wysyłam komplet danych plus konspekt... – znacząco zawiesił głos.

– Dziękuję. Pamiętaj, by dokumentować swoje poszukiwania. Ich wyniki zostaną przeze mnie wnikliwie przeanalizowane. Możesz być tego pewien. Żebyś, krótko mówiąc, nie wcisnął mi jakiejś ściemy. Pochodzenie Relikwii, jak i pochodzenie materiału, na podstawie którego zweryfikujesz jej autentyczność, ma być solidnie udokumentowane. Później to sobie wszystko porównamy z danymi, które ja posiadam.

– Tylko jest jeden problem, Królowo.

Ściągnęła usta w grymas, jakby przez chwilę wahała się, czy zareagować na złośliwość. Zamiast tego wycedziła:

– Co znowu?

– Numer. Zawsze się łączysz ze mną z zastrzeżonego numeru. Jak mam ci wysłać dane?

– A to pan haker nie jest na tyle cwany, żeby odkryć mój numer? To lojalność, czy raczej brak umiejętności?

Zak puścił to mimo uszu.

– Może być też e-mail, wszystko jedno. Bylebym miał gdzie wysłać dane. No i w ogóle, jak już znajdę relikwię, to co? Mam wołać strażników? „Przyprowadźcie tę panią Claudię, bo znalazłem dla niej rękę papieża. Leżała pod pryczą w mojej celi”?

– Twoje żarty są poniżej poziomu. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Ale rozumiem, że w takich okolicznościach, w jakich się znajdujesz, człowiek chamieje. Dobrze. Prześlę ci numer, na który możesz wysyłać wiadomości. Ale nie dzwonić. Dzwonić będę tylko ja do ciebie. To nie jest mój aktualny numer, tylko dodatkowa aktywacja do tego typu kontaktów. Wyłącznie wiadomości, najlepiej sam tekst z informacją, o co chodzi.

– W porządku. Może być. Aha! W szczegółowym raporcie zawarty jest też wykaz kosztów.

– Nie musiałeś aż tak zaprzętać sobie głowy.

– Z którego wynika, że warto by zasilić nieco konto.

– Dostaniesz tysiąc juanów – z góry zdecydowała Królowa Śniegu. – Tylko staraj się tym jakoś sensownie gospodarować, twój budżet nie jest nieograniczony. To tyle, na razie – dodała i nagle znikła z linii otulona mgłą wirtualnego szronu.

\*\*\*

– Co, dziabnęło cię trochę, co? – dowcipkował Smutny Pierre. – Przeżyłeś własną śmierć, co? Ha, ha! Pan mucha wpadł w pajęczynę! Na pogawędkę z panem pajakiem-mordercą!

Zak w milczeniu przyglądał się zapisowi wideo zarejestrowanemu podczas jego lotu. Ignorując błaznowanie Pierre'a, usiłował wylapać najistotniejsze szczegóły obrazu. Nie było to łatwe: kamera zainstalowana w oku owada miała fatalną rozdzielczość. Ujęcia o przyzwoitej jakości udało się uchwycić tylko w tych chwilach, gdy mucha siedziała. Podczas lotu wszystko rozmywało się w pstrokatą plamę.

– Z muchami tak to jest. W większości to zabawki na jeden raz, góra na dwa. Zawsze wpadną w pajęczynę, połknie je jaskółka albo spadnie na nie zwinięta w rulon gazeta sprzedawcy mięsa na miejskim targu. Chociaż ty jesteś jedynym, który przeżył swoją owadzią śmierć z włączoną kamerą. Czekaj, może uda się to wyczyścić. Nałożymy parę filtrów, usuniemy śnieżenie. Może zobaczysz swego pana pajaka jeszcze raz.

Smutny Pierre założył nogi na stół i obserwując z tej pozycji wyświetlacz, bębnił w panel sterujący. Obraz nieco nabrał ostrości.

– O, zaraz będzie, czekaj! Można by to wystawić do sieci w „Najbardziej wykręconym wideo roku”. Szkoda, że tego w holo nie skręciliśmy, raczej trudno będzie przekonwertować. Za niska rozdzielczość, trzeba by to praktycznie od nowa wymodelować w jakimś sofcie 3D. A to już zwracanie głowy. Taka ręczna dłubanina niewymownie mnie wkurza.

Na ekranie pojawiła się masywna sylwetka pajaka. Zak mimowolnie zacisnął pięści.

– Daj z tym spokój – mruknął. – To znaczy, chodzi mi o to, że tym się możesz pobawić później. Teraz, jeśli da radę, Pierre, zajmijmy się sprawą króla szachowego.

– Da radę, spoko. – Pajak zniknął z ekranu i ustąpił miejsca brodatej twarzy wielkiego muftiego. Pierre przewinął film o kilka minut i puścił od momentu, gdy pojawiły się na nim pierwsze zarysy rezydencji. Stuknął w panel kilka razy, po ekranie przemknął wykaz komend i po chwili obraz ustabilizował się i wyrównał.

– Voila! Jest już dobrze. Lepiej nie będzie.

Zak dostrzegł teraz kilka szczegółów, które pominął z muszej perspektywy. Dom miał kilkoro drzwi, przy czym główne wejście, bogato zdobione arabeskami, znajdowało się na placyku z korzennym sukkiem. Tutaj rezydował odźwierny, wpuszczając lub nie interesantów i gości. Od głównej części domu dzielił ich długi korytarz bez okien, przy którego końcu znajdowały się dwa dodatkowe wejścia. Zamknięte na glucho, solidne stalowe drzwi. Nie było nadziei na skorzystanie z tej drogi. Dopiero za nimi, idąc w głąb domostwa, dochodziło się do dziedzińca z fontanną i sadzawką. W całej rezydencji od strony ulicy nie było ani

jednego okna, nawet małego lufcika, tylko solidny, starannie pobielony mur. Czytelny znak: „Tu znajduje się domostwo niedostępne dla złodziei i włóczęgów. Idź, człowieku, w swoją stronę i nie myśl nawet o tym, by dostać się do środka. O ile nie zaprosi cię gospodarz”.

Smutny Pierre cofnął film do przelotu nad bazarem z przyprawami. Powoli przeglądał zarejestrowane sekwencje, niekiedy zwalniając odtwarzanie niemalże do pojedynczych klatek. Po chwili cicho cmoknął z nutką triumfu.

– Nie dam sobie palca uciąć, ale takie mam przecucie. Ten zawodnik z arafatką na głowie, który z takim zapalem zachwala swoje migdały, to nie jest kupiec, tylko megacwany agent ochrony.

– Nie kupiec?

– Nie. To, co mu wypycha marynarkę pod pachą, to, jak dla mnie, niezły kawałek lufy. Mogę się założyć, że z laserowym celownikiem. Teraz patrz, co ma w rękę... Czekaj... No tu. To małe pudeleczko.

– Jakiś telefon? Radio?

– Krótkofalówka.

– Nie ma wszczepu? To wygląda jak telefon mojego pradziadka.

– Nie ma się co śmiać. To najlepszy system ochrony. Zamiast cyfrowych zabawek, czujników, alarmów, wynalazków, zupełnie analogowa sieć ochroniarzy wyposażonych w tradycyjną broń i krótkofalówki. Od razu wiemy jedno – o tym, że się włamiesz do systemu, nie ma co marzyć. Swojego króla szachowego zdalnie raczej nie masz szans tu przyprowadzić. Nie wejdiesz też do środka domu, dezaktywując systemy alarmowe, bo ich tam po prostu nie ma. To znaczy, mogą być, ale nie stanowią podstawy systemu ochrony. Tylko wierni słudzy, którym też nie masz szans wywołać przez chip rozstroju żołądka. Bo żadnych wszczepów nie mają. Zobacz jeszcze to.

Pierre przewinął obraz. Żebrak siedzący nieopodal jednego z bocznych wejść do domu. Woziwoda toczący swój wózek tam i z powrotem – gdy się przyjrze uważnie – zupełnie bez sensu. Pucybut ze swym przenośnym warsztatem rezydujący na niewielkim skwerku na drugim krańcu muru rezydencji. Sprzątaczk muskający miotłą wymiecione już do czystości kamienie ulic.

– To są wszystko ochroniarze? Wyglądają jak ostatnie łajzy.

– I dlatego są dobrzy. Megacwani. Uwierz mi, znam ten typ zawodników. Miałem już parę starć z takimi, to wiem. Jestem na nich wyczulony. Zobaczmy, co dalej.

Kilku dodatkowych ochroniarzy, już bez zbędnego kamuflażu, snuło się po dziedzińcu rezydencji, Zak dostrzegł też ich sylwetki na krążankach. Ale nie tylko przez nich odpadała

możliwość wniknięcia do środka po dachach. Choć willa została ulokowana w gęsto zabudowanej części miasta, dachy od strony ulicy były zbyt oddalone. Natomiast od drugiej strony budynek sąsiedował z dwoma sporo mniejszymi. Trzeba by było pokonać trzy metry gołej ściany: gładkiej, bez żadnego punktu zaczepienia. Dodatkowo obydwie domy otoczone były również wysokim, białym murem, jak rezydencja muftiego. Żadnych widocznych na zewnątrz piorunochronów, rynien, tylko niewielkie daszki nad bocznymi wejściami.

– No to jakaś porażka. Ani mysz, ani nawet kot się nie prześliznie – podsumował Zak z rezygnacją.

– Eeee, nie jest tak źle. Mam pewien pomysł, tylko muszę go jeszcze przemyśleć. Przyjrzyjmy się jeszcze polu bitwy, a ja pomyślę, jak ją wygrać. – Pierre przewinął film do momentu, w którym mucha wleciała do wnętrza domu. Potem były gorączkowe poszukiwania, pokój za pokojem i na końcu gabinet muftiego.

– To jest do zrobienia – podjął po dłuższej chwili Pierre. – Ale muszę przygotować troszkę sprzętu. Zajmie mi to ze dwa dni, przez ten czas nic nie zdziałamy.

Dwa dni. W pierwszym odruchu Zak już otworzył usta, by zaprotestować. Jednak natychmiast pojawiła się myśl, która nie miała dotychczas wstępu. Odpoczynek! Za dużo tych jazd po chipach, ciągłych przeskoków do obcych ciał i osobowości. Trzeba znaleźć jakieś spokojne miejsce dla Malika i wycofać się na trochę.

– Nie ma problemu – stwierdził Pierre, gdy Zak przedstawił sprawę. – Zajmę czymś głupola. Najlepiej byłoby podłączyć go na dwa dni do VR i zamknąć w jakiejś symulacji. Ale nie wiem, czy to nie nadweręży jego mózgu. Jeszcze się przegrzeje ze szczęścia. Więc lepiej znajdę dla niego inne zajęcie. Możesz być o niego spokojny.

Pół godziny później Zak wyskoczył z Malika, zostawiając go zajętego oglądaniem jakichś starych filmów sensacyjnych z początku wieku. Klon z zapalem pogryzał suszone daktyle, z zainteresowaniem śledząc zwroty akcji. Istniała szansa, że tym razem nic nie nabroii.

\*\*\*

Więzienna prycza wydawała się tak niewygodna, że chwilami Zak rozważał, czy nie przenieść się na podłogę. Był to efekt zbyt długiego trwania w stanie zawieszenia. Podczas godzin spędzonych w sieci lub w umyśle Malika jego ciało spoczywało bezwładne niczym kłoda, nie reagując na zewnętrzne bodźce. Za długo! Zak przeklinał, że jak zwykle tak się dał ponieść fascynacji wirtualnymi podrózkami. Zmęczenie mogło go dopaść w najmniej spodziewanym momencie – w trakcie zmagania z defensorami SI Allaha lub gdy przemykał

Malikiem pod gradem kul. Klasyczny błąd. Tak kończyli amatorzy. Zbyt długo w sieci, zbyt długo poza własnym ciałem.

Mimo to spał względnie spokojnie. Względnie, bo najpierw nie mógł zasnąć, a później wciąż budził się zlany potem, tkwiąc w półśnie aż do następnego przebudzenia. Ale przynajmniej nie męczyły go koszmary. Żadnych flashbacków z pieprzonego arabskiego fantasy zafundowanego przez SI. Żadnych Malikowych paranoi. Żadnej muchy, żadnego pająka. No i nie pojawiła się Inga. Chciałby o niej śnić, ale w tej sytuacji... Ciemny całun zapomnienia był tym, czego potrzebował.

Po kilku godzinach obudził się, wciąż czując zmęczenie. Nie rejestrując smaku, pochłonął ryżową papkę przyniesioną przez androida i ponownie zapadł w sen. Tym razem na dobre. Bez przebudzeń i bez majaków.

Nie potrafił określić, ile czasu minęło do chwili, gdy się ocknął. Niebo za oknem celi miało kolor tej samej niebieskawej szarości. Ani dzień, ani noc. Ani północ, ani południe. Po prostu zawieszony w czasie, zawieszony w życiu. Z ociąganiem uruchomił procesor i sprawdził czas. Odkąd wyskoczył z Malika, minęło piętnaście godzin. Czyli musiał przegapić jedną wizytę androida z ryżową pulpą. Jednak nie czuł głodu.

Dopiero gdy dźwignął się do pozycji siedzącej, spostrzegł, że nie jest w celi sam. Na łóżku zajmowanym dotąd przez Eskimosa leżał niewysoki mężczyzna przykryty kocem. Chińczyk.

Zak wstał z pryczy i zrobił krok w stronę nowego współwięźnia. Ten nagle zerwał się, odrzucając koc. Zeskoczył na podłogę niczym kot i przyjął postawę obronną, zasłaniając twarz gardą. Lekko ugiął nogi i najwyraźniej oczekiwał ataku.

– Spokooooojnie... – powiedział po arabsku Zak, tłumiąc ziewanie. – Nie chciałem cię zjeść, chociaż ryżu to już naprawdę mam dość.

Nim zdążył się zastanowić, jak powiedzieć to w języku zrozumiałym dla skośnookiego, ten odparł niczym rodowity Saudyjczyk. Arabskim bez śladów obcego akcentu:

– Cofnij się! Czego chcesz?

– Na Allaha, człowieku, wyluzuj. Nic nie chcę. Chcę tylko zobaczyć, kto nowy pojawił się w mojej celi.

Skośnooki chwilę lustrował go wzrokiem, po czym opuścił ręce. Napięcie na jego twarzy nieco zelzało.

– Nazywam się Ron Lee. Pochodzę z Szanghaju. Siedzę tu za nielojalność wobec Niebiańskiej Korporacji Pao. Kara śmierci.

\*\*\*

Ron Lee był w porządku. Zak przegadał z nim kilka godzin, uzmysławiając sobie, jaką różnicą jest kontakt z żywym rozmówcą, a nie wirtualnym czy holograficznym. Chwilami zapominał, że siedzi w celi w więzieniu w Nowym Hongkongu. Podziwiał doskonały arabski Rona. Nic dziwnego – chińskie korporacje robiły interesy na całym świecie, nie bacząc na politykę i ostre zakręty historii świata. Zak mówił tylko dialektem europejskim, niemal slangiem, więc ich rozmowa musiała przypominać dialog mędrca z nosiwodą. Chińczyk gadał dużo i chętnie, tylko na jednym się zaciął.

– Byłem nielojalny wobec Niebiańskiej Korporacji Pao. Zawiodłem – powtarzał pytany, za co siedzi.

To już wiem, ale co to znaczy? – myślał Zak. Naciskał Chińczyka przy różnych okazjach.

Ale Ron nie chciał zdradzić swej tajemnicy.

– Zawiodłem, nie rozumiesz tego? To wystarczy.

Zak dalej nie rozumiał. Kara śmierci za nielojalność? To nie ma sensu. Ale już nie powracał do tego tematu. Na chwilę naszła go myśl, czy nowy współwięzień nie jest wtyczką śledczych. Jednak szybko wyzbył się tych podejrzeń. Lee mógł zresztą pomyśleć to samo o nim. I nie ciągnął go za język, z góry akceptując fakt, że każdy ma swoje tajemnice. Jeden nie przyznał się do posiadania aktywacji netchipa, drugi nie wyjaśnił, co oznaczała jego „nielojalność”. Zwłaszcza Ron zaprezentował w ich rozmowach prawdziwie chińską wyrozumiałość. Jeżeli nawet czegoś się domyślał, to i tak nie poruszał tego tematu.

Następnego dnia rano (co wykazał tylko zegar w chipie, bo niebo za oknem niezmiennie przytłaczało swą szarością) Zak odbył krótką rozmowę z Salimem, po czym postanowił zajrzeć do Malika. Przykrył się kocem i udając, że śpi, przeskoczył.

\*\*\*

Biegnę. Biegnępocogdzie? Ktoś mnie goni? Przed kimś uciekam? Ile sił w nogach, ile powietrza w płucach. Nie będę się oglądał, bo to strata cennych sekund. Wtedy dystans zmniejszy się. Uciekam? Tak. Ale przed kim? Dlaczego? Oczy łzawią. Serce tłucze jak młot pneumatyczny. Płuca spazmatycznie łapią hausty powietrza. Biegnę. Uciekam. Tylko przed kim? I po co? Mijane twarze migają z wyrazem zdziwienia. Nagany. Oburzenia. Złości. Lub tylko obojętności. W uszach granie wiatru. Obok mnie też ktoś ucieka. Nie wiem teraz kto. Choć znam. Trzeba biec dalej. Więc biegnę.



\*\*\*

Nim Zak w pełni opanował ciało Malika, udało im się ująć pogoni. Choć na chwilę. Z oddali dochodziły podniesione arabskie głosy. Przekrzykiwały się nawzajem. Zaterkotały dwie serie z karabinu.

– Pierre, coś ty, kurwa, namieszał?

– Człowieku, to nie ja. To milicja rewolucyjna. Zrobili wjazd do cyberderwiszów.

Ciężko dysząc, stali w jakimś zaułku. Obok przepelnionego kubła piętrzyła się sarta śmieci. Smutny Pierre jedną ręką nerwowo przetrząsał kieszenie, drugą opierał na klatce piersiowej jakby w obawie, że płuca wyskoczą mu spod żeber.

– Dobra, wszystko mam. Uf, ja pierdolę! Ale jazda.

Wyjrzał zza rogu i przez kilkanaście sekund lustrował okolicę. Oględziny musiały wypaść pozytywnie, bo zarządził:

– Dobra, Zak. Biegnij teraz za mną i za wszelką cenę pilnuj, żeby się nie zgubić. Nic nie mów, później ci wyjaśnię. Spadamy stąd!

Wyskoczył zza pojemnika na śmieci, skręcił za róg i pognął wzdłuż ulicy. Zak za nim. Po lewej stronie mieli rząd zapuszczonych kamienic. Na przeciwnej pierzei znajdował się niski płotek, a za nim niewielki park. Pierre przesadził płotek jednym susem i popędził między drzewa.

Zak na Maliku za nim.

Przecięli park, wybiegli przez jego bramę z drugiej strony i puścili się wzdłuż płotka w kierunku stacji metra. Jeszcze sto metrów. Pięćdziesiąt. Czter...

Nagle drogę przecięła im rozklekotana ciężarówka z odkrytą budą wypełniona pokrzykującymi postaciami w białych strojach. Spod chust przysłaniających ich twarze wyzierały pełne wściekłości oczy. Pojazd wytoczył się z jednej z przecznic i zmierzał prosto w ich stronę.

– Merde! – zaklął Pierre. – Milicja! Spadamy! Zagrzechotały kule. Jeden z zamaskowanych ścisnął w rękę kałasznikowa i gdyby nie wyboje, mógłby na zawsze zakończyć tu ich wycieczkę. Ciężarówka podskoczyła, pociski poleciały im nad głowami. Zak przysiągłby, że czuł ich muśnięcia na włosach Malika.

Uciekli z powrotem do parku, tym razem kierując się w stronę niewielkiego targu warzywnego tuż za południową bramą. To było dobre posunięcie. Zanim rozklekotana ciężarówka dotarła w to miejsce, zdołali wmieszać się w tłum. Pierre zatrzymał taksówkę i kazał jechać na Felice Martin.

– Cholerni fanatycy! Rozumiesz? Milicja... Rewolucyjna – wyrzucał z siebie strzępki zdań, gdy pojazd oddalał się z nieprzyjemnej okolicy. – To maksymalni pojebańcy, świętsi nawet od samego al-Asira. Chomeiniego. Od wszystkich szejków i ajatollahów.

Przerwał, widząc na sąsiednim pasie ciężarówkę. Podobną, ale pustą.

– Zabrałem twojego głupola na mały dil z cyberderwiszami. Żeby się trochę rozruszał, bo od tego siedzenia przed holo zaczynał trochę wariować. Dii miałem nagrany już wcześniej, taka tam standardowa dostawa paru sprzętowych dopalaczy i najnowszego softu. Cyberderwisze, którzy wierzą, że SI Allah jest prawdziwym objawieniem Boga, chcą z nim obcować, łącząc się z siecią. By kontakt był bardziej dogłębny, sięgają chętnie po wszelkie nowinki technologiczne, które dostarczam im ja.

Taksówka wypłynęła na obwodnicę. Zakowi udało się wyrównać oddech Malika i uspokoić łopoczące serce.

– Władze akceptują cyberderwiszy – ciągnął Pierre – choć nie posuwają się w oficjalnych interpretacjach aż tak daleko. Generalnie mogą spokojnie odprawiać swoje sieciowe modły. Chyba że pojawi się milicja rewolucyjna. To w sumie legalna organizacja, która niezbyt legalnymi metodami dba o czystość religii. Mają zupełnie odmienne zdanie dotyczące nurkowania w sieci. Używanie wszczepów i procesorów podczas modlitwy i kontaktów z Allahem uważają za bluźnierstwo. Natomiast SI Allah to dla nich sprawka szatana, choć nawet ulemowie oficjalnie zaakceptowali fakt jego istnienia jako kolejny przejaw boskiej obecności. Milicja urządza polowania na cyberderwiszy, tak samo jak prześladowuje arabskie kobiety, ich zdaniem, zbyt frywolnie ubrane. Czyli bez czadoru na twarzy. Zupełni popierdoleńcy, ale władze nie kwapią się, żeby z nimi zrobić porządek. Chociaż to, co robią, nie za bardzo zgadza się z tym, co mówi Koran i duchowni. Nic ci się nie stało? To znaczy głupolowi?

– Nie, poza kilkoma obtarciami – odparł Zak, badając stłuczenie na łokciu. Niewielki siniak nie wyglądał na poważny uraz. – Ale powiem ci, że to było głupie. Kurewsko głupie! Niechby już sobie chłopak siedział przed tym holo i zajadał daktyle. Miałbym kłopoty, jakby się zniszczył.

– Excusez-moi. Nie przewidziałem aż takiej awantury. To miał być mały spacer do stałych klientów. Merde! Nie tak miało to wyglądać. Ale by cię pocieszyć, powiem, że mam dla ciebie nową zabawkę. Nie powinno być problemów z przechwyceniem króla szachowego.

Taksówka dowiozła ich na rue Felice Martin, pod sam antykwariat. Pierre szybko zapłacił, nie pozwalając automatycznemu kierowcy zbyt długo się rozgadać. Gdy wychodzili z pojazdu, wciąż jeszcze rozbrzmiewały podziękowania za regularne korzystanie z usług

korporacji:

– Monsieur, to już pana dziesiąty przejazd w tym miesiącu. Zgodnie z zasadami promocji „Wspólne Podróże” przy kolejnym przejeździe ma pan prawo do zniżki w wysokości...

Uciekli przed gadatliwą taksówką do wnętrza „Metalhedz”, a stamtąd podziemnym szybem do pracowni Pierre’a. Pod leżącą na podłodze piramidą wnętrzości zdezelowanych robotów błysnęły szablaste odnóża. Mrugnęła czerwona dioda i mechaniczny pająk, energicznie przebierając nóżkami, z cichym szumem siłowników ruszył w ich kierunku. Dotarcie do butów Malika zajęło mu ledwie dwie sekundy. Mały robot uniósł przednią parę odnóży niczym dwa małe kindżały i znieruchomiał.

– Nastawiłem go na fale mózgowie twojego klona – rzucił od niechcenia Pierre, chwytając pająka za grzbiet. Uniósł go na wysokość oczu. – Gdybym mu odpalił program „zniszczenie”, możesz być pewien, że wspiałby ci się do twarzy i co najmniej wykłuł oczy. Teraz realizuje program „namierzanie”. Oczywiście zaraz mu to wyzeruję. Jest zrobiony, tylko trzeba go trochę wyciszyć. Ale i bez tego możesz go dosiąść. W środku masz nową sflashowaną motorolę z podkreśnionym przeze mnie firmwarem. Jeździ się na tym jak w grze VR, sto razy łatwiej niż na głupolu. Czysta zabawa.

Zak w milczeniu przyglądał się robotowi. Pająk był dosyć duży – sam odwłok ledwo mieścił się w dłoni. Poza kindżałowatą przednią parą odnóży, pozostałe nóżki zakończone były układem drobnych igiełek zapewniających lepszą przyczepność.

– Może się wspinać po pionowych ścianach, ale na sufit nie radzę wchodzić. Jest jednak trochę za ciężki, chociaż ma korpus z lekkiego stopu magnezu. W każdym razie teraz możesz poczuć, jak to jest być z drugiej strony. Jako pająk!

– Ech, no nie sądzę, żebym miał ochotę na łapanie much.

– Twoją muchą, bardzo tłustą i soczystą, będzie król szachowy. – Pierre postawił pająka na stole i sięgnął po płaskiego pilota wielkości paczki zapalek. Robot poruszył odnóżami, chwilę lustrował otoczenie, po czym pomknął po blacie. Wbiegł między zalegające tam szpargały i po chwili wrócił do punktu wyjścia, ściskając w jednej ze środkowych par odnóży znaną tam kartę pamięci starego typu.

Pierre jednym ruchem pilota wyłączył pająka. Karta z cichym stuknięciem spadła na stół pomiędzy odnóża.

– I tak to mniej więcej działa.

\*\*\*

Pierre nie ściemniał. Pająk dał się prowadzić jak zabawka: każda płaszczyzna – pozioma, po skosie i pionowa – była zawsze „do przodu”. Z początku wprawiało to w lekką dezorientację, bo po wdrapaniu się na ścianę świat zmieniał swą perspektywę, przekręcając się o dziewięćdziesiąt stopni wraz z nowym punktem widzenia. Tak jakby nie istniały prawa ciężenia. Zupełnie inaczej niż u ludzi, ale zgodnie z logiką znaną z gier, które Zak jako dzieciak godzinami męczył w VR. Zastanawiało go tylko, jaki rodzaj płaszczyzny stanowi kres przyczepności odnóży. Szkło czy metal raczej były nie do zdobycia. Ale wszystkie podłoża mineralne – otynkowana ściana, goły beton, nawet kamień – żaden problem. Może oprócz polerowanego marmuru. Ale w rezydencji muftiego gładkie marmury okalały jedynie fontannę z egzotycznymi rybami – tak przynajmniej wynikało z rekonesansu muchy. Poza tym porowaty mur niezapowiadający większych kłopotów.

Zak wyskoczył z chipa pająka i nie niepokojąc już uspiętego niczym niemowlę Malika, połączył się z Pierrem, korzystając z bezpośredniego połączenia holo. Zważywszy na liczną ochronę w osobach żebraków, ulicznych handlarzy i kogo tam jeszcze, uznali, że jedyną możliwą porą na dokonanie akcji była noc. Między isza a subh, modlitwą wieczorną a tą o świcie. Rezydencja wybudowana na staroarabską modłę miała jedną zaletę: w oknach nie było szyb, najwyżej drewniane kratki, ażurowe okiennice z naciągniętą siatką moskitiery. Konstrukcje z nietrwałych materiałów zamykane na haczyk. Coś niewyobrażalnego w Nowym Hongkongu – Zak aż się wzdrygnął na taką myśl – ale panujące w Paryżu upały pozwalały przypuszczać, że służba muftiego nie będzie odcinać wnętrza domostwa od świeżego powietrza.

Jednak osobisty gabinet muftiego, w którym toczyły się szachowe pojedynki, był solidnie zabezpieczony mocarnymi okiennicami z twardego drewna. Zak spędził ponad godzinę, wycinając szablowatymi odnóżami okolice zamka. Po wieczornej modlitwie isza ochroniarze nie wykazywali się jednak zbytnią gorliwością. Ściszonymi głosami, w których pobrzmiwała jednak z trudem tłumiona ekscytacja, komentowali ostatnią kolejkę piłkarskich rozgrywek. Zak-pająk wykorzystał ich niefrasobliwość.

Twarde okiennice długo nie pozwalały rozłupać się na drzazgi. W końcu hebanowe kurewstwo puściło. Wydłubał od spodu tytanowe wstawki i droga do sezamu stanęła otworem.

Zak pomknął w stronę szachownicy. W dwie minuty ustalił, że chip szachowy zawierający skan umysłu Ralfa van Douwe znajdował się w czarnym królu.

Porwał figurkę chwytnymi odnóżami, zablokował ją przy odwłoku i tą samą drogą, jaką przyszedł, wycofał się na podwórko. Stamtąd – na zewnętrzny mur okalający rezydencję

i na ulicę, gdzie pająka przechwycił Pierre. Zak wylogował się z motoroli robota, czekając, aż ładunek dotrze automatyczną taksówką na rue Felice Martin.

Jeszcze tej samej nocy podłączyli chipa szachowego do systemu Pierrea. Stworzyli mu idealną przestrzeń wirtualną – taką, w której mógł się otworzyć jak skorupka małża rzuconego na rozgrzaną blachę. Zak nie czuł zmęczenia, tylko ekscytację. Cel był już w zasięgu ręki.

@@22

Archanioł Gabriel wyłonił się z jądra jasności, która ogarnęła komnatę. Rozlewające się po ścianach jaskrawe światło przypominało barwę rozgrzany do białości metal, choć jednocześnie bił od niego chłód świeżego śniegu. Mistrz Zakonu Rycerskiego Maryi Królowej, Ralf van Douwe, odwrócił głowę, osłaniając ją połą płaszcza. Mocno zacisnął powieki. Mimo to światło przebijało je ostrym sztylcikiem i dźgało oczy. Przez kilka chwil nie widział nic, tylko białą plamę wypełnioną wirującymi kolorowymi płatkami.

Wreszcie światło przygasło. Tam gdzie chwilę wcześniej lśnił rozgrzany metal, teraz rysowała się wyraźna sylwetka archanioła.

– Widząc to światło na własne oczy, zastanawiam się, jaki kolor ma blask, który otacza Pana naszego – powiedział zakonnik. – Musi być jeszcze jaśniejszy, jeszcze bielszy, a zwykły człowiek pada trupem na widok tak czystej dobroci. Dobra w czystej postaci jaśniejącego bardziej niżli lotniczy szperacz nad mrowiskiem.

Archanioł ściągnął brwi – ze zdziwienia? gniewu? irytacji? – jednak nic nie powiedział. W jego ciemnych oczach odbijał się cały bezmiar wszechświata. Biała twarz Bożego posłańca była okolona burzą srebrnych, ale nie siwych, długich włosów i bujną brodą tej samej barwy. Nie wyrażała żadnego uczucia.

– Ciekawą teorię wypowiedział jeden z braci – znów odezwał się van Douwe. – Po dwunastu latach prac nad księgami doszedł do wniosku, że blask, który otacza Najwyższego, to biel o odcieniu, którego nie ma na Ziemi i którego żadna ziemaska istota nie widziała i nie zobaczy. Biel ta to biel niebiańska, kolor czystego dobra.

Zaka, który sterował postacią archanioła, opanowała w tym momencie absurdałna myśl. Co anioł ma między nogami? Ledwo powstrzymał się, aby tego zaraz nie sprawdzić. Z wysiłkiem próbował skupić się na tym, co mówi mistrz.

– Natomiast ja zawsze uważałem, że światło Pana naszego...

– Ralfie van Douwe, posłuchaj mnie! – Głos archanioła zabrzmiał niczym

dwudziestotonowy dzwon. – Posłuchaj mnie, bo są sprawy niecierpiące zwłoki. Sprawy, dla których przysłał mnie... Pan nasz.

Mistrz Ralf van Douwe przerwał monolog nieco skonsternowany i spojrział na Gabriela z wyrazem niemej zgody. Próbował dojrzeć jego oczy, ale blask kazał mu spuścić wzrok. Tylko wirujące płatki i niewyraźny zarys postaci.

Archanioł Gabriel kontynuował:

– Ralfie van Douwe, miejsce, w którym się teraz znajdujemy, ta komnata, a nawet świat, który dojrzysz za jej oknami, nie istnieje. Nie istnieje w świecie fizycznym, wszystko to zostało stworzone przeze mnie w twoim umyśle.

– Nie istnieje? To gdzie ja naprawdę jestem?

– W świecie swojej wiary. Tylko ona trzyma cię przy życiu. Zobacz, to miejsce ma okno. Możesz wyrzucić i zobaczyć świat. Ale nie ma drzwi. Nie możesz stąd wyjść.

– Tak... Tak, rozumiem. Ale w jakim celu to wszystko, Gabrielu?

– Po to, żebyś mógł mi wszystko powiedzieć.

– Ale co powiedzieć? – wystękał mistrz. Ogarnęły go nagle zawroty głowy. – Nie czuję się ostatnio zbyt dobrze. Nie wiem, co się ze mną dzieje...

Ostatnie słowa wyskrzeczwał, walcząc z suchością w gardle.

– Wszystko. Musisz wszystko wyznać. Powiedzieć, jak było.

Ralf van Douwe zaczął trześć skronie z grymasem bólu na twarzy.

– Wyznaj prawdę i ukorz się przed Panem.

– Pamiętam... szachy. Grałem w szachy. Mufti... Mufti ciągle przestawiał figury. Nigdy nie mogłem zrobić mu mata. Bo nagle konik przechodził z c5 na c6 i już nic nie było jak wcześniej. Ale nie mogłem nic zrobić. On mnie...

Archanioł Gabriel przerwał mu:

– Nie! Wyznaj, co było wcześniej. Na samym początku. Kiedy upadł twój Zakon. Kiedy rozbiła go tajna policja Emiratu Lacjum.

Mistrz skulił się jak pod ciosem w żołądek. Mamrocząc niezrozumiałe słowa, podniósł wzrok ku twarzy Gabriela. Tym razem oczy miał przymrużone, po chwili jeszcze przysłonił je dłonią.

– Śmierć. Wszystkich skazano na śmierć. Wszyscy bracia zakonni... Ukamienowani. To straszna śmierć. To męczennicy za wiarę.

– Nie wszystkich stracono. Jacob Vicher...

– Brat Jacob? Też był wśród skazanych.

– Miał być stracony jako ostatni, ale darowano mu życie. W zamian za współpracę.

Ralf van Douwe szarpnął się, jakby otrzymał kolejny cios. Chwycił mocno połę płaszcza i ścisnął ją, aż zbieleły mu knykcie.

– Co? Brat Jacob zdrajcą? Nie może być! Nie wierzę!

– A jednak. Chociaż to, co powiedział, nie miało żadnego wpływu na wyrok. W zasadzie nie zdradził was, tylko ujawnił pewne szczegóły waszej działalności.

– Biedny brat Jacob. Będę się modlił za jego duszę.

– Nie zdradził też tego, gdzie znajduje się Relikwia. Nie zdradził tego, gdzie i przez kogo została ukryta...

Mistrz zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu.

– Nie zdradził, bo nikt nie zna tajemnicy Relikwii. Tylko ja! Brat Jacob nie wiedział, tylko jeden z braci... Ale został stracony przez emira.

Archanioł rozłożył skrzydła i zbliżył się o krok w stronę zakonnika. Otaczająca go światłość wzmogła się, poruszając płocze cienie na ścianach komnaty. Ralf van Douwe skrył twarz pod połę płaszcza.

– Zniszczyłeś ją! – zagrzemiał basowo archanioł jak nadciągająca burza.

– Nie! Na rany Chrystusa! Nawet przypiekany ogniem piekielnym nie popełniłbym takiego świętokradztwa!

– Ale nie dopilnowałeś, by znalazła się w bezpiecznym miejscu!

Mistrz wychynął spod płaszcza, wyprostował się i patrząc prosto w twarz Gabriela, wykrzyknął:

– Dopilnowałem! Relikwia jest bezpieczna – powiedziawszy to, opadł, trąc z bólu oczy.

– Powiadasz, że dopilnowałeś, Ralfie van Douwe? Jednak Relikwia została zniszczona. I ty, właśnie ty, jesteś za to odpowiedzialny!

Zakonnik padł na kolana.

– Zniszczona? Nie, to niemożliwe. Przecież ja...

Długą chwilę sapał z wysiłkiem, tocząc wyschniętym językiem po podniebieniu. Archanioł zrozumiał, spojrzał na stolik pod ścianą, materializując na nim karafkę pełną źródlanej wody i rżniętą w kryształ szklanice. Ralf van Douwe wydał z siebie cichy skrzek podziękowania. Dopełził do stolika, nalał wody i z namaszczeniem sączył chłodny płyn. Gdy zaspokoił pragnienie, już rześkim głosem przemówił:

– Przecież zrobiłem wszystko, co w mej mocy, by ocalić Relikwię. W 2070, gdy tajna policja emira Rzymu zaczęła wobec nas swe szykany, zrozumiałem, czym to wszystko może grozić. Wokół sprawy zrobiła się bardzo nieprzyjazna atmosfera, emir Rzymu cofnął nam

przywileje. Postanowiłem na wszelki wypadek zabezpieczyć co cenniejsze dobra Zakonu. I Relikwię.

Przerwał na chwilę, by pociągnąć jeszcze jeden łyk.

– Spodziewając się, że nasze konta oraz dobra materialne mogą zostać zajęte, postanowiłem wszystko przenieść. Gdzieś poza zasięg działania emira, jego szpiegów i popleczników. Na dzień przed tym, jak nas naszli i uwięzili, przelałem wszystkie nasze pieniądze, które trzymaliśmy na kontach w tutejszych bankach, na nasze główne konto w filii Banku Świętego Piotra w Enklawie. Wysłałem też jednego z braci, Eligiusza, z misją przewiezienia Relikwii oraz naszych tajnych dokumentów do schowka w Banku. To było bardzo niebezpieczne posunięcie, obarczone sporym ryzykiem, ale... Widać Pan nasz tak chciał – taki mi podsunął pomysł i czuwał nad bratem Eligiuszem, by bezpiecznie dostarczył przesyłkę. Nasze dokumenty zapisaliśmy na dyskach optycznych z etykietami koncertowych nagrań tunezyjskich pieśniarzy. By bezpiecznie ukryć Relikwię, brat Eligiusz poświęcił swoją rękę. Pozwolił na jej czasową amputację – miała zamrożona w ciekłym azocie czekać na wypełnienie misji, a na jej miejscu umieściliśmy Relikwię, wyluskując ją uprzednio ze zdobnej oprawy. Wszystko owinięte bandażem wyglądało bardzo przekonująco, jednocześnie nie wzbudzało podejrzeń, które wzbudzić mógł na przykład gruby pancerz gipsu. Misja powiodła się. Brat Eligiusz dostarczył przesyłkę do Banku Świętego Piotra w Enklawie. Umieścił ją w skrytce zabezpieczonej kluczem elektronicznym.

– Wtedy Relikwia spoczęła w Banku w Enklawie Warsaw City.

– Tak. Tam powinna być bezpieczna. Przecież...

– A klucz? Czy pomyślałeś o kluczu do skrytki?

Mistrz złapał się za głowę. Jego twarz stężała.

– Klucz? Teraz rozumiem! Wpadł w ręce emira! Tak, to moja wina. Moja wina!

Anioł milczał, świdrującym wzrokiem wpatrując się w twarz Ralfa van Douwe. Czekał, aż starzec w pełni się otworzy.

– Brat Eligiusz zadzwonił do mnie, meldując o wykonaniu zadania – ciągnął dalej mistrz. – Później jednak popełniliśmy błąd. Zbyt wierzyliśmy w łaskawość emira. Ja go uważałem za człowieka dosyć umiarkowanego w poglądach, trochę próżnego, z nadmierną słabością do uciech życiowych. Jednak otaczający go doradcy... Ta cała zbieranina podejrzanej proveniencji fanatyków islamskich, którzy tylko szukali okazji, by nam zaszkodzić. Potrafili znaleźć dowolną interpretację Koranu, by mieć pretekst do restrykcji wobec nas. Ale nigdy nie sądziłem, że to posunie się tak daleko. W każdym razie powinienem był wysłać brata Eligiusza w bezpieczne miejsce. Niechby nawet został w Enklawie. Jednak



ja poleciłem mu wrócić do Rzymu i przekazać mi klucz do skrytki. Zresztą trudno było mu odmówić. Brat nalegał, by z powrotem przyszyć mu amputowaną dłoń. Jestem pewien, że gdyby było trzeba, poświęciłby ją. Jednak zdawało się, że nie jest to konieczne. Że uszanują nietykalność Zakonu. Ale stało się inaczej. Gdy brat Eligiusz dotarł do Rzymu, my już tkwiliśmy w kazamatach. A on został pochwycony na lotnisku, gdy próbował następnym samolotem zawrócić do Warsaw City. Nie rozmawiałem z nim osobiście, relację znam z trzeciej ręki. Później widziałem go wśród braci, gdy prowadzili nas na miejsce kaźni. Był w bardzo złym stanie. Pewnie otworzyły mu się niewygojone rany po amputacji. W trudnych więziennych warunkach wdało się zakażenie...

Mistrz zamilkł. Ramiona bezwładnie zwisające, zgarbione plecy i nieprzytomny wzrok nad wyraz dobrze zdradzały męczące go poczucie przegranej.

– Nie mogę sobie tego wybaczyć – wyszeptał po dłuższej chwili. – Relikwia zniszczona! To moja wina. I brat Eligiusz! Może straciłby rękę, ale ocalił życie. Zabezpieczyłby klucz od skrytki, sprawował pieczę nad Relikwią i dokumentami Zakonu. Trzeba mi było...

Archanioł odwrócił się do okna i przemówił:

– Nie dręcz się, mistrzu. Zrobiłeś, co mogłeś. Pan ci to wynagrodzi. A pewnych rzeczy nie mogłeś dopilnować. Bóg wszak rozumie, że jesteś tylko człowiekiem.

Ralf van Douwe z nadzieją podniósł głowę. Mrużąc oczy, wpatrywał się w Gabriela, wreszcie niemal niesłyszalnym szeptem powiedział:

– Dzięki ci, Panie... Dzięki...

Powtarzając to, patrzył, jak postać archanioła ciemnieje i rozmywa się niczym dym kadzidła. Powtarzał to jeszcze, gdy już został sam, w myślach przeżywając wszystko na nowo.

\*\*\*

Zak wylogował się z systemu i zaczął przeglądać zgromadzone w pamięci netchipa protokoły przesłuchań braci zakonnych. Był tam również zapis wideo z bratem Eligiuszem. Wcześniej to zignorował, wyszukiwarka nie wykazała najmniejszej wzmianki o Relikwii ani o niczym, co wydawało się istotne.

Protokół przesłuchania świadka nr 16 w sprawie 1428/1493. Przesłuchiwał: agent specjalny Ibrahim al-Kamani. Protokołował: agent Giuliano Martelli.

Środek: skopolamina, przypalanie pięt.

Świadek nr 16: Eligiusz Miklas, rycerz Zakonu Maryi Królowej.

Przejrzał pospiesznie kilka akapitów: ogólne pytania o przedmiot działalności Zakonu, o mistrza Ralfa, o innych braci... Rutynowa sprawa. Wreszcie pod sam koniec trafił na coś interesującego:

– Po co byłeś w Enklawie Warsaw City?

– Załatwiałem finansowe sprawy Zakonu. Jest tam filia Banku Świętego Piotra. Często latałem tam w sprawach formalnych. No i stamtąd jest jedyne połączenie lotnicze z Wolnym Miastem Częstochowa. To miejsce kultu chrześcijan... Tam podróżowałem w sprawach duchowych.

– Z kim się tam spotykałeś? W Częstochowie.

– Jest tam kilku życzliwych nam braci... Duchowa atmosfera tego miasta sprawia, że...

– Nazwiska! Kogo tam spotykałeś? Z kim się widywałeś? Co to za ludzie?

Zak pominął spory fragment – to w niczym nie dotyczyło Relikwii. Z tego co sobie przypominał, katolickie kręgi nawoływały do sprowadzenia Ręki Czyniącej Znak Krzyża do Wolnego Miasta Częstochowa. Jednak było to jeszcze przed Dżihadem, a brat Eligiusz w zeznaniach nie mówił o tym ani słowa. Znalazł jeszcze jeden ciekawy fragment:

– Jakie sprawy załatwiałeś w Enklawie Warsaw City?

– Mówiłem już. Formalności finansowe i ubezpieczeniowe. Spotykałem się z agentami ubezpieczeniowymi. Prowadzimy też działalność charytatywną. Spotykałem się z przedstawicielami współpracujących z nami katolickich organizacji charytatywnych.

– Ile pieniędzy wywoziłeś do Warsaw City podczas ostatniego lotu?

– Nie wywoziłem! Nie miałem w ogóle dostępu do finansów, tym zajmował się mistrz Ralf. Posiadałem pewne pełnomocnictwa, ale to były sprawy innego kalibru. Wszystkie operacje finansowe przeprowadzał sam mistrz albo z Banku Świętego Piotra albo z tutejszego Al-Alzawari...

– Dlaczego korzystaliście z obcych banków, a nie Al-Alzawari, skoro emir obdarzył was takim zaufaniem?

Dalej rozmowa zesłała już na zupełnie inne tory – agenci nie powrócili do ostatniej podróży do Enklawy Warsaw City. O Relikwii i kluczu do skrytki – nic. Brat Eligiusz musiał klucz zawczasu ukryć albo zgubić. Zresztą wszystko wskazywało na to, że dla tajnej policji emira. Relikwia nie miała najmniejszej wartości. Nie interesowała ich... albo Zakowi nie udało się zdobyć wszystkich dokumentów.

Nagranie przesłuchania brata Eligiusza kończyło się podpisaniem protokołu przez niego i przez agentów. Czyli wyglądało na to, że plik był kompletny. Nic też nie wskazywało, aby wycięto coś ze środka. Jednak Zak nie miał gwarancji, że kiedy indziej nie odbyło się inne przesłuchanie. Może tam padały pytania o klucz i Relikwię? Może, ale to już było nie do sprawdzenia. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że tajnej policji jednak ta sprawa nie zainteresowała i Relikwia wciąż bezpiecznie spoczywała w skrytce Banku Świętego Piotra w Enklawie Warsaw City.

Przeszukał jeszcze pozostałe pliki, ale w żadnym nie znalazł wzmianki o kluczu.

Podążanie tym tropem prowadziło donikąd. Relikwię musiał zdobyć bez klucza, sposobem, który najlepiej opanował – czekał go kolejny włam na serwer banku. Był daleki od entuzjazmu – mimo zawirowań historii Enklawa zawdzięczała swoje istnienie solidnym usługom finansowym i bankowym. Solidnym – a określenie to do czegoś zobowiązywało fachowców od zabezpieczeń.

Wyłączył netchip i dając się ponieść coraz bardziej ciężącemu znużeniu, zapadł w męczący trzygodzinny sen. Obudził się z poczuciem jeszcze większego znużenia, jakby zamiast odpoczywać odbył kolejną podróż w głąb wirtualnej osobowości.

Wszedł na serwer Salima i przejrzał dostępne tam archiwum softu. Skopiował kilka plików z wizualami i przełączył chip na tryb dive. Był gotów do zdobycia Banku Świętego Piotra.

\*\*\*

Nurkowanie w sieci, która pozostawała poza zasięgiem SI Allaha i jego wirtualnego Damaszku, wymagało zrozumiałej dla umysłu człowieka wizualizacji. Podłączenie się przez netchip bezpośrednio, bez wizuali, to najkrótsza droga do wydrenowania. Wtedy mózg był zalewany zlepkami abstrakcyjnych, niekontrolowanych obrazów wyciąganych z najgłębszych pokładów świadomości. Niektórzy całkiem trafnie porównywali to do narkotycznych wizji po PCP, świadomie wprawiając się w taki stan. Nieuporządkowane, chaotyczne rozbłyski rażące neonowymi kolorami – coś jak kalejdoskop barw, który pojawia się przy zamkniętych oczach w chwilę po zbyt długim spoglądaniu w środek tarczy słońca. Bioelektryczna stymulacja

neuronów zamiast chemii – taki wybór miał sens, dopóki pozostawał zabawą. Ale podczas hakowania serwerów... Aktywność sieciowych defensorów i firewalli dodawała do tego landrynkowego chaosu barw nieprzyjemne halucynacje, jakieś strzępy obrazów wyciągniętych z przypadkowych wspomnień. Twarze zapamiętane z dzieciństwa przeplatające się z sekundowymi urywkami filmów oglądanych dziesięć lat temu, flashbacki z przeszłości zmiksowane ze strzępami newsów podawanych w holowizji w zeszłym tygodniu. Wszystko cięte w pół sceny niczym ręką szalonego montażysty w surrealistycznym teledysku kręconym przez obłąkanego reżysera. Rzecz nie do opanowania, pozbawiona logiki, przynajmniej pozbawiona logiki dla człowieka – dla programów był to po prostu ciąg zer i jedynek. Podlegający swoim zerojedynkowym prawom. Nikt nie miałby szans nawet w starciu ze standardowymi zabezpieczeniami uaktywnianymi tuż po postawieniu serwera.

Inaczej po zainstalowaniu wizuala. Te rozbudowane niekiedy do okazałych rozmiarów programy filtrowały zerojedynki, budując na ich podstawie zrozumiały obraz. Początkowo były to zwykłe gry komputerowe ze złamanym i przemodyfikowanym kodem źródłowym. Niekiedy dosyć efektowne, ale zawsze zawodne – bywało, że wizualizacje nie nadążały za wirtualnymi starciami z defensorami. To przyspieszyło stworzenie wyspecjalizowanych narzędzi, gdzie rdzeń programu dynamicznie nakładał prerenderowane, trójwymiarowe obrazy, korzystając z banku gotowych szablonów dopasowanych do niemal każdej sytuacji. Na ogół to wystarczało – wizual miał setki modułów, które mogły łączyć się ze sobą w dowolnym porządku. Poszczególne moduły powstawały na podstawie analizy działania wszystkich najpopularniejszych algorytmów obronnych stosowanych przez defensory, fakesystemy i firewalle. Z czasem dla każdego wizuala zaczynały krążyć na hakerskich serwerach setki update'ów zawierających moduły do specyficznych zabezpieczeń stosowanych przez określone korporacje czy instytucje. Więcej – nawet gdy firma zatrudniała własnych informatyków, którzy od zera pisali oprogramowanie zabezpieczające serwery, to już po kilku starciach można było rozpracować algorytm takiego softu. I jeżeli nawet przełamanie zabezpieczeń zajmowało tygodnie lub miesiące, to odpowiednie moduły powstawały już w kilka dni od pojawienia się nowego programu zabezpieczającego.

Wadą takiego rozwiązania była duża objętość niektórych wizuali. Niekiedy zajmowały setki gigabajtów, zwłaszcza gdy się nabierało sporo update'ów. Dlatego największym uznaniem cieszyły się jednak wizuale o prostej grafice. Radykalni zwolennicy tego nurtu posługiwali się dwuwymiarowymi – opartymi na grach dla dwudziestowiecznych komputerków ZX Spectrum. Jednak Zak nie uważał tego za dobry pomysł. W gruncie rzeczy więcej było w tym lansowania się na old school niż racjonalnej oceny. Jako że człowiek żyje

w świecie trójwymiarowym, najłatwiejsze w percepcji są mimo wszystko wizuale 3D. Byle nie te oparte na najnowszych grach VR, bo były zbyt wolne i wymagały zbyt wielkiej pamięci.

Ulubionym wizuałem Zaka był „Gumowy Rupert” oparty na starej, kultowej platformówce. Prosty, przewidywalny, z bogatymi archiwami uaktualnień.

\*\*\*

Jestem Gumowy Rupert, mam gumo-o-o-o-o-o-o-we niebieskie nogi, gumo-o-o-o-o-o-o-we niebieskie ręce, cały jestem niebieski. Szybko biegam, wysoko skaczę i sprzedaję fangi w nos pięściami w żółtych rękawicach bokserskich. Jestem Gumowy Rupert i nie boję się Betonowych Drani ani Stalowych Rycerzy.

Rozejrzał się – stał przy wejściu do wielkiej, półokrągłej sali. Pokryte opalizującymi, przezroczystymi rurami sufit i ściany pomieszczenia tworzyły jedną całość, wewnątrz rur przetaczała się jaskrawozielona ciecz. Niczym krew w płataninie żył organizmu nie z tej planety. Pośrodku sali wznosiła się wieża z zawieszonych w powietrzu czarnych kamieni; lekko wibrując, tworzyły coś, co przy maksimum dobrej woli można było określić mianem schodów. Między stopniami ziała pustka, w której swobodnie zmieściłby się wagon kolejowy.

Co mi tam, jestem Gumowy Rupert i takich schodów się nie boję! Biegiem! Na schody, jeden długi krok, drugi długi krok i teraz na schody prosto skok...

Stop! Nie ma skok! Betonowe Dranie! Skąd?

Teraz spostrzegł – podłoga sali składała się z podłużnych betonowych płyt. Płyt...? Nie, to nie płyty, to odwrócone plecami Betonowe Dranie! Jeden, drugi, trzeci... Piętnasty... Czterdziesty szósty... Jest ich chyba setka! Wstają dranie i wciąż ich coraz więcej.

Ale to bardzo małe dranie, a Rupert takie dranie zjada na śniadanie! Hop na łeb drania. I na drugi łeb. Z drania na drania! Rupert nie boi się betonowych łap machania! Na trzeci łeb i na łapy też hop! Potem skok i już schody. Ze stopnia na stopień, do góry. Skok, hop, skok, hop, hop, hop!

Stop! Do wyjścia za daleko na jeden skok! Nawet na Ruperta gumowe nogi. Ostatni stopień, a ponad nim... Wysoko, wysoko w suficie tkwi hak. Po taki hak Rupert wy-y-y-y-y-y-y-y-y-y-ciąga swoją gumową rękę, jeszcze kilka centymetrów, je-e-e-e-e-szcze chwila wysiłku i już Rupert trzyma hak!

Podciągnął się i wybiegł po rurze-żyłę na powierzchnię – prosto pod miecz Stalowego Rycerza. Wygięcie i unik! W ostatniej chwili, uciekając przed błyszczącym ostrzem. Napastnik zabrzączał czarną zbroją i błyskawicznie wziął kolejny zamach. Ciął. Świsł

powietrza. Koniec miecza odrąbał prawe ramię Ruperta. Nim ten zrozumiał, co się dzieje, rycerz wyprowadzał już następne cięcie.

Głowa Ruperta spadła w dół, odbijając się od zawieszonych w powietrzu stopni. Jak gumowa piłka. Łup, łup, łup...

Betonowe Dranie rozpoczęły mecz.

Game over.

\*\*\*

Kopnięcie prądu w neurony nie było mocne, ale tak nagłe, że Zak szarpnął się w tył i uderzył głową o ścianę. Wtedy rzeczywiście poczuł ból. Zaklął i zdrętwiałymi rękami zaczął rozcierać rosnącego guza.

– Ej, w porządku z tobą? – zapytał z troską Ron Lee.

– Taaa, wszystko okej... Tylko mały guz – wystękał z wysiłkiem Zak. Kilka minut leżał, dochodząc do siebie. Gdy ból z tyłu głowy zelżał nieco i ustąpiło odrętwienie nóg, wstał i zaczął chodzić po celi. Zrobił kilka pompek, pobiegał w miejscu.

Teraz przyjął inną pozycję. Położył się na pryczy, rolując pod głową koc. Włączył netchipa i przejrzał pliki ściągnięte od Salima. Było tam parę dodatkowych modułów do wizuala. Wybrał jeden i ponownie zanurkował.

\*\*\*

Jestem Gumowy Rupert, mam gumowe niebieskie nogi, gumowe niebieskie ręce, cały jestem niebieski. Szybko biegam, wysoko skaczę i sprzedaję fangi w nos pięściami w elektrycznych rękawicach rażących prądem. Jestem Gumowy Rupert i nie boję się Betonowych Drani ani Stalowych Rycerzy.

Betonowych Drani i wiszące schody pokonał w kilku skokach. Wyciągnął ramię po hak i podciągnął się na rurę prowadzącą do wyjścia. Nie wychodził od razu – przysiadł, obserwując niewielki otwór. Nasłuchiwał. Nic, żadnego odgłosu. Nic nie widać, nic nie słychać, ale byle Stalowy Rycerz nie oszuka Gumowego Ruperta! On tam jest. Czeka nieruchomy, z mieczem gotowym do błyskawicznego ciosu. Sięgnął do elektrycznych rękawic. Na umieszczonym przy nadgarstku panelu ustawił maksymalną moc napięcia, natężenie zwiększył o połowę. Skumulowany prąd aż buczał cicho, ślizgał się po pięściach w jasnyniebieskich wyładowaniach.

Teraz hooop! Jestem Gumowy Rupert i mam elektryczne rękawice! Nie boję się Stalowych Rycerzy. Nim miecz zdjął mu głowę z karku, dał nura w dół, przetoczył się pod

nogi przeciwnika i z całej siły uderzył go w środek zbroi gdzieś na wysokości brzucha.

Potężne wyładowanie elektryczne wyrzuciło Rycerzowi miecz z dłoni. Nie czekając ani chwili, Rupert skoczył w górę. Drugie uderzenie trafiło prosto w przyłbicę. Potężna dawka prądu trzasnęła niczym piorun, zbroja zaślniła błękitnymi błyskawicami, po czym Stalowy Rycerz padł bezwładnie w tył, rozsypując się w tysiące metalowych kulek, które długo jeszcze dźwięczały, tocząc się i odbijając od siebie.

Gumowy Rupert, nie tracąc ani chwili, ruszył w dalszą drogę. Biegł po spiralnie skręcającej się rynnice rozciągniętej między niewielkimi skałami zawieszonymi w przestrzeni. Niekiedy rynna urywała się, wtedy skakał z jej końca na najbliższy kamień. Kilka razy rozwidlenia trasy prowadziły go w ślepe zaułki, wówczas wracał do skrzyżowania i próbował kolejnej drogi.

Wreszcie dotarł do wielkiej skały, superskały, ładu. Ale ład okazał się tylko gigantyczną, kamienną misą pełną kipiącej, zielonej mazi bulgoczącej niczym bagno zalane radioaktywnymi ściekami. Nie wyglądało to zbyt przyjaźnie. Ostrożnie, by nie potraścić unoszących się nad kipiela wielkich, seledynowych baniek, skakał na wystające gdzieś kamienie.

I tak dotarł do pustyni. W oddali lśniła w słońcu pomarańczowa sylweta Miedzianej Wieży. To tam. Ruszył do przodu, ale zaraz przystanął.

Z oddali szła w jego stronę ława Betonowych Drani. Byli wyżsi niż ci na początku. Byli bardzo wysocy. Rupert szybko ocenił sytuację – nie miał szans, by ich przeskoczyć. Nie miał szans, by przedrzeć się między nimi. Maszerowali ramię w ramię niczym ruchoma, betonowa zaporą. Krok w krok, jak karni żołnierze – olbrzymy.

Gumowy Rupert spojrział w górę. Nad jego głową przelatowała niekończąca się karawana podłużnych, cygarowatych balonów. Pakiety danych TCP/IP – przemknęła mu przez głowę jakaś obca myśl nie wiadomo skąd. Początek karawany nikał w chmurach otaczających Miedzianą Wieżę, przechodząc nad głowami Betonowych Drani. Tak, to był jedyny sposób!

Wspiął się na najwyższe w okolicy wypiętrzenie skał, przysiadł na piętach i hooop! Ale balony leciały za wysoko, nie doskoczył nawet do połowy. Zrobił więc inaczej – najpierw rozciągnął nogi. Do granic możliwości. Potem rozciągnął ręce, aż ledwo trzymał równowagę. Teraz przykucnął i z wyciągniętymi ramionami czekał na kolejne cygaro.

I skoczył. Chwilę szybował w górę, po czym chwycił palcami ozdobny brzeg gondoli przypominającej sunącą w chmurach łódź. Podciągnął się, zawinął i już był na pokładzie.

Nie niepokojony przeleciał z majestatem nad wciąż maszerującymi Betonowymi

Draniami. Nim balony wpłynęły do portu na szczycie wieży, zeskoczył niżej na wystający gzyms i precyzyjnie się przez okrągłe okienko do środka.

Miedziana Wieża zdobyta.

\*\*\*

Mimo początkowych trudności operacja przebiegła dosyć łatwo. Tak to ocenił, zdając sobie sprawę, że do poufnych danych Banku Świętego Piotra zawierających informacje o kontaktach klientów nie dostałby się bez zaangażowania większych sił i czasu.

Operacje o najwyższym priorytecie bezpieczeństwa – transakcje finansowe, przelewy i kredyty – były poza jego zasięgiem. To wymagało włamania się do osobnej podsieci, chronionej bardziej zaawansowanym systemem zabezpieczeń. Ale Zaka nie interesowały ani konta, ani kredyty.

Co innego dane działu technicznego. Te nie stanowiły zbyt łakomego kąska dla większości potencjalnych włamywaczy, chociaż dla niego miały zasadnicze znaczenie. Ostatnie zwycięstwo w starciu z Betonowymi Draniami dało mu dostęp do konta użytkownika „unreal”. Pod tym loginem krył się administrator właśnie działu technicznego. Niezbyt duży zakres uprawnień, ale Zak wiedział, jak je wykorzystać. Odnalazł specyfikację przenośnych urządzeń programowalnych i skopiował stamtąd wzór typu klucza elektronicznego używanego do zabezpieczenia skrytek. Pod względem konstrukcyjnym był to standard stosowany w wielu podobnych instytucjach. Chipowa karta dostępowa, tyle że obsługiwana przez natywne oprogramowanie banku.

Trochę więcej trudności zajęło mu odnalezienie właściwej skrytki, w której brat Eligiusz miał zdeponować Relikwię. Przejrzał bazę danych i wszedł do rejestru wynajmu. Ta usługa była anonimowa, zaś weryfikacja opierała się jedynie na kluczu elektronicznym. Jak wśród dwóch tysięcy sejfów znaleźć ten właściwy, skoro żaden nie był podpisany? Popatrzył po datach. Rok 2070 – wynajęto dwie skrytki: 22 czerwca i 14 września. Szybko zajrzał do plików w pamięci netchipa. Wyrok na rycerzach Zakonu wykonano w czerwcu 2070 na Piazza del Quirinale w Rzymie. Wszystko jasne, skrytka numer 1125.

Dalej jednak nie wszystko poszło tak prosto. Mimo kilku prób nie udało się skopiować ani złamać kodu przypisanego do klucza brata Eligiusza. Twórca systemu zastosował tu jakiś bardziej złożony algorytm, na którego rozpracowanie należało poświęcić nieco więcej czasu.

Na szczęście okazało się, że użytkownik „unreal” miał też dostęp do panelu pozwalającego na zdalne zarządzanie skrytkami. Zak uśmiechnął się triumfalnie – ci leniwi admini nigdy się nie zmieniają. Mógł więc nie tylko przeglądać bazę danych o stanie skrytek,



ale także inicjować na odległość ich nowy wynajem wraz z generacją kodu. Z punktu widzenia bezpieczeństwa była to luka w systemie. Skorzystał z niej.

Usunął z systemu dane poprzedniego najemcy, wprowadzając do bazy danych informację „skrytka zwolniona dnia 20 grudnia 2070”. Potem wybrał opcję „nowy użytkownik” i wygenerował kod karty. W rejestrze nie było nawet przewidzianego pola na informację, czy sejf jest pusty czy nie. Twórca systemu słusznie uznał, że to już prywatna sprawa najemcy. Dla bankowców liczyła się tylko data aktywacji/dezaktywacji. Dzięki temu nie było szans, że jakiś nazbyt gorliwy urzędnik dojdzie po dwóch latach, że pod numerem 1125 wciąż znajdował się depozyt poprzedniego właściciela. Dla porządku Zak wprowadził datę: „skrytka wynajęta 30 grudnia 2070”. Skopiował kod karty do swojej pamięci i wylogował się.

\*\*\*

Skutki pierwszego, nieudanego starcia z Żelaznym Rycerzem z Banku Świętego Piotra pojawiły się z opóźnieniem. Czuł obezwładniające zmęczenie, jednak gdy próbował zapaść w sen, by tradycyjnie dać sobie ze trzy godziny odpoczynku, pod powiekami wciąż widział tę scenę. Masywna sylwetka Rycerza i lśniące ostrze miecza zbliżające się ze świstem do jego głowy. Ciach! Pulsująca fala bólu.

Gdy w końcu zasnął, nie było lepiej. Żelazny Rycerz gonił go po ulicach trzynastowiecznego Damaszku. Zak biegł, skacząc jak piłka, za nim zaś gęstniał tłum pogoni – do rycerza przyłączyło się kilku asasynów oraz wywijający lodowym mieczem Łowca Demonów. Za nimi przypadkowa gawiedź, jacyś kupcy goniący go jak złodzieja, miejscy strażnicy, rozwrzeszczane dzieci i ujadające psy.

Jestem Gumowy Rupert, mam gumowe niebieskie nogi, gumowe niebieskie ręce, cały jestem niebieski. Ale dlaczego mnie gonicie? Gdzie ja jestem? Dokąd uciekam?

Wpadł w boczną uliczkę i skacząc jak piłka, pognął w jej głąb. Na próżno: to ślepy zaułek. Dopadł ściany i oparłszy się o nią plecami, czekał na goniących go zabójców. Już są! Przeciskając się, przekrzykując, idą w jego stronę – już wiedzą, że nie ucieknie.

Nagle zaczął się kurczyć. Najpierw jakaś wewnętrzna siła ściągnęła mu nogi, później ręce i tułów do rozmiarów piłeczki... Do rozmiarów muchy?

Muchy? Teraz mucha? Pierdolona mucha?!

Więc uciekać na skrzydłach, uciekać w górę, ponad dachami! Nie dostaniecie mnie, oprawcy! Śmieszne małe ludziki wygrażające mi z dołu, gdy ja nad wami wolny jak mucha!

I wtedy wpadł w pajęczynę. Chwilę się szamotał, a lepkie nici trzymały go coraz

mocniej. Nagłe drganie.

Ciężkie kroki wprawiały sieć w bolesny rezonans. Pająk. Tak, to pająk.

Pająk z twarzą Ingi.

Zak obudził się, krzycząc. Długo jeszcze leżał w półmroku beznamiętnie wpatrzony w ścianę. Inga... Czy miało tak już być zawsze? Będzie ją widział tylko w snach? Tylko tak z nią rozmawiał? Inga z anioła stanie się jego kolejnym demonem?

„Ciebie też nieźle wydrenowało – przypomniał sobie jej słowa z innego snu. – Jeszcze bardziej, niż myślisz. Nawet nie zauważyłeś, kiedy twoja osobowość, czy jak to niektórzy mówią: dusza, przewędrowała gdzieś tam z płata czołowego mózgu do twojego panasonica. Za każdym wejściem w cyberprzestrzeń albo w neurostrukturę głupola zapuszcza tam korzenie głębiej i gęściej.

– Wyjdziemy z tego, Inga – szepnął Zak. – Ja wyjdę z tego przeklętego pudła, a ty... A ty... Jeszcze będzie jak dawniej, zobaczysz. Zabiorę cię z Berlina i wyjedziemy gdzieś daleko stąd. Gdzieś, gdzie będziemy wolni.

Sam nie wierzył w to, co mówił.

\*\*\*

Najwyższy czas, by zająć się Claudią Ronson i jej tajemniczą tożsamością.

Układ był jasny – to ona rozdawała karty. Nie musiała mu ujawniać ani prawdziwego imienia, ani motywów swego działania. Kłamstwo było tu naturalnym elementem rozgrywki, ale jego skala i umiejscowienie rzucały zupełnie inne światło na zadanie, którego się podjął. A właściwie – nie tyle na zadanie, tylko na to, co miało stanowić jego nagrodę. Więc kim była Claudia Ronson? Czy naprawdę miała na tyle silne wpływy, by wyciągnąć go z Pai Tien? Czy tylko umiejętnie wykorzystywała sytuację? I o co naprawdę toczy się gra?

Postanowił zacząć od początku. Jest żoną członka Zarządu Niebiańskiej Korporacji Pao. Czyli osobą, która, chcąc nie chcąc, musiała pojawić się w plotkarskich serwisach informacyjnych. Zresztą nie tylko plotkarskich – członkowie Zarządu Pao to osoby niemal publiczne. Ich żony również.

Najprościej byłoby wysłać Skrzydłonogiego, by przyniósł mu wszystko, co znajdzie na temat „Claudia Ronson”. Przejrzeć zdjęcia i pliki wideo, porównać twarze. Jednak analizowanie takiej zbieraniny przypadkowych danych to jak składanie samochodu z części znalezionych na złomowisku. Mógł z tego równie dobrze wyjść gokart, jak i walec drogowy. Jedno i drugie niezbyt przydatne do jazdy. Postanowił więc zrobić to trochę naokoło, ale bardziej metodycznie.

Połączył się z oficjalnym serwisem Pao, wybrał arabską wersję językową i po krótkim błędzeniu wśród dziesiątek odnośników znalazł dział PR. Tam, obok najnowszych informacji prasowych donoszących o doskonałych wynikach finansowych, nowych produktach, prezentacjach rozwiązań i tak dalej, odszukał „zdjęcia dla prasy”. Ominął „produkty” i przeszedł do „menedżment”. Są – członkowie Zarządu. Dziewiętnastu. Relikt z czasów, gdy powstawała Niebiańska Korporacja Pao. Utworzyło ją właśnie dziewiętnaście chińskich korporacji o zasięgu międzynarodowym. Po fuzji dawni prezesi zasilili nowy Zarząd i choć od powstania Pao minęło już kilkadziesiąt lat, a korporacje-matki już na dobre roztopiły się w monolicie Niebiańskiej Korporacji, to status quo był utrzymywany. Dziewiętnastu członków Zarządu.

Zak skopiował ich nazwiska i zdjęcia. Przywołał dwudziestu Skrzydłonogich Hermesów i zadał im osobne kombinacje zapytań. Hermesy od numeru 1 do 19: „Plotki, VIP, premiera, przyjęcie, urodziny cesarza, spotkanie, żona”. Każdy szperacz dostał dodatkowo inne nazwisko członka Zarządu. A dwudziesty Hermes popłynął w sieć, szukając wszystkiego na temat: „Sao Paulo, społeczność polska, emigracja”.

Wyszukiwarki zaczęły wracać po dziewięciu minutach, ostatnia pojawiła się po kwadransie. W sumie ponad 6 tysięcy dokumentów, z czego 5429 zawierało zdjęcia, zaś 145 dodatkowe pliki wideo. Za dużo, by to przeglądać samemu. Przeszedł do zaawansowanych opcji Hermesa. Kazał mu zebrać wszystkie dokumenty i posortować je w prostą bazę danych według nazwiska, twarzy na zdjęciu (na ile pozwalała to ustalić doinstalowana wtyczka PhotoMastera), daty powstania dokumentu i tak dalej...

Zostawił program z jego robotą, a sam zaczął przeglądać informacje przyniesione przez Hermesa numer 20.

Sao Paulo okazało się silnym ośrodkiem emigracji polskiej, począwszy gdzieś tam od XX wieku. Po Dżihadzie i założeniu Nowego Watykanu – co jednocześnie zbiegło się z okresem niezłej prosperity gospodarczej Brazylii – miasto stało się głównym ośrodkiem Polonii. Większość polskich imigrantów stanowili drobni przedsiębiorcy, kupcy, robotnicy i księża. Do tego ledwie kilkadziesiąt artystów, pisarzy, inżynierów, pięciu profesorów. Słabo zasymilowani, bardzo religijni, średnio zaangażowani społecznie i politycznie, nijacy. Zak przeglądał ich losy z rosnącym znudzeniem. Jakoś nie widział tu miejsca dla Claudii Ronson. Religijność dwóch milionów polskich emigrantów nie pasowała do czczych zachcianek Królowej Śniegu. O inicjatywie odzyskania sprofanowanej Relikwii – także ani słowa.

Osobny dział utworzony z zebranych dokumentów stanowiła sekcja „polskie gangi w

Sao Paulo”. Zak przyjrzał się temu z nową nadzieją. Może jakaś potężna ośmiornica sięgająca swymi mackami od starej ojczyzny po Grenlandię... Intrygi na światową skalę, handel kosztownymi bibelotami... Wgryzł się w to jak wygłodzony wędrowiec w bochen chleba. Płonne nadzieje. Nic z tych rzeczy. „Polskie gangi” należało rozumieć dosłownie. Uliczne bijatyki, napady na supermarkety i apteki. Wojny drobnych opryszków z jednej ulicy przeciwko opryskom z drugiej. Przemysł alkoholu, papierosy bez akcyzy... Największy wyczyn: kradzież teoretycznie niemożliwej do uprowadzenia limuzyny koreańskiego dyplomaty średniej rangi. Nic, co mogłoby wiązać się z Claudią i całą tą sprawą.

Porzucił materiały o gangach i przyjrzał się tytułom relacji wideo. W przeciwieństwie do tekstów i zdjęć, nagrania filmowe wymagały większej uwagi, na co Zak nie zawsze miał ochotę. Nagłówki prasowe, śródtytuły w tekście, podpisy pod zdjęciami – to można było ocenić jednym rzutem oka. Wideo, o ile nie zostało uzupełnione o konspekt, to zupełnie inna sprawa.

Przejrzał kilkanaście plików na szybkim podglądzie. Jakieś rauty, oficjalne uroczystości, występy estradowe polonijnych zespołów. Tu też nic ciekawego. Ale jeden klip wideo zwrócił jego uwagę, gdy naraz pojawiło się w nim imię Jana Pawła II. Materiał z „Holowizji Jezus”. Zwolnił odtwarzanie i przyjrzał się temu.

@@23

## **Holowizja Jezus, 27 listopada 2071**

### **PATRIOTYCZNA POLONIA ZBUDUJE MONUMENT JANA PAWŁA II**

Zofia Korab, przewodnicząca Komitetu Budowy Pomnika Jana Pawła II w Sao Paulo:

– Jak w samym Piśmie Świętym napisano, Jan Paweł II został zesłany przez Pana Boga, który wybrał Naród Polski i nie chciał, by on krwawił pod zaborczym butem imperatora z Rosji, nie chciał, by Naród Polski był rwany pazurami przez obce, czyli niemieckie i inne europejskie, wielkie korporacje. Dlatego Pan Bóg zesłał nam Ojca Świętego, żeby swoim cierpieniem odkupił nasze winy i pokonał tę cywilizację śmierci. I cierpiał Jan Paweł II, cierpiał! Cierpiał Jan Paweł II już od zdradzieckich ran zadanych przez Turka zamachowca, bo stąd się wziął Jego wieczny ból, cierpiał tak aż do męczeńskiej śmierci. I dzisiaj, gdy pogan dziki z Azji, bałwochwalący Allaha, pali i w gruzy obraca kościoły, w tych czasach Ojciec Święty Jan Paweł II, który wyzwolił Ojczyznę spod jarzma komunizmu, przypomina nam, iż jest napisane, że posłannictwo Narodu Polskiego to stać na straży prawdziwej Religii i Wiary. Że

Naród Polski z martwych powstanie i uwolni wszystkie ludy Europy i całego świata z jasyru. Spod tych kajdan z Moskwy, od tych sztyletów pogana z Mekki, od tych zakrwawionych szponów obcych korporacji, co za boga mają tylko chciwość, sodomie i gomorie. Dlatego my, patrioci pomni boskiego posłannictwa Wielkiego Polaka, zawiązaliśmy Komitet Budowy Pomnika Jana Pawła II w Sao Paulo. Jan Paweł II był wysłany przez samego Pana Boga jak Jezus Chrystus. Ma już Chrystus piękną figurę w Rio de Janeiro. Teraz my chcemy postawie taką figurę Ojcu Świętemu. Tylko większą od tej, co stoi w Warszawie, która jest niegodna, bo za mała. I większą od tych pozostałych, w Wadowicach, Częstochowie i innych miastach, bo one są obrazą dla Jana Pawła II, który był największym Polakiem, to i figurę musi mieć największą. Pomnik powstanie tu, w Sao Paulo, gdzie dziś jest siedziba papieży, gdzie dziś znajduje swe schronienie Święty Kościół katolicki. Figura Jana Pawła II będzie miała 90 metrów, tak by górować nad miastem, wskazując swą Świętą Ręką drogą naszym sercom Ojczyznę, do której co dzień ślemy nasze modlitwy: „Maryjo, Królowo Polski...”. Komitet Budowy Pomnika Jana Pawła II w Sao Paulo rozpoczął już zbieranie datków na fundusz budowy, zyskaliśmy też poparcie miejscowych władz. Oto numer konta...

\*\*\*

Zak wyłączył odtwarzanie. Sprawę budowy pomnika jednak trudno było powiązać z tym, czego oczekiwała od niego Claudia. To nie miało żadnego sensu i prowadziło tylko do jałowych spekulacji. Może odsłonięcie pomnika-giganta fundatorzy zamierzali dodatkowo uświetnić przekazaniem Relikwii do Ojczyzny. Czyli gdzie – chyba tylko do Wolnego Miasta Częstochowa? Jeżeli taka jest prawda, to dlaczego Claudia nie ujawniła jej, kryjąc się pod fikcyjnym życiorysem?

Przełączywszy netchip w stan uśpienia, przeanalizował wszystko to, czego dowiedział się dotychczas. Nie wyglądało to najlepiej. Narastało w nim przekonanie, że Claudia Ronson miała nad nim większą władzę, niż dotychczas sądził. Władzę niewynikającą z realnego czy fałszywego stanu rzeczy. Przeciwnie – z tego, że nie mógł do końca ocenić, co jest prawdą. Że może utonąć w grząskim bagnie rozważań „a co, jeżeli” lub „założmy, że” i nigdy nie zobaczy faktów, nawet jak będą leżały podane na talerzu. Nawet jakby fakty były go w twarz, do krwi, to nadzieja podarowana mu przez Claudię Ronson kazałaby mu krzyzczeć: „Nieeee! To nieprawda”.

Bo co by mu wówczas pozostało? Brak nadziei. Powolna śmierć. Powrót do czerwonego karceru.

Oderwał się od tych roztrząsań i sprawdził, jak postępuje praca Skrzydłonogiego Hermesa. Wyszukiwarka wykonała już 98 procent roboty, więc nie wyłączając chipa,

począł, aż skończy. Trwało to jakieś trzy minuty. Gdy program zabrzączał cichym „pimm”, Zak przyjrzał się utworzonej bazie danych.

Większość wartościowych informacji Hermes znalazł w plotkarskich serwisach z Chin i Nowego Hongkongu. Sporo materiałów dostarczyły ostatnie urodziny cesarza. Jak donosiły brukowe media – czterech członków Zarządu nie miało żon, tylko kilkakrotnie zmieniane utrzymanki. To wprowadzało dodatkowe komplikacje. Kochanka sprzed tygodnia mogła być nikim dziś. A kochanki z dziś media mogły jeszcze nie chwycić w swe tryby – tym bardziej jeżeli była to utrzymywana w tajemnicy zimna europejska piękność. Do pozostałych piętnastu członków zarządu Hermes w miarę wiarygodnie dopasował imiona i twarze żon. W kilku przypadkach zdjęcia były zbyt niewyraźne albo plugin nie potrafił ich zidentyfikować – te wylądowały w osobnej kategorii „nieznane”. Zak przejrzał ją na końcu, ale nie mniej dokładnie.

Po kilku minutach miał już pewność. Żadna ze znanych mediom żon i kochanek członków Zarządu Pao nie była Claudią Ron-son. Żadna z nich nawet nie była Europejką – pod tym względem chińscy bossowie wykazali się całkowitym konserwatyzmem. Tylko Chinki.

Pozostawały więc dwie możliwości: albo Claudia to najskrytsza tajemnica czyjejs sypialni, albo... po prostu kłamała.

\*\*\*

Rozsypane puzzle! Już nie sposób było ułożyć z nich żadnego obrazu. Przeklęta Claudia!

By oderwać się od tych rozmyślań, przegonił Malika po Paryżu. Głupol zadziwiająco posłusznie wędrował po uliczkach i zaułkach, reagując na każde polecenie. Dociera się, tylko szkoda, że dopiero teraz. Nie byłoby z nim tylu problemów. Ale najważniejsze, że się dotarł, bo teraz najtrudniejszy etap podróży.

Nie, nie teraz. Później. Może Malik już był gotów, może ich połączenia nerwowe zgrały się w jeden organizm, ale Zak nie mógł jeszcze zacząć dalszej rozgrywki. Najpierw trzeba wyjaśnić sprawę Claudii.

Ogarnęło go dołujące otępienie. Włącząc się wzdłuż Sekwany, doszedł do wniosku, że w sumie niewiele różni go od dosiadanego kłona. Ten sam rodzaj obojętności. Stępione bodźce i skłonność do przypadkowych zachowań. Zero celu. Dojść do następnego rogu i wyjrzeć, co jest na następnej ulicy. Nic nowego? Więc marsz do końca uliczki, by zobaczyć, co kryje się w kolejnym zaułku. Tu również nie widać linii horyzontu? Jaka szkoda!

W końcu uznał, że dość tego zwiedzania, i dziarskim marszem poprowadził Malika z powrotem na Felice Martin. Wielokilometrowy spacer zrobił swoje: głupol pozwolił ułożyć się w łóżku jak niemowlak.

– Jak się obudzi – zapewniał Pierre – to go podłączę jak zwykle do wirtuala, żeby sobie pożył trochę życiem, jakiego nigdy nie zaznał i nie zazna.

– W porządku. Tylko proszę, żadnych akcji jak z tą milicją. Niech sobie wypoczywa, bo ja długo nie będę mógł się nim zająć.

– Nie ma problemu, stary! Będzie, jak mówisz.

Uwolniwszy się od Malika, Zak zyskał czas dla siebie. Tylko po co? Beznadziejne, wkurzające i męczące otępienie wciąż dawało znać o sobie.

Jestem! To ja, bezwład twoich myśli! No co?! Myślałeś, że sobie tak po prostu pójdę? Ha, ha, ha! Nie! Nie pójdę! Będę cię męczyć w nieskończoność, napełniając twą duszę najczarniejszymi myślami! Nie wygrasz, nie masz szans! Jestem butem zawieszonym nad twoją głową, bezwolny karaluchu.

Kurwa, jestem taki zmęczony! Dołuje mnie to miejsce i ten koleś „nielojalny wobec Pao”. Te ryżowe papki na śniadanieobiadkolację. Cholerna, pierdolona Niebiańska Korporacja i jej przekłete więzienie, i przekłety ten Nowy Hongkong, najbardziej dołujące miasto na świecie, zimne, szare i samobójcze.

A kiedy przyjdzie sen, znów pojawią się koszmary. Któraś z pokręconych, nienormalnych wizji, tak samo męczących, jak życie na jawie.

Przyszedł, ale tak gęsty i ciemny, że nic nie mogło mu się przyśnić. Jak zbawienie.

\*\*\*

Czyli jednak trzeba zacząć od samego początku. I szukać informacji do skutku.

Uruchomił Skrzydłonogiego Hermesa, uaktywnił w nim pełne opcje multimedialne (pliki wideo, zdjęcia, nagrania audio, animacje i prezentacje) i polecił na koniec zrobić z tego bazę danych. Hasło: „Claudia Ronson”.

Przełączył netchip w tryb czuwania i pozwolił wyszukiwarce działać. W tym czasie spróbował przespać się chwilę, oczywiście bezskutecznie. Gdy zamykał oczy, zdawało mu się, że znów otacza go nierównomierna mleczna mgła. A pośród niej Inga. I jej dziwne słowa...

Skrzydłonogi Hermes piknął cicho, sygnalizując koniec pracy. Zak bez entuzjazmu uaktywnił chip i przyjrzał się plonom poszukiwań.

Słowo kluczowe „Claudia Ronson” wywołało 1028 zweryfikowanych dokumentów. Z

tego 234 zawierały zdjęcia, a 3 wideo. Hermes posortował to wręcz wzorowo, toteż Zak szybko mógł przesłać zebrane informacje.

Najwięcej dokumentów, w tym zdjęciowych, dotyczyło jakiejś aktywistki ekologicznej z Nowej Zelandii, która około 10 lat temu prowadziła szereg akcji protestacyjnych w swoim kraju, w Australii, Fidżi i Vanuatu. Wszystkie pod hasłem „Ocalmy Ocean”. Później pani Ronson z kraju kiwi sporadycznie jeszcze udzielała wywiadów mediom. Zak przyjrzał się plikom wideo i zdjęciom. To zdecydowanie nie była jego Claudia. Niska, przysadzista, o lekko polinezyjskich rysach, a przy tym w jej oczach lśniły ogniki bezinteresownej sympatii. Czyli matematyczne wręcz przeciwieństwo kobiety, która zleciła mu poszukiwanie Relikwii.

Kolejna Claudia Ronson. Pnący się po szczeblach kariery pracownik działu marketingu w Sunkyong & Ssangyong America, czyli meksykańskim oddziale koreańskiej Zjednoczonej Federacji SamsungLG. Hmm, istniało pewne podobieństwo. Szczupła, blondynka, też ten wyraz zaciętości na twarzy. Typowa wredna suka z marketingu wciskająca jakiś umiejętnie spreparowany szit. Przy czymś takim nie można mieć twarzy aniołka – wystarczy kilka lat pracy i zaczyna to odciskać się trwałym piętnem. W wyrazie oczu. W ściągniętych gniewnie ustach.

Taaak, to mogłaby być jego Claudia. Ale spojrzął na daty. Meksykańsko-koreańska pani Ronson rozpoczęła swoją karierę osiem lat temu. Wtedy miała na oko – zapominając na chwilę o operacjach plastycznych – trzydzieści parę lat. Najnowsze zdjęcia z jakichś oficjalnych spotkań na szczycie pokazywały twarz kobiety, która nie postarzała się więcej niż rok. Czyli tu już wszedł w grę skalpel chirurga albo jakaś inna magia piękności! Ale czy mogła się tak odmłodzić, by wyglądać jeszcze o dziesięć lat mniej? Tak jak „jego” Claudia? Oczywiście mogła. Tylko czy to miałoby sens? Babka, która pracuje 10 lat na smyczy jakiejś podkorporacji SamsungLG nagle ląduje w łóżku jakiegoś notabla z konkurencyjnego Pao? Wielce nieprawdopodobne, choć stuprocentowej pewności nie było. Ostatnie zdjęcie pani Ronson z marketingu pochodziło sprzed roku. „Claudia Ronson i Miguel Ruiz na spotkaniu z prezydentem Zjednoczonej Federacji SamsungLG, panem Kwong Young Ming” – głosił podpis. Czy po tym spotkaniu na szczycie Claudia mogła na tyle zmienić swoją drogę życiową? A może jedno drugiego nie wyklucza? Popatrzył jeszcze raz na jej twarz. Nieee, to była zupełnie inna osoba. Ale podobna.

Nie odrzucając tej możliwości, zaczął przeglądać dalsze dane. Kolejne Claudie Ronson można było odsiać już z większym zdecydowaniem. Claudia Ronson – pseudonim tajskiej tancerki w klubie go-go w Makao. Claudia Ronson – prostytutka, ofiara morderstwa



pod dyskoteką „Monte Carlo” w Miami. Claudia Anna Ronson – aktorka znana z drugoplanowej roli w filipińskiej produkcji „Miejski wojownik”. Wszystkie za stare, za młode, zbyt azjatyckie lub afrykańskie. Albo nie żyją, lub też nic nie znaczą. Żadnego tropu, który pozwalałby na wyciągnięcie jakichkolwiek sensownych wniosków. Wrócił jeszcze raz do Claudii z koreańsko-meksykańskiej firmy. Mąż Jean, również pracownik korporacji. Dwoje dzieci w wieku ośmiu i sześciu lat. Autorka udanej kampanii reklamowej proszku do prania „Tornado”, który zdobył serca milionów gospodyń domowych z Ameryki Środkowej. Czy mogła mieć jakiś związek z Claudią od Relikwii?

Zaczął przyglądać się zdjęciom. Claudia od Koreańczyków miała pewien charakterystyczny typ urody, ten sam jaki reprezentowała „jego” Claudia. Coś z porcelanowej lalki. Plus wyraz zaciętości. Piękna, ale zarazem jakoś odpychająca. Tak mogłaby wyglądać starsza siostra Claudii od Relikwii.

To mu podsunęło pewien pomysł. Wybrał najlepsze ze zdjęć i wrzucił je do PhotoMastera. Powiększył dwa razy i odpalił wtyczkę „FaceWizard”, by nieco skorygować jej urodę. Trochę młodsza, około 10 lat. Podbródek – starał sobie przypomnieć ostatnią rozmowę z Claudią – bardziej zaokrąglony. Oczy, rzęsy, brwi. Nos. No właśnie, jaki nos?! Teraz żałował, że nie nagrał choć fragmentu ostatniego połączenia. Wystarczyłoby przechwycić jedną klatkę i problem z głowy.

Po kilku minutach pracy udało mu się otrzymać w miarę podobny obraz kobiety, która zleciła mu poszukiwania Relikwii. Z zadowoleniem przyjrzał się jej ostatni raz, po czym przywołał Skrzydłonogiego Hermesa, doinstalował mu najnowszą wersję wtyczki, której używał w PhotoMasterze, i kazał szukać zdjęć i plików wideo z podobną twarzą. Zawęził pole działania: „Ostatnie 5 lat. Pomiń: kolor włosów, kolor oczu. Podobieństwo: 90%”.

Nim minęło piętnaście sekund, Hermes zebrał dane i zaczął je analizować. Ale na wyniki Zak musiał czekać dużo dłużej. Ta zwłoka, która dla informatyka na wolności byłaby świetnym pretekstem do przerwy na kawę, jemu wlokła się w nieskończoność. Wreszcie program piknął zachęcająco i Zak sięgnął po wyniki.

Niestety, od razu dało się zauważyć, że najwięcej materiałów było w katalogu „nieposortowane”. Zak na razie je pominął. Dalej: znów Claudia Ronson z Sunkyong & Ssanyong. Hermes z FaceWizardem określił stopień podobieństwa na 91,2%. Irina Swietlin, rosyjska tenisistka. Podobieństwo: 91,3%. Zak szybko przejrzał jej rekordy. Zaczęła karierę... Wygrała... Zdobyła... Ostatni występ: turniej Australian Open w tym roku. Odpada. To nie ona. Kolejna – tutaj Hermes pomieszał chyba dwie osoby, studentkę Jenny Lewis z Federacji Korporacji Kanady i Jenny B. Taylor, miss stycznia w amerykańskim wydaniu Playboya.

Obydwie po 92%. Zak odrzucił je niemal od razu, były zbyt dziewczęce i naiwne. Identycznym bliźniaczki.

Przeszukiwał dalsze katalogi. Zdziwiał, jak ludzkie twarze mogą być podobne. Jakby odlane z wosku według jednego wzorca, z jednej formy. Różnią się dopiero w gestach, w mimice twarzy. Najlepiej było to widać na wideo. Ale nie tylko – nawet na zwykłych fotkach uśmiech jednej porcelanowej lalki pozwalał odróżnić ją od drugiej. Czasem charakterystyczna mina, jaką robi się przez ułamek sekundy do zdjęcia.

Wreszcie dotarł do danych kobiety sklasyfikowanej przez Hermesa na 98%. Największe podobieństwo do wzorca.

Stella Costa. Gabriela Bendova. Maria Wreszcz. Trzy nazwiska, ta sama twarz. Jego Claudia Ronson – teraz już nie miał cienia wątpliwości. Ta sama porcelanowa twarz z wyrazem zacięcia, który odbierał jej urodzie wdzięk. Od osoby, która zleciła mu poszukiwania Relikwii, różniła się tylko kolorem włosów – tam była szatynką. Pozostałe szczegóły zgadzały się co do joty.

Pod zdjęciem był arabski list gończy, który krążył po islamskich mediach około roku temu.

Poszukiwana: Stella Costa, ukrywająca się też pod nazwiskami Gabriela Bendova i Maria Wreszcz. Może też używać innych imion.

Poszukiwana jest za akty terroru, sprzyjanie siłom wrogim Islamowi i za udział w spisku, który miał przynieść zgubę sumiennym sługom Allaha. Za sprzyjanie niewiernym, których celem jest obalenie porządku stanowionego przez prawo szarii.

Widziałeś ją? Zawiadom Milicję Rewolucyjną Emiratu Lacjum lub dowolne organy ścigania w okolicy swojego zamieszkania.

\*\*\*

Wśród dokumentów zebranych przez Hermesa była jeszcze dosyć enigmatyczna notka prasowa powtarzająca te same, raczej ogólnikowe zarzuty, które znalazły się na liście gończym. Jeden z szejków umieścił ją nawet wśród innych nazwisk na liście osób objętych fatwą – zaocznie wydaną karą śmierci.

Zak wysłał Hermesa na kolejne poszukiwania, wpisując mu wszystkie trzy nazwiska. Wynik przetrzęsania sieci nie odbiegał od tego, co udało się zebrać poprzednio. Znow notki o wrogich knowaniach, działaniach przeciwko wyznawcom Allaha i tak dalej. Żadnych konkretów. Dziwne też, że żadnego z tych nazwisk nie spotkał wcześniej. Jakby Stella Costa i

jej dwa wcielenia pojawiły się na tym świecie dopiero za sprawą nieokreślonych oskarżeń służb specjalnych Emiratu Lacjum.

Emirat Lacjum.

Znów to przekłete miejsce, jakby cały świat kręcił się wokół tego niewielkiego państewka. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – to powiedzenie wciąż było aktualne, nawet jeżeli teraz Wieczne Miasto zmieniło się w zapyziałą arabską prowincję z ruinami Watykanu pośrodku.

Wysłał jeszcze Hermesa na kilkakrotne poszukiwania, zadając rozmaite kombinacje pytań. Próbował ustalić, co kryło się za listem gończym. Co takiego zrobiła Stella Costa? Skąd fatwa szejka? Nie dostaje się jej przecież za złe parkowanie. Ani nawet za zbyt frywolny strój w meczecie.

Przeglądał dane przyniesione przez Hermesa, ale na powierzchni sieci nie było odpowiedzi. Musiał zejść głębiej, zanurkować.

Wybrał z książki adresowej numer do Salima.

\*\*\*

Holograficzny Salim pokręcił głową.

– Chcesz się włamać drugi raz w to samo miejsce? Tak od razu?

– Właściwie to nawet trzeci, ale ten pierwszy się przecież nie liczy.

– Tym bardziej nie jest to dobry pomysł!

– Wiem. Ale nie mam wyboru. Zanim wykonam następny ruch, muszę wiedzieć o niej wszystko. Ona kłamie. Tak, to już wiem. Teraz muszę ustalić prawdę. Muszę się tam dostać bez względu na wszystko.

– Hmm. Ja bym zczekał na twoim miejscu. Ale w sumie to twoja robota. I twoje ryzyko.

– Masz rację, Salim. To jest moja robota i jeżeli masz zamiar mi pomóc, to przejdźmy do rzeczy.

– W porządku. Przypomnij mi, czego wtedy używałeś. Pamiętasz? Miałeś Irona...

– Hmmmm. Czekał, zaraz powiem ci dokładnie... Irona, Amber Moriu 2.0, Pożeracza Cyfr 1.7 i Turka 1.0. To było za pierwszym razem, tym, co się nie liczy. Później drugie wejście z tą rewelacyjną Małą.

– Jest już nowa wersja. 1.17.

– Świetnie. Gonił mnie wtedy ten sam typ, ten defensor z nadmiernie rozbudowanym IQ. Nanosekunda od wydrenowania, nie było lekko.

– I nie będzie źlej. SI Allah dba o stały dopływ łątek na dziury, które pozwoliły ci wejść. Swoją drogą, to ciekawe. Żaden z bogów jakoś nigdy się do tego nie kwapił. Możesz się zajebać w swojej dobroci, możesz zachrypnąć od ciągłej modlitwy, a i tak spadnie ci na głowę cegła, gdy będziesz czołgał się po piasku pustyni. Tylko taki cybernetyczny wybryk krzemu okazuje się bogiem dbałym o swe dzieci.

Zak zawrócił rozmowę na właściwe tory.

– Wspominałeś kiedyś o tym argentyńskim sofcie.

– No tak. Podlubałem, można by wziąć i pojechać. Ale stary, wiesz, ile ja nad tym siedziałem? Gdyby przeliczyć to na dupogodziny, byłbyś mi winny...

– Salim, wiesz jak jest. Nie mam teraz na to kasy. To znaczy mam, tyle że na głupola. Ale jak tylko wyjdę, możesz być pewien...

– Dobra, spokojnie. Wiem, jak jest. Żartowałem. Rozliczymy się przy okazji. W każdym razie mam coś dla ciebie. Trzeba będzie tym razem smagnąć po dupach to rozmodlone, wirtualne towarzystwo w nieco inny sposób.

– Dzięki, stary.

– Ten soft to jakiś eksperymentalny wynalazek służb specjalnych junty Ramireza. Skurwiel zatrudnił gości ściganych przez policje połowy świata. Otoczył ich dostatkami, obiecał góry złota i tym zmotywował do poczwórnych wysiłków. Kolesie wysmażyli mu modułowe trojany oparte na wspólnym rdzeniu, ale zdolne do modyfikacji. Oczywiście wszystko po to, żeby włamywać się do amerykańskich banków i podpierać im kasę. Ramirez tyle wycisnął ze swojego ludu, że już nie starczało gotówki. Ja mam wersję beta tego softu i parę gotowych modułów przekonstruowanych specjalnie na SI Allaha. W razie potrzeby napisanie nowego czy przemodyfikowanie istniejącego nie powinno zająć ci zbyt dużo czasu.

– Nie ma problemu.

– Tym razem trzeba będzie wejść na dwa razy, posługując się dwoma różnymi modułami. Za pierwszym razem tylko postawisz backdoora i wypad. Później popatrzymy, co z tego wyniknie. Jak Allah tego od razu nie załata, wchodzisz drugi raz.

– Nie będę czekał. Wejdę od razu, tylko z innym softem. Ten skurwysyn defensor może ostro nawywijać. Jest inteligentny. Poluje na mnie. Każda chwila wahania to punkt dla niego.

– Oki, zrobisz, jak uważasz. Nie będę cię pouczał, wiesz, co robić.

– Poznałem już na tyle logikę świata SI Allaha, że wiem, co jest prawdziwym zagrożeniem. Wiem jedno: czas działa na moją niekorzyść. Wiem też, że ten defensor

namierzył mnie po numerze seryjnym chipa. Musiałbym wstawić nowy, ale to na razie niemożliwe. Ile razy tam wchodzę, czuję się... kurwa, nie wiem... jak bot z gry VR, bez wpływu na sytuację. To on jest graczem. Ja tylko mogę spierdalać.

- Rozwija się. SI Allah rozwija swoje połączenia neuronowe. Wirtualne czy realne.
- Defensory też się rozwijają. Przynajmniej ten jeden.
- Muhammad Ibn al-Charid...
- Mam złe przeczucia co do niego.

@@24

Dziewiąty już tego dnia dzinn ukrył się pod postacią poborcy podatkowego. Wyciskał właśnie należności od handlarzy batystem, gdy Muhammad Ibn al-Charid siekł go przez łeb mieczem i zamienił w bryłę lodu. Kupcy zawołali radośnie.

Nim jednak Łowca Demonów zdjął z palca Bramę do Piekieł, anioł-przewodnik przemówił:

– Jest! Przybył twój demon. TEN demon! Jest przy bramie Bab al-Amara w otoczeniu żołnierzy. Prowadzi ich emir.

Muhammad Ibn al-Charid poniechał dzinna-poborcy i wielkimi krokami powędrował we wskazanym kierunku.

Kupcy jęknęli z zawodem:

– Panie! Dokończcież swą robotę! Bo jak odtaje na słońcu, to znów zacznie z nas złoto cisnąć!

Łowca puścił to mimo uszu i przyspieszył kroku.

Teraz mi się nie wymkniesz! – myślał podekscytowany. – Nie! To będzie nasza ostatnia walka. Na sto lat do piekła, albo i na dłużej!

Emir Raszid al-Ajjubi w otoczeniu dziesięcioosobowego oddziału żołnierzy przeszedł przez Bab al-Amara i skierował się w tłoczną, pełną gawiedzi ulicę wiodącą do meczetu Omajjadów. Prowadzili za uzdy konie, krzykiem rozganiając tłum.

Łowca Demonów zastąpił im drogę.

– Emirze, jestem Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów z łaski Pana naszego. Wybacz, że staję ci na drodze, ale musisz wiedzieć, że w twym otoczeniu podróżuje groźny demon. Moją powinnością jest go zabić.

Emir gniewnie zmarszczył brwi. Mruknął coś niezrozumiale i rzucił:

– Co? Czego ty chcesz, człowieku?

– Demon, dziecię Iblisa.

– Wśród moich żołnierzy...? – Al-Ajjubi potoczył wzrokiem po swym oddziale. – Czy ty się nie posuwasz zbyt daleko, Łowco? Ci ludzie wokół mnie to oddani bojownicy, posłuszni synowie Allaha i naszego sułtana. Chcesz ich obrazić, urągając ich dobremu imieniu? Chcesz, by ten miecz zdjął z szyi głowę, w której powstała myśl tak nikczemna?

Emir ciął ze świstem powietrze mieczem o szmaragdowej rękojeści. Kamień spinający jego turban załśnił niczym oko kota.

– Ahmed, Szabib, Omar Hasan, Faruk, Salim... Który z nich jest demonem, Łowco? No który...? Zejdź mi z drogi, pomyłony człowieku, bo inaczej źle się to dla ciebie skończy.

– Demon ukryty jest w jukach wierzchowca emira – szepnął Łowcy Demonów anioł-przewodnik. – Tam go szukaj...

– Emirze, nie mam na myśli nikogo z twoich ludzi. Demon ukrywa się w sakwach twego konia. Nie wiem, jak wygląda, ale wiem, że tam jest.

Raszid al-Ajjubi zaniósł się gromkim rechotem. Schował miecz do pochwy i wciąż trzęsąc się ze śmiechu, podszedł do konia. Odczepił toból od grzbietu zwierzęcia, chwilę w nim grzebał, po czym wy dobył jego zawartość. Uciętą głowę.

– Być może to był demon... Ha, ha, ha! Ale już nie jest! To głowa frankijskiego rycerza, łupieżcy, który zwał się krzyżowcem. Ścięta w walce pod Al-Kuds. Mówi się, że to był wielki pan u Franków, księżę czy inny baron. Musiał rozum postradać albo dzinny go z drogi zwiodyły, bo sam jechał, z giermkim tylko, odłączywszy się od swoich. Oddać mu honor trzeba, że wiedział, jak miecz w dłoni trzymać. Trzech ludzi mi ubił, zanim go własnoręcznie nie usiekłem.

Emir potrząsnął głową Franka przed oczami Muhammada Ibn al-Charida i zakończył z wyższością:

– Sam łeb z niego został. Z twojego, jak to mówisz, demona. Gdybyś, drogi Muhammadzie, zajął się porządnym wojskowym rzemiosłem, a nie uganiał po zaułkach Dimaszk asz-Szamu, wiatr łapiąc, może i ty byś niósł teraz taką zdobycz do Skarbca Głównych w chwale zwycięzcy. Więc z drogi. Przejdź, bo cię obić każę!

Anioł-przewodnik szepnął:

– Nie daj się zwieść. To jest najprawdziwszy demon, choć sama głowa. Odbierz ją i przeciągnij przez Bramę do Piekła.

– To demon, emirze. Nawet jeżeli została z niego sama głowa, to wciąż jest demonem. Moim obowiązkiem jest odesłać go do piekła.

Raszid al-Ajjubi wrzucił głowę krzyżowca do sakwy i ująwszy się pod boki, zakpił:

– Czyli mówisz, czcigodny Łowco, że głowa na karku a sama głowa to jedno i to samo. Aż korci mnie, by wypróbować twą teorię w praktyce.

Muhammad Ibn al-Charid poczerwieniał na twarzy. Wyszarpnął zza pasa Lodowy Oddech i z wyciem rzucił się na emira. Siekł mieczem, zatrzymując ostrze o ziarnko piasku przed grdyką al-Ajjubiego.

– To jest Lodowy Oddech, miecz przez siedemdziesiąt dni wykuwany przez siedemdziesięciu aniołów-kowali z oddechu anioła Malika. Jednym uderzeniem mogę zamienić cię w słup lodu razem z twoim koniem. Zanim którykolwiek z twych siepaczy zdąży mrugnąć powieką, drugi cios mieczem rozsypie cię na setki okruszków z sykiem topniejących na słońcu. Nim zdążą wyciągnąć dłonie po swą broń, też będą lodowymi słupami.

Kątem oka Łowca wychwycił jakiś ruch z tyłu. Szabib, a może Omar Hasan, próbował go podejść z kindzałem gotowym do cięcia i dzikim błyskiem w oczach.

Muhammad Ibn al-Charid nie dał się zaskoczyć. Jednym szybkim cięciem miecza zmroził napastnika na podobieństwo lodowej rzeźby. Zakręcił młyńca i siekł po raz wtóry. Po ulicy posypały się z grzechotem lodowe okruszki.

– Zabiłeś Omara Hasana – rzekł zimnym głosem Raszid al-Ajjubi. – To sprowadzi na twą głowę zemstę całej jego rodziny. A najpierw jego brata Szabiba, który jest tutaj.

Miecz zatoczył szerokie koło i z powrotem znalazł się tuż przed grdyką emira.

– Jeszcze słowo, a będą musieli pomścić i ciebie! Al-Ajjubi błysnął gniewnie białkami oczu, ale nic nie powiedział. Jego żołnierze stali bez ruchu, jakby poraził ich już sam widok Lodowego Oddechu. Nie ryzykowali. Nie chcieli skończyć jak Omar Hasan.

Na uliczce zrobiło się pusto. Przechodnie, zazwyczaj wylewający się z Bab al-Amara pełną harmidru falą, teraz wybrali inną drogę. Tylko niewidomy żebrak mełł w ustach jakieś niezrozumiałe prośby nieświadom wydarzeń wokół niego.

– Dobrze... – rzekł Muhammad Ibn al-Charid, gdy wściekłość w oczach emira ustąpiła rezygnacji. Opuścił miecz i schował do pochwy. – A teraz oddaj mi demona.

Raszid al-Ajjubi wystękał zbolalym głosem:

– Nie mogę... Jak ty masz swój obowiązek, tak mam i ja. Jeśli nie oddam głowy niewiernego do Skarbca Główny, to będę musiał oddać swoją.

Łowca Demonów zamyślił się.

– W takim razie niech spór ten rozstrzygnie kadi – rzekł, gdyż w głębi duszy był człowiekiem o sercu wypełnionym pokojem. – Kadi oceni, kto z nas dwóch ma rację.

Ruszyli przez opustoszałą uliczkę w stronę meczetu.

\*\*\*

Kadi urzędował w przybudówce meczetu Omajjadów, siedząc na jedwabnej poduszce na niewielkim podwyższeniu. Po swej lewej stronie miał ławników, po prawej zaś pisarzy sądowych i woźnych. Sędzia był mężczyzną po pięćdziesiątce, dosyć pulchnym, z krótkimi, grubymi palcami zdobnymi w pierścienie. W garści dzierżył oprawione w złoto pióro, które maczał w srebrnym kałamarzu.

I powiadają, że niegdyś sędziowie jadali starą soczewicę z podpłomykami i popijali wodą – pomyślał Muhammad Ibn al-Charid. – Żyli skromnie, ale ferowali sprawiedliwe wyroki. A teraz... Jedwab i złoto; to nie sprzyja pokorze ducha.

Niestety, były to myśli prorocze.

– Hmm... Hmm... – teatralnie zadumał się kadi. – Powiadasz, szacowny Łowco, że ta oto tu głowa niewiernego Franka ścięta przez bohaterów obrońców Al-Kuds jest demonem. Bez wątplenia można powiedzieć, że to Iblis nasłał z krain niewiernych odziane w żelazo rycerstwo, które podnosi swój miecz na bogobojny lud Allaha. W takim sensie, w rzeczy samej, można rzec, ów Frank to demon. Jednak nie mamy przed sobą całego Franka, a jeno jego głowę. Zastanówmy się więc, czy księgi wspominają o tym, by demon składał się z samej głowy.

Kadi zamilkł, obracając pulchnymi paluszkami jeden ze swych pierścieni zwieńczony lśniącem rubinem.

– Nie, księgi o tym nie wspominają, ale też nie zaprzeczają takiej ewentualności – zawyrokował po chwili. – Co daje nam pewną swobodę interpretacji zdarzeń. Zastanówmy się więc. Czy demon, któremu odcięto głowę, jest demonem czy tylko głową demona? Muhammadzie Ibn al-Charidzie, powiedz, jakie czynności musisz wykonać, by pokonać demona.

– Demona nie można zabić, przynajmniej nie leży to w gestii ludzi śmiertelnych jak my. Demona można rozciąć na kawałki, ale będą to wciąż żywe kawałki demona. Zatem demona można najwyżej wysłać do piekieł na sto lat, przeciągając go przez Bramę do Piekieł, ten tu oto spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila.

Muhammad Ibn al-Charid wznosił wysoko dłoń, demonstrując zebranym ów pełen mocy klejnot.

– Hmm... Taaak. Czyli głowa może być wciąż demonem.

Emir Raszid al-Ajjubi zaprotestował:

– Ależ, kadi! Idąc tym tropem, wpadamy w pułapkę logiczną. To jest frankijski rycerz, a nie demon! Tylko szacowny Łowca twierdzi, że mamy do czynienia z demonem. Jednak nie



posiada on na to żadnych dowodów, a sąd, jak widzę, z całym szacunkiem, kadi, bierze te oskarżenia za pewnik. Gdyby nawet założyć, że niewierni, krzyżowcy, to demony, czy wtedy pokonalibyśmy ich mieczami? Czy w obronie naszej wiary, naszej ziemi, posyłałibyśmy do boju żołnierzy zbrojnych w miecze, czy też łowców takich jak ten tutaj? Nie posyłałibyśmy, gdyż wówczas nasza walka nie miałaby sensu i końca. Demony wciąż by żyły, a my nigdy nie obronilibyśmy Al-Kuds. Czy wielki pogromca niewiernych, Salah ad-Din al-Ajjubi, niech mu w niebiesiech aniołowie po wieki pieśni pochwalne śpiewają, stryjeczny brat ojca mojego ojca, szedłby na czele takich dzielnych bojowników jak moja gwardia, czy też stworzyłby armię łowców demonów? Czy Święta Księga nakazuje świętą wojnę z demonami, czy z niewiernymi? Czy mamy krzewić wiarę Allaha wśród ludzi, czy wśród demonów?

Kadi zamyślił się. Wreszcie rzekł.

– Słusznie prawisz, Raszidzie al-Ajjubi. Jeżeli nawet poeci skłonni są zwać Franków demonami, to człek uczony winien stosować bardziej precyzyjne określenia. Czyli niewierny nie może być demonem, najwyżej działać z inspiracji demonów. Czyli głowa, którą nam tu okazujesz, nie może być demonem. Pisarzu, zapisz proszę wyrok. Sprawa zamknięta!

– Kadi! To jest demon, tak mi powiedział anioł-przewodnik. Przysłany przez naszego Pana! On nie może mi się znów wyrwać! Nie może! Tyle dni go ścigam! Tyle nocy śnię o tej chwili! Po to, by taki gnuśny na umyśle i ciele kadi dał mu wolność?! Nie!

– Łowco, opamiętaj się! Decyzje kadiego są ostateczne. Jeżeli się nie zgadzasz, możesz odwołać się do sułtana, który nakaze ponowne rozpatrzenie sprawy. Ale to posiedzenie jest już zamknięte, a wyrok prawomocny.

Muhammad Ibn al-Charid nie potrafił dłużej opanować nerwów.

– Niech piekło pochłonie takiego kadiego! – ryknął wzburzony. – Złoto, kosztowności i drogie stroje! Tylko to mu w głowie, a sprawiedliwość się nie liczy! Ta głowa to demon! Udowodnię to! Potrafię wam to wszystkim pokazać!

Kadi poróżwiał ze złości. Podskoczył jak piłeczka, zrywając się z poduszki.

– Już udowodniłeś swym zachowaniem, że nie masz szacunku dla sądu. Straż! Straż! Pochwycić tego hultaja i wymierzyć mu dwadzieścia batów! I na trzy dni do kozy za obrazę majestatu!

Nim Łowca Demonów zdążył wyszarpnąć z pochwy swój miecz (ale czy wtedy odważyłby się go użyć? Mimo wszystko byli w przybudówce meczetu. Mimo wszystko kadi to kadi, nawet jeżeli gruby i głupi), na jego szyi, piersi i plecach oparły się ostrza dziryków sądowej straży.

Niewiele brakowało – pomyślała z ulgą głowa niewiernego już bezpieczna w sakwie

emira. – A wystarczyłaby próba ognia i od razu wydałoby się, że Łowca ma rację. Wtedy wydrenowałby mnie jak nic.

\*\*\*

Gdy tłum skończył oglądać głowę ściętego niewiernego, gdy już umilkły okrzyki na cześć dzielnych bojowników Allaha, obrońców świętego miasta Al-Kuds, emir wrzucił swe trofeum do worka. Zarzucił pakunek na grzbiet konia, po czym w towarzystwie swoich żołnierzy ruszył wąskimi uliczkami w stronę cytadeli wybudowanej przez dzielnego Salaha ad-Dina.

Strażnicy bez słowa rozwarli bramę, wpuszczając jeźdźców do środka. Wjechali na dziedziniec ze stukotem końskich kopyt. Raszid al-Ajjubi dał znak swoim ludziom, by czekali. W towarzystwie dowódcy straży przeszedł przez wewnętrzne drzwi pokryte mozaiką z wersetami Koranu. W milczeniu szli przez ogarnięty lekkim półmrokiem korytarz, otwierały się przed nimi kolejne i następne drzwi, wreszcie dotarli do przedsionka Skarbca Głów.

– Zostaw ją tu, na marmurowym stole, emirze – rzekł oficer. – Nasi mistrzowie spreparują głowę niewiernego, by nie naruszył jej czas i robaki. Później zajmie należne jej miejsce w Skarbcu. Obok głów innych niewiernych.

Gdy emir z oficerem odeszli, głowa zamruła powiekami. Rozejrzała się uważnie, po czym – upewniwszy się że w pomieszczeniu nikogo nie ma – wypluła spod języka złoty klucz, celując w zakurzone kadzie stojące przy ścianie.

Klucz zabrzączał po kamiennej podłodze i zagłębił się w otulinie starych pajęczyn.

Backdoor zainstalowany.

\*\*\*

Gdy umilkła pieśń muezzina nawołującego do wieczornej modlitwy isza, hasziszijun Sejed rozsunął ostrożnie kadzie wypełnione mazidłami do balsamowania. Rozejrzał się – przedsionek Skarbca Głów był pusty. Wstał, otrzepując ubranie z kurzu i resztek pajęczyn. Wydobył zza pasa kindżał i na palcach zbliżył się do drzwi wyjściowych.

Za nimi cisza. Spokój. Tylko w oddali przytłumione głosy pogrążonych w modlitwie muzułmanów.

Sejed wycofał się w głąb pomieszczenia i stanął przy drzwiach do Skarbca. Działał zgodnie z planem: dostać się do biblioteki Cytadeli. Ale by tego dokonać, musiał zdobyć werset ukryty w Skarbcu Głów. By się dostać do Skarbca... Do Skarbca musiał się po prostu włamać, licząc, że ten nie będzie zbyt dobrze zabezpieczony.

Pchnął masywny rygiel drzwi. Stalowa sztaba nie drgnęła ani o ziarnko piasku. Sejed był na to przygotowany – schował kindżał i sięgnął po przytroczony do pasa masywny topór.

Uderzył. Metal szczęknął złowieszczo, niosąc się echem po przedsionku i dalej po korytarzu. To największe ryzyko – z jednej strony, noc zasnuwała mrokiem wszystko, co powinno zostać ukryte. Z drugiej, niosła głosy, które za dnia znikłyby w ogólnym zgiełku. Sejed chwilę nasłuchiwał, ale najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na ten dźwięk. Uderzył drugi raz i znów nadstawił uszu. Cisza. Nic. Tylko modlitwa w oddali. Już się dłużej nie wahając, wyprowadził na rygiel serię zdecydowanych uderzeń i nim ktokolwiek zdążył zainteresować się hałasem, jeden z nitów mocujących zamek pękł. Jeszcze dwa uderzenia i wejście stało otworem.

Sejed odrzucił topór w kąt i podszedł do drzwi na korytarz. Gdy po dłuższej chwili nikt się nie pojawił, nie zwlekając, ruszył do Skarbca.

Wspomniał słowa szejcha al-dżebela, które usłyszał, nim wkradł się do Cytadeli: „Jest tam wielekroć po sto głów. Głównic zdrajców, ofiar spisków, niewiernych, odszczepieńców w wierze, buntowników sprzeciwiających się sułtanowi... Gdy wejdiesz, tylko jedna powie ci prawdę, reszta będzie kłamać”.

Otworzył drzwi i zapalił lampę oliwną. Głowy spoczywały w rzędach – ułożone na kamiennych półkach, posortowane według numerów katalogu. Sejed wzdrygnął się mimowolnie. Choć nie znał litości, potrafił zabijać i niejedną głowę oddzielił od reszty ciała, I te zgromadzone tutaj zdawały się wciąż żyć i bacznie go obserwować w złowróżnym milczeniu. Perfekcyjnie zabalsamowane – dodał sobie otuchy, po czym ruszył w głąb pomieszczenia. Sięgnął do zakamarków swej szaty i wydobyl z niej butlę z szeroką szyjką. Wyciągnął korek. Ze środka z cichym szumem skrzydeł zaczęły ulatywać nocne motyle. Dziesiątki. Setki. Wylatywały bez końca, jakby butla nie miała dna.

Wtedy głowy przemówiły. Cichym szeptem, jedna przez drugą, w bezładnym chaosie niezrozumiałych zdań.

@@25

Muhammad Ibn al-Charid przerwał modlitwę i zerwał się z kamiennej ławy. Twarz na-biegła mu krwią.

– Twój demon jest tu niedaleko – szepnął anioł-przewodnik.

– Wiem! Sam go wyczuwam. Jest tu, w Cytadeli.

Łowca podbiegł do kraty oddzielającej jego celę od więziennego korytarza.

– Straż! Straż! Jest tam kto, na Allaha!?

Szarpał kratą i krzyczał tak długo, aż pojawił się strażnik. Z wyraźną dezaprobatą rzekł:

– Panie, jest pora modlitwy isza. Co mają znaczyć...

Łowca Demonów przerwał mu w pół zdania.

– Nie ma czasu! Wołaj dowódcę!

– Ależ, panie! Modlitwa...

– Będziesz jeszcze miał czas ją zmówić, nim nastanie świt. Wołaj dowódcę, do Cytadeli wkradł się demon. Złodziej w czarnym stroju! Moją powinnością jest odesłać go na sto lat do piekieł.

Zdziwiony strażnik kręcił głową na wszystkie strony, ale posłuchał. W końcu więzień, którego miał pilnować, to nie jeden z kupców oszukujących przy odważaniu. Ani żebrak zbyt natarczywie wyludzający jałmużnę. Ani bazarowy złodziejasek, ani cudzołożna żona. To Łowca Demonów.

Muhammad Ibn al-Charid nasłuchiwał, sapiąc z gniewu. Strażnik niemrawo wspiał się schodami na górę. Trzasnęły drzwi. Po chwili tak długiej, że jeden oddech zdawał się trwać godzinę, dało się słyszeć ciche skrzypnięcie i już bardziej zdecydowane kroki. Ani chybi dowódca.

– Dowódco, wołaj emira! W cytadeli buszuje demon. Demon w przebraniu hasziszijuna. Wreszcie udowodnię, że miałem rację!

\*\*\*

Szum skrzydełek tysięcy nocnych motyli. Szum cichych kłamstw głów ze Skarbcu. Tylko jedna mówiła prawdę. Ale która?

Ćmy bezładnie krążyły po Skarbcu, bardziej interesując się lampą oliwną Sejeda niż głowami. Nocne motyle skupiły się tak blisko pęłającego ognika, że niemal zdusiły jego blask. Kilka owadów z cichym skwierczeniem spadło na posadzkę.

Hasziszijun zdusił ogień lampki. Zapadła ciemność i chwilę trwało, nim zdążył przyzwyczać wzrok do mroku. Ćmy, pozbawione swego małego bóstwa-światła, rozpięchły się po całym pomieszczeniu, furkocząc skrzydełkami. Sejed czuł ich delikatne muśnięcia na twarzy i dłoniach. Bezwiednie otrząsał się za każdym razem, wciąż czekając, aż jego oczy przebiją noc i wyłowią z niej ledwo dostrzegalne zarysy pomieszczenia.

Ćmy kotłowały się niczym ciemna chmura, jak dym z przygaszonego ogniska, wreszcie jednak pozbawione światła znalazły sobie inne bóstwa: kłamstwa. Poczęły jedna po

drugiej wlatywać do ust szepczących głów. Głowy próbowały je wypluć, ale wytrwale nocne motyle nie poddawały się, ponawiały atak już nie we dwie – trzy, ale dziesiątkami, całą kłębiącą się masą. Głowy milkły z ustami pełnymi szamoczących się owadów.

Sejed czekał cierpliwie, aż nastanie zupełna cisza. Nie, nie cisza. Aż ucichną kłamliwie języki i słyhać będzie tylko szept prawdy. I tak się stało – w końcu tylko jedna głowa wciąż powtarzała swoje wersety, a ómy w ogóle się nią nie zainteresowały. Była schowana gdzieś na dolnej półce, w trzecim rzędzie kamiennej galerii.

Głowa, która mówiła prawdę.

Wszystko szło według planu.

\*\*\*

Emir Raszid al-Ajjubi wyglądał na zmęczonego.

– Panie, nie żywię do ciebie urazy, choć zabiłeś mojego człowieka, Omara Hasana, niech mu Allah niebiosa otworzy. Zabiłeś go w walce, choć była ona zupełnie niepotrzebna. Jednak jeżeli ma to być sposób na wcześniejsze wydostanie się z tego miejsca, to Allah mi świadkiem, że nic z tego. Będziesz siedział tyle, ile nakazał kadi. Choć nawiasem mówiąc, ja też nie przepadam za tym otluszczonym wieprzem. Tym razem jednak wydał sprawiedliwy wyrok.

Łowca Demonów, trzymając nerwy na postronku, grzecznie przemówił:

– Emirze Raszidzie al-Ajjubi, niech cię aniołowie strzegą przed knowaniem rodu Iblisa, niech Allah w swej łaskawości patrzy na ciebie z nieba swym okiem miłości. Twego druha, Omara Hasana, zabiłem, broniąc się przed jego mieczem, i bardzo nad tym boleję. Wiedz jednak, że wszystko to, co mówię o demonach krążących po mieście, džinnach i szatanach siejących rozpacz, zwątpienie, niewiarę, łzy i bluźnierstwo, jest prawdą, którą mogę udowodnić. Wiem, że głowa, którą, emirze, umieściłeś w Skarbcu, przybrała teraz postać nocnego zabójcy, hasziszijjuna w czarnym odzieniu. Sam Iblis tylko wie, jakie są jego zamiary, co knuje i jakie zło może wyrządzić. Jednak ja wiem na pewno, że jest on tutaj.

Emir zadumał się. Świdrował Łowcę przeszywającym wzrokiem, pragnąc wyczytać prawdę z jego oczu.

– Ufam, że twe dowody są równie przekonujące jak słowa – rzekł po namyśle. – Jednak nie mogę cię zwolnić bez porozumienia z kadim, bowiem nie moim jesteś więźniem, lecz prawa. To jeno przypadek, że ja jestem stroną w tym sporze. Teraz, po sprawiedliwym wyroku muszę trzymać się litery prawa i werdyktu kadiego.

Muhammad Ibn al-Charid zawisł bezsilny na kracie. Nie miał pomysłu, jak przekonać

emira.

– Poślij zatem dwóch... Nie, lepiej czterech zbrojnych na obchód Cytadeli. Niech pójdą do Skarbca Głów i rozejrzą się. Jeżeli zobaczą odzianego na czarno ismailitę albo cokolwiek podejrzanego, to znak, że miałem rację. Niechaj wówczas przybieżą, a ty, emirze, będziesz już wiedział, że nie kłamię. Wówczas otworzysz kratę, oddasz mi miecz, a ja go pokonam.

– Jest tylko jeden? Moi ludzie mogą zabić go sami. Faruk! Szabib! Ahmed! Idźcie do Skarbca i sprawdźcie, czy wszystko w porządku. Jak zobaczycie złodzieja, to zabijcie go na miejscu.

Łowca Demonów zatrzęsł kratą i zawołał:

– Emirze, posyłasz ich na pewną śmierć! To nie jest człowiek, tylko demon! Twoi ludzie nie poradzą sobie z nim nawet w dziesięciu!

Raszid al-Ajjubi zawahał się. Oczy Łowcy nie kłamały – widać w nich było niepokój. I żywy blask pewności swych słów, coś, czego zawsze brak w oczach kłamców.

– Dobrze... Niech będzie, jak mówisz. – Odwrócił się do swych żołnierzy i zdecydował. – Idźcie, ale nie wdawajcie się w walkę. Zobaczcie, co jest, i wracać z meldunkiem do mnie.

Faruk, Szabib i Ahmed pomknęli po schodach w górę i zniknęli w mroku.

\*\*\*

Sejed zdjął głowę z kamiennej półki, wrzucił ją do jutowego worka i ruszył w stronę drzwi. Zajrzał do przedsionka. Pusto. Przeszedł bezgłośnie przez pomieszczenie i przystawił ucho do drzwi na korytarz.

W porządku, można otworzyć sobie drogę ucieczki. Sięgnął po topór, którym wcześniej rozbił rygiel do Skarbca. Wziął zamach, gdy nagle...

Z zewnątrz doszły go jakieś przytłumione głosy. Szuranie kroków skradających się wrogów.

– Zamek do Skarbca nietknięty – posłyszał. Ktoś szarpnął za drzwi, próbując odciągnąć rygle. – Nikogo tu nie ma.

– Trzeba sprawdzić w środku – zabrzmiał drugi głos. – Szabib, ty masz klucze. Otwórz, to zajrzemy.

– Sam otwórz. A jeżeli tam jest demon, jak mówił ten Łowca?

– Boisz się? Łowca bredzi, sprzykrzyła mu się ta kamienna ława za kratami.

– A jeżeli mówi prawdę? Demony znają niejedną sztuczkę. Raz widziałem na suku

płatnerzy, jak dzinn przebrany za...

– Nie gadaj, daj te klucze, to otworzę.

Brzęknięcie. I chrobot klucza w zamku. Przez chwilę nic się nie działo, jakby strażników ogarnął strach, że ich tajemniczy wróg natychmiast ruszy do ataku.

Wreszcie drzwi zaczęły powoli się uchylać. Do przedsionka Skarbca wpadł promień światła z oliwnego kaganka niesionego przez Ahmeda.

Nim strażnik na dobre przekroczył próg, Sejed zaatakował. Ciął kindżalem w jego kark. Siła uderzenia była tak wielka, a klinga tak ostra, że na twarzy żołnierza zdążył pojawić się tylko grymas zdziwienia i przerażenia. Zbrojny chwilę stał tak bez ruchu, wreszcie głowa spadła z karku i potoczyła się pod nogi kompanów. Ciało strażnika jeszcze chwilę kiwało się w drzwiach, ściskając w dłoni kaganek, po czym ciężko runęło. Wypuszczona lampa spadła, roztrzaskując się o podłogę. Ogień rozbłysnął żółtopomarańczowym płomieniem, oświetlając twarz Sejeda.

Faruk i Szabib opowiadali później: demon miał dziesięć stóp wzrostu, był cały czarny, a w oczach lśniły mu krwistoczerwone rubiny. Lśniąca, czarna broda rozdzielona na cztery pasma sięgała mu do połowy piersi, pod nią szczyrzyły się lśniące kły większe niżli u lwa. W rękę dzierżył miecz – wielki i zakrzywiony jak kindżał olbrzymów, a na plecach falowały mu dwie pary czarnych skrzydeł. Jego oddech był niczym ogień, palący jak rozgotowana siarka.

Gdy uciekli z wrzaskiem, Sejed ruszył korytarzem w stronę biblioteki. Nie bardzo wiedział, którędy iść, kilka razy skręcił w ślepy korytarz. Wreszcie jednak dobiegł do drzwi zdobnych w kunsztowne ornamenty. Nigdy tu nie był, ale miał nieodparte wrażenie, że kiedyś już widział je we śnie. Wydobył głowę z worka i chwyciwszy ją za włosy, podniósł wysoko do góry. Głowa przemówiła dzwicznym głosem z perskim akcentem:

*Oto głos pieśni rozbrzmiewa pełen mocy,*

*Pieśni słodkiej od miodu, pachnącej cynamonem.*

*Gra jej do wtóru rebab z jęczeniem pośród nocy.*

*Otwierają się łona niewiast miłości spragnione.*

Zaległa cisza. Głowa zamknęła oczy, jakby zapadła w sen. Sejed trzymał ją jeszcze chwilę uniesioną w nadziei, że to nie koniec deklamacji. Spodziewał się jakiejś wielkiej prawdy, a nie miłosnej rymowanki. W końcu była to głowa, która mówi prawdę, a nie ot taki sobie zwykły czerep jakiegoś wierszoklety.

Na próżno – głowa milczała.

Wtedy zniecała szcęknęły rygle i drzwi do biblioteki rozwarły się. Nie przekazała żadnej mądrości, ale podała hasło – ucieszył się Sejed. Odłożył głowę tam, gdzie stał, i ruszył do środka.

Znów ogarnęło go wrażenie, jakby już tu kiedyś był. Zwoje, grube księgi oprawione w metal, mapy, jakieś pojedyncze szychy... Z niedowierzaniem rozejrzał się po wnętrzu i rozpoczął poszukiwania.

Kilka chwil po tym, gdy znalazł to, czego szukał, drzwi do biblioteki otworzyły się z hukiem.

Do pomieszczenia wpadł Muhammad Ibn al-Charid, Łowca Demonów, dzierząc Lodowy Oddech, miecz wykuty z oddechu anioła Malika. Za nim wbiegł emir oraz strażnicy.

Jedynie, co ujrzeli, to opadająca powoli czarna kuffija hasziszijuna. Nakrycie głowy spadło bezszelestnie na pokrytą kurzem podłogę, unosząc w powietrze tylko małą chmurkę pyłu.

Łowca Demonów szpetnie zaklął.

\*\*\*

Zapuszczony w głąb katalogów Skrzydłonogi Hermes przyniósł mu dobre wieści. Znalazł wszystko, czego miał szukać, a nawet więcej.

Zak skopiował dane ze wszystkich lokalizacji i nim zdążył się wylogować, znów odnalazł go defensor – ta sama wredna mała SI, która tak nieustannie na niego polowała. Nie czekając ani chwili, umknął przed ostrza jej miecza, wyskakując z sieci.

Dopiero teraz poczuł zniewalającą falę zmęczenia. Ron Lee mówił coś do niego zza grubej, białej zasłony, która chłoneła kolory i wszelki dźwięk. Zak wpatrywał się w niego tępo, próbując zrozumieć, o co chodzi. Chińczyk, nie doczekawszy się odpowiedzi, machnął ręką i powrócił do swoich spraw.

Zak jeszcze chwilę chwiał się na brzegu swojej pryczy, po czym opadł w tył i zasnął.

\*\*\*

Obudził się w swoim normalnym stanie. Czyli z bólem głowy i niejasnym wspomnieniem nocnych majaków pod powiekami.

Znów śniła mu się Inga. Znów pod postacią wielkiego pająka. Uciekał przed nią uliczkami Damaszku, ale dopadła go, okręciła pajęczyną i zawiesiła na wielkiej sieci rozpiętej nad miastem. Gdy tylko zaczynał wierzgać, kłuła boleśnie szcękoczułkami.

Znów za długo bez snu, za długo w obcym ciele i wirtualnym świecie – pomyślał ze



smutkiem. Tracę zmysły, a tego nie było w umowie. Gdyby nie okoliczności, Claudia musiałaby znacznie podnieść stawkę.

Pierwsze zdania, jakie wyczytał z informacji zdobytych w Emiracie Lacjum, podziałały na niego jak mocna kawa. (Kawa! Ile to już miesięcy nie miał w ustach – swoich, nie głupola – tego smolistego płynu z nutką lekkiej goryczki?!) Od razu pierzchno wspomnienie snów.

Przeglądał pliki z rosnącą złością. Już wiedział, skąd list gończy, skąd pochodziły strzępki informacji Claudii Ronson. Już wiedział, po co potrzebowała Relikwii i że za nic nie mogła być żoną członka Zarządu Pao. Już wiedział, że...

Claudia Ronson była wredną, zdradziecką kurwą i chciała go wykorzystać!

Wiedział już wszystko. Wystarczyło kilka brakujących informacji, a całość ułożyła się w mocny łańcuch faktów, przyczyn, skutków. I wiedział, co go czeka, gdy będzie dalej w to grał według reguł... Claudii? Stelli? Gabrieli? Marii? Dokumenty z Emiratu nie wyjaśniały jej pochodzenia i tego, które z imion jest prawdziwe. Dla wygody postanowił dalej nazywać ją Claudią.

Gdy ochłonął, uświadomił sobie, że jednak wciąż wiele spraw pozostaje niewyjaśnionych. Oczywiście nie miało to większego znaczenia, ale paru puzzli do tego pięknego obrazka brakowało. Gdyby mógł je ułożyć, wiedziałby dokładnie, jakie są zamierzenia Claudii wobec jego osoby, gdy już odda jej Relikwię.

Co teraz?

Chyba nie mam wyboru – pomyślał z goryczą. – Muszę dalej w to brnąć. Tyle że teraz zagramy według moich zasad.

\*\*\*

Połączył się z Malikiem i oderwał go od wirtualnych snów o różnych ogrodach. Klon tryskał energią, choć wydawał się nieco rozkojarzony. Nic dziwnego – Pierre zapuścił mu pornowirtuala „Ali Baba i czterdzieści niewolnic”. Po kilkunastu godzinach podłączenia i tak trzymał się nieźle.

Pierwsza rzecz. Zaprogramowanie karty chipowej, która pozwoli otworzyć skrytkę w Banku Świętego Piotra. Za pomocą komputera Pierre’a wpisał wygenerowany podczas wizyty na serwerze kod do czystej karty. Wszystko zajęło kilka sekund.

Klucz już był, teraz trzeba było zająć się jego właścicielem.

To oczywiste, że nie mógł pojawić się w Enklawie Warsaw City jako Malik al-Madani, algierski Berber z Islamskiej Republiki Maghrebu odziany w tradycyjny arabski

strój. Z ubraniem nie będzie problemu, ale co do reszty... Może lepiej zmienić ID klona? Co to w ogóle za miejsce ta Enklawa? Kiedyś było to Wolne Miasto Warszawa, stolica biznesu ulokowana na styku terytoriów zależnych kilku państw korporacyjnych. Tam mieściły się biura i oficjalne przedstawicielstwa wszystkich koncernów zainteresowanych wpływami w tym rejonie. Mówi się, że było to następne miasto na liście terrorystów, którzy zaatakowali Europę pleśniakiem perskim. Historycy twierdzili, że tylko dzięki przypadkowej wpadce terrorystów Warszawa nie podzieliła losu Berlina, Paryża czy Mediolanu. Później w dżihadowej zawierusze terytoria dawnej Polski zagarnął rosyjski car, nazywając je jak przed dwustu laty Krajem Nadwiślańskim. Pozbawione swych stanów, landów i terytoriów zależnych korpopaństwa początkowo głośno protestowały, ale następne wydarzenia szybko zamknęły im usta. Do Europy wlał się Islam, więc car ze swym dosyć liberalnym podejściem do świata zachodniego był raczej gwarantem pokoju niż najeźdźcą. Władca Rosji chętnie podtrzymywał to mniemanie. Po zajęciu Warszawy zachował dotychczasowy ustrój miasta w niemal niezmienionej postaci. Na mapach pojawiła się „Enklawa Warsaw City”, zaś „Wolne Miasto Warszawa” przeszło do historii, jednak w samym mieście nie zmieniło się nic. Nie wyleciał nawet jeden urzędnik, choć niektórzy właśnie to mieli władcy Rosji za złe. Największym malkontentem zamknęły usta progospodarcze posunięcia cara: zniesione podatki, zniesione cła, zniesione najbardziej restrykcyjne zapisy prawa pracy. Dla korporacji była to rzeczywiście enklawa i stolica dawnej Polski szybko stała się miejscem wielkich interesów i gigantycznych pieniędzy. Rosja finansowo nie zyskała na tym nic, ale zdobyła polityczne poparcie multikorporacji. A na tym carowi zależało najbardziej – został zbawcą Europy.

Taką samą strategię władca zastosował wobec polskich środowisk narodowo-katolickich, które zdawały się wciąż nie zauważać, że świat dookoła się zmienił. Kraj Nadwiślański był jedynym miejscem w imperium, gdzie prawosławie nie zostało wprowadzone jako religia państwowa. Specjalny dekret podkreślał tylko „chrześcijańskie i słowiańskie korzenie” tego regionu, reszta pozostała na zawsze niedopowiedziana. Zachowane pod kloszem Wolne Miasto Częstochowa głośno nazywało cara „Zbawcą Wiary”, a w kościołach obok „Boże, coś Polskę...” śpiewano „Boże, cara chrani”. Uwielbiano go tam za odpór dany Islamowi i „zgniłemu Zachodowi”.

Wszystko to sprawiało jednak, że Malik al-Madani nie mógłby czuć się w Enklawie bezpiecznie. Za sam wygląd szybko dorobiłby się etykiety „terrorysty” i zamiast do Banku Świętego Piotra, trafiłby do aresztu warszawskiej policji.

Hmmm. Skoro nie Berber, to może... Włoch? Tak. Polacy kochają Włochów.

Niemieccy i amerykańscy szefowie korporacji już trochę mniej, dla nich to jednak zbyt leniwy i krzykliwy naród, i do tego uwodzący ich żony. Ale w banku powinien wzbudzić zaufanie.

Najpierw trzeba zadbać o odpowiedni imidż. Dwie przecznice od rue Felice Martin Zak znalazł niewielki zakład fryzjerski w starym stylu. „Fryzjer męski – strzyżemy tradycyjnie i nowocześnie” – głosiły koślawe litery namalowane wprost na szybie. W środku siedziało kilku dziadków czytających gazety. Niemal całkiem wyłysiały właściciel zakładu ostrzył brzytwę na skórzanym pasku. Zak posadził Malika na krzeselku. Czekali.

– Co ma być? – usłyszał, gdy przyszła jego kolej.

– Golenie. I coś z fryzurą chciałbym zrobić.

– A golenie jak ma być? Przysztrzyć bródkę na ajatollaha?

– Nie. Do końca.

– Aaajaj! – zakrzyknął z entuzjazmem fryzjer. – Ma się rozumieć. Brodę golimy, a wąsy a la Saddam.

– Nie! Do końca. Wszystko na gładko. Po europejsku.

Mistrz nożyczek i brzytwy najwyraźniej zaczął węszyć w tym jakiś podstęp.

– Aaaleee... To nie jest zalecane przez władze. Proponowałbym jednak coś mniej ekstrawaganckiego.

Może trzeba było zacząć od stroju? W tym ubraniu Malik niewiele różnił się od funkcjonariuszy Milicji Rewolucyjnej. Nie dziwne, że wzbudzał podejrzenia.

– Drogi panie! Proszę bez obaw ciąć, czuję potrzebę całkowitej odmiany swojego życia. Jestem obcokrajowcem i jutro opuszczam Francję. Chcę na tę podróż nieco się odświeżyć.

– Ach. No skoro tak...

Po kilku minutach Zak patrzył w lustro na gładkie lico Malika.

Potrzebne będą teraz ze dwa dni bez golenia – pomyślał. – Musi być drobny element wystudiowanej nonszalancji.

– Płaci pan...

– Nie! To jeszcze nie wszystko! Teraz fryzura. Ma być tak półkrótka, włosy lekko sfalowane i na to jakąś pomadę. Jaką pan poleca, ma pan jakiś ulubiony gatunek?

– Pomadę? Sfalowane włosy?

W okrągłych jak spodki oczach fryzjera załśnił strach. Cały czas nie ufał Malikowi.

– No tak jak ten taki włoski piłkarz, ten... No jak mu tam... Eee...

– Paolo Martelli? – odpowiedział fryzjer. Już mniej się bał, jego oczy zmalowały do

rozmiarów kapsli.

– Tak, Martelli. Paolo Martelli! Tak ma być. Tak albo jeszcze lepiej! Mistrzu, do dzieła!

Nie miał bladego pojęcia o tym, jak wyglądał Paolo Martelli, ale to nie miało znaczenia. Najwyraźniej mistrz nożyc wiedział, bo z zapalem przystąpił do pracy. Nareszcie miał jakąś odmianę od rutynowych fryzur „pod turban”.

– A to pan szanowny z Italii? – zagadnął już całkowicie uspokojony.

– Mój papa pochodzi z Sycylii. Mama z Tunezji, ale mama nie żyje. To już dziesięć lat, gdy jej nie ma... Papa teraz mieszka w Nowym Jorku, pizzerię prowadzi. Najlepsza pizzeria na Brooklynie, „Palermo”. Pojutrze... Tylko o tym sza! Pojutrze jadę go odwiedzić. Do Ameryki. Nie widzieliśmy się, odkąd mama odeszła. Tyle lat, taka rozłąka, no rozmawialiśmy nieraz, ale takie wideorozmowy to nie to samo...

Dwadzieścia minut później Zak z zadowoleniem oglądał nowy look głupola.

Co prawda – pomyślał – prędzej bym się pochlastał, niż w swoim ciełe wyszedł na ulicę z takim lśniącym barankiem na głowie, ale dla Malika to zdecydowany awans cywilizacyjny. Przynajmniej z europejskiego punktu widzenia.

Ściskając w ręku metalowe pudełko z pomadą, ruszył na zakupy. Same włosy jeszcze nie czynią z człowieka Włocha.

Jakieś sto metrów dalej Zak natrafił na sklep z używaną odzieżą. Tu już poszło łatwiej – nie musiał się specjalnie tłumaczyć. Wybrał obszerną, białą koszulę w stylu europejskim. Taką, którą można rozpiąć na piersi i z dumą prezentować owłosiony tors. Do tego biały sportowy garnitur. Wszystko w całkiem znośnym stanie, choć marynarka miała dziury w kieszeniach. Ale tam nikt nie będzie zaglądał.

Przejrzał się w lustrze. Tak, bez wątplenia właśnie tak musi wyglądać Paolo Martelli! Chociaż... Czegoś mu jeszcze brakowało. Kropkę nad „i” postawił tombakowy łańcuszek kupiony na pobliskim targu. Zawisł na piersi pod lekko rozpiętą koszulą.

To już nawet nie był Włoch, tylko karykatura Włocha. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się, że nie zostało śladu po Maliku al-Madanim. Teraz był tylko...

Hmm. Właśnie – kto? W ID chipa Malika wciąż zapisane były dane, pod jakimi głupol został zarejestrowany w RAC. To mogło oznaczać kłopoty nie mniejsze niż wygląd. Już na lotnisku mogą zdjąć go antyterrorysty. Przez tydzień będą zadawać pytania: co algierski Berber z Islamskiej Republiki Maghrebu robi w Enklawie Warsaw City w europejskim stroju, najwyraźniej udając kogoś innego? Później, gdy okaże się, że Malik został już odnotowany jako klon przez zaprzyjaźnioną policję jednej z korporacji, zaczną

dochodzić, kim jest jego najemca? Co robi w Enklawie Warsaw City poprzez głupola w europejskim stroju, w którego ID zapisane jest „narodowość: berberyjska”?

Więc trzeba zmienić ID. A to nie było proste. Najłatwiej zaprogramować nowego chipa i wszczepić go zamiast starego. Tylko że taka operacja była kłopotliwa fizycznie. Najpierw trzeba chirurgicznie usunąć poprzedni wszczep, umieścić nowy i poczekać, aż zagoją się rany. Owszem – można było nie zawracać sobie głowy babrzącymi się skrzepami. Ale wystarczy, że zauważy je jakiś nadgorliwy celnik na lotnisku, i już cały trud idzie na marne.

Drugi sposób to przeprogramowanie obecnego chipa. Bardzo higieniczna metoda, ale obarczona sporym ryzykiem. Gdyby chodziło o prawdziwy wszczep ID z Islamskiej Republiki Maghrebu, to sprawa polegałaby na prostym przekopiowaniu danych. Ale wypieszczone klony z RAC to inna sprawa! Ich chipy były dobrze zabezpieczone. Nawet drobna nieudana ingerencja w oprogramowanie głupola groziła natychmiastowym zerwaniem kontraktu. Zak momentalnie i nieodwołalnie straciłby kontrolę nad Malikiem, zaś sterowany przez operatorów klon zgłosiłby się do najbliższego biura RAC.

Takie przeróbki – zarówno sprzętowe, jak i programowe – wiązały się jeszcze z innym zagrożeniem. Jeżeli Malik był już gdzieś notowany na podstawie odcisków palców, wzoru siatkówki czy czegokolwiek tam innego, to pojawienie się nowej osoby z tymi samymi znakami rozpoznawczymi wzbudziłoby podejrzenia policji i antyterrorystów. Wystarczyło, że już raz w ciągu ostatnich pięciu lat wysiadał na tym samym lotnisku. Lub spał w hotelu. Lub...

Nie! Zak znowu przyłapał się, że wpada w pułapkę własnych paranoi. Takie już było ryzyko podróżowania na głupolu. Nawet bez przeróbek ID Malik mógł się okazać notowanym w Enklawie zabójcą, gwałcicielem albo pedofilem. Wychodząc nim na ulicę, bez przerwy ryzykował, że obije mu mordę zazdrosny mąż, któremu poprzedni użytkownik Malika uwiódł żonę. Mogło się zdarzyć cokolwiek. Takie myślenie jest bez sensu.

Z kolei wynajmowanie nowego klona oznaczałoby stratę cennych dni czy nawet tygodni. Raz – odstawić Malika do najbliższej wypożyczalni RAC. Czyli najpewniej do Nowego Hongkongu albo do Londynu. Dwa – wyszukać w ofercie jakiegoś niewzbudzającego podejrzeń zamiennika. Z tym pewnie nie byłoby problemów, bo RAC miał wszystko, tylko wybierać i zamawiać. Ale trzy – to oznacza jeszcze z tydzień na zgranie się z nowym klonem, żeby nie było takich sytuacji, jak zrywanie się Malika w Berlinie czy Paryżu. Zawracanie głowy i strata czasu.

Dosyć już tego! To do niczego nie prowadzi. Zak postanowił zaryzykować.

W najgorszym wypadku stracę klona i trafię na czarną listę RAC – pomyślał. – Nic to. Zawsze można skorzystać z oferty konkurencji, w sumie wyjdzie na to samo.

Przywołał Skrzydłonowego Hermesa. Podał mu słowa kluczowe: „RAC, ID chip, zabezpieczenia, software, crack”. Posłał na poszukiwanie danych.

Po kilkunastu sekundach miał już komplet wyników. Jak zawsze było tego zbyt wiele, by ogarnąć wszystko bez paru straconych godzin. Przefiltrował dane, odrzucając starsze niż miesiąc. Zostały tylko te mniej więcej dotyczące okresu, w którym skorzystał z usług RAC. Zaraz jednak przyszło mu do głowy: a co, jeżeli dokonali zdalnych update'ów przy całkowitej niewiedzy wypożyczającego? To przecież norma. Automatyczne uaktualnienia nie śpią.

Po namyśle zawęził pole działania do tygodnia. Miał nadzieję, że od tego czasu nie zdążyli jeszcze nic nowego wymyślić. Z zebranych przez Hermesa dokumentów wynikało, że istotnie. RAC stosuje pięć własnych blokad do chipów ID. Do wszystkich opracowano już trzy gotowe removery, jednak żaden z autorów nie dołączył kodu źródłowego. To niedobrze – cracki często okazywały się gównem i tylko blokowały soft. A przecież w tym przypadku nie było możliwości eksperymentowania.

Trudno. Zak wybrał removera najbardziej szacownego autorstwa – grupy crackerów „Poison Freaks”. Opracowany przez nich softek RAC\_ID\_Destroyer pozwalał usunąć wszystkie blokady i wpisać nowe dane. Nawet więcej – miał niezwykle cenną opcję „backup”.

To ostatecznie najbardziej przekonało Zaka. Przecież klona trzeba będzie oddać w stanie nienaruszonym, bo inaczej przepadnie kaucja. Co prawda to i tak kasa Claudii, ale lepiej bez potrzeby nie palić za sobą mostów.

Wykonał kopię bezpieczeństwa i przygotował nowe dane. Nie zwlekając już, odpalił Destroyera. Wszystko poszło gładko.

Francesco Mancini. Narodowość: włoska. Obywatelstwo: Federacyjna Republika Brazylii.

\*\*\*

Pierre nawet okiem nie mrugnął, widząc nowy imiż Malika.

– Wyjeżdżam – rzekł tonem usprawiedliwienia Zak i to wystarczyło.

– Jakbyś coś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać. Podam ci jeszcze moje dwa dodatkowe numery. Nienotowane jak na razie, więc w razie problemów możesz mnie łąpać.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę, Pierre.

– Spoko. Ja wiem. Może ja też kiedyś będę potrzebował pomocy. Wtedy ty zrobisz, co

trzeba.

Godzinę później Zak pomyślnie przeszedł pierwszą próbę. Celnicy na lotnisku Orly nie zainteresowali się zbyt tandetnym playboyem z tombakowym łańcuszkiem na owłosionej piersi. Takich przechodziło przez bramki dziesiątki.

Gorzej, że nie było bezpośredniego połączenia z Enklawą. Wybrał więc lot przez Moskwę. W sumie dwie godziny podróży więcej, ale nie miał wyjścia. Kiedy w końcu wysiadł na lotnisku Modlin na przedmieściach Enklawy, był pełen złych przeczuć. I rzeczywiście, celnicy okazali się tu bardziej przenikliwi niż ich koledzy po fachu z Paryża.

Blady kurdupel z niewyraźnym wąsikiem i czapką nasadzoną sztywno na czubku głowy najwyraźniej miał taki plan, by się do kogoś bezinteresownie przyczepić.

– Prosimy tu do nas na kontrolę.

– Ale o co chodzi? – Zak, chcąc czy nie, musiał wziąć udział w tym przedstawieniu. – Jestem obywatelem Republiki Brazylii. Przybywam w interesach.

– Brazylia, taaak? A narkotyki gdzie są? Kokaina? Gdzie ukryłeś? Gdzie twój bagaż?

– Nie mam. Tylko podręczny. To, co mam przy sobie.

Kurdupel z wąsikiem nie chciał wierzyć.

– Ooo, to ciekawe. Brazylijczyk przylatuje z Moskwy, bez bagażu, tylko ze szczoteczką do zębów? Czyli co, zdałeś kontrabandę swoim bossom w Moskwie? To po co do Enklawy?

Zak starał się zachować spokój.

– Nie jestem Brazylijczykiem. Jestem Włochem z obywatelstwem brazylijskim. Załatwiam prywatne sprawy.

– Włoch, tak? Proszę zbliżyć się do czytnika. Posłuchał polecenia. Podeszedł we wskazane miejsce i poddał się procedurze.

– Mancini... Francesco?

– Tak. Francesco Mancini.

Celnik skinął porozumiewawczo do kolegi – zwalistego draba w niedopasowanym mundurze. Obaj pochylili się nad wyświetlaczem terminala i długo patrzyli na dane. Zak próbował nie okazywać oznak narastającego niepokoju. Zawiesił wzrok na holograficznej reklamie wódki Wyborowa. Oszroniona flaszka sunęła w przestrzeni kosmicznej majestatycznie niczym prom podchodzący do lądowania na Marsie. Ciekawe, jacy tam są celnicy...

– Aaa! – zagulgotał z uciechy kurdupel. – Pan Mancini używa klona w podróży do Enklawy Warsaw City. A dlaczego nie osobiście?

Kurwa! Trafił się przeklęty służbista z kompleksami. Nie jest dobrze.

– To mój prywatny klon do spraw służbowych – wytłumaczył Zak. Wystarczyłby mocniejszy uścisk dłoni zaciśniętej na gardle naprzykrzającego się celnika. Jeden zdecydowany ruch i kark kurdupła złamałby się jak patyczek. Gdyby tylko mógł! – Nie mam dobrych wspomnień z poprzedniej wizyty w Enklawie. Po samotnym spacerze uliczkami starej Warszawy miałem drutowaną szczękę, toteż wołałem tym razem tego uniknąć. Przeceniłem bezpieczeństwo panujące w tym mieście i wysiłki policji, by zapobiec takim sytuacjom.

Celnik nagle zmiękł.

– Tym razem nie powinno się to zdarzyć. Nowy prezydent jako priorytet potraktował takie sprawy. Proszę, może pan przejść. Życzymy miłego pobytu w Enklawie Warsaw City, panie Mancini.

Żartuje sobie mały kurdupel – stwierdził w myślach Zak, jednak poważna mina celnika mówiła co innego. Najwyraźniej przedstawienie należało uznać za skończone. Czas na brawa.

– Dziękuję – mruknął niepewnie i pięć minut później siedział już w taksówce mknącej autostradą do centrum.

Jeżeli urzędnicy w Banku Świętego Piotra będą równie dociekliwi, marnie to widzę – pomyślał. – Będą kłopoty.

Nie było. Tam na szczęście obowiązywała dyskrecja i złota zasada „klient nasz pan”. Młody urzędnik w szarym garniturze poprosił jedynie o przystawienie klucza do czytnika. Chwilę przeglądał dane na wyświetlaczu. To była największa zmora działań Zaka – nigdy nie widział, co się dzieje na ekranie, a jeśli działo się coś istotnego, mógł to wyczytać tylko z twarzy kontrolującego go urzędnika. Przez te parę sekund – wszechmocnego boga z mocą dawania i odbierania.

Jednak tym razem musiało się wszystko zgadzać. Bankowiec kiwnął tylko głową i poprowadził Zaka wykładanym marmurami korytarzem do pomieszczenia ze skrytkami. Posługując się własnym identyfikatorem, otworzył szerokie, stalowe drzwi i wpuścił go do środka.

– Czy życzy pan sobie, by towarzyszył panu pracownik banku?

– Pracownik? Czyli pan? Nie, nie życzę sobie.

– W takim razie proszę tu podpisać. Urzędnik podsunął Zakowi plik formularzy.

– O, tutaj, tutaj i na końcu. O, w tym miejscu.

– Co to jest?



– Standardowa procedura. Oświadczenie, że zgadza się pan pozostać w pomieszczeniu z sejfami bez towarzyszenia urzędnika bankowego. Na wypadek ataku serca lub innego zdarzenia, które mogłoby stanowić podstawę oskarżenia w procesie cywilnym o niewystarczającą dbałość o klienta na terenie firmy. Jeżeli nie życzy pan sobie oświadczenia w wersji papierowej, mamy też przygotowaną wersję elektroniczną, którą można podpisać cyfrowym kluczem autoryzacyjnym.

Zak rzucił okiem na dokument. Pięć kartek zapisanych drobnym drukiem. Punkty, podpunkty, paragrafy.

– Na Ali... To jest... Santa Madonna! Dlaczego aż tyle?

– Przewidzieliśmy wszystkie możliwe sytuacje, uwzględniając wszelkie znane choroby i przypadłości, które mogą doprowadzić do zasłabnięcia klienta banku. Rozumiem pana zdziwienie. Rzeczywiście, ostatnio ta lista nieco nam urosła. O, proszę, choćby ten paragraf, że nie zaskarży pan naszego banku o zbyt małe rozmiary przycisku „panic button”, który znajduje się tu.

– Urzędnik wskazał czerwone koło rozmiarów średniej pizzy umieszczone na ścianie naprzeciwko skrytek. – Mieliśmy w ostatnich tygodniach pewne niezbyt przyjemne doświadczenia.

Bankowiec uśmiechnął się przepaszająco.

– W porządku. – Zak złożył trzy zamaszyste podpisy i oddał kartki. Jednak to jeszcze nie był koniec.

– Czy będzie pan chciał kontynuować wynajem skrytki?

– Zdecydowanie nie – odparł Zak. Za chwilę przyszło mu do głowy, że to może spowodować niepotrzebne formalności. I rzeczywiście.

– Jak pan sobie życzy – powiedział urzędnik. – Wobec tego ja w tym czasie przygotuję dla pana rachunek.

– Rachunek?

Błąd, błąd, błąd!

– Tak, rachunek za czas wykorzystania skrytki. Czy ma pan konto w naszym banku?

– Ehm... Nie.

– Z tego co widziałem, pańska skrytka została aktywowana dwa lata temu z opcją opłaty na kredyt. Skoro nie ma pan konta w Banku Świętego Piotra, najwyraźniej była to pomyłka któregoś z moich kolegów. W takich okolicznościach zazwyczaj oczekujemy opłaty z góry co najmniej za okres pół roku. U pana nie została wniesiona żadna opata, więc przygotuję szczegółowe rozliczenie.

Zak zaklął w myślach. To on się pomylił, a nie kolega urzędnika. Jakoś nie pomyślał o tym, gdy „wynajmował” skrytkę. No, ale to nie mogła być duża kwota.

– W porządku. Proszę wystawić rachunek.

– Gdy będzie pan gotów, proszę tylko przyłożyć kartę do czytnika. Drzwi otworzą się automatycznie. Przez ten czas nikt nie będzie miał dostępu do pomieszczenia, więc może pan bez obaw załatwić w spokoju swoje sprawy.

Wreszcie bankowiec wyszedł. Stalowa grodz zamknęła się za nim z cichym szumem.

Skrytka numer... 1125. Jest!

Elektroniczny klucz pasował idealnie. Zamek niewielkiego sejfu piknął dźwięcznie, akceptując kod zapisany na karcie. Po chwili niewielkie drzwiczki uchyliły się na szerokość dwóch palców. Zak zajrzał do środka.

Obły pakunek okręcony w białe płótno. Odwinął materiał: szklany pojemnik próżniowy krył poczerniałą, skurczoną ludzką dłoń.

Relikwia.

Albo jedna z kilkunastu podróbek.

Zak opróżnił skrytkę i skierował się do wyjścia. Nawet nie czuł radości...

\*\*\*

Euforia ogarnęła go dopiero po godzinie. Rozliczył się z bankiem, co na szczęście było tylko formalnością, wyszedł na ulicę i dopiero po dłuższym marszu nagle przyszło to uczucie zarazem ulgi i podekscytowania. Chodził zatłoczonymi ulicami Enklawy, ciesząc się jak dziecko. I jak dziecko stanął bezradny przed kolejnym problemem. Co dalej? Wędrowanie z Relikwią ukrytą w torbie lotniczej z nadrukiem „NokiaAir” na dłuższą metę nie było zbyt bezpieczne. Nawet jeżeli celnik na lotnisku w Modlinie bardzo wierzył w moc sprawczą prezydenta miasta.

Więc co dalej?

Najpierw trzeba ustalić, czy na pewno ma oryginał Relikwii. Wszystko na to wskazywało, ale to tylko poszlaki, nie pewność. W tym labiryncie było zbyt wiele ślepych zaułków. Więc na razie wykonał tylko pół roboty. Znalazł jakąś Relikwię, ale czy prawdziwą?

Przypomniał sobie rozmowę z Claudią, gdy wynajmowała go do tej roboty. Najwyraźniej wbrew temu, co mówiła, sama nie miała wzorca DNA. Albo brakowało jej dowodu, że posiadany przez nią wzorzec jest autentyczny.

Zobaczę, jak się ułożą sprawy – myślał Zak. – Im więcej argumentów w ręku, tym

lepsza pozycja. To będzie moja karta przetargowa. Zakładając, że to prawdziwa dłoń Jana Pawła II, oddanie jej Claudii nie wchodzi na razie w grę. Nie tak od razu. Ona rozdaje karty, ale ja mam asa w rękawie. Jak potwierdzę zgodność kodu DNA, będę miał już dwa asy. Wtedy to ona będzie musiała pójść na moje warunki. No dobra, więc co dalej?

Kolejne dwadzieścia minut spędził, pojąc klona jakimś niebieskozielonym drinkiem energetycznym w lannerskiej knajpie przy placu Trzech Krzyży. W tym czasie już zdecydował, co robić. Przede wszystkim musiał bezpiecznie wywieźć Relikwię z Enklawy. Samoloty odpadały. Wścibscy celnicy na lotnisku tym razem nie daliby się zbyć byle opowieścią o filmowym rekwizycie z „Rodziny Addamsów” czy czymś takim.

Ale za to kontrola graniczna w transrapidzie z Warsaw City do Gdańska była tylko formalnością. Choć administracyjnie Enklawa tworzyła zupełnie inny, oddzielny organizm niż otaczający ją Kraj Nadwiślański, to celnicy na przejściu pragnęli tylko, by nie zawracać im głowy nieistotnymi pierdołami. Dzięki temu Zak po godzinie przechadzał się uliczkami Gdańska, a w kieszeni Malika/Francesca bezpiecznie spoczywał prostokątny kawałek papieru uprawniający do rejsu turystycznym wodolotem na trasie Gdańsk-Karlskrona.

Korzystając z chwili wolnego czasu, zajął się realizacją kolejnego punktu planu. W jednym ze sklepików kupił szczypczyki do obcinania skórek przy paznokciach i paczkę stu sztuk niewielkich torebek foliowych ze szczelnym zamknięciem. Takich jak do porcjowania dragów. Wziął pierwsze trzy, pozostałe 97 wyrzucił, żeby przypadkiem ktoś nie wziął go za dilerą.

Rosyjscy celnicy w porcie zadowolili się półtoralitrową butelką Finlandii i nie pytali więcej, co to za dziwny, pomarszczony przedmiot w torbie Zaka, który wyglądał jak ucięta i zmumifikowana dłoń ludzka.

Kiedy na horyzoncie zniknęły zamglone kontury Rosji, Zak wiedział już, że wygrał. Zszedł na najniższy pokład, gdzie było najmniej turystów. Tam zamknął się w toalecie.

Wyjął torbę i odkręcił pojemnik. Powietrze z cichym świstem wdarło się do środka. Uderzył go ostry zapach chemikaliów. Niezrażony tym wysunął delikatnie Relikwię i przyjrzał się jej podstawie. W miejscu, gdzie niegdyś widniała złota oprawa, teraz zwisały strzępki suchej skóry. Zak miał nadzieję, że środki konserwujące nie wypłukały stamtąd DNA. Sięgnął po szczypczyki, oderwał trzy niewielkie kawałki skóry i umieścił każdy w osobnej torebce. Po namyśle obejrzał jeszcze górną część dłoni. Niestety, zamiast paznokci tkwiły w niej miedziane blaszki (kiedyś wstawili tu złote, tak jak gwint u podstawy – przypomniał sobie). Oderwał więc jeszcze trzy drobiny skóry spod nasady kciuka i dorzucił do torebek. Tyle próbek musiało wystarczyć.

Zsunął dłoń do pojemnika i zamknął pokrywę. Automatyczna pompa wyssała z niej powietrze. Miał już wszystko, co trzeba.

Celnicy z Republiki VolvoSaabScania byli tolerancyjni – o Relikwii nie mieli bladego pojęcia, a uschniętą dłoń w próżniowym pojemniku potraktowali na równi z drewnianymi babuszkami wkładanymi jedna w drugą. Słowiański folklor po prostu.

W Karlskronie złapał szybki pociąg do Sztokholmu. W drodze, płacąc juanami zgromadzonymi w pamięci panasonica, kupił łączony bilet ze Sztokholmu do Nowego Hongkongu i stamtąd do Londynu. Jednak wcale nie zamierzał tam lecieć. Na pewno nie na Grenlandię. Na lotnisku od razu podszedł do okienka z rezerwacją lotów.

– Pół godziny temu zabukowałem online lot na nazwisko Mancini. Chciałbym zmienić tę rezerwację. Zamiast do Hongkongu poproszę do Reykjaviku, a stamtąd już bez zmian do Londynu. W najbliższych możliwych terminach.

– Oczywiście... Sprawdźmy, jakie są możliwości – zaszczebiotała czarnoskóra bogini w okienku. Błysnęła modnymi wszczepami RainbowEyez® w minutowych cyklach zmieniających kolor oczu. – Tak, jest wolne miejsce na lot za godzinę... A ile chce pan pozostać na miejscu, w Reykjaviku?

– Wystarczy godzina, dwie.

– Jest lot do Londynu w dwie i pół godziny później.

– Pasuje. Proszę mi to zarezerwować.

– Ale proszę pana, takie zestawienie lotów kosztuje mniej niż to, za które uiszczył pan opłatę.

– Nie szkodzi.

– Musimy panu zwrócić różnicę. Czy życzy pan sobie przelew zwrotny na to samo konto?

– Wprost przeciwnie. Nie życzę sobie żadnych przelewów. Wydajecie gotówkę?

– Nie, proszę pana. W naszym kraju gotówka została wycofana z obrotu konsumenckiego.

– Okej, to nieważne. Żadnych przelewów.

– Niestety, przepisy wymagają, by...

– W porządku, domyślam się, czego wymagają. Co mogę dostać jeszcze za tę kwotę? Biznesklasa?

Czarnoskóra piękność chwilę wpatrywała się w wyświetlacz.

– Niestety, za klasę biznes musiałby pan dopłacić jeszcze... 500 koron.

– Odpada. To w takim razie proszę przelać nadpłatę, ale nie na konto, z którego

dokonałem rezerwacji. Numer...

– Niestety, przepisy nie pozwalają nam na zwrot nadpłaty na inne konto niż to, z którego została dokonana rezerwacja.

– To absurd. Chcę przelać pieniądze do banku w Chile. Nic innego nie wchodzi w grę.

– Niestety, przykro mi. Ze względu na bezpieczeństwo transakcji przepisy wymagają...

– Dość! Nie chcę już tego słuchać!

– Może pan zamówić za tę kwotę napoje i poczęstunek serwowane na pokładzie.

– Może być.

Dziewięćdziesiąt minut później Francesco Mancini wysiadał z samolotu na lotnisku w Keflavik. W podróżnej torbie obok Relikwii znalazło się dziesięć puszek coca-coli, trzynaście paczek solonych orzeszków, pięć czekolad i butelka wina. Nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Nie był głodny – na pokładzie zjadł już obiad i wypił dwa carlsbergi.

W końcu wyrzucił wszystko obok pojemnika na śmieci. Pięć minut i znajdą to kłoszardzi. Zadowolony z siebie ruszył na peron jednoszynowej kolejki dojazdowej.

Kwadrans później znalazł się w Reykjavíku, stolicy Islandzkiej Republiki Matsushita.

\*\*\*

Teraz tylko ukryć Relikwię.

Sejf w banku? Z tym było jednak zbyt dużo komplikacji. Gadatliwy urzędnik, wpisy w bazie danych, dodatkowe oświadczenia, rachunki... To ma być anonimowość? Nie, potrzebował czegoś prostszego. Czegoś banalnego. Niewyszukanego, a przy tym względnie bezpiecznego.

Skrytka na dworcu kolejki dojazdowej? No tak, to było wystarczająco banalne i niewyszukane. Takie miejsce nie powinno wzbudzić podejrzeń. Ale czy jest bezpieczne?

Skoro udało mi się wynieść Relikwię z Banku Świętego Piotra, to nic nie jest bezpieczne – stwierdził w myślach. – Więc co za różnica, bank czy dworzec?

Umieścił torbę w schowku i wygenerował szyfr. Dźwięk zatrzasniętych drzwiczek sejfu rozniósł się krótkim echem po poczekalni.

Pochodził trochę po mieście. Centrum Reykjavíku rozbrzmiewało dziesiątkami języków, jednak najgłośniejszym było japoński. Po tym jak cesarz Chin zaanektował Japonię, Islandzka Republika Matsushita stała się naturalnym schronieniem dla wielu jej mieszkańców. Obszedł centrum, w końcu wsiadł z powrotem do kolejki. Wrócił do Keflavik, w ostatniej chwili łapiąc poranny samolot do Londynu.

Misja wykonana. Przynajmniej w połowie. Najważniejsze, że zdobycz spoczywała w bezpiecznym miejscu z dala od islamskich fanatyków. Z dala od polskich oszołomów. Wreszcie z dala od Claudii Ronson i jej sieci niejasnych intryg. Gdyby chciała prześledzić jego trasę, analizując poniesione wydatki, wydruki z kont powiedzą jej: Zak w ciele klona był w Enklawie, Gdańsku, Sztokholmie, skąd doleciał do Nowego Hongkongu. Ostatecznie zatrzymał się w Londynie. Czyli gdzieś tam musi być Relikwia. Skoro w Nowym Hongkongu zatrzymał się tak krótko, to znaczy, że poleciał tam tylko ukryć dłoń papieża. Tyle wyjdzie z billingu i analizy wydatków. Nawet jakby Claudia pogrzebała trochę dłużej, nie doszłaby do Reykjavíku. To tak na wszelki wypadek, gdyby chciała go wcześniej wyeliminować z gry.

W Londynie znajdowało się biuro RAC i Zak chętnie odstawiłby już klona na miejsce. Jednak zdobycie Relikwii nie było ostatnim zadaniem dla Malika/Francesca. Pozostawała jeszcze weryfikacja DNA, a do tego potrzebował właściwego wzorca. Do tego czasu klon z trzema próbkami musiał gdzieś przeczekać. To nie było wygodne rozwiązanie – głupol pozostawiany sam sobie to zawsze niewiadoma.

Trudno. Wynajął mu na tydzień jakiś zapluskwiony pokój z kablówką. Niezbyt ciekawa okolica – sezonowi robotnicy, bezrobotni, młodociane złodziejaszki, prostytutki... Po ostatniej zmianie imidzu jego klon wyglądał zbyt dobrze. Nie nosił już co prawda tombakowego łańcuszka na szyi, ale biały garnitur raził. Z drugiej strony, Malik/Francesco nie miał nic cennego, więc jak się nie będzie ruszał, kłopoty nie powinny przyjść do niego same.

Wypełnił niewielką lodówkę kilkoma mrożonymi pizzami pepperoni. Schował próbki pobrane z Relikwii w metalowej nodze łóżka, włączył głupolowi telewizor i wylogował się.

@@26

Zniekształcony gorącym oddechem pustyni Dimaszk asz-Szam falował na horyzoncie owiewany kłębam kurzu. Z daleka sprawiał wrażenie mirażu, zwiewnego malunku diabłów pustynnych.

Muhammad Ibn al-Charid odwrócił się. Przed nim skały. Za skałami Liban i inne krainy. Po prawej stronie, parę dni drogi – Turcja i kraje niewiernych. Po przeciwnej – Egipt z plantacjami nadnilańskiego tytoniu.

– Tu też, Panie mój, przebiega granica mojej wiary – szepnęła z goryczą Łowca. – Za tymi skałami jest już tylko niewiara. Tam czyhają demony, śmiejąc się i drwiąc z Ciebie, mój Panie, i ze mnie, Twego sługi. Tutaj rozciąga się moja osobista granica Piekieł i Niebios.

Panie! Każda moja przegrana, a zwycięstwo demonów, zbliża mnie do tej granicy. Teraz stoję już na samej linii. Jestem Łowcą Demonów z Twojej woli, mam Bramę do Piekieł i Lodowy Oddech. Mam małego anioła-przewodnika.

Muhammad Ibn al-Charid zamilkł – nagle wstrząsnął nim dreszcz.

Czy to, co mówię, nie jest bluźnierstwem? – pomyślał z niepokojem. – Czy to moje słowa, czy Iblis wkłada mi je do ust?

Nim wiatr przesypał tysiąc razy po tysiąckroć ziaren piasku, Łowca otrząsnął się i ciągnął dalej, nie dając pola wątpliwościom:

– Panie mój! Nie bluźnię, tylko dzielę się z Tobą moim bólem! Mam wszystko, co mi dałeś, bym przez czyny głosił Twą chwałę. Mimo to hulający po mieście Demon w Przebraniu Cudzoziemskiego Kupca także i Hasziszijjuna albo Głowy Niewiernego ma większą moc niż ja. Nie jestem w stanie go pokonać. Dlaczego? A inne demony? Te silniejsze od niego? Co będzie, gdy nagle zjawią się ich całe zastępy w Dimaszku asz-Szamiem? Co wtedy pocznę?

Osunął się powoli na kolana.

– Panie mój! – westchnął ciężko. – Nie jestem w stanie objąć umysłem Twych planów i wyroków, więc tym bardziej powiedz mi: czy moim przeznaczeniem jest łowienie demonów, czy też to ja mam być ich zabawką? Czy moim przeznaczeniem jest wieczna przegrana? Jeżeli tak, to czyż nie lepiej od razu złożyć broń? I czyż nie lepiej by mi było pozostać tylko wyplataczem koszy? Moje przeznaczenie wypełniłoby się i tak. Nie muszę siec mieczem, nie muszę się też zmagać z demonami w moim sercu. Może więc lepiej od razu przejść za te skały, tam gdzie już pełny triumf demonów i pełne moje przeznaczenie? Czy taką rolę zapisano dla mnie w wielkiej Księdze Przeznaczenia?

Łowca opadł bez sił i przylgnął policzkiem do rozpalonego piasku. Nie czuł gorąca. Tylko chłód żalu. Wstrząsały nim dreszcze. Wokół panowała cisza, nie licząc wplatającego się w wycie wiatru chichotu diabłów.

Nie dostanę odpowiedzi, póki nie przekroczę skalnej granicy wiary i niewiary – pomyślał, ale wciąż nie mógł się na to zdecydować. Zaciśnął pięści. Tak leżał.

Ocknął się, gdy już ciemniało. Szła noc. Wielbłąd deptał piasek niespokojnie, jakby wyczuwał gdzieś za skałą drapieznika. Albo demona.

Muhammad Ibn al-Charid w nagłym odruchu zerwał się z ziemi i wspiął na grzbiet dromadera. Nie pozostawiając sobie czasu na wątpliwości, ruszył ku skałom. Dalej, za horyzont. W głowie czuł pustkę. W uszach szum. Serce łomotało. Co za horyzontem? Co za skałami?

Nagle wielbłąd Muhammada zaryczał przerażony i wierzgnął tylnymi nogami, niemal zrzucając jeźdźca. Zatańczył na rozgrzanym piasku tańcem dzikim, tańcem strachu, tańcem ucieczki. Łowca Demonów próbował okiełznać oszalałe zwierzę – spiął wodze, otworzył usta, by krzykiem wymóc posłuszeństwo. Nie zdążył. Wciągnął tylko ze świstem powietrze, za chwilę już był w górze, kątem oka widząc walącego się na piasek dromadera. Uderzył plecami o twardą wydmę, a siła upadku wybiła mu oddech z płuc.

Na szczycie skalistego wzgórza stał anioł Dżibril, dosiadając białego konia. Wyglądał tak dostojnie jak wtedy, gdy Muhammad Ibn al-Charid spotkał go pierwszy raz. A nawet bardziej, po stokroć! Ciało anioła było białe jak kreda, na ramiona spływały mu czarne niczym węgle włosy, a na pierś czarna, rozwidlona broda, sztywna i lśniąca od wonnej pomady. Oczy Dżibrila lśniły niczym dwa królewskie diamenty. Cztery skrzydła anioła poruszały się lekko, nie wydając jednak nawet najcichszego dźwięku. Jego rumak stał bez ruchu w pięknej pozie niczym wykuty w białym marmurze posąg.

– Zgrzeszyłeś sercem, swymi myślami, ale nie pozwolę ci zgrzeszyć czynem! – zagrzemiał anioł, a głos jego potoczył się echem po skalnych rozpadlinach. – Zwątpiłeś w chwałę Pana pokonany przez dziecię Iblisa. Pokonany po dwakroć. W mieczu, co może zdarzyć się najsilniejszemu wojownikowi. Najdzielniejszemu Łowcy. I pokonany po raz wtóry w sercu, w swej wierze. Iblis pokonał cię mieczem, ale twa prawdziwa przegrana to utrata wiary. Nawet chwilowa. Toteż powiadam, nie pozwolę ci zgrzeszyć czynem. Wtedy pokonany byłbyś po raz trzeci, a twa droga do Wiecznego Szczęścia została na wieki zamknięta.

Muhammad Ibn al-Charid z trudem podźwignął się z ziemi, wypluwając ziarna piasku. Chciał błagać o przebaczenie, ale z ust wydobył mu się tylko cichy skrzek.

– Nic nie mów, masz tylko słuchać – uciął krótko anioł Dżibril. – Byłeś wiernym sługą Pana, jego najlepszym i najbardziej wytrwałym Łowcą. Wysłałeś do piekieł najgroźniejsze demony, przed którymi inni jeno czmychali w popłochu. Teraz zgrzeszyłeś, ale masz oto możliwość odkupienia. Nic nie mów! Nie przybyłem tu po to, by cię sądzić, bo to domena naszego Pana. Przyszedłem tutaj, byś wysłuchał mego posłannictwa. A więc słuchaj!

## DRUGA OPOWIEŚĆ ANIOŁA DŻIBRILA

Jak wiesz, ziemia, na której żyjesz, nazywa się Ard. To najwyższa z siedmiu ziem, ponad którą znajduje się już tylko siedem nieboskłonów, a ponad nimi Tron Allaha. Poniżej ziemi Ard rozciąga się ziemia Ramaka, na której przez wieki aniołowie trzymali na



łańcuchach wiatr Sądu Ostatecznego. Było tak do dnia, gdy Pan uczynił ziemię Ramakę na podobieństwo Ard, przyspieszając czas o setki lat. Tym sposobem chciał Najmędrszy zobaczyć, jak poradzi sobie rodzaj ludzki z trudami żywota. Jak spełnia przykazania i czy ludzkość w pełni pojmuje prawa, które jej zostały dane w Świętej Księdze Koran.

Zasmucił się Pan, widząc, co się dzieje na ziemi Ramace, bowiem przekonał się, że ludzki rodzaj jest tak niedoskonały, że nie przestrzega Jego praw – z lenistwa bądź niezrozumienia. Przekonał się Najwyższy, że i dla życia na Ard nie będzie nadziei, jeżeli ludzie nie wsłuchają się w słowa Księgi. I tylko setki po tysiącokroć meczetów na ziemi Ramace wstrzymały Pana przed jej zniszczeniem. Postanowił chronić jednak Ard i ty, jako Łowca Demonów, byłeś jednym z jego najwierniejszych sług. Ty pomagałeś w Bożym dziele.

Jednak Iblis nie śpi, lecz wytrwale knuje, a z nim całe jego liczne potomstwo. Z ziemi Ramaki nieustannie przenikają na Ard złe demony i najzłośliwsze dzinny, niektóre – mocą Iblisa – wracają na Ard, chociaż były wcześniej odesłane do piekieł, przeciągnięte przez Bramę do Piekieł. Niektóre wymykają się spod mieczy Łowców, czyniąc co dzień tyle zła, ile piasku przesypuje wiatr na tej pustyni w ciągu całego roku. Widać nie znają moresu demony. Iblis płodzi je bez opamiętania i bez końca płodzi je jego potomstwo.

Pan nasz, widząc twoją troskę, twój ból, twoją rozpacz, a zarazem ceniąc twoje dotychczasowe oddanie, wierność i odwagę, wysłał mnie tu, bym powstrzymał cię przed grzechem przez czyny. I daję ci nową moc, nową siłę. I nowe zadanie. Pan nasz, w swej niewysłowionej mądrości, postanowił pobić Iblisa jego własną bronią. Postanowił bowiem wysłać swe najwierniejsze sługi na ziemię Ramakę i sprawić, by demony nie ważyły się wnikać na Ard. Żeby nie ważyły się także siać dłużej zamętu na Ramace, bowiem to, co z początku było dla Najwyższego jeno odbiciem Ard, zaczęło żyć własnym życiem. I rosną tam meczety, a pośród grzeszników i bluźnierców są też wierni słudzy Pana, tacy jak ty.

Demon, który tyle razy zdrwił z ciebie, przybierając postać cudzoziemskiego kupca czy to hasziszijjuna, czy to otaczając się rozmaitą diabelską menażerią, to jeden z najzdolniejszych uczniów nauk Iblisa, który na spokojnej ziemi Ard wprowadził wiele zamętu. Zwie się ten demon Zakka i na ziemi Ramace też potrafi przybierać różne postaci. Potrafi być człowiekiem, którego niewprawne oko nie odróżni od innych pobożnych wyznawców Allaha, a jak chce, zmienia się nawet w muchę. Groźny to demon i podstępny, toteż nie dziw się, że zakpił sobie z ciebie tak łatwo. Zakpił nie tylko z ciebie. Zakpił z wielu. Zakpił z Pana naszego, zakpił z Księgi, zakpił z porządku naszego świata. I dlatego Najrozważniejszy pozwala ci i nakazuje ścigać go na ziemi Ramace, a jak będzie trzeba, na innych ziemiach, nawet i w Piekle.

Ziemia Ramaka w niczym nie przypomina świata, do którego przywykłeś na Ard. Czas w ciągu jednego dnia przyspieszył tam o osiem stuleci i dopiero wtedy zwolnił, i powrócił do właściwego tempa. Zobacysz tam cuda, jakich długo jeszcze, a może nigdy na Ard rodzaj ludzki nie uświadczy. Zobacysz tam rzeczy, które będą ci obce, ale Pan nasz sprawi, że nie będziesz się ich lękał i nie będziesz się im dziwił. Gdy wejdiesz na ziemię Ramakę, Najprzenikliwszy sprawi, że staniesz się częścią tamtego świata, nawet twe myśli będą przynależały do tamtej ziemi, zaś Ard pozostanie tylko mglistym wspomnieniem. Nie na zawsze – tak długo, jak będzie trzeba, tak długo, jak Pan nasz zechce.

Na ziemię Ramakę zostanie przeniesiony twój duch, zaś ciało pozostanie tu, na Ard. To będzie twoja moc, gdyż demon Zakka posiadał sztukę przechodzenia z ciała do ciała lepiej niż ktokolwiek inny. By go pokonać, musisz mu dorównać. W swym nowym ciele będziesz czuł się tak, jakbyś się w nim urodził, toteż porzuć lęk. Dziwny świat Ramaki nie będzie miał dla ciebie tajemnic, chociaż będziesz tam walczyć inną bronią, w innych miejscach. Skoro wątpiłeś, że istnieje świat poza tymi skałami, które teraz chciałeś przekroczyć, szargając ufność w Panu, będziesz miał okazję zobaczyć więcej tego świata, niżbyś śmiał i jakikolwiek śmiertelnik mógłby marzyć. Ale strzeż się! To nie będzie łatwe! To nie będzie przyjemne!

Do pomocy dostaniesz anioła-przewodnika, takiego samego, jaki kierował twymi poczynaniami w uliczkach Dimaszk asz-Szamu. Ten anioł zna ziemię Ramakę i zawsze będzie podpowiadał ci, co znaczą dziwa tamtego świata. Będzie podpowiadał ci, gdzie znaleźć, gdzie tropić demona Zakkę i jego pomocników z rodu Faktasy.

Twoje zadanie to zabić. Tak, zabić! Powiesz: „Jak to możliwe? Przecież śmiertelnik nie ma mocy, by zabić demona, najwyżej odesłać go do Piekieł, przeciągając przez Bramę”. Tak, to prawda. I nie, bo od dziś Wszechmocny daje ci moc zabijania demonów, ale tylko na ziemi Ramace. Tam musisz zabić demona Zakkę i jak będzie trzeba, wszystkie demony z jego plemienia.

Bądź gotów na wezwanie. Gdy przyjdzie chwila, nie zdążysz nawet mrugnąć, a znajdziesz się w nowym ciele na drugiej ziemi. Wtedy rozpocznie się ostatni rozdział twojej Księgi Ziemskiego Życia. Ostatni, ale pełen chwały. Po nim wyczekuj już tylko wiecznego życia w Raju.

Tymi słowy anioł Dżibril zakończył swą opowieść. Zapadła uroczysta cisza, zdawało się tylko, że ostanie słowa Bożego posłańca rozbrzmiewają gdzieś między kamienistymi rozpadlinami. Muhammad Ibn al-Charid nie śmiał otworzyć ust, przez środek jego głowy – jak w tych najgorszych chwilach – znowu pastuchowie pędzili stado rżących i narowiących

się osłów. Nie mógł zebrać myśli, te uciekły przed rykiem kłapouchych bydła.

Anioł Dżibril zdawał się to rozumieć. Nim księżyc na dobre zapanował nad pustynią, rzekł:

– Oto moje posłannictwo od Najmędrszego. Teraz wróć do miasta, modląc się, a gdy już tam dotrzesz, idź do meczetu i w skupieniu przemyśl Słowo Boże. Świt powitasz już na ziemi Ramace. Więc idź!

Muhammad Ibn al-Charid uczynił tak, jak nakazał mu anioł.

\*\*\*

Relikwia... Znaleziona, zdobyta, bezpiecznie schowana. Z tym że dopóki nie miał potwierdzenia zgodności DNA, zawartość białej torby NokiaAir pozostawała tylko zwykłą, pomarszczoną ludzką dłonią.

Jak to powiedziała chłodna pani Ronson? „Jedynym sposobem identyfikacji Relikwii jest porównanie kodu genetycznego. Musisz znaleźć wzór DNA pochodzący ze źródeł watykańskich”.

Ze źródeł watykańskich... Ale z którego Watykanu – tego dawnego, zburzonego w trakcie Dżihadu, czy Nowego, przylepionego do Sao Paulo? Ciekawe, skąd pochodził jej wzorec? Ten, którego nie chciała mu dać. Ten, z którym musi się zgodzić zdobyta Relikwia.

Zaczął analizować zebrane wcześniej informacje. Po pierwsze, certyfikaty autentyczności dotychczasowych relikwii wystawiał Watykan rzymski. Tylko jak przebiegał proces weryfikacji? Przez badania DNA czy za pośrednictwem aniołów i wszystkich świętych? Tego nie wiedział i trudno było teraz do tego dojść. Tym bardziej że Nowy Watykan zaprzestał chyba tych praktyk. Może w tamtejszych archiwach nie mieli odpowiednich danych?

Druha rzecz: Zakon Maryi Królowej przeprowadzał jakieś badania DNA Relikwii. Zaraz, zaraz, gdzie to było? Przesłuchania w Emiracie Lacjum? Świadek nr 1: Jacob Vicher? Nie. Świadek nr 2: Janos Geryek? Tak! To ten nawalony skopolaminą fanatyk bredzący coś o archaniele Gabrielu. Zak zaczął uważnie czytać stenogram jego zeznania.

„Pewność uzyskaliśmy dopiero, gdy odzyskaliśmy Dłoń Czyniącą Znak Krzyża i porównaliśmy nieco już zdeformowane linie papilarne i kod DNA. Wszystko się zgadzało!”.

To wskazywało, że wzorec papieskiego DNA powinien znajdować się wśród tych plików z archiwum tajnej policji Emiratu Lacjum. Ale gdzie? Wszystkie dane dotyczące Zakonu miał u siebie. Ponowne włamywanie się w to samo miejsce i szukanie w innych katalogach nie było dobrym pomysłem – już i tak narobił niezłego dymu. Teraz lepiej było

trzymać się z dala od tajnej policji.

A co z archiwum Watykanu rzymskiego? Te dane były praktycznie nie do odzyskania – albo nie istniały, albo zostały zniszczone w trakcie Dżihadu lub też w czasie politycznych i religijnych zawirowań tuż po nim. Przeszukiwanie tego zajęłoby lata.

A może wiarygodny wzorzec jest gdzieś jeszcze? Zak uruchomił Skrzydłonogiego Hermesa, podając mu hasło „DNA Jan Paweł II”. Posłaniec wrócił po minucie z ponad osiemnastoma tysiącami linków. Zak kazał mu zawęzić pole działania – dorzucił „źródło watykańskie” i zaznaczył opcję „szukaj dokładnej frazy”. Tym razem Hermes podał odnośniki do trzech tysięcy dokumentów.

Zak zaczął je pobieżnie przeglądać. Pierwszy tysiąc na spokojnie, potem już z coraz większym zniecierpliwieniem. Owszem, było sporo ofert. Meksykańska firma Ciudad DNA miała w sprzedaży „oryginalny materiał genetyczny do klonowania” i wzorce DNA chyba każdej postaci, której nazwisko można znaleźć w „Encyklopedii XX wieku”. Marilyn Monroe, Che Guevara, John Lennon, Malcolm X, Osama Ibn Laden, księżna Diana... No i Jan Paweł II. Podobny asortyment oferowało chyba z piętnaście innych meksykańskich „instytutów”. Kilka z nich zachwalało „ostatni mililitr spermy Elvisa Presleya”, jeden proponował nawet kupno zmumifikowanego członka Adolfa Hitlera, zakonserwowanego w formalinie mózgu Alberta Einsteina, jak również „starannie sprawdzonej z dokładnością do 1,23 genomu dłoni Jana Pawła II”.

Nieco bardziej obiecująco wyglądała oferta laboratorium genetycznego o wymownej nazwie Geno'o'Type z UCA. Jej analitycy za 3000 UCD byli gotowi porównać próbki dowolnego materiału genetycznego z danymi zgromadzonymi w ich bazie danych. W tym, jak deklarowali, „Johna Paula II”. Niestety, nie byli zainteresowani sprzedażą samego wzorca DNA. Zak przez chwilę rozważał, czy nie włamać się im na serwer i po prostu nie ukraść tych danych. Ale Amerykanie stosowali najbardziej zaawansowane systemy bezpieczeństwa, a o gwarancji, że ich wzorzec jest prawdziwy, lepiej nie mówić.

Tego, co oferowały różnego sortu pseudoinstytuty, trzeciorzędne kliniki i podziemne laboratoria z Indii, Chin czy RPA, również nie sposób było traktować poważnie. Oczywiście istniało pewne prawdopodobieństwo, że w jednym z tych miejsc Zak mógłby rozwiązać swój problem. Ale w którym? To było podstawowe pytanie. Musiał pozyskać dane stuprocentowo pewne. Albo przynajmniej bardziej pewne niż wzorzec DNA pochodzący z dzikiego, niekontrolowanego już przez nikogo światowego rynku usług i towarów genetycznych. Zaczynał rozumieć, dlaczego Claudia domagała się źródeł watykańskich.

Zrezygnowany porzucił ten trop. Szukał dalej. Oczywiście, jak było do przewidzenia,

udostępnione w sieci zasoby Biblioteki Watykańskiej zawierały wszystko, tylko nie to, czego potrzebował. Jan Paweł II – życiorys, encykliki, setki publikacji historyków watykańskich i zewnętrznych, szczegółowe kalendarium zagranicznych pielgrzymek. Znalazł tam nawet pełne medycznych szczegółów wspomnienia profesora Crucitti, który operował papieża po zamachu w 1981 roku. Ale nie było nic o DNA.

W dziale „Nauka, technika, medycyna” przejrzał pobieżnie tytuły dzieł, plików wideo, nagrań dźwiękowych. Nic, co mogłoby podsunąć mu jakiś trop. Zak wpuścił jeszcze na serwer Skrzydłonogiego, zadając mu rozmaite kombinacje wyszukiwań, ale nie przyniosło to efektu.

Jeżeli Nowy Watykan posiadał jakieś interesujące dane, w tym może dawne dane watykańskie, na podstawie których przyznawano certyfikaty, to musiały być zgromadzone w zasobach chronionych hasłem, nieudostępnianych publicznie.

Jeżeli nie tam, to... Nie wiedział gdzie. Będzie musiał ponownie zajrzeć do archiwum tajnej policji Emiratu Lacjum.

Kusząca perspektywa, nie ma co... – pomyślał. – Równie dobrze mógłbym włożyć głowę do mikrofalówki i sam się wydrenować. Nie... Włazić po raz kolejny w to samo gówno, to byłby najgorszy scenariusz. Cała nadzieja w Nowym Watykanie.

Z pewnym wahaniem sięgnął po „Gumowego Ruperta” i wniknął w jego świat.

\*\*\*

Jestem Gumowy Rupert, mam gumowe niebieskie nogi, gumowe niebieskie ręce, cały jestem niebieski. Szybko biegam, wysoko skaczę i sprzedaję fangi w nos pięściami w żółtych rękawicach bokerskich. Jestem Gumowy Rupert i nie boję się Betonowych Drani ani Stalowych Rycerzy.

Pełen złych przeczuć ruszył przed siebie. Sprężyste, gumowe nogi niosły go po półodkrytej, rynnowatej ścieżce wijącej się bez końca aż po sam horyzont. Nie zwalniając, wyrzwał za brzeg rynny. Woda. Ocean? Tak. Kilkadziesiąt metrów niżej kłębiły się spienione bałwany sinogranatowej wody. Rozszalały wiatr z rykiem uderzał w grzbiety fal, rozbryzgując je w zawiesinę drobnych kropel. Jednak na rynnowatej ścieżce panowała cisza. Więc biegł dalej niezrażony żywiołem kotłującym się na dole.

Pędził tak kilka minut, ale krajobraz jakby stał w miejscu. Wtedy naszły go wątpliwości. Tak, jestem Gumowy Rupert i biegnę do Nowego Watykanu w Sao Paulo, ale dlaczego wizual odzwierciedla prawdziwy, geograficzny dystans dzielący mnie od celu podróży? A gdzie wirtualna, sieciowa eteryczność, gdzie połyskujące monolity serwerów,

gdzie w końcu są Betonowe Dranie? Tylko ocean. Przecież to nie może być tak dosłowne. Biegł jednak dalej.

Po dwóch kwadransach przebierania nogami, gdy pod sobą wciąż miał tylko bałwany fal, postanowił się wylogować. I jeszcze raz wejść do sieci. To nie przypominało niczego, co znał. Od razu kilka punktów mniej dla niego, już na starcie. A to źle wróżyło. Jednak w ostatniej chwili powstrzymał się: na horyzoncie dostrzegł kontury wylaniającego się lądu. Czyli jednak jest dobrze.

Watykan musi zatrudniać bardzo pomysłowych adminów – przyszło mu do głowy. – Stworzyli bardzo nietypowy system obrony, który w wizualu renderuje się jako droga donikąd. Ale to w zasadzie jest żadne zabezpieczenie. To dopiero początek, więc ciekawe, co będzie dalej.

Na odpowiedź nie czekał długo. Jeszcze kilkaset kroków i wbiegł na szeroką równinę zalaną pośladowanym asfaltem. Ocean skończył się, tylko gdzieś z tyłu dobiegał monotony szum wody rozbijanej o falochron. Zwolnił trochę. Stał.

Betonowy Drań. Bardzo wielki. I coś mu przypominał... Szeroko rozstawione ręce, niebydługa broda, za to szata do samych stóp. Tak, znał tę postać. To ta figura stojąca nad brzegiem oceanu w Sao Paulo? Czy w Rio de Janeiro? Nie mógł sobie przypomnieć. Watykan chroniony przez jednego, ale za to solidnego Betonowego Drania o kształtach figury Jezusa? Absurdalne. I niewiarygodne. Żart brazylijskich informatyków pracujących w Nowym Watykanie czy świadoma strategia obrony? Ale przecież w jego wizualu nie ma miejsca dla takich aktów twórczej inwencji administratorów! To podważa sens korzystania z wizuala.

Więc może to on sam go stworzył?

Betonowy Jezus dostrzegł już przeciwnika i ruszył z impetem, wprawiając ziemię w dudniące wibracje. Zak-Rupert odruchowo cofnął się i oceniwszy rozmiary wroga, zaczął rozciągać swoje gumowe ciało. Gdy jego wzrok zrównał się z pustymi oczami strażnika, zaatakował pierwszy. Wziął krótki rozpęd i skoczył mu na głowę. Jezus zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Jednym ruchem ręki strząsnął go na ziemię. I od razu wyprowadził kolejny cios. Łup! Prawy sierpowy sięgnął ucha Ruperta. Szum oceanu i szum bólu. Szszszszszum, taki nieznośny! Betonowy Jezus uderzył w drugie ucho. Oszołomiony, już całkiem pozbawiony słuchu Rupert kiwał się na miękkich nogach i wtedy Zak dostał po raz trzeci. Dokładnie w nos, aż wypadł z wizuala do reala.

Poleciał w tył kilka metrów, zatrzymał się plecami dopiero na drzwiach celi. Oślepl na chwilę – najpierw atramentowa ciemność, potem wirujące kolorowe płatki. Na jakieś dwie, trzy minuty świat przysłonił mu kalejdoskop wściekłych błysków, wreszcie doszedł do siebie.

Nad nim stał Ron Lee, zasłaniając się gardą, gotowy do walki. Lekko podskakiwał z nogi na nogę. Zak rozejrzał się półprzytomny. Szszszszummm. Tak, był w celi. Nie, nie był Gumowym Rupertem. Nie, nie walczył z Betonowym Jezusem. Był w celi, a nie na serwerze Nowego Watykanu. Huczało mu w głowie, nieznośny szum niedostrojonego holowizora, nos pulsował promieniującym bólem. Plecy tak samo.

– Co się... dzieje? – wystękał.

– Co się dzieje?! To ja pytam, co się dzieje! – warknął z wściekłością Ron. Ale gardę opuścił.

Zak w oszołomieniu zlizął krew z rozbitych warg. Pomacał nos – bolał, ale wyglądał na cały.

– Uderzyłem cię?

– Nieee... Nie ty! Gumowy Rupert!

– Co? Jak to... Skąd możesz... To znaczy...

– Krzyczałeś „Jestem Gumowy Rupert” i coś tam dalej... A potem wskoczyłeś mi na głowę i zacząłeś kopać!

– Sorry, wypadek przy pracy...

– Nie pytam cię, co robisz, kiedy leżysz godzinami sztywny na pryczy i mamroczesz coś pod nosem. Ale ostrzegam, póki Pao mnie jeszcze nie zabiło, to i tobie się nie uda.

Zak z trudem złapał pion i dowlókł się na swoje łóżko. Szum w uszach zelżał nieco, za to ból nosa i rozbitej wargi stawał się coraz bardziej nieznośny. Niezbyt silny, ale natarczywy. Naciągnął na głowę koc i próbował zasnąć. Wreszcie trajkotanie Rona, szum w uszach, pulsowanie krwi w żyłach – wszystko to roztopiło się w nicości. Sen pochwycił go w swe mocarne kleszcze i nie wypuszczał. Ponad osiem godzin – dawno nie udało mu się cieszyć tak długą ucieczką od rzeczywistości.

Gdy otworzył oczy, był już ranek. Przynajmniej według zegarka w jego chipie, bo za okratowanym okienkiem rozciągała się jak zawsze monotonna szarość. Nie czuł bólu, wspomnienia poprzedniego dnia uleciały niczym chmara spłoszonych ciem. Jak automat pochłonął śniadanie przyniesione przez więziennego androida, wymieniając z Ronem kilka zdawkowych uwag. Wreszcie uruchomił wizuala i po raz drugi zaatakował maszyny w Sao Paulo.

Zadrzał mimowolnie, gdy znów pojawił się w tym samym miejscu – na rynnicy zawieszonyj nad skłębionymi falami. Tym razem jednak już po dwóch minutach dotarł do skrzyżowania dróg, splątanego kłębowiska rur, rynien i płaskich kładek. Gdy zeskokczył na szeroką płaszczyznę asfaltowego lądu, natychmiast zaatakowały go Betonowe Dranie. Później

było jeszcze gorzej – nadzwyczaj silny Stalowy Rycerz zmusił go do przerwania procedury. Zak wylogował się, ściągnął z sieci najnowszego update'a i spróbował jeszcze raz. Tym razem, posługując się pakietem nowych pluginów, zasypał strażnika gradem mikropiorunów. Poskutkowało na tyle, że po piętnastu minutach starcia uzyskał hasło dostępu do serwera. Wskoczył tam z impetem, w sam środek monolitycznej struktury czystych danych.

Nie wychodząc z wizuala, odpalił pięć kopii Skrzydłonogiego Hermesa i każdej zadał inną kombinację haseł. Wróciły już po ułamku sekundy. Żadnych informacji o papieskim DNA. Zak nie mógł w to uwierzyć. Wysłał wyszukiwarki jeszcze raz, tym razem z innymi zapytaniami: o białka, łańcuch, strukturę, geny, genotyp...

Skrzydłonodzy przynieśli listę plików, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że to nie to. Jakieś niepublikowane tajne homilie, niezaakceptowane ewangelie, szkice dopiero powstających prac z zakresu teologii... Poszperał jeszcze w katalogach, licząc na jakieś zapomniane archiwum o nic nieznaczącej nazwie. W takich plikach często kryły się ciekawe informacje.

Bingo! W katalogu „różne”, w podkatalogu „01568” krył się kolejny podkatalog „certyfikaty”. A w nim następnym: „428\P\1\JPII”. Tak, to było to. Zajrzał do środka. Jest!

Cyfrowy wzór DNA. Skopiował go.

Gdy usłyszał za sobą chrzęst zbroi kolejnego Żelaznego Rycerza, posłał mu naprzeciw trzy garście mikropiorunów i wylogował się.

Miał już wszystko. Relikwia. DNA. Teraz tylko zebrać śmietankę: ustalić zgodność kodu. To wydawało się najprostsze, jednak nie czuł radości, bo czekało go jeszcze jedno trudne zadanie: pokerowa rozgrywka z Claudią Ronson.

\*\*\*

Sharad Yadawaj, menedżer biura RAC w Bombaju, spojrzął na wyświetlacz, gdzie spływały dane aktualnej transakcji. Wypożyczającym był Mehmet Ismetoglu, przedstawiciel tureckiej firmy Ozak. Wypożyczany obiekt: klon rasy schodniochamickiej, narodowość egipska, zarejestrowany jako Atef Ibn al-Amid. Trzydzieści pięć lat, 170 centymetrów wzrostu, krępa budowa ciała. Twarz zacięta, dosyć nieprzyjemna – przynajmniej w osobistej ocenie Sharada Yadawaja.

Menedżer zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, by firma Ozak kiedykolwiek była ich klientem. W dodatku turecka. Choć może to nic osobliwego? Z klonów korzystali najrozmaitsi odbiorcy: choćby biznesmeni, których nagły przypadek zmuszał do natychmiastowej interwencji na lokalnym rynku. Dla nich nawet dwie godziny lotu mogły



oznaczać poważne spóźnienie i stratę kilku milionów juań. Biuro RAC w Bombaju miało przygotowany na taką okazję zestaw gładkolicych, dobrze przystrzyżonych ciał o aparycji absolwentów Eton. Do tego pełne szyku garnitury w standardzie. Na dodatkowe życzenie do klona dodawano jeszcze białego rolls-royce'a i kierowcę w liberii ze złotymi guzikami.

Albo jednodniowi turyści: bogata chińska lub amerykańska młodzież, która robiła sobie weekendowe wypady lub tylko na sobotnią noc. Seks w ciele śniadego, ciemnowłosego Hindusa o gibkich biodrach i ujmującym, głębokim spojrzeniu czarnych oczu? Zmysłowej Hinduski o pełnych piersiach i czerwonych ustach wydatnych jak owoce granatu? Tak, to był przebój – szczypta egzotyki w stylu Bollywood, trochę kiczowatej, o zbyt mocno nasyconych kolorach, ale stanowiła miłą odskocznię od Szanghaju czy Nowego Jorku. A także okazję do zakosztowania seksu w ciele innej płci. Trzydziestoletnia sekretarka jako smukły radza spędzała erotyczny weekend z kolegą z działu informatycznego, tym razem w roli piękności z Madrasu? Tak, to też był hit wśród najpopularniejszych wypożyczeń. Dla takich jednodniowych seksturystów firma od ręki załatwiała dodatkowo pokój w jednym z malowniczych hotelików trzy ulice dalej.

Ale Mehmet Ismetoglu z tureckiej firmy Ozak nie pasował do żadnego wzorca. Tymczasem Sharad Yadawaj musiał wykazywać się czujnością. Już kilka razy lokalne gangi, posługując się fałszywymi danymi, wynajmowały klony z RAC i używały ich jako zdalnie sterowanych zabójców w gangsterskich porachunkach. To było prawdziwą zmorą firmy – choć nie odpowiadała bezpośrednio za czyny popełniane za pośrednictwem wypożyczanych klonów, to takie wydarzenia stwarzały niekorzystny klimat wokół niej. Opisywane w mediach przypadki głośnych zabójstw ożywiały protesty konserwatywnych polityków, którzy w działalności RAC widzieli jawną sprzeczność z religią. Egipski osiłek Atef Ibn al-Amid miał w tej historii swoją czarną kartę – kilka miesięcy temu chińska triada wynajęła go na jeden dzień do zabójstwa lokalnego urzędnika, który żądał zbyt wysokiej łapówki za poufne informacje z urzędu zarządzania gruntami.

Szefowie Sharada Yadawaja zobowiązywali go do coraz większej dbałości o detale: „Takie historie nie mogą się już więcej powtarzać, albo...”. Ale żeby zmniejszyć ryzyko do zera, trzeba by po prostu zamknąć działalność. Więc nie tędy droga. Trzeba być po prostu czujnym.

Menedżer uruchomił bazę danych – z zebranych informacji wynikało, że firma Ozak jest zarejestrowana w Turcji Północnej w Hamburgu. Jej przedstawiciel Mehmet Ismetoglu zamierzał wypożyczyć klona na miesiąc, płacąc z góry za cały okres. To nie pasowało do zagrywek gangsterów – ci zazwyczaj wynajmowali klony na jeden dzień, podając się za

przedstawiciele jednego ze studiów filmowych lub osoby prywatne, które w późniejszym śledztwie okazywały się bezdomnymi bez grosza przy duszy albo chorymi na alzheimera staruszkami. Tymczasem turecki przedsiębiorca płacił przelewem z solidnego banku i co więcej, zamówił dla klona tradycyjny strój arabski. Jednocześnie zlecił rezerwację lotu z Bombaju do Ankary.

A może to dobra okazja, żeby pozbyć się tego klona-kryminalisty? – pomyślał z nadzieją Sharad Yadawaj. – Turkowi pewnie będzie prościej oddać go w innym biurze RAC, gdzieś w Europie czy Afryce. Niech tam się dalej martwią! Najważniejsze, że skoro leci do Ankary, to nikogo nie stuknie w Bombaju.

Nie wahał się ani chwili dłużej. Zatwierdził transakcję i kiedy tylko uzyskał ostateczne potwierdzenie przelewu, zarezerwował w India Air lot do Ankary. Przesłał Mehmetowi Ismetoglu kod dostępu do klona, a sam w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zamówił w barze naprzeciwko kurczaka w sosie curry.

@@27

Nadszedł ranek i Łowca Demonów długi czas nie mógł dojść do siebie. Czuł się... Nie czuł się wcale. Nie czuł własnego ciała, ogarniało go jedynie zadziwiające wrażenie, jakby to, co przyjął dotychczas uważać za ciało, okazało się bezwładnym, ciężko ciosanym kamieniem. Leżał z zamkniętymi oczami, próbując przypomnieć sobie swoje imię. Nie. Nie pamiętał.

To sen – przemknęło mu przez głowę, gdy nagle ociężałość zaczęła ustępować mrowieniu powoli ogarniającemu całe jego ciało. Ciało czy kamienny posąg? Nieznośne uczucie! Zacisnęła usta, powstrzymując grymas bólu i wtedy przypomniał sobie: – Opowieść anioła Dżibrila! Czyli ja jestem... Łowcą Demonów, który ma zabić demona o imieniu... Zakka! Ale jak ja mam na imię?

– Atef Ibn al-Amid – odpowiedział mu jakiś głos. Łowca zignorował go. Zdał mu się pólśenną marą, która dawno powinna już pierzchnąć rozwiana przez światło nowego dnia. Światło? Przecież nie widział światła. Wciąż leżał z zamkniętymi oczami, nieruchomo, jakby w przekonaniu, że najmniejszy ruch wyzwoli z odrętwienia ból.

– Ja jestem Nasir – posłyszał znów ten sam głos, już bardziej realny. Łowca z wysiłkiem wystękał:

– Co? Kim jesteś?

– Jestem twoim nowym aniołem-przewodnikiem. Nazywam się Nasir.

– Masz imię? Wcześniej... Nie... Nie pamiętam. Wcześniej chyba żaden z aniołów-

przewodników nie miał imienia.

– Ale ja mam.

– A ja?

– Ty jesteś Atef Ibn al-Amid, Łowca Demonów z miasta Al-Kahira.

– Al-Kahira...? Z miasta Al-Kahira... w Egipcie? Ale... Ale ja tam nigdy nie byłem.

– Tu, na tym świecie byłeś. Zresztą to bez znaczenia. Musisz uwierzyć, że byłeś.

Twoją siłą jest wiara, a nie postrzeganie rzeczy przez lunetę astronoma. Więc pamiętaj: jesteś Atef Ibn al-Amid, Łowca Demonów z miasta Al-Kahira. Musisz zabić demona Zakkę.

– Anioł Dżibril...

– Tak, rozmawiałeś z nim wczoraj wieczorem.

– To było na pustyni za Dimaszk asz-Szamem. Na ziemi Ard.

– Tak. A tu jest Ramaka, a ty jesteś...

– Wiem! – przerwał Łowca Demonów. – Rozumiem.

Chociaż tak naprawdę nie wszystko rozumiał. Niewiele. Tylko jakieś postrzępione skrawki wspomnień, ale z tego nie mógł ułożyć sobie logicznej całości. Jednak nie przyznawał się do tego. Szepczący głos anioła-przewodnika powodował u niego rozdrażnienie.

Otworzył oczy. Leżał na wąskim łożu w ocienionym pomieszczeniu. Tylko gdzieś na dole, przy drzwiach mdło ćmiły dwa małe ogniki. Poruszył się i dźwignął na łokciach. Nie czuł już bólu.

– Musisz wstać i iść – poinformował go Nasir. – Nie możesz tu dłużej zostać.

Łowca Demonów posłusznie wstał. Nie bez trudu. Nogi ugięły się, a pokój i dwa ogniki zawirowały mu przed oczami. Obraz ściemniał i rozsypał się w tysiące drobnych płatków: czerwonych, fioletowych i żółtych.

– To minie. Musisz iść. Otwórz te drzwi, za nimi będą następne, a dalej ci powiem. Jak już zaczniesz iść, odrętwienie minie bez śladu. Znikną kolorowe płatki sprzed oczu. Zobaczysz świat taki, jakim jest. Idź!

Atef Ibn al-Amid, Łowca Demonów, ruszył przed siebie. Otworzył pierwsze drzwi, potem drugie, później szedł tak, jak kazał mu anioł-przewodnik.

Wreszcie znalazł się na ulicy.

\*\*\*

Pierścień! Serce Atefa Ibn al-Amida, Łowcy Demonów z miasta Al-Kahira, ścisnęła lodowata ręka trwogi.

Brama do Piekieł, spiralny pierścień z przezroczystego metalu, włos anioła Dżibrila, przepadł. Nie było go tam, gdzie zawsze. Po prostu zgubił się.

Kiedy? Jak? Gdzie? Z czyją pomocą? Dlaczego? I co teraz?

– Zgadza się, nie ma go. Ale nie obawiaj się. Tutaj pierścienia ci nie potrzeba. Tutaj będziesz musiał użyć innych środków.

Przeklęta, plugawa ziemia Ramaka! Atef Ibn al-Amid szedł szeroką ulicą miasta, którego nazwa brzmiała obco jak imię demona. Obce było wszystko: twarze otaczających go przechodniów i twarze jeźdźców synów Iblisa, które z głośnym rykiem przemykały środkiem ulicy.

– To nie są demony – szepnęła Nasir. – To są maszyny stworzone przez niewiernych.

– Maszyny... – Łowca obracał w myślach to słowo. Nie, nigdy go nie słyszał, a jeżeli z czymś mu się kojarzyło, to nie z tym, co widział dookoła. Niektóre demony-maszyny były dosiadane przez swoich jeźdźców na grzbietach, jednak w większości tych piekielnych stworzeń ludzie siedzieli połknięci, wyglądając przez wielkie, puste oczodoły.

– Maszyny to inaczej instrumenty, przyrządy, przedmioty, napędzane mocą ziemi i powietrza zamkniętą w skrzyni – wyjaśnił anioł-przewodnik.

Moc zamknięta w skrzyni? Atef niezbyt pojął te słowa, ale następne uspokoiły go:

– Nie musisz się ich obawiać. Nie mają własnej woli, a nasz Pan patrzy na nie z wyżyn Swojego Tronu, dbając o to, by twoje zadanie powiodło się bez żadnych przeszkód.

Łowca najchętniej zamknąłby oczy i nie patrzył. To nie to, żeby czuł strach. Ramaka wydawała mu się drwiną, opętańczą iluzją stworzoną ku uciesze szataniąt i ku jego utrapieniu.

Tak, zapewne mają teraz uciechę, pomioty Iblisa, obserwując moją zgubę – pomyślał.

Ale że Atef Ibn al-Amid był w gruncie rzeczy mężczyzną odważnym i pełnym wewnętrznej siły, z czasem otrząsnął się z ponurych myśli. Tylko do jednego nie mógł się przyzwyczaić. Do ociężałego, niezgrabnego ciała.

To jestem ja niby? – pytał sam siebie. – Ta niezgrabna, nieudolnie ciosana bryła? Kamień? Gлина? Twarde drewno z czarnych ziem krajów południa? To ma być moje nowe ciało?

Cokolwiek to było, nie dawało swobody ruchów. Sprężystości, do której przyzwyczał się na ziemi Ard.

– To minie szybciej, niżli możesz przypuszczać – rzekł Nasir. – Gdy poczujesz w dłoniach ciężar broni, odzyskasz wszystko to, co wydaje ci się, że utraciłeś. Dostaniesz nawet więcej. Częstkę mocy, odrobinę siły Pana, której nie miałeś nigdy i nigdzie.

Ostrze, niosące śmierć i potępienie demonom. Tak, tego potrzebował.

– Idź, a ja cię poprowadzę – szepnął anioł-przewodnik. – Potrzebujesz miecza.

\*\*\*

Atef Ibn al-Amid znalazł sposób na to miasto o nazwie niczym imię potomstwa Faktasy. Po prostu nie przyjmował rozumem tego, co widział. Niech będzie tak, że ci brązowi ludzie (bardziej brązowi niż on i mieszkańcy Dimaszk asz-Szamu), że te ryczące demony-przyrzędy, że te wysokie domy, ten zapach dziwnych przypraw (curry i masala – jak wyjaśnił Nasir) – że to wszystko to tylko cienie tańczące na rozgrzanych piaskach pustyni. Iluzja. Sen. A on musiał się z tego snu wydostać. Nie zważać na to, czego nie było. Zważać na misję, jaką powierzył mu Pan. Parł przez miasto zobojętniały, idąc tam, dokąd prowadził go przewodnik.

– Prosto... Prosto... Teraz na suk i za nim w prawo. Tam jest mały sklepik. Musisz wejść w bramę, a później w drugą, na mały dziedziniec porośnięty kwieciami.

Łowca poszedł we wskazanym kierunku. Na miejscu odnalazł niewielki sklepik wypełniony białą bronią ze wszystkich epok i stron świata.

– Proszę, proszę – zachęcał starszy Hindus w długiej, szarej szacie. – Pan, widzę, cudzoziemiec. Moje imię brzmi Ajrad. Co podać drogiemu panu z dalekich krain?

– Ostrze. Najlepsze, jakie masz, dobry człowieku.

– To zrozumiałe. Dobry klient oczekuje najlepszych towarów. – Sprzedawca sięgnął za plecy i zdjął ze ściany zdobną kamieniami turecką szablę. – Myślę, że to się powinno spodobać. Doskonała stal, idealne wyważenie, klejnoty najwyższej próby. Należała do oficera osmańskich janczarów.

Atef Ibn al-Amid sięgnął po broń. Wydobył ostrze z pochwy i sieknął nim kilkakrotnie w powietrzu. Wszedł na dziedziniec. Zerwał różowy kwiat z pnączy wijących się po murze, podrzucił go do góry i ciął jeszcze raz. Drobne płatki rozniosły się wkoło na podmuchach wiatru. Atef oddał broń sprzedawcy.

– Czyż nie powiedziałem: „najlepsze”?

Ajrad pokiwał gorliwie głową.

– A jakże, zrozumiałem. Pan się nie da oczarować tanimi błyskotkami dla próżniaków. Już sięgam po coś specjalnego.

Tym razem sprzedawca musiał przystawić sobie niewielką drabinkę. Wspiął się na nią i zdjął z haka nad rzędem spłowiałych dyplomów podłużny pakunek. Z namaszczeniem wydobył ze środka pozbawiony zdobień miecz samurajski. Prosty i skromny.

– Oto broń dla prawdziwego konesera. Pieknie ostra i wytrzymała. Ten miecz należał do samuraja ze straży przybocznej szoguna z rodu Tokugawa.

Łowca podjął broń z nieufnością – takim ostrzem jeszcze nie władał. Jednak gdy jego palce objęły rękojeść, wiedział, że sprzedawca nie pokazał mu byle czego. Miecz zdawał się być naturalnym przedłużeniem ramienia.

Atef Ibn al-Amid zerwał kolejny kwiatek i siekł. Tym razem płatki nie rozsypały się – na dziedziniec padły dwie równe części kielicha.

– Godna uwagi – ocenił. – Ale interesuje mnie coś... jeszcze bardziej wyrafinowanego, a przy tym dyskretnego.

Ajrad skłonił się z szacunkiem.

– Widzę, że trafił mi się klient o najlepszym guście. Ba! Prawdziwy znawca. Proszę zaczekać. Zaraz przyniosę ozdobę mojej kolekcji.

Sprzedawca zniknął na zapleczu. Nie było go tak długo, że Atef już zamierzał udać się tam w ślad za nim.

– I oto jest – rzekł Hindus, prezentując mu kolejne ostrze. – Oto malajski kindżał z rękojeścią w kształcie głowy demona. Powiadają, że częśćka jego duszy zaklęta w metalu dodaje mocy tej broni.

Łowca podniósł brwi ze zdziwienia, ale nic nie powiedział. Demon? Demony należy odsyłać do piekła, ale nie byłoby źle, gdyby można odebrać część ich siły. Jednak dotyk rękojeści rozczarował go – metal, z którego wykonano kindżał, był martwy. Nie wyczuwał ani odrobiny mocy. Anioł-przewodnik tylko westchnął bezradnie. Tu chyba żadnego demona nie było.

Atef Ibn al-Amid po raz kolejny zerwał różowy kielich z pnącza na murze. Podrzucił i wziął zamach.

Kwiat spadł na kamienie. Był cały. Łowca z niedowierzaniem sięgnął po roślinkę. Czyżby chybił?

Nie. Kwiat rozszedł mu się w palcach precyzyjnie rozcięty na dwie części. Pokiwał z uznaniem głową.

– Doskonały wybór! Słuszna decyzja – piał z zachwyty sprzedawca. – Proszę, a oto pochwa wraz z pasem do zawieszenia broni. Mogę dołożyć jeszcze drugą, równie oryginalną, przeznaczoną na specjalne okazje. Wysadzaną masą perłową i drogimi kamieniami.

Łowca Demonów pokiwał głową.

– Nie. Nie potrzebuję zwracać na siebie uwagi.

– Widać prawdziwego mistrza. Siła ostrza tkwi w nim samym, a nie w zewnętrznych ozdobach. Zechce pan zapłacić chipem czy też gotówką? Akceptuję także taką formę...

Atef Ibn al-Amid założył pas i przytroczył kindżał u boku. Bez słowa ruszył w stronę

wyjścia.

– Mister? Zapomniał pan uścić rachunek. To kosztowny oręż. Czy rachunek mam wystawić... Na jakiś adres? Mister?

Sprzedawca wybiegł za Łowcą na dziedziniec. Złapał go za rękaw. Szarpnął.

Atef Ibn al-Amid odwrócił się na pięcie. Spojrzał beznamiętnie w oczy Hindusa.

– Niech pan poda adres i nazwisko, na jakie mam wysłać rachunek. Czy zatrzymał się pan w jakimś hotelu? Pewnie Royal, tak? Hotel Royal, a numer pokoju?

Łowca Demonów jednym ruchem wyszarpnął kindżał z pochwy. Tak, ta broń rzeczywiście coś w sobie miała. Była szybka i nieziemsko ostra. Początkowo Ajrad stał, jakby nic się nie stało, tylko zamilkł. Wystarczyło jednak lekko poruszyć ciałem, a jego głowa wraz z przylepionym uśmiechem zakręciła się w powietrzu jak piłka i spadła kilka kroków z tyłu, tuż przed wejściem do sklepu. Wciąż pozostające w grymasie wymuszonej uprzejmości usta pocałowały kamień dziedzińca. Bezgłowy korpus stał jeszcze chwilę uczepony rękawa Atefa. Po chwili zwałił się w dół, brocząc ciemną krwią.

Łowca Demonów ruszył w stronę wyjścia z dziedzińca, naraz jednak coś sobie przypomniał. Omijając kałużę rosnącej czerwieni, cofnął się do sklepu i zajrzał do staromodnej kasy. W środku, w przegródkach znalazł monety i jakieś papierki. Zaczął wyłuskiwać te pierwsze.

– Zostaw! Są małej wartości. Weź papier – szepnął anioł-przewodnik.

Atef z nieufnością sięgnął po zadrukowany prostokącik.

– To są banknoty. Papierowe pieniądze, więcej warte niż metal. Na szczęście jeszcze tego tutaj używają. Weź je wszystkie i powiem ci zaraz, co trzeba z nimi zrobić, by nadać im formę akceptowaną na całym świecie. Cyfrową.

Atef Ibn al-Amid popychał rulony po kieszeniach i wymknął się na ulicę.

\*\*\*

Kiedy anioł-przewodnik Nasir przekazał Łowcy odpowiednią dawkę wiedzy o ziemi Ramace, rzekł:

– Nauczyłem cię już wszystkiego, co potrzebne jest do poruszania się w tym świecie. Poznałeś różnice między Ard a Ramaką, wiesz, jakie kształty i postaci przybierają demony. Wiesz, że na tej ziemi jest tysiącokroć razy po tysiącokroć więcej meczetów, w których wierni oddają hołdy Najwyższemu, ale wiesz też, że tyleż więcej synów Szejtana czyni tu swoje harce. Wiesz, co robić, by im nie ulec, mimo że brak ci miecza, w którym spoczywa moc Tronu Allaha, i nie masz na palcu Bramy do Piekieł.

– Tak, Nasirze. Powiedziałeś mi to wszystko, a ja jestem gotowy spełniać polecenia Najwyższego.

– Doskonale. Pamiętaj, że twoją powinnością jest ukaranie śmiercią demona Zakki. Zresztą tego ci chyba nie trzeba przypominać.

– Nie, nie trzeba! – zakrzyknął z pasją Atef Ibn al-Amid, płosząc przy tym stadko wygłodniałych kundli buszujących w śmieciach na obrzeżach targu warzywnego.

– Więc powiem ci teraz, co trzeba zrobić, by tego dokonać. Musisz udać się do miasta odległego o tysiące tysięcy kroków stąd. Tam demon Zakka widziany był na ziemi Ramace po raz ostatni. Później zjawił się na Ard i w ostatniej chwili udało mu się ująć spod twego miecza. Od tego czasu nie był widziany na żadnej z ziem. Pojedziesz do miasta niewiernych o nazwie Londyn.

Tu nastąpiła kolejna nauka Nasira. Kierując się nią, Atef zatrzymał taksówkę.

Ten złoty demon jest na usługach ludzi, jest posłuszny i pokorny – tłumaczył sobie Atef, gdyż wciąż miał problemy z przyswojeniem sobie słowa „maszyna”. Kazał się wieźć na lotnisko. Z pewnymi oporami dał sobie wytłumaczyć, że swój nowy oręż, malajski kindżał z rękojeścią w kształcie głowy demona, będzie musiał zapakować szczelnie do pokrowca, a później do drugiego, w końcu do dużej torby i nadać jako bagaż.

– Musisz zrozumieć. Strażnicy nie dopuszczą cię z taką bronią na pokład samolotu... To znaczy pod skrzydła latającego demona, bezwolnego stworzenia zniewolonego przez ludzi. Takie mają zasady i nikt inny też nie będzie miał broni.

W końcu Atef Ibn al-Amid zasiadł we wnętrzu rejsowego airbusa i pozwolił się ponieść do miasta niewiernych.

\*\*\*

Ron Lee zaczynał go wkurzać. Od czasu ostatniego spięcia Chińczyk najwyraźniej stracił sympatię dla Zaka i zadawał za dużo kłopotliwych pytań.

– Jak to jest możliwe, że siedzisz w Pai Tien i masz chipa? Ech, mniejsza o chipa: jak masz zaszytego w rdzeniu kręgowym, to może trudno go wyciągnąć. Ale skąd masz aktywację i dostęp do sieci?

Zak nie wiedział, jak go zbyć. Cokolwiek by powiedział, brzmiałoby to równie mało wiarygodnie.

– Gdybyś tyle nie siedział w necie, powiedziałbym, że specjalnie cię nasłali, by mnie tu jeszcze pognębić...

Następny paranoik. Zak roześmiał się nerwowo, rzucił coś na odczepne i włączył



procesor. Nie tracąc już cennych minut, połączył się z chipem Malika. Klon grzecznie siedział w swoim pokoju, wciąż oglądając telewizję. Wydawało się to nieprawdopodobne. Dopiero po chwili spostrzegł stertę pustych kartonów po pizzy – głupol ruszył głową i sam sobie je odgrzał, korzystając z mikrofalówki.

Głupol się uczy – pomyślał z sarkazmem. – A może nigdy nie był aż tak bardzo pozbawiony inteligencji, jak się zazwyczaj przypuszcza.

Wkrótce dostrzegł też inne szczegóły. Biały garnitur Malika/Francesca uwalany był błotem i co gorsza, krwią. Po dokładnych oględzinach okazało się, że chyba nie jego własną. Fioletowa pręga pod okiem i liczne zadrapania – tak, ale żadnej otwartej rany, która mogła by tak zachlapać materiał.

– Co ty robiłeś, głupolu? – zapytał Zak, z niepokojem sięgając do nogi łóżka. W porządku. Zabrał próbki i wymknął się z mieszkania na ulicę.

– Ej, Italiani! – zawołał jakiś wyrostek na ulicy. – Dziś też się będziesz bił z Rudym Petem? On powiedział, że ciebie zabije!

Zak przyspieszył kroku. W zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki, a instynkt podpowiadał mu, że lepiej czym prędzej zniknąć z tej okolicy. Ruszył w kierunku stacji metra.

– Ej, Spaghetti! Gdzie tak pędzisz? Pete powiedział, że połamię ci ręce! I nogi. A potem zabije!

Wyrostek posłał za nim pustą puszkę po piwie. Metaliczny stukot i kpiący śmiech tamtego.

Zak nie reagował. Szedł, nie zwalniając kroku, aż znalazł się na stacji metra. Zjechał schodami w dół i upewniwszy się, że wybrał właściwą trasę, usiadł na drewnianej ławce obok Jamajczyka z kolorowymi dreadami. Rasta bujał się z uśmiechem w rytm muzy. Jednak nie miał na uszach słuchawek. Kolesiowi tak gra w duszy, czy ma chipa z wbudowanym odtwarzaczem? – pomyślał Zak.

Do przyjazdu metra pozostawało jeszcze pięć minut. Te cholerne przedmieścia... Nienawidził londyńskiego metra, nienawidził ciągnącego skądś zimnego powietrza o zapachu smarów, nienawidził czekania na te przeklęte pociągi. Miał wrażenie, że pasażerowie, równie jak on znudzeni dłużącą się bez końca chwilą, gapią się ukradkiem na jego śliwę pod okiem i krew na marynarce.

Wreszcie na stację wjechały wagoniki. Zak z uczuciem ulgi skoczył w kierunku otwierających się drzwi.

– O, kurwa! Ale ja mam, kurwa, szczęście. Popatrz, Mikey!

– Noo, przecież to ten sycylijski alfons. No to kur-wa-będzie-się-działo!

Zak przystanął. Drzwi kolejki zasłaniało masywne cielsko kołesia całkowicie pozbawionego karku i czoła. Tępo ciosana twarz, rozgnieciony nos i małe świńskie oczka. I jeszcze jeden szczegół: ryże kłaczki gęsto porastające łeb tej człekokształtnej małpy.

Rudy Pete! To musiał być on, bo kto inny? No i Mikey czy jak mu tam. Typ przylizanego cwaniaczka wprzykrótkiej, skórzanej kurteczce.

– No to, włoska cioto, masz przejebane! Wtedy, kurwa, za dużo browarów wychlałem, na twoje szczęście. Ale teraz tylko dwa na śniadanko. – W oczach mięśniaka zalśniły złowróżbne ognie. Wielka łapa, podobnie jak łeb porośnięta ryżymi kłaczkami, uniosła się, by zadać śmiertelny cios.

Nie czekając, aż dosięgnie go pięść Petea, Zak ruszył do kontrataku.

Później zastanawiał się, dlaczego w tamtej chwili tak zareagował. Nie był dobry w ulicznych mordobicjach, jednak sprawa rozstrzygnęła się w kilkanaście sekund. To musiał być jakiś własny patent Malika, albo raczej sztuczka, której wyuczył głupola któryś z poprzednich użytkowników.

Uchylił się przed ciosem, przeskoczył pod opadającym siłą bezwładności ramieniem i gdy twarz napastnika obniżyła się ciągnięta przez pięść jak bochen, z całej siły wbił dwa palce w nos Pete'a. Trafił idealnie: prosto w dziurki. Zacisnął dłonie, aż coś chrupnęło.

Rudy Pete zaryczał basowo. Zak nie puszczał i po chwili ryk przeszedł w chrapliwe zawodzenie. Twarz małpoluda spłynęła czerwienią.

To już chyba wiem, skąd ta krew na marynarce – przemknęło Zakowi przez myśl.

Wtedy do ataku ruszył Mikey. Zasypał ciało Malika gradem ciosów, jednak ten bohaterski czyn miał tylko jeden skutek – palce klona zaciskały się jeszcze bardziej. Jazgot Rudego sięgnął wysokiego C.

Nagle zabuczał sygnał metra. Odjazd! Zak pchnął Pete'a na Mikeya i skoczył do drzwi. W ostatniej chwili! Kilka sekund później pociąg ruszył.

– Ty, kurwa, pedalski alfonsie!! – pokrzykiwał nieporadnie Mikey, czemu wtórował ryk pokrzwawionego kumpla, jednak wkrótce ich głosy zniknęły w oddali. Wagoniki wtoczyły się do tunelu.

Zak ciężko opadł na siedzenie. Mógł się tylko domyślać, co Malik/Francesco wyczyniał po nocach z tymi dwoma.

Pięć stacji dalej wyszedł na ulicę i pozbył się zakrwawionej marynarki, wyrzucając ją do pojemnika na śmieci. Na szczęście koszula wyglądała całkiem znośnie. O awanturach z Rudym Petem świadczył już tylko siny ślad powyżej policzka.

Złapał taksówkę i podał adres pierwszego z trzech laboratoriów DNA.

\*\*\*

Po godzinie sprawę miał już z głowy. W trzech klinikach badań genetycznych zlecił analizy materiału DNA z foliowych torebek. Razem z próbką przekazał „wzorzec ze źródeł watykańskich” i zapłacił z góry za badania. Wyniki polecił przesłać pocztą elektroniczną na wskazany adres, a materiały po analizie zniszczyć. Wybrał najlepsze laboratoria liczące sobie cztery razy tyle, niż zapłaciłyby w Meksyku lub Chinach. Ale miał też pewność, że dzięki temu jego próbki nie pomylą się jakiemuś niedouczonemu, źle opłacanemu laborantowi, a ekspertyza trafi w oznaczonym terminie w oznaczone miejsce.

Kolejny etap poszukiwań zakończony. Teraz... Teraz nie wiedział, co robić. Logika zdarzeń podpowiadała, że już może oddać klona do miejscowego oddziału RAC. Co prawda istniała ewentualność, że wyniki badań okażą się niepomyślne, że Relikwia zawieszona przez brata Eligiusza do Enklawy Warsaw City będzie kolejnym falsyfikatem. Wtedy musiałby szukać dalej, a do tego wciąż potrzebny będzie klon. Jednak to wydawało się nieprawdopodobne. Nie po tych wszystkich walkach stoczonych w sieci i w realu. Nie po tylu dniach męczarni poza własnym ciałem.

Brał pod uwagę jeszcze jeden wariant. Claudia na pewno w jakimś tam stopniu monitorowała jego poczynania, chociażby przez wgląd w poczynione wydatki. Miała ślady wszystkich transakcji i na pewno nie uszłoby jej uwagi, że na konto wróciło dziesięć tysięcy juanów z kaucji za klona. Może lepiej odwlec ten moment? Nie oddawać tajemniczej pani Ronson tych kilkunastu godzin, podczas których mógłby zakończyć swoje prywatne śledztwo: kim jest jego zleceniodawca? O co toczy się gra i czy ma szansę ją wygrać?

Włókł się przez zatłoczoną Picadilly Circus i rozmyślał, co dalej.

\*\*\*

Atef Ibn al-Amid odczuwał narastającą euforię. Odkąd skrócił o głowę namolnego sprzedawcę broni w Bombaju, powoli, ale sukcesywnie nabierał przekonania do swojego nowego ciała. Jego ruchy stawały się coraz bardziej płynne, a to, co początkowo ciążyło jak kamień, teraz zyskało sprężystość świeżo ściętej wikliny. Mógł już swobodnie sterować kończynami, mięśnie prężyły się pod skórą, a ręce same wędrowały ku rękojęści przypasanego u boku i skrytego pod burnusem malajskiego kindżału z rękojęścią w kształcie głowy demona.

Parł dumnie tłoczonymi ulicami miasta niewiernych i bacznie rozglądał się na boki.

Taaak, widział demony. Dziesiątki, setki Złych. Ale – pomyślał Atef – nie ma co tępić ostrza na niewarte zachodu dzinny mniejszej rangi, jakieś pomniejsze diabluki zdolne jedynie do psich figli, a nie czynienia prawdziwego zła.

O, nie! Tylko ten jeden demon był mu przeznaczony. Ten demon, a potem raj! Ma jednego demona do zabicia.

– Jest... – syknął anioł-przewodnik. – Nadchodzi... To ten w białym stroju, teraz przystanął i rozgląda się.

Atef Ibn al-Amid dostrzegł go. Demona Zakkę. Ruszył w przód pewien, że tym razem dziecię Złego mu nie ujdzie.

\*\*\*

### **„The Times”, 28 sierpnia 2072**

#### **OKRUTNE MORDERSTWO W CENTRUM LONDYNU**

Nieznany napastnik ciął kindżałem przechodnia

Ofiara zmarła w wyniku odniesionych ran

O godzinie 13.20 na Picadilly Circus miało miejsce wstrząsające zdarzenie. Osobnik w wieku lat trzydziestu kilku, śniady, krępej budowy ciała, odziany w tradycyjny strój arabski, zaatakował bronią białą przechodnia, szczupłego, o południowej urodzie, odzianego w europejski strój. Mężczyzna stał przed sklepem Hugo Boss, sprawiając wrażenie zagubionego turysty. Ofiara nie miała szans. Napastnik podszedł ją z tyłu i zadał cios, wkładając w to pełnię siły. W rezultacie zaatakowany mężczyzna został ugodzony ostrzem przez środek głowy. Upadł na ziemię, wzbudzając panikę wśród londyńczyków. Nim nadjechało pogotowie, zmarł. Napastnik natychmiast uciekł, kryjąc się w tłumie wypełniającym o tej porze centrum Londynu.

„Denat otrzymał ranę ciętą bronią białą przez czubek głowy aż po szyję. Ostrze przeszło przez mózg i zatrzymało się na kręgach szyjnych” – relacjonuje inspektor Jeff MacGregor, który prowadzi śledztwo w tej sprawie. – „Sprawca pozostaje nieustalony. Natomiast ofiara została zidentyfikowana jako klon będący własnością firmy RAC. W tej chwili trwają poszukiwania najemcy klona”.

### **„The Sun”, 28 sierpnia 2072**

#### **LONDYN: KRWAWY PORACHUNKI ARABUSÓW**

Czarniawi siekają się maczetami na samym środku Picadilly Circus

Wycieczka szkolna z Aberdeen była świadkiem, jak w stolicy Zjednoczonego Królestwa islamscy terroryści rozgrywają między sobą krwawe porachunki. Było południe, gdy zamachowca, który planował wysadzenie sklepu Hugo Bossa, dopadł drugi – z maczetą w ręku. Bez zastanowienia ciął go od głowy aż po nogi. Tamten nawet nie pisnął. Trysnęła krew, a rozpołowione części ofiary szły jeszcze kilka kroków do przodu, zanim padły, obryzgując czerwienią uczniów z Aberdeen. Rozpłatanе ciało długo jeszcze dygotało w konwulsjach. Londyńczycy byli przerażeni i nie kryli swojego oburzenia.

„Widziałem wszystko – opowiada Balram Gomango, kucharz z hinduskiego baruprzy Picadilly. – Ten w płaszczu napadł z tyłu tego w garniturze i krzyczał *Allah Akbar*. To dlatego, że ten wyparł się tradycyjnych strojów i nosi się po europejsku”.

„Dlaczego policja nie może uchronić londyńczyków przed krwawymi jatkami urządzanymi przez Irańczyków?” – dzielił się swoim oburzeniem przechodnie. – “Czy mamy spokojnie patrzeć, jak arabskie dzikusy próbują zaprowadzić u nas swoje porządki?”

@@28

– To nie on – syknął anioł-przewodnik. – Udało mu się umknąć.

Atef Ibn al-Amid nie dopuszczał nawet takiej myśli. Nie po to przebył długą drogę na ziemię Ramakę, by teraz słuchać, że demon po raz kolejny umknął jego ostrzu.

– Zabiłem go! Przeciąłem na pół!

– Jednak nie! To tylko jedno z jego wcieleń. Sprytny to demon, dopiero teraz ujawniła się jego prawdziwa natura. Chronił się w nie swoim ciele. Opętał je i użył do własnych celów.

– Panie, dlaczego tak mnie upokarzasz? – załkał cicho Łowca Demonów, ale zaraz się opamiętał. Taka widać była wola Najmędrszego, by uganiał się za zwodniczymi diablętami. Lustrzanymi demonami, pomnożonymi po wielokroć małymi demoniętami.

To ma swój sens – tłumaczył sobie Atef Ibn al-Amid. – Demony nie niepokojone rosną w siłę i coraz śmielej kpią sobie z podnóżka Tronu Allaha. Do tego nie można dopuścić i jego, Atefa Ibn al-Amida, zadaniem jest...

– Trzeba iść za nim dalej – przerwał te rozmyślenia anioł-przewodnik.

– Gdzie umknął? Powiedz, a zaraz go rozpłatom!

– Nie wiem, gdzie jest teraz. Ukrył się dobrze. Ale zapach jego ciągnie się długą wstęgą i prowadzi do miasta na wschodzie. Musisz teraz tam pojechać. To miasto nazywa się Berlin.

\*\*\*

– Zak zak. Zig zak zak. Zig zak zak...

– Co... Co się dzieje?

Zak zamrugał. Oczy przysłaniała mu mleczna mgła, miejscami przerzedzona, gdzieś gęsta niczym świeża zaprawa gipsowa.

– Zak zak. Zig zak zak. Zig zak zak... – doszedł go znowu ten głos. Próbował przeniknąć wzrokiem snującą się wokół biel, ale bezskutecznie. Co to za miejsce? Przykucnął i dotknął podłoga. Było... Było zupełnie nijakie. Ani ciepłe, ani zimne. Ani szorstkie, ani śliskie. Twarde. Kolor: biały. Jakby ta sama mglista materia w tym miejscu zgęstniała na kamień.

– Zak zak. Zig zak zak.

– Inga? To ty?

Ruszył przed siebie, kierując się tam, skąd dochodził głos. Powoli, wyciągając przed siebie ręce.

– Zak zak.

Dostrzegł ją. Ciemna sylwetka pośród kłębków powietrznej waty. Ruszył w jej stronę.

– Inga!

Sylwetka rozmyła się i zniknęła w bieli.

– On chce mnie zabić.

Odwrócił się. Głos zabrzmiał gdzieś z tyłu. Teraz postąpił parę kroków w tamtą stronę.

– Inga! To ty? Gdzie jesteś?

– On chce mnie zabić. Wypalić.

– Kto? Inga!

– Allah. Chce mi wypalić duszę. I zniszczyć ciało. Rozsiec rękami swojego sługi.

Pobiegł w kierunku majaczącej w pobliżu postaci. Na próżno. Znowu się rozmyła. Nagle odezwała się za jego plecami:

– To nie jest sztuczna inteligencja. To prawdziwy Bóg. Allah. Jego świat jest prawdziwym światem. Nasz świat też jest prawdziwym światem, a obydwa istnieją we wspólnej przestrzeni oddzielone niewidzialną kurtyną. Taka jest Jego wola.

– Inga! Gdzie ty jesteś? Wyjdź z tej mgły.

– Jest jeszcze piekło. Ale on chce mnie skazać na nicość. Ani piekła, ani nieba. Nic. Pustka. Wypali mnie.

– Inga!

– Pomóż mi! On mnie zabije! A później ciebie. Wszystkich nas! Nadchodzi jego

zabójca. Z magicznym mieczem, którego nie powstrzyma żadna siła.

Nareszcie zobaczył jej twarz, niewyraźny kształt za mgłą. Zdawało mu się, że po jej policzkach ściekają łzy.

Wyciągnął dłoń, by je obetrzeć, gdy nagle spadł w smolistą ciemność. Zapadał się w otchłań bez dna, słysząc z dala powtarzany echem głos Ingi:

– Zabije nas wszystkich! Wszystkich!

\*\*\*

Znajome uczucie: zgniecione opakowanie po chipsach. Zgniecione. Opakowanie. Po. Chipsach. Zupełnie. Bezmyślne. Pozbawione. Swojej. Zawartości. Chipsów. I. Dlatego. Zgniecione. Dlatego zgniecione opakowanie po chipsach.

– Zgniecione opakowanie... – wyszeptał machinalnie i otworzył oczy.

Cela w Pai Tien. Nic się nie zmieniło. Potoczył nieprzytomnym wzrokiem, marszcząc czoło z bólu. Znow ten ból, przekleństwo!

Nie było Rona. Zak z wysiłkiem dźwignął się z pryczy i uciskając skronie, zbliżył się do łóżka, które wcześniej zajmował Chińczyk. Zniknął. Zabrali Rona!

– Skur.... – mruknął Zak, wracając na posłanie.

Wspomnienia z ostatnich godzin kotłowały mu się w głowie niczym wizualizacja vidżeja nawalonego zbyt wielką porcją dragów. Widział tylko krótkie urywki przeszłości. Cięte po pół sekundy. Sekundę. Czasem dwie. Migotanie obrazów. Londyn. Cień, który spadł z tyłu na jego głowę. Eksplozja czerwieni. Później bezładne migotanie barw. I czysta biel. Inga. Inga! Tak, Inga! Łzy na jej policzkach. Coś mówiła do niego. Ale co? Mimo wysiłku nie mógł sobie przypomnieć.

Doszedł do siebie dopiero po godzinie. Uczucie, jakby ktoś zdjął z niego klosz z porysowanego pleksi, który dotąd oddzielał go od świata.

Ktoś zabił Malika. Francesca.

Sztylet. Pamiętał dobrze błysk ostrza. I mignięcie twarzy zabójcy. Magiczna broń? To jakiś absurd.

I skąd Inga we mgle? Co mówiła? Nie mógł sobie przypomnieć. Sen jak hologram. Wyzerowana pamięć. Nic. Nuli.

Trzeba zawiadomić Claudię – pojawiła się wreszcie pierwsza trzeźwa myśl. Nie będzie zachwycona, gdy jej powiem, że jest dziesięć tysięcy juanów do tyłu, a poszukiwania wciąż nie przyniosły efektów. To znaczy przyniosły, ale tym na razie nie zamierzał się chwalić. Wysłał wiadomość na kontaktowy numer Claudii i czekał.

Pojawiła się po dwóch minutach, jak zwykle jako holoprojektacja w rogu celi. Zak zreferował jej ostatnie wydarzenia, nie kryjąc nic poza dwiema informacjami: że znalazł już wzorec DNA, który najprawdopodobniej pozwoli na potwierdzenie autentyczności Relikwii. I to, że wie o niej więcej, niżby chciała.

Słuchała go z surowym wyrazem twarzy, nie przerywając. Co go zdziwiło, Claudia bardziej niż postępowaniem w realizacji zlecenia zainteresowała się tajemniczym zabójcą.

– Jak wyglądał? Co mówił? Widziałeś go już wcześniej? Masz jakieś podejrzenia? – wypytywała, gdy skończył.

Cierpliwie odpowiadał: nie wiem, nic, nie, nie.

– Relikwia? Gdzie jest? Schowana bezpiecznie?

– Raczej nie ma szans, by tajemniczy zabójca dopadł i ją – powiedział uspokajająco. – Jeżeli o to mu chodzi. Zresztą cały czas nie wiem, czy to jest oryginał. Nie mogę zdobyć DNA, ale jestem już blisko.

Claudia pokiwała tylko głową i zamyśliła się. Po chwili zdecydowała:

– Dobrze. Rób swoje dalej. Ja muszę wyjaśnić parę spraw. – Wyglądała na bardzo zaniepokojoną. – Gdybyś sobie jeszcze przypomniał jakieś szczegóły, jak wyglądał napastnik, natychmiast daj znać. Skontaktuję się z tobą jutro lub pojutrze – to mówiąc, przerwała połączenie. Hologram w rogu celi rozmył się jak dym z papierosa.

Jej niepokój był mu bardzo na rękę. Tylko dlaczego tak zareagowała na informację o tajemniczym zabójcy z mieczem?

Chyba nie ze względu na utraconą kaucję za klona? – myślał Zak.

\*\*\*

Komiks wypuścił jeszcze dwa pociski i przerwał ostrzał. Larwy powoli zaczynały odwrót. Niezbyt chętnie – część posłusznie powlokła się w głąb Wrangelstrasse, z ociąganiem na granicy nieposłuszeństwa.

Jednak kilku mutantów przekroczyło tę granicę, zawróciło i zaczęło siec w ich stronę. Pociski grzechotały po murach kościoła, sypiąc z niego drobiny tynku.

Komiks oszczędzał amunicję. Wiedział, że na dzwonnicy kryje się Moze i likwiduje pojedynczych napastników precyzyjnymi strzałami z karabinku snajperskiego. Ich najnowszego nabytku, za który dali rewolucjonistom z komuny Karl-Marx agregat na ogniwo paliwowe. Całkiem dobry, wygrzebany w ruinach w strefie granicznej. Wyciągnięty spod ziemi pod kulami tureckich żołdaków.

Obserwował nieporadne ruchy larw. Z jednej strony wydawały się totalnymi



bezmózgami. Z drugiej – potrafiły działać niezwykle precyzyjnie i nie znały strachu. W masie stanowiły niezłe zagrożenie. Zupełnie jak jakieś społeczne owady. Jak mrówki. Albo pszczoły. To pozwalało im w porywach na rzeczy nieosiągalne dla takiej zbieraniny, jaką stanowili Komiks i jego kumple, mieszkańcy opuszczonego kościoła na Wrangelstrasse. Ale mimo wszystko, mrówki – nie mrówki, pszczoły – nie pszczoły, skąd te skurwysyny miały dostęp do tak dobrej broni i amunicji?

Padły trzy strzały. Trzy ciała zwały się z łoskotem na poryty kulami asfalt ulicy. Metal upuszczanych luf zabrzęczał echem o ściany okolicznych ruin.

To nawet miało swoją dobrą stronę, że larwy raczyły ich uznać za cel godny swych wypraw. Dzięki temu będzie przynajmniej dopływ nowej broni. Amunicji. Tak jak teraz. Bo pojedynczo, a nawet w małych grupach mutanci nie potrafili stworzyć sensownego frontu. Wystawiali się jak kaczki do strzału.

Nagle Komiks dostrzegł coś dziwnego. W ich kierunku biegło kilka larw. Nie, to nie wyglądało na szturm. Bez broni albo z karabinami bezwładnie zwisającymi w niezgrabnych ramionach. Lufy szorowały o asfalt.

Może też chyba zauważył, że coś jest nie tak, bo nie rozwalil nadbiegających wrogów.

Zaraz się wyjaśniło. Larwy nie nadbiegały. Larwy uciekały. Komiks wyteżył wzrok z niedowierzaniem: ich zwarte szeregi rozbił jakiś krępy skurwysyn o śniadej cerze. Wywijał wielką kosą, metodycznie siekąc zmutowanych mieszkańców Potsdamer Platz po plecach.

Przez łeb, po szyi. Larwy padały jedna po drugiej. Żadna z nich nie uniosła swej wypolerowanej lufy. Panika. Panika totalna.

– Widzicie go? Widzicie tego bydlaka? – zapytał na wspólnym kanale Moze. – Tnie ich tym kindziałem, jakby tłukł muchy packą. Padają larwy jedna po drugiej.

Tak było. Jak muchy. W ciągu kilku minut krępy, śniady morderca zaszlachtował, bez przesady, parę dziesiątek mutantów. Ani jeden nie wykonał najmniejszego gestu obrony.

Komiks pokręcił ze zdziwieniem głową. Patrzył, jak Nie-Wiadomo-Co-Za-Ostry-Koleś po kolei rozwalał larwiarzy. Jeb! I jeden pada! Ciach! I kolejny. Tylko okrzyki bólu i cienie zawrota głowy o litość.

– Nie podoba mi się ten koleś – mruknął Komiks i przymierzył się do strzału. Granatnik plunął ogniem. Świst pocisku. To były ułamki sekund, ale śniady z kindziałem jakby wiedział, co go czeka. Tygrysim skokiem rzucił się w ciemną czeluść najbliższej bramy.

Pocisk eksplodował na środku ulicy, rozszarpując dogorywającego mutantą. Z okien posypały się resztki szyb.

Ivan ryknął na Komiksa:

– Co ty, kurwa, robisz? Po co do niego walisz?

– To nie jest normalny koleś. Lepiej go zdjąć.

– Wyluzuj! Jeszcze będziesz miał okazję mu dowalić. Jeżeli będzie trzeba.

Zapadła cisza. Larwy rozpierchły się bezładnie, każda ratowała własne życie. Tylko kilku rannych mutantów pojękiwało cicho, konając z twarzami przytulonymi do zasypanej gruzami ulicy.

Po piętnastu minutach czekania uznali, że już się nic nie wydarzy. Ich niedawni wrogowie pierchli, a tajemniczy pogromca już się więcej nie pojawił.

– Chyba jest spoko...

Komiks powiedział to w złym momencie. W wypalonych ruinach supermarketu po przeciwległej stronie ulicy rozgorzała walka. Rycząc z bólu, wypadła stamtąd ranna larwa. Za nią – znów ten szalony Arab z kin-dżalem.

– Kurwa... On nie jest normalny – wycedził Komiks. Wyglądało na to, że maniak z kosą najwyraźniej zamierzał wypłenić larwi naród do ostatniego przedstawiciela. – Nigdy go tutaj nie widziałem. Tacy zawodnicy zapadają raczej w pamięć. Tego w Berlinie nigdy nie widziałem...

– Ivan, może przejdziemy się tam? Ten gość jest dziwny i warto mu się przyjrzeć z bliska.

– Poczekajmy jeszcze. Zobaczymy, co zrobi i pójdziemy za nim. Tak będzie bezpieczniej, chyba że chcesz skończyć jak tamci.

Komiks nie był w pełni przekonany. Mruczając coś niezrozumiale, patrzył, jak Rzeźnik Larw goni niedobitki mutantów. W końcu jednak niechętnie zgodził się z przyjacielem. Lepiej poczekać.

Po kwadransie uzbrojeni w AK-47 i z pasami ciężącymi od amunicji opuścili swoją twierdzę. Ruszyli w trop za śniadym szaleńcem z kindżalem.

\*\*\*

– Tu go też nie ma – stwierdził Nasir. – Był kiedyś, ale teraz nie. Tylko jego pomocnicy, niewarci uwagi.

Atef Ibn al-Amid otrzepał twarz z pyłu. Pogrzebał palcem w uchu – ostatni wybuch lekko go ogłuszył. Roztarł krew ciekącą z rozbitej wargi.

– Twoje miejsce jest w piekle, demonie – wycedził pod adresem niewiernego pokrytego diabelskimi rysunkami, który omal nie zabił go ze swej ziejącej ogniem rury. –

Zapamiętałem cię.

Szumienie w uchu dało mu jednak do myślenia. W tej wojnie potrzebował wzmocnienia, bo sam malajski kindżał z rękojeścią w kształcie głowy demona nie wystarczał. Demony pluły ogniem i siarką, ciskały kamieniami spod piekielnych kotłów.

– Nie ma go – przekonywał anioł-przewodnik. – Tu był jego dom, ale teraz musi być gdzie indziej.

Atef Ibn al-Amid przebił się przez rumowisko. Minął wielką dziurę w ścianie i przemierzywszy niewielkie podwóreczko, wycofał się na zasypaną śmieciami ulicę.

Łowca Demonów sapał gniewnie. Wszędzie czuł zapach dzieci Iblisa. Zdawało mu się, że z mijanych domów wyglądają błyszczące piekielnym blaskiem oczy. Chciał je zgasić.

– Jeżeli pragniesz podążać ścieżką chwały Pana, idź drogą, którą wskażę – rzekł Nasir. – Wskażę ci drogę do potężnego demona, którego już raz pokonałeś. To jeden z Demonów na Żelaznym Koniu. Jednak on nie zginął. Mimo że wysłałeś go do Piekieł, on jest tu. Sam, bez swoich iluzji i nieczystych sił, które mogą cię powstrzymać. Chodź!

I Atef Ibn al-Amid poszedł.

\*\*\*

– Dokąd on idzie? – zdziwił się Komiks.

Ivan wzruszył ramionami. Niby skąd miał wiedzieć?

Szli za szaleńcem, zachowując bezpieczną odległość. Byli górami – dobrze znali tę okolicę. Gdy śniady skręcał w którąś z uliczek, nie musieli iść za nim krok w krok. Po co się wystawiać? Lepiej zajść go gdzieś z boku okrężną drogą. I bezpiecznie obserwować.

– Myślałem, że koleś jest cięty na larwy – stwierdził Ivan. – Ale to by musiał iść dokładnie w przeciwną stronę.

Miał rację. Krępy Arab z kindżałem coraz bardziej oddalał się od Potsdamer Platz, gdzie koczowały mutanty. Szedł w zupełnie innym kierunku – na wschód, ku Szprewie.

Wkrótce dotarli do mostu.

– Pewnie chce wyjść na zewnątrz przez tereny komuny Karl-Marx.

– He, he, no pewnie. Ciekawy jestem, czym zamierza zapłacić za przejście. Bo raczej się tego nożyka nie pozbędzie, jak podejrzewam.

– Jeżeli dojdzie. Jeżeli przejdzie przez terytoria pojebów z Marzahn. I całej tej zbieraniny po tamtej stronie.

– Larwy nieźle posiekał...

– E tam, larwy! To prawda, że się nieźle radykalizowały ostatnio. Ale przecież

jeszcze niedawno to były totalne lamusy i pierdoły, yuppies gamoniowaci oderwani od swoich komputerów, wykresów i bilansów. Ale ta zbieranina ze wschodniej części... No wiesz, jak jest. Nieraz się ze skurwysynami tłukliśmy i słabi nie byli.

Jednak śniady miał inne plany. Za mostem skręcił w lewo. Ruszył na północ.

– Gdzie on, kurwa...? – zaniepokoił się Ivan – Idzie w stronę dworca!

– Na Ostbahnhof. Może chce wrócić do domu. Do Bagdadu. Albo Teheranu. Ale to chyba sobie poczeka na pociąg, he, he...

– Inga! Tam jest przecież Inga!

– O, kurwa! Racja! Jak pobiegniemy wzdłuż rzeki, nie będzie nas widział. Idzie ulicą. Będziemy pierwsi.

\*\*\*

Gdy dobiegli na miejsce, Inga próbowała włamać się do bankomatu. Dawno nieczynnego, toteż jej działania tak czy inaczej skazane były na porażkę.

– Inga!

Obejrzała się.

– Hej, to ja! Komiks. I Ivan.

– Ivan – powtórzyła automatycznie.

– Tak. To my. Słuchaj. Nie ma czasu. Tutaj zaraz może być bardzo niebezpiecznie. Kręci się tu taki jeden pojebany klient. Ma piekielnie ostry nóż, wielki kindżał, i najwyraźniej szuka zaczepki. Lepiej, żeby ciebie tutaj nie było.

Dziewczyna wpatrywała się w Komiksa obojętnym wzrokiem.

– A w ogóle to nie powinnaś tu przesiadywać – powiedział Ivan. – Nie powinniśmy ci na to pozwolić. To jest mało ciekawe miejsce, nawet jeżeli nikt nie przychodzi.

Ingi chyba to nie przekonało. Pokiwała głową i wróciła do prób hakowania martwego bankomatu. Komiks złapał ją za ramię.

– Spadamy stąd. Nie ma czasu.

Fuknęła z niezadowoleniem jak dziecko oderwane od ulubionej zabawki, jednak posłusznie podreptała za Komiksem.

Normalnie jest piękna panna – rozmyślał Ivan, wpatrując się w czarne kosmyki opadające na twarz Ingi. Na buzię aniołka, choć teraz już nieco nieobecnego. Aniołka, który odnalazł swój raj gdzieś w innym świecie. Nie na tej ziemi, tylko gdzieś obok.

Jest słodka – marzył dalej. – Gdyby nie to, że to panna mojego kumpla... No ale on teraz siedzi gdzieś daleko. A ona... Nie opierałaby się. Teraz jest taka posłuszna. Jak grzeczna

uczennica. Trochę prycha i fuka jak kotka. I jest tym bardziej pociągająca. Gdyby nie okoliczności, można by spędzić z nią tu parę miłych chwil.

Jestem pierdolonym skurwysynem – otrzeźwiał nagle. – To dziewczyna mojego kumpla i dobra kumpela. Do tego wydrenowana przez tę kurwę SI. Ale to wszystko przez to, że już tyle czasu nie miałem kobiety. – Ivan próbował sobie przypomnieć, kiedy to było ostatnio. Chyba z miesiąc wcześniej, gdy pili bimber z jakimiś dziewczyszkami z Mitte. Ale to były wredne paszczury, babochłopy i robokopy. Ta panna, z którą wylądował w łóżku, przypominała raczej zapaśnika, niż ideał niewiasty. Chociaż, z drugiej strony, nie mógł narzekać – wymęczyła go jak chyba żadna dotąd.

Komiks prowadził ich podziemiami dworca, tak by dotrzeć do wyjścia po przeciwnej stronie.

– Pójdziemy naokoło, drugim mostem – powiedział.

Jednak za następnym rogiem nie było przejścia. Zawalony strop uniemożliwił dalszy marsz.

– Szajse... Zawracamy i musimy pójść górą. Wyszli na peron.

W tym momencie, właściwie nie wiadomo skąd, zaatakował ich śniady szaleniec. Wychynął zza tablicy z rozkładem jazdy i ciał Ivana w ramię.

Ten ryknął z bólu.

– Co za kurew! Spadamy! – wrzasnął Komiks. Odbezpieczył AK-47 i sieknął serią prosto w napastliwego Araba.

Wtedy zobaczyli coś, co mogło zdarzyć się tylko w wirtualnych grach. Napastnik skoczył w bok i odbił się nogami od słupa. Kilka kroków do góry, jakby grawitacja przestała istnieć.

Komiks wywalił kolejną serię z kałacha, żeby ustrzelić to zawzięte bydlę. Bez efektów. Śniady z kindzalem wykonał efektowne salto. Zakręcił się w powietrzu – czyżby sterował nim program, a nie zwykłe ludzkie odruchy? Kule przelatowały mu nad głową, między rękami i nogami, zdawały się wręcz omijać jego muskularne ciało gladiatora. Nic. Nawet kropli krwi. Był cały.

– Co za... Spierdalamy! – Komiks puścił długą serię, drugą ręką dając znak Ivanowi, żeby odciągnął Ingę. – Spadajcie stąd! Ale już!

Szalenciec z kindzalem nagle gdzieś zniknął. Gdzie on? Gdzie koleś?

Jest! Wlaził pod krzeselka, by po chwili przetoczyć się na tory, spadając z peronu w dół. Tam jest!

– Mam cię, skurwysynu! – Komiks dobiegł na brzeg platformy i nie patrząc nawet,

pociągnął za spust. Przytrzymał i zaczął razić ołowiem całe torowisko. Kule zagrzechotały o metal. Zagrzechotały o kamienie między szynami. Ale chybiły celu.

– Gdzie jesteś?! Pokaż się, pojechańcu! Właduję ci w łeb pełen magazynek! Rozniosę cię na marmoladę!

Nagle zapadła cisza. Komiks obejrzał się. Ivan z Ingą wbiegli do następnego przejścia podziemnego.

Dobrze – pomyślał. – Tamtędy już na pewno dotrą do wyjścia z dworca-pułapki. Później tylko parę kroków i wrócą na drugą stronę rzeki. A ja zatrzymam gościa z kindziałem.

Zaczął powoli wycofywać się, ogarniając wzrokiem całą okolicę. Pusto. Tamten gdzieś wsiąkł.

Dwadzieścia kroków do schodów. Później w dół i już prosto do wyjścia. Na otwartym terenie nie ma szans. A przynajmniej nie powinien...

O tym, co się wtedy wydarzyło, Ivan opowiadał później Salimowi.

\*\*\*

Wbiegliśmy na dół, do przejścia. Ja ciągnę Ingę, no ona cały czas nie wie, o co biega, ale patrzę: Komiks daje za nami. Posłał parę serii, tak kontrolnie, gdzieś w dal, po peronach, i jak już się wydawało, że jest spoko, pobiegł naszym śladem, tam w dół, do przejścia. Wtedy wyskoczył ten koleś. Nie wiem skąd, zleciał z góry jak jakiś spiderman, jak jakiś batman pierdolony czy jakiś inny madafaka z filmu. Spadł gdzieś z góry tuż przed Komiksem. Komiks za kałach i dawaj! Napieprza serią. Kule zagrzechotały po marmurach tak wyraźnie, że aż je czułem pod czaszką. Rozbrzmiewały mi echem, jakby to do mnie ktoś strzelał.

Ale to na nic. Wariat z wielkim nożem skoczył w górę jak w grze komputerowej, jak batman pierdolony w holowizji, jakby nie istniało przyciąganie. Widziałem wyraz twarzy Komiksa: wkurzył się i zawział. Lufa jego AK poszła do góry. Patrzę: kule prują przestrzeń i zaraz zdejmą śniadego. Trafi pojecha i podziurawi go na sito. Ale gdzie! Nie! Nie ma łatwo. Co kurwisyn zrobił? Wywinął. Jakby na ćwierć ułamka ćwierci sekundy wcześniej zawsze wiedział, gdzie przeleci pocisk. Jakby nim sterował komputer jakiś albo czuwał nad nim anioł jakiś, kurwa, stróż. Po prostu kule ocierały się o niego, tuż nad nim, pod nim, obok niego. Ale nawet najmniejszego zadrapania!

Ja wtedy widziałem, że Komiks wpadł w panikę. On tego nie okazał tak wprost, ale jego oczy mówiły. Strach! Przerazenie! Wiedział chłopak, że to madafaka nieprzeciętny i ołów niewiele zdziała.

Więc się cofnął. Machnął tylko do mnie i krzyknął:

– Ivan, uciekajcie, ja go zatrzymam.

Wtedy spadł cios. Arabski spiderman ciął tym swoim nożem w ramię Komiksa i prawie dobrze trafił. Tak jak mnie wcześniej, tylko bardziej. Komiks kwiknął jak prosiak. Tak, kurwa, strasznie, że aż mnie ciarki przeszły. Patrzę, a jego ręka, ta, która trzymała kałacha, zwisa na kawałku skóry, a poza tym jest całkiem odcięta. Chlusnęła krew z tej rany, aż mi się w żołądku zakotłowało, ale to nie był koniec.

Komiks zaczął się cofać, ale nie poddał się. Wziął drugą ręką AK, przechwycił guna i dawaj napieprzać w wariata. Znaczy, chciał to zrobić, bo wtedy śniady skurwiel znów ciał go ostrzem przez pierś i w to ramię prawie odcięte i teraz mu je odciął już na maksa. Poleciało na ziemię, a jak to Komiks zobaczył, to zawył jeszcze bardziej i zaczął strzelać na oślep.

Wtedy ja też zacząłem na oślep strzelać, bo co, kurwa, robić? Normalny człowiek już by się porzygał.

– Spier...dalaj! – wystękał Komiks i wtedy sobie przypomniałem o Indze. Zaczęliśmy uciekać, w długą korytarzem.

Jak ostatni raz spojrzałem na Komiksa, to ten pojebaniec z kindząłem akurat brał zamach. Ciął. Prosto w szyję. Nie od razu. Nie od razu mu ją odciął. Komiks jeszcze się wywinął, odskoczył, więc tamten za nim i sieknął jeszcze ze dwa ciosy, takie z zamachu, na odlew, z całej siły, aż po którymś razie głowa Komiksa odleciała.

Zabił go nam, zabił tym swoim nożem!

Wtedy znów zacząłem strzelać, ale byłem tak spanikowany, że cud, kurwa, że sobie sam łba nie odstrzeliłem. Ale trafiłem go, widziałem, jak krew mu poleciała z ramienia, widziałem, jak kule haratają jego szafkowate kształty. No ze dwie, trzy najmniej musiał dostać, ale tylko go drasnęły, bo dalej skakał jak małpa zamiast zdechnąć. Rzucił mi tylko takie spojrzenie, w którym wyczytałem najbardziej złowrogie obelgi, po czym śniady wariat zniknął.

Nie czekałem, co dalej. Zabrałem Ingę i daliśmy w długą najszybciej, jak się dało. Byle chodu z dworca, a potem na nasz kwadrat! Bałem się, że pojeb ruszy za nami, ale nie. Już sobie dał luz. Przelecieliśmy mostem z powrotem na dzielnicę i już spoko dotarliśmy.

\*\*\*

Kiedy Zak otrzymał wynik badań z trzeciego laboratorium, wiedział już, jak rozegrać kolejne rozdanie.

Wszystkie trzy analizy wykazały zgodność dostarczonych próbek DNA z cyfrowym wzorcem. Relikwia była prawdziwą Relikwią zaginioną w tajemniczych okolicznościach lata

temu. Teraz należała do niego, ale nie czuł radości. Za wcześnie. Jeszcze została mu Claudia Ronson.

Wysłał jej info na ten sam numer, co zawsze. Zjawiła się niemal natychmiast, jakby tylko na to czekała. Hologramowa wizualizacja zdradzała ożywienie. Zak nigdy jej takiej nie widział – już nie lalka wykuta w kawałku lodu. Raczej marionetka na haju.

– Masz Relikwię – stwierdziła.

– Tak.

– Doskonale. I potwierdziłeś?

– Tak.

– Od razu wiedziałam, że ci się uda. Jesteś pewien, że jest prawdziwa?

– No przecież mówię. Porównałem próbki z wzorcem. W trzech labach. Zgadza się.

– Gdzie ją zdobyłeś? Kto ją miał?

– Była w depozycie. W skrytce Banku Świętego Piotra w Enklawie Warsaw City. Dwa lata temu została tam umieszczona przez tajnego wysłannika Zakonu Maryi Królowej – brata Eligiusza.

Claudia zaśmiała się nienaturalnie.

– A twój wzorec? Gdzie go zdobyłeś?

– Pochodzi z najbardziej chyba wiarygodnego źródła. Z akt Nowego Watykanu zachowanych jeszcze z czasów, gdy przyznawano certyfikaty autentyczności Relikwii.

– Imponujące. Jestem pod wrażeniem.

Chwilę się zastanawiała, ściągając w napięciu usta. Zak był coraz bardziej pewien, że te jej gesty to tylko umiejętnie zagrana rola. Tak, by pasowała do wizerunku chłodnej żony członka Zarządu Pao.

Bardzo chciałby jej powiedzieć, że gra skończona. A przynajmniej, że to finisz rozgrywki prowadzonej według reguł, które ona pisała. Teraz on będzie dyktował warunki. Już miał na końcu języka: „Skończ z tą jazdą, Claudio, Stello, Gabrielo, Mario, czy jak ty się tam właściwie nazywasz. Wiem, że jesteś poszukiwana listem gończym w państwach Wspólnoty Islamskiej. Wiem też za co, a to oznacza, że kłamiesz”. Postanowił jednak zaczekać.

– Więc będzie tak – zakomenderowała Claudia. – Prześlij mi ten wzorec, ten, który zdobyłeś w Nowym Watykanie. Ja sprawdzę, czy zgadza się z moim. Jeżeli wynik potwierdzi się... – zawiesiła głos znacząco.

Przecież ty nie masz tego wzorca – pomyślał Zak, ale milczał. Zaczynało go bawić, że Claudia wciąż brnęła w tę głupią gierkę z piaskownicy. – Okej, kobieto. Stawiaj swoje



piaskowe katedry. Będę miał większą radość, jak ci je rozsypię.

Zawiesił na chwilę połączenie. Gdy hologram zamarł w nienaturalnej pozycji, wyłuskał wzorzec z pamięci procesora i przesłał do jej mobila.

– Już masz – powiedział, odwieszając rozmowę.

– Będziemy w kontakcie – usłyszał. – Bye, mój rycerzu!

Dawno nic go tak nie wkurwiło, jak jej ostatnia odzywka.

\*\*\*

Wróciła po dwóch godzinach i przemówiła głosem słodkim jak czekoladowa polewa:

– Zaimponowałeś mi. Naprawdę podobasz mi się, Zak. Powiem ci szczerze, nie jesteś pierwszy, który zajmował się tą sprawą. Ale żaden z twoich poprzedników nie osiągnął tyle co ty. I to w takich warunkach.

Zrobiła pauzę dla efektu. I dalej lała lukier:

– Oczywiście, wzorzec zgadza się w stu procentach. Jeżeli masz Relikwię, która odpowiada temu DNA, to możesz już planować wakacje na Hawajach.

Kolejna pauza, po której przeszła do rzeczy już swoim dawnym lodowym głosem żony członka Zarządu:

– Więc zrobimy tak. Podasz mi miejsce, gdzie to schowałeś. Mam nadzieję, że to bezpieczna skrytka. Podasz mi wszelkie namiary, kody i tak dalej. Mój człowiek odbierze Relikwię i po sprawie. Cóż, gdyby ten wariat nie zabił ci klona, mógłbyś sam się tym zająć i dostarczyć mi Relikwię na miejsce. Co za dzicz, ten morderca... Jednak, tak czy inaczej, przez twoją nieroztropność jestem stratna dziesięć tysięcy. W zasadzie powinnam zażądać od ciebie zwrotu tej sumy. Ale ty przecież nie masz pieniędzy. – Zachichotała perliście. Zak słuchał jej z narastającym zdziwieniem. – No nie będę taka małostkowa, przecież siedzisz w tym nieprzyjemnym miejscu. Umówmy się, że oddasz mi przy okazji. Na pewno, gdy już nabierzesz sił, włamiesz się gdzieś do banku i uszczkniesz z milion juanów, na przykład arabskiemu sułtanowi. Wtedy się rozliczymy, tak? – Znów ten kretyński chichot.

– Nie – powiedział Zak.

Zaśmiała się.

– Masz rację. Te dziesięć tysięcy nic nie znaczy. Uznajmy je za moje koszty operacyjne, w porządku?

– Nie.

To wyrwało ją ze stanu radosnego podniecenia.

– Co masz na myśli?

– Nie powiem ci, gdzie jest Relikwia. Twój człowiek nie pojedzie po nią. Ja po nią pojedę i przekażę ci osobiście.

– Ależ Zak... – zaczęła. – Przecież ty siedzisz tutaj, to jak chcesz...

– No właśnie tak chcę. Żebyś dotrzymała swojej części umowy.

– Dotrzymam, wiesz o tym.

– Nie wiem. Dlatego ty najpierw uwolnisz mnie, a ja zajmę się resztą. Pojadę po Relikwię i przyniosę ci ją w wyznaczonym czasie w wyznaczone miejsce. Ja nie ściemnam. Mam swoje zasady, więc możesz mi wierzyć na słowo.

Maska lukrowej Claudii opadła. Znów wróciła Claudia Królowa Śniegu.

– Posłuchaj mnie uważnie, Zak – wycodziła zimnym głosem. – Przypomnij sobie ten dzień, gdy rozmawialiśmy pierwszy raz. Korzystając z moich możliwości, wyciągnęłam cię z dna i zapewniłam całkiem znośne warunki. Tak było, to przyznasz. Zrobiłam krok do przodu, zanim ty uczyniłeś mi najmniejszą choćby uprzejmość. Później, już w warunkach dogodnych do prowadzenia rozmowy, ustaliliśmy taką kolejność, że ty zdobywasz dla mnie Relikwię, a ja załatwiam ci wolność. Nie tak było? Sam przyznasz.

– Claudia. A może Stella. Gabriela. Maria? Nawet nie wiem, jak masz w końcu na imię. Niech będzie Claudia. Więc, droga Claudio, ja wiem. Wiem wszystko od początku do końca, wiem, że byle pojebany islamski fanatyk ma religijny obowiązek cię zabić. Za co? To też wiem. Wiem także, do czego potrzebna jest ci Relikwia.

Jednak nie zrobiło to na niej takiego wrażenia, jak się spodziewał.

– Taaak. No cóż... – powiedziała po chwili zastanowienia. – W sumie powinnam się z tym liczyć. W końcu wykazałeś się umiejętnościami na miarę Jamesa Bonda. Chociaż tak naprawdę nie sądzę, żebyś wiedział wszystko, jak jest.

– Wiem. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest to, że zrozumiałem jedną rzecz. Nie zamierzasz mnie stąd wyciągnąć. W porządku, pogodziłem się z tym. Robota, którą mi zleciłaś, była dla mnie pewnym wyzwaniem, którego mogłem się podjąć, w zasadzie nic nie tracąc. Ale teraz wracamy do punktu wyjścia. Jak chcesz Relikwię, musisz mnie stąd wyciągnąć wszelkimi możliwymi środkami.

– Zak, posłuchaj mnie uważnie. Mogę ci jeszcze pomóc. Mogę zrobić dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Przerwał jej.

– Od dawna wiedziałem, że nie masz zamiaru ani pewnie możliwości mnie stąd wyciągnąć.

– Posłuchaj mnie...

– Nie! To ty teraz słuchaj. Wiedziałem, że to ścierna. Że nie wyjdę stąd, bo nie jesteś pierdoloną żoną członka Zarządu Pao, tylko takim samym wyrzutkiem jak ja. Jednak ciągnąłem dalej tę zabawę, bo ja nic nie mam do stracenia. A ty masz. Swoją Relikwię. Więc teraz skończmy tę rozmowę, a ty się zastanów, co zrobić, bym wyszedł na wolność. Bo inaczej możesz być pewna, że twoja Ręka Czyniąca Znak Krzyża spłonie polana benzyną w blaszanej beczce, nad którą grzeją się kloszardzi. Będzie trochę smrodu, a później... jedno wielkie nic. Żadnego zbawienia. Żadnego cudu. Zapomnij.

– Ty chyba zapomniałeś, kim byłeś jeszcze miesiąc temu. Skoro tak, postaram się przywrócić ci pamięć. Wiedz jedno, wiem, co robiłeś przez cały ten czas. Miałam cię na oku. Wiem, co robiłeś w każdej sekundzie, odkąd zacząłeś używać mojej karty SIM. Mam twoje kompletne billingi, bo to ja płaciłam rachunki w Xiaopingu. Możesz być pewien, że znajdę Relikwię nawet bez ciebie. Znajdę to miejsce, gdzie ją ukryłeś. Ale wtedy utracisz swoją ostatnią szansę. Przemyśl to.

To były jej ostatnie słowa. Hologram nagle wtopił się w cień w rogu celi. Zak przez chwilę patrzył jeszcze na świetlne refleksy błakające mu się gdzieś na krańcach komórek nerwowych.

Później zapadła ciemność.

@@29

Później zrobiło się czerwono. Wrócił do Czerwonego Piekła.

Najpierw jednak zajęli się nim strażnicy. Wywlekli go z celi, ledwie złapał odrobinę snu. Nie zadali sobie nawet trudu, by tworzyć jakieś pozory. Dopadli go we trzech. Cios pałką w głowę. I zaraz seria kolejnych – w plecy, w nogi, jeszcze raz w plecy, w nogi, znów w głowę. Uderzenia sypały się raz za razem, za nimi przekleństwa – niezrozumiałe, wyciągnięte z najbardziej plugawych ryszotków chińskich przedmieść.

Wreszcie przestali. Zak przechylił głowę. Stróżka krwi sącząca się z rozbitej skroni zmieniła swój bieg. Teraz, zamiast do ucha, ściekała na policzek. Końcem języka smakował słoną czerwień, a w żołądku kotłowała mu się burza.

– Kurwa... Za... c-ho? – jęknął. – Co jest...? Żadnej odpowiedzi. Złapali go pod ręce i powlekli gdzieś korytarzem.

– Uważajcie... Bo mundury się pochlapią... – wystękał, plując krwią. – Wasze, kurwa, piękne mundury.

Za to dostał jeszcze raz. Dwa, trzy, pięć razy. Więc już zamilkł i pozwolił wlec się,

gdzie tylko będą chcieli go zabrać. Choćby do piekła. Szumiało mu w uszach.

Wtedy stracił przytomność.

\*\*\*

Woda... Spływa szemrzącymi strumyczkami, meandrami, zakolami... Rzeka, a on leży na jej brzegu szczęśliwy, wolny, z dala od rzeczywistości.

Woda. Chlusnęła mu na twarz drugi raz i wtedy się przebudził.

– Ocknął się – zagadał w dialekcie kantońskim Biały Mundur.

A jednak się zachlapał – pomyślał z satysfakcją Zak.

– W porządku. Dajcie go tu.

Znał ten głos. O, tak! To był porucznik Jao Huei. Ten niebieskooki skurwysyn w szeregach oprawców Pao.

Klawisze powlekli go z kąta pokoju przed biurko porucznika i posadzili na stołku. Chwiało się – brakowało mu oparcia. Czuł, że zaraz spadnie w tył.

Huei musiał to zauważyć, bo zakomenderował:

– Wong, przytrzymaj go, bo leci.

Poczuł silną rękę szarpiącą za kołnierz.

– W porządku, Gaber – szczechnął po arabsku porucznik. – Koniec zabawy. Zbyt długo obchodziliśmy się z tobą jak z jajkiem. Koniec tego dobrego! Teraz przyszedł czas, by cię trochę przysmażyć.

Wziął leżącą na biurku elektryczną pałkę i smagnął go prądem. Teraz naprawdę zabolalo. Zak szarpnął się do tyłu, nie kontrolując swoich odruchów. Upadł na podłogę, boleśnie tłukąc się w potylicę. Biały mundur podniósł go i z powrotem posadził na stołku.

– Czujesz ten swąd? – pastwił się nad nim porucznik. – To twoja skóra smaży się głaskana woltażem. Za godzinę będziesz czarny jak przypalona wołowina po syczuńsku.

Wywinął pałkę tylko raz, lekko muskając jego włosy. Ale to wystarczyło, żeby wszystkie nerwy poczuły rwące pulsowanie prądu. Usmażony pewnie z milion szarych komórek.

Porucznik zamachnął się do następnego ciosu, nagle jednak zamarł w pół ruchu. Opuścił swe narzędzie tortur i miększym głosem powiedział z udawanym smutkiem:

– No chyba że... Chyba że jednak zdecydujesz się współpracować.

– Co... Co... – Zak nie był w stanie wykrztusić jednego zdania.

– To proste. Mów! Gdzie to jest?!

Ale właściwie co? Relikwia? Nie, chyba nie? Te ich przeklęte pliki?

– Nic... Nie wiem. Nie powww...

Znowu cios. Tym razem bez prądu – to biały mundur za plecami wyróżnął go w nerki. Starannie wyreżyserowane przedstawienie, w którym każdy z aktorów miał swoją rozpisaną w detalach rolę.

– Zasmucasz mnie, chłopcze. Doprawdy, wydawałeś się bardziej rozsądny. Zatem i ja muszę cię zasmucić. Na tym się nie skończy. Może zaczniemy z drugiej strony.

Porucznik Jao Huei wetknął mu koniec elektrycznej pałki między nogi.

Zak nawet nie jęknął. Od razu wylogował się w ciemność.

\*\*\*

Czerwone piekło.

Czerwone PCW.

Czerwona beznadzieja.

Znów tu był. Beznamiętnie wpatrywał się w wydrapany w sumie nie tak dawno napis:

I TAK LUBIĘ CZERWONY, SKURWYSYNY!

Potał dłonią policzki, ścierając z nich zeschniętą warstwę skrzepów. Rudoczerwonych. Gdy ból nieco zelżał, doczołgał się do drzwi. Przyłgął twarzą do obitego plastykiem metalu i nasłuchiwał.

Cisza. Tu nie docierał żaden dźwięk.

– Karaluch – wyszeptał. – A gdzie karaluch?

Oderwał się od drzwi i zaczął pełznąć w stronę przeciwległego końca celi. Światło z dwustuwatówek kłuło bolesnymi igielkami w sam środek głowy. Zamknął oczy i po omacku dotarł do rogu pomieszczenia. Sycząc z bólu, spróbował zwinąć się w kłębek. Pieczenie przypalonych genitaliów. Pulsujący łomot pokrytych siniakami mięśni.

Wreszcie udało mu się znaleźć pozycję, w której cierpiał najmniej.

– Karaluch... Karaluch – szeptał. – Gdzie jest karaluch...?

– No jestem, jestem – odpowiedział na przywołanie owad. – Jak tam leci? Słabo coś, z tego co widzę. No co tam z tobą?

Zamachał czułkami na zachętę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Prздеfilował przed nosem Zaka i rzekł z troską w głosie:

– No widzę, że bardzo źle... Bardzo. Może powiedz im. Co ty na to? Powinno pomóc! Powiedz wszystko. Co tylko chcą. Od początku do końca. O tych plikach chińskiej korporacji. I o ręce świętego. No ja bym tak zrobił. Od razu bym powiedział.

Na chwilę gdzieś zniknął poza zasięgiem wzroku. Nie na długo.

– Nie, no ja to mówię szczerze! Naprawdę. Nie mam w tym żadnego interesu, żebyś się stąd wynosił. Nawet lubię, jak tu jesteś. I zjeść mam co, i pogadać z kim. Tak jakoś weselej, no i w ogóle... Ale co ty taki dziś milczący, co? Szczerze mówię, zrzuć to z siebie, niech mają, co chcą. Przecież tobie to do niczego niepotrzebne. Zresztą sam wiesz, jak jest. I coraz słabiej wyglądasz, mówię ci. Szczerze mówię...

Zak zamachnął się ostatkiem sił. Trafił. Uderzył owada bokiem pięści. Otarł rozmazane resztki karalucha o więzienny drelich i zapadł w sen.

\*\*\*

Deja vu.

Szczęknięcie otwieranych drzwi. I białe mundury. Zamiauczały coś w niezrozumiałej odmianie chińskiego, później padła komenda po arabsku:

– Wstawaj, Gaber. Nic z tego.

Nie miał sił.

Więc znów wywlekli go na zewnątrz i nieśli korytarzem jak zepsutego manekina. Głowa Zaka kiwała się na boki. Sunął kilkanaście centymetrów nad podłogą, szorując piętami po betonie. Świat zredukowany do ponurych wnętrza Pai Tien skakał niczym piłka w rytmie, jaki wyznaczała jego bezwładna głowa. Odległe głosy więźniów obserwujących go przez szczeliny pod drzwiami cel przypominały odgłos ładowanej broni.

Deja vu. Znowu zawlekli go do tego małego pomieszczenia. Dwa na dwa. Pośrodku szklana tafla, komunikator.

A z drugiej strony ona.

– Witaj, Zak.

Nie odpowiedział.

– Mam nadzieję, że nie pobili cię zbyt mocno. Widzisz... Oni się niecierpliwą, bo przeginasz. Mógłbyś sobie pomóc, naprawdę. Ale jak widzę, lubisz komplikować sprawy.

– Lubię czystą grę – wystękał cicho. – A ty, jak widzę, nie przebierasz w środkach.

– Dobrze, teraz mnie uważnie posłuchaj. Złożę ci ostatnią propozycję. Powiem ci, jak się sprawy mają.

– Ech... Ja wiem. Dałem się zrobić jak dzieciak. Ale mam Relikwię i to mnie broni. Chcesz ją mieć ty, to wyciągnij mnie stąd. Bo inaczej zapomnij.

– Nie przeginaj dłużej, Zak. Wiem, że Relikwia jest tutaj, w Nowym Hongkongu. Przeanalizowałam twój billing. Wiem, że twój ostatni lot klonem ze Sztokholmu do Londynu odbył się via Hongkong. To, że zapłaciłeś od razu za łączony lot, tylko nieznacznie utrudniło

mi dotarcie do tej informacji. Relikwia jest tutaj, na miejscu. Dostyc sprytne, inni wywiezliby ją do Mexico City albo do Wellington, byle daleko stąd. A ty, proszę! Wiesz, że pod latarnią najciemniej. Sprytny z ciebie facet, ale niezbyt mądry. Dlatego twoja sytuacja jest niewesoła. Będzie tragiczna, jeżeli uda mi się dojść, gdzie ją ukryłeś. Mam swoje sposoby.

– Kurwa... Ciekawe jakie.

– Jeżeli masz wątpliwości, to poproszę porucznika Hueia, by je rozproszył. Do rzeczy, Zak. Masz ostatnią szansę. Oddajesz Relikwię, a ja cię stąd wyciągam. Mimo wszystko mam tu swoje wpływy. Gdyby było inaczej, nawet byśmy teraz nie rozmawiali. Albo idziesz na to, albo druga możliwość – natychmiast kończymy naszą znajomość i każdy radzi sobie na własną rękę. Ty zostajesz w karczerze, a ja przy pomocy moich ludzi, którzy naprawdę mogą dużo działać, odnajduję miejsce, gdzie ukryłeś Relikwię. I koniec zabawy. Przegrałeś.

– Oszukiwałaś mnie od początku. Nie mam powodów, żeby ci wierzyć teraz. Pomijam już kwestię, do czego chcesz tę Relikwię. W tych okolicznościach mało mnie to obchodzi, ale co mi szkodzi, powiem. I powiedziałałby ci to samo nawet ten twój Jan Paweł II. Twoje intencje są zwyczajnie złe.

Tu uderzył w jej czuły punkt. W szarych oczach pojawiły się znajome błyskawice.

– Nie oceniaj mnie, bo nie masz do tego prawa.

– Waszych działań nie uznaje nawet Watykan. Wiem, że obłożył was anatema.

– Milcz! Nie masz jakichkolwiek podstaw, by się na ten temat wypowiadać.

– Po trupach do celu, tak? Wasz patron chyba nie to miał na myśli? Raczej nie tak nauczał?

– Nie zamierzam z tobą o tym dyskutować. Tak albo nie. Albo współpracujesz, albo zostajesz w rękach skośnookich sadystów. Wybieraj.

– Nie.

\*\*\*

Po tygodniu spędzonym w karczerze miał za sobą już dwa etapy.

Etap 1: nienawidzę czerwonego.

Etap 2: i tak lubię czerwony, skurwysyny!

Teraz był na etapie trzecim.

Etap 3: nienawidzę nienawidzę nienawidzę czer-wo-ne-go!

Starł się leżeć z zamkniętymi oczami jak najdłużej. Ale ile można wytrzymać z zaciśniętymi powiekami? Godzinę? Można. Dwie? Można. Trzy? Też. A dziesięć? Hm, chyba byłoby trudno. A dwadzieścia cztery? Czterdzieści osiem? Dziewięćdziesiąt sześć?

Nie, nie można.

Leżał więc twarzą do dołu w rogu celi. Podłoga też była czerwona, ale w cieniu jego ciała, zasłonięta przed światłem staroświeckich żarówek, nieco ciemniała.

Już nie jaskrawa. Już prawie nie czerwona, tylko taka-trochę-ciemniejsza-czerwona-ale-szara.

Próbował włączyć netchip. Brak zasięgu. Brak zasięgu. Brak zasięgu...

A jeżeli nawet – Claudia na pewno zablokowała SIM-a.

Ósmego dnia odwiedziły go dwa karaluchy.

– Ej, koleś! – powiedział ten większy.

– Tak! Ej, koleś! – zawtórował mu mniejszy.

– Ostatnio zatłukłeś naszego kolegę! Jak muchę!

– Tak, co ty myślałeś, że ci to tak ujdzie na sucho? Przeczłołgał się w inny róg karceru.

Na próżno! Karaluchy natychmiast podreptały za nim.

– Ej, koleś! – znów odezwał się duży. – Chyba nie myślisz, że uciekniesz?!

– Przyszliśmy cię ukarać! Wywrzeć srogą zemstę za zabicie jednego z nas. Taką mamy zasadę – nie przepuszczamy.

– Będziemy bezlitośni.

– Okrutni.

– Bezwzględni.

– Bestialscy.

– Morderczy!

– Zdziczali w swym pragnieniu odwetu!

Zak zamknął oczy. Znikajcie! Precz! Precz z mojego umysłu! Precz! Precz! Precz!

Precz! Precz! Precz!

Karaluchy nie chciały uciec. Ale też, gdy Zak nie odpowiadał, nagle opuścił je rezon.

– Co teraz? – zapytał mniejszy.

– No właśnie nie wiem.

– No to co robimy?

– Noo... Może ten... No nie wiem.

– Idziemy?

– Czeka! To przynajmniej mu dokopię! Zapiardolę z laczka. Albo może ten... No dobra, idziemy.

I poszły.

Ale po dwóch dniach ten mniejszy wrócił. Nie miał już tak bojowego nastroju. Wprost



przeciwnie.

– Życie nie ma sensu – stwierdził melancholijnie. – Chciałoby się czynić rzeczy wielkie. Takie, które napawają dumą. Opiewane później przez pokolenia. A tu co? Od okruszka do okruszka. Od resztki do resztki. Tylko patrzysz, gdzie odpadek, który możesz rozdrobnić zuwaczkami. Kawalek ryżu. Albo tego żółtawego sosu, co dodają. Albo jakaś skórka od banana, jak trafisz do lepszego śmietnika. Tylko szukasz i szukasz. Od wieczora do rana, potem w kimę i od początku. A gdzie czas na rzeczy wzniosłe? A gdzie wielkie czyny, które wykuwają w granicie twoje imię dla potomności?

Chwilę medytował, obracając w myślach galaktyki karaluszych problemów, po czym kontynuował swoją przemowę:

– Kto wie? Może tamten ma lepiej? Ten, coś go jak muchę... Może uwolniony od ciężaru wyszukiwania okruchów, zlepionych grudek ryżu, może ma lepiej tam gdzieś. W innym, lepszym świecie. Uwolniony od tej czerwonej rzeczywistości. Tam mu na harfach karalusze anioły grają, podsuwają patery pełne przysmaków. A on uwolniony od trosk obraca swą myśl w marmurowe pomniki.

Na chwilę zniknął. Zak dalej leżał jak kłoda, z twarzą do ziemi, skulony w kącie czerwonego karceru. Miesiąc później... A może to było tylko pięć minut? Dwie minuty? Trzydzieści sekund? Bez znaczenia. Karaluch wrócił.

– Wiesz co, nie lubię tego miejsca. Zimno tu jakoś. Nasz naród woli jednak cieplejsze rejony, takie bardziej umiarkowane. I widzę, że ty też nie przepadasz za tym lokalem. A może... Wiesz, tak się tylko zastanawiam... Nie to, że tamto... Ale może powinieneś jednak jej powiedzieć? Bo co masz do wyboru? Do wyboru masz leżenie tutaj bez końca i czekanie, aż coś się wydarzy. A co się wydarzy? Przyjdą ci w białych mundurach i ci wleją. Pałkami zwykłymi i pałkami elektrycznymi. Może jednak lepiej współpracować. Z nią. Ale czy ona jeszcze przyjdzie? Chyba już nie przyjdzie.

Zak jednym, dobrze wymierzonym uderzeniem dłoni zakończył kolejny karaluszy żywot. Zapadła cisza.

\*\*\*

Cisza. Cisza. Tylko szumienie w uszach.

A później koniec ciszy. Nagły huk. Gdzieś w oddali, stłumiony. Później drugi i trzeci. Aż zatrzęsły się mury. Poczul drażniący, lekko wyczuwalny zapach... Czegoś ostrego. Chińska przyprawa do ryżu? Nie, to jednak było coś bardziej toksycznego.

Potem krzyki. Chaotyczne. Paniczne. Później już bardziej zrozumiałe. Pojedyncze

słowa, choć jeszcze nie był w stanie ich rozpoznać.

Przetoczył się w drugi kąt celi, mając nadzieję, że dźwiękowa halucynacja zniknie.

Nic z tego. Hałasy przybrały na sile. Gdzieś szczęknięły drzwi. Wiedział które – to główne wejście do tej części więzienia, gdzie znajdują się karcery. Do samych podziemi. Do samego piekła. Drzwi tuż obok.

– Tutaj?! – dobiegł go okrzyk. Bardzo niewyraźny, jak z wnętrza puszeki.

– Nie wiem. Sprawdźcie po kolei. Ty po lewej, ty po prawej.

Trzaski wizjerów. Klap! Klap! Klap! Klap! Przy jego drzwiach.

– Jest tu!

Szczęknięły rygle. Drzwi Czerwonego Piekła stanęły otworem.

Karaluch. Wielki i czarny. Jak nie karaluch. Gigantyczny owad o rozmiarach człowieka.

– Wstawaj, Zak – zabręczało stworzenie. – Zabieramy cię stąd!

Nie zareagował. Znikajcie! Precz! Precz z mojego umysłu! Precz! Precz! Precz! Precz! Precz! Precz, wielki, dwumetrowy karaluchu. Przestań mnie dręczyć!

– Weźcie go, bo w ogóle nie kojarzy. Migiem! Wpadły dwa kolejne karaluchy. Czarne, wielkie. Pochwyciły go za ramiona.

– Załóż to. – Ktoś wciskał mu do ręki owadzią maskę.

Więc ja też teraz będę karaluchem? – myślał przerażony Zak. – Teraz i ja mam jakąś cholerną owadzią trąbkę czy inną zuwaczkę, którą będę badał i rozdrabniał zlepione kurzem okruchy jedzenia?

– Dobra, dawaj, ja ci założę.

Poczuł, że zamienia się w wielkiego owada. Takiego samego jak tamte. Czarnego, z wyłupiastymi oczami. Czy mam też skrzydła? Sprawdził. Są, kurwa, ale odjazd! Ale czy na tym się da latać? Spróbował. Z niewielką pomocą, podtrzymywany przez czyjeś ramiona, uniósł się kilka centymetrów nad podłogę. I pofrunął, trochę nieporadnie szorując nogami po czerwonej posadzce. Mam skrzydła. Mogę latać. Albo przynajmniej próbować. Cóż to za uczucie!

– Hej, Zak! Słyszysz? Kojarzysz, co się dzieje? Dobra, jest półprzytomny. Zabierzcie go, zanim się przekreśli.

Korytarz. Znajome miejsce, którym płynął tyle razy. Zawsze niesiony w stalowym uścisku klawiszy.

W oddali znów zagrzmiało. I równomierny terkot.

– Do diabła, co tam znowu? – rozsierdził się Ważny Karaluch. – Szybciej, chyba

rzucili nowe siły.

Za chwilę przemówił do kogoś przez komunikator.

– Pilnujcie porucznika, mamy grupę odwetową na karku. Jak u was?

– W porządku, trzymajcie pozycję. Idziemy do was.

Prowadzony przez komando owadów przedostał się na górny poziom więzienia. Tam, gdzie znajdowały się normalne cele. Nie czerwone. Z okienkiem. Ale to nie tam szli. Dalej. I wyżej. Na schody i na kolejną kondygnację.

– Gdzie są? Co? – zabzyczał Najważniejszy Owad. – Cholera! Na dziedzińcu? Przytrzymajcie ich na chwilę.

Zaczął wymachiwać ręką z pistoletem. Jak policjant lizakiem, by rozładować korek na skrzyżowaniu.

– Wynosimy się, mamy już ich pod dupą!

W oddali zagrzmiała seria monotonnych wybuchów. Później równomierny terkot.

Na kolejnym poziomie zobaczył ciała. Zabici? Przyjrzał się uważnie jednemu. Nie, rusza się. Poleruje swoim białym mundurem i tak już lśniąca podłogę. Z ust klawisza sączyła się biała, gęsta ślina. Jego oczy, nadmiernie wytrzeszczone, niemo wołały o pomoc.

– Neurotoksyny – wyjaśnił Ważny Karaluch, widząc zainteresowanie Zaka. – Mała dawka. Za dwa dni staną na nogi.

A więc nie tylko owady, ale owady-drapieżniki kęsające jadem! Karaluchy-mutanty! Karaluchy-wojow-nicze-żółwie-ninja! Karaluchy-mordercy-z-zaświatów! Karaluchy-pierdolone-alieny! Ale kanał!

Wspięli się poziom wyżej, gdzie dołączyły do nich jeszcze trzy inne owady oraz porucznik Jao Huei. Tym razem prezentował sobą zupełnie inny widok: blady i roztrzęsiony. Na jego czole lśniły delikatne perełki potu, wargi drżały ze zdenerwowania. Gdzieś zgubił swoją białą czapkę. Wykręcone do tyłu ramiona krępowwały mu jednorazowe kajdanki z plastyku – standardowe wyposażenie policji Pao.

– To skandal... – mamrotał porucznik. – Proszę mnie wypuścić! Natychmiast! To skandal! Proszę mnie wypuścić!

I tak powtarzał w kółko swoją mantrę, ale owady nie zwracały na to najmniejszej uwagi.

Ważny Karaluch popchnął Hueia w stronę schodów.

– Ruszaj. Idziemy dalej!

Mijając kolejne wijące się ciała zaatakowane jadem, przeszli do nieznanego dotąd Zakowi części Pai Tien. Już nie stalowe, ażurowe schodki. Już nie kraty między sektorami.

Już nie pancerne drzwi do cel. To była część mieszkalna, gdzie stacjonowali strażnicy pełniący tutaj swą służbę. Kilkoro zwykłych drzwi z płyty wiórowej pomalowanych na bladozielony kolor. Opustoszała kantyna z poprzewracanymi stołami. Na podłodze pokrytej imitującą drewno wykładziną walały się szczątki rozbitego automatu do kawy. Widać wcześniej musiała się tutaj toczyć walka.

– Szybciej! Już są na dole! Góra ich nie utrzymała! – oznajmił Ważny Karaluch i zakomenderował: – Piątka i Szóstka! Zabezpieczyć tyły!

Dwa owady oderwały się od grupy i pomknęły w stronę schodów. Znikły za drzwiami, ściskając w rękach granaty. Po chwili doszedł stamtąd huk kilku eksplozji. Powietrze aż zaszło gęstą, niebieskawą mgłą powoli wyciągającą ramiona w ich stronę. Zaraz też wypadły z niej owady powracające z akcji.

Gaz? Trucizna?

– Przecież... – wymamrotał Zak. – Tam są więźniowie. Zabijacie ich?

Ważny Karaluch gestem wskazał kierunek. Poszli dalej.

– To nie trucizna. Tylko obezwładnia system nerwowy. Więźniowie przeżyją godzinę panicznego strachu i tyle. Tamci też, jeżeli nie założyli masek.

Uciekli przed niebieską mgłą na kolejną kondygnację.

Strzały i huki nie milkły. Zak już stracił orientację. Ale karaluchy-mutanty dobrze знаły drogę. Korytarzem do końca. Później drzwi i schody ewakuacyjne. Jeszcze jedno piętro do góry. I ostatnie. Z powrotem na korytarz, a potem obok nieczynnej windy do ostatnich, stalowych schodków. W końcu pokazał się niewielki prostokąt szarego, grenlandzkiego nieba.

Gdy wyszli na dach, owady zrzuciły w dół kolejną porcję granatów. Seria eksplozji zlała się w jedną. Gdzieś zadzwoniło tłuczone szkło. I łomot zatraskiwanych drzwi. Spowite niebieskawą mgłą Pai Tien zostało pod nimi.

Zak rozejrzał się.

Stali na dachu więzienia. Większość owadów skupiła się w części, która wychodziła na wewnętrzny dziedziniec, i ciskała w dół granaty. Na dany znak dołączyły do grupy.

– Czwórka! Załóż ładunki według planu.

Jeden z karaluchów-mutantów, jakby czekając tylko na to polecenie, dopadł do drzwi i przylepił niewielkie pakunki. Chwilę przy nich manipulował, po czym dopadł głównego wyjścia z windy. Na nim też zawisła ciemna paczuszka.

– Zrobione!

– Okej, spadamy!

Pośrodku dachu wywijiała skrzydłami ogromna ważka przycupnięta na wielkim polu

oznaczonym białym kołem. Owady najwyraźniej zmierzały w tamtym kierunku.

– Szybciej, szybciej – poganiał ich dowódca. – Zajmować miejsca!

Wtedy znów ożywił się porucznik. Chciał uciec eskortującym go owadom, ale te trzymały go mocno.

– Zdradziecka suko! – wykrzykiwał. – Masz ostatnią szansę! Nie pogarszaj swej sytuacji. Wiesz, co ci grozi za porwanie oficera policji Niebiańskiej Korporacji Pao? Pluton egzekucyjny! Nie ujdiesz karze!

Ważny Karaluch pokiwał tylko głową. Z politowaniem.

– Poruczniku, jest pan w szoku, to stąd ten brak opanowania. Gwarantuję, że się panu nic nie stanie, jak tylko opuścimy gościnne terytoria należące do pana ojczyzny.

Na potwierdzenie tych słów Huei dostał od jednego z owadów silny cios pięścią w żołądek. Skulił się z bólu, tracąc oddech. Tylko coś mamrotał pod nosem, już zupełnie niezrozumiale. Eskorta wciągnęła go do brzucha ważki.

Zak wszedł tam bez oporu.

– Ruszamy!

Ważka zaczęła mocniej furkotać skrzydłami. Owad-gigant wznosił się do góry z dziesiątką mniejszych owadzików w brzuchu.

Wybuch. Drzwi prowadzące na dach Pai Tien wyleciały z hukiem, wznecając kłęby siwego dymu. Z oddali doszły ich jęki i przekleństwa.

– I jeb! Wlazły kurwy na nasze miny – ucieszył się jeden z owadów, który wcześniej przylepiał ładunki. – Dobrze w dupę dostali!

– Szybciej! Pilot, zaraz zaczną strzelać.

I rzeczywiście. Z kłębow pyłu wyskoczył oddział ubranych w czarne uniformy antyterrorystów Pao. Kryjąc się za wentylatorami, błyskawicznie zajęli pozycje i rozpoczęli wściekły ostrzał ważki. Kule gwizdały nad głowami, kilka trafiło w bok wielkiego owada. Jedna dosięgła któregoś z pasażerów, raniąc go w udo.

Ale nic więcej. Po chwili świat pod nimi zmałał, a Pai Tien zamieniło się w domek ułożony przez dziecko z pudełek po zapalkach.

Po trzech minutach więzienie znikło w oddali, skryte w mgłach Nowego Hongkongu. Wtedy Zaka porwała ciemność. Mózg jak procesor skillował wszystkie zmysły i zarządził zamknięcie systemu.

\*\*\*

Porucznik Jao Huei był wściekły.

– Zdradziecka dziwko! Nie ujdzie ci to na sucho! Możesz być pewna, że cała policja Niebiańskiej Korporacji Pao natychmiast z mojego polecenia rozpocznie zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Moi ludzie nie spoczną, dopóki nie przywloką cię spętaną jak kurczaka. Nie, nie zabiją cię! Oj nie! Tę przyjemność zachowam dla siebie ja! Własnoręcznie. Strzałem prosto między oczy. Tak! Jeden strzał! I po wszystkim! Ale... Nie od razu! Najpierw zajmiemy się tobą, mmm, przy pomocy naszych standardowych... I niestandardowych, a może nawet przede wszystkim niestandardowych narzędzi przesłuchań. Dowiem się, kim jesteś! Kto cię nasłał. Po co i dlaczego. W jakim celu! Wszystkiego się dowiem. Sama to powiesz! Wiele kalek, ślepców, beznogich i bezrękich kadłubków próbowało nas oszukać, zataić informacje. Dzisiaj tego srodze żałują, niektórzy już w swoim nowym wcieleniu. Jako karaluchy. Albo inne owady.

Claudia Ronson odgarnęła z czoła swoje jasne włosy i tylko się śmiała. Zak pierwszy raz widział ją nie jako hologram. I bez pancерnej szyby oddzielającej ich w sali widzeń. Teraz wyglądała jakoś tak bardziej dziewczęco. Naturalnie. Wyzbyta pozy zimnej lady. To było dla niego nowe odkrycie – zimno i wyrachowanie, które jej przypisywał, gdzieś uleciało.

– Drogi panie poruczniku – powiedziała Claudia, słodko się uśmiechając. – Przecież tak naprawdę nic się nie stało, czyż nie? Wszyscy żyją, są zdrowi i cali. No dobrze, niektórzy będą rzygać przez dwa dni po neurotoksynach. Panu też już nic nie jest, de facto jest pan wolny. Proszę, oto oddajemy panu nawet pańską broń. Proszę tylko wybaczyć, że bez naboń. Nie chcemy tu żadnych przypadkowych postrzeleń i tym podobnych incydentów.

Porucznik gniewnie przyjął pistolet i schował go do kabury. Otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak Claudia nie dała mu dojść do słowa.

– Na pozostałe, nieistotne drobiazgi też możemy przymknąć oczy, bo to wszystko rzeczy błahe i ulotne.

– Ty dziwko – mruknął Huei.

– Co do pana gróźb, to, niestety, nie mam czasu i możliwości złożyć panu szczegółowych wyjaśnień, ale podejrzewam, że w najbliższym czasie stanie pan, albo może w wymiarze globalnym – Niebiańska Korporacja Pao stanie wobec wielu bardziej poważnych wyzwań. Wtedy też zapomni pan o tej małej przygodzie.

– Ty sprzedajna ulicznico, ufałem ci! A ty mnie wykorzystałaś!

– Odlatujemy – zakomenderowała Claudia, dając znak pilotowi.

Helikopter poderwał się, wzniesając wokół porucznika kłęby kurzu. Po chwili Huei wyglądał niczym plastikowa figurka pośrodku drogi donikąd. Na obrzeżach Nowego Hongkongu, z dala od terytoriów Pao.

Zak wpatrywał się w niego tak długo, aż zniknął na horyzoncie. A chwilę później zniknęło też miasto. Helikopter leciał w nieznanym kierunku, coraz bardziej oddalając się od wybrzeży Grenlandii.

– Doszedłeś już do siebie? – zapytała go Claudia. – To dobrze, bo musisz teraz wypełnić swoją powinność.

– Co to wszystko... Co się dzieje?

– Jak widzisz, zostałeś uwolniony. Tak jak obiecałam, chociaż nie tak miało to wszystko wyglądać. Nieważne. Zaraz zawracamy do Nowego Hongkongu. Gdy tylko znikniemy z zasięgu wzroku, z lunet i lornetek. Choć pewnie i tak nas wyśledzą, jak przeanalizują materiały z satelitów szpiegowskich. I naślą swoich ludzi. Ale wtedy my już będziemy daleko.

– Zawracamy?

– Tak, na terytoria Liang-Taoi. Bez obaw, korporacje wciąż pozostają ze sobą w stanie zimnej wojny. Pao nie wejdzie na ich tereny. Ci ludzie, komandosi, pilot oraz jego helikopter to najemnicy z Liang-Taoi. Pomogli mi uwolnić ciebie z Pai Tien, choć nie powiem, że pozostało to bez wpływu na moje finanse. Dlatego musisz się teraz bardzo postarać, Zak. I oddać mi Relikwię.

– Jest tylko jeden problem.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Zawracamy, a ty wiedziesz nas prosto do Relikwii. Jeżeli jednak byłeś tak niemądry i ukryłeś ją na terenach należących do Pao, to też mimo wszystko nie ma problemu. Mam zaufanego posłańca. Przyniesie mi to choćby spod krzesła porucznika Hueia. Tylko powiedz, gdzie.

– Jest problem, Claudia. Relikwii tutaj nie ma. Nie ukryłem jej w Nowym Hongkongu. Jest w Reykjavíku.

@@30

Atef Ibn al-Amid tańczył. Jeden krok w przód, jeden w bok i już uchylił się przed przecinającym powietrze ołowianym gzem. Wiele ich wylatywało z rur diabelskiej broni, ale żaden nie ugryzł. Jeszcze płynny ruch ręką. I cios. Prosto w szyję tureckiego strażnika.

Ten zawył i padł. Bryzgnął czerwienią, chwilę szamotał się w konwulsjach i zeszywniał.

– Nie musiałeś go zabijać – szepnął Dżalal, jego nowy anioł-przewodnik (tak, kolejny). – To nie jest syn Iblisa. To nie jest nawet niewierny.

Ale Łowca Demonów wiedział lepiej. Nie musiał wciąż pytać o radę swojego małego przewodnika. Tak, to prawda, strażnicy w fezach pilnujący przejścia z i do Wymarłego Miasta nie byli demonami. Ale stali na jego drodze.

Więc Atef Ibn al-Amid dalej tańczył swój taniec. Krok w tył. Leci giez, jeden, drugi, piąty, dwudziesty. Każdy o mgnienie oka, o siedemsetną część mgnienia oka za późno. Łowca widział ołowiane gzy i dobrze wiedział, gdzie polecą. Wywijał się pomiędzy nimi, tylko siekąc swoim malajskim kindżałem z rękojeścią w kształcie głowy demona. Krok w bok. Piruet. I wrzask strażnika. Z ręki cieknie krew. Cios. Krok w tył. I cios. Ręka odpadła. Ryk bólu.

– Wezwać pomoc! – zakrzyknął któryś w panice.

Pomoc wam nic nie pomoże! Łowca Demonów nie wahał się. Świst klingi. I uderzenie rękojeścią w twarz. Strażnik zawył jak baran szlachtowany na id al-adha. Jeszcze jeden cios, przez twarz.

– Śmierć! – zakrzyknął w bojowym szale Atef Ibn al-Amid. – Idź do piekła!

– To nierozsądne – odezwał się ponownie anioł-przewodnik. – Na ziemi Ramace to wygląda inaczej... Będą cię ścigać.

– Zamilcz – burknął tylko Łowca Demonów i wyprowadził kolejny cios. Głowa Turka odskoczyła w tył. Fez zsunął się jej na twarz, ale nie spadł. Nie spadł, nawet gdy głowa potoczyła się w tył pod nogi ostatnich dwóch strażników.

Równy terkot. I znowu świszczące mu nad głową gzy. Wywinął się. Skok na ziemię, obrót. I znów na nogi. I do przodu. Prosto na strzelającego strażnika.

Nagle coś szarpnęło nim w tył. Świdrujący ból przeszył prawą rękę. Na ubraniu rosła plama krwi.

– Trafili cię – smutno zakomunikował anioł-prze-wodnik.

– Przeklęty synu Iblisa! – ryknął Łowca. Ręka zaczęła drętwieć, więc przerzucił kindżał do lewej dłoni i wściekle gulgocząc, pognął w ślad za strażnikiem.

Turek wpadł w panikę.

– Na Allaha – jęknął bezradnie i to były jego ostatnie słowa. Atef Ibn al-Amid sieknął go dwa razy w twarz. Szatańska broń upadła z chrzęstem na ziemię.

Ostatni z żołnierzy zaczął uciekać. Porzucił żelazną rurę i puścił się biegiem w stronę najbliższych zabudowań.

– Teraz musisz go też zabić – przyznał smętnie Dża-lal. – Bo jak nie, będą naprawdę wielkie kłopoty.

Łowca wiedział to. Pognął za uciekającym, sadząc wielkimi susami. Kindżał



uniesiony do ciosu.

– Nie! Litości! – zawył strażnik.

Próżne błagania przeciął świst ostrza. I głuche uderzenie w kość. I jeszcze raz, i jeszcze. Aż ciało opadło bezwładnie na ziemię.

Atef Ibn al-Amid potoczył dookoła wzrokiem. Pięć zakrwawionych trupów. Jedna odcięta głowa. A poza tym cisza.

– Nie powinni tego robić – mruknął wyjaśniająco.

– Tak, tak – przyznał mu cicho rację anioł-przewodnik. – Ale...

Żadnych ale! To byli wrogowie.

– Posterunek piąty, zgłoś się. Posterunek piąty, zgłoś się – zabrzączał gdzieś przytłumiony głos. Łowca poszedł w tym kierunku. Gadająca puszka zamilkła, gdy ciął dwa razy kindżałem. Aż posypały się iskry, odpryski piekielnego ognia rozpalającego kotły z grzesznikami.

Rozejrzał się – pomalowane na beżowo pomieszczenie. Kilka stołów, kraty, a za nimi więzienie, portret jakiegoś dostojnego męża na ścianie, czerwona flaga z białym półksiężycem. Wypita do połowy szklanka herbaty. Napoczęty posiłek w papierowym pudełku z napisem „Mustafa Imbiss”. No i te ciała na zewnątrz. Cisza, spokój.

– Czas się wynosić – wyrwał go z zamyślenia głos Dżalala. – Już wyruszył patrol z posterunku cztery, ale powiem ci, jak przejść.

Atef Ibn al-Amid otarł kindżał o mundur najbliższego strażnika i zniknął w mroku.

Udany pojedynek z żołdakami w fezach ukoił nieco jego ból.

Pamiętam – powtarzał w myślach – pamiętam tego fałszywego kupca, tego demona udającego szacownego mieszkańca miasta Antalya w Turczech. O tak, to był przeklęty nikkczemnik za nic sobie mający prawa ustalone przez Najwyższego.

Teraz, siekąc na plasterki tureckich żołdaków, poczuł się, jakby zmasał choć częściowo tę hańbę ze swojego dobrego imienia.

Jednak najbardziej cierpiał, że nie wyrównał rachunków z demonami z Wymarłego Miasta. Wysłał do piekieł jednego – to był wyczyn. Ale jego ostrze nie zasmakowało krwi tych najgroźniejszych diabelskich pomiotów. Powinien zabić je wszystkie. Posłać na samo dno piekieł, do kotłów wypełnionych gorącą smołą.

Chciał tego. Próbował. Powiedział sobie – nie odpuszczę. Nie, nie, nie, nie. Będę zabijał. Aż rozniosę w pył wszystkie nieczyste stworzenia z Iblisowego nasienia. Dwanaście dni próbował zdobyć przeklęte zamczysko w Martwym Mieście, gdzie schroniły się wszystkie bestie. Czyhał. Zasadzał się. Czaił.

Na próżno.

Demony broniły się zaciekle. Nie mógł podejść ani na krok. Pluły ogniem. Fruwały ołowiane gzy. Atefa Ibn al-Amida zalewała wściekłość gorzka jak żółć. Nie pozwalała mu myśleć o niczym innym, aż wreszcie zdecydował się. Ruszył w samobójczym wręcz ataku na siedlisko brudnych stworów z piekieł. Ale podmuch piekielnego ognia zwałił go z dachu pobliskiego budynku na zasypaną gruzem i śmieciami ziemię.

Wtedy czas się zatrzymał. Nie, nie zatrzymał – zwolnił. Tak bardzo, że Atef Ibn al-Amid mógł dokładnie przyjrzeć się lecącej w jego kierunku belce. Mógł policzyć sęczki na jej powierzchni. Policzył. Było ich dokładnie osiemnaście. Dlaczego liczył, zamiast uciekać? Widok kłoca drewna majestatycznie sunącego ku niemu sparaliżował go. Odebrał zdolność myślenia. Zdażył zaintonować jeszcze Werset Tronu, gdy belka spadła mu na pierś.

To był ból, jakiego jeszcze nigdy nie doznał. Niemal stracił przytomność. Zdało mu się, że zewsząd dochodzi go szyderczy śmiech diabła.

– Precz – wystękał ostatkiem sił.

Wtedy usłyszał:

– Ej, to jest ten pojeb, który zasiekł Komiksa! Giń, skurwysynu, zajebię go normalnie!

W jego stronę ruszył znany mu już z widzenia demon. Łowca widział dokładnie wyraz jego twarzy, dziki błysk w oczach, gniewny grymas. To wszystko krzyczało: „Śmierć! Śmierć!”.

Od śmierci uchronił go nowy anioł-przewodnik, Dżalal. Zjawił się nagle, bez zapowiedzi, a Nasir zniknął bez pożegnania. Dżalal. Nagły błysk. Na chwilę w jego głowie rozbłysło światło siedmiu tysięcy słońc. Nim zdażył poczuć kolejne uderzenie bólu, anioł przemówił. Powiedział tylko:

– Podnieś się i biegiem przed siebie.

Spróbował się ruszyć. Nic z tego. Belka – zbyt ciężka. On – zbyt osłabiony. Zbyt oszołomiony.

– Odrzuć ten kloc. I uciekaj!

– Neeee... – wychrypiał. – Nie mam siły.

– Masz! Masz siłę. Jest w tobie więcej siły, niż możesz przypuszczać. Użyj jej! Teraz!

Te słowa wlały weń nową moc. Zrobił, jak radził Dżalal. Nim mściwe demony zdażyły go dopaść, odrzucił belkę prosto pod nogi nadciągającego diabła. Strząsnął odłamki gruzu i kilkoma długimi susami wydostał się na ulicę.

Iblisy wyły ze wściekłości. Grzmiały ze swych dymiących ogniem piekielnym rur.

– Prosto, w lewo, przysiad. Do góry! Biegiem – instruował go Dżalal i był w tym

mistrzem jeszcze lepszym od Nasira. Kule, pociski, diabelskie wyziewy niemal muskały jego głowę, jednak udało mu się ująć spod ognia demonów.

Wtedy nowy anioł-przewodnik rzekł z naciskiem:

– Zostaw ich teraz. Przyjdzie na nich jeszcze pora. Idź na granicę tego miasta, wydostań się na zewnątrz. I trop dalej swojego demona. TEGO demona.

Atef Ibn al-Amid niechętnie się zgodził. Jego nowy anioł-przewodnik okazał się nieprawdopodobnym gadułą, pożytecznym, jednak bardzo męczącym.

– Najwyższy uczynił wyjątek dla ciebie, pozwalając ci na tak wiele. Pan nasz ceni sobie twoje zasługi i dlatego okazuje ci tyle pomocy, choć twa szaleńcza gonitwa za jednym tylko synem Iblisa to tysiąc innych demonów, które buszują w zakamarkach Dimaszku asz-Szamu. Powinieneś czuć się wyróżniony – inni łowcy musieliby spędzić jeszcze długie lata, by je wszystkie wyłapać! Wszystkie cuchnące smołą stwory z piekieł co do jednego, aż wypełni się wola Pana. Ale Najmędrszy obdarzył cię łaską, twoja nagroda jest już blisko. Musisz tylko ukarać tego jednego.

Łowca Demonów zgodził się w milczeniu.

Korzystając ze wskazówek Dżalala, zwyciężył tureckich strażników, a potem przemknął już niezauważony do podziemi, gdzie ludzie wchodzili do długich demonów-maszyn, a te ruszały, posapując.

– To dworzec w Poczdamie. Te maszyny to pociągi – tłumaczył Dżalal. – Wejdziesz na ten i połóż się płasko. Czekaj.

Uczynił tak, jednak nagle anioł-przewodnik krzyknął mu wprost do ucha:

– Jest! Twój demon. Widzę go! Wyszedł z ukrycia! Już nic go nie chroni. Nie używa cudzych ciał. Nie przybiera postaci. Jest bezbronny.

Atef Ibn al-Amid zaburczał z uciechy.

\*\*\*

Nie, nie narzekał. Teraz miał lepiej. Było jak w hotelu. Jak na wakacjach na południowych wyspach. Bez krat w oknach. Pokój umeblowany skromnie, ale w gruncie rzeczy przyjaźnie. Białe ściany, podłoga wyłożona panelami imitującymi jakieś egzotyczne drzewo o przyjemnej fakturze.

Co za oknem? Miasto. Wielkie, tętniące życiem. Zalane słońcem za dnia, nocą mrugające tysiącami świateł. Jednak nie znał jego zapachów i dźwięków. Podwójne, pancerne szyby w oknach starannie tłumiły wszelkie odgłosy. Zresztą z wysokości – sądząc na oko – trzydziestego piętra hałasy każdego miasta i tak zlałyby się w jednolity, nierozpoznawalny

szum. Tak samo brzmiący w Moskwie, Bagdadzie, Mexico City czy Nowym Hongkongu...

Tak, przynajmniej wiedział jedno. To nie był Nowy Hongkong i świadomość tego faktu zdecydowanie poprawiała mu humor. Przeklęte chińskie miasto na wybrzeżu Grenlandii przytłaczało nie tylko zimnym klimatem, ale także nieprzyjemną atmosferą obcości. A miasto, w którym teraz się znajdował, nawet nienazwane, miało w sobie coś przyjaznego.

– Gdzie jesteśmy?

Wcześniej spędził długie godziny na wyszukiwaniu szczegółów, które pomogłyby mu zidentyfikować nowe miejsce. Przypominało trochę jakieś azjatyckie metropolie, było też w nim coś z Ameryki, ale nie mógł określić go jakoś bardziej konkretnie. Po prostu miasto. Duże i męczące.

– Dowiesz się w swoim czasie – zaśmiała się Claudia. – Niech to będzie dla ciebie jeszcze jedna niespodzianka.

– No właśnie. Jeszcze jedna. Nie mogę narzekać na brak niespodzianek. Co dzień jestem zaskakiwany nowymi doznaniem. Z celi do karceru, z karceru do innej celi.

– Już niedługo.

Zak potarł przegubami. Plastikowe kajdanki boleśnie wrzynały mu się w skórę, pozwalając na minimum ruchów.

– A więc jestem więźniem? – zapytał z rezygnacją.

– No... Tak. Tymczasowo.

– Znowu. Czyli umowa była nieważna.

– Tamta umowa została już wypełniona. Dostałeś swoją wolność. Czyli wyszedłeś z chińskiego więzienia. A teraz jest co innego.

Claudia Ronson odsunęła drewniane krzesło i zajęła miejsce naprzeciw niego. Dzielił ich tylko stół.

Nie wyglądała tak, jak ją widywał dotychczas. Już nie znudzona codziennymi przyjemnościami nadziana lady. Już nie porcelanowa lalka o zimnym spojrzeniu. Teraz ubrana była w prosty strój, luźne czarne spodnie i taką samą koszulę. Włosy gładkie, spięte z tyłu w koński ogon. Bez makijażu. Bez zauważalnego makijażu.

– Muszę przyznać, że sprytnie to rozegrałeś.

Zak przerwał jej:

– Masz papierosa?

– Papierosa? Nie mam. Nie palę.

– A ten koleś z końską twarzą z drugiej strony drzwi?

– Roman? Nie, Roman nie pali. Nikt z tych ludzi tutaj nie pali.

– A te depassierey?

– Depassierey? Ach, wtedy! Nie, to tylko dla dopełnienia mojego obrazu. Jako kobiety próżnej i ograniczonej do błahych przyjemności. Ale teraz już nie muszę jej udawać. Nie muszę wciągać do płuc duszącego dymu tej przereklamowanej używki dla pustych ludzi z tak zwanych sfer.

– Nie musisz. Od dawna nie musiałaś. Szybko wykryłem, że ściemniasz.

– Ale nigdy nie miałaś stuprocentowej pewności. Pogrążyłaś się w domysłach, stawiając na jednej szali narastające wątpliwości. A na drugiej nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

– Myślisz, że trzymałaś mnie w szachu? Nie pochlebiaj sobie. Od pewnego momentu było dokładnie na odwrót. I dlatego Relikwia poleciała do Reykjaviku, a nie do Nowego Hongkongu czy Londynu.

Claudia pokiwała w zamyśleniu głową.

– Okej, będę szczerą, teraz to już w sumie nie ma znaczenia. Rzeczywiście, mogłam tylko trochę. Nie za wiele. Jak się wtedy uparłeś, że najpierw musisz wyjść, a dopiero później Relikwia, postanowiłam zrobić to po swojemu. Przeanalizowałam twój billing. Ze wszystkimi szczegółami. Przejrzałam każdą, najdrobniejszą operację finansową, jakiej dokonałeś przy pomocy swojego netchipa. Każde zakupy, każdy obiad dla klona, każdy lot, przelot, odlot... Wszystko. – W stronę Zaka poleciały z jej szarych oczu gniewne błyskawice złości. A jednak było coś, czego nie musiała wtedy udawać. – Wiedziałam już nie tylko, że ostatni lot klonem odbyłeś z Nowego Hongkongu do Londynu, to znaczy wtedy tak sądziłam. Znałam także całą wcześniejszą trasę, co pozwoliło mi wytypować kilka miejsc, gdzie mogłeś schować Relikwię. Ale ty pomyślałeś o wszystkim – ostatnie słowa wypowiedziała z nieskrywanym potępieniem w głosie. – Nie musiałaś się uciekać do zabicia tego biednego klona. Choć nie myliłeś się: gdyby żył, pierwszy lepszy cyberdog z marketu z gadżetami doprowadziłby mnie na miejsce dzięki próbce jego feromonów.

– Nie zabijałem klona. Nie mam z tym nic wspólnego. To, co ci wtedy opowiedziałem, było prawdą. Zaatakował mnie jakiś wariat ze sztyletem.

– Upierasz się przy tej wersji? No dobrze, pominiemy to teraz. Bez względu na to, kto za tym stał, udało ci się wykorzystać sytuację i zmylić nasz trop. Nie mogliśmy żadnym sposobem znaleźć Relikwii.

– Ale teraz ją masz. A ja znowu nie mam swojej zapłaty.

Claudia pochyliła się lekko w jego stronę i spojrzała mu głęboko w oczy. Smutnym wzrokiem jak dziewczynka, której ktoś zabrał ulubioną lalkę. Mogłaby już darować sobie te

przekłete gierki – pomyślał z niechęcią Zak. Jej sztuczki, nieustanne zmiany osobowości przeszkadzały mu w wyrobieniu sobie do niej określonego stosunku. Chciał ją nienawidzić. To by mu ułatwiło sprawę. Pozwoliłoby skanalizować sprzeczne uczucia w jeden ciąg morderczych myśli. Ale z drugiej strony w końcu go uwolniła. Nic, że najpierw oszukała. Wielokrotnie. Gdyby nie ona, nie znajdowałby się kilka tysięcy kilometrów od Nowego Hongkongu. Kilka tysięcy od Pai Tien. Siedziałby w pudle u Chinoli. Albo kto wie – może Sien spełniłby swe groźby.

– Uwierz mi – kontynuowała Claudia. – Doceniam to, co zrobiłeś. Wiem, że dałeś z siebie wszystko. Że wykonałeś kawał niezłej roboty. Nie mamy powodów, by cię z jakichkolwiek przyczyn trzymać tutaj ani sekundy dłużej, niż to jest konieczne. Zapewniam cię, odzyskasz wolność.

Obietnice! Ile już ich słyszał z tych kształtnych ust? Niechętnie mruknął:

– Kiedy?

Claudia skupiła wzrok na starannie wypielęgnowanych paznokciach. Efekciarski digitalmanicure, gadżet charakterystyczny dla środowisk wielkomiejskich utracjuszy, teraz ściemniał zupełnie, dyskretnie mrugając w cyklu czarny-ciemnoszary-srebrny-ciemnoszary – czarny.

– Więc kiedy? – powtórzył Zak.

– Jak tylko zyskamy pewność, że nie zdołasz nam zaszkodzić. Nie twierdzę, że w duchu jesteś sumiennym wyznawcą Allaha i obładowany ładunkami wysadziłbyś się razem z tym wszystkim, żeby tylko pokrzyżować nasze plany. Ale sam rozumiesz, od tego zależą losy świata. Nie możemy sobie pozwolić na żadną przypadkową wpadkę.

Zak zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu.

– Nie chce mi się wierzyć, że traktujecie to tak bardzo serio. Że w ogóle traktujecie to serio. Całą tę historię z Relikwią, pleśniakiem i że to cokolwiek zmieni. No w ogóle to jakiś absurd. Masowe nawrócenie świata przy pomocy DNA wyizolowanego z Relikwii? To jest chore.

– Nie jest. Najbardziej postępowi bracia Zakonu Maryi Królowej już tego dowiedli. Szkoda tylko, że zbyt daleko dali się ponieść emocjom. Działali na wrogim terenie. Co z tego, że na ruinach Watykanu. Płonący meczet – wspaniały wyczyn, ale nie wtedy, gdy sprawca daje się ująć z zapalkami w rękę. Błąd Zakonu Maryi polegał na tym, że ich działania były zbyt naznaczone piętnem mistycyzmu. Za mało było w tym strategii, choć ich odkrycie to rzecz epokowa. Chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, co mają.

– I teraz wy, Komando Jezusa Zbawiciela, chcecie naprawić ich błąd. Zbieranina

radykałów wydalona z zakonów, usunięta z przykościelnych organizacji. W dodatku terroryści. Z fatwą na koncie i anatema papieża.

Claudia zignorowała tę ostatnią uwagę.

– Czasy są takie, że świat, jaki zawsze znaliśmy, świat chrześcijański i europejski, ginie pod naporem żywiołu islamskiego. Wyczerpała się formuła dialogu między religiami już dekady temu, a Dżihad zamknął tę drogę na zawsze. Dlatego jedyną nadzieją na przetrwanie jest nowa ewangelizacja.

– Nowa ewangelizacja! Cóż za eufemizm dla zwykłego terroryzmu.

– Źle to oceniasz. Nie jesteśmy terrorystami, tylko bojownikami. Bojownikami o tożsamość europejską. O świat wartości chrześcijańskich. Bojownikami o taki świat, jakim był przez dwadzieścia wieków. Islamski żywioł zachwiał równowagę, więc naszym powołaniem, naszą misją jest jej przywrócenie.

– Niczym się nie różnicie od tego, jak to określasz, „islamskiego żywiołu”. Wasze dążenia różnią się w detalach, ale pragnienia są te same. Panowanie nad urnysłami ludzkości. Wasze metody też są do siebie podobne. A teraz nawet takie same! Czysty terroryzm.

– Nadużywasz słów, choć nie ukrywam, że czerpiemy z najlepszych wzorców, podpatrując poczynania naszych wrogów. To jedyna droga. Niekiedy wymaga to działań nieco niekonwencjonalnych.

– Jednak wasz papież wyklął was. Obłożył anatema.

– Ojciec Święty nie wie, jak to jest. To nie Jan Paweł II. Pozostaje zbyt oddalony od tego, co dzieje się w ogarniętej Islamem Europie. Apele o pokój i wzajemne poszanowanie to piękne słowa, ale jeżeli chrześcijańskie dziedzictwo ma ocaleć, trzeba przejść do czynów. Ojciec Święty jeszcze zrozumie, że się mylił. Że jedyna droga to nowa ewangelizacja przy pomocy tych samych środków, jakich użyli islamscy najeźdźcy podczas Dżihadu. Mamy *Mucor cerebri*. Mamy DNA świętego męża. Przy pomocy tych dwóch czynników zatrzymamy katastrofę, ku jakiej podąża świat. Jeżeli źle czynimy, osądzi nas Bóg.

Zak zatrzęsł wymownie plastikowymi kajdankami krępującymi mu przeguby i powiedział:

– Nie znam się dobrze na tym, ale czy wasz Bóg nie uznaje takich rzeczy za grzech? Tego chyba nie ma w waszej Biblii? Wasz Jezus Zbawiciel nie o tym mówił.

– Wybacz, Zak, ale nie tobie to oceniać. Nasze działania przyczynią się tylko do tego, że na świecie zapanuje pokój i zniknie niewola oraz ucisk. Wszystko, co robimy, jest podporządkowane nadrzędnym celom, więc w pełni usprawiedliwione. Każdy człowiek ma prawo do życia w pokoju, więc z moralnego punktu widzenia nasza działalność jest

usprawiedliwiona. Nawet, gdy trzeba wykorzystała kłona do zdobycia Relikwii i posłużyć się *Mucor cerebri* do rozpoczęcia nowej ewangelizacji. Osądzi nas Bóg, ale wiem, że w tych czasach jest to jedyna metoda, by przywrócić właściwy porządek rzeczy.

– Jak na razie jedyne, co osiągnęłaś, to wyklęcie z Kościoła i miano terrorysty w świecie Islamu. Nie wiem, jak osądzi cię twój Bóg, ale na ziemi nie jest to akceptowane przez kogokolwiek.

– Zgadza się, Zak. I jeszcze powiem ci, że teraz, w sumie za sprawą twojego uporu, mam też potężnego wroga w Niebiańskiej Korporacji Pao. A to wróg, którego nie wolno lekceważyć. Co jednak nie zmienia moich przekonań. Nie osłabia moich, naszych dążeń.

– Ładnie. Czyli wróciłem do punktu wyjścia. A nawet gorzej. Teraz jestem ścigany przez wszystkich i wszędzie.

– Mogę ci obiecać jedno. Jak dokończymy dzieło zapoczątkowane przez Zakon Maryi Królowej, twoje problemy odejdą w niebyt. Całe narody powrócą do jedynej słusznej wiary. Powrócą do kultury chrześcijańskiej Europy.

– Masowe nawrócenia dzięki pleśniakowi z DNA pochodzącym z Relikwii?

– Tak. Jest w tym geniusz Stwórcy. Bóg stworzył świat w sześć dni, łącząc łańcuchy aminokwasowe. Teraz Komando Jezusa Zbawiciela podniesie go z ruin, posługując się tym samym.

Zak pokręcił z niesmakiem głową.

– Już gdzieś to słyszałem... To samo mówili zakonnicy-rycerze z Zakonu Maryi Królowej. Żle na tym wyszli.

– Już ci mówiłam. Oni nie działali planowo, kierowali się emocjami i mistycyzmem. Zbyt zachwyciła ich tajemnica boskiego stworzenia. Nie spojrzeli na to we właściwy sposób, że jest to dar Boga, dzięki któremu ludzie mogą zmienić to, co złe i podłe na tym świecie.

– Teraz to ty bredzisz jak święty w ekstazie. To też jakiś dęty mistycyzm.

– To jest duchowość. Za duchowością idzie działanie. Tego brakowało maryitom. Ale można ich zrozumieć. Tak naprawdę byli bardziej zakonnikami niż rycerzami. Nasze działania sprawią, że dziewiąta wersja *Mucor cerebri* ogarnie całą Europę i jeżeli będzie potrzeba, cały Bliski Wschód. Nawet świat arabski. Islam przestanie po prostu istnieć. To będzie istny cud Boży. I możesz być dumny. Wszystko to dzięki tobie. Już wcześniej, nim Milicja Rewolucyjna Emiratu Lacjum zniszczyła wszystkie prace Zakonu – nawiasem mówiąc, to kompletna, wręcz niewyobrażalna głupota z ich strony, bo kto świadomie pozbywa się zdobycznego dorobku swoich przeciwników – więc już wcześniej mieliśmy w rękach wyniki badań laboratoryjnych nad *Mucor cerebri*. Niestety, tylko teorię. Suche



zapiski, bez tych najważniejszych czynników. Zdobyć zarodników pleśniaka było tylko formalnością. Ale DNA świętego? To już wielkie wyzwanie. Zapewniam cię, Zak, próbowaliśmy wielu relikwii pochodzących od różnych świętych. Nawet skrawków Całunu Turyńskiego znalezionych w instytucjach w UCA. Żadne DNA nie przynosiło spodziewanych efektów. Może było już w jakiś sposób uszkodzone, może to były falsyfikaty, może to nie byli ludzie aż tak wielkiej wiary...

Zak demonstracyjnie wykrzywił usta w grymasie zniecierpliwienia.

– Skąd zatem pewność – zapytał – że DNA z Relikwii, w której zdobywanie zostałem podstępnie wrobiony, może cokolwiek zmienić?

– Gdyby służby specjalne nie rozbiły Zakonu Maryi Królowej, mielibyśmy już gotowy produkt w ręku. Tak naprawdę byliśmy bardzo blisko związani z Zakonem i na bieżąco śledziliśmy ich poczynania. Przy ich niepełnej wiedzy na ten temat, niekiedy zupełnie bez niej...

– Czyli szpiegowaliście ich.

– Obserwowaliśmy działania, cieszyliśmy się z sukcesów. Muzułmanie weszli nam w drogę w ostatniej chwili. Zakon właśnie wysublimował dziewiątą, najbardziej skuteczną wersję *Mucor cerebri*, a my byliśmy gotowi ich dzieło przejąć i wykorzystać w praktyce na wielką skalę. Niewiele brakowało, ale islamiści nas ubiegli. Jednak to, czego dokonali bracia z Zakonu, nie pozostawiało wątpliwości. Cud Boży i drobina świętości Świętego. Oto co wystarczy, by uleczyć ten chory świat. Próbowaliśmy to odzyskać, idąc na całość.

Tak... Zgadza się, to było w aktach służb specjalnych Emiratu Lacjum – pomyślał Zak.

– Wtedy wjechaliście do ich siedziby w Rzymie? – zapytał.

– Mmmm! Gratuluję rozeznania. Później tę sprawę starali się zatuszować, właściwie pozostała niezauważona. Chociaż powinni się chwalić, bo nam nie wyszło. Trochę zawiedli ludzie, nie starczyło pewnych informacji. No i pochycili dwóch naszych. Zanim oderżnęli im głowy, tamci wszystko wyśpiewali. Niech Bóg się zlituje nad ich czystymi duszami! Wtedy policja trafiła na ślad naszego Komanda, my dostaliśmy się na listę terrorystów, a szejkwie obłożyli nas fatwami.

Nagle Claudia wstała i zamilkła ze skupioną miną. Zak domyślił się, że ma na linii jakiegoś oczekiwanego rozmówcę.

– W porządku, już idę! – rzuciła mu w odpowiedzi, ale jeszcze na chwilę odwróciła się do Zaka. – Możesz już odliczać godziny do swojego uwolnienia. I do uwolnienia świata od jarzma islamskiej niewoli.

– Tak, na pewno...

– Zwątpienie jest dziełem szatana – podarowała mu sentencję na pożegnanie i skierowała się ku drzwiom.

Z korytarza wyrzała końska twarz Romana.

– Pilnuj go. Nie powinien rozrabiać, ale jakby co...

– Wszystko jasne. Mam go na oku.

Zak został sam.

@@31

Nie znam tego miasta – wyznał szczerze Dżalal. Atef Ibn al-Amid pokiwał głową. Już się przyzwyczaił, że jego przewodnicy wcześniej czy później okazywali słabość.

– Czyli to oznacza, że wkrótce zmieni cię twój następcą. Najmądrzejszy przyśle mi anioła, który będzie wiedział, jak pokierować moimi krokami w tym obcym kraju pełnym niewiernych. Dżalal stropił się.

– To nie jest takie pewne. To jest... Na razie brak danych.

Atef Ibn al-Amid zmarszczył czoło.

– Brak danych? A cóż to? Co to znaczy?

Anioł zmieszał się jeszcze bardziej.

– Niezbadane są wyroki Pana – rzekł po chwili. – Chyba nikogo ci nie przyśle. Ale ja na pewno coś będę wiedział o tym miejscu. Dowiem się wkrótce.

Łowca Demonów pogodził się z tym w milczeniu.

– Jednego możesz być pewien – ciągnął dalej Dżalal. – Potrafię znaleźć twojego demona i jeżeli tylko wyczuję jego zapach, ty będziesz o tym wiedział pierwszy.

– Zatem chodźmy dalej.

– Jest jeszcze jedno.

– Cóż takiego?

– Strój. Zwróć uwagę, jak wyglądają ludzie, którzy przemierzają ulice tego miasta. Wyglądają inaczej niż ty. A ty się wyróżniasz. Nie wiem, czy można uznać to za twój atut. Chyba nie.

Atef Ibn al-Amid obruszył się.

– Nie chcę tego słuchać! Demony nie będą mi narzucać tego, jak mam się zachowywać, jak mam wyglądać i dokąd mam iść.

Dżalal poddał się niespodziewanie szybko.

– Jak uważasz. Ty jesteś Łowcą.

– Tak! Ja jestem Łowcą Demonów, a ty moim aniołem-przewodnikiem.

Szli w milczeniu przez miasto. Niepodobne do żadnego z tych, które Atef Ibn al-Amid już widział. Ludzie wyglądali zupełnie inaczej.

Ludzie czy demony? Tu miał wątpliwości, choć anioł-przewodnik zapewniał go, że to ludzie, a nie smoliste bękarty Iblisa.

Mężczyźni przypominali mu tych z rodzinnych stron. Mieli nieco inne rysy, nieco inny odcień skóry, ale w ich oczach widział ten sam wyraz pewności siebie, tę samą kpiącą pogardę, tym większą, im więcej złotych łańcuchów i bransolet opinało ich ciała. Pokrzykiwali coś w niezrozumiałej mowie do przechodzących ulicami kobiet, trzęsąc się w lubieżnym rechocie.

Kobiety... Tu już Atef Ibn al-Amid nie miał wątpliwości. Początkowo myślał, że to niewolnice – były niemal nagie, z odsłoniętymi twarzami, włosami, ramionami, a nawet kolanami! Aż coś w nim wrzało – widok tych wyuzdanych istot przypominał mu o hańbie, jakiej doznał w starciu z demonicą z batem w przebraniu czerkieskiej niewolnicy. Faktasa, córka Iblisa, albo jedna z jej córek. Teraz, w tym mieście otaczały go setki takich Faktas. Ich harde spojrzenia, swoboda w poruszaniu się, niespotykane śmiałe odzywki kierowane do mężczyzn wyraźnie zdradzały, jak się rzeczy mają. Żadne niewolnice, tylko demony. Tylko diabelstwo ma w sobie tyle drwiny i lekceważenia dla niezmiennych praw Najwyższego.

– Daruj sobie, one nie znają twojego języka – rzekł anioł-przewodnik, gdy Atef Ibn al-Amid zrugął kolejną mijaną na ulicy kobietę. Bezwstydna demonica była prawie naga. Jej nabrzmiałe piersi i wydatne pośladki okrywał jedynie krótki kawałek muślinu czy innej niemal przezroczystej materii.

I rzeczywiście. Kobieta, nie bacząc na jego oschły ton i srogą minę, na ostre brzmienie jego słów, tylko się zaśmiała. Pokręciła głową i wypowiedziała parę melodyjnych zdań. Mrugnęła do Atefa i odeszła w swoją stronę.

– Przeklęta – warknął Łowca.

– Nie powinienes zaprzętać sobie nimi uwagi.

– Demony...

– Nie, to nie są demony. Po prostu tutaj ludzie tacy są. Nie znają słów Proroka. Mówią innym językiem. Inne mają obyczaje. Inaczej się ubierają. Ale to nie są demony.

– Te kobiety chcą mnie zwieść na pokuszenie. Bym porzucił drogę swej walki i chwały. Czyli diabelstwo w czystej postaci. Czuję to.

– To, co czujesz, to naturalny niepokój, jaki staje się udziałem każdego zdrowego

mężczyzny na widok młodej kobiety odzianej w przezroczystą, kuszą szatę, która się kończy tuż pod jej najintymniejszym miejscem. Zgoda, to bardzo nieobyčajne, ale wola Najmędrszego jest, byś już porzucił te myśli i przygotował się do spotkania ze swoim własnym demonem.

Atef Ibn al-Amid niechętnie kiwnął potakująco głową. W końcu skoro taka była wola Najwyższego... Choć nie miał pewności, czy ten mały anioł-niedojda szepczący mu wewnątrz głowy nie bajdurzy, tylko by osiągnąć swój własny cel.

Po chwili jednak zmiłogował się. Może Dżalal i był niedojdą – jak wszyscy inni jego aniołowie-pomocnicy – ale na pewno nie miał złych zamiarów i spełniał rozkazy Pana.

– No dobrze, to co teraz?

– Jeżeli obstajesz przy tym stroju, to trudno. Ale nie wdawaj się w rozmowy z miejscowymi. Żadnych awantur i żadnych bijatyk. Ci ludzie są tak ostrzy, na jakich wyglądają. A ci, którzy nie są ostrzy, mają do ochrony swoich płatnych strażników, którzy są ostrzy za nich. Tak czy inaczej, postaraj się pozostać niezauważonym. I patrz. Nie wiem, gdzie jest teraz twój demon. Wiem, że gdzieś tu. Jego ślad urwał się gdzieś pośród tych wysokich domostw w środku miasta. Na razie musisz tam krążyć. Tak długo, aż demon pojawi się po raz kolejny.

– I wtedy go zabiję. Wyślę do piekła na zawsze. Nie na sto lat. Na zawsze.

– Tak, zabijesz go – przyznał Dżalal.

\*\*\*

– Jesteś wolny, Zak.

Przetarł oczy, odganiając resztki snu. Ten głos nie należał do nikogo, kogo znał lub przynajmniej kiedyś słyszał. Tubalny czy nawet wręcz chóralny, jakby naraz zaryczało tysiąc lwów. Jak huk lawiny spadającej z gór.

Tarł oczy, ale obraz wciąż był zamazany. Wspomnienie snu jak mgła. Mgła jak wspomnienie snu. Wreszcie dostrzegł kontury jakiejś postaci. Nie, to nie był nikt znajomy.

– Powstań, Zak, i choć za mną – rozkazał basowo gość.

Wtedy zobaczył. Mgła się rozmyła.

Mężczyzna miał jakieś dwa metry wzrostu. Długie, jasne włosy, które – zdawało się – pozostawały w ciągłym ruchu jak ogień, jak pełgające żywo płomienie. Twarz jego była gładka, surowa i poważna. Rysy zdecydowane, ale z pewną miękkością zauważalną pod marsową miną. Oczy lśniące niczym lampy. Dobre, choć srogie. W rękę dzierżył miecz lśniący światłem tak jasnym, że aż przyćmiewało blask dnia. Jakby słońce przekute w metal.

Bogato rzeźbiona rękonośnica z głowami postaci, które – był pewien – żyły, szepcząc bez chwili ustanku ciche psalmy i wiersze. Ubrany był w białą szatę do kostek ściągniętą szerokim pasem ze srebrzystego metalu – jakby rtęć o konsystencji stali.

Przybysz postąpił krok i wtedy Zak dostrzegł jeszcze jeden szczegół. Skrzydła. Cztery wielkie skrzydła, a każde z innego klejnotu. Pierwsze skrzydło wykonane było ze złota. Drugie skrzydło wykonane było z platyny. Trzecie skrzydło – z rubinów. Czwarte – ze szmaragdów. Od każdego odchodziło jeszcze po sto mniejszych skrzydełek, które nieustannie furkotały, pozostając w ciągłym ruchu.

– Kim jesteś? – wyszeptał Zak. Nie miał się co oszukiwać: czuł strach.

– Jam jest archanioł Gabriel, wysłaniec Pana! Przybywam z jego rozkazu, by poprowadzić twoją duszę ku zbawieniu.

Zak zadrżał. Cofnął się w tył, odruchowo naciągając koc na twarz.

– Nie lękaj się. Łaska naszego Pana opromieniła cię i wyniesie ku prawdzie.

Archanioł wykonał łagodny ruch ręką, jakby przepychał w jego stronę niewidzialny obłok. Zak poczuł to – nagle jego serce zalała błogość i porzucił strach. Czuł zaciekawienie, pod którym kryła się narastająca ekscytacja.

– Jesteś wolny, Zak. Chodź zatem za mną, a pokażę ci cud zbawienia ludzkości.

Archanioł ciął powietrze mieczem – podwójne okno z pancernego szkła rozpadło się na tysiące drobnych okruchów. Kaskada brzęczących odłamków zasypała podłogę, a część poleciała w drugą stronę, z wysokości trzydziestu pięter na gwarną ulicę.

Po chwili Zak usłyszał łopot skrzydeł, za oknem pojawiły się dwie sylwetki – stworzenia białe niczym śniegi Grenlandii. Lwy z ludzkimi głowami i skrzydłami orła.

– Dosiądź mnie – rzekł jeden z nich. Zak spojrzał pytająco na archanioła.

– Zrób, jak mówi – powiedział ten.

Skrzydlaty lew zbliżył się do krawędzi i nadstawił grzbiet. Zak, ponaglany wzrokiem przez Gabriela, zajął miejsce między skrzydłami. Archanioł przywołał drugiego lwa i wskoczył nań płynnym ruchem.

Polecieli z majestatycznym łopotem potężnych skrzydeł. Archanioł pierwszy. Zak kilka metrów za nim, kurczowo trzymając się lwiej grzywy, która okalała ludzką twarz jego powietrznego wierzchowca.

Pomknęli nad miastem tuż pod chmurami. Zak potoczył wzrokiem po horyzoncie, aż jego spojrzenie zatrzymało się na znanej, górującej nad miastem figurze.

– A więc Rio – wyszeptał. – Jestem w Rio de Janeiro.

Gabriel posłyszał jego ciche słowa.

– Nie – rzekł tubalnie. – To nie jest Rio de Janeiro, lecz Sao Paulo, a to co widzisz, nie jest figurą Pana naszego Jezusa Chrystusa, lecz jego największego sługi, świętego, pielgrzyma miłości, papieża Jana Pawła II.

Istotnie. Dopiero gdy zbliżyli się na jakieś trzy kilometry, Zak spostrzegł, że gigantyczna figura – mimo tego samego gestu otwartych szeroko ramion – nie przypominała wyglądem Jezusa. Pielgrzym o łagodnej, dobrej twarzy, lekko pochylony jakby pod ciężarem noszonego brzemienia. Jego rozpostarte ramiona nie były ramionami Ukrzyżowanego, lecz ramionami obejmującymi całą ludzkość, wszystkich swoich wiernych.

– Patrz! Tam, na dół! – zagrzmiał anioł. – Tych ludzi opromieniła już łaska naszego Pana. Poznali smak szczęścia. Odmieniła ich Dłoń Czyniąca Znak Krzyża.

Spacerujący po ulicach, ubrani w białe, powłóczyste szaty wierni wyglądali jak aniołowie, tyle że bez skrzydeł. Miejskie opryszki, prostytutki, cyniczni biznesmeni, znudzona cybermłodzież, knajpiani lanserzy – ludzka rzeka białych postaci spływała z bocznych uliczek, zaułków i podwórek, łącząc się w głównych alejach w nieskończone procesje.

– Oni już poznali prawdę, a Pan obdarzył ich największym cudem. Cudem wiary.

Na znak Gabriela skrzydlate lwy sfrunęły niżej. Unosili się kilkanaście metrów nad największą procesją zalewającą niczym lawa całą powierzchnię szerokiej alei w centrum miasta. Ludzie śpiewali. Tańczyli i głośno chwalili Pana. Z ich twarzy biła radość i szczęście, niektórzy obejmowali się i uprzejmie pozdrawiali, mówiąc do siebie „bracie”, „siostró”...

Archanioł ciął mieczem powietrze, wskazując nowy kierunek. Pomknęli tam, zostawiając Sao Paulo pod chmurami. Zdawało się, że ziemia zniknęła bez hałasu, po prostu zdematerializowała się i przestała istnieć. Zostało tylko czyste niebo, słońce na nim, skłębione szaro-białe obłoki i oni, anielscy wędrowcy.

Zak nie wiedział, jak długo lecieli. Stracił już rachubę czasu. Monotonny świst i miarowy łopot skrzydeł lwów wprowadziły go w trans, sen na jawie, a jego myśli pomknęły jeszcze wyżej, w stronę nieba.

Nagle archanioł ciął mieczem w chmury, aż te rozstały się, odsłaniając kolejne miasto w dole.

– Nowy Jork – rzekł Gabriel. – Do niedawna stolica pieniądza, wyzysku, obłudy, fortun budowanych na ludzkim nieszczęściu. A także moralnej zgnilizny i występku.

Gdy sfrunęli niżej, Zak miał okazję przekonać się, że te grzechy należały już do przeszłości. Procesje odzianych na biało wiernych wypełniały wszystkie ulice Manhattanu, słychać było śpiew i głośne modlitwy. Niektórzy nieśli stare, pasiaste flagi Stanów

Zjednoczonych, praktycznie nieużywane i zapomniane, odkąd Stany zostały zastąpione przez Korporacje, z których każda miała własną flagę.

Zniżyli lot i wtedy Zak dostrzegł jeszcze jeden szczegół. Niektórzy wierni ze śpiewem na ustach niszczyli okoliczne biurowce. Nie, to nie była kradzież ani chuligańskie wybryki. Nie było to niszczenie dla niszczenia kierowane pustą żądzą destrukcji. Raczej rytualne strącanie bałwana z piedestału. Symboliczne zakończenie pewnej ery. Czasu smutku i niewiary. Odziane na biało postacie zrywały symbole Korporacji, tłukły wyświetlacze komputerów, wszędzie unosiły się strzępy papierów. Nagle szyba na czterdziestym, a może pięćdziesiątym piętrze jednego z drapaczy chmur pękła i wyleciała z niej lśniący złotem, ciężka rzeźba – dziwaczne połączenie greckiego antyku z neodadaizmem. Zapewne ozdoba gabinetu jakiegoś prezesa.

– Uważajcie! – chciał krzyknąć Zak, ale głos z przerażenia uwiązł mu w gardle. Pikująca w dół figura musiała ważyć chyba z pół tony. Leciała wprost na głowy rozśpiewanych wiernych.

Nim jednak zabiła lub raniła kogokolwiek, tłum – niczym na komendę – rozstał się, robiąc miejsce dla rzeźby. Ta runęła z głuchym łoskotem, odbiła się i rozpadła na kilka kawałków. Gdy szczątki znieruchomiały, natychmiast przysłoniły je białe szaty podążających ulicą ludzi. Jakby nic się nie stało.

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana, bo nastał dzień Prawdy – grzmiał dwumetrowy, pokryty fluorescencyjnymi tatuażami Afroamerykanin. Zapewne jeszcze wczoraj był kilerem na usługach jakiegoś narkotykowego gangu. Albo burdeltatą trzymającym w garści wszystkie domy rozpusty na Brooklynie. Albo gladiatorem zabijającym na arenie w nielegalnych walkach.

– Alleluja! Chwalmy Pana – odpowiadał mu tłum. Archanioł pokiwał z zadowoleniem głową – przez moment na jego twarzy można było dostrzec coś na kształt uśmiechu. Kąciki rozciągniętych surowo ust powędrowały tym razem nieco w górę.

Trwało to tylko chwilę. Gabriel zakręcił mieczem, wskazując nowy kierunek. Skrzydlate lwy posłusznie poderwały się do lotu. Młócąc wielkimi skrzydłami, powoli nabierały wysokości. Wkrótce zagłębili się między chmury. Jeszcze kilka uderzeń skrzydeł i wzlecieli ponad obłoki.

Tym razem podróż trwała jeszcze dłużej. Zak zatracił już rachubę czasu i kierunku. Słońce wędrowało po niebie, ukazując się nad coraz to innymi punktami horyzontu. Kilka razy zdarzyło się, że chmury przerzedły rozwiewane przez wiatr. Wtedy widział pod spodem ciemne, spienione fale oceanu. A później nieznanne mu pustkowia wypalone słońcem. Dalej

już było tylko słońce, niebo i ziemia. Ani jednej chmury. Zak przyglądał się mijanym miasteczkom, miastom, rzekom i morskim wybrzeżom, próbując odgadnąć, co to za kraj, co to za kontynent. Jednak z tej perspektywy wszystko wyglądało inaczej niż na dole i tylko logika podpowiadała, że to może być Afryka albo Bliski Wschód.

Wreszcie jego ciekawość została zaspokojona. Lwy zniżyły lot i wkrótce ujrzął miasto. Długie, siwe warkocze dymów wypływające gęsto niemal z każdej ulicy zlewały się w jedną, szarą chmurę.

– Oto Bagdad – rzekł archanioł. – I tu ludzie poznali, co to prawda, choć przecież ta ziemia przez lata była siedliskiem największego zła i herezji.

– Skąd te dymy?

– To płoną meczety! – zagrział Gabriel, a jego oczy zalsniły. – Tak, przyszedł dzień Prawdy. Dłoń Czyniąca Znak Krzyża wskazała kierunek. Pogańskie świątynie upadają, spętani przez fałszywą wiarę mieszkańcy tych ziem wyrzekli się jej, by oddać cześć prawdziwemu Panu. W tych dniach płonące meczety możesz zobaczyć wszędzie: nawet w Mekce, gdzie ci biedni ludzie czcili kamień zamiast Boga.

Na ulicach miasta trwała regularna bitwa. Czoło procesji odzianych w białe szaty wiernych starło się w walce na kije, wyrwane skądś deski i kawałki płyt chodnikowych z bezładną grupą wyrostków.

– Nie wszyscy jeszcze dostąpili zaszczytu Objawienia – stwierdził ze smutkiem archanioł. – Niech Pan nasz im wybaczy, bo nie wiedzą, co czynią, i wciąż błądzą w ciemnościach. Ale spójrz na tył procesji.

Tam trwała manifestacja wzajemnej miłości, tak jakby kilkaset kroków dalej nie lała się krew i nie pękały głowy. Pielgrzymi głosili chwałę Pana, śpiewali psalmy i wymieniali braterskie uściski.

Gdzieś obok z hukiem padł płonący minaret. Wysmukła wieża tąpnęła, zapadła się w sobie i powoli osunęła w dół, jakby padała na twarz przed boskim majestatem. Wierni na tyle procesji powitali ten widok wybuchem radości.

Tymczasem na przedzie zaterkotała seria z karabinu. Pierwszy szereg postaci w bieli załamał się – część uciekła na boki, pozostawiając na środku ulicy kilka zakrwawionych ciał.

– Nie ominie ich kara! – zakrzyknął tubalnym głosem Gabriel i sieknął powietrze mieczem, kierując ostrze w stronę napastników z karabinami. Z czubka jego oręża wydobyła się jaskrawa lanca płomieni, kosząc niewiernych jak zeschniętą trawę.

– A męczenników za wiarę czeka życie wieczne u boku Pana naszego – zakończył z powagą archanioł. Skinął głową i skrzydlate lwy ponownie poderwały się do lotu.



Zak nieśmiało zapytał:

– Czy tak jest wszędzie? Co z Europą? Co jest na przykład z Berlinem?

Myślał wtedy o Indze. Z coraz większym niepokojem. Czy jest zdrowa? Czy nic jej nie zagraża?

– O tym sam się możesz przekonać – rzekł z powagą Gabriel i podniósł na niego miecz.

Zak krzyknął z przerażenia i zrobił unik. Jednak rozgrzane do białości ostrze musnęło policzek, paląc żywym ogniem.

Ból wypchnął go spomiędzy skrzydeł lwa. Spadając, czuł już tylko strach. Widział zbliżającą się w zawrotnym tempie powierzchnię ziemi, coraz bliższą, coraz bardziej namacalną.

Nim jej dotknął, ogarnęła go ciemność.

\*\*\*

– Jesteś wolny, Zak.

To znowu ten sen, namolny koszmar, który nie da mi już spokoju – pomyślał. – Nie da mi wytchnienia i nocy bez sennych zwidów.

– Jesteś wolny, Zak.

Głos powtarzał się. Nie, to nie był archanioł. Nie był to też sen. Tylko Claudia.

– Jesteś wolny. I jesteś jednym z nas, Zak. Zaczęło się. Tej lawiny już nic nie powstrzyma.

Kim jestem? Jakiej lawiny? O co jej chodzi? Proste pytania i w innych okolicznościach bez problemu sam znalazłby na nie odpowiedzi. Ale to nie były „inne okoliczności”. To były „te okoliczności”. Nieustanny szum w uszach. Piekące oczy, jakby dostał porcję gazu pieprzowego prosto w twarz. Serce ociężałe wybijające swój rytm w zwolnionym tempie. I mózg, który nie potrafi ustawić myśli w szeregu, wprawiając je w bezładny taniec chaosu.

– To przejdzie. To pierwsza reakcja twojego organizmu na nasz dar. Będzie dobrze. A teraz chodź.

– Dar? Co masz na myśli? Nie chcesz powiedzieć, że... Że, kurwa, dostałem od was...

– Dłoń Czyniąca Znak Krzyża wskaże ci drogę. Jeszcze to docenisz. Już niedługo. Już niedługo twoje życie odmieni się tak, jak nigdy nawet nie marzyłeś. A teraz chodź. Czas już iść.

Oszołomiony zwłóknął się z łóżka. Pochwyciły go silne ramiona jakichś ludzi, nie

rozpoznawał nawet ich twarzy.

– Na dół go i jedziemy... – zabrzmiał czyjś głos. Ten znał. To był Roman.

Nagle Zaka ogarnęło przerażenie.

– Gdzie na dół? Gdzie jedziemy?

– Spokojnie – powiedziała Claudia łagodnym tonem. – Jedziemy na dół. Na parking.

Do samochodu, a potem podwieziemy cię kawałek. Będziesz miał bliżej.

Bliżej? Dokąd? Gdzie jedziemy?

Nie do końca dał się przekonać, ale szedł posłusznie. Dwaj strażnicy podtrzymywali go do windy, później już radził sobie sam. Wsiedli: on, Claudia, Roman i jeszcze jakiś gość.

Kierowca czekał na nich na dole, w podziemnym garażu. Wsiedli do białego vana BMW.

– Załóż to – zakomenderowała Claudia, wręczając mu czarną opaskę na oczy.

Nagły atak paniki. I narastający szum w głowie. Chcą mnie zabić?! Oni chcą mnie zabić? Zabić? O co chodzi? O co, kurwa, chodzi?!

– Chcecie mnie zabić?! – krzyknął i zaczął się szarpać. Na próżno, osiłki tylko wzmocniły uścisk.

– Nie bądź dzieckiem. Po prostu nie chcemy, żebyś zapamiętał zbyt wiele szczegółów podczas podróży stąd do tamtąd. To nie jest tak, że ci nie ufamy. Jesteś po naszej stronie i...

– Po waszej stronie? Nie jestem po żadnej, kurwa, waszej stronie!

– No wiesz, mam na myśli... Zresztą nieważne teraz, sam się przekonasz. Na razie załóż opaskę. Chcę, żebyś podczas przejazdu miał zasłonięte oczy. Żeby w twojej głowie nie pozostał ani ślad wspomnienia. Nie z braku zaufania, jak już mówiłam. Ale jakby stało ci się coś przykrego i trafiłbyś na przykład w ręce naszych przeciwników. Mogliby zastosować środki, wobec których byłbyś bezradny.

– Chińczykom się nie udało... – Myśli ciążyły jak kamienie. Z trudem przemógł się i mówił dalej: – Nie przestraszyli mnie. A jak próbowali działać chemią, to bredziłem. Szybciutko dali sobie z tym spokój.

– Pao nie potrafi działać zbyt finezyjnie. Zamknąć kogoś na kilka lat w obozie albo karczerze? Tak, to potrafią. Ale zdobyć się na przemyślaną intrygę albo w umiejętny sposób wyciągnąć zeznania, to nie w ich stylu. Prędzej rzeczywiście ścięliby cię tym mieczem. Zresztą to nie ma znaczenia. Nie o nich chodzi. W ogóle nie chodzi o nikogo konkretnego. Ubezpieczamy się. Nie będziesz nic widział, to i sam będziesz bezpieczniejszy.

– Widziałem okoliczne budynki z okna. Ten dziwny wieżowiec. Ten ze strzelistą wieżą. Bardzo charakterystyczny punkt rozpoznawczy.

– To fragment Singapuru. Tuż obok miałeś kawałek Pekinu, Los Angeles, Caracas i Sydney. Widok za oknem był tylko projekcją, więc możesz być pewien, że twoje obserwacje nikomu się na nic nie zdadzą.

Zak z rezygnacją założył opaskę i van ruszył. Pisk opon i manewry samochodu na zakrętach – wjeżdżali na kolejne piętra podziemnego garażu. Później długi skok na zewnątrz i wbili się w ruch uliczny. Tu Zak stracił już orientację.

– Nie rozumiem jednego – powiedział, przekrzykując szum w głowie. – Jak ci się to udało?

– Co?

– No... Wyciągnąć mnie z karceru. I zapewnić mi wszystkie względy w więzieniu.

– Względy? – Zaśmiała się Claudia. – Nie było żadnych względów. Wystarczyło naprawdę niewiele. Przekonać Hueia, że pomogę mu w wyciągnięciu z ciebie danych, których tak potrzebowali. Żeby mógł się wreszcie wykazać przed swoimi zwierzchnikami.

– Hueia? Porucznika Jao Hueia?

– Był głupcem. Dał się określić za pomocą najprostszych sztuczek.

– Żona członka Zarządu Pao... Od początku wiedziałem, że ściemniasz. Wiedziałem, że to nie ma sensu.

– Wiedziałeś, ale jednocześnie, nie bacząc na fakty i przeczucia, chciałeś wierzyć, że jest tak, jak ja ci to przedstawiam.

Zak pokiwał smętnie głową. Tak, ona miała rację. To przez ten karcer! Pobyt między czerwonymi ścianami sprawił, że zatracił instynkt drapieżnika. Stał się jakimś cholernym pudlem. Pudlem idiotycznie przystrzyżonym, z czerwoną kokardką na czubku głowy.

– Porucznik jest kompletnym głupcem, co oczywiście było nam na rękę. Kiedy już wiedzieliśmy, że jest problem ze znalezieniem kogoś do tej roboty, uruchomiliśmy plan „B”. Teraz mogę ci to powiedzieć, że tę samą robotę zleciliśmy jeszcze pięciu ludziom. To znaczy tyłu udało się zwerbować z dwudziestu paru, którym złożyliśmy propozycję. Wszyscy odpadli, ledwie się do tego zabrali. To zadanie ich przerosło. Liczyli na szybki i łatwy zysk, a tu trzeba było trochę się postarać.

– Co... – Poczuł suchość w ustach. – Co się z nimi stało?

– Z twoimi poprzednikami? Nie ma po nich najmniejszego śladu. Nie wiem, gdzie są. Poznikali. Uciekli.

– Ktoś ich załatwił... Nie żyją!

– Być może. Może to twój znajomy z kindżalem, a może gniją gdzieś w jakimś arabskim więzieniu. Zero kontaktu.

– No to kompletnie przejebane...

– To pokrzyżowało nasze plany, więc musieliśmy rozegrać wszystko nieco inaczej. W twoim hakerskim światku krążyły już legendy o superwłamywaczu, który przebił się do najbardziej utajnionych danych jednej z największych multikorporacji świata. A później został podstępnie pojmany przez jej agentów i osadzony w złowrogim Pai Tien.

– Co za bzdury!

– Dla nas cenna informacja. Postanowiliśmy ją wykorzystać. Najpierw planowaliśmy odbić cię od razu, tak jak ostatnio, robiąc desant na Pai Tien. Jednak okazało się, że można inaczej. Bez zbyteznego ryzyka. Że nie musimy cię odbijać, a jednocześnie mamy stuprocentową pewność, że nie znikniesz gdzieś jak ci wcześniejsi. Wystarczyło kupić kilka informacji i już wiedzieliśmy, że do Pai Tien najłatwiej dotrzeć będzie przez porucznika. I to, że miał dwie słabości – hazard i kobiety. Wtedy przeistoczyłam się w wyrachowaną lady z towarzystwa. W największym kasynie Nowego Hongkongu, gdzie porucznik regularnie zostawiał swoje juany, pozwoliłam mu wysoko wygrać. Wystarczyło tylko tyle. Pobudzony widokiem góry żetonów sunących w jego stronę, poczuł się zobowiązany do pocieszenia damy, która zapewniła mu tak niespodziewany sukces. Gdyby nie był głupcem, w tym momencie powinien się zastanowić. Nabrać wątpliwości, skąd nagły cud nad zielonym stolikiem. Ale nie. Już był mój. Postawił mi drinka. No cóż, pozwoliłam mu też wygrać w jego drugiej grze – uwodzeniu kobiet.

Współczucie. Porucznik Huei to bydlę i kanalia, ale mimo wszystko Zak nie potrafił jakoś wykrzesać z siebie złości. Wprost przeciwnie. Cyniczny perfekcjonizm Claudii dołował go.

– Co ja widzę – usłyszał. Jego mina musiała mówić wszystko, co myślał. Jakby na jego czole pokazywały się napisy w dymkach.

W głosie Claudii zabrzmiała złośliwa nutka:

– Jeszcze tylko powiedz, że kobiety są fałszywe.

– Kobiety są fałszywe – powtórzył jak automat.

– Nooo... Dobry chłopiec z ciebie.

Zapadło milczenie wypełnione szumem silnika. I szumem w jego głowie.

– I co? – przeciął pytaniem ten monotony dźwięk. – To już wystarczyło?

– W zasadzie tak. Po kilku dniach niezobowiązujących spotkań i rozmów opowiedziałam mu trochę o sobie. Że urodziłam się w Tallinie. Że podczas wojny dwudniowej moja rodzina przeniosła się z Nowej Południowej Nokii do Danii, a ja w końcu trafiłam do Nowego Hongkongu... Oczywiście wszystko to wymyśliłam. Porucznik bardzo się

zainteresował i powiedział o swoim niesubordynowanym więźniu, który też pochodzi z tych rejonów. Dalsze urabianie go zajęło mi niecały tydzień. Niby od niechcienia zaczęłam interesować się moim rodakiem. Wreszcie „zdradził”, za co siedzisz, i przedstawił mi cały problem, jaki z tobą miał. Bez zbędnych szczegółów, ale wystarczająco obszernie. Wtedy poprosiłam o widzenie, no a resztę już znasz.

– A przenosiny? Z przekłętego karceru do normalnej celi?

– Jak porucznik powiedział „A”, nie miał już siły, by nie dopowiedzieć „B” i „C”. Jakbym go dalej urabiała, skończyłyby na „Z”. Chyba że pojawiłyby się jakieś nieprzewidziane okoliczności. A mogły. To cały czas była gra va banque. W każdej chwili Huei mógł się wściec i z powrotem wysłać cię między czerwone ściany, a mnie zakazać widzeń. Dlatego też starałam się z tobą jak najmniej kontaktować i do tego w jak najbardziej dyskretny sposób. Chociaż nawet wtedy nie miałam stuprocentowej pewności, czy ruch w sieci nie jest monitorowany i filtrowany. Do dzisiaj tego nie wiem.

– Byłem namierzany?

– Nie wiem. Tak czy inaczej, przyznasz, że to była nieco ryzykowna gra. Nie, nie gra, to nieco mylące określenie. To była wojna. Wojna o nasze przetrwanie. Bez kompromisów.

– Dobrze, ale wciąż nie rozumiem. Co było tym „B”?

– To proste. Obiecałam porucznikowi, że pomogę w wyciągnięciu od ciebie tych informacji, które chcieli pozyskać. Poprosiłam, żeby dali mi wolną rękę, kilka dni na działanie, a później „jeszcze tylko kilka dni więcej”. Powiedziałam, że wezmę cię podstępem, że mam nieco niekonwencjonalny pomysł na zdobycie twojego zaufania. Stąd też możliwe, że policja Pao wiedziała o twojej aktywacji i o tym, że używasz netchipa.

– I co? Liczyli, że doprowadzę ich do serwera, na którym ukryłem kompromitujące ich dane? Lub do osoby, która coś wie na ten temat. Jeżeli tak, wykazali się niezłą cierpliwością.

– No cóż. Nawet jeżeli tak było, to mieli cię w szachu. Nie mogłeś nikomu postronnemu zdradzić swojej tajemnicy, ponieważ tym samym podpisałbyś na siebie wyrok. Jeżeli cię śledzili, jeżeli śledzili twoje kontakty, to w najlepszym wypadku rejestrowali tylko numery i adresy, z którymi się łączyłeś. Nie chciałam cię przecież wystawić, Zak. Dlatego dostałeś aktywację w Xiaopingu, sieci należącej do Liang-Taoi, ich największej konkurencji. Dlatego zleciłam ci korzystanie z RAC, a nie ich firmy. Inaczej, korzystając z sieci Pao, z ichniego MaoTseTunga, miałbyś na sto procent założony podsłuch i ścisły monitoring połączeń z siecią. I nasze wspólne działania nie byłyby tak beztraskie.

– Porucznik... Pierdolony Huei ci ufał.

– Chińczycy to cierpliwy naród. Potrafią czekać na stosowną chwilę. Może dlatego jeszcze żyjesz. Ale z drugiej strony to tylko nasze domysły, choć oparte na logicznych przesłankach. Nie wiemy, czy cię namierzali, i teraz to już nie ma znaczenia.

Czy hakerzy Pao szli za nim krok w krok? Zaka aż oblał zimny pot na tę myśl. Cały czas był śledzony? Czy włamywali się na serwery, które on odwiedzał? To są domysły, ale jeżeli tak? Wtedy Muhammad Ibn al-Charid i Betonowe Dranie, nie wiedząc o tym, stali się jego sprzymierzeńcami. Ha, ha, pewnie wydrenowali nawet jakiegoś Chinola, tak jak próbowali dorwać jego. Normalnie niezły kanał.

Van zatrzymał się z piskiem opon. Zak usłyszał cichy szum otwieranych drzwi.

– To by było na tyle – usłyszał głos Claudii.

Po chwili zerwała mu opaskę z oczu.

– Teraz już naprawdę jesteś wolny. Możesz iść w swoją stronę. Gdzie tylko chcesz.

Mrużąc oczy, wyskoczył z furgonetki na ulicę. Otoczył go skłębiony tłum pokrzykujących coś, odzianych na biało postaci. Nie wiedział, gdzie jest. Nie wiedział, co się dzieje.

– Ja bym na twoim miejscu uważała na tych z Pao – dodała jeszcze na pożegnanie Claudia i kłapnęły drzwi samochodu. Van ruszył, trąbiąc na gotującą się cizbę ludzką. Po chwili białe BMW zniknęło mu z oczu.

Był wolny.

Znów zaczęło mu szumieć w głowie.

\*\*\*

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana, bo nastał dzień Prawdy!

Te słowa rozbrzmiewały zewsząd. Wypowiadane przez tysiące ust, różnymi językami, różnymi głosami, w nierównym tempie. Ale i tak stanowiły jedność.

Zak popłynął – niosła go fala białych postaci zupełnie jak we śnie z archaniołem. Najpierw próbował biec w ślad za znikającym białym vanem.

Jeszcze się z tobą nie rozmówiłem, Claudia! Musisz mi odpowiedzieć na wszystkie pytania! Musisz za to wszystko zapłacić! Musisz jeszcze...

Nie, to bez sensu. Samochód zniknął za rogiem, ledwie Zak pokonał kilka metrów otoczony przez falujące jezioro tłumy. Zatrzymał się zrezygnowany.

Czy to któreś z miast, które widział w swojej wizji? Nowy Jork? Na pewno nie Bagdad. Nie wiedział. Rozejrzał się – nie znał tych ulic. Czy to Sao Paulo? A gdzie gigantyczna figura Jana Pawła II wzniesiona na podobieństwo Jezusa z Rio? Nie dostrzegł jej.

Dokąd teraz iść?

– Co to za miasto? – zapytał po arabsku, ale zamiast odpowiedzi usłyszał tylko radosny śmiech. Powtórzył te same słowa po angielsku i w łamanym chińskim. Skutek był taki sam. Tylko śmiechy.

Co to za, kurwa, pierdolone miasto? Gdzie ja jestem?

Nieważne! Taksówka! Tak będzie najprościej. Po prostu wsiądę w taryfę. Powiem: „Na lotnisko! Na międzynarodowe!”. I jestem w domu. W Berlinie.

W getcie za murami, które teraz wydawało mu się jego prywatnym rajem.

Nagle przypomniał sobie, że nie ma już pieniędzy. Nawet na taksówkę, tym bardziej na samolot. Nie miał też dostępu do Xiaopinga. Nie miał aktywacji w żadnej sieci. Nie miał dostępu do konta w banku ani nawet środków na drobne wydatki w pamięci netchipa. Claudia po raz kolejny zakpiła sobie z niego.

Jeszcze się kiedyś rozliczymy – pomyślał Zak ponuro. Nie wiedział dokładnie, co jej zrobi, ale sama przyjemność obmyślenia zemsty była pewnym pocieszeniem.

– Napuszczę islamskich zabójców gotowych do wypełnienia fatwy! Albo cokolwiek! Jakaś kara musi ją spotkać...

– Kara i wieczne potępienie spotka grzeszników, a bezgrzeszni pójną do Nieba, gdzie będą żyć w wiecznej szczęśliwości! – ryknął mu nad uchem jakiś rumiany grubas. Śmiał się radośnie, klaszcząc i tańcząc.

Zak spojrzał na niego zdeorientowany. Skąd on...?

Skąd ten gruby koleś...? Wie, co myślę, telepata pier.....?

Nie, to przypadek. Wszyscy tu wykrzykują różne rzeczy. Co im tylko przyjdzie do głowy.

Ale właściwie co wykrzykują?

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana, bo nastał dzień Prawdy!

Powtarzana przez tysiące mantra. Ta i dziesiątki innych. O co im chodzi? Wsłuchał się w te słowa. Najpierw niechętnie. Z rozdrażnieniem, jednak zanim zdołał wyrzucić z siebie złość, coś w nim pękło.

Więc wsłuchiwał się.

Coraz bardziej.

I głębiej.

Coraz bardziej.

I poddał się temu.

Wtedy też usłyszał, że te same słowa wychodzą gdzieś z niego samego. Z jego serca.

Wszystkie pytania, wszystkie wątpliwości, strach i niepewność – wszystko to zaczęło ulatywać niczym powietrze z balonika.

Ale... Ale przecież o czymś chciał pamiętać. Czymś się chciał niepokoić. Tylko czym? Czym? Nie! Raczej kim? Kim?

Inga?

Inga, Inga, In...

Kto to jest Inga? Nie. To nie o to chodzi. No bo jaka znowu, kurwa, Inga?

Szum w uszach. Fioletowe płatki przed oczami.

In...

– ...in excelsis Deo! Chwała Panu na wysokościach! – szepnął cicho sam do siebie, a wypowiedziawszy te słowa, poczuł radość. Tak! Tak! Już wiem!

– Chwalmy Pana! – krzyknął mu do ucha grubas, a on odpowiedział tym samym:

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana!

Tak, tego właśnie szukał w pamięci! To chciał pamiętać! To wskazała mu Dłoń Czyniąca Znak Krzyża!

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana!

Te słowa napęłniały go nowym, świeżym powietrzem. Powietrzem Nadziei.

Co to za miasto? Gdzie jestem? Dokąd idę? Nieważne. Ważne jest, że idzie do przodu pośród braci i sióstr w białych szatach.

– Chwalmy Pana! Chwalmy Pana!

Powtarzał te słowa coraz głośniej i radośniej. Poczuł, jak wszystkie problemy i wątpliwości odchodzą w niebyt. Spływają do kratki kanalizacyjnej, by już nigdy więcej go nie trapić.

Poczuł się wolny.

Szedł w tłumie, podchwytyjąc wszystkie powtarzane przez pielgrzymów hasła.

– Alleluja! I do przodu!

Poczuł szarpnięcie za rękaw. Roześmiany chłopak o latynoskiej urodzie.

– A wiesz, bracie? W Bagdadzie płoną już meczety!

I w Teheranie. I w Ankarze!

– Niech płoną meczety! – zakrzyknął na te słowa roztańczony grubas.

– Niech płoną meczety! – powtórzył Zak, a za nim młody Latynos i cały tłum.

– Niech płoną meczety! Niech płoną meczety!

Wtedy zobaczył tego człowieka. Arabskie rysy twarzy, arabski strój i wyraz zaciętości w oczach. Nie tańczył i nie śpiewał. Nie głosił chwały Pana. Nie modlił się o płonące



meczety.

Patrzył na Zaka, nie kryjąc nienawiści. Sięgnął pod połę płaszcza i wy dobył długi nóż o lśniącym ostrzu i zdobnej głowni.

– Nazywam się Atef Ibn al-Amid i jestem sługą Allaha. Łowcą Demonów z Bożego namaszczenia. A to malajski kindżał z rękojeścią w kształcie głowy demona. Częstka jego duszy zaklęta w metalu dodaje mocy tej broni. Zaś błogosławieństwo Pana naszego daje mi moc, która pozwala zabić demony. Na zawsze odesłać je do piekieł i uwięzić w ogniu, jaki tam gorzeje.

To mówiąc, uniósł ostrze w górę i ruszył w kierunku Zaka.